

# Orson Scott Card KSENOCYD



Prószyński i S-ka



# ORSON SCOTT CARD

# **Xenocyd**

(Przełożył Piotr W. Cholewa)

*Markowi i Kathy Kidd:  
za swobodę, za przystań  
i zabawy w całej Ameryce*

# Spis treści

## ORSON SCOTT CARD

### Xenocyd

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

# ROZDZIAŁ 1

## ROZSTANIE

*Dziś jeden z braci zapytał mnie: Czy to straszne więzienie, kiedy nie możesz się ruszyć z miejsca, w którym stoisz?*

*A ty odpowiedziałeś...*

*Że jestem teraz bardziej wolny od niego. Niezdolność do ruchu uwalnia mnie od obowiązku działania. Wy, którzy mówicie językami, wciąż kłamiecie...*

Hań Fei-tzu siedział w pozycji lotosu na nagiej drewnianej podłodze obok łoża żony. Jeszcze przed chwilą drzemał chyba - nie był tego tak zupełnie pewien. Lecz teraz uświadomił sobie lekką zmianę jej oddechu, zmianę subtelną jak podmuch wywołany ruchem skrzydeł motyla.

Jiang-qing także najwyraźniej dostrzegła w nim zmianę, gdyż przedtem milczała, a teraz odezwała się. Mówiła bardzo cicho, ale Hań Fei-tzu słyszał wyraźnie, gdyż w domu panowała cisza. Prosił przyjaciół i służbę o zachowanie milczenia na okres zmierzchu życia Jiang-qing. Dość będzie czasu na nieostrożne hałasy podczas długiej nocy, która nadejdzie, nocy bez przytłumionego szeptu jej warg.

- Jeszcze nie umarłam - powiedziała.

Od kilku dni po każdym przebudzeniu witała go tymi słowami. Z początku uważał je za ironiczne lub drwiące, ale teraz już wiedział, że wymawia je z rozczarowaniem. Tęskniła za śmiercią nie dlatego, że nie kochała życia, ale dlatego, bowiem śmierć była nieunikniona. Czego nie można odepchnąć, trzeba przyjąć z otwartymi ramionami. Taka jest Droga. Jiang-qing przez całe życie nie zboczyła z Drogi ani o krok.

- A więc bogowie są dla mnie łaskawi - rzekł Hań Fei-tzu.

- Dla ciebie - tchnęła. - Co kontemplujemy?

W ten sposób prosiła go, by dzielił z nią swe najskrytsze rnyśli. Gdy inni o nie pytali, czuł się tak, jakby szpiegowali go. Ale Jiang-qing pytała, by myśleć o tym samym. Dzięki temu oboje stawali się jedną duszą.

- Kontemplujemy naturę pożądania - odparł Hań Fei-tzu.

- Czyjego pożądania? - spytała. - I pożądania czego?

Mojego pożądania, by twoje kości wyzdrowiały, stały się silne i nie pękały przy najlżejszym ucisku. Znowu mogłabyś stanąć, a nawet unieść ramię, a twoje mięśnie nie wrywałyby odłamków kości, ani kość nie łamałaby się od naprężenia. Nie musiałbym patrzeć, jak gaśniesz. Ważysz teraz zaledwie osiemnaście kilogramów. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi, dopóki nie dowiedziałem się, że nie możemy zostać razem.

- Mojego pożądania - odpowiedział. - Ciebie.

- „Cenisz tylko to, czego nie masz”. Czyje to słowa?

- Twoje. Niektórzy mówią: czego mieć nie możesz, a inni: czego mieć nie powinieneś. A ja mówię: naprawdę możesz docenić tylko to, czego zawsze będziesz pragnął.

- Masz mnie na zawsze.

- Utracę cię tej nocy. Albo jutro. Albo za tydzień.

- Zajmijmy się kontemplacją natury pożądania - spokojnie poprosiła Jiang-qing. Jak zwykle, wykorzystywała filozofię, by wyrwać go z posępnej melancholii.

Opierał się, choć tylko z przekory.

- Jesteś surową władczynią - oświadczył. - Jak twoja przodkini-serca, nie zważasz na słabości

innych.

Jiang-qing otrzymała imię po rewolucyjnej przywódczyni z dalekiej przeszłości, która próbowała wprowadzić lud na nową Drogę, ale została pokonana przez tchórzy o zajęcych sercach. To niesprawiedliwe, myślał Hań Fei-tzu, by żona umierała przed nim: jej przodkini-serca przeżyła swego męża. Poza tym, żony powinny żyć dłużej niż mężowie. Kobiety są bardziej dopełnione wewnątrz. I żyją w swych dzieciach. Nigdy nie cierpią takiej samotności jak osamotniony mężczyzna.

Jiang-qing nie pozwoliła mu wrócić do smutnej zadumy.

- Kiedy mężczyźni umiera żona, czego może pożądać? Zbuntowany Hań Fei-tzu udzielił jej najbardziej fałszywej odpowiedzi.

- By położyć się przy niej - rzekł.

- Pożądanie ciała - stwierdziła Jiang-qing.

Ponieważ była zdecydowana prowadzić tę rozmowę, Hań Fei-tzu wyrecytował za nią:

- Pożądaniem ciała jest działaniem. Zawiera wszelkie dotknięcia, przypadkowe i intymne, i wszelkie zwyczajowe poruszenia. Gdy zatem mężczyzna widzi kątem oka jakiś ruch, myśli, że widział zmarłą żonę przechodzącą za drzwiami. Nie uspokoi się, póki nie podejdzie do drzwi i nie zobaczy, że to nie jego żona. Dlatego budzi się ze snu, w którym słyszał jej głos, i stwierdza, że odpowiada jej, jakby mogła go usłyszeć.

- Co jeszcze? - spytała Jiang-qing.

- Mam dość filozofii - oświadczył Hań Fei-tzu. - Może Grecy znajdowali w niej pocieszenie. Ja nie.

- Pożądanie ducha - nie ustępowała Jiang-qing.

- Ponieważ duch z ziemi się bierze, jest tą częścią, która czyni nowe rzeczy ze starych. Gdy żona umiera, mąż tęskni za wszystkimi nie dokończonymi dziełami, jakie z nią tworzył, za nie rozpoczętymi snami o tym, co wykreowaliby, gdyby żyła. Dlatego mężczyzna gniewa się na swe dzieci, bo zbyt są do niego podobne, a za mało przypominają zmarłą żonę. Dlatego mężczyzna nienawidzi domu, w którym żyli razem, ponieważ albo go nie zmienia, a wtedy dom staje się równie martwy jak żona, albo zmienia, a wtedy dom nie jest już w połowie jej dziełem.

- Nie wolno ci się gniewać na naszą małą Qing-jao - szepnęła Jiang-qing.

- Dlaczego? - zapytał Hań Fei-tzu. - Czy więc zostaniesz, by nauczyć ją być kobietą? Ja mogę wychować ją tylko na swoje podobieństwo. Będzie zimna i twarda, ostra i mocna jak obsydian. Jeśli taka wyrośnie, a wyglądem przypomina ciebie, jak mogę się nie gniewać?

- Ponieważ możesz ją nauczyć wszystkiego, czym ja jestem.

- Gdybym nosił w sobie część ciebie - odparł Hań Fei-tzu - nie musiałbym cię poślubić, by stać się pełną osobą. - Przekomarzał się z nią, wykorzystując filozofię, by odwrócić rozmowę od cierpienia. - Takie jest pożądanie duszy. Dusza zbudowana jest ze światła i żyje w powietrzu, ona więc poczyna i przechowuje idee, zwłaszcza ideę całości. Mąż pragnie dopełnienia, pragnie całości, jaka powstaje z męża i żony wspólnie. Nigdy zatem nie wierzy własnym myślom, ponieważ zawsze dręczy go wątpliwość, na którą tylko myśli żony były odpowiedzią. Tym samym cały świat wydaje mu się martwy, gdyż nie ma pewności, czy cokolwiek zachowa swój sens pod ostrzałem tej nierozwiązalnej wątpliwości.

- Bardzo głębokie - stwierdziła Jiang-qing.

- Gdybym był Japończykiem, popełniłbym seppuku, wylewając swe trzewia na urnę twych popiołów.

- Bardzo mokre i bardzo niechlujne. Uśmiechnął się.



- Chciałbym więc być starożytnym Hindusem i spłonąć na twoim stosie.

Ona jednak dość miała żartów.

- Qing-jao - szepnęła. Przypominała mu, że nie może uczynić niczego tak teatralnego, nie może umrzeć wraz z nią. Ktoś musi zająć się małą Qing-jao.

Hań Fei-tzu odpowiedział jej z powagą.

- Jak mogę ją nauczyć, by była tym, kim ty jesteś?

- Wszystko, co we mnie dobre, bierze się z Drogi. Jeśli nauczysz ją, by była posłuszna bogom, szanowała przodków, kochała lud i służyła władcom, przetrwam w niej tak samo jak ty.

- Nauczę ją Drogi jako części samego siebie - obiecał Hań Fei-tzu.

- Nie tak. Droga nie jest naturalną częścią ciebie, mój mężu. Chociaż bogowie przemawiają do ciebie codziennie, upierasz się przy wierze w świat, gdzie wszystko można wyjaśnić naturalnymi przyczynami.

- Jestem posłuszny bogom. - Pomyślał z goryczą, że nie ma wyboru, że nawet odłożenie spełnienia ich żądań staje się torturą.

- Ale nie znasz ich. Nie kochasz ich dzieł.

- Droga każe nam kochać ludzi. Bogów tylko słuchamy. Jak mogę kochać bogów, którzy poniżają mnie i dręczą przy każdej okazji?

- Kochamy ludzi, gdyż są stworzeniami bożymi.

- Nie praw mi kazań.

Westchnęła.

Smutek ukłuł go niby pajak.

- Chciałbym przez wieczność słuchać twoich kazań - zapewnił.

- Ożeniłeś się ze mną, ponieważ wiedziałeś, że kocham bogów, gdy u ciebie nie było nawet śladu tej miłości. W taki sposób cię dopełniłam.

Jak mógł się z nią spierać, gdy wiedział, że nawet w takiej chwili nienawidzi bogów za wszystko, co mu zrobili, do czego go zmusili i co mu odebrali.

- Obiecuj mi - szepnęła Jiang-qing.

Wiedział, o co go prosi. Czują, że zbliża się śmierć i na jego barki składała zadanie, z którego uczyniła cel swego życia. Ten ciężar podejmie z radością. To utraty jej towarzystwa w Drodze lękał się od dawna.

- Obiecuj, że nauczysz Qing-jao kochać bogów i zawsze kroczyć Drogą. Obiecuj, że uczynisz ją moją córką w tym samym stopniu, co twoją.

- Nawet jeśli nigdy nie usłyszysz głosu bogów?

- Droga jest dla wszystkich, nie tylko dla słyszających.

Może... pomyślał Hań Fei-tzu. Ale bogosłyszającym o wiele łatwiej jest nią podążać, gdyż za zboczenie z niej płacą straszną cenę. Zwykli ludzie są wolni; mogą opuścić Drogę i nie odczuwać długoletniego bólu. Bogosłyszający nie zdoła opuścić Drogi choćby na godzinę.

- Obiecuj.

Zrobię to. Obiecuję.

Nie potrafił jednak wypowiedzieć tych słów. Nie wiedział dlaczego, ale opór tkwił głęboko.

W ciszy, gdy ona czekała na jego przysięgę, usłyszeli tupot bosych stóp na żwirze przed frontowymi drzwiami. Mogła to być jedynie Qing-jao, powracająca z ogrodu Sun Cao-pi. Tylko Qing-jao pozwolono biegać i hałasować w tych godzinach milczenia. Czekali, pewni, że przyjdzie prosto do pokoju matki.

Drzwi odsunęły się niemal bezgłośnie. Nawet Qing-jao odczuwała panującą ciszę i w obecności

matki chodziła na palcach. Mimo to z trudem powstrzymywała się, by nie zatańczyć, nie popędzić po podłodze. Nie zarzuciła matce rąk na szyję; zapamiętała lekcję, choć potworny siniak zniknął już z twarzy Jiang-qing w miejscu, gdzie trzy miesiące temu mocny uścisk córki złamał jej szczękę.

- Naliczyłam dwadzieścia trzy białe karpie w ogrodowej sadzawce - oznajmiła Qing-jao.
- Tak dużo - pochwaliła Jiang-qing.
- Myślę, że pokazywały mi się, żebym je mogła policzyć. Żaden nie chciał być ominięty.
- Kocha... cię... - wyszeptała Jiang-qing.

Hań Fei-tzu usłyszał nowy dźwięk w jej stłumionym głosie - bulgotanie, jakby wśród słów pękały bąbelki.

- Jak myślisz, czy jeśli widziałam tyle karpie, to znaczy, że będę bogosłyszcząca? - spytała Qing-jao.
- Poproszę bogów, by do ciebie przemówili - odpowiedziała Jiang-qing.

Jej oddech stał się nagle krótki i chrapliwy. Hań Fei-tzu przyklęknął natychmiast i spojrzał z uwagą na żonę. Oczy miała szeroko otwarte i pełne lęku. Chwila nadeszła.

Poruszyła wargami. Obiecaj, powiedziała, choć nie potrafiła wydobyć głosu.

- Obiecuję - rzekł Hań Fei-tzu. Oddech ustał.
- Co mówią bogowie, kiedy przemawiają? - zapytała Qing-jao.
- Mama jest bardzo zmęczona - odparł Hań Fei-tzu. - Powinnaś już iść.
- Ale mama mi nie odpowiedziała. Co mówią bogowie?

- Mówią o tajemnicach. Kto je usłyszał, nigdy ich nie powtarza. Qing-jao z powagą kiwnęła głową. Cofnęła się o krok, jakby do wyjścia, ale przystanąła.

- Mogę cię pocałować, mamó?
- Lekko w policzek - zezwolił Hań Fei-tzu.

Qing-jao, mała jak na czterolatkę, nie musiała zbytnio się schylać, by ucałować policzek matki.

- Kocham cię, mamó.
- Lepiej już idź, Qing-jao.
- Ale mama nie powiedziała, że też mnie kocha.
- Powiedziała wcześniej. Nie pamiętasz? Ale jest bardzo słaba i zmęczona. Idź już.

Włożył w te słowa tyle stanowczości, że dziewczynka wyszła, nie pytając o nic więcej. Dopiero gdy zniknęła, Hań Fei-tzu ukląkł nad ciałem Jiang-qing i próbował sobie wyobrazić, co teraz się z nią dzieje. Dusza odleciała i pewnie jest już w niebie. Duch będzie zwlekał o wiele dłużej. Może nawet zamieszka w tym domu, jeśli naprawdę była tutaj szczęśliwa. Ludzie przesądni wierzyli, że wszelkie duchy zmarłych są niebezpieczne; wystawiali znaki i amulety, by je odpędzić. Ci jednak, którzy podążali Drogą, wiedzieli dobrze, że duch dobrego człowieka nigdy nie stanie się groźny czy niszczycielski. Dobroć człowieka pochodzi z miłości ducha do tworzenia. Gdyby Jiang-qing postanowiła zostać, jej duch na wiele lat byłby błogosławieństwem dla tego domu.

A jednak nawet w tej chwili, gdy próbował wyobrazić sobie jej duszę i ducha zgodnie z naukami Drogi, w głębi jego serca istniała lodowata pustka - przekonanie, że to kruche, wysuszone ciało jest wszystkim, co pozostało z Jiang-qing. Dziś wieczorem spłonie szybko jak papier, a wtedy ona odejdzie. Przetrwa tylko w jego wspomnieniach.

Jiang-qing miała rację. Dopełniała jego duszę i bez niej już teraz zaczynał wątpić w bogów. A bogowie zauważyli to jak zawsze. Natychmiast poczuł nieznośne pragnienie, by dokonać rytualnego oczyszczenia, pozbyć się niegodnych myśli. Nawet teraz nie mogli mu darować. Nawet przy ciele zmarłej żony żądali, by złożył im hołd, nim uroni po niej choćby jedną łzę.

Z początku zamierzał się opierać, odłożyć rytuał posłuszeństwa. Nauczył się odsuwać go nawet o cały dzień, ukrywając przy tym wszelkie oznaki wewnętrznych cierpień. Mógłby uczynić to teraz...

ale tylko wtedy, gdyby serce miał zupełnie zimne. To nie miało sensu. Właściwy żal mógł nadejść dopiero po udzieleniu satysfakcji bogom. Dlatego więc, klęcząc, rozpoczął rytuał.

Wciąż skręcał się i obracał, gdy do pokoju zająrzyli służący. Nie powiedział ani słowa, lecz Hań Fei-tzu słyszał szelest odsuwanych drzwi. Wiedział, co służący pomyśleli: Jiang-qing nie żyje, a Hań Fei-tzu jest tak prawy, że obcuje z bogami, zanim obwieści domownikom o jej śmierci.

Z pewnością niektórzy nawet uznają, że bogowie sami przybyli po Jiang-qing, ponieważ znana była ze swej niezwyklej pobożności. Nikt nie odgadnie, że kiedy Hań Fei-tzu oddawał cześć, jego serce przepęniał żal do bogów żądających tego w takiej chwili.

Bogowie, pomyślał. Gdybym wiedział, że odrąbując sobie nogę albo wycinając wątrobę, pozbędę się was na zawsze, chwyciłbym nóż i z radością przyjął ból i stratę. Wszystko dla wolności.

Ta myśl również była niegodna i musiał się po niej oczyścić. Minęło kilka godzin, nim bogowie wreszcie go uwolnili, lecz wtedy odczuwał już nazbyt wielkie zmęczenie i niechęć, by rozpaczać. Wstał i wezwał kobiety, by przygotowały ciało Jiang-qing do kremacji.

O północy jako ostatni zbliżył się do stosu, niosąc w ramionach śpiącą Qing-jao. Ścisnęła w rączkach trzy kawałki papieru, które dziecięcym pismem wypisała dla swej matki. „Ryba”, napisała, i „książka” i „sekrety”. Te trzy rzeczy Qing-jao oddawała matce, by zabrała je z sobą do nieba. Hań Fei-tzu spróbował odgadnąć, o czym myślała dziewczynka, pisząc te słowa. „Ryba” z powodu dzisiejszych karp w sadzawce, to jasne. A „książkę” też nietrudno wyjaśnić, ponieważ głośne czytanie było jedną z niewielu zabaw z córką, dostępnych jeszcze Jiang-qing. Ale dlaczego „sekrety”? Jakie tajemnice miała Qing-jao dla swej matki? Nie mógł jej spytać. Nie dyskutuje się o ofiarach dla zmarłych.

Hań Fei-tzu postawił Qing-jao na ziemi. Nie spała mocno i rozbudziła się natychmiast. Stała obok stosu, mrużąc oczy. Hań Fei-tzu szepnął jej kilka słów, a wtedy zwinęła papierki i wsunęła je do rękawa zmarłej. Nie przeszkadzało jej dotknięcie zimnego ciała matki - była za mała i nie nauczyła się jeszcze drzeć od dotyku śmierci.

Hań Fei-tzu także nie drgnął, gdy trzy swoje karteczki wsunął do drugiego rękawa. Czemu miałby obawiać się śmierci teraz, gdy zrobiła już najgorsze?

Nikt nie wiedział, co on ofiarowywał. Byliby przerażeni, gdyż napisał tam „Moje ciało”, „Mój duch” i „Moja dusza”. To tak, jakby sam miał spłonąć na stosie pogrzebowym, jakby posyłał samego siebie tam, gdzie pójdzie ona.

A potem sekretna drużna Jiang-qing, Mu-pao, przysunęła żagiew do świętego drewna i stos wybuchnął płomieniem. Żar ognia parzył i Qing-jao schowała się za ojcem. Wyglądała zza niego, by patrzeć, jak jej matka odchodzi w nieskończoną wędrówkę. Hań Fei-tzu jednak cieszył się suchym ogniem, który przypalał skórę i marszczył jedwab szaty. Ciało nie było tak wysuszone, jak się wydawało. Papierki już dawno rozsypały się w popiół i wleciały z dymem, a ono długo jeszcze skwierczało; gęste opary kadzideł płonących wokół stosu nie mogły zabić zapachu płonącego ciała. I tyle tylko spalamy tutaj: mięso, trupa, nic. Nie moją Jiang-qing. Tylko kostium, który nosiła za tego życia. To, co czyniło z ciała kobietę, którą kochałem, ciągle żyje. Musi żyć.

I przez moment zdawało mu się, że widzi albo słyszy, że odczuwa w jakiś sposób przejście Jiang-qing.

W powietrze, w ziemię, w ogień. Jestem z tobą.

## ROZDZIAŁ 2

### SPOTKANIE

*Najdziwniejsze u ludzi jest to, jak dobierają się w pary: mężczyźni z kobietami. Bez przerwy ze sobą walczą i nie potrafią zostawić siebie nawzajem w spokoju. Nie mogą chyba zrozumieć, że mężczyźni i kobiety to różne gatunki, o całkiem innych potrzebach i pragnieniach. Jedynie reprodukcja zmusza ich do kontaktu.*

*Nic dziwnego, że tak to odczuwasz. Twoi partnerzy są tylko bezmózgimi trutniami, przedłużeniem ciebie, bez własnej tożsamości.*

*My znamy naszych kochanków i rozumiemy ich doskonale. Ludzie wymyślają urojonego kochanka i nakładają tę maskę na ciało, które biorą do łóżka.. To jest tragedia języka, przyjaciółko. Ci, którzy poznają się jedynie poprzez reprezentacje symboliczne, zmuszeni są, by wyobrażać sobie siebie nawzajem. A że ich wyobrażenia jest niedoskonała, często się mylą. To źródło ich cierpienia. Ale także ich siły. Tak myślę. W twoim i moim gatunku, z różnych ewolucyjnych przyczyn, kojarzenie następuje z osobnikami daleko niżej rozwiniętymi. Te istoty są zawsze beznadziejnie niższe intelektualnie. Ludzie kojarzą się z partnerami, którzy rzucają wyzwanie ich przywództwu. Konflikt między partnerami nie wynika z tego, że komunikują się mniej efektywnie od nas, ale że w ogóle się komunikują.*

Valentine Wiggin przeczytała swój esej, wprowadzając jeszcze drobne poprawki. Kiedy skończyła, słowa zawisły w powietrzu nad terminalem komputera. Była zadowolona z siebie. Zrećnie i ironicznie przeanalizowała charakter i osobowość Rymusa Ojmana, przewodniczącego gabinetu Gwiezdnego Kongresu.

- Czy zakończyliśmy kolejny szturm na władców Stu Światów?

Valentine nie obejrzała się, by spojrzeć na męża. Z tonu wiedziała dokładnie, jaki ma wyraz twarzy. Nie odwracając głowy uśmiechnęła się w odpowiedzi. Po dwudziestu pięciu latach małżeństwa potrafili, nie patrząc, widzieć siebie nawzajem.

- Ośmiesziliśmy Rymusa Ojmana.

Jakt wsunął się do maleńkiego gabinetu. Jego twarz znalazła się tak blisko, że Valentine czuła jego oddech, gdy czytał pierwsze akapity. Nie był już młody; wysiłek związany z pochyleniem się i oparciem rąk o framugę sprawił, że oddech był szybszy, niż chciałaby słyszeć.

Wreszcie przemówił. Był tak blisko, że wargami muskał jej policzek i łaskotał przy każdym słowie.

- Od tej chwili nawet jego matka będzie się śmiała ukradkiem, ile razy zobaczy tego biedaka.

- Ciężko było napisać to zabawnie - wyznała Valentine. – Ciągle łapałam się na tym, że go oskarżam.

- Tak jest lepiej.

- Och, wiem o tym. Gdybym zdradziła swoją złość, gdybym oskarżyła go o wszystkie przestępstwa, wydałby się twardy i wzbudził lęk. Frakcja Przestrzegania Prawa uwielbiałaby go jeszcze bardziej, a tchórze na wszystkich światach kłaniałoby się niżej.

- Jeśli mają kłaniać się niżej, muszą kupować cieńsze dywany.

Roześmiała się - również dlatego, że łaskotanie warg na policzku stawało się nie do zniesienia. Zaczynało też, tylko trochę, kusić ją żądzami, których podczas podróży nie mogła zaspokoić. Statek był po prostu zbyt mały i z całą rodziną na pokładzie zbyt zatłoczony, by liczyć na chwilę prawdziwego odosobnienia.

- Jakt, jesteśmy już prawie w połowie drogi. W każdym roku naszego życia powstrzymywaliśmy się przez dłuższy czas niż cała ta wariacka podróż.

- Możemy wywiesić na drzwiach kartkę „Nie wchodzić”.

- Równie dobrze możesz wywiesić kartkę z napisem „Podstarzała para próbuje ożywić dawne wspomnienia”.

- Nie jestem podstarzała.

- Przekroczyłeś sześćdziesiątkę.

- Jeśli stary żołnierz potrafi jeszcze stanąć na baczność i zsalutować, to dlaczego nie wolno mu maszerować na paradzie?

- Żadnych parad, dopóki nie będziemy u celu. Jeszcze parę tygodni. Musimy tylko spotkać pasierba Endera, a potem wracamy na kurs do Lusitanii.

Jakt odsunął się, wyszedł na korytarz i wyprostował się. Było to jedno z niewielu miejsc na statku, gdzie mógł to zrobić. Stęknął przy tym.

- Trzeszczysz jak zardzewiałe drzwi - zauważyła Valentine.

- Słyszałem jak wydajesz takie same odgłosy, kiedy wstajesz zza tego biurka. Nie jestem jedynym zgrzybiałym, niedołącznym i żalonym ramolem w tej rodzinie.

- Idź sobie i pozwól mi to nadać.

- Jestem przyzwyczajony do pracy podczas rejsu - oświadczył Jakt - A tutaj wszystko robią komputery, a statek nie kołysze się ani nie huśta.

- Poczytaj książkę.

- Martwię się o ciebie. Nawal pracy i brak rozrywek zmienia moją Val w złośliwą starą wiedźmę.

- Każda minuta naszej rozmowy to osiem i pół godziny czasu rzeczywistego.

- Nasz czas na statku jest równie rzeczywisty, co ich czas na zewnątrz - stwierdził. - Czasem żałuję, że przyjaciele Endera znaleźli sposób, żeby utrzymać nasze połączenie z Ziemią.

- Co zużywa masę czasu komputera - wyjaśniła Val. - Do tej pory tylko wojsko mogło się porozumiewać ze statkami w locie z szybkością podświetlną. Jeśli przyjaciele Endera zdołali to osiągnąć, mam obowiązek z tego korzystać. Jestem im to winna.

- Pisziesz nie tylko dlatego, że jesteś coś komuś winna. Miał rację.

- Jakt, gdybym nawet co godzinę wysyłała jeden esej, to dla reszty ludzkości Demostenes publikowałby zaledwie raz na trzy tygodnie.

- Nie możesz pisać eseju na godzinę. Musisz spać, jeść...

- I słuchać ciebie, póki tu jesteś. Idź już, Jakt.

- Gdybym wiedział, że ocalenie planety przed zniszczeniem wymaga ode mnie powrotu do stanu dziewictwa, nigdy bym się nie zgodził.

Nie całkiem żartował. Całej rodzinie trudno było porzucić Trondheim. Nawet jej i nawet wobec perspektywy ponownego spotkania z Enderem. Wszystkie dzieci były już dorosłe albo prawie dorosłe. Wyprawa stanowiła dla nich wielką przygodę, a swej przyszłości nie wiązali z jakimś konkretnym miejscem. Żadne nie wybrało zawodu marynarza, jak ojciec; wszyscy stali się badaczami lub uczonymi, wiodąc życie publicznych dyskusji i osobistych przemyśleń. Mogliby zamieszkać gdziekolwiek, na dowolnej planecie. Jakt był z nich dumny, ale też rozczarowany, że wygaśnie trwająca od siedmiu pokoleń tradycja, wiążąca jego rodzinę z morzem. Porzucenie Trondheimu było największym wyrzeczeniem, o jakie mogła prosić męża... A jednak bez wahania powiedział: tak.

Być może kiedyś powróci, a wtedy oceany, lód, sztormy, ryby i te niesamowicie słodko zielone letnie łąki wciąż tam będą. Ale jego załogi odejdą... Już odeszły. Ludzie, których znał lepiej niż własne dzieci, lepiej niż żonę, ci ludzie postarzeliby się już o piętnaście lat. A kiedy wróci - jeśli

wróci - minie kolejne czterdzieści. Na kutrach będą pływać ich wnukowie. Zapomną imię Jakta. Będzie już tylko obcym armatorem, nie żeglarzem, nie człowiekiem noszącym na rękach odór i żółtawą krew skriki. Nie będzie jednym z nich.

Dlatego, kiedy narzekał, że o nim zapomina, kiedy żartował, że nie mogą zostać sami, chodziło o coś więcej niż figlarne żądze starego męża. Czy uświadamiał to sobie, czy nie, ona pojmowała prawdziwe znaczenie propozycji: gdy ja tak wiele oddałem dla ciebie, czy ty nic mi nie dasz?

Miał rację. Pracowała więcej, niż było to konieczne. Poświęcała więcej, niż musiała... i od niego także żądała zbyt wiele. Nie chodziło o to, jak wiele wywrotowych tekstów napisze Demostenes podczas podróży. Ważne jak wielu ludzi przeczyta je i uwierzy, ilu będzie potem mówić i działać przeciw Gwiezdnemu Kongresowi. Najważniejsza zaś jest zapewne nadzieja, że zdoła poruszyć kogoś w samej administracji Kongresu, kto zrozumie swe obowiązki wobec ludzkości i przełamie tę obłąkańczą instytucjonalną solidarność. Z pewnością niektórych odmieni to, co napisała. Niezbyt wielu, ale może wystarczy. I może zdarzy się to na czas, by powstrzymać ich przed zniszczeniem planety Lusitanii.

Jeśli nie... Wtedy ona, Jakt i wszyscy, którzy tak wiele poświęcili, by z nimi lecieć, dotrą tam tylko po to, by natychmiast zawracać i uciekać... albo ginąć wraz z mieszkańcami tego świata. Nic dziwnego, że Jakt był spięty i chciał spędzać z nią więcej czasu. Dziwne raczej, że ją tak pochłonęła propaganda i każdą godzinę spędza na pisaniu.

- Przygotuj wywieszkę na drzwi, a ja już dopilnuję, żebyś nie został sam w kabinie.
- Kobieto, sprawiasz, że moje serce podskakuje jak ginąca flądra - westchnął Jakt.
- Jesteś taki romantyczny, kiedy zaczynasz mówić językiem rybaków - zauważyła Valentine. - Dzieci będą się z nas śmiały, gdy usłyszą, że nawet przez trzy tygodnie podróży nie potrafiłeś utrzymać rąk z daleka ode mnie.
- Mają nasze geny. Powinny nas dopingować, żebyśmy zachowali sprawność do dwustu lat.
- Ja skończyłam już trzy tysiące.
- Kiedy mogę cię oczekiwać w mojej kajucie, o Pradawna?
- Jak tylko wyślę ten esej.
- A to nastąpi?
- Jak już sobie pójdziesz i zostawisz mnie samą.

Z głośnym westchnieniem, raczej teatralnym niż szczerym, Jakt poczłapał po dywanie korytarza. Po chwili rozległ się głośny stuk i krzyk bólu. To był żart, oczywiście; pierwszego dnia lotu Jakt przypadkiem zaczepił głową o metalową wręgę, ale od tego czasu wszystkie takie zderzenia były umyślne, wykonywane dla dowcipu. Oczywiście, nikt nie śmiał się głośno - rodzinna tradycja nakazywała powagę, gdy Jakt próbował swych sztuczek - ale Jakt nie należał do ludzi, którzy potrzebują zachęty. Sam był swoją najlepszą publicznością. Jeśli człowiek nie potrafi sam sobie radzić, nie może zostać ani marynarzem, ani dowódcą. Zgodnie z wiedzą Valentine, ona i dzieci byli jedynymi ludźmi, których potrzebował. I świadomie udzielił sobie na to zgody.

A i tak nie potrzebował ich w takim stopniu, by porzucić życie marynarza i rybaka, by nie opuszczać domu na dni, często tygodnie, czasami nawet miesiące. Z początku Valentine wypływała razem z nim; byli wtedy tak siebie spragnieni, że nie mogli się zaspokoić. Po kilku latach pragnienie ustąpiło miejsca cierpliwości i zaufaniu. Gdy Jakt odpływał, ona prowadziła badania i pisała swoje książki, a kiedy wracał, całą uwagę poświęcała jemu i dzieciom.

Dzieci się skarżyły.

- Żeby tato już wrócił... Wtedy mama wyjdzie w końcu od siebie i porozmawia z nami.

Nie byłam dobrą matką, pomyślała Valentine. To tylko szczęście, że dzieci tak się udały.

Esej wciąż świecił nad terminalem. Do zrobienia pozostało jeszcze jedno: wycentrowała kursor u dołu i wpisała imię, pod jakim publikowała wszystkie swoje dzieła.

## DEMOSTENES

To imię nadał jej starszy brat, Peter, kiedy byli dziećmi - pięćdziesiąt... nie, trzy tysiące lat temu.

Sama myśl o Peterze potrafiła ją jeszcze dziś zdenerwować, zalać falami żaru i chłodu. Peter, okrutny i gwałtowny, którego umysł był tak subtelny i niebezpieczny, że kierował siostrą już jako dwulatek, a światem gdy osiągnął pełnoletność. Byli jeszcze dziećmi, na Ziemi w dwudziestym drugim wieku, gdy on czytywał polityczne dzieła znanych postaci, żyjących i zmarłych. Nie po to, by studiować ich idee - te wychwytywał natychmiast - ale by wiedzieć, jak je głosili. Nauczyć się mówić niczym dorośli. A kiedy to opanował, przekazał swą wiedzę Valentine; zmusił ją, by jako Demostenes pisała prymitywne, demagogiczne teksty. On sam pod pseudonimem Locke tworzył poważne eseje, godne męża stanu. Publikowali je w sieciach komputerowych i po kilku latach znaleźli się w samym jądrze politycznych dyskusji tamtych czasów.

Co bolało Valentine wtedy - i sprawiało przykrość jeszcze teraz, ponieważ sprawa nie została rozwiązana przed śmiercią Petera - to, że on, opętany żądzą władzy, zmuszał ją do publikowania tekstów wyrażających jego osobowość. Za to sam pisał artykuły tchnące umiłowaniami pokoju i emocjami, którymi natura właśnie ją obdarzyła. W owych dniach imię „Demostenes” odczuwała jak straszny ciężar. Wszystko, co tak podpisywała, było kłamstwem; i to nawet nie jej kłamstwem - kłamstwem Petera. Kłamstwem wewnątrz kłamstwa.

Teraz już nie. Od trzech tysięcy lat. Zdobyłam własną sławę. Pisałam historie i biografie, kształtujące sposób myślenia milionów uczonych na Stu Światach, dziesiątkom narodów pomogłam zdobyć tożsamość. Nie udało ci się, Peter. Nie jestem tym, kim próbowałeś mnie uczynić.

Kiedy jednak patrzyła na skończony esej, uświadomiła sobie, że choć uwolniona spod władzy Petera, pozostała jego uczennicą. Wszystkich metod polemiki, retoryki... tak, również demagogii... uczyła się od niego albo na jego żądanie. Choć wykorzystywana teraz w szlachetnej sprawie, była to jednak manipulacja polityczna z rodzaju tych, jakie Peter tak bardzo lubił.

Peter został w końcu Hegemonem i przez sześćdziesiąt lat władał ludzkością na początku ery Wielkiej Ekspansji. To on zjednoczył i zmusił do ogromnego wysiłku skłócone narody. Statki odleciały do wszystkich światów, gdzie kiedyś żyły robale, a potem odkryły nowe, zdatne do zamieszkania planety. Kiedy umarł, wszystkie Sto Światów było albo zasiedlone, albo leciały już ku nim statki z kolonistami. Potem minęło prawie tysiąc lat, nim Gwiezdny Kongres ponownie zjednoczył ludzkość pod wspólnymi rządami. Lecz wspomnienie pierwszego, jedyne prawdziwego Hegemona było początkiem historii, która umożliwiła ludzką wspólnotę.

Z moralnego pustkowiecia duszy Petera zrodziła się harmonia, jedność i pokój. A zachowanym w pamięci ludzkości dziedzictwem Endera są mordy, rzezie i ksenocyd.

Ender, młodszy brat Valentine, na spotkanie którego leciała teraz z rodziną... Był delikatny; kochała go i w najwcześniejszych latach próbowała ochraniać. On był tym dobrym. Owszem, miał w sobie odrobinę okrucieństwa godnego Petera, ale też dość sumienia, by lękać się własnej brutalności. Kochała go równie mocno, jak gardziła Peterem. A kiedy ten wypędził młodszego brata z Ziemi, którą postanowił zawładnąć, Valentine odeszła także. Był to ostateczny akt odrzucenia osobistej władzy Petera nad sobą.

I oto wróciłam, myślała Valentine. Znowu w polityce.

- Transmituj - rzuciła ostro, mocnym głosem, by terminal rozpoznał, że wydaje mu polecenie.

Słowo transmisja pojawiło się w powietrzu nad esejem. Kiedyś, gdy jeszcze pisała prace naukowe, musiała podać kierunek, przesłać tekst jakąś określoną drogą, by wydawca nie mógł łatwo

dotrzeć do prawdziwej autorki. Teraz jednak zajmował się tym tajemniczy przyjaciel Endera, działający pod kryptonimem "Jane". Wykonywał skomplikowane tłumaczenia informacji nadawanej ze statku podświetlonego na język zrozumiały dla planetarnych ansibli, dla których czas płynął pięćset razy szybciej.

Komunikacja z kosmolotem pożerała ogromne ilości czasu planetarnych łączy, wykorzystywano ją więc zwykle do przekazywania wyłącznie danych nawigacyjnych i instrukcji. Jedynie wysokim urzędnikom rządowym i wojskowym pozwalano na transmisję dłuższych tekstów. Valentine wciąż nie mogła zrozumieć, w jaki sposób Jane uzyskuje dla jej esejów dostęp do ansibli, a równocześnie nie pozwala nikomu wykryć, skąd nadchodzą te wywrotowe artykuły. To nie wszystko: Jane zużywał jeszcze więcej czasu, przesyłając na statek wszelkie publikowane odpowiedzi na jej teksty, informując o argumentacjach i strategiach, jakie rząd wykorzystywał przeciwko propagandzie Demostenesa. Kimkolwiek był Jane - a Valentine podejrzewała, że jest to nazwa tajnej organizacji, która przeniknęła do najwyższych szczebli administracji rządowej - radził sobie doskonale. I bardzo ryzykował. Jednak, gdy Jane chciał - czy chcieli - tak się narażać, powinnością Valentine było tworzenie jak największej ilości rozpraw, i tak groźnych, jakimi potrafi je uczynić.

Jeśli słowa mogą służyć za śmiertcionośną broń, ona musi zaopatrzyć buntowników w cały arsenał.

A jednak wciąż była kobietą. Nawet rewolucjoniści mają prawo do własnego życia, prawda? Do skradzionych tu i tam chwil radości, może nawet rozkoszy albo choćby ulgi. Wstała, ignorując ból po tak długim siedzeniu za klawiaturą, i przecisnęła się przez drzwi swego maleńkiego gabinetu. Był komórką na sprzęt, zanim przebudowali statek na własne potrzeby. Czuła się trochę zawstydzona, że tak jej spieszo do kabiny, gdzie czeka Jakt. Większość rewolucyjnych propagandzistów w historii z pewnością potrafiłaby przetrwać trzy tygodnie fizycznej abstynencji. A może nie? Ciekawe, czy ktoś zajmował się kiedyś tym szczególnym problemem.

Kiedy dotarła do kabiny, wciąż próbowała sobie wyobrazić, jak naukowiec mógłby napisać wniosek o sfinansowanie takiego projektu. Pomieszczenie z czterema kojami dzielili z Syfte i jej mężem Larsem - oświadczył się kilka dni przed odlotem, gdy zrozumiał, że Syfte naprawdę zamierza porzucić Trondheim. Mieszkanie z nowożeńcami nie było łatwe - Valentine ciągle się czuła jak intruz. Jednak nie mieli wyboru. Kosmolot był wprawdzie luksusowym jachtem, wyposażonym we wszelkie wygody, o jakich mogli zamarzyć, ale nie został przystosowany do tyłu pasażerów. Był jednak jedynym odpowiednim pojazdem w pobliżu Trondheim, musiał więc wystarczyć.

Ich dwudziestoletnia córka Vo i szesnastoletni syn Yarsam zajmowali kabinę razem z Plikt, wieloletnią nauczycielką i najdroższą przyjaciółką. Ci członkowie załogi jachtu, którzy postanowili lecieć w tę podróż - nie można było przecież ich pozwalniać i zostawić na Trondheimie - spali w ostatnich dwóch pomieszczeniach. Na mostku, w jadalni, salonie i kajutach tłoczyli się ludzie, którzy starali się jak mogli zachować panowanie nad sobą w tym ścisku.

Teraz jednak w korytarzu nie było nikogo, a Jak t zdążył już przykleić na drzwiach kartkę:

### ODEJDŹ ALBO GIŃ

Podpisał „Właściciel”. Valentine weszła do środka. Jakt stał oparty o ścianę tak blisko drzwi, że aż krzyknęła zaskoczona.

- Dobrze wiedzieć, że mój widok budzi w tobie jęk rozkoszy.
- Przerżenia.
- Chodź, moja słodka rebeliantko.
- Wiesz co? Formalnie rzecz biorąc, to ja jestem właścicielką statku.
- Co twoje to moje. Ożeniłem się z tobą dla pieniędzy. Przeszła próg. Jakt zamknął za nią drzwi.
- Tylko tym jestem dla ciebie? - spytała. - Majątkiem?



- Jesteś skrawkiem gruntu, który mogę uprawiać, sadzić i zbierać, wszystko to we właściwej porze.

- Wyciągnął do niej ramiona, a ona w nie weszła. Przesunął dłońmi po plecach i objął ją mocno. W jego uścisku czuła się osłonięta, nieograniczana.

- Kończy się jesień - powiedziała. - Zima już blisko.

- Czas na zbiory - odparł Jakt. - A może czas już rozpalić ogień i ogrzać starą chatę, zanim spadnie śnieg.

Pocałował ją i było znowu tak, jak za pierwszym razem.

- Gdybyś dzisiaj znowu poprosił mnie o rękę, zgodziłabym się - szepnęła Valentine.

- A gdybym dzisiaj spotkał cię po raz pierwszy, poprosiłbym. Powtarzali te słowa już wiele, wiele razy. A jednak słysząc je wciąż się uśmiechali, ponieważ nadal były prawdą.

Dwa kosmoloty zakończyły już niemal swój kosmiczny balet ogromnych skoków i delikatnych skrętów w przestrzeni. Teraz mogły się już spotkać i zetknąć. Miro Ribeira obserwował cały proces z mostku. Siedział przygarbiony, z głową opartą na podglówku fotela. Innym taka pozycja wydawała się niewygodna. Jeszcze na Lusitanii, kiedy mama widziała go siedzącego w ten sposób, zawsze użalała się nad nim i upierała, że przyniesie poduszkę, by mu było wygodniej. Jakoś nie mogła zrozumieć, że tylko w tej przygarbionej, niezgrabnej pozie potrafił bez żadnego świadomego wysiłku utrzymać głowę.

Znosił jej zabiegi, gdyż kłótnia nie była warta zachodu. Matka zawsze poruszała się i mówiła tak szybko, że właściwie nie potrafiła zwolnić, by go wysłuchać. Odkąd uszkodził mózg, przechodząc przez pole ochronne oddzielające ludzką kolonię od lasu prosiaczków, mówił nieznośnie wolno, z wysiłkiem i niezbyt zrozumiale. Brat Mira, Quim, ten religijny, twierdził, że Miro powinien być wdzięczny Bogu, skoro w ogóle zachował zdolność mowy - przez pierwsze dni kontaktował się z ludźmi jedynie drogą przeszukiwania alfabetu: literował to, co chciał powiedzieć. Kto wie, czy taki sposób nie był lepszy - Miro przynajmniej milczał. Nie musiał słuchać własnego głosu, chrapliwego, drażniącego brzmienia, straszliwej powolności. Kto w rodzinie miał cierpliwość, by go słuchać? Nawet ci, co próbowali: młodsza siostra Ela; przyjaciel i ojczym Andrew Wiggin, Mówca Umarłych; i Quim, naturalnie - nawet u nich wyczuwał zniecierpliwienie. Próbowali kończyć za niego zdania. Usiłowali przyspieszyć. Więc chociaż twierdzili, że chcą z nim mówić, chociaż siadali i słuchali, nie potrafił rozmawiać swobodnie. Nie umiał opowiadać o ideach, formułować długich, złożonych zdań, ponieważ zanim dotarł do końca, słuchacz zdążył zapomnieć początek.

Ludzki mózg, uznał Miro, tak samo jak komputer, może przyjmować dane jedynie z pewnymi prędkościami. Jeśli płyną zbyt wolno, uwaga słuchającego rozprasza się i informacja ginie.

Zresztą nie tylko słuchacze. Miro musiał uczciwie przyznać, że sam nie miał dla siebie cierpliwości. Kiedy pomyślał o wysiłku, potrzebnym do wyłożenia jakiegoś skomplikowanego pomysłu, kiedy wyobraził sobie, jak próbuje uformować słowa nieposłusznymi wargami, językiem i szczękami, kiedy ocenił, jak długo to potrwa, zwykle czuł się nazbyt znużony, by mówić. Umysł pędził wciąż naprzód, szybko jak dawniej; zajmował się tyłoma myślami, że czasem Miro miał ochotę wyłączyć mózg, uciszyć go i zyskać spokój. Ale te myśli pozostawały tylko jego własnością. Nie mógł się nimi podzielić.

Chyba że z Jane. Z Jane potrafił rozmawiać. Pierwszy raz ukazała mu się na domowym terminalu. Jej twarz uformowała się na ekranie.

- Jestem przyjaciółką Mówcy Umarłych - powiedziała. - Myślę, że przerobimy trochę ten komputer. Żeby lepiej reagował.

Przez ten czas Miro zdążył się przekonać, że Jane jest jedyną osobą, z którą potrafi rozmawiać

swobodnie. Przede wszystkim była nieskończenie cierpliwa. Nigdy nie kończyła za niego zdań. Potrafiła czekać, aż sam to zrobi, tak że nigdy nie czuł się ponaglany i nigdy nie miał wrażenia, że ją nudzi.

Co ważniejsze, przy niej nie musiał tak starannie formować słów. Andrew podarował mu osobisty terminal - komputerowy przekaźnik umieszczony w klejnocie podobnym do tego, jaki sam nosił w uchu.

Z tego miejsca, wykorzystując czujniki klejnotu, Jane wychwytywała każdy dźwięk, każde poruszenie mięśni twarzy. Nie musiał nawet kończyć słów, wystarczyło je zacząć, a ona rozumiała. Mógł sobie pozwolić na niedbałość. Mógł mówić szybciej i być rozumianym.

Mógł też mówić bezgłośnie. Mógł subwokalizować, zamiast słuchać nieprzyjemnego, chrapliwego, jękliwego głosu, jaki potrafiła wydać jego krtań. Dlatego, kiedy rozmawiał z Jane, mówił szybko, naturalnie, jakby nie był kaleką. Z Jane czuł się jak za dawnych czasów.

A teraz siedział na mostku transportowca, który zaledwie kilka miesięcy temu przyniósł na Lusitanię Mówcę Umarłych. Lękał się spotkania ze statkiem Valentine. Gdyby wiedział, gdzie mógłby odlecieć zamiast tego, może by to zrobił. Nie miał ochoty poznawać siostry Andrew. Ani nikogo innego. Byłby szczęśliwy, gdyby mógł zostać sam na statku, rozmawiając wyłącznie z Jane.

Nie, nie byłby. Już nigdy nie będzie szczęśliwy.

Ta Valentine i jej rodzina są przynajmniej kimś nowym. Na Lusitanii znał wszystkich, a przynajmniej każdego, kogo cenił - całą naukową społeczność, ludzi wykształconych i rozumnych. Znał tak dobrze, że musiał dostrzegać ich litość, ich ból, ich żal nad kaleką, jakim się stał. Kiedy na niego patrzyli, widzieli tylko różnicę między tym, kim był przedtem, a kim jest teraz. Dostrzegali jedynie stratę.

Istniała szansa, że nowi ludzie - Valentine i jej rodzina - potrafią spojrzeć na niego i zobaczyć coś więcej.

Chociaż to mało prawdopodobne. Obcy zobaczą mniej, nie więcej od tych, którzy go znali, zanim został kaleką. Marna, Andrew, Ela, Quanda i pozostali wiedzieli przynajmniej, że Miro ma umysł, że jest zdolny do pojmowania idei. Co pomyślą ci nowi, kiedy mnie zobaczą? Kiedy zobaczą zgarbione ciało, którego mięśnie już ulegają atrofii, zobaczą, że powłóczę nogami, że moje ręce są jak łapy, że chwytam łyżkę jak trzylatek; usłyszą moją niewyraźną, prawie niezrozumiałą mowę. I uznają, będą pewni, że ktoś taki w żaden sposób nie zdoła pojąć niczego trudnego ani skomplikowanego.

Po co tu przyleciałem?

Nie przyleciałem. Odleciałem. Nie wyruszyłem na spotkanie z tymi ludźmi. Chciałem odejść stamtąd. Uciec. Ale oszukałem samego siebie. Myślałem o trzydziestoletniej podróży, ale to tylko im będzie się taką wydawać. Dla mnie minęło półtora tygodnia. Prawie nic. A moja samotność już dobiega końca. Kończy się moje sam na sam z Jane, która słucha mnie, jakbym nadal był człowiekiem.

Niewiele. Niewiele brakowało, a wypowiedziałby słowa, przerywające manewr spotkania. Mógłby ukraść Mówcy kosmolot i wyruszyć w podróż, która trwałaby wieczność. I tam nie spotkałby nikogo.

Nie był jeszcze gotów do tak nihilistycznego aktu. Jeszcze nie rozpaczał. Może znajdzie jakiś cel, który usprawiedliwi dalsze życie w tym ciele. I może jego realizacja rozpocznie się od spotkania z siostrą Andrew.

Statki zetknęły się, ich pępowiny sięgnęły przez pustkę i szukały siebie nawzajem, by wreszcie się połączyć. Miro obserwował monitory i słuchał radiowych meldunków o każdym udanym styku. Statki wiązały się ze sobą na wszystkie możliwe sposoby, tak by dalszą drogę na Lusitanię odbyć razem, w

zespole. Miały dzielić wszelkie rezerwy. Pojazd Mira był transportowcem, więc mógł zabrać najwyżej garstkę ludzi. Ale za to dało się na niego przenieść niektóre zapasy i materiały. Dwa komputery pokładowe wspólnie wyznaczały optymalny system równowagi.

Kiedy dokładnie przeliczą ładunki, zdecydują, jak prędko każdy ze statków powinien przyspieszać, by przeskok Parka do szybkości podświetlonej wykonać dokładnie w tym samym momencie. Pertraktacje między dwoma maszynami były niezwykle delikatne i złożone. Komputery musiały poznać niemal doskonale oba statki, ich ładunek i możliwości. Skończyły, zanim uszczelniono złącza tunelu przejściowego.

Miro usłyszał kroki w korytarzu prowadzącym do wjazdu. Odwrócił fotel - powoli, gdyż wszystko robił powoli - i zobaczył, jak zbliża się ku niemu. Trochę przygarbiona, ale nie za bardzo, bo w ogóle nie była zbyt wysoka. Włosy prawie siwe, z kilkoma pasemkami mysiego brązu.

Zatrzymała się, a on patrzył jej prosto w twarz i oceniał. Starsza, ale nie postarzała. Jeśli denerwowała się spotkaniem, nie okazywała tego. Ale w końcu, jak opowiadali Andrew i Jane, poznała wielu ludzi bardziej przerażających niż dwudziestoletni kaleka.

- Miro? - zapytała.

- Któż by inny? - odpowiedział.

Minęła chwila, jak jedno uderzenie serca, zanim kobieta przeanalizowała dziwaczne dźwięki dochodzące z jego ust i rozpoznała słowa. Przyzwyczyił się już, ale wciąż nienawidził tej przerwy.

- Jestem Valentine.

- Wiem.

Nie ułatwiał jej rozmowy tymi lakonicznymi odpowiedziami. Ale właściwie co miał mówić? Nie było to przecież spotkanie między głowami państw, mających podjąć cały zestaw ważkich decyzji. Powinien jednak trochę się postarać, choćby po to, by nie uznała go za wroga.

- Twoje imię, Miro... oznacza „przyglądam się”, prawda?

- „Przyglądam się uważnie”. Albo może „zwracam uwagę”.

- Wcale nie tak trudno cię zrozumieć - stwierdziła. Był zaskoczony, że tak otwarcie poruszyła tę kwestię.

- Więcej kłopotów sprawia mi chyba twój portugalski akcent niż wada wymowy.

Przez chwilę miał uczucie, jakby otrzymał cios w serce: mówiła o jego sytuacji tak otwarcie jak nikt inny, z wyjątkiem Andrew. Ale była przecież jego siostrą, prawda? Powinien się spodziewać, że będzie szczerą.

- Czy może wolałbyś, byśmy udawali, że między tobą a innymi nie ma żadnej bariery?

Najwyraźniej wyczuła jego zaskoczenie. Ale ono minęło, a teraz przyszło mu na myśl, że chyba nie powinien się irytować. Raczej cieszyć, że nie muszą omijać tej kwestii. A jednak był zirytowany i przez chwilę nie potrafił zrozumieć dlaczego. Potem już wiedział.

- Uraz mojego mózgu to nie twoja sprawa - oświadczył.

- Jeśli przez niego trudniej mi cię zrozumieć, jest to sprawa, którą muszę się jakoś zająć. Nie złość się na mnie, młody człowieku. Dopiero zaczęłam cię męczyć, a ty dopiero zacząłeś męczyć mnie. Więc nie irytuj się tylko dlatego, że wspomniałam o twoim problemie, jako w pewnym sensie mojej sprawie. Nie mam zamiaru uważać na każde słowo, żeby nie urazić przewrażliwionego chłopaka, który myśli, że cały świat kręci się wokół jego rozczarowań.

Miro był wściekły, że tak szybko go osądziła. I tak surowo. To nieuczciwe... nie tak powinien postępować twórca hierarchii Demostenesa.

- Wcale nie uważam, że cały świat kręci się wokół moich rozczarowań! Ale nie myśl, że możesz się tak rządzić na moim statku!

To go zdenerwowało, nie jej słowa. Miała rację: słowa nie miały znaczenia. To jej zachowanie, jej absolutna pewność siebie. Nie był przyzwyczajony do ludzi patrzących na niego bez odrazy i litości.

Usiadła obok. Zakręcił fotelem, by na nią spojrzeć. Nie odwróciła głowy. Więcej: z uwagą przestudiowała jego ciało, od stóp do głów, obserwując go z wyrazem chłodnego podziwu.

- Powiedział, że jesteś twardy. Powiedział, że cię przygięło, ale nie złamało.

- Chcesz być moim terapeutą?

- Chcesz być moim wrogiem?

- A powinienem?

- Nie bardziej, niż ja powinnam zostać terapeutką. Andrew nie po to doprowadził do naszego spotkania, żebym cię leczyła. Spotkaliśmy się, żebyś mógł mi pomóc. Jeśli nie masz ochoty, trudno. Jeśli masz, świetnie. Pozwól tylko, że wyjaśnię ci kilka spraw. Każdą wolną chwilę poświęcam na pisanie antyrządowej propagandy, próbuję rozbudzić emocje na Stu Światach i wszystkich koloniach. Próbuję skierować je przeciwko flocie, jaką wysłał Gwiezdny Kongres, by poskromić Lusitanię. Twoją planetę, nie moją, jeśli wolno mi zauważyć.

- Jest tam twój brat. - Nie pozwoli, by wmawiała mu swój czysty altruizm.

- Tak, oboje mamy tam rodziny. I oboje pragniemy ocalić prosiaczki przed zniszczeniem. I oboje wiemy, że Ender ożywił w twoim świecie królową kopca. Jeśli więc Gwiezdny Kongres postawi na swoim, zagładzie ulegną dwie obce cywilizacje. Stawka jest wysoka, a ja staram się jak mogę, by powstrzymać tę flotę. Jeżeli kilka godzin spędzonych z tobą pozwoli mi robić to lepiej, warto poświęcić czas na rozmowę zamiast na pisanie. Ale nie mam zamiaru marnować go za zamartwianie się, czy cię przypadkiem nie urażę. Jeśli więc zamierzasz być moim przeciwnikiem, to możesz tu siedzieć całkiem sam, a ja wracam do pracy.

- Andrew powiedział, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego zna.

- Doszedł do tego wniosku, zanim zobaczył, jak wychowuję trójkę barbarzyńskich dzieciaków, teraz już dorosłych. Jak rozumiem, twoja matka miała was sześcioro.

- Tak.

- A ty jesteś najstarszy.

- Tak.

- To fatalnie. Przy najstarszym dziecku rodzice zawsze popełniają najgorsze błędy. Wtedy najmniej wiedzą, a najbardziej się starają. Tym samym istnieje większe prawdopodobieństwo, że postąpią źle. I będą uparcie twierdzić, iż postępują słusznie.

Mirowi nie podobało się, że ta kobieta zbyt pośpiesznie osądza jego matkę.

- Wcale nie jest do ciebie podobna.

- Oczywiście, że nie. - Pochyliła się w fotelu. - I co postanowiłeś?

- W jakiej sprawie?

- Czy pracujemy razem, czy na darmo wyłączyłeś się z trzydziestu lat historii ludzkości?

- Czego ode mnie chcesz?

- Opowieści, ma się rozumieć. Fakty może mi podać komputer.

- Opowieści o czym?

- O tobie. O prosiaczkach. O tobie i prosiaczkach. Cała ta sprawa z Flotą Lusitańską zaczęła się przecież od ciebie i prosiaczków. Z powodu twojej ingerencji...

- To była pomoc!

- Czyżbym znowu użyła niewłaściwego słowa?

Miro spojrzał gniewnie. Ale wiedział, że ona ma rację - był przewrażliwiony. Słowo

„ingerencja”, użyte w sensie naukowym, było naturalne, nie wartościowało. Oznaczało jedynie, że wywołał zmianę w badanej kulturze. A jeśli miało negatywny wydźwięk, to dlatego, że on sam stracił naukową perspektywę - przestał badać prosiaczki, a zaczął traktować ich jak przyjaciół. I to było jego winą. Nie, nie winą... był dumny, że dokonała się w nim ta przemiana.

- Mów dalej - powiedział.

- Wszystko to zaczęło się, ponieważ złamałeś prawo i prosiaczki zaczęły uprawiać amarant.

- Już nie.

- Tak, to ironia losu. Wirus descolady zaraził i zniszczył wszystkie odmiany amarantu, jakie wyhodowała dla nich twoja siostra. I twoja ingerencja poszła na marne.

- Nie poszła - zaprotestował Miro. - Oni się uczą.

- Tak, wiem. Co ważniejsze, oni wybierają czego się uczyć, co robić. Dałeś im wolność. Z całego serca pochwalam to, co postanowiłeś uczynić. Ale moim zadaniem jest pisać o tobie dla ludzi na Stuleświatach i w koloniach, a oni niekoniecznie odbierają to w taki sam sposób. Od ciebie chcę więc historii o tym, jak i dlaczego złamałeś prawo i zaingerowałeś w kulturę prosiaczek; dlaczego mieszkańcy i rząd Lusitanii zbuntowali się przeciw Kongresowi, zamiast odesłać cię, byś został osądzony i ukarany za swoje zbrodnie.

- Andrew już ci o tym opowiadał.

- A ja już o tym pisałam, ogólnie. Teraz potrzebuję osobistego podejścia. Chciałabym pomóc innym, by dostrzegli w tych tak zwanych prosiaczkach ludzi. I w tobie także. Jeśli to możliwe, dobrze by było, gdyby cię polubili. Wtedy Flota Lusitańska okaże się tym, czym jest naprawdę: potwornie przesadzoną reakcją na zagrożenie, które nigdy nie istniało.

- Ta flota to ksenocyd.

- Tak właśnie twierdzą - odparła Valentine.

Miro nie mógł znieść jej spokoju. Nie mógł znieść niezachwianej wiary w siebie. Musiał się sprzeciwić, a jedyną możliwą metodą było wyrzucić z siebie idee nie przemyślane jeszcze do końca, będące tylko na wpół uformowanymi wątpliwościami umysłu.

- Ta flota jest również obroną.

Słowa wywarły pożądany efekt - przerwały jej wykład, skłoniły nawet do pytającego uniesienia brwi. Problem w tym, że teraz musi wyjaśnić, o co mu chodziło.

- Descolada - powiedział. - To najbardziej niebezpieczna forma życia.

- Rozwiązaniem jest kwarantanna. A nie wysyłanie floty uzbrojonej w System Dr M., która może rozpylić całą Łuskanie i wszystkich jej mieszkańców w chmurę mikroskopijnych cząstek.

- Taka jesteś pewna, że masz rację?

- Jestem pewna, że Gwiazdny Kongres jej nie ma, choćby tylko rozważając unicestwienie innego gatunku istot inteligentnych.

- Prosiaczki nie potrafią żyć bez descolady - rzekł Miro. - A jeśli descolada kiedykolwiek dotrze na inną planetę, zniszczy tam wszelkie życie. Na pewno zniszczy.

Przyjemnie było się przekonać, że Valentine może wyglądać na zaszokowaną.

- Myślałam, że wirus został opanowany. To przecież twoi dziadkowie znaleźli sposób wyhamowania go, uśpienia w ludzkich organizmach.

- Descolada przystosowuje się. Jane twierdzi, że zmieniła się już kilka razy. Moja matka i moja siostra Ela pracują nad tym, próbują wyprzedzać descoladę. Czasami sprawia to wrażenie, jakby descolada działała świadomie. Inteligentnie. Znajduje sposoby omięcia chemikaliów, jakich używamy, by ją opanować i powstrzymać od zabijania ludzi. Przedostaje się do ziemskich roślin, niezbędnych ludziom do przetrwania. Musimy je teraz opylać. A jeśli potrafi ominąć i tę barierę?

Valentine milczała. Żadnych gładkich odpowiedzi. Nie myślała jeszcze nad tym problemem. Nikt nie myślał - oprócz Mira.

- Nie mówiłem o tym nawet Jane - dodał. - Ale co będzie, jeśli ta flota okaże się słusznym posunięciem? Jeżeli zniszczenie Lusitani jest jedynym sposobem uchronienia ludzkości przed descoladą?

- Nie - odparła Valentine. - To nie ma żadnego związku z przyczynami, dla jakich Gwiezdny Kongres wysłał tę flotę. Oni kierują się polityką międzyplanetarną; chcą pokazać koloniom, kto tu rządzi. To urzędnicy, którzy dorwali się do władzy, i wojskowi...

- Posłuchaj mnie! - przerwał Miro. - Mówiłaś, że chcesz wysłuchać moich opowieści, więc oto pierwsza z nich: nie ma znaczenia, co nimi kierowało. Nie ma znaczenia, czy są bandą morderczych psychopatów. Nie obchodzi mnie to. Problem w tym, czy... czy powinni zniszczyć Lusitanię?

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała Valentine. Oboje usłyszeli lęk i odrazę w jej głosie.

- Ty mi to powiedz - odparł Miro. - Jesteś przecież filozofem moralności. Czy powinniśmy kochać pequeninos tak bardzo, by wirusowi, jaki w sobie noszą, pozwolić na unicestwienie całej ludzkości?

- Oczywiście, że nie. Po prostu musimy odkryć sposób neutralizacji descolady.

- A jeśli nie zdołamy?

- Poddamy Lusitanię kwarantannie. Choćby mieli umrzeć wszyscy ludzie na planecie, łącznie z twoją i moją rodziną, nie wolno nam zniszczyć prosiaczków.

- Doprawdy? A co z królową kopca?

- Ender zawiadomił mnie, że się rozwija, ale...

- Ona niesie w sobie całą techniczną cywilizację. Zbuduje statki kosmiczne i wyśle je w przestrzeń.

- Nie zabierze ze sobą descolady.

- Nie ma wyboru. Descoladą już jest w niej. Jest we mnie. Teraz dopiero naprawdę nią wstrząsnął. Widział to w jej oczach: strach.

- Wkrótce będzie i w tobie. Choćbyś uciekła na swój statek, odcięła mnie i uniknęła zakażenia, gdy tylko wylądujesz na Lusitani, descoladą przeniknie do twojego organizmu, do ciał twojego męża i dzieci. Będą musieli z wodą i pożywieniem zażywać odpowiednie środki... Aż do końca swoich dni. I nigdy już nie będą mogli opuścić Lusitani, gdyż poniosą ze sobą śmierć i zniszczenie.

- Liczyliśmy się z taką możliwością.

- Gdy odlatywaliście, była to tylko możliwość. Myśleliśmy, że wkrótce opanujemy descoladę. Teraz nasi naukowcy nie są nawet pewni, czy w ogóle zdołamy ją kiedyś opanować. A to oznacza, że nigdy nie będziecie mogli opuścić Lusitani.

- Mam nadzieję, że klimat się nam spodoba.

Miro studiował jej twarz, przyglądał się, jak przetwarza uzyskane od niego informacje. Początkowy lęk zniknął. Znowu była sobą. Zastanawiała się.

- Chcesz poznać moje zdanie? - zapytał Miro. - Uważam, że nieważne, jak obrzydliwy jest Kongres, nieważne, jak złowrogie ma zamiary. Ta flota może być jedynym ratunkiem ludzkości.

Valentine odpowiedziała wolno, szukając właściwych słów. Miro patrzył na nią z zadowoleniem - nie była osobą, która odpala bez namysłu. Umiała się uczyć.

- Rozumiem, że jeśli wydarzenia potoczą się jedną z możliwych dróg, może nastąpić chwila, gdy... Ale to bardzo mało prawdopodobne. Przede wszystkim królowa kopca, wiedząc o tym wszystkim, raczej nie zbuduje statków, które rozniosą descoladę na inne planety.

- A czy ty znasz królową kopca? - zapytał Miro. - Czy ją rozumiesz?

- Nawet gdyby zdecydowała się uczynić coś takiego - odparła Valentine - twoja matka i siostra

pracują nad tym problemem. Prawda? Zanim dolećmy do Lusitani... zanim dotrze tam flota... mogą znaleźć sposób, by raz na zawsze rozwiązać kwestię descolady.

- A jeśli nawet, czy powinny z niego skorzystać?

- Dlaczego nie?

- Jak mogą zabić wszystkie wirusy descolady? Wirusy są integralną częścią cyklu życiowego pequeninos. Kiedy umiera forma cielesna pequenino, właśnie wirus descolady umożliwia przemianę w postać drzewa, co oni nazywają trzecim życiem. I dopiero w trzecim życiu, jako drzewa, osobniki męskie zdolne są do zapłodnienia samic. Jeśli wirus zniknie, przejście do trzeciego życia stanie się niemożliwe, a obecne pokolenie prosiaczków będzie ostatnim.

- To nie wyklucza znalezienia rozwiązania. Jedynie utrudnia poszukiwanie. Twoja matka i siostra muszą odkryć metodę neutralizacji descolady u ludzi i jadalnych roślin, a równocześnie nie niszczyć tych jej cech, które umożliwiają prosiaczkom osiągnięcie dojrzałości.

- I mają na to niecałe piętnaście lat - przypomniał Miro. - Mało prawdopodobne.

- Ale możliwe.

- Tak. Istnieje szansa. I licząc na tę szansę, chcesz się pozbyć floty?

- Flotę wysłano, by zniszczyła Lusitanię, niezależnie od tego, czy opanujemy wirusa, czy nie.

- Powtarzam: motywacja rządu nie ma znaczenia. Jakiegokolwiek były powody, zniszczenie Lusitani może się okazać jedyną pewną obroną dla reszty ludzkości.

- A ja powtarzam, że nie masz racji.

- Jesteś Demostenesem, prawda? Andrew mi powiedział.

- Tak.

- Ty wymyśliłaś Hierarchię Obcości. Utlanningowie to obcy z naszego świata. Framlingowie to obcy naszego gatunku, ale z innego świata. Rameni to obcy innego gatunku, ale zdolni do porozumienia z nami, do współistnienia z człowiekiem. I wreszcie varelse... Kim oni są?

- Pequeninos nie są varelse. Królowa kopca też nie.

- Ale descolada tak. Varelse. Obca forma życia, która może unicestwić całą ludzkość...

- Chyba że ją poskromimy...

- ...I z którą nie możemy się porozumieć. Obcy gatunek, z którym nie potrafimy współżyć. To ty napisałaś, że w takim przypadku wojna jest nieunikniona. Jeśli obcy gatunek próbuje nas zniszczyć, a my nie możemy nawiązać kontaktu, nie potrafimy się porozumieć, wtedy nie ma żadnej szansy, by pokojowo zmienić ich zamiary. Wtedy usprawiedliwione jest każde działanie, które może nas ocalić. Nie wyłączając całkowitej likwidacji tamtej rasy.

- To prawda - przyznała Valentine.

- Ale co zrobić, jeśli musimy unicestwić descoladę, a nie umiemy tego zrobić, nie zabijając wszystkich pequeninos, królowej kopca i każdej istoty ludzkiej na Lusitani?

Ku zdumieniu Mira, w oczach Valentine lśniły łzy.

- Więc tym się stałeś... Miro nie rozumiał.

- Od kiedy ta rozmowa zmieniła się w dyskusję o mnie?

- Przemyślałeś to wszystko, przestudiowałeś wszystkie możliwe przyszłości, dobre i złe. Ale tylko w jedną zechciałeś uwierzyć, uczyniłeś podstawą swoich osądów moralnych. To ta, gdzie ty i wszystko, co kochałeś, wszystkie twoje nadzieje muszą ulec zagładzie.

- Nie powiedziałem, że podoba mi się ta przyszłość.

- Ja też tego nie powiedziałam. Stwierdziłam tylko, że jest to przyszłość, do której postanowiłeś się przygotować. Ale ja nie. Ja wolę żyć w świecie, gdzie istnieje nadzieja. W świecie, gdzie twoja matka i siostra znajdą sposób, by powstrzymać descoladę, gdzie Gwiazdny Kongres może zostać

przekształcony bądź zastąpiony czymś innym, gdzie nie ma siły ani woli, by unicestwić całą rasę.

- A jeżeli się mylisz?

- Zanim umrę, będę miała dość czasu na rozpacz. Ale ty... czyżbyś sam szukał okazji do rozpacz?

Potrafię zrozumieć impuls, który do tego doprowadził. Andrew mówił mi, że byłeś przystojnym mężczyzną, zresztą nadal jesteś, i że utrata panowania nad ciałem bardzo cię zabolęła. Lecz inni stracili więcej od ciebie, a nie uwierzyli w tak ponurą wizję świata.

- Tak mnie oceniłaś? - zapytał Miro. - Znamy się od pół godziny, a już wiesz o mnie wszystko?

- Wiem, że to najbardziej przygnębiająca rozmowa, jaką przeprowadziłam przez całe życie.

- I dlatego uznałaś, że to z powodu mojego kalectwa. Coś ci powiem, Valentine Wiggin: mam takie same nadzieje jak ty. Wierzę nawet, że kiedyś odzyskam większą część swego ciała. Gdybym nie miał nadziei, byłbym już trupem. Opowiedziałem ci to wszystko nie dlatego, że żyję w rozpacz. Opowiedziałem, ponieważ jest to możliwe. A że jest możliwe, musimy o tym myśleć, byśmy później nie byli zaskoczeni. Musimy myśleć, byśmy wiedzieli, jak żyć w tym wszechświecie, kiedy już wydarzy się najgorsze.

Valentine zdawała się studiować jego twarz. Czuł na sobie jej wzrok, niemal dotykalny, jak lekkie laskotanie pod skórą, w głębi umysłu.

- Tak - oznajmiła.

- Co tak?

- Tak, mój mąż i ja przeprowadzimy się tutaj i zamieszkamy na twoim statku.

Wstała i ruszyła do korytarza prowadzącego do śluzy.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

- Bo u nas jest za duży tłok. I dlatego, że stanowczo warto z tobą rozmawiać. Nie tylko po to, by uzyskać materiał do moich artykułów.

- A więc zdałem twój egzamin?

- Tak - przyznała. - A czy ja zdałam twój?

- Nie egzaminowałam cię.

- Jak diabli - odparła. - Ale gdybyś sam tego nie zauważył, powiem ci: zdałam. Inaczej nie opowiedziałbyś mi o tym wszystkim, o czym opowiedziałeś.

Odeszła. Słyszał jej kroki w korytarzu, a potem komputer zameldował, że przechodzi przez rurę łączącą oba statki.

Już za nią tęsknił.

Ponieważ miała rację. Zdała ten egzamin. Słuchała go tak, jak nikt inny – bez zniecierpliwienia, bez kończenia za niego zdań, bez uciekania spojrzeniem. Mówił do niej nie ze staranną precyzją, ale pełen emocji. Jego słowa niekiedy przechodziły w bełkot. A jednak słuchała tak uważnie, że rozumiała wszystkie jego argumenty i ani razu nie prosiła o powtórzenie czegokolwiek. Z tą kobietą mógł rozmawiać tak naturalnie jak przed wypadkiem. Owszem, była uparta, zawzięta, apodyktyczna i szybka w osądach. Ale potrafiła także wysłuchać argumentacji i w razie potrzeby zmienić zdanie. Umiała słuchać, więc on mógł mówić. Może przy niej będzie znowu Mirem.



## ROZDZIAŁ 3

### CZYSTE RĘCE

*Najbardziej nieprzyjemne jest u ludzkich istot to, że się nie zmieniają. Twój i mój lud rodzi się jako larwy, ale nim zaczniemy reprodukcję, przekształcamy się w wyższe formy. Oni przez całe życie pozostają larwami.*

*Ludzie też się przekształcają. Ciągłe zmieniają swoją osobowość. Jednakże każda nowa osobowość żywi się złudzeniem, że zawsze posiadała to ciało, które właśnie zdobyła.*

*Takie zmiany są powierzchowne. Natura ich organizmów pozostaje stała. Ludzie są bardzo dumni ze swych przemian, ale każda urojona transformacja okazuje się tylko nowym zbiorem usprawiedliwień, by zachowywać się dokładnie tak samo jak zawsze.*

*Zbyt się różnisz od ludzi, by ich zrozumieć. Jesteś zbyt podobny do ludzi, by zobaczyć ich wyraźnie.*

Gdy Qing-jao miała siedem lat, bogowie przemówili do niej po raz pierwszy. Przez jakiś czas nie uświadamiała sobie, że to ich głos słyszy. Wiedziała tylko, że ręce ma brudne, pokryte jakimś obrzydliwym, niewidocznym śluzem. I musi je oczyścić.

Początkowo wystarczało zwyczajnie je umyć, by przez kilka dni poczuć się trochę lepiej. Lecz w miarę upływu czasu wrażenie zbrukania powracało coraz częściej, a usunięcie brudu wymagało coraz dłuższego szorowania rąk. Wreszcie myła się kilka razy dziennie; tarła dłonie ryżową szczotką, aż zaczynały krwawić. Dopiero gdy ból stawał się nie do zniesienia, czuła się nareszcie czysta, a i wtedy na parę ledwie godzin.

Nie zwierzyła się nikomu. Instynktownie wyczuwała, że winna zachować to w sekrecie. Mycie rąk było jednym z pierwszych sygnałów, że bogowie przemawiają do dziecka - każdy o tym wiedział. Większość rodziców z nadzieją obserwowała swe potomstwo, wypatrując znaków przesadnej troski o czystość. Ci ludzie nie rozumieli jednak, jaka przerażająca wiedza prowadziła do takiego zachowania: bogowie uświadamiali wybrańcom, w jak niewypowiedzianym brudzie żyją. Qing-jao ukrywała się nie ze wstydu, że bogowie do niej mówią. Była pewna, że gdyby ktokolwiek się dowiedział, jak jest wstrętne, zacząłby nią pogardzać.

Bogowie zgadzali się na tę tajemnicę. Pozwalali ukrywać ślady szorowania. To oznaczało, że kiedy mocno poraniła dłonie, mogła zaciskać je w pięstki; chodząc wsuwała je w fałdy spódnicy albo grzecznie składała na kolanach. Nikt niczego nie podejrzewał. Widzieli tylko dobrze wychowaną dziewczynkę.

Gdyby żyła matka, o wiele szybciej odkryłaby sekret Qing-jao. Tymczasem minęły całe miesiące, nim służba coś spostrzegła. Stara gruba Mu-pao zauważyła krwawą plamę na obrusie stołu, przy którym Qing-jao jadła śniadanie. Mu-pao od razu wiedziała, co to znaczy - czyż nie było powszechnie wiadomym, że plamy krwi są wczesnym znakiem boskiej uwagi? Właśnie dlatego wielu ambitnych ojców i matek zmuszało szczególnie obiecujące dzieci do ciągłego mycia. Na całym świecie Drogi demonstracyjne szorowanie rąk nazywano „zapraszaniem bogów”.

Mu-pao natychmiast udała się do ojca Qing-jao, szlachetnego Hań Fei-tzu, w powszechnej opinii największego z bogosłyszających. Jako jeden z nielicznych cieszył się w oczach bogów takim zaufaniem, że mógł spotykać framlingów - przybyszów z innych planet. Nie zdradzał przy nich żadnych objawów słyszenia boskich głosów w swym umyśle, tym samym zachowując świętą tajemnicę świata Drogi. Będzie wdzięczny za te wieści, a Mu-pao zostanie wynagrodzona, ponieważ pierwsza zauważyła bogów w Qing-jao.

Nim minęła godzina, Hań Fei-tzu wziął swą ukochaną, małą Qing-jao i razem wyruszyli lektyką do świątyni u Skalnego Wodospadu. Qing-jao nie lubiła takich wypraw. Przykro jej było, że inni ludzie muszą dźwigać jej ciężar.

- Oni nie cierpią - wyjaśnił jej ojciec, gdy pierwszy raz mu o tym wspomniała. - Czują się zaszczytzeni. To jeden ze sposobów okazywania szacunku bogom: gdy ktoś z bogosłyszających udaje się do świątyni, czyni to na ramionach ludu Drogi.

- Ale ja codziennie jestem coraz większa - zaprotestowała Qing-jao.

- Gdy będziesz za duża, albo pójdiesz na własnych nogach, albo pojedziesz własną lektyką - odparł ojciec. Nie musiał wyjaśniać, że swoją lektykę dostanie tylko wtedy, gdy sama wyrośnie na bogosłyszającą.

- A my okazujemy pokorę pozostając szczupłymi i lekkimi, by nie stanowić ciężaru dla ludu.

Hań Fei-tzu żartował, oczywiście, gdyż jego brzuch, choć nie ogromny, był jednak obfity. Żart zawierał jednak pewną ważną lekcję: słyszący bogów nie mogą być ciężarem dla prostych ludzi Drogi. Ludzie muszą odczuwać wdzięczność, nie gniew na to, że ze wszystkich światów właśnie ten wybrali bogowie, by słyszał ich głosy.

Teraz jednak Qing-jao bardziej martwiła się czekającą ją próbą. Wiedziała, że ma zostać sprawdzona.

- Wiele dzieci nauczono, by udawały, że bogowie do nich przemawiają - tłumaczył ojciec. - Musimy się przekonać, czy ciebie wybrali naprawdę.

- Wolałabym, żeby przestali mnie wybierać - oznajmiła Qing-jao.

- I podczas próby zapragniesz tego jeszcze mocniej. - W głosie ojca dźwięczała litość. Qing-jao ogarnął silniejszy lęk. - Lud widzi tylko naszą władzę i przywileje. Zazdrości nam. Nie dostrzega cierpień tych, którzy słyszą boże głosy. Jeśli bogowie naprawdę przemówili do ciebie, moja Qing-jao, nauczysz się znosić to cierpienie tak, jak nefryt znosi dłuto rzeźbiarza i szorstką polerującą tkaninę. Ono sprawi, że zabłyśniesz. Jak myślisz, dlaczego dałem ci imię Qing-jao?

Qing-jao... To znaczy "Jaśniejąca Blaskiem". Było to również imię wybitnej poetki z dawnych czasów Wielkich Chin - gdy tylko mężczyznom okazywano szacunek. A jednak sławiono ją jako największą w swej epoce. „Lekka mgła i gęsta chmura, mrok przez cały dzień”. Tak zaczynała się pieśń Qing-jao „Podwójna dziewięć”. I tak właśnie czuła się teraz mała Qing-jao.

A jak się kończył ten wiersz? „Teraz moją zasłonę unosi tylko wiatr od zachodu. Smuklejsza jestem niż ten kwiat złocisty”. Czy taki będzie również jej koniec? Czy jej przodkini-serca ostrzegęła swym wierszem, że okrywa ją ciemność, która uniesie się dopiero wtedy, gdy bogowie przybędą z zachodu i zabiorą z ciała jej smukłą, lekką, złocistą duszę? To zbyt straszne, by dzisiaj snuć rozważania o śmierci; ma przecież dopiero siedem lat. A jednak nadpłynęła myśl: jeśli umrę szybko, to szybko zobaczę mamę, a nawet samą wielką Li Qing-jao.

Ale próba nie miała nic wspólnego ze śmiercią. Przynajmniej nie powinna. Szczerze mówiąc, była całkiem prosta. Ojciec wprowadził ją do dużej sali, gdzie klęczeli trzej starzy mężczyźni. W każdym razie wyglądali na mężczyzn - choć mogli być kobietami. Byli tak starzy, że zanikły wszelkie różnice. Pozostały im tylko rzadkie kosmyki siwych włosów; nie mieli żadnego zarostu, a za ubranie służyły im bezkształtne worki. Później Qing-jao dowiedziała się, że byli to świątynni eunuchowie, pochodzący jeszcze z czasów sprzed interwencji Gwiezdnego Kongresu, który zakazał nawet dobrowolnych samookaleczeń w służbie nowej religii. Teraz jednak wydali jej się tajemniczymi, widmowymi istotami, których dłonie dotykały jej, przeszukiwały jej ubranie.

Czego właściwie szukali? Znaleźli i zabrali jej hebanowe pałeczki. Zabrali szarfę zawiązaną w pasie. Wzięli sandały. Później miała się dowiedzieć, że odebrali jej te rzeczy, gdyż inne dzieci w

czasie próby wpadały w taką rozpacz, że zabijały same siebie. Jedna z dziewczynek wsunęła pałeczki w nozdrza i rzuciła się na podłogę, wbijając je w mózg. Inna powiesiła się na szarfie. Jeszcze inna wcisnęła sobie sandały do ust i dalej, do gardła. Zadławiła się na śmierć. Udane próby samobójstwa zdarzały się rzadko, ale zwykle najbardziej uzdolnionym dzieciom, zwłaszcza dziewczynkom. Dlatego zamknęli przed Qing-jao wszystkie znane drogi odebrania sobie życia.

Potem starcy odeszli. Ojciec przyklęknął obok Qing-jao i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Musisz zrozumieć, Qing-jao, że to nie ciebie sprawdzamy - powiedział. - Nic, co uczynisz z własnej woli, w żaden sposób nie wpłynie na to, co się tu wydarzy. Tak naprawdę sprawdzamy bogów, czy są zdecydowani przemawiać do ciebie. Jeśli tak, znajdą sposób, my to zobaczymy, a ty wyjdiesz z tego pokoju jako bogosłyszająca. Jeśli nie, wtedy wyjdiesz stąd na zawsze uwolniona od ich głosów. Nie powiem ci, o jaki wynik się modlę... Sam tego nie wiem.

- Ojciec - szepnęła Qing-jao. - A jeśli przyniosę ci wstyd? Sama myśl o tym wzbudziła mrowienie w dłoniach, jakby były brudne, jakby musiała je wymyć.

- Nie będę się ciebie wstydził, niezależnie od wyniku. Zaklaskał. Jeden ze starców wniósł ciężką misę. Postawił ją przed Qing-jao.

- Włóż tu ręce - polecił ojciec.

Misę wypełniał czarny, gęsty smar. Qing-jao zadrżała.

- Nie mogę włożyć rąk do tego.

Ojciec chwycił ją za przedramiona i przemocą wcisnął jej dłonie do mazi. Qing-jao krzyknęła - ojciec nigdy jeszcze nie użył wobec niej siły. A kiedy ją puścił, ręce miała pokryte lepkiem mułem. Z trudem chwyciła powietrze; nie mogła oddychać patrząc na tę nieczystość, czując ją.

Starzec wyniósł z sali misę.

- Gdzie mogę się umyć, ojciec? - jęknęła Qing-jao.

- Nie możesz - odparł. - Już nigdy nie będziesz mogła się umyć.

A że Qing-jao była dzieckiem, uwierzyła mu. Nie wiedziała, że słowa te są elementem próby. Patrzyła, jak ojciec wychodzi, słyszała, jak zatrzasną się za nim drzwi. Została sama.

Z początku wyciągnęła ręce przed siebie, uważając, by nigdzie nie dotykały ubrania. Rozpaczliwie szukała czegoś, czym mogłaby się oczyścić. Nie znalazła jednak ani kropli wody, ani nawet ściereczki. Sala nie była pusta - stały tu krzesła, stoły, posągi, wielkie kamienne dzbany - ale wszystkie miały powierzchnie twarde, gładkie i tak czyste, że nie potrafiła ich dotknąć. A jednak brud stawał się nie do zniesienia. Musiała oczyścić dłonie.

- Ojciec! - zawołała. - Przyjdź i umyj mi ręce!

Na pewno ją słyszał. Na pewno chował się gdzieś w pobliżu, czekając na wynik próby. Musiał ją słyszeć... ale nie przybył.

Jedyną tkaniną w całej sali była sukienka Qing-jao. Mogłaby wytrzeć o nią ręce, ale wtedy nosiłaby ten smar na sobie; mogła nawet ubrudzić inne części ciała. Rozwiązaniem byłoby, oczywiście, zdjęcie sukienki - ale jak to zrobić, nie dotykając brudnymi rękami skóry?

Spróbowała. Najpierw ostrożnie oskrobała jak najwięcej mazi o gładkie ramiona posągu. Wybacz mi, powiedziała na wypadek, gdyby należał do boga. Potem oczyszczonej własną sukienką.

Potem sięgnęła za głowę i chwyciła materiał przy karku, by ściągnąć sukienkę przez głowę. Tłuste palce ześliznęły się na jedwabiu; czuła na plecach chłód mazi przesiąkającej przez materiał. Zaraz się wytrze, pomyślała.

W końcu zdołała chwycić dostatecznie mocno, by pociągnąć. Jedwab przesunął się przez głowę, ale jeszcze zanim zdjęła sukienkę do końca, wiedziała, że tylko pogorszyła swoje położenie. Ubudziła smarem długie włosy, a włosy opadły na twarz. Teraz już nie tylko ręce, ale grzbiet, włosy

i twarz były nieczyste.

Nie rezygnowała. Zdjęła sukienkę, po czym kawałkiem materiału starannie wytarła ręce, potem twarz. Bez skutku. Maż przyłgnęła do skóry i Qing-jao nie mogła jej stamtąd usunąć. Zdawało się, że jedwab tylko rozsmarował brud na twarzy. Nigdy w życiu nie była tak potwornie, nie do zniesienia ubrudzona. Nic nie mogła na to poradzić.

- Ojczy! Przyjdź i zabierz mnie stąd! Nie chcę być bogosłyszczą!

Nie przychodził. Rozplakała się.

Problem w tym, że płacz nie pomagał. Im dłużej płakała, tym bardziej czuła się nieczysta. Ze łzami spływającymi po policzkach, desperacko szukała sposobu usunięcia brudu z dłoni. Znowu spróbowała jedwabiu sukienki, ale po krótkiej chwili wycierała już ręce o ściany. Przesuwała się dookoła sali i rozsmarowywała maż. Tarła tak szybko, że skóra rozgrzewała się, topiąc smar. Potem znowu i znowu, aż dłonie miała czerwone, a rozmiękczony ciepłem brud spłynął czy może został zdrapany przez niewidoczne drzazgi w drewnianych ścianach.

Kiedy dłonie i palce bolały już tak bardzo, że nie czuła na nich smaru, ocierała nimi twarz, szarpała paznokciami, by go zdrzeć. Potem znowu brudne ręce wycierała o ściany.

Wreszcie wyczerpana upadła na podłogę i płakała nad bólem dłoni, nad swą bezradnością, niemożnością ich oczyszczenia. Mocno zacisnęła powieki, a łzy spływały jej po policzkach. Wycierała oczy i twarz, i czuła, jak lepka, jak brudna jest mokra od łez skóra. Wiedziała, co to oznacza: bogowie osądzili ją i uznali nieczystą. Niegodną życia. Jeśli nie potrafi się oczyścić, musi zginąć. To ich zadowoli. Musiała tylko znaleźć sposób, by spełnić ich wolę. By przestać oddychać. Ojciec pożałuje, że nie przyszedł, gdy go wołała, ale temu nie mogła zaradzić. Znalazła się we władzy bogów, a oni nie uznali jej za godną pozostania wśród żywych. W końcu, jakie miała prawo do życia, gdy już tyle lat temu powietrze przestało przepływać wrotami ust mamy?

Napierw pomyślała, by wykorzystać sukienkę, wcisnąć ją do gardła i zablokować oddech, albo może zacisnąć na szyi i udusić się. Ale materiał był brudny, pokryty smarem. Musiała poszukać innego sposobu.

Qing-jao podeszła do ściany, nacisnęła ją. Solidne drewno. Odchyliła się i z całej siły uderzyła głową. Ból rozbrzmiał, gdy trafiła czołem w deski. Oszołomiona, opadła do pozycji siedzącej. Głowa bolała ją strasznie, a cała sala wirowała powoli dookoła. Na chwilę zapomniała o brudzie na rękach.

Lecz ulga nie trwała długo. Qing-jao widziała na ścianie trochę zmętniała plamę, gdzie smar z czoła zanieczyścił lśniąca, wypolerowaną powierzchnię. Bogowie przemówili w niej, przypominając, że jest równie brudna jak przedtem. Odrobina bólu nie zadośćuczyni niegodności.

Znowu uderzyła głową o ścianę. Tym razem jednak ból był o wiele mniejszy. Znowu i znowu... aż pojęła, że wbrew jej woli ciało cofa się przed uderzeniem, odmawia sprawiania sobie cierpienia. To pomogło jej zrozumieć, czemu bogowie tak nią pogardzali: za tę słabość, przez którą nie potrafiła zmusić do posłuszeństwa własnego ciała. Ale nie była bezradna. Może oszustwem skłonić je do wykonywania poleceń woli.

Wybrała największy z posągów, wysokości prawie trzech metrów. Była to brązowa statua idącego mężczyzny, z mieczem w uniesionej dłoni. Miała dość załamania i wystających części, by Qing-jao zdołała wspiąć się na nią. Palce ześlizgiwały się, ale nie rezygnowała, póki nie stanęła na ramionach posągu. Jedną ręką trzymała się hełmu, drugą miecza.

Przez moment, gdy dotknęła klingi, myślała, czy nie spróbować przeciąć sobie krtani... wtedy przecież nie mogłaby już oddychać. Ale to nie było prawdziwe ostrze, miecz okazał się całkiem tępy, a w dodatku nie umiała ułożyć szyi pod właściwym kątem. Wróciła zatem do pierwszego planu.

Kilka razy odetchnęła głęboko, splotła ręce za plecami i padła do przodu. Wylądowała na głowie; to

będzie koniec tej nieczystości.

Gdy jednak podłoga mknęła już ku niej, straciła panowanie. Krzyknęła; czuła za plecami, jak ręce wyrrywają się z własnego uścisku, przesuwiają do przodu, by złagodzić upadek. Za późno, pomyślała z posępną satysfakcją.

Wtedy uderzyła głową o podłogę i wszystko zaląa czern.

Qing-jao przebudziła się, odczuwając drętwy ból w ramieniu i ostry ból głowy. Odzywały się przy każdym poruszeniu. Jednak żyła. Kiedy zdołała otworzyć oczy, zobaczyła, że jest ciemno. Czyżby zapadła już noc? Nie potrafiła ruszyć lewą ręką, tą obolałą; zauważyła na łokciu brzydki, czerwony siniec i pomyślała, że przy upadku pewnie coś złamała.

Spostrzegła również, że dłonie wciąż pokrywa czarna maź. Znowu poczuła własny nieznośny brud: wyrok bogów. Widać próba samobójstwa nie zadowoliła ich. Bogowie nie pozwolą jej tak łatwo uciec przed swym sądem.

Co mogę zrobić? - pytała w rozpacz. Jak mogę oczyścić się przed wami, bogowie? Qing-jao, moja przodkini-serca, ukaż mi, jak zasłużyć, by bogowie osądzili mnie łagodnie?

Na myśl przyszła jej pieśń miłosna Qing-jao, „Rozdzieleni”, jeden z pierwszych wierszy, jakie ojciec dał jej do nauczenia na pamięć. Miała wtedy trzy lata. Wkrótce potem powiedział jej, że mama umrze. Teraz nadszedł odpowiedni moment, by do niego wrócić: czyż nie była rozdzielona z łaską bogów? Czy nie musiała znów się z nimi połączyć, by przyjęli ją jako jedną z prawdziwie bogosłyszających?

*ktoś przysłał mi  
list miłosny  
liniami powracających gęsi  
a księżyc oblewa  
zachodnią alkowę  
gdy tańczą płatki  
nad bystrym potokiem  
znów myślę o tobie  
o nas obojgu żyjących o smutek  
od siebie  
cierpienia nie da się usunąć  
a jednak gdy spuszczam wzrok  
radość ogarnia me serce*

Księżyc oblewający zachodnią alkowę oznaczał, że to bóg, nie ludzki kochanek opiewany był w tym wierszu. Odniesienia do zachodu zawsze oznaczały, że chodzi o bogów. Li Qing-jao odpowiedziała na modlitwę malej Hań Qing-jao i przesłała, jej ten wiersz, by uleczyć cierpienie, którego nie da się usunąć - nieczystość ciała.

Czym był miłosny list? - myślała Qing-jao. Linie powracających gęsi? Przecież w tej sali nie ma gęsi. Płatki tańczące nad potokiem? Nie ma tu żadnych płatków ani nie płynie potok.

„A jednak gdy spuszczam wzrok, radość ogarnia me serce”. To jest wskazówka, rozwiązanie. Qing-jao była tego pewna. Wolno, ostrożnie przewróciła się na brzuch. Raz tylko spróbowała się oprzeć na lewej ręce, ale gdy ugięła łokieć, z bólu niemal straciła przytomność. Wreszcie uklękła z pochyłą głową, wsparta na prawej ręce. Ze spuszczonego wzrokiem. Wiersz obiecywał, że radość

ogarnie jej serce.

Nie poczuła się lepiej - była nadal brudna i obolała. Spojrzenie w dół nie ukazało jej niczego, jedynie wypolerowane deski podłogi i słoje drewna, falistymi liniami sięgające spomiędzy kolan aż do brzegu sali.

Linie. Linie słojów, linie gęsi. A czy na słoje drewna nie można popatrzeć jak na bystry potok? Musi podążyć za nimi jak te gęsi; musi tańczyć nad bystrymi potokami jak płatki. To właśnie oznaczała obietnica wiersza: kiedy opuści wzrok, radość ogarnie jej serce.

Wybrała jeden słoje, ciemniejszą linię jak rzekę wijącą się po jaśniejszym drewnie. Od razu wiedziała, że to właśnie jest potok, za którym ma podążyć. Nie śmiała dotykać go palcem - brudnym i niegodnym. Musiała prześledzić go lekko, tak jak gęsi muskają powietrze, jak płatek dotyka strumienia. Jedynie spojrzeniem wolno jej podążać wzdłuż linii.

Zaczęła ją śledzić, przesuwać się wzdłuż niej aż do ściany. Kilka razy poruszyła się tak szybko, że zgubiła ją, zapomniała, która to była. Natychmiast odnajdywała ją znowu, a przynajmniej taką miała nadzieję. Dotarła do ściany. Czy to wystarczy? Czy bogowie są zadowoleni?

Prawie, ale nie całkiem. Kiedy spojrzenie ześlizgiwało się z linii, nie była pewna, czy powraca do tej samej. Płatki nie przeskakują od strumienia do strumienia. Musiała prześledzić właściwą linię przez całą jej długość. Tym razem zaczęła od samej ściany, pochyłona bardzo nisko, by poruszenia ręki nie odwracały uwagi. Przesuwała się powoli, nie pozwalając sobie choćby mrugnąć, nawet gdy piekły ją oczy. Wiedziała, że jeśli zgubi słoje, wzdłuż którego podąża, czeka ją powrót i rozpoczęcie drogi od początku. Musiała wypełnić zadanie doskonale; inaczej utraci ono swą moc oczyszczenia.

Trwało to całą wieczność. Owszem, mrugała, ale nie instynktownie, nieprzypadkowo. Kiedy oczy piekły zbyt mocno, schylała głowę, aż lewe znalazło się wprost nad słojem. Wtedy dopiero na chwilę zamykała prawe. Gdy odczuło ulgę, otwierała je, przesuwała ponad linię w drewnie i przymykała lewe. W ten sposób dotarła do środka sali; deska kończyła się tutaj i łączyła z następną.

Qing-jao nie była pewna, czy to wystarczy, czy może skończyć po jednej desce, czy raczej powinna poszukać innego słoja i podążyć wzdłuż niego. Zrobiła ruch, jakby chciała się podnieść - sprawdzała bogów, przekonywała się, czy są z niej zadowoleni. Wyprostowała się i nie poczuła niczego. Wstała i nadal była swobodna.

Aha! Byli usatysfakcjonowani, zadowoleni z niej. Teraz maź na skórze wydawała się ledwie odrobiną olejku. Nie musiała się myć... nie w tej chwili. Znalazła inny sposób, by się oczyścić, by ukazać bogom swe oddanie. Wolno ułożyła się na podłodze, uśmiechnięta, płacząc cicho z radości. Li Qing-jao, moja przodkini-serca, dzięki ci za to, że wskazałaś mi ten sposób. Teraz połączyłam się z bogami; rozłąka dobiegła końca. Mamo, znowu jestem z tobą, czysta i godna. Biały Tygrysie Zachodu, stałam się dostatecznie czysta, by położyć dłonie na twym futrze i nie skalać go.

Dotknęły jej czyjeś ręce... Ręce ojca, unoszące ją w górę. Krople wody upadły na twarz, na nagą skórę - łzy ojca.

- Żyjesz - wyszeptał. - Moja bogosłyszcząca, moja najukochańsza, moja córeczko, moje życie, moja Jaśniejąca Blaskiem, świeć nadal.

Później miała się dowiedzieć, że na czas próby musieli go związać i zakneblować, a kiedy wspięła się na posąg i próbowała przycisnąć szyję do miecza, rzucił się do przodu z taką siłą, że jego krzesło upadło i on również uderzył głową o podłogę. Uznano to za wielką łaskę, gdyż nie widział jej strasznego upadku z posągu. Łkał przez cały czas, gdy była nieprzytomna. A potem, kiedy uklękła i zaczęła śledzić słoje drewna w podłodze, on pierwszy zrozumiał, co to oznacza.

- Patrzcie - wyszeptał. - Bogowie powierzyli jej zadanie. Bogowie przemawiają do niej. Inni zorientowali się później, gdyż nie widzieli jeszcze nikogo śledzącego linie słojów drewna.

Nie było czegoś takiego w Katalogu Głosów Bożych: Czekanie-u-Drzwi, Liczenie-do-Wielokrotności-Pięciu, Liczenie-Przedmiotów, Sprawdzanie-Przypadkowych-Zabójstw, Zrywanie-Paznokci, Drapanie-Skóry, Wyrwanie-Włosów, Gryzienie-Kamienia, Wykluwanie-Oczu-wszystkie te czynności znane były jako pokuty naznaczone przez bogów, rytuały posłuszeństwa oczyszczające duszę osoby bogosłyszającej, by bogowie mogli wypełnić jej umysł mądrością. Nikt jeszcze nie widział Śledzenia-Słójów. A jednak ojciec zrozumiał, co robi Qing-jao, nadał rytuałowi nazwę i dodał do Katalogu Głosów. Na zawsze już miał nosić jej imię, Hań Qing-jao, jako pierwszej, której bogowie nakazali go wykonać. Stała się kimś wyjątkowym.

Tak jak wyjątkowa była jej pomysłowość w szukaniu sposobu oczyszczenia rąk, a później samobójstwa. Wielu usiłowało wycierać ręce o ściany, a większość próbowała wykorzystać własne ubranie. Ale tarcie dłońmi o deski, by rozgrzać skórę, uznano za rzadkie i sprytne. I chociaż bicie głową o ścianę zdarzało się często, to skok z posągu i lądowanie na głowie rzadko. I nikt z tych, co próbowali tego przed nią, nie miał dość siły woli, by tak długo utrzymać ręce za plecami. Świątynia szumiała od plotek, a wkrótce wieści dotarły do wszystkich świątyń Drogi.

Dla Hań Fei-tzu było wielkim zaszczytem, że jego córka tak mocno oddana jest bogom. A historia o tym, jak niemal wpadł w obłęd, gdy Qing-jao próbowała samobójstwa, rozniosła się równie szeroko i poruszyła wiele serc.

- Może i jest największym z bogosłyszających - mówili. - Ale też kocha swą córkę bardziej niż życie.

I zaczęli go darzyć miłością równie wielką, jak przedtem szacunkiem.

Wtedy właśnie zaczęli szeptać o możliwej boskości Hań Fei-tzu.

- Jest wspaniały i silny. Bogowie zechcą go słuchać - powtarzali ludzie, którzy go cenili. - A przy tym jest tak uczuciowy, że zawsze będzie kochał mieszkańców Drogi i starał się czynić im dobro. Czy nie taki powinien być bóg planety?

Oczywiście, decyzja musiała zapaść później. Póki człowiek nie umrze, nie może zostać nawet bogiem wioski, a co dopiero całej planety. Czy można ocenić, jakim będzie bogiem, póki nie pozna się całego jego życia, od początku do końca?

Takie pogłoski wiele razy docierały do uszu Qing-jao. Gdy dorastała, świadomość, iż jej ojciec może zostać wybrany bogiem Drogi, stała się jednym z drogowskazów życia. Wtedy jednak i na zawsze zapamiętała, że to jego ręce niosły jej skręcone, poobijane ciało do łoża uzdrowienia, że to z jego oczu ciepłe łzy spływały na jej zimną skórę, jego głos szeptał cudowne, pełne miłości słowa dawnej mowy:

- Moja ukochana, moja Jaśniejąca Blaskiem, nie zabieraj z mego życia swojego światła. Cokolwiek się stanie, nie czyn sobie krzywdy, gdyż wtedy z pewnością umrę.

*Tak wielu twoich braci zostaje chrześcijanami. Wierzą w boga, którego sprowadzili ze sobą ludzie.*

*Ty nie wierzysz w Boga ?*

*Ten problem nigdy się nie pojawił. Zawsze pamiętałyśmy nasze początki.*

*Wy ewoluowałyście. My zostaliśmy stworzeni.*

*Przez wirusa.*

*Przez wirusa, którego stworzył Bóg, by nas stworzyć.*

*Więc ty również jesteś wierzący.*

*Rozumiem wiarę.*

*Nie. Ty pożądasz wiary.*

*Pożądam jej w dostatecznym stopniu, by postępować tak, jakbym wierzył. Może tym właśnie jest wiara.*

*Albo świadomym szaleństwem.*

Jak się okazało, nie tylko Valentine z Jaktem przeprowadzili się na statek Mira. Plikt przyszła także i zamieszkała w nędznej, małej komórce, gdzie nie miała nawet dość miejsca, by się dobrze wyprostować. Była anomalią tej podróży: ani rodzina, ani załoga, ale przyjaciel. Plikt słuchała wykładów Endera, gdy przebywał na Trondheimie jako mówca umarłych. I odkryła, zupełnie samodzielnie, że Andrew Wiggin był pierwszym Mówcą Umarłych, i że był też Enderem Wigginem.

Valentine nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tę inteligentną młodą kobietę ogarnęła tak silna obsesja Endera Wiggina. Czasami myślała: może tak właśnie zaczynają się religie. Założyciel nie szuka uczniów; przychodzą sami i zmuszają go do nauk.

W każdym razie Plikt pozostała z Valentine i jej rodziną przez te wszystkie lata, odkąd Ender opuścił Trondheim. Uczyła dzieci i pomagała w badaniach, wciąż czekając na dzień, gdy cała rodzina wyruszy, by się z nim połączyć. Dzień, w nadejście którego wierzyła tylko Plikt.

Dlatego w drugiej połowie rejsu na Lusitanię czworo ludzi podróżowało statkiem Mira: Valentine, sam Miro, Jakt i Plikt. A przynajmniej tak sądziła Valentine. W trzecim dniu od spotkania dowiedziała się o piątym podróżnym, który towarzyszył im od samego początku.

Tego dnia, jak zwykle, cała czwórka zebrała się na mostku. Poza tym nie mieli gdzie pójść. To był transportowiec - prócz mostku i kabin sypialnych miał tylko małe korytarz i toaletę. Całą resztę przeznaczono na ładunek, nie dla ludzi - przynajmniej takich, którzy wymagają choćby elementarnych wygód.

Valentine nie przeszkadzał brak odosobnienia. Trochę zwolniła produkcję wywrotowych tekstów. Ważniejsze stało się poznanie Mira, a poprzez niego Lusitanii: jej mieszkańców, pequeninos, a szczególnie rodziny Mira - gdyż Ender poślubił Novinhę, jego matkę. Valentine chętnie wysłuchiwała takich informacji. Nie byłaby od tak dawna historykiem i biografem, gdyby nie nauczyła się ekstrapolować z drobnych faktów.

Prawdziwym skarbem okazał się sam Miro. Zgorzkniały, niechętny, sfrustrowany, pełen obrzydzenia dla swego kalekiego ciała, ale to przecież rozumiałe. Ledwie kilka miesięcy temu poniósł stratę i wciąż próbował odnaleźć się na nowo. Valentine nie obawiała się o jego przyszłość; widziała jasno, że ma silną wolę, że nie jest człowiekiem, który łatwo się załamuje. Dostosuje się do nowej sytuacji.



Najbardziej interesowały ją jego myśli. Miała wrażenie, że więzienie ciała uwolniło umysł chłopca. Zaraz po wypadku doznał niemal całkowitego paraliżu. Mógł tylko leżeć nieruchomo i myśleć. Oczywiście, sporo czasu poświęcał na roztrząsanie swego nieszczęścia, swych pomyłek, przyszłości na zawsze utraconej. Ale godzinami rozmyślał też o kwestiach, nad którymi zapracowani ludzie nigdy nie zastanawiają się. I trzeciego dnia wspólnej podróży to właśnie usiłowała z niego wydobyć Valentine.

- Większość ludzi nie zawraca sobie tym głowy, w każdym razie nie na poważnie. Ty tak - powiedziała.

- To, że myślę, nie oznacza jeszcze, że coś wiem - odparł Miro.

Przyzwyczała się już do jego wymowy, choć ta powolność doprowadzała ją czasem do szału. Nie mogła okazać nieuwagi, a to wymagało prawdziwego wysiłku woli.

- Natura wszechświata - odezwał się Jakt.

- Źródła życia - dodała Valentine. - Zastanawiałeś się nad istotą życia. Chcę wiedzieć, do czego doszedłeś.

- Jak funkcjonuje wszechświat i dlaczego wszyscy w nim tkwimy - roześmiał się Miro, - Wariackie teorie.

- Kiedyś na dwa tygodnie utknałem sam na kutrze w polu lodowym, bez ogrzewania - oświadczył Jakt. - Nie sądzę, żebyś był w stanie wymyślić coś takiego, co uznam za wariackie.

Valentine uśmiechnęła się. Jakt nie był uczonym, a jego filozofia życia ograniczała się najogólniej do utrzymania załogi w ryzach i chwytania możliwie wielu ryb. Ale wiedział, że Valentine chce pociągnąć Mira za język, więc pomagał młodemu człowiekowi czuć się swobodnie; pomagał uwierzyć, że traktują go poważnie.

Było istotne, by właśnie Jakt to zrobił. Valentine zauważyła, zresztą Jakt także, jak Miro się w niego wpatruje. Jakt był już stary, ale wciąż miał ramiona, nogi i grzbiet rybaka; każdy ruch dowodził sprawności. Miro nawet skomentował to trochę fałszywie, ale z podziwem.

- Jesteś zbudowany jak dwudziestolatek - powiedział, a Valentine usłyszała wyraźnie pełen ironii podtekst, który musiał dręczyć chłopaka: A ja, który jestem młody, mam ciało artretycznego, dziewięćdziesięcioletniego starca.

Jakt wiele znaczył dla Mira, reprezentował przyszłość, którą chłopiec na zawsze utracił. Podziw i niechęć; Mirowi trudno byłoby mówić otwarcie w obecności Jakta, gdyby ten nie zadbał, by okazywać chłopcu szacunek.

Plikt, naturalnie, siedziała na swoim miejscu milcząca, zamknięta w sobie, właściwie niewidzialna.

- No dobrze - rzekł Miro. - Spekulacje o naturze rzeczywistości i duszy.

- Teologia czy metafizyka? - upewniła się Valentine. - Głównie metafizyka, i fizyka. Żadna z nich nie jest moją specjalnością. I nie dla takich opowieści byłem ci potrzebny.

- Sama nie zawsze wiem, czego potrzebuję.

- Dobrze - powtórzył Miro. Odetchnął kilkakrotnie, jakby zastanawiał się, od czego zacząć. - Wiecie o splotach filotycznych.

- Tyle co wszyscy - oświadczyła Valentine. - I wiem, że przez ostatnie dwa i pół tysiąca lat takie rozważania do niczego nie doprowadziły, ponieważ nie da się prowadzić eksperymentów.

Chodziło o stare odkrycie, jeszcze z czasów, gdy teoria usiłowała doścignąć rozwój techniki. Nastoletni studenci fizyki uczyli się na pamięć kilku mądrych stwierdzeń: „Filoty są podstawowym budulcem całej materii i energii. Filoty nie posiadają masy ani bezwładności. Filoty mają tylko położenie, trwałość i połączenia”. I wszyscy wiedzieli, że to połączenia filot i sploty filotycznych

promieni umożliwiając działanie ansibli, pozwalając na natychmiastową komunikację między planetami a kosmolotami odległymi o wiele lat świetlnych. Nikt za to nie wiedział, dlaczego ansible działają. A ponieważ na filoty nie dało się oddziaływać, doświadczenia z nimi były prawie niemożliwe. Nadawały się tylko do obserwacji i to tylko poprzez swoje połączenia.

- Filotyka - mruknął Jakt. - Ansible?

- Produkt uboczny.

- Ale jaki ma to związek z duszą? - spytała Valentine.

Miro już miał odpowiedzieć, ale nagle sposepniał, zapewne na myśl, że ma wygłosić długą przemowę swymi opornymi, nieruchawymi wargami. Przez chwilę bezgłośnie poruszał nimi.

- Nie mogę wytłumaczyć.

- Posłuchamy - zapewniła chłopca Valentine. Rozumiała, że przy takich trudnościach z wymową, Miro nie przepada za długimi dyskusjami.

- Nie - odparł krótko.

Valentine próbowała by dalszej perswazji, ale dostrzegła, że Miro porusza wargami, choć prawie nie wydaje dźwięku. Mruczy coś pod nosem? Przeklina? Nie... Wiedziała, że nie o to chodzi.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, skąd bierze się u niej ta pewność. Stąd, że widziała już identyczne zachowanie Endera: bezgłośnie ruchy szczęki i warg, gdy wydawał instrukcje terminalowi komputerowemu wbudowanemu w klejnot, który nosił w uchu. Oczywiście. Miro, tak samo jak Ender, był podłączony do komputera, więc mówił w taki sam sposób.

Chwilę później stało się jasne, jaki rozkaz wydał swemu klejnotowi. Widocznie kontaktował się z komputerem pokładowym, gdyż jeden z ekranów pociemniał, a potem wyświetlił twarz Mira. Tyle że nie było w niej śladu martwoty, jaka znaczyła jego prawdziwe oblicze. Valentine zrozumiała: tak właśnie wyglądał przed wypadkiem. A kiedy komputerowy obraz przemówił, dźwięk dobiegający z głośników był niewątpliwie dawnym głosem Mira: czystym, silnym, odbijającym inteligencję i błyskotliwość chłopca.

- Wiecie, że kiedy filoty łączą się, by utworzyć trwałą strukturę: mezon, neutron, atom, molekułę, organizm czy planetę... splatają się razem.

- Co to jest? - zapytał Jakt. Jeszcze się nie domyślił, dlaczego przemawia komputer.

Obraz Mira na ekranie zamarł i umilkł. Odpowiedział sam Miro.

- Bawiłem się tym - wyjaśnił. - Mówię mu różne rzeczy, a on zapamiętuje i powtarza za mnie.

Valentine spróbowała sobie wyobrazić, jak Miro pracuje z komputerem, póki ten nie odtworzy jego głosu i twarzy dokładnie jak trzeba. Jego ożywienie, gdy modelował siebie takiego, jakim być powinien. I cierpienie, gdy widział, kim mógł się stać i kim już nigdy się nie stanie.

- Świetny pomysł - stwierdziła. - Coś w rodzaju protezy osobowości. Miro roześmiał się... pojedynczym „Ha!”

- Opowiadaj dalej - poprosiła Valentine. - Czy mówisz sam, czy komputer mówi za ciebie, my słuchamy.

Obraz na ekranie ożył i przemówił silnym, wyimaginowanym głosem Mira.

- Filoty są podstawowym budulcem materii i energii. Nie mają masy ani rozmiaru. Każda filota styka się z resztą wszechświata wzdłuż pojedynczego promienia, jednowymiarowej linii łączącej ją ze wszystkimi filotami w najmniejszej bezpośredniej strukturze: mezonie. Wszystkie pasma filot tej struktury splatają się w nić wiążącą mezon z większą strukturą, na przykład neutronem. Nici neutronu splatają się we włókno łączące go z innymi cząstkami atomu, a potem włókna atomu splatają się w sznur molekuly. Nie ma to nic wspólnego z oddziaływaniami jądrowymi czy grawitacją, żadnego związku z wiązaniami chemicznymi. Według naszej wiedzy, połączenia filot niczego nie robią. One

po prostu istnieją.

- Ale w splotach wciąż są obecne pojedyncze promienie - wtrąciła Valentine.

- Tak. Każdy z promieni trwa wiecznie - potwierdził ekran.

Zaskoczyło ją to; Jakt również, sądząc po tym, jak szeroko otworzył oczy. Komputer potrafił natychmiast odpowiedzieć na uwagę. To nie był nagrany wykład. Wiedzieli już, że mają do czynienia ze złożonym programem, skoro tak dobrze symulował twarz i głos Mira; ale teraz odpowiadał, jakby symulował również osobowość...

A może Miro podał jakąś instrukcję? Może bezgłośnie wymówił to zdanie? Valentine nie wiedziała; patrzyła na ekran. Teraz zamierzała obserwować Mira.

- Nie wiemy, czy promień jest nieskończony - powiedziała. - Wiemy tylko, że nie udało się nam znaleźć końca.

- Splatają się całymi planetami, a filotyczny splot każdej z nich sięga do gwiazdy macierzystej, a od gwiazdy do środka galaktyki...

- A dokąd biegnie splot galaktyczny? - wtrącił Jakt.

To było znane pytanie. Dzieci zadawały je, gdy w średniej szkole zaczynały zajęcia z filotyki. Równie stare jak teorie, że galaktyki są neutronami czy mezonami w skali wszechświata wyższego poziomu, albo jak problem: jeśli wszechświat nie jest nieskończony, to co leży poza jego granicą?

- Tak, tak - mruknął Miro. Tym razem przemówił własnymi ustami. - Ale nie do tego zmierzam. Chcę mówić o życiu.

Komputerowy głos - głos inteligentnego, młodego człowieka - podjął wykład.

- Filotyczne sploty takich substancji jak kamień czy piasek bezpośrednio łączą każdą molekułę ze środkiem planety. Ale kiedy molekuła wchodzi w skład żywego organizmu, jej promień przemieszcza się. Zamiast sięgać w głąb planety, wplata się w pojedynczą komórkę, a promienie komórek łączą się razem tak, że każdy organizm wysyła pojedyncze włókno filotycznych połączeń, wplecione w główny filotyczny sznur planety.

- Co dowodzi, że pojedyncze życie jest w pewien sposób ważne, nawet z punktu widzenia fizyki - stwierdziła Valentine. Kiedyś napisała o tym esej. Próbowwała rozprawić się z pewnym mistycyzmem, zrodzonym wokół filotyki, a jednocześnie wykorzystać go, by zaproponować swój pogląd na formowanie społeczności. - Ale fakt ten nie ma żadnych praktycznych skutków. Nic nie możesz z nim zrobić. Filotyczne sploty żywych organizmów istnieją i nic więcej. Każda filota łączy się z czymś, a poprzez to coś z czymś innym, a przez tamto jeszcze z czymś innym... żywe komórki i organizmy to po prostu dwa poziomy, na których dokonują się takie połączenia.

- Tak - przyznał Miro. - To, co żyje, splata się.

Valentine wzruszyła ramionami i przytaknęła. Pewnie trudno byłoby to wykazać, ale jeśli Miro potrzebował tej hipotezy w swych rozważaniach, proszę bardzo.

Komputerowy Miro przejął wykład.

- Zastanawiałem się nad wytrzymałością takiego włókna. Kiedy struktura splotu ulega zerwaniu, na przykład kiedy rozpada się molekuła, system filot trwa jeszcze przez pewien czas. Elementy nie połączone już fizycznie, pozostają związane filotycznie. Im mniejsza cząstka, tym dłużej trwa złącze po rozpadzie wyjściowej struktury i tym wolniej poszczególne fragmenty przemieszczają się do nowych splotów.

Jakt zmarszczył czoło.

- Myślałem, że im mniejszy jest obiekt, tym szybciej coś się z nim dzieje.

- To sprzeczne z intuicją - odpowiedziała mu Valentine.

- Po rozpadzie atomowym promienie filotyczne potrzebują godzin, by znowu się poukładać - rzekł

komputerowy Miro. - Jeśli rozbijemy cząstkę mniejszą niż atom, filotyczne złącza między elementami przetrwają o wiele dłużej.

- Tak właśnie działa ansibl - wtrącił Miro.

Valentine spojrzała na niego czujnie. Dlaczego raz mówił własnym głosem, a raz przez komputer? Sterował tym programem czy nie?

- Zasada działania ansibla opiera się na umieszczeniu mezonu w silnym polu magnetycznym - powiedział Miro w komputerze. - Potem się go rozbija i przenosi obie części na dowolną odległość. Splot filotyczny nadal łączy je ze sobą. I dlatego połączenie jest natychmiastowe. Jeśli któryś z elementów obraca się albo ulega rezonansowi, promień między nimi także obraca się albo wibruje, a ruch jest wykrywalny na drugim końcu połączenia dokładnie w tej samej chwili. Transmisja ruchu wzdłuż promienia nie zajmuje czasu, nawet jeśli elementy znalazły się o całe lata świetlne od siebie. Nikt nie wie, jak to działa, ale cieszymy się z tego. Bez ansibla nie byłaby możliwa sensowna łączność międzyplanetarna.

- Do diabła, teraz nie ma żadnej sensownej łączności - burknął Jakt. - A gdyby nie ansible, nie byłoby floty wojennej lecącej na Lusitanię.

Ale Valentine nie słuchała Jakta. Obserwowała Mira. Tym razem dostrzegła, że poruszył wargami... lekko i bezgłośnie. I rzeczywiście, zaraz potem komputerowy obraz Mira przemówił znowu. Chłopiec naprawdę wydawał polecenia. Sam pomysł, że może być inaczej, jest przecież absurdem. Kto inny mógłby sterować komputerem?

- To jakby hierarchia - oświadczył obraz. - Im bardziej złożona jest struktura, tym szybciej reaguje na zmianę. Można określić to w ten sposób: cząsteczka im mniejsza, tym głupsza, więc wolniej spostrzega, że jest teraz częścią innej struktury.

- Antropomorfizujesz - oceniła Valentine.

- Może - zgodził się Miro. - A może nie.

- Istoty ludzkie są organizmami - kontynuował obraz. - Ale filotyczne sploty ludzi dalece przewyższają komplikacją sploty wszelkich innych form życia,

- Mówisz teraz o tych sensacjach z Gangesu sprzed tysiący lat- zauważyła Valentine. - Nikt nie potrafił wyciągnąć spójnych wniosków z tych doświadczeń.

Badacze, sami Hindusi i to pobożni, zdołali jakoby wykazać, iż ludzkie sploty filotyczne, w przeciwieństwie do splotów innych organizmów, nie zawsze sięgają wprost do jądra planety, by połączyć często z filotami innych ludzi. Najczęściej wiążą w ten sposób członków rodzin, ale niekiedy również studentów i nauczycieli, a czasem bliskich współpracowników, nie wyłączając samych badaczy. Gangeanie wnioskowali, że to rozróżnienie między ludźmi a wszelkim innym życiem roślinnym i zwierzęcym dowodzi, iż dusza ludzka jest wyniesiona na wyższy poziom, bliższa doskonałości. Wierzyli, że Doskonalący Się tworzą jedność, jak całe życie tworzy jedność ze światem.

- To przyjemna, mistyczna teoria, ale prócz Hindusów z Gangesu nikt nie traktuje jej poważnie.

- Ja tak - oświadczył Miro.

- Co kto lubi - mruknął Jakt.

- Nie jako religię. Jako naukę.

- Masz na myśli metafizykę, zgadza się? Odpowiedział jej obraz Mira.

- Filotyczne łączy między ludźmi zmieniają się najszybciej, a Gangeanie udowodnili, że reagują na ludzką wolę. Jeśli z rodziną łączą cię silne uczucia, wasze promienie filotyczne splatają się i jesteście jednością. Tak samo jak jednością są różne atomy tej samej molekuly.

Miła teoria - tak właśnie pomyślała, gdy usłyszała o niej po raz pierwszy. To było jakieś dwa

tysiące lat temu, kiedy Ender mówił o zamordowanym rewolucjonście na Mindanao. Zastanawiali się wtedy, czy gangeańskie doświadczenia wykazałyby, że oni powiązani są jako brat i siostra. Czy w dzieciństwie istniało między nimi takie łącze, i czy przetrwało odlot Endera do Szkoły Bojowej, gdy rozstali się na całe sześć lat? Ten pomysł bardzo się Enderowi spodobał, tak samo jak Valentine, ale po tej jedynej rozmowie nie wrócili już do tego tematu. Idea splotów filotycznych między ludźmi pozostała jej w pamięci w kategorii „ładna teoryjka”.

- Przyjemnie jest wierzyć, że metafora ludzkiej jedności posiada fizyczny odpowiednik.

- Posłuchaj! - zawołał Miro. Wyraźnie nie chciał, by zakwalifikowała jego pomysły jako „przyjemne”. I znowu obraz dokończył za niego.

- Jeżeli Gangeanie mieli rację, to gdy istota ludzka decyduje się na związek z inną osobą lub staje się członkiem społeczności, jest to fenomen nie tylko socjologiczny. Jest to również fakt fizyczny. Filota, najmniejsza wyobrażana cząstka fizyczna... jeśli można fizycznym nazwać coś, co nie posiada masy ani bezwładności... reaguje na akt ludzkiej woli.

- Dlatego właśnie tak trudno innym poważnie traktować eksperymenty Gangean.

- Eksperymenty Gangean były przeprowadzone rzetelnie i uczciwie.

- Ale nikt poza nimi nie uzyskał takich wyników.

- Nikt inny nie potraktował ich dostatecznie poważnie, by przeprowadzić te same doświadczenia.

Czy to cię dziwi?

- Tak - przyznała Valentine. Ale zaraz przypomniała sobie, jak ta idea została ośmieszona w prasie naukowej, a równocześnie z entuzjazmem przyjęta przez wariatów wszelkiej maści i wykorzystana przez tuzin obłąkanych religii. Czy po tym wszystkim ktokolwiek z naukowców mógł liczyć na wsparcie finansowe dla takich badań? Jak miał rozwijać karierę, skoro inni uznawali go za zwolennika metafizycznej religii? - Nie, właściwie chyba nie.

Obraz Mira pokiwał głową.

- Jeśli promień filotyczny splata się, reagując na ludzką wolę, dlaczego nie można przypuścić, że wszystkie sploty kierowane są wolą? Każda cząsteczka, cała materia i energia, każde obserwowalne zjawisko we wszechświecie... dlaczego nie mogą być wyrazem woli istot rozumnych?

- Przekroczyliśmy granice gangeańskiego hinduizmu - stwierdziła Valentine. - Jak serio powinnam to potraktować? To, o czym mówisz, to animizm. Najbardziej prymitywny typ religii. Wszystko żyje: skały, oceany...

- Nie - zaprotestował Miro. - Życie to życie.

- Życie to życie - powtórzył program. - Życie istnieje wtedy, gdy jakaś filota ma dość siły woli, by powiązać razem molekuly pojedynczej komórki, spleść w jeden ich promienie. Silniejsza filota może wiele komórek połączyć w jeden organizm. Najsilniejsze ze wszystkich są istoty inteligentne. Możemy przerzucać nasze filotyczne złącza, gdzie tylko zechcemy. Filotyczna baza świadomego życia jest jeszcze wyraźniejsza u innych znanych nam gatunków istot myślących. Kiedy pequenino umiera i przechodzi do trzeciego życia, to jego filota o silnej woli zachowuje osobowość i przemieszcza się ze ssakoidalnych zwłok do żywego drzewa.

- Reinkarnacja - zauważył Jakt. - Filota to dusza.

- Tak w każdym razie dzieje się z prosiaczkami - odparł Miro.

- Z królową kopca również - dodał obraz Mira. - Odkryliśmy filotyczne połączenia, ponieważ zaobserwowaliśmy, że robale komunikują się ze sobą szybciej niż światło. Zobaczyliśmy, że jest to możliwe. Pojedyncze robale są tylko częściami królowej kopca, są jej rękami i nogami, a ona dla nich umysłem. To jeden ogromny organizm z setkami tysięcy ciał. A jedynym połączeniem między nimi są sploty filotycznych promieni.

Był to wizerunek wszechświata, jakiego Valentine nigdy dotąd nie rozważała. Oczywiście, jako historyk i biograf, myślała zwykle w terminach ludzi i społeczeństw, a chociaż w dziedzinach fizycznych nie była ignorantką, nie odebrała też szczegółowej edukacji. Może fizyk wiedziałby od razu, dlaczego idea Mira jest absurdalna. Jednak z drugiej strony, fizyka ograniczałyby pewnie poglądy akceptowane przez naukową społeczność, więc trudniej byłoby mu uznać teorię, burzącą podstawy całej jego wiedzy. Nawet gdyby teoria była prawdziwa.

Podobała jej się ta idea i chciała, żeby okazała się prawdą. Z bilionów kochanków, szepczących do siebie: jesteśmy jednym, może niektórzy mieli rację? Z miliardów rodzin związanych ze sobą tak blisko, jakby posiadały wspólną duszę, może niektóre naprawdę ją posiadały na najbardziej podstawowym poziomie rzeczywistości? Czy to nie przyjemna myśl?

Jakt nie był aż tak zachwycony.

- Myślałem, że nie powinniśmy wspominać o istnieniu królowej kopca - oświadczył. - To miał być sekret Endera.

- Nic nie szkodzi - uspokoiła go Valentine. - W tej kabinie wszyscy o niej wiedzą.

Jakt spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Sądziłem, że lecimy na Lusitanię, by pomóc w starciu z Gwiezdnym Kongresem. Co to wszystko ma wspólnego ze światem rzeczywistym?

- Może nic - westchnęła Valentine. - Może wszystko. Na moment Jakt ukrył twarz w dłoniach, potem spojrzał na nią z uśmiechem, który właściwie nie był uśmiechem.

- Odkąd twój brat opuścił Trondheim, nie mówiłaś o sprawach tak transcendentnych.

To ją zabolalo, zwłaszcza że wiedziała, iż właśnie o to mu chodziło. Czyżby po tylu latach Jakt wciąż był zazdrosny o jej uczuciowy związek z Enderem? Czy wciąż go gniewało, że przejmuje się sprawami, które dla niego nie miały znaczenia?

- Kiedy on odszedł, ja zostałam.

Znaczyło to: przecież zdałam jedyny egzamin, jaki naprawdę się liczył. Dlaczego teraz we mnie zwątpiłeś?

Jakt speszył się. To było w nim wspaniałe: kiedy zrozumiał, że się myli, wycofywał się od razu.

- A kiedy ty wyruszyłaś - odparł - ja poszedłem za tobą.

Co odebrała jako: jestem przy tobie, nie jestem już zazdrosny o Endera a także: przepraszam. Później, kiedy zostaną sami, powiedzą to sobie wprost. Nie powinni lądować na Lusitanii z podejrzeniami i zazdrością w sercu.

Miro, naturalnie, nie zdawał sobie sprawy, że Jakt i Valentine zawarli już pokój. Dostrzegł jedynie napięcie między nimi i uznał, że sam jest jego źródłem.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem..

- Wszystko w porządku - uspokoił go Jakt. - Wypadłem z roli.

- Nie ma żadnej roli - podkreśliła Valentine i uśmiechnęła się do męża. Odpowiedział uśmiechem.

To właśnie chciał widzieć Miro. Odprężył się wyraźnie.

- Mów dalej - zachęciła Valentine.

- Przyjmijmy to wszystko jako założenie - podjął obraz Mira.

Valentine nie mogła się powstrzymać. Wybuchnęła śmiechem. Po części z tego, że cała ta gangeńska historia z filotą w roli duszy była tak trudna do przyjęcia. Po części zaś dlatego, że chciała rozładować napięcie między sobą a Jaktem.

- Przepraszam - mruknęła. - To bardzo silne „założenie”. Jeśli jest tylko wstępem, to nie mogę się doczekać wniosków.

Miro zrozumiał to od razu i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Miałem dużo czasu na rozmyślenia - wyjaśnił. - Takie właśnie były moje spekulacje na temat istoty życia: wszystko we wszechświecie jest tylko zachowaniem filot. Ale jest jeszcze coś, o czym chcemy wam powiedzieć. I chyba też zapytać. - Zwrócił się do Jakta. - To bardzo ważne dla powstrzymania Floty Lusitańskiej.

Jakt pokiwał głową.

- To miło, jeśli od czasu do czasu ktoś rzuci mi jakąś kość. Valentine obdarzyła go swym najbardziej czarującym uśmiechem.

- Rozumiem, że będziesz mi wdzięczny, kiedy ci kilka połamię. Jakt roześmiał się głośno.

- Mów dalej, Miro - poprosiła Valentine. Odpowiedział jej obraz Mira,

- Jeśli cała rzeczywistość jest tylko zachowaniem filot, to w oczywisty sposób większość z nich jest inteligentna czy też silna zaledwie dostatecznie, by działać jako mezon albo utrzymywać w całości neutron. Bardzo niewiele z nich ma dość siły woli, by stać się żywymi, by kierować żywym organizmem. A maleńki, bardzo maleńki ułamek jest dość silny, by sterować... nie, by być... organizmem świadomym. Mimo to jednak, nawet najbardziej złożona i inteligentna istota, na przykład królowa kopca, jak wszystko inne jest u swych podstaw tylko filotą. Jej tożsamość i życie biorą się z roli, jaką wypełnia, ale tak naprawdę jest filotą.

- Moja jaźń... moja wola... jest subatomową cząsteczką? - spytała Valentine.

- Zabawny pomysł. - Jakt z uśmiechem pokiwał głową. - Mój but i ja jesteśmy braćmi.

Miro uśmiechnął się blado. Za to jego obraz odpowiedział.

- Jeżeli braćmi są gwiazda i atom wodoru, wtedy tak, istnieje pokrewieństwo między tobą a filotami tworzącymi zwykłe przedmioty, jak na przykład twój but.

Valentine zauważyła, że Miro niczego nie subwokalizował. Skąd program tworzący wizerunek chłopca wziął porównanie z gwiazdami i atomami wodoru, skoro Miro mu nie podpowiedział? Valentine nigdy nie słyszała o programie zdolnym do samodzielnego wygłoszenia tak złożonej i jednocześnie sensownej wypowiedzi.

- Może istnieją we wszechświecie inne typy pokrewieństwa, o których nie macie pojęcia - kontynuował obraz Mira. - Może istnieje życie, jakiego jeszcze nie spotkaliście.

Valentine dostrzegła, że Miro jest niespokojny. Podniecony. Jakby nie podobało mu się to, co robi jego wizerunek.

- O jakim życiu mówisz? - zapytał Jakt.

- Jest pewne zjawisko, bardzo powszechne, a jednocześnie całkowicie nie wyjaśnione. Wszyscy traktują je jako coś naturalnego i nikt się nim nie zainteresował. Chodzi o to, że żadne ansiblowe połączenie nie zostało nigdy przerwane.

- Bzdura - stwierdził Jakt. - Jeden z ansibli na Trondheimie nie działał przez sześć miesięcy. Nie zdarza się to często, ale się zdarza.

I znowu wargi Mira nie drgnęły, a obraz odpowiedział natychmiast. Miro wyraźnie nie kierował już programem.

- Nie twierdzą, że ansible nigdy się nie psują. Mówię tylko, że połączenia, filotyczne sploty między częściami mezonu, nigdy nie zostały zerwane. Urządzenia ansibla mogą ulec awarii, oprogramowanie może zawieść, ale nigdy jeszcze fragment mezonu w ansiblu nie przesunął się, nie dopuścił, by promień filotyczny splótł się z innym miejscowym mezonem czy nawet z sąsiednią planetą.

- Pole magnetyczne unieruchamia taki fragment - stwierdził Jakt.

- Rozbite mezony w naturze nie są dostatecznie trwałe, żebyśmy mogli ocenić, jak się zwykle zachowują - dodała Valentine.

- Znam wszystkie typowe odpowiedzi - oświadczył obraz. - Same bzdury. Takich odpowiedzi udzielają dzieciom rodzice, kiedy nie znają prawdy i nie chce im się jej dowieść. Ludzie wciąż traktują ansible jak obiekty magiczne. Wszyscy są zadowoleni, że urządzenia działają; gdyby próbowali rozstrzygnąć dlaczego, magia by zniknęła i ansible umilkły.

- Nikt tak nie uważa - zaprotestowała Valentine.

- Wszyscy. Nawet gdyby trzeba było setek lat, tysiąca lat czy trzech tysięcy lat, do dzisiaj przynajmniej jedno z połączeń musiałoby się zerwać. Jakiś fragment mezonu powinien przenieść swój filotyczny promień. Ale to się nie zdarzyło.

- Dlaczego? - zapytał Miro.

Z początku Valentine uznała, że Miro zadał pytanie retoryczne. Ale nie... patrzył na ekran jak wszyscy. Oczekiwał, by obraz mu odpowiedział.

- Myślałam, że program referuje twoje przemyślenia - rzuciła.

- Referował - odparł Miro. - Teraz już nie.

- A jeśli jakaś istota żyje w filotycznych połączeniach między ansiblami? - zapytał obraz.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał Miro. Zwracał się do wizerunku na ekranie.

I wtedy obraz zmienił się w twarz młodej kobiety, której Valentine nigdy przedtem nie widziała.

- A jeśli jakaś istota mieszka w sieci filotycznych promieni łączących ansible na każdej planecie i każdym kosmolocie w granicach ludzkiego wszechświata? Jeśli jest zbudowana z tych filotycznych połączeń?

Jeśli jej myśli rodzą się w skrętach i wibracjach rozbitych par? A jej wspomnienia zmagazynowane są w komputerach wszystkich planet i wszystkich statków?

- Kim jesteś? - Valentine zwróciła się wprost do obrazu.

- Może tą, która strzeże filotycznych połączeń między ansiblami. Może nowym typem organizmu, który nie spleta promieni, ale pilnuje ich splotów, by nigdy się nie zerwały. A jeśli to prawda, to gdyby połączenia uległy zerwaniu, gdyby zamarły ansible... gdyby one zamilkły, ja bym umarła.

- Kim jesteś? - powtórzyła Valentine.

- Pozwól, Valentine, że przedstawię ci Jane - wtrącił Miro. - Przyjaciółkę Endera. I moją.

- Jane.

A więc Jane nie była kryptonimem wywrotowej grupy w administracji Gwiezdnego Kongresu. Była programem komputerowym, skomplikowanym elementem software'u.

Nie. Jeśli prawdą jest to, co sugerowała, to Jane była czymś więcej niż programem. Była istotą żyjącą w pajęczynie filotycznych włókien, przechowującą swe wspomnienia w komputerach wszystkich światów. Jeśli miała rację, to sieć przecinających się filotycznych nici, łączących ansible wszystkich planet, była jej ciałem, materią. A filotyczne złącza nigdy się nie zrywały, ponieważ ona tak chciała.

- A teraz pytam wielkiego Demostenesa - odezwała się Jane. - Czy jestem ramenem, czy varelse? Czy w ogóle żyję? Potrzebuję twojej odpowiedzi, ponieważ sądzę, że potrafię zatrzymać Flotę Lusitańską. Zanim jednak to uczynię, muszę wiedzieć: czy warto za to umierać?

Słowa Jane trafiły Mira w samo serce. Mogła powstrzymać flotę - zrozumiał to od razu. Kongres uzbroidł kilka statków w System Dr M., ale nie wysłał jeszcze rozkazu, by go użyć. I nie mógł go wysłać tak, by Jane nie dowiedziała się o tym pierwsza. A ponieważ całkowicie panowała nad wszelkimi ansiblowymi połączeniami, mogła zatrzymać ten rozkaz, zanim dotrze na miejsce.

Problem w tym, że takie działanie zdradzi Kongresowi jej istnienie. A przynajmniej uświadomi, że dzieje się coś niedobrego. Gdy flota nie potwierdzi otrzymania rozkazu, zostanie wysłany znowu. I znowu, i znowu. Im więcej Jane zablokuje wiadomości, tym mocniej upewni Kongres, że ktoś w



niedopuszczalnym stopniu przejął sterowanie komputerami ansibli.

Mogłaby tego uniknąć, nadając fałszywą wiadomość. Jednak musiałaby kontrolować całą komunikację między statkami floty i między flotą a stacjami planetarnymi. Tylko wtedy udałoby się przekonać Kongres, że flota wie cokolwiek o rozkazie masakry. Mimo olbrzymich możliwości Jane, w krótkim czasie zadanie musi ją przerosnąć. W pewnym stopniu potrafiła poświęcać swoją uwagę setkom, nawet tysiącom spraw równocześnie, ale Miro od razu zrozumiał, że gdyby nawet nie robiła nic innego, w żaden sposób nie poradzi sobie z całym nadzorem i wymaganymi ingerencjami.

Tak czy inaczej, tajemnica wyjdzie na jaw. A kiedy Jane opowiedziała o swoim planie, Miro wiedział, że ma rację. Najlepszym sposobem, który dawał najmniejszą szansę odkrycia jej istnienia, będzie odcięcie wszystkich ansiblowych łącz pomiędzy flotą i stacjami planetarnymi oraz pomiędzy statkami floty. Niech każdy z nich trwa w izolacji, niech załogi zastanawiają się, co zaszło. Nie będą mieli wyboru; muszą przerwać misję albo wykonywać początkowe rozkazy. Albo odlecą, albo dotrą nad Lusitanię nie uprawnieni do użycia Małego Doktora.

Tymczasem jednak Kongres dowie się, że coś zaszło. Możliwe, że wobec zwykłej, biurokratycznej nieskuteczności działań tej instytucji, nikt nie odgadnie, co takiego nastąpiło. Ale w końcu ktoś zrozumie, że nie ma żadnego naturalnego, ludzkiego wyjaśnienia. Ktoś zrozumie, że istnieje Jane – albo coś do niej podobnego. I że można ją zabić przerywając całą komunikację przez ansible. A kiedy się tego dowiedzą, ona z pewnością zginie.

- Może nie. - Miro nie chciał uwierzyć. - Może zdołasz uniemożliwić im działanie. Będziesz kontrolować łączność planetarną, żeby nie mogli nakazać wyłączenia ansibli.

Nikt mu nie odpowiadał. Miro rozumiał, dlaczego: Jane nie może bez przerwy ingerować w łączność planetarną. W końcu rządy poszczególnych planet samodzielnie dojdą do podobnych wniosków. Może przeżyć w bezustannej wojnie całe lata, dekady, pokolenia. Lecz im bardziej będzie wykorzystywała swą władzę, tym większą wzbudzi w ludzkości nienawiść i strach. Aż w końcu zginie.

- W takim razie książka - zaproponował Miro. - Jak Królowa Kopca i Hegemon. Jak Życie Człowieka. Mówca Umarłych mógłby ją napisać. Przekonać ich, żeby tego nie robili.

- Może - westchnęła Valentine.

- Ona nie może zginąć - upierał się Miro.

- Wiem, że nie możemy jej prosić, by podjęła takie ryzyko - oświadczyła Valentine. - Ale jeśli to jedyny sposób, by ocalić królową kopca I pequeninos...

Miro poczuł gniew.

- Nie wolno ci mówić o jej śmierci! Kim jest dla ciebie Jane? Programem, kawałkiem kodu. Ale to nie tak! Ona jest prawdziwa, równie prawdziwa jak królowa kopca, jak każdy z prosiaczków...

- Dla ciebie chyba nawet bardziej.

- Równie prawdziwa. Zapominasz... że znam prosiaczki jak własnych braci...

- Ale dopuszczasz myśl, że unicestwienie ich może być moralną koniecznością.

- Nie przekreślaj moich słów.

- Rozplątuję je - odparła Valentine. - Zgadzasz się, że możesz ich utracić, ponieważ i tak już ich utraciłeś. Za to strata Jane...

- Czy nie mogę wstawić się za nią tylko dlatego, że jest moją przyjaciółką? Czy tylko obcym wolno podejmować decyzje o życiu i śmierci?

Głęboki i spokojny głos Jakta przerwał kłótnię.

- Uspokójcie się oboje. Nie do was należy decyzja. Podejmie ją Jane. Ma prawo oceniać wartość

własnego życia. Nie jestem filozofem, ale tyle wiem.

- Dobrze powiedziane - przyznała Valentine.

Miro wiedział, że Jakt ma rację. Wybór należał do Jane. Ale nie mógł się z tym pogodzić, ponieważ wiedział, co ona wybierze. Pozostawienie jej decyzji było identyczne z prośbą, by zgodziła się na samounicestwienie. A jednak w ostatecznym rozrachunku i tak sama postanowi. Czas płynął dla niej tak szybko, zwłaszcza że podróżowali z prędkością przyświelną. Prawdopodobnie już podjęła decyzję.

Tego by nie zniósł. Nie wytrzymałby straty Jane; sama myśl o tym odbierała mu spokój. Nie chciał okazywać słabości przy tych ludziach. Dobrzy ludzie... Tak, to dobrzy ludzie, ale nie chciał, by widzieli, jak traci panowanie nad sobą. Dlatego Miro pochylił się, zrównoważył ciało i ostrożnie wstał z fotela. Było to trudne, gdy jedynie kilka mięśni słuchało jego woli. Przejście z mostka do kabiny wymagało najwyższej koncentracji. Nikt nie poszedł za nim, nikt się nawet nie odezwał. Był im za to wdzięczny.

Sam w kajucie, położył się na koi i przywołał Jane. Ale nie na głos. Subwokalizował, ponieważ taki miał zwyczaj, gdy z nią rozmawiał. Chociaż inni na pokładzie już o niej wiedzieli, nie miał zamiaru zmieniać przyzwyczajień, które pozwalały zachować w tajemnicy jej istnienie,

- Jane - odezwał się bezgłośnie.

- Tak? - odpowiedział głos w jego uchu. Jak zawsze, wyobraził sobie, że to głos kobiety stojącej wprawdzie poza polem widzenia, ale blisko. Bardzo blisko. Zamknął oczy, by wyczuć ją wyraźniej. Lekki oddech na policzku i muśnięcie włosów, gdy przemawia cicho, a on odpowiada w ciszy.

- Zanim coś zdecydujesz, porozmawiaj z Enderem.

- Już rozmawiałam. Przed chwilą, kiedy się nad tym zastanawialiście.

- Co powiedział?

- Żeby nic nie robić. Nie podejmować decyzji, dopóki nie wyślą rozkazu.

- Słusznie. Może tego nie zrobią.

- Może. Może władzę obejmie nowa grupa, prowadząca inną politykę. Może ta grupa zmieni zdanie. Może propaganda Valentine odniesie skutek. Może flota się zbuntuje.

To ostatnie było tak mało prawdopodobne... Miro zrozumiał, że Jane jest absolutnie przekonana, iż rozkaz zostanie wysłany.

- Jak prędko? - zapytał Miro.

- Flota dotrze na miejsce za jakieś piętnaście lat. Rok, może mniej, po przybyciu tych dwóch statków. Tak zaplanowałam waszą podróż. Rozkaz zostanie wydany trochę wcześniej. Pewnie około sześciu miesięcy przed dotarciem do celu... to znaczy koło ośmiu godzin, zanim flota wyjdzie z przyświelnej i wyhamuje do normalnej prędkości.

- Nie rób tego.

- Jeszcze nie zdecydowałam.

- Owszem, tak. Postanowiłaś to zrobić. Nie odpowiedziała.

- Nie opuszczaj mnie - poprosił.

- Nie opuszczam swoich przyjaciół, jeśli nie muszę - odparła. - Niektórzy tak robią, ale nie ja.

- Po prostu nie odchodź.

Płakał. Czy widziała to, wyczuwała jakoś poprzez klejnot w uchu?

- Spróbuję.

- Znajdź inny sposób, żeby ich powstrzymać. Albo wymyśl, jak przenieść się poza sieć filotyczną.

Wtedy nie będą mogli cię zabić.

- To samo powiedział Ender.

- Więc zrób to!

- Mogę szukać sposobu, ale kto wie, czy on w ogóle istnieje?

- Musi.

- Właśnie dlatego zastanawiam się czasem, czy naprawdę żyję. Wy, istoty żywe, myślicie, że jeśli bardzo czegoś chcecie, to coś musi się zdarzyć. Pragnienie z całego serca ma moc sprawczą.

- Jak szukasz czegokolwiek, skoro nie wierzysz, że istnieje?

- Albo szukam, albo nie - stwierdziła Jane. - Coś może mnie odciągnąć albo znudzę się, tak jak ludzie. Spróbuję wymyślić coś innego.

- Ale o tym myśl także - nie ustępował Miro. - Myśl, kim jesteś. Jak pracuje twój umysł. Nie zdołasz ocalić życia, jeśli najpierw nie zrozumiesz, że w ogóle to życie rozpoczęłaś. A kiedy już zrozumiesz siebie...

- Wtedy może wykonam swoją kopię i gdzieś ją przechowam.

- Może.

- Może - powtórzyła jak echo.

Wiedział jednak, że sama w to nie wierzy. On także nie. Istniała w filotycznej sieci ansibli. Mogła przechować własne wspomnienia w komputerach wszystkich planet i każdym statku w przestrzeni, ale nie miała gdzie umieścić swej jaźni, gdyż wymagała ona sieci filotycznych łączy.

Chyba że...

- A co z ojcowskimi drzewami na Lusitaniu? Przecież one komunikują się filotycznie.

- To nie to samo - wyjaśniła Jane. - Nie cyfrowo. To nie jest kodowane w taki sposób jak ansible.

- Może i nie cyfrowo, ale jakoś przekazują informacje. I to działa przez filoty. A królowa kopca?

Przekazuje polecenia robalom.

- Na to nie ma szans. Zbyt prosta struktura. Jej system nie tworzy sieci. Oni wszyscy są połączeni tylko z nią.

- Skąd możesz wiedzieć, że się nie uda, jeśli nie wiesz nawet dokładnie, jak sama działasz?

- No dobrze. Pomyślę o tym.

- Myśl intensywnie - powiedział.

- Znam tylko jeden sposób myślenia - przypomniała Jane.

- Chciałem powiedzieć, żebyś poświęciła temu uwagę.

Potrafiła śledzić kilka torów myślowych równocześnie, ale jej myśli miały priorytety, wiele różnych poziomów uwagi. Miro nie chciał, by odsunęła studia nad sobą na któryś z niskich poziomów.

- Poświęcę uwagę - obiecała.

- W takim razie wymyślisz coś - stwierdził. - Na pewno.

Przez chwilę nie odpowiadała. Uznał, że zakończyła rozmowę. Myśli rozbiegły się. Spróbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać jego życie - nadal w tym ciele, ale bez Jane. To może nastąpić, zanim jeszcze dotrą do Lusitaniu. A jeśli tak, ta podróż okaże się największym błędem jego życia. Lecąc z szybkością przyświedną przeskoczył trzydzieści lat czasu rzeczywistego. Trzydzieści lat, które mógł spędzić z Jane. Może wtedy poradziłby sobie jakoś z jej stratą. Ale utracić ją teraz, po kilku tygodniach znajomości... Wiedział, że łązy biorą się z żalu nad sobą, ale ronił je mimo wszystko.

- Miro - odezwała się.

- Słucham.

- Jak mogę wymyślić coś, czego nikt wcześniej nie wymyślił? Przez chwilę nie potrafił zrozumieć.

- Miro, jak mogę odkryć coś, co nie jest logicznym wnioskiem z tego, do czego ludzie już doszli i gdzieś zapisali?

- Bez przerwy wymyślasz różne rzeczy - stwierdził Miro.

- Próbuję pojąć coś niepojętego. Szukam odpowiedzi na pytania, których istoty ludzkie nigdy nie próbowały stawiać.

- Potrafisz tego dokonać?

- Jeśli nie jestem zdolna do oryginalnych myśli, czy oznacza to, że jestem tylko programem komputerowym, który wymknął się spod kontroli?

- Do diabła, Jane! Większość ludzi przez całe życie nie miała ani jednej oryginalnej myśli. - Roześmiał się cicho. - Czy to znaczy, że są ziemnymi małpami, które wymknęły się spod kontroli?

- Płakałeś - zauważyła.

-Tak.

- Nie wierzysz, że znajdę jakieś rozwiązanie. Myślisz, że zginę.

- Wierzę, że możesz znaleźć rozwiązanie. Naprawdę. Ale boję się mimo to.

- Boisz się, że umrę.

- Boję się, że cię utracę.

- Czy to będzie aż takie straszne? Utracić mnie?

- O Boże - szepnął.

- Czy będziesz tęsknił za mną przez godzinę? - dopytywała się. - Przez dzień? Przez rok?

Czego od niego chciała? Zapewnienia, że kiedy odejdzie, nie zostanie zapomniana? Że ktoś będzie za nią tęsknił? Dlaczego w to wątpi? Czyżby go jeszcze nie poznała?

A może jest dostatecznie ludzka, by pragnąć potwierdzenia tego, o czym i tak już wie?

- Zawsze - odpowiedział.

Tym razem ona się roześmiała. Żartobliwie.

- Nie będziesz żył tak długo.

- Coś podobnego...

Kiedy tym razem umilkła, nie powróciła więcej i Miro pozostał sam na sam ze swymi myślami.

Valentine, Jakt i Plikt siedzieli razem na mostku i omawiali poznane fakty. Próbowali rozstrzygnąć, co mogą oznaczać, co może się wydarzyć. Doszli jedynie do wniosku, że chociaż nie można przewidzieć przyszłości, prawdopodobnie nie będzie nawet w przybliżeniu tak czarna, jak ich najgorsze obawy, ani tak pomyślna, jak najlepsze nadzieje. Czy nie tak zawsze toczy się świat?

- Tak - przyznała Plikt. - Z wyjątkiem wyjątków.

Typowe dla Plikt. Kiedy nie uczyła, mówiła niewiele, ale kiedy się już odezwała, jej wypowiedzi zawsze jakby zamykały rozmowę.

Teraz wstała i skierowała się do swej okrutnie niewygodnej kabiny. Jak zwykle, Valentine spróbowała ją przekonać, by wróciła na drugi statek.

- Yarsam i Ro nie chcą mnie w swoim pokoju - oświadczyła przekornym tonem Plikt.

- Wcale im nie przeszkadzasz.

- Valentine - wtrącił Jakt. - Plikt nie wróci tam, bo nie chce niczego przegapić.

- Aha.

- Dobranoc - rzuciła z uśmiechem Plikt.

Wkrótce po niej wyszedł Jakt. Na chwilę położył dłoń na ramieniu Valentine.

- Zaraz tam będę - powiedziała. Nie kłamała; zamierzała iść za nim prawie od razu. Pozostała jednak na mostku zadumana, próbując zrozumieć jakoś wszechświat, który wszystkie znane człowiekowi obce inteligencje niemal równocześnie narażał na zgubę. Królową kopca, pequeninos, a teraz Jane, jedyną w swoim rodzaju, może wręcz jedyną, jaka kiedykolwiek może zaistnieć.

Prawdziwa obfitość świadomego życia, choć znana jedynie nielicznym. I wszystkie te gatunki, jeden po drugim, czekało unicestwienie.

Przynajmniej Ender zrozumie w końcu, że to naturalny bieg rzeczy. Że nie jest odpowiedzialny za zniszczenie robali przed trzema tysiącami lat w takim stopniu, jak zawsze uważał. Widocznie ksenocyd został wbudowany we wszechświat. Żadnej łaski, nawet dla najlepszych w grze.

Jak mogła wierzyć, że jest inaczej? Dlaczego istoty inteligentne mają być wolne od groźby zagłady, która wisi nad każdym gatunkiem, jaki kiedykolwiek istniał?

Od wyjścia Jakta minęła chyba godzina, gdy Valentine wreszcie wyłączyła terminal i wstała. Tknięta nagłą myślą, przystanąła jeszcze i powiedziała w powietrze:

- Jane? Jane?

Żadnej odpowiedzi.

I żadnej nie powinna oczekiwać. To Miro nosił w uchu klejnot. Miro i Ender. Ile osób potrafi Jane obserwować równocześnie? Może dwie stanowiły kres jej możliwości.

A może dwa tysiące. Albo dwa miliony. Cóż wiedziała Valentine o możliwościach istoty istniejącej jako widmo filotycznych sieci? Gdyby nawet Jane ją słyszała, Valentine nie miała prawa oczekiwać odpowiedzi na wezwanie.

Zatrzymała się w korytarzu, dokładnie pomiędzy drzwiami Mira i drzwiami do kabiny, którą dzieliła z Jaktą. Nie były dźwiękoszczelne. Słyszała ciche pochrapywanie Jakta w ich sypialni. Słyszała też inny głos. Oddech Mira. Chłopiec nie spał. Może płakał. Wychowała troje dzieci i potrafiła rozpoznać ten nierówny, ciężki oddech.

Nie jest moim dzieckiem. Nie powinnam się wtrącać.

Pchnęła drzwi. Otworzyły się bezszelestnie, ale snop światła padł na łóżko. Płacz ucichł i Miro spojrzał na nią opuchniętymi oczami.

- Czego chcesz? - spytał.

Weszła do środka i usiadła na podłodze przy jego koi. Zaledwie kilka centymetrów dzieliło ich twarze.

- Nigdy nad sobą nie płakałeś, prawda?

- Parę razy.

- Ale dzisiaj płakałeś nad nią.

- Nad sobą też.

Valentine pochyliła się, objęła go i ułożyła głowę na swym ramieniu.

- Nie - szepnął. Ale nie wrywał się. Po chwili niezręcznie wyciągnął rękę i przytulił ją. Nie płakał już, ale pozwolił trzymać się tak przez minutę czy dwie. Może mu to pomogło. Valentine nie wiedziała.

W końcu odsunął się i przewrócił na plecy.

- Przykro mi - mruknął.

- Nie ma za co - odparła. Odpowiadała zawsze na to, co ludzie myśleli, nie co mówili.

- Nie mów Jaktowi - szepnął.

- Nie ma o czym mówić. Porozmawialiśmy sobie.

Wstała i wyszła, zamykając za sobą drzwi. To dobry chłopak. Podobało jej się, że przyznał, jak mu zależy na opinii Jakta. I czy to ważne, że jego dzisiejsze łzy miały w sobie cząstkę żalu nad sobą? Ona sama kilka takich w życiu uрониła. Żal, przypominała sama sobie, jest prawie zawsze żalem po stracie rozpaczającego.

*Ender twierdzi, że kiedy przybędzie tu flota Gwiazdnego Kongresu, zechce zniszczyć ten świat.  
Ciekawe.*

*Nie lękacie się śmierci?*

*Nie zamierzamy zostawać tu do ich przybycia.*

Qing-jao nie była już małą dziewczynką, której dłonie krwawiły w ukryciu. Kiedy wykazano, że jest bogosłyszczą, jej życie uległo całkowitej przemianie. Po dziesięciu latach zaakceptowała głos bogów i swoje miejsce w społeczeństwie. Nauczyła się przyjmować przywileje i honory jako dary przeznaczone w istocie dla bogów, nie dla siebie. Nie była zarozumiała - tego nauczył ją ojciec. Przeciwnie, była coraz bardziej pokorna, gdy bogowie i ludzie składali na jej barkach większe i większe ciężary.

Swe obowiązki traktowała poważnie i znajdowała w nich radość. W ciągu dziesięciu lat zakończyła swe trudne, ale wspaniałe studia. Ciało kształtowała i doskonaliła w towarzystwie innych dzieci - przez biegi, pływanie, jazdę konną, walkę na miecze, walkę na kije, walkę na ręce. Jej pamięć, podobnie jak pamięć jej rówieśników, wypełniły obce słowa: w storku, powszechnie używanej mowie gwiazd, wpisywanej do komputerów; w starochińskim, gardłowo śpiewanym i rysowanym w pięknych ideogramach na ryżowym papierze lub piasku; i w nowochińskim, zwyczajnie wypowiedzanym ustami i notowanym znakami normalnego alfabetu na zwykłym papierze albo na ziemi. Nikogo nie dziwiło - z wyjątkiem samej Qing-jao - że poznała te języki o wiele szybciej i dokładniej niż inne dzieci.

Niektórzy wykładowcy przychodzili tylko do niej. Tak poznawała nauki przyrodnicze i historię, matematykę i muzykę. Co tydzień wracała do ojca i spędzała z nim pół dnia. Pokazywała mu, czego się nauczyła, i czekała na ocenę. Pochwała z jego ust sprawiała, że Qing-jao tańczyła z radości przez całą drogę powrotną; w wyniku najłżejszej przygany przez całe godziny śledziła słoje drewna w klasie. Dopiero wtedy czuła się znowu godna, by wrócić do lekcji.

Część nauki odbywała się w samotności. Rozumiała, jak silny był ojciec: potrafił na długi czas sprzeciwić się poleceniom bogów. Wiedziała, że gdy bogowie żądają rytuału oczyszczenia, pragnienie... potrzeba posłuszeństwa jest tak ogromna, że nie można im odmówić. A jednak ojciec to potrafił - przynajmniej tak długo, że nigdy nie dokonywał rytuału publicznie. Qing-jao pragnęła takiej siły; zaczęła więc uczyć się dyscypliny opóźniania. Kiedy bogowie dawali poznać jej porażającą niegodność, kiedy oczy same zaczynały szukać w deskach podłogi linii słojów albo dłonie zdawały się nieznośnie brudne, czekała. Próbowwała koncentrować się na tym, w czym uczestniczyła, i odsuwać rytuał jak najdłużej.

Z początku tryumfem było zyskanie całej minuty. A kiedy wreszcie kruszył się jej opór, bogowie karali ją, czyniąc oczyszczenie bardziej pracochłonnym, trudniejszym niż zwykle. Qing-jao nie rezygnowała jednak. Była przecież córką Hań Fei-tzu. I z czasem, przez lata, odkryła to, co wiedział ojciec: można żyć z tym pragnieniem, zamknąć je często na całe godziny, niczym jasny płomień ukryty w szkatułce z półprzejrystego nefrytu - niebezpieczny, straszny ogień bogów, płonący w jej sercu.

Potem, kiedy była sama, mogła otworzyć tę szkatułkę i wypuścić płomień. Nie w jednej strasznej erupcji, ale powoli, stopniowo, wypełniając się światłem, kiedy pochylała głowę i śledziła słoje drewna w deskach podłogi. Albo stojąc nad uświęconą misą rytualnego mycia, spokojnie i metodycznie szorowała ręce pumeksem, ługiem i aloesem.

W ten sposób wykorzystwała gniewny głos bogów, by nauczyć się dyscypliny oddawania czci. Jedynie w rzadkich chwilach nagłych rozterek traciła panowanie nad sobą i rzucała się na podłogę przy nauczycielu albo gościu. Te poniżenia przyjmowała jako napomnienie, że władza bogów jest absolutna, że jedynie dla własnej zabawy pozwalają jej zwykle na samokontrolę. Qing-jao wystarczała ta niedoskonała dyscyplina. Nie mogła przecież dorównać w doskonałości ojcu. Jego niezwykła szlachetność wynikała z szacunku, jakim darzyli go bogowie. Nie żądali publicznego poniżenia. Ona nic jeszcze nie uczyniła, by zasłużyć na taki zaszczyt.

I wreszcie jej edukacja obejmowała jeden dzień tygodniowo pomocy w słusznym trudzie zwykłych ludzi. Słuszny trud, oczywiście, nie był pracą, jaką zwykli ludzie na co dzień wykonywali w swych biurach i fabrykach. Słuszny trud oznaczał wyczerpującą mordęgę na polach ryżowych. Każdy mężczyzna, kobieta i dziecko na Drodze musiał wykonywać tę pracę, brodzić w wodzie po kostki, pochylać się, sadzić i zbierać ryż... albo zrzec się obywatelstwa.

- W ten sposób oddajemy cześć naszym przodkom - wyjaśnił jej ojciec, kiedy jeszcze była całkiem mała. - Pokazujemy, że nikt z nas nie wyniesie się ponad ich trud.

Ryż otrzymany drogą słusznego trudu był uznawany za święty. Składano go jako ofiarę w przybytkach bożych, zjadano w dni świąt; w małych miseczkach ofiarowywano domowym bóstwom.

Kiedyś, gdy Qing-jao miała dwanaście lat, dzień był przeraźliwie upalny, a ona chciała jak najszybciej dokończyć swój projekt badawczy.

- Nie każ mi dzisiaj chodzić na pola ryżowe - poprosiła nauczyciela. - To, co robię tutaj, jest o wiele ważniejsze.

Nauczyciel skłonił się i wyszedł, ale wkrótce potem w jej pokoju zjawiał się ojciec. Trzymał ciężki miecz. Qing-jao krzyknęła przerażona, gdy wznosił klingę nad jej głowę. Czy chciał ją zabić za to, że przemówiła bluźnierczo? Ale nie... Nie skrzywdził jej - jak mogła w ogóle o tym pomyśleć? Miecz spadł na jej terminal komputera. Metalowe części powyginały się, plastik popękał i pofrunął na wszystkie strony. Maszyna była zniszczona.

Ojciec nie podniósł głosu. Najłagodniejszym szeptem powiedział: - Po pierwsze bogowie. Po drugie przodkowie. Po trzecie lud. Po czwarte władcy. Na końcu ty.

Było to najklarowniejszy wykład Drogi. To była przyczyna zasiedlenia tego świata. Zapomniała o tym: jeśli miała zbyt wiele zajęć, by wykonywać słuszny trud, to zesłała z Drogi.

Zawsze już miała o tym pamiętać. I z czasem nauczyła się kochać słońce prażące jej kark, wodę chłodną i mętą wokół stóp i dłoni, łodyżki ryżu jak palce sięgające z błota na spotkanie jej palców. Oblepiona błotem z pól ryżowych, nigdy nie czuła się nieczysta, gdyż wiedziała, że pobrudziła się w służbie bogów.

Wreszcie, w wieku szesnastu lat, ukończyła studia. Musiała tylko wykazać się jako kobieta dorosła - w zadaniu dostatecznie trudnym i ważnym, by można je powierzyć wyłącznie komuś z bogostyszających.

Weszła do pokoju wielkiego Hań Fei-tzu. Tak jak jej pokój, był duży i prawie pusty; jak u niej, za legowisko służyła prosta mata na podłodze; jak u niej, główne miejsce zajmował stół z terminalem komputera. Zawsze kiedy wchodziła do pokoju ojca, terminal wyświetlał coś w powietrzu - wykresy, trójwymiarowe modele, symulacje w czasie rzeczywistym, słowa... Najczęściej słowa. Litery albo ideogramy błyszczały w powietrzu na wirtualnych stronach, przewracających się do przodu i do tyłu, obok siebie, gdy ojciec je porównywał.

W pokoju Qing-jao nie było nic więcej. Jednak ojciec nie śledził słoików drewna, więc nie potrzebował aż takiej surowości. Mimo to umeblował pokój z prostotą. Jeden chodnik - rzadko kiedy ozdobny. Jeden niski stolik, a na nim jedna rzeźba. Jeden obraz na nagich ścianach. A ponieważ

pokój był duży, każda z tych rzeczy ginęła niemal, jak cichy głos wołający z wielkiej dali.

Pokój przekazywał gościom wyraźną wiadomość: Hań Fei-tzu wybrał prostotę. Dla czystej duszy wystarczała jedna rzecz z każdej kategorii.

Qing-jao odbierała jednak całkiem inne przesłanie. Wiedziała bowiem to, z czego nie zdawał sobie sprawy nikt obcy: chodnik, stolik, rzeźba i obraz zmieniano codziennie. I nigdy jeszcze nie rozpoznała żadnej z tych rzeczy. Przyswoiła więc następującą lekcję: czystej duszy nie wolno się przyzwyczajać do żadnego przedmiotu. Czysta dusza codziennie musi odkrywać coś nowego.

Ponieważ zjawiała się tu oficjalnie, nie stanęła za krzesłem, nie studiowała ekranu i nie próbowała odgadnąć, nad czym pracuje ojciec. Tym razem uklękła na środku pokoju, na gładkim chodniku koloru jaja pliszki, z niewielką płamą w rogu. Spuściła głowę i nawet nie patrzyła na płamę. Po chwili ojciec wstał i podszedł do niej.

- Hań Qing-jao - powiedział. - Niech zobaczę wschód słońca na twarzy mej córki.

Podniosła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- To, co ci polecę, nie jest łatwym zadaniem, nawet dla osoby doświadczonej i dorosłej - oznajmił.

Qing-jao skłoniła głowę. Spodziewała się, że ojciec wyznaczy jej trudną pracę. Była gotowa spełnić jego wolę.

- Spójrz na mnie, Qing-jao. Wyprostowała się i popatrzyła mu w oczy.

- To nie będzie szkolna praca. To zadanie z prawdziwego świata, które przekazał mi Gwiazdny Kongres. Od niego mogą zależeć losy narodów, ludów i światów.

Qing-jao już wcześniej była zdenerwowana, ale teraz słowa ojca obudziły w niej lęk.

- Musisz więc zlecić to zadanie komuś, kto zasługuje na zaufanie. Nie dziecku bez żadnego doświadczenia.

- Od lat nie jesteś już dzieckiem, Qing-jao. Czy wysłuchasz, jakie mam dla ciebie zadanie?

- Tak, ojciec.

- Co wiesz o Flocie Lusitańskiej?

- Mam powiedzieć wszystko?

- Powiedz to, co uważasz za ważne.

A więc to sprawdzian, czy w tej szczególnej sprawie potrafi oddzielić kwestie istotne od nieistotnych.

- Flotę wysłano dla poskromienia zbuntowanej kolonii na Lusitaniu, gdzie zuchwale złamano prawa zakazujące ingerencji w życie jedynej znanej cywilizacji obcych.

Czy to wystarczy? Nie... Ojciec nadal czekał.

- Od samego wyruszenia floty trwały kontrowersje - mówiła dalej. - Niepokoje wzbudzały eseje przypisywane osobie zwanej Demostenesem.

- Konkretnie, jakie niepokoje?

- Demostenes ostrzegał kolonie, że Flota Lusitańska stanowi niebezpieczny precedens. Że jest tylko kwestią czasu, nim Gwiazdny Kongres użyje siły, by wymusić także ich posłuszeństwo. Światom katolickim i katolickim mniejszościom Demostenes obwieszczał, że Gwiazdny Kongres próbuje ukarać biskupa Lusitaniu za posłanie misjonarzy, aby zbawili od piekła dusze prosiaczków. Naukowcom Demostenes przesyłał wiadomość, że narażona jest zasada niezależnych badań, że całej planecie grozi atak tylko dlatego, że ośmieliła się przedkładać opinie uczonych pracujących na miejscu ponad decyzje urzędników oddalonych o wiele lat świdnych. A wszystkich Demostenes przekonywał, że Flota Lusitańska została wyposażona w System Destrukcji Molekularnej. To oczywiście kłamstwo, ale niektórzy uwierzyli.



- Jak skuteczne były te teksty? - zapytał ojciec.

- Nie wiem.

- Bardzo skuteczne. Piętnaście lat temu pierwsze z nich wywołały w koloniach tak wielki oddźwięk, że doprowadziły niemal do rewolucji.

Rewolucja w koloniach? Piętnaście lat temu? Qing-jao wiedziała tylko o jednym takim wydarzeniu, ale nie uświadamiała sobie, że miało jakiś związek z esejami Demostenesa. Zarumieniła się.

- To rok Traktatu Kolonialnego, twojego pierwszego wielkiego paktu.

- Nie był mój - odparł Hań Fei-tzu. - Należał w równej mierze do Kongresu i kolonii. Dzięki niemu zdołaliśmy uniknąć straszliwego konfliktu. A Flota Lusitańska kontynuuje swą wielką misję.

- Osobiście napisałeś każde słowo traktatu, ojciec.

- Czyniąc to, wyraziłem jedynie pragnienia i chęci, istniejące wcześniej w sercach ludzi po obu stronach konfliktu. Byłem urzędnikiem.

Qing-jao skłoniła głowę. Znała prawdę; znali ją wszyscy. Był to początek świetności Hań Fei-tzu, gdyż nie tylko spisał pakt, ale też przekonał obie strony, by przyjęły go niemal bez poprawek. Od tego czasu stał się jednym z najbardziej zaufanych doradców Kongresu. Codziennie otrzymywał wiadomości od najważniejszych ludzi na wszystkich planetach. Jeśli wolał nazywać się urzędnikiem, to jedynie dlatego, że był człowiekiem wielkiej skromności. Qing-jao wiedziała też, że matka umierała, gdy ojciec dokonywał tego dzieła. Taki miał charakter: nie zaniedbał ani żony, ani obowiązku. Nie mógł ocalić życia mamy, ale mógł uratować życie tych, którzy zginęliby w wojnie.

- Qing-jao, dlaczego uważasz, że oczywistym kłamstwem jest twierdzenie, jakoby Flota Lusitańska została wyposażona w System Dr M?

- Ponieważ... ponieważ to potworne. Zniszczyliby cały świat, jak Ender Ksenobójca. Taka moc nie ma prawa ani powodu istnienia we wszechświecie.

- Kto cię tego nauczył?

- Przyzwoitość mnie nauczyła - odparła Qing-jao. - Bogowie stworzyli gwiazdy i planety... Czymże jest człowiek, by ośmielał się je unicestwiać?

- Jednak bogowie stworzyli również prawa natury, które umożliwiają niszczenie planet i gwiazd. Czymże jest człowiek, by odrzucać to, co dają bogowie?

Qing-jao zamilkła wzburzona. Nie słyszała jeszcze, by ojciec przemawiał w obronie wojny. Nienawidził wojny w każdej postaci.

- Pytam cię po raz drugi: kto ci powiedział, że taka moc nie ma prawa ani powodu istnienia we wszechświecie?

- To moja własna idea.

- Ale to zdanie jest dokładnym cytatem.

- Tak. Z Demostenesa. Jeśli jednak uwierzę w ideę, staje się moją. Ty mnie tego uczyłeś.

- Musisz być ostrożna. Nim uwierzysz w ideę, musisz zrozumieć wszelkie jej konsekwencje.

- Małego Doktora nie wolno użyć przeciwko Lusitanii, a zatem nie powinien być tam posłany.

Hań Fei-tzu z powagą skinął głową.

- Skąd wiesz, że nie wolno go użyć?

- Ponieważ to zniszczyłoby pequeninos, młody i wspaniały lud, który pragnie zrealizować swój potencjał jako gatunek obdarzony świadomością.

- Jeszcze jeden cytat.

- Ojciec, czytałeś Życie Człowieka?

- Czytałem.

- Więc jak możesz wątpić, że należy chronić pequeninos?

- Mówiłem, że czytałem Życie Człowieka. Nie powiedziałem, że w nie uwierzyłem.

- Nie wierzysz?

- Ani wierzę, ani nie wierzę. Książka ukazała się już po zniszczeniu lusitańskiego ansibla.

Możliwe zatem, że nie tam powstała, a skoro tak, to jest tylko fikcją. To tym bardziej prawdopodobne, że podpisał ją „Mówca Umarłych”. Tym samym imieniem podpisano również Królową Kopca i Hegemona, pochodzące sprzed tysięcy lat. Ktoś wyraźnie próbował wykorzystać szacunek, jaki ludzie żywią dla tych starożytnych dzieł.

- Ja wierzę, że Życie Człowieka jest prawdziwe.

- Masz do tego prawo, Qing-jao. Ale dlaczego wierzysz? Ponieważ wydawało mi się prawdziwe, gdy je czytałam. Czy może powiedzieć to ojcu? Tak, jemu może powiedzieć wszystko.

- Ponieważ, gdy je czytałam, czułam, że musi być prawdziwe.

- Rozumiem.

- Teraz wiesz, że jestem głupia.

- Wręcz przeciwnie. Wiem, że jesteś mądra. Kiedy słyszysz prawdziwą historię, jakaś część ciebie odpowiada na nią, niezależnie od sztuki, niezależnie od dowodów. Może być niezręcznie opowiedziana, ale wciąż będziesz ją kochać, jeśli kochasz prawdę. Może być najbardziej oczywistym zmyśleniem, lecz ty nadal będziesz wierzyć w prawdę, jaką zawiera. Ponieważ nie możesz odrzucić prawdy, choćby okrywały ją łachmany.

- Więc jak to możliwe, że nie wierzysz w Życie Człowieka?

- Wyraziłem się niejasno. Mówimy o dwóch różnych znaczeniach słów „prawda” i „wiara”. Ty wierzysz, że opowieść jest prawdziwa, ponieważ zareagowało na nie twoje głębokie wyczucie prawdy. Lecz to wyczucie prawdy nie reaguje na sferę faktów w tej opowieści, na to, czy opisuje ona rzeczywiste wydarzenia w rzeczywistym świecie. Twoje wewnętrzne wyczucie prawdy reaguje na sferę przyczynowości opowieści: na to, czy wiernie ukazuje ona sposób funkcjonowania wszechświata, sposób, w jaki bogowie realizują swą wolę wśród ludzkich istot.

Qing-jao zastanawiała się tylko przez chwilę, nim ze zrozumieniem kiwnęła głową.

- Życie Człowieka może być uniwersalnie prawdziwe, ale fałszywe w szczegółach.

- Tak - potwierdził Hań Fei-tzu. - Możesz przeczytać książkę i zaczerpnąć z niej wielkiej mądrości. Czy jednak ta książka prezentuje dokładny wizerunek pequeninos? W to trudno uwierzyć: ssakopodobny gatunek, który po śmierci przekształca się w drzewa? To piękne jako przenośnia. Śmieszne jako nauka.

- Ale czy możesz być tego pewien, ojczu?

- Nie, pewien być oczywiście nie mogę. Natura stworzyła bardzo wiele dziwnych istot. Możliwe zatem, że Życie Człowieka jest opisem rzeczywistości. Dlatego ani wierzę w nie, ani nie wierzę. Trzymam je cierpliwie w zawieszaniu. Czekam. Ale czekając, nie wymagam, by Kongres traktował Lusitanię tak, jakby zamieszkiwały ją te baśniowe istoty z Życia Człowieka. Z tego co wiemy, pequeninos mogą stanowić dla nas naprawdę śmiertelne zagrożenie. Przecież są to obcy.

- Są ramenami.

- W opowieści. Rameni czy varelse, my nie mamy o tym pojęcia. Flota niesie Małego Doktora, ponieważ może się okazać niezbędny dla ratowania ludzkości przed niewyobraźną groźbą. Nie my będziemy decydować, czy należy go użyć. Zdecyduje Kongres. Nie my mieliśmy decydować, czy należy go wysłać. Kongres zdecydował. I z pewnością nie my powinniśmy decydować, czy powinien istnieć. Bogowie postanowili, że taka broń jest możliwa i istnieć może.

- A więc Demostenes miał rację. Flota ma System Dr M.

- Tak.

- I rządowe dokumenty, które Demostenes opublikował... były prawdziwe?

- Tak.

- Ależ ojciec... ty sam, wraz z wielu innymi, głosiłeś, że to fałszerstwo.

- Jak bogowie przemawiają tylko do wybranej garstki, tak i sekrety władców powinny być znane jedynie tym, którzy właściwie użyją tej wiedzy. Demostenes zdradza wielkie tajemnice ludziom, którzy nie potrafią mądrze ich wykorzystać. Dla dobra tych ludzi należy usunąć je z ich świadomości.

Jedynym sposobem ukrycia raz odsłoniętej tajemnicy jest zastąpienie jej kłamstwem. Wiedza o prawdzie ponownie staje się wtedy sekretem.

- Tłumaczysz mi, że Demostenes nie jest kłamcą, a Kongres nas oszukuje.

- Tłumaczę ci, że Demostenes jest nieprzyjacielem bogów. Mądry władca nigdy nie wysłałby Floty Lusitańskiej, nie dając jej możliwości reagowania na wszelkie okoliczności. Ale Demostenes, wykorzystując swą wiedzę o wyposażeniu Floty w Małego Doktora, chciał zmusić Kongres do jej odwołania. Chce zatem odebrać władzę tym, którym bogowie zlecili kierowanie ludzkością. Co czeka ludzi, jeśli zechcą odrzucić władców naznaczonych przez bogów?

- Chaos i cierpienia - odparła Qing-jao. Historia pełna była okresów chaosu i cierpień, nim wreszcie bogowie zesłali silnych władców i instytucje utrzymujące porządek.

- Demostenes mówił prawdę o Małym Doktorze. Czy sądziłaś, że nieprzyjaciele bogów nigdy nie mówią prawdy? Chciałbym, żeby tak było. Łatwiej byśmy ich wtedy rozpoznali.

- Jeśli wolno nam kłamać w służbie bogów, jakie jeszcze przestępstwa możemy popełnić?

- Czym jest przestępstwo?

- Działaniem wbrew prawu.

- Jakiemu prawu?

- Rozumiem. Kongres stanowi prawa, więc prawem jest wszystko, co Kongres zdecyduje. Ale Kongres składa się z mężczyzn i kobiet, którzy mogą być dobrzy albo źli.

- Teraz jesteś bliższa prawdy. Nie możemy popełniać przestępstw w służbie Kongresu, ponieważ to Kongres stanowi prawa. Gdyby jednak Kongres stał się zły, to będąc mu posłuszni także czynilibyśmy zło. To sprawa sumienia. Jednakże w takim przypadku Kongres z pewnością utraciłby mandat niebios. A my, bogosłyszający, nie musimy czekać i wahać się, jak inni. Jeśli bogowie odmówią Kongresowi wsparcia, dowiemy się o tym natychmiast.

- Zatem kłamałeś dla Kongresu, ponieważ Kongres rządzi z woli niebios.

- I wiedziałem, że pomagając im zachować sekret, działałem zgodnie z wolą bogów i dla dobra ludzi.

Qing-jao nigdy jeszcze nie myślała w ten sposób o Kongresie. Wszystkie znane jej książki historyczne ukazywały go jako instytucję jednoczącą całą ludzkość. Działania Kongresu zawsze były szlachetne. Teraz zrozumiała, że nie wszystkie musiały wydawać się dobre, co nie oznaczało jednak, że takimi nie są.

- Muszę od bogów dowiedzieć się, czy wola Kongresu jest także ich wolą - stwierdziła.

- Uczynisz to? - zapytał Hań Fei-tzu. - Czy będziesz posłuszna woli Kongresu, choćby wydawała ci się złą, dopóki Kongres posiada mandat niebios?

- Żądasz przysięgi?

- Tak.

- Zatem: tak. Będę posłuszna, dopóki posiadają mandat niebios.

- Musiałem uzyskać od ciebie to przyrzeczenie, bo tego wymagają przepisy bezpieczeństwa Kongresu - rzekł Hań Fei-tzu. - Inaczej nie mógłbym powierzyć ci zadania. - Odchrząknął. - Teraz

jednak proszę cię o inną przysięgę.

- Złożę ją, jeśli będę mogła.

- Ta przysięga jest... bierze się z wielkiej miłości. Hań Qing-jao, czy będziesz służyć bogom we wszystkich rzeczach, na wszystkie sposoby, przez całe swe życie?

- Ojcze, niepotrzebna jest taka przysięga. Czy bogowie nie wybrali mnie już i swym głosem nie wskazali drogi?

- A jednak proszę cię o nią.

- Zawsze, we wszystkich rzeczach, na wszystkie sposoby będę służyła bogom.

Ku jej zdumieniu, ojciec uklęknął i chwycił ją za rękę. Łzy popłynęły mu po policzkach.

- Uniosłaś z mego serca najcięższe brzemie, jakie kiedykolwiek na nim spoczęło.

- Jak to uczyniłam, ojcze?

- Zanim umarła, twoja matka prosiła mnie o obietnicę. Powiedziała, że skoro cała jej osobowość wyrażała się w oddaniu bogom, tylko w jeden sposób mogę ci pomóc ją poznać: ucząc cię, byś także służyła bogom. Przez całe swe życie obawiałem się, że możesz zawieść, możesz odwrócić się od bogów. Możesz ich znienawidzić. Albo że nie będziesz godna słuchania ich głosu.

To uderzyło Qing-jao w samo serce. Zawsze zdawała sobie sprawę, jak niegodna jest w oczach bogów... Nawet gdy nie wymagali, by obserwowwała czy śledziła słoje drewna. Dopiero teraz dowiedziała się, jak wielka była stawka: miłość jej matki.

- Teraz rozwiały się moje lęki. Jesteś idealną córką, Qing-jao. Już teraz dobrze służyś bogom. Ale po twojej przysiędze mogę mieć pewność, że nigdy się nie cofniesz. Wielka radość powstanie w niebiańskim domu, gdzie mieszka twoja matka.

Naprawdę? W niebiosach wiedzą o moich słabościach. Ty, ojcze, widzisz tylko, że jeszcze bogów nie zawiodłam. Matka z pewnością wie, jak niewiele brakowało i jak bardzo jestem nieczysta w ich oczach.

Lecz był tak uradowany... Nie ośmieliła się wyjawic, że lęka się tego dnia, gdy wszyscy zobaczą jej niegodność. Dlatego objęła go.

Nie mogła się powstrzymać przed zapytaniem.

- Ojcze, naprawdę sądzisz, że mama słyszała moją przysięgę?

- Mam nadzieję - potwierdził Hań Fei-tzu. - Jeśli nie, bogowie z pewnością przechowają w muszli echo twych słów. Będzie je słyszeć, ile razy przyłoży do niej ucho.

Takie zmyślone historie opowiadali sobie, gdy była jeszcze dzieckiem. Qing-jao odepchnęła od siebie lęk i szybko znalazła odpowiedź.

- Nie. Bogowie przechowają dotyk naszego uścisku i wplotą go w szal. Będzie go nosić na ramionach, kiedy zima nawiedzi niebiosów.

Poczuła ulgę, że ojciec nie powiedział: tak. Miał tylko nadzieję, że mama słyszała jej przysięgę. Może jednak nie słyszała... i nie będzie aż tak rozczarowana, kiedy jej córka zawiedzie.

Ojciec ucałował ją i wstał.

- Teraz jesteś gotowa, by poznać swoje zadanie - oświadczył.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do stołu. Czekala, kiedy siadał. Stojąc, niewiele była wyższa niż on na siedząco. Zapewne urośnie jeszcze, choć miała nadzieję, że niewiele. Nie chciała stać się jak jedna z tych wielkich, potężnych kobiet, które na polach dźwigały ciężary. Lepiej być myszką niż wieprzem, powiedziała jej wiele lat temu Mu-pao.

Ojciec wyświetlił na ekranie gwiazdną mapę. Od razu rozpoznała ten obszar. W samym centrum tkwił system Lusitania, choć skala była zbyt mała, by dostrzec poszczególne planety.

- W środku jest Lusitania - powiedziała. Ojciec kiwnął głową. Wpisał kilka instrukcji.

- Spójrz teraz - poleciał. - Nie na ekran, na moje palce. To plus identyfikacja głosu to hasło, które otworzy ci dostęp do niezbędnych informacji.

Patrzyła, jak wpisuje „4Banda”. Od razu zrozumiała, do czego odnosi się to hasło. Przodkinią serca jej matki była Jiang-qing, wdowa po pierwszym Komunistycznym Imperatorze, Mao Ze-Dongu. Kiedy Jiang-qing i jej sprzymierzeńcy utracili władzę w wyniku Spisku Tchórz, wrogowie określali ich mianem „Bandy Czworka”. Matka Qing-jao była prawdziwą córką-serca tej wspaniałej, prześladowanej kobiety. I za każdym razem, kiedy Qing-jao poda kod dostępu, uhonoruje przodkinię-serca matki. Ojciec łaskawie jej na to pozwolił.

Na ekranie pojawiły się zielone kropki. Przeliczyła je szybko, niemal podświadomie. Było ich dziewiętnaście, w pewnej odległości od Lusitanii. Otaczały ją ze wszystkich stron.

- Czy to Flota Lusitańska?

- To ich pozycje sprzed pięciu miesięcy. - Nacisnął kilka klawiszy. Zielone punkty zniknęły. - A to ich pozycje dzisiaj.

Przyjrzała się, lecz nie znalazła ani jednego zielonego punktu. A jednak ojciec wyraźnie spodziewał się, że coś widzi.

- Czy są już na Lusitanii?

- Statki są tam, gdzie je widzisz - odparł ojciec. - Pięć miesięcy temu flota zniknęła.

- Gdzie się podziała?

- Nikt tego nie wie.

- Czy to był bunt?

- Nikt tego nie wie.

- Cała flota?

- Wszystkie statki.

- Co masz na myśli mówiąc: zniknęła? Ojciec uśmiechnął się.

- Brawo, Qing-jao. Zadałaś właściwe pytanie. Nikt ich nie widział, były w kosmosie. A zatem nie zniknęły fizycznie. Mogą nadal lecieć dawnym kursem. Zniknęły w tym sensie, że straciliśmy z nimi wszelki kontakt.

- Ansible?

- Zamilkły. Wszystkie w tym samym trzypięciominutowym okresie. Żadna transmisja nie została przerwana. Jedna się kończyła, a następna... już nie nadeszła.

- Połączenia wszystkich statków ze wszystkimi planetami? Wszędzie? To niemożliwe. Nawet wybuch... jeśli mógłby się zdarzyć tak silny... ale i tak nie mogło chodzić o to samo wydarzenie. Statki były zbyt szeroko rozstawione wokół Lusitanii.

- Owszem, Qing-jao, mogło. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić tak wielki kataklizm... na przykład gwiazda Lusitanii mogła się stać supernową. Miną dziesięciolecia, nim zobaczymy błysk, nawet na najbliższych światach. Problem w tym, że byłaby to najbardziej nieprawdopodobna supernowa w historii. Nie niemożliwa, ale bardzo mało prawdopodobna.

- Byłyby także pewne wcześniejsze oznaki katastrofy. Jakież zmiany w stanie gwiazdy. Czy instrumenty na statkach coś wykryły?

- Nie. Dlatego nie uważamy, by chodziło o jakikolwiek znany fenomen astrofizyczny. Naukowcy nie umieją zaproponować żadnego wytłumaczenia. Próbowaliśmy więc zbadać możliwość sabotażu. Sprawdziliśmy, czy nie było włamań do komputerów ansibli. Szukając śladów spisku wśród załóg, przeczesałszy akta personelu statków. Przeprowadziliśmy analizę wszystkich transmisji, badając, czy spiskowcy nie porozumiewali się ze sobą. Sprawdzone wszystko, co tylko nadawało się do sprawdzenia. Policja na każdej z planet przeprowadziła śledztwa... zbadaliśmy kontakty operatorów

ansibli.

- Chociaż nie przekazują żadnych sygnałów, połączenia wciąż są otwarte?

- A jak myślisz?

Qing-jao zaczerwieniła się.

- Oczywiście że tak, choćby nawet flotę zaatakowano Systemem Dr M. Ansible są związane fragmentami cząstek subatomowych. A te pozostaną, choćby nawet gwiazdolot rozpadł się w pył.

- Nie wstydź się, Qing-jao. Mędrzy nie dlatego są mądrzy, że nie popełniają błędów. Są mądrzy, gdyż poprawiają swe błędy, gdy tylko je zauważą.

Jednak Qing-jao zaczerwieniła się z innego powodu. Krew tętniła jej w skroniach, ponieważ dopiero teraz zrozumiała, jakie zadanie powierzy jej ojciec. Ale to przecież niemożliwe. Nie mógł zadać jej problemu, którego nie rozwiązały tysiące ludzi mądrzejszych i starszych.

- Ojczy - szepnęła. - Jakie jest moje zadanie?

Wciąż liczyła, że chodzi o jakąś drobną kwestię związaną ze zniknięciem floty. Jednak nim jeszcze odpowiedział, wiedziała, że płonna to nadzieja.

- Masz znaleźć wszelkie możliwe wyjaśnienia zniknięcia floty - oświadczył. - I obliczyć prawdopodobieństwo każdego z nich. Gwiazdny Kongres musi wiedzieć, jak to się stało, i dopilnować, by nie zdarzyło się nigdy więcej.

- Ależ ojczy, mam dopiero szesnaście lat. Czy nie znasz wielu innych, mądrzejszych ode mnie?

- Może są zbyt mądrzy, by podjąć się tego zadania. A ty jesteś dostatecznie młoda, by nie uwierzyć we własną nieomyślność. Dostatecznie młoda, by pomyśleć o rzeczach niemożliwych i wykrzyć, dlaczego mogą być możliwe. A przede wszystkim, bogowie przemawiają do ciebie niezwykle wyraźnie, moje cudowne dziecko, moja Jaśniejąca Blaskiem.

Tego właśnie się bała: że ojciec liczy na jej sukces z powodu szczególnej łaski bogów. Nie pojmował, jak niegodna jest w ich oczach, jak mało ją lubią.

I jeszcze jedno...

- A jeśli mi się uda? Jeśli odkryję, gdzie jest Flota Lusitańska, i wznowię komunikację? Czy nie będzie wtedy moją winą, gdy flota zniszczy Lusitanię?

- To dobrze, że twoją pierwszą myślą jest współczucie dla mieszkańców Lusitanii. Gwiazdny Kongres złożył obietnicę, iż nie użyje Systemu Dr M., póki nie okaże się to absolutnie konieczne. A to tak mało prawdopodobne, że nie mogę uwierzyć, by się stało. Jednak gdyby nawet doszło do tego, do Kongresu należy decyzja. Jak mówił mój przodek-serca: „Choć mędrzec wymierza łagodną karę, to nie ze współczucia; choć wymierza karę surową, to nie z okrucieństwa; postępuje tylko zgodnie z obyczajem właściwym w danej chwili. Okoliczności zmieniają się zależnie od wieku, a sposoby rozwiązywania ich zmieniają się wraz z okolicznościami”. Możesz być pewna, że postępowanie Gwiazdznego Kongresu wobec Lusitanii nie wynika ze współczucia czy okrucieństwa, ale z kierowania się dobrem całej ludzkości. Dlatego właśnie służymy władcom: ponieważ służą ludziom, którzy służą przodkom, którzy służą bogom.

- Ojczy, niegodna byłam, myśląc inaczej - rzekła Qing-jao. Nie tylko wiedziała, ale czuła swą nieczystość. Chciała umyć ręce. Chciała prześledzić słoń. Powstrzymała się jednak. Zaczeka.

Cokolwiek uczynię, myślała, sprowadzi to straszne konsekwencje. Jeśli zawiodę, ojciec utraci szacunek Kongresu, a zatem i szacunek wszystkich na Drodze. A to wykaże, iż nie jest godzien, by po śmierci zostać wybranym bogiem.

A jeśli odniosę sukces, wynikiem może być ksenocyd. Choć wybór należy do Kongresu, będę wiedziała, że ja to umożliwiłam. Na mnie spadnie część odpowiedzialności. Cokolwiek zrobię, czeka mnie klęska i skalenie niegodziwością.

I wtedy ojciec przemówił do niej, jak gdyby bogowie ukazali mu serce córki.

- Tak, jesteś niegodna - rzekł. - I nawet teraz pozostajesz niegodna w swych myślach.

Qing-jao zarumieniła się i spuściła głowę - nie dlatego, że jej myśli są tak wyraźnie widoczne, ale że w ogóle ma takie nieposłuszne myśli.

Ojciec delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

- Wierzę jednak, że bogowie uczynią cię godną - powiedział. - Gwiezdny Kongres posiada mandat niebios, ale i ty zostałeś wybrana, by kroczyć własną drogą. Wielkie dzieło może się powieść. Czy spróbujesz?

- Spróbuję. - I zawiodę, ale to nie zdziwi nikogo. A już najmniej bogów, którzy wiedzą, że nie jestem ich godna.

- Wszystkie archiwa zostaną ci udostępnione, kiedy wypowiesz swoje imię i wpiszesz hasło. Zawiadam mnie, gdybyś potrzebowała pomocy.

Dumnie wyprostowana opuściła pokój ojca i zmusiła się, by wolno wejść po schodach do siebie. Dopiero kiedy zamknęła drzwi, rzuciła się na kolana i poczołgała po podłodze. Śledziła linie słojów, aż w końcu mało co już widziała. A tak bardzo była niegodna, że nawet wtedy nie czuła się do końca oczyszczona. Wyszła do toalety i tam szorowała ręce, aż wiedziała, że bogowie są zadowoleni. Dwa razy służący chcieli jej przerwać, dostarczając posiłek albo wiadomość - nie obchodziło jej jaką - ale widząc, że obcuje z bogami, pochylali z szacunkiem głowy i odchodzili cicho.

Jednak to nie mycie rąk w końcu ją oczyściło. Nastąpiło to, gdy wypchnęła z serca ostatni ślad wątpliwości. Gwiezdny Kongres posiada mandat niebios. Ona musi więc pozbyć się zwątpienia. Cokolwiek uczynią z Flotą Lusitańską, z pewnością wypełnią wolę bogów. Jej obowiązkiem jest w tym dopomóc. A jeśli postępuje zgodnie z wolą bogów, ci otworzą jej drogę do rozwiązania problemu. Za każdym razem, gdy pomyśli inaczej, kiedy w pamięci odezwą się słowa Demostenesa, musi wymazać je, powtarzając sobie, że będzie posłuszna władcom, którzy rządzą z woli niebios.

Nim uspokoiła umysł, dłonie miała zaczerwienione, nakrapiane plamkami krwi, sączącej się z warstw żywej skóry, tak bliskiej teraz powierzchni. Właśnie tak rodzi się moje zrozumienie prawdy, pomyślała. Jeżeli zmyję dostatecznie wiele własnej śmiertelności, prawda bogów przesaczy się ku światłu.

Wreszcie poczuła się czysta. Było już późno i oczy miała zmęczone. Mimo to usiadła przed terminalem i rozpoczęła pracę.

- Pokaż mi dane wszystkich badań, prowadzonych do tej pory nad zniknięciem Floty Lusitańskiej - poleciła. - Zaczynaj od najnowszych.

Niemal od razu nad terminalem zabłysnęły słowa, strona po stronie, w równych szeregach niby żołnierze maszerujący na front.

Czytała jedną, przewijała ją, a wtedy odsłaniała się kolejna. Czytała przez siedem godzin, aż uległa słabości ciała. Zasnęła przed terminalem.

Jane obserwuje wszystko. Potrafi wykonywać milion zadań i zwracać uwagę na tysiąc spraw równocześnie. Żadna z tych możliwości nie jest nieskończona, ale można ją za taką uznawać w porównaniu z naszą żalosną zdolnością myślenia o jednym, gdy wykonujemy co innego. Jej zmysły podlegają za to ograniczeniom, jakich my nie znamy... a raczej: to my jesteśmy jej największym ograniczeniem. Nie widzi i nie wie niczego, co nie zostało wprowadzone jako dane do komputera połączanego z wielką międzyplanetarną siecią ansibli.

Jest to ograniczenie mniejsze, niż mogłoby się wydawać. Jane ma niemal natychmiastowy dostęp do danych z każdego kosmolotu, satelity, każdego systemu kontroli ruchu i niemal każdego

elektronicznie kontrolowanego urządzenia szpiegowskiego w ludzkim wszechświecie. Za to prawie nigdy nie słyszy kłótni zakochanych, bajek czytanych przed snem, szkolnych dyskusji ani plotek przy kolacji, nie widzi gorzkich łez przelanych w samotności. Zna tylko tę część naszego życia, którą przedstawiamy w formie cyfrowej.

Gdyby zapytać ją o dokładną liczbę ludzkich istot na zasiedlonych planetach, szybko podałaby wynik, oparty o dane spisu ludności połączone z prawdopodobieństwem śmierci i narodzin w każdej grupie ludności. W większości przypadków potrafiłaby połączyć numery z nazwiskami, choć żaden człowiek nie żyłby dostatecznie długo, by przeczytać tę listę. A gdyby podać imię, które akurat przychodzi na myśl - Hań Qing-jao, na przykład - i zapytać: kim jest ta osoba, Jane prawie natychmiast poda wszelkie istotne dane: datę urodzenia, obywatelstwo, pochodzenie, wzrost i wagę podczas ostatniego badania, stopnie w szkole.

Jednak cała ta chętnie udzielana informacja jest dla niej tylko szumem. Wie, że tam jest, ale nie ma żadnego znaczenia. Pytać Jane o Qing-jao to jakby pytać ją o pewną konkretną molekułę pary wodnej w dalekiej chmurze. Molekuła jest tam z pewnością, ale nie ma w niej nic szczególnego, co odróżniałoby ją od miliona innych, tuż obok niej.

Tak było, póki Qing-jao nie zaczęła wykorzystywać swego komputera, by uzyskać dostęp do wszystkich raportów dotyczących zniknięcia Floty Lusitańskiej. W hierarchii uwagi Jane przesunęła się wtedy o wiele poziomów w górę. Jane prowadziła dokładny zapis wszystkich czynności, wykonywanych przez Qing-jao za pośrednictwem jej terminala.

I szybko zrozumiała, że dziewczyna - choć zaledwie szesnastoletnia - będzie źródłem poważnych kłopotów. Ponieważ Hań Qing-jao, nie związana z żadną konkretną grupą, bez ideologicznych uprzedzeń czy interesów, które chciałaby ochraniać, miała szersze - a więc i groźniejsze - spojrzenie na informacje, zgromadzone przez dotychczasowych badaczy.

Dlaczego było to groźne? Czy Jane pozostawiła jakieś ślady, które Qing-jao mogłaby odszukać?

Nie. Oczywiście, że nie. Jane nie pozostawiła żadnych śladów. Zastanawiała się nad tym. Mogłaby przecież zasugerować, że zniknięcie Floty Lusitańskiej było wynikiem sabotażu, awarii czy jakiejś naturalnej katastrofy. Zrezygnowała z tego pomysłu, ponieważ nie była w stanie sfabrykować żadnych fizycznych dowodów. Mogła tylko pozostawić fałszywe dane w pamięci komputerów. Nie miałyby żadnego fizycznego odpowiednika w rzeczywistym świecie, zatem każdy w miarę inteligentny badacz szybko by zrozumiał, że to fałszerstwo. Doszedłby do wniosku, że zniknięcie Floty Lusitańskiej spowodował jakiś czynnik, mający nieograniczony dostęp do systemu komputerowego, w którym znalazły się dane. A to z całą pewnością doprowadziłoby ludzi do wykrycia Jane o wiele szybciej, niż gdyby nie pozostawiła żadnych śladów.

Brak śladów był stanowczo najlepszym wyjściem. I póki Qing-jao nie rozpoczęła swego śledztwa, był rozwiązaniem skutecznym. Każda z badających sprawę instytucji prowadziła poszukiwania tylko w zwykłych dla siebie miejscach. Policja na wielu planetach sprawdziła wszelkie znane grupy dysydentów (a gdzieś tam torturowała niektórych dysydentów, aż złożyli całkiem bezwartościowe zeznania; wtedy przysłuchujący spisywali końcowe raporty i uznawali sprawę za zamkniętą). Armia szukała śladów wojsk przeciwnika, zwłaszcza obcych kosmolotów. Armia bowiem dobrze pamiętała inwazję robali sprzed trzech tysięcy lat. Naukowcy poszukiwali jakiegoś nieoczekiwanego, niewidzialnego zjawiska astronomicznego, które mogłoby albo zniszczyć flotę, albo selektywnie zerwać komunikację. Politycy zaś szukali kogoś, na kogo mogliby zrzucić winę. Nikt nie wyobrażał sobie Jane, a zatem nikt jej nie znalazł.

Lecz Qing-jao zestawiała informacje razem, starannie, systematycznie, precyzyjnie przeszukując dane. W końcu musiała trafić na to, co wykaże - i przerwie - egzystencję Jane. Tym kluczowym



śladem był - najprościej mówiąc - brak wszelkich śladów. Nikt inny tego nie dostrzegął, ponieważ żaden z badaczy nie dysponował metodycznym, pozbawionym uprzedzeń umysłem.

Jane nie mogła wiedzieć, że nieludzka z pozoru cierpliwość Qing-jao, jej skrupulatne badanie szczegółów, stałe zmiany formuły i programów komputerowych analiz, wszystko to było wynikiem nieskończonych godzin spędzonych na klęczkach na drewnianej podłodze, uważnego śledzenia słoików drewna od jednego do drugiego końca deski. Jane nie zdawała sobie sprawy, że to wspaniałe lekcje udzielane przez bogów uczyniły z Qing-jao najgroźniejszego przeciwnika. Wiedziała tylko, że w pewnym momencie badacz o imieniu Qing-jao pojmie to, czego nie zrozumiał nikt inny: każde możliwe wytłumaczenie zniknięcia Floty Lusitańskiej zostało całkowicie wykluczone.

Wtedy pozostanie już tylko jeden wniosek: że jakaś potęga, nieznana jeszcze w historii ludzkości, ma dostateczną moc, by unicestwić równocześnie całą rozproszoną flotyllę statków, albo - co jest równie mało prawdopodobne - unieruchomić równocześnie wszystkie ansible floty. A jeśli ten sam metodyczny umysł zacznie wyliczać wszelkie możliwe potęgi dysponujące taką mocą, w końcu musi wymienić tę, która rzeczywiście istnieje: niezależną jaźń, żyjącą wśród niej, zbudowaną z filotycznych promieni, łączących wszystkie ansible. A ponieważ to wyjaśnienie było prawdziwe, żadne logiczne rozumowanie ani badania go nie wyeliminują. I wreszcie pozostanie tylko ono. A wtedy ktoś wykorzysta odkrycie Qing-jao i zniszczy Jane.

Dlatego Jane z coraz większą fascynacją obserwowała badania Qing-jao. Szesnastoletnia córka Hań Fei-tzu, ważąca trzydzieści dziewięć kilogramów i mająca sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, należąca do najwyższej społecznie i intelektualnie klasy na taoistycznym, chińskim świecie Drogi, była pierwszą znaną Jane istotą ludzką, która osiągnęła skrupulatność i precyzję zbliżoną do komputera, a więc i samej Jane. Co prawda Jane mogłaby w ciągu godziny zakończyć analizy, na które Qing-jao potrzebowała tygodni i miesięcy. Jednak groźba polegała na tym, że Qing-jao prowadziła niemal dokładnie te same badania, jakie prowadziłyby Jane. Nie było więc powodów, by Qing-jao nie doszła do takich samych wniosków, do jakich doszłaby Jane.

Qing-jao była więc najgroźniejszym przeciwnikiem Jane, a Jane nie mogła jej w niczym przeszkodzić - przynajmniej fizycznie. Próby blokowania dostępu do informacji tym szybciej doprowadziłyby do wykrycia jej istnienia. Dlatego, zamiast stawiać otwarty opór, Jane szukała innego sposobu powstrzymania przeciwnika. Nie do końca pojmowała ludzką naturę, jednak Ender nauczył ją jednego: aby powstrzymać ludzką istotę przed uczynieniem czegoś, trzeba znaleźć sposób, by przestało jej na tym zależeć.

## VARELSE

*W jaki sposób potrafisz rozmawiać bezpośrednio z umysłem Endera ?*

*Teraz, kiedy wiemy, gdzie jest, to równie naturalne jak jedzenie.*

*A jak go znalazłaś? Nigdy mi się nie udało przemówić do umysłu kogoś, kto nie przeszedł do trzeciego życia.*

*Znalazłyśmy go poprzez ansible i połączoną z nimi elektronikę — odszukałyśmy jego ciało w przestrzeni. By dotrzeć do jego umysłu, musiałyśmy sięgnąć w chaos i stworzyć pomost.*

*Pomost ?*

*Jaźń pośrednia, częściowo przypominającą jego umysł, a częściowo nasz.*

*Jeżeli potrafiłaś dotrzeć do jego umysłu, dlaczego dopuściłaś, żeby was zniszczył?*

*Mózg ludzki jest bardzo dziwny. Zanim zrozumiwałyśmy to, co w nim odkryłyśmy, zanim nauczyłyśmy się przemawiać w tej skrzywionej przestrzeni, wszystkie moje siostry i matki zginęły. Nadal studiowałyśmy jego umysł przez te wszystkie lata, kiedy czekałyśmy w kokonie, aż nas znajdzie. Kiedy przybył, mogliśmy porozumieć się z nim bezpośrednio.*

*Co się stało z tym stworzonym pomostem ?*

*Nie myślałyśmy o nim. Pewnie wciąż gdzieś tam istnieje.*

Nowa odmiana ziemniaków ginęła. Ender widział brunatne kręgi na liściach, widział połamane łodygi, tak kruche, że pękały od najłżejszego podmuchu wiatru. Dziś rano wszystkie były jeszcze zdrowe. Choroba pojawiła się nagle, z tak porażającymi efektami, że mógł to być jedynie wirus descolady.

Ela i Novinha będą rozczarowane. Bardzo liczyły na tę odmianę. Ela, pasierbica Endera, pracowała nad genem, który spowoduje, że każda komórka organizmu będzie wytwarzać trzy różne związki chemiczne, hamujące działanie wirusa descolady lub niszczące go. Novinha, żona Endera, próbowała wytworzyć gen, który uczyniłby jądro komórki niedostępnym dla wszelkich molekuł większych niż jedna dziesiąta rozmiaru wirusa. Do tej odmiany ziemniaków wprowadziły oba geny, a gdy wczesne testy wykazały, że cechy się utrwaliły, Ender przeniósł sadzonki na farmę eksperymentalną. Wraz z asystentami opiekował się nimi od sześciu tygodni. Na pozór wszystko szło dobrze.

Gdyby metoda była skuteczna, można by wykorzystać ją u wszystkich zwierząt i roślin, dostarczających pożywienia ludziom na Lusitanii. Jednak wirus descolady był za sprytny i w końcu pokonywał wszelkie ich strategie.

Mimo wszystko, sześć tygodni to lepiej niż normalne dwa-trzy dni.

Może wpadli na właściwy trop.

A może sprawy zaszły już za daleko. Kiedy Ender przybył na Lusitanię, nowe odmiany ziemskich roślin i zwierząt wytrzymały nawet dwadzieścia lat, nim descolada rozszyfrowała i rozerwała ich łańcuchy genetyczne. Jednak w ostatnich latach wirus jakby dokonał przełomu i dowolną ziemską molekułę genetyczną dekodował w ciągu kilku dni, a czasem nawet godzin.

Ostatnio tylko jedno pozwalało kolonistom uprawiać rośliny i hodować zwierzęta: śmiertelny dla wirusów aerzol. Byli wśród ludzi tacy, którzy chcieliby spryskać całą planetę i raz na zawsze pozbyć się descolady.

Działanie takie było niepraktyczne, ale możliwe. Istniały inne powody zaniechania tego pomysłu. Descolada była absolutnie niezbędna do rozmnażania wszystkich miejscowych form życia. Łącznie z

prosiaczkami - pequeninos, inteligentnymi mieszkańcami tego świata. Cykl reprodukcji wiązał je nierozdzielnie z jedynym miejscowym gatunkiem drzew. Gdyby zniszczono wirusa, obecna generacja pequeninos byłaby ostatnią. To ksenocyd.

W tej chwili pomysł, by uczynić coś, co zniszczy prosiaczków, zostałby natychmiast odrzucony przez większą część mieszkańców Milagre, wioski ludzi. W tej chwili. Ender wiedział jednak, ilu zmieniliby zdanie, gdyby dowiedzieli się o pewnych faktach. Na przykład, jedynie garstka zdawała sobie sprawę, że descolada już dwukrotnie przystosowała się do środka chemicznego, używanego do jej niszczenia. Ela i Novinha opracowały kilka nowych wersji wirycydu, więc następnym razem, gdy wirus przestanie reagować, będą mogli od razu przejść na kolejny. Podobnie, musieli już raz zmienić inhibitor, utrzymujący przy życiu ludzi, bez wyjątku zarażonych wirusem descolady. Środek dodawano do żywności, więc każdy człowiek przyjmował go przy posiłku.

Jednakże działanie wszystkich inhibitorów i wirycydów opierało się na tej samej podstawowej zasadzie. Pewnego dnia wirus descolady - tak samo jak dostosował się do ziemskich genów - nauczy się przeciwdziałać całej klasie środków chemicznych. Wtedy nie będzie miało znaczenia, ile nowych wersji mają w rezerwie. Descolada w ciągu paru dni wyczerpie zapas.

Tylko kilka osób wiedziało, jak niepewne jest przetrwanie Milagre. Ta grupa była świadoma, że wszystko zależy od pracy Novinhy i Eli, ksenobiologów Lusitanii. I że trudno jest im wyprzedzić descoladę, a jeśli kiedyś zostaną w tyle, nastąpi katastrofa.

Bardzo dobrze. Gdyby koloniści to zrozumieli, wielu by powiedziało: skoro i tak descolada musi nas kiedyś pokonać, pozbadźmy się jej od razu. Przykro nam, że muszą zginąć prosiaczki, ale mając do wyboru ich i nas, wolimy, żeby to byli oni.

Ender mógł sobie patrzeć na to obiektywnie, z perspektywy filozofa. Mógł powtarzać, że lepiej, jeśli zginie jedna niewielka ludzka kolonia niż cała inteligentna rasa. Wiedział, że te argumenty nie przemówią do ludzi na Lusitanii. Tu chodziło o ich własne życie, o życie ich dzieci. Absurdem byłoby oczekiwać, że zechcą umierać za obcy gatunek, którego nie rozumieli, i który tylko nieliczni w ogóle lubili. Genetycznie nie miałyby to sensu - ewolucja wspiera tylko takie gatunki, które potrafią chronić własne geny. Choćby sam biskup obwieścił, że wolą bożą jest, by ludzie oddali swe życie za prosiaczków, bardzo niewielu zechciałoby go posłuchać.

Nie jestem pewien, pomyślał Ender, czy sam byłbym zdolny do takiej ofiary. Chociaż nie mam własnych dzieci. Chociaż przeżyłem już zagładę świadomej rasy... chociaż sam ją spowodowałem i wiem, jaki to straszny ciężar... nie jestem pewien, czy pozwoliłbym umierać ludzkimi istotom. Umierać z głodu, gdy zniszczeniu ulegną plony, albo o wiele boleśniej, gdy powróci descolada jako choroba, zdolna w przeciągu kilku dni pochłonąć ludzkie ciało.

A jednak... czy mógłbym się zgodzić na zniszczenie pequeninos? Czy pozwoliłbym na jeszcze jeden ksenocyd?

Podniósł złamaną łodygę ziemniaka z plamistymi liśćmi. Novinha musi ją obejrzeć. Zbadają, ona albo Ela, i potwierdzą to, co już teraz jest oczywiste. Kolejną porażkę.

Włożył łodygę do sterylnej torebki.

- Mówco.

To odezwał się Sadownik, asystent Endera i jego najbliższy przyjaciel wśród prosiaczków. Sadownik był synem pequenino o imieniu Człowiek, którego Ender osobiście przeniósł do „trzeciego życia”, drzewnego stadium cyklu życiowego. Teraz Ender podniósł w górę przezroczystą plastikową torebkę tak, by Sadownik zobaczył liście rośliny.

- Rzeczywiście, zupełnie martwa - przyznał Sadownik, bez żadnej dostrzegalnej emocji. To właśnie najbardziej niepokoiło w początkowym okresie pracy z pequeninos. To była najsilniejsza

bariera, uniemożliwiająca akceptację większości kolonistów. Pequeninos nie okazywali emocji, które ludzie mogliby łatwo, odruchowo zinterpretować. Prosiaczki nie były miłe czy słodkie - były po prostu dziwne.

- Spróbujemy jeszcze raz - stwierdził Ender. - Myślę, że zbliżamy się do celu.

- Twoja żona cię szuka - oznajmił Sadownik.

Słowo „żona”, nawet przetłumaczone na język ludzki, taki jak stark, niosło w sobie dla pequenino tyle napięcia, że nie potrafił wymawiać go naturalnie. Sadownik prawie je wyskrzecztał. Idea „żony” tak była potężna wśród pequeninos, że chociaż rozmawiając bezpośrednio z Novinhą potrafiły zwracać się do niej po imieniu, to mówiąc do jej męża, określały ją wyłącznie tytułem.

- Właśnie do niej szedłem - odparł Ender. - Mógłbyś zmierzyć i sfilmować te ziemniaki?

Sadownik skoczył pionowo w górę. Jak prażona kukurydza - pomyślał Ender. Choć twarz prosiaczka pozostała - dla ludzkich oczu - bez wyrazu, ten pionowy skok był oznaką zachwytu. Sadownik uwielbiał pracę ze sprzętem elektronicznym. Fascynowały go maszyny, a zajmowanie się nimi podwyższało jego status wśród mężczyzn pequenino. Natychmiast zaczął wypakowywać kamerę i komputer, które zawsze nosił ze sobą w torbie.

- Kiedy skończysz, przygotuj proszę tę wyizolowaną sekcję do spalania błyskowego - dodał Ender.

- Tak, tak - powiedział Sadownik. - Tak, tak, tak.

Ender westchnął. Pequeninos bardzo się irytowali, gdy ludzie mówili im coś, o czym już wiedzieli. Sadownik znał oczywiście procedurę postępowania, gdy descolada przystosuje się do nowej odmiany - „nauczony” wirus należało zniszczyć, póki był odizolowany. Nie wolno pozwalać, by cała populacja wirusów descolady odnosiła korzyści z tego, o czym dowiedział się jeden szczep. Dlatego Ender nie powinien o tym przypominać. A jednak w ten właśnie sposób istoty ludzkie zaspokajały swe poczucie odpowiedzialności - sprawdzając ponownie, choć wiedziały, że to niepotrzebne.

Sadownik był tak zajęty, że nie zauważył, jak Ender schodzi z pola. Ender wszedł do baraku służby, rozebrał się i włożył ubranie do sterylizatora. Potem rozpoczął oczyszczający taniec: ręce wysoko w górę, obrót, kucnięcie, powstanie, by promieniowanie i gazy dotarły do wszystkich części ciała. Odetchnął głęboko przez nos i usta, zakaszłał - jak zawsze - gdyż gazy ledwie się mieściły w granicach ludzkiej tolerancji. Pełne trzy minuty z łzawiącymi oczami i pieczeniem w płucach, z machaniem rękami, kucaniem i wstawaniem: nasz rytualny pokłon wszechmocnej descoladzie. W ten sposób ponizamy się przed absolutnym władcą życia na tej planecie.

Wreszcie proces dobiegł końca; jakbym piekł się na rożnie, pomyślał Ender. Kiedy świeże powietrze wpadło wreszcie do służby, wyjął ze sterylizatora ubranie i jeszcze gorące włożył na siebie. Kiedy tylko stąd wyjdzie, cały barak zostanie podgrzany i temperatura każdej powierzchni daleko przekroczy granicę odporności termicznej wirusa descolady. Nic nie mogło tam przeżyć podczas końcowego etapu oczyszczania. Gdy znowu ktoś tu wejdzie, wszystko będzie idealnie sterylne.

Mimo to Ender nie mógł pozbyć się myśli, że wirus descolady zdoła się jakoś wydostać - jeśli nie przez służbę, to przez delikatne pole destrukcyjne, niby niewidzialny mur twierdzy otaczającej obszar upraw doświadczalnych. Teoretycznie, każda molekula większa niż sto atomów przy przekraczaniu tej bariery ulegała rozpadowi. Po obu stronach płoty chroniły ludzi i prosiaczków przed przypadkowym zbłądzeniem do śmiertelnej strefy. Ender jednak często wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby ktoś spróbował przekroczyć pole destrukcyjne. Każda komórka ciała zginie natychmiast, gdy rozpadną się aminokwasy. Być może ciało pozostanie fizyczną całością, lecz w wyobraźni Enderzawsze widział, jak rozsypuje się w pył unoszony wiatrem, zanim jeszcze zdąży

opasć na ziemię.

Najbardziej niepokoił go fakt, że działanie bariery opierało się na tej samej zasadzie co System Destrukcji Molekularnej. Zaprojektowany do atakowania statków kosmicznych i pocisków, został właśnie przez Endera użyty przeciw ojczystej planecie robali. Było to trzy tysiące lat temu, kiedy dowodził ziemską flotą wojenną. I tę samą broń wysłał teraz Gwiazdny Kongres przeciwko Lusitanii. Według Jane, Kongres spróbował już wydać rozkaz jej użycia. Zablokowała go, odcinając komunikację pomiędzy flotą a resztą ludzkości. Trudno jednak przewidzieć, czy jakiś przemęczony kapitan, ogarnięty paniką po unieruchomieniu ansibla, mimo braku instrukcji nie wystrzeli, gdy tylko dotrze do planety.

To nie do pomyślenia, ale zrobili to: Kongres wydał rozkaz zniszczenia świata. Rozkaz ksenocydu. Czy Ender na próżno pisał Królową Kopca? Czy już zapomnieli?

Ale dla nich to nie było "już". Dla większości ludzi minęły trzy tysiące lat. I chociaż Ender napisał Życie Człowieka, nie uwierzono mu jeszcze powszechnie. Dzieło nie wpłynęło na ludzkie umysły w takim stopniu, by Kongres nie śmiał wystąpić przeciwko pequeninos.

Dlaczego się na to zdecydowali? Pewnie dokładnie z tego samego powodu, co ksenobiolodzy na barierę destrukcyjną: aby odizolować groźną infekcję, nie dopuścić do zakażenia szerszej populacji. Kongres troszczył się zapewne o odcięcie ogniska zarazy planetarnej rewolty. Kiedy dotrze tu flota, z rozkazami czy bez nich, może użyć Małego Doktora dla ostatecznego rozwiązania kwestii descolady. Jeśli przestanie istnieć planeta Lusitania, przestanie istnieć automutujący, półinteligentny wirus, który nie może się już doczekać, by unicestwić całą ludzkość i wszystkie jej dzieła.

Z pola doświadczalnego do nowej stacji ksenobiologicznej nie było daleko. Ścieżka omijała niskie wzgórce i biegła skrajem lasu, który dawał ojców, matki i żywy cementarz szczepowi pequeninos. Dalej prowadziła do północnej bramy w ogrodzeniu, otaczającym ludzką kolonię.

Ogrodzenie drażniło Endera. Przyczyny jego istnienia zniknęły, gdy załamała się polityka minimalnych kontaktów między ludźmi i pequeninos. Teraz oba gatunki swobodnie przechodziły przez bramę. Kiedy Ender przyleciał na Lusitanię, działało jeszcze pole, wywołujące straszliwy ból u każdego, kto znalazł się w jego zasięgu. Podczas walki o prawo swobodnego porozumiewania się z pequeninos, najstarszy z pasierbów Endera, Miro, został na kilka minut uwięziony w tym polu i doznał nieodwracalnych uszkodzeń mózgu. Lecz kalectwo Mira to jedynie najbardziej bolesny i bezpośredni przejaw szkód, jakie ogrodzenie wyrządzało duszom ludzi zamkniętych w jego wnętrzu. Tę psychiczną barierę wyłączono trzydzieści lat temu. Przez cały ten czas nie było żadnego powodu, by cokolwiek dzieliło dwie rasy... a jednak ogrodzenie pozostało. Tak chcieli koloniści na Lusitanii. Chcieli, by mur między ludźmi a pequeninos trwał nienaruszony.

Dlatego właśnie przeniesiono laboratoria ksenobiologów z ich dawnego miejsca nad rzeką. Jeśli pequeninos mieli uczestniczyć w badaniach, laboratoria musiały stanąć blisko ogrodzenia, natomiast uprawy doświadczalne przeniesiono na zewnątrz. Aby ludzie i prosiaczki nie wpadali na siebie niespodziewanie.

Kiedy Miro odlatywał na spotkanie Valentine, Ender wierzył, że po powrocie będzie zdumiony wielkimi zmianami w świecie Lusitanii. Myślał, że Miro zobaczy ludzi i pequeninos żyjących obok siebie: dwie rasy istniejące w harmonii. Tymczasem kolonia prawie się nie zmieniła. Poza rzadkimi wyjątkami, istoty ludzkie na Lusitanii nie pragnęły bliskiego sąsiedztwa z innym gatunkiem.

Dobrze, że Ender pomógł królowej kopca odtworzyć jej rasę tak daleko od Milagre. Planował, że ludzie i robale poznają się stopniowo. Jednak on, Novinha i ich rodzina z konieczności utrzymywali istnienie robali w tajemnicy. Jeśli koloniści nie potrafili współżyć ze ssakopodobnymi pequeninos, wiedza o owadopodobnych robalach z pewnością wywołałaby gwałtowny wybuch ksenofobii.

Mam zbyt wiele tajemnic, myślał Ender. Przez wszystkie te lata byłem mówcą umarłych. Odkrywałem sekrety i pomagałem ludziom żyć w blasku prawdy. Teraz nie zdradzam nawet połowy tego, co wiem. Gdybym powiedział wszystko, prawda wzbudziłaby strach, nienawiść, okrucieństwo, mordy i wojnę.

Niedaleko bramy, ale na zewnątrz, rosły dwa ojcowskie drzewa. Lewe, patrząc od strony bramy, nosiło imię Korzeniaka, prawe Człowieka. Człowiek był pequenino, którego Ender musiał własnoręcznie zabić, by rytualnie przypieczętować układ między ludźmi i prosiaczkami. Potem Człowiek odrodził się w celulozie i chlorofilu, jako dojrzały samiec zdolny do płodzenia dzieci.

Obecnie Człowiek nadal posiadał niezwykły autorytet, i to nie tylko we własnym plemienu. Ender wiedział, że pequenino nadal żyje. A jednak, gdy patrzył na drzewo, nie potrafił nie myśleć o tym, jak zginął Człowiek.

Kontakty z Człowiekiem nie sprawiały Enderowi żadnych kłopotów. Wiele razy rozmawiał z jego ojcowskim drzewem. Nie potrafił tylko myśleć o drzewie jak o tej samej osobie, którą znał, gdy była jeszcze pequenino imieniem Człowiek. Intelktualnie pojmował, że wola i pamięć tworzą tożsamość osoby, a ta wola i pamięć w całości zostały przeniesione z pequenino do ojcowskiego drzewa. Ale intelektualne zrozumienie nie zawsze wystarczało do wiary. Człowiek stał się teraz kimś całkiem obcym.

A jednak był to Człowiek i pozostał on przyjacielem; przechodząc, Ender dotknął jego kory. Potem, zoczywszy o kilka kroków ze ścieżki, podszedł do starszego ojcowskiego drzewa, Korzeniaka. Także dotknął kory. Nigdy nie znał Korzeniaka jako pequenino - zginął z innych rąk, a jego drzewo było już wysokie i rozłożyste, nim Ender dotarł na Lusitanię. Kiedy rozmawiał z Korzeniakiem, nie gnębiło go żadne poczucie straty.

U podstawy drzewa, między korzeniami, leżały kije. Niektóre tu przyniesiono, inne zrzucił z własnych konarów sam Korzeniak. Służyły do rozmowy. Pequeninos wybijali nimi rytm na korze ojcowskiego drzewa, a ono tworzyło i przekształcało puste przestrzenie wewnątrz pnia. Odgłos zmieniał się, co było powolną mową. Ender również potrafił wybijać ten rytm, dość niezręcznie, ale dostatecznie sprawnie, by rozumieć drzewa.

Dzisiaj jednak nie miał ochoty na rozmowę. Niech Sadownik powie ojcowskim drzewom, że nie udał się kolejny eksperyment. Ender później pomówi z Korzeniakiem i Człowiekiem. Pomówi z królową kopca. Pomówi z każdym. A po tych wszystkich rozmowach nie zbliży się nawet o krok do rozwiązania problemów, które zaciemniały przyszłość Lusitanii. Ponieważ rozwiązanie ich nie zależało od słów. Zależało od wiedzy i czynów - wiedzy, którą tylko inni ludzie mogą osiągnąć, i czynów, które tylko inni ludzie mogą wykonać. Sam Ender nie mógł zrobić niczego, by cokolwiek rozwiązać.

Wszystko, co potrafił, co robił od dnia tej ostatniej bitwy, którą stoczył jako dziecko-wojownik, to słuchanie i przemawianie. W innych czasach i innych miejscach to wystarczało. Nie teraz. Wiele rodzajów zniszczenia groziło Lusitanii; niektóre sprowadził sam Ender. A jednak ani jednego nie mogło zażegnać działanie, słowo czy myśl Andrew Wiggina. Przyszłość jego, podobnie jak przyszłość wszystkich mieszkańców Lusitanii, spoczywała w rękach innych ludzi. Różnica między nimi polegała na tym, że Ender znał wszystkie zagrożenia, wszystkie możliwe konsekwencje każdej porażki czy błędu. Kto był bardziej przeklęty: ten, co ginął, nieświadom niczego, aż do chwili śmierci, czy ten, który widział własną zagładę, zbliżającą się krok po kroku przez dni, tygodnie i lata? Ender opuścił ojcowskie drzewa i ruszył wydeptaną ścieżką w stronę ludzkiej kolonii, przez bramę, przez drzwi do laboratorium ksenobiologicznego. Zaufany asystent Eli, pequenino nazwany Głuchym, mimo że z pewnością nie miał żadnych problemów ze słuchem, natychmiast wprowadził go

do gabinetu Novinhy. Tutaj czekała już ona sama, Ela, Quara i Grego. Ender uniósł torebkę z fragmentem łądygi ziemniaka.

Ela pokręciła głową, Novinha westchnęła. Ale nie były nawet w połowie tak rozczarowane, jak się tego spodziewał. Wyraźnie myślały o czymś innym,

- Chyba oczekiwałyśmy czegoś takiego - stwierdziła Novinha.

- Jednak musieliśmy spróbować - dodała Ela.

- Dlaczego? - zapytał Grego. Najmłodszy syn Novinhy, a więc pasierb Endera, dawno już skończył dwadzieścia lat i był znakomitym naukowcem. W rodzinnych dyskusjach najchętniej przyjmował rolę adwokata diabła, czy chodziło o ksenobiologię, czy o dobór koloru ścian. - Wprowadzając nowe odmiany, uczymy tylko descoladę, jak sobie radzić z każdą naszą strategią. Jeśli szybko jej nie unicestwimy, to ona unicestwi nas. A bez descolady możemy hodować normalne ziemniaki, bez żadnych bzdurnych dodatków.

- Nie wolno nam! - krzyknęła Quara. Ender był zdumiony. Quara zawsze odzywała się bardzo niechętnie. Taki wybuch zupełnie do niej nie pasował. - Mówię wam, że descolada żyje.

- A ja mówię, że wirus to wirus - odparł Grego.

Ender zaniepokoił się, że Grego przekonuje do likwidacji descolady - to do niego niepodobne: nawoływać do czegoś, co unicestwi pequeninos. Grego praktycznie dorastał wśród nich, znał ich i mówił ich językiem lepiej niż ktokolwiek inny.

- Dzieci, bądźcie cicho i pozwólcie mi wytłumaczyć - przerwała im Novinha. - Dyskutowaliśmy z Ela, co zrobić, jeśli ziemniaki zaczną ginąć. Ela powiedziała... Nie, ty mu wyjaśnij, Elu.

- Idea jest dość prosta. Zamiast tworzyć rośliny, które hamują rozwój wirusa descolady, musimy zaatakować samego wirusa.

- Słusznie - pochwalił Grego.

- Zamknij się - warknęła Quara.

- Wyświadczyć nam wszystkim grzeczność, Grego, i zrób to, o co tak uprzejmie poprosiła cię twoja siostra - powiedziała Novinha.

Ela westchnęła.

- Nie możemy go zabić, gdyż zginie całe rodzime życie Lusitani - mówiła dalej. - Dlatego chciałabym stworzyć nowy szczep descolady. Musiałby pełnić rolę obecnego wirusa w cyklach reprodukcyjnych wszelkich lusitańskich form życia, ale byłby pozbawiony zdolności adaptacji do nowych gatunków,

- Potrafisz wyeliminować tę część wirusa? - zapytał Ender. - Potrafisz ją znaleźć?

- Mało prawdopodobne. Myślę jednak, że zdołam odszukać te fragmenty, które są aktywne w prosiaczkach i wszystkich innych parach zwierzęco-roślinnych. Te zatrzymamy i odrzucimy całą resztę. Dodamy rudymetarną zdolność reprodukcji i wstawimy kilka receptorów, żeby wirus odpowiednio reagował na zmiany w organizmach nosicieli. Całość umieścimy w małej organelli i substytut descolady gotowy. Prosiaczki i inne miejscowe gatunki są bezpieczne, a nasze kłopoty skończone.

- A potem spryskacie planetę, żeby usunąć oryginalne wirusy? - zapytał Ender. - A jeśli powstał już odporny szczep?

- Nie, nie spryskamy, ponieważ zginęłyby także wirusy wbudowane w ciała wszystkich istot na Lusitani. W tym miejscu zaczynają się problemy...

- Jak gdyby reszta była łatwa - rzuciła Novinha. - Stworzyć z niczego nową organellę...

- Nie możemy po prostu wstrzyknąć tych organelli kilku, czy nawet wszystkim prosiaczkom. Musielibyśmy wprowadzić je do organizmu każdego miejscowego zwierzęcia, drzewa i źdźbła

trawy.

- Niemożliwe - uznał Ender.

- Musimy zatem uruchomić mechanizm, który uniwersalnie rozproszylby organelle, a równocześnie zniszczył raz na zawsze wirusy descolady.

- Ksenocyd - oświadczyła Quara.

- O to się właśnie kłócimy - wyjaśniła Ela. - Quara uważa, że descolada jest świadoma.

Ender przyjrzał się swej najmłodszej pasierbicy.

- Świadoma molekula?

- One mają swój język, Andrew.

- Kiedy się dowiedziałas? - zapytał Ender. Usiłował sobie wyobrazić, w jaki sposób może rozmawiać molekula genetyczna, nawet tak długa i skomplikowana jak wirus descolady.

- Już od dawna to podejrzewałam. Nie chciałam nic mówić, póki nie będę pewna, ale...

- Co oznacza, że nie jest pewna - zauważył tryumfalnie Grego.

- Ale prawie pewna. A póki się nie dowiemy, nie możecie zniszczyć całego gatunku.

- Jak rozmawiają? - chciał wiedzieć Ender.

- Inaczej niż my, oczywiście. Przekazują sobie informacje na poziomie molekularnym. Pierwszy raz spostrzegłam to, kiedy pracowałam nad problemem, w jaki sposób nowe, odporne szczepy descolady rozprzestrzeniają się tak szybko i w krótkim czasie zastępują wszystkie stare wirusy. Nie mogłam znaleźć odpowiedzi, ponieważ stawiałam sobie niewłaściwe pytanie. One nie zastępują starych. One przekazują wiadomości.

- Rzucają strzałkami - mruknął Grego.

- To ja tak je nazwałam - odparła Quara. - Nie rozumiałam, że to ich mowa.

- Bo to nie jest mowa - oświadczył Grego.

- To było pięć lat temu - zauważył Ender. - Twierdziłaś, że te strzałki niosą potrzebne geny.

Wszystkie wirusy, które odbiorą strzałki, przebudowują swoją strukturę, by wprowadzić nowy gen. Trudno to uznać za język.

- Ale one nie tylko wtedy wysyłają strzałki. Informacyjne molekuly są wyrzucane i przechwytywane przez cały czas, i na ogół nie zostają wprowadzone do struktury descolady. Są odczytywane przez kilka fragmentów wirusa i przekazywane następnemu.

- To ma być język? - spytał Grego.

- Jeszcze nie - zgodziła się Quara. - Ale czasem, kiedy wirus odczyta taką strzałkę, tworzy nową i posyła ją dalej. I teraz coś, z czego wnioskuję, że to język: przednia część nowej strzałki zawsze rozpoczyna się sekwencją podobną do końcówki strzałki, na którą odpowiada. To pozwala utrzymać wątek rozmowy.

- Rozmowy... - burknął pogardliwie Grego.

- Siedź cicho, bo cię zamorduję - ostrzegła Ela. Ender uświadomił sobie, że nawet po latach głos Eli wciąż posiadał moc hamowania narowów Grega... przynajmniej czasami.

- Śledziłam te rozmowy do stu przekazów. Większość kończy się o wiele wcześniej. Niektóre z nich zostają wbudowane w strukturę wirusa. Ale, co najciekawsze, jest to zupełnie dowolne. Czasami jeden wirus przechwyci strzałkę i zachowa ją, a pozostałe tego nie czynią. Czasami większość wirusów zachowuje pewną szczególną strzałkę. Ale obszar, gdzie ją wprowadzają, to właśnie ten, który najtrudniej nam zbadać. Najtrudniej, ponieważ nie jest częścią ich struktury. To ich pamięć, a poszczególne osobniki różnią się między sobą. Zwykle też, jeśli przyjmą zbyt wiele strzałek, odrzucają niektóre fragmenty pamięci.

- Fascynujące - ocenił Grego. - Ale to nie jest nauka. Na wiele sposobów można wyjaśnić te



strzałki i to losowe wiązanie i odrzucanie...

- Nie losowe! - oburzyła się Quara.

- Nic z tego nie jest jeszcze mową.

Ender zignorował ich kłótnię, ponieważ Jane zaszepotała przez podobny do klejnotu przekaźnik, który nosił w uchu. Odzywała się teraz o wiele rzadziej niż za dawnych lat. Słuchał uważnie, niczego z góry nie przesądzając.

- Ona trafiła na coś ważnego - oświadczyła Jane. - Sprawdziłam jej wyniki. Dzieje się tu coś, co nie występuje w żadnej innej strukturze subkomórkowej. Przeprowadziłam wiele różnych analiz jej danych. Im więcej symuluję i testuję ten szczególny typ zachowania descolady, tym mniej przypomina to kodowanie genetyczne, a bardziej mowę. W tej chwili nie możemy wykluczyć, że wirus jest świadomy.

Kiedy Ender powrócił do dyskusji, mówił Grego.

- Dlaczego wszystko, czego nie potrafimy jeszcze wytłumaczyć, musimy zamieniać w jakieś mistyczne doznania? - Zamknął oczy i zaintonował: - Znalazłem nowe życie! Znalazłem nowe życie!

- Przestań! - krzyknęła Quara.

- Zaczynacie przesadzać - wtrąciła Novinha. - Grego, staraj się nie wykraczać poza poziom racjonalnej dyskusji.

- To trudne, kiedy cała ta teoria jest zupełnie irracjonalna. Ate agora quem ja imaginou microbiologista que se torna namorada de uma molecula? Kto kiedy słyszał o mikrobiologu, który leci na molekułę?

- Dość! - rzuciła ostro Novinha. - Quara jest takim samym naukowcem jak ty, i...

- Była - mruknął Grego.

- ... jeśli przymkniesz się na chwilę i pozwolisz mi skończyć... ma prawo, by zostać wysłuchaną. - Novinha rozgniewała się, ale na Gregu nie zrobiło to wrażenia, jak zwykle. - Powinieneś już wiedzieć, Grego, że często idee z pozoru najbardziej absurdalne i sprzeczne z intuicją są źródłem fundamentalnych przemian.

- Naprawdę uważacie, że to jedno z tych przełomowych odkryć? - Grego po kolei spoglądał im prosto w oczy. - Gadający wirus? Se Qua-ra sabe tanto, porque ela nao diz o que e que aqueles bichos dizem? Jeśli tak dużo o tym wie, czemu nam nie powie, o czym mówią te małe bestie?

Grego przeszedł na portugalski, zamiast mówić w storku, języku nauki i dyplomacji. Był to znak, że dyskusja wymyka się spod kontroli.

- Czy to ważne? - zapytał Ender.

- Ważne! - potwierdziła Quara.

Ela spojrzała na Endera zakłopotana.

- Chodzi jedynie o różnicę między wyleczeniem groźnej choroby a zniszczeniem całej inteligentnej rasy. Myślę, że to ważne.

- Pytałem - wyjaśnił cierpliwie Ender - czy to ważne, co one mówią.

- Nie - odparła Quara. - Prawdopodobnie nigdy nie zrozumiemy ich języka, ale nie zmienia to faktu, że są świadome. Zresztą, o czym miałyby rozmawiać wirusy z istotami ludzkimi?

- Może poprosiłyby „Przestańcie nas zabijać”? - podsunął Grego. - Jeśli potrafiłabyś odgadnąć, jak powiedzieć coś takiego w języku wirusów, to byłoby przydatne.

- Jedno pytanie, Grego - odpowiedziała Quara z udawaną słodyczą. - Czy my mówimy to do nich, czy one do nas?

- Nie musimy decydować dzisiaj - stwierdził Ender. - Możemy jeszcze trochę poczekać.

- Skąd wiesz? - zaprotestował Grego. - Skąd wiesz, czy jutro wszystko nie zacznie nas swędzieć,

boleć, będziemy rzygać i gorączkować, a w końcu umrzemy, bo przez noc wirusy descolady znajdują sposób, żeby raz na zawsze zetrzeć nas z powierzchni tej planety? My albo one.

- Mam wrażenie, że Grego właśnie nam wykazał, dlaczego musimy czekać - rzekł Ender. - Słyszeliście, jak mówił o descoladzie? „Znajdzie sposób”, żeby nas zniszczyć. Nawet on uważa, że descolada ma wolę i podejmuje decyzje.

- Tylko tak powiedziałem.

- Wszyscy mówimy w ten sposób. I myślimy także. Ponieważ wszyscy czujemy, że prowadzimy wojnę z descoladą. Że to coś więcej, niż walka z chorobą. Że to tak, jakbyśmy mieli inteligentnego, zdolnego przeciwnika, który przeciwdziała wszystkim naszym posunięciom. W całej historii badań medycznych nie walczono jeszcze z chorobą, która ma tak wiele sposobów pokonywania używanych przeciw niej strategii.

- Tylko dlatego, że nikt jeszcze nie walczył z mikroblem o tak przerośniętej i złożonej molekuły genetycznej - odparł Grego.

- Właśnie - przyznał Ender. - To wirus jedyny w swoim rodzaju. Może więc posiadać zdolności, jakich nie wyobrażamy sobie u żadnego gatunku mniej strukturalnie złożonego niż kręgowce.

Słowa Endera zawisły na moment w powietrzu. Przez ten moment Ender wyobrażał sobie, że może jednak spełnił w tej dyskusji pożyteczną rolę, że jako zwykły mówca zdołał doprowadzić do jakiegoś porozumienia.

Zaraz jednak Grego wyprowadził go z błędu.

- Jeśli nawet Quara ma rację, jeśli trafiła bezbłędnie, wirusy descolady co do jednego mają doktoraty z filozofii i publikują rozprawy na temat walenia w ludzi, aż pozdychają, co z tego? Mamy paść na grzbiet i wystawić łapy do góry tylko dlatego, że wirus, który próbuje nas wykończyć, jest taki cholernie sprytny?

- Quara powinna dalej prowadzić swoje badania - odpowiedziała spokojnie Novinha. - Musimy przydzielić jej więcej środków. A Ela ma prowadzić swoje.

Tym razem zaprotestowała Quara.

- Po co mam się męczyć ze zrozumieniem ich, jeśli wy wszyscy próbujecie je zniszczyć?

- Rozsądne pytanie - przyznała Novinha. - Z drugiej strony, po co masz się męczyć ze zrozumieniem ich, jeśli nagle znajdą sposób na przebicie naszych barier chemicznych i zabiją nas wszystkich?

- My albo one - powtórzył Grego.

Ender wiedział, że Novinha podjęła słuszną decyzję: prowadzić badania w obu kierunkach i wybrać później, kiedy dowiedzą się więcej. Jednak i Quara, i Grego nie dostrzegali najważniejszego. Oboje zakładali, że wszystko zależy od tego, czy descolada jest świadoma.

- Nawet jeśli wirusy są świadome - powiedział - nie znaczy to jeszcze, że są nietykalne. Problem w tym, czy okażą się ramenami, czy varelse. Jeśli ramenami... jeśli potrafimy je zrozumieć, a one potrafią zrozumieć nas dostatecznie dobrze, byśmy zdołali żyć obok siebie... wtedy w porządku. My pozostaniemy bezpieczni, i one również.

- Wielki polityk zamierza podpisać układ z molekułą? - zapytał Grego.

Ender zignorował jego drwiący ton.

- Z drugiej strony, jeżeli usiłują nas zniszczyć, jeżeli nie potrafimy się z nimi porozumieć, wtedy są varelse: inteligentni obcy, ale nieprzejednani wrodzy i niebezpieczni. Varelse to obcy, z którymi nie zdołamy żyć razem. Varelse to obcy, z którymi naturalnie i permanentnie prowadzimy wojnę. A wtedy nie mamy innego wyboru: naszym moralnym obowiązkiem jest uczynić wszystko, by zwyciężyć.

- Słusznie - przyznał Grego.

Mimo tryumfalnego tonu brata, Quara uważnie słuchała Endera i ważyła każde słowo. Wreszcie skinęła głową.

- Pod warunkiem, że nie będziemy z góry zakładać, że są varelse.

- Nawet wtedy jest szansa, że istnieje trzecie wyjście - zauważył Ender. - Może Ela potrafi przekształcić wszystkie wirusy descolady, nie niszcząc ich systemu mowy i pamięci.

- Nie! - zaprotestowała żarliwie Quara. - Nie możecie... nie macie nawet prawa pozostawiać im wspomnień, a odbierać zdolności adaptacji. To jakby one przeprowadziły nam wszystkim lobotomię czołową. Wojna to wojna. Zabijcie je, ale nie pozostawiajcie pamięci, kradnąc wolę.

- To bez znaczenia - wtrąciła Ela. - I tak postawiłam sobie niewykonalne zadanie. Niełatwo jest operować descoladę. Jak mogę uśpić molekułę, żeby się nie uleczyła, kiedy będę w połowie amputacji? Może descolada słabo zna fizykę, ale i tak o niebo lepiej, niż ja chirurgię molekularną.

- Jak dotąd - mruknął Ender.

- Jak dotąd niczego nie wiemy - oświadczył Grego. - Tyle tylko, że descolada stara się, żeby pozabijać nas wszystkich. A my wciąż się zastanawiamy, czy powinniśmy walczyć. Jeszcze trochę zdołam siedzieć spokojnie i czekać. Do czasu.

- Co z prosiaczkami? - spytała Quara. - Mają chyba prawo głosu w sprawie transformacji molekuły, która nie tylko umożliwia im rozmnażanie, ale prawdopodobnie stworzyła ich jako świadomą rasę?

- Ten wirus próbuje nas zabić - odparł Ender. - Jeżeli Ela zdoła usunąć descoladę, nie zakłócając cyklu reprodukcji prosiaczków, to uważam, że nie mają prawa protestować.

- Może oni uważają inaczej.

- W takim razie nie powinni raczej wiedzieć, co robimy - zauważył Grego.

- Nie wolno nam mówić nikomu, ludziom ani pequeninos, o prowadzonych tu badaniach - oznajmiła surowo Novinha. - To mogłoby wywołać straszliwe nieporozumienia, wiodące do przemocy i śmierci.

- A więc my, ludzie, jesteśmy sędziami dla wszystkich innych istot - warknęła Quara.

- Nie, Quaro. My, naukowcy, zbieramy informacje - odparła Novinha. - I póki nie zgromadzimy ich dosyć, nikt nie może o niczym przesądzać. Dlatego tajemnica obowiązuje wszystkich w tym pokoju. Quarę i Grega również. Nie powiecie nikomu, dopóki wam nie pozwolę, a nie pozwolę, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

- Dopóki ty nie pozwolisz? - spytał zuchwale Grego. - Czy dopóki nie pozwoli Mówca Umarłych?

- Ja jestem głównym ksenobiologiem - wyjaśniła chłodno Novinha. - Tylko do mnie należy decyzja, czy wiemy już dostatecznie dużo. Czy to jasne?

Czekała, aż wszyscy potwierdzą. Zrobili to.

Novinha wstała. Spotkanie dobiegło końca. Quara i Grego wyszli prawie natychmiast; Novinha pocałowała Endera w policzek, po czym wypchnęła jego i Elę z gabinetu.

Ender zatrzymał się jeszcze w laboratorium, żeby porozmawiać z Elą.

- Czy istnieje sposób, by rozpowszechnić twój zastępczy wirus w całej populacji rdzennych gatunków Lusitania?

- Nie wiem - przyznała. - To łatwiejsze, niż wprowadzić go do wszystkich komórek poszczególnych organizmów tak szybko, żeby descolada nie zdążyła się dostosować ani uciec. Będę musiała stworzyć rodzaj wirusowego nośnika i chyba oprzeć jego budowę na modelu samej descolady. To jedyny znany mi pasożyt, który atakuje nosiciela tak prędko i tak wszechstronnie, jak powinien mój nośnik. To śmieszne... próbuję zastąpić descoladę, wykorzystując metody stosowane

przez jej wirusy.

- Wcale nie śmieszne - sprzeciwił się Ender. - Tak funkcjonuje świat. Ktoś powiedział mi kiedyś,

że jedyny nauczyciel wart twojej uwagi to twój nieprzyjaciel.

- Zatem Quara i Grego muszą dawać sobie doktoraty.

- Prowadzą zdrową dyskusję - zgodził się Ender. - Zmuszają nas, byśmy wzięli każdy aspekt naszych poczynań.

- Przestanie być zdrowa, kiedy jedno z nich zechce przenieść ją poza rodzinę - stwierdziła Ela.

- Ta rodzina nie rozmawia o swoich sprawach z obcymi - przypomniał Ender. - Ja wiem o tym najlepiej.

- Wręcz przeciwnie, Ender. Ty powinieneś najlepiej wiedzieć, jak bardzo pragniemy porozmawiać z kimś obcym... kiedy uznamy, że nasze potrzeby to uzasadniają.

Musiał przyznać, że Ela ma rację. Kiedy Ender przyleciał na Lusitanię trudno było skłonić Quarę i Grega, Mira, Quima i Olhada, by zaufali mu i zechcieli z nim mówić. Za to Ela rozmawiała z nim od samego początku, a w końcu również wszystkie dzieci Novinhy. A wreszcie i sama Novinha. W tej rodzinie wszyscy byli wyjątkowo lojalni, lecz mieli również silne przekonania i opinie; każde z nich przedkładało własny osąd ponad zdanie innych. Grego czy Quara mogli uznać, że powiadomienie kogoś obcego leży w interesie Lusitanii, ludzkości czy nauki, i to będzie koniec tajemnicy. W taki sam sposób złamana została zasada nieingerencji w społeczność prosiaczków, zanim jeszcze Ender się tu zjawił.

Jak to miło, pomyślał Ender. Jeszcze jedna możliwa przyczyna katastrofy, nad którą nie mam absolutnie żadnej kontroli.

Wychodząc z laboratorium Ender - jak już wiele razy - zapragnął, by była z nirn Valentine. Ona doskonale potrafiła rozwiązywać moralne dylematy. Zjawi się wkrótce... ale czy nie za późno? Ender rozumiał i w większości zgadzał się z punktem widzenia zarówno Grega, jak i Quary. Najbardziej bolała go konieczność dochowania tajemnicy. Nie mógł porozmawiać z pequeninos, nawet z samym Człowiekiem, o decyzji, która wpłynie na ich życie w tym samym stopniu, co na życie ziemskich kolonistów. A jednak Novinha miała rację. Publiczne postawienie tej sprawy - teraz, gdy nie wiadomo nawet, czy takie rozwiązanie jest możliwe - spowoduje w najlepszym razie niepokój, w najgorszym zaś anarchię i rozlew krwi. Pequeninos żyli obecnie w pokoju, ale historia gatunku pełna była krwawych wojen.

Ender wyszedł przez bramę i skierował się na pole eksperymentalne. Zauważył Quarę stojącą pod ojcowskim drzewem Człowieka, z kijami w rękach, pogrążoną w rozmowie. Nie uderzała o pień, gdyż z pewnością by to usłyszała. Chciała więc pomówić z Człowiekiem na osobności. Dobrze. Ender pójdzie dłuższą drogą, dookoła, by nie zbliżyć się za bardzo i nie podsłuchiwać.

Lecz kiedy Quara zauważyła, że patrzy w jej stronę, natychmiast zakończyła rozmowę i szybkim krokiem ruszyła ścieżką do bramy. To, oczywiście, doprowadziło ją wprost do Endera.

- Jakies sekrety? - zapytał.

To miał być żart. Dopiero kiedy wypowiedział te słowa, a Quara zrobiła tajemniczą minę, Ender zrozumiał, o jakim sekrecie mogła rozmawiać. A jej odpowiedź potwierdziła te podejrzenia.

- Pojęcie uczciwości mamy nie zawsze zgadza się z moim - oświadczyła. - Twoje też, nawiasem mówiąc.

Wiedział, że może to zrobić, ale nie przyszło mu do głowy, że zrobi to tak prędko po tym, kiedy obiecała milczeć.

- Czy uczciwość zawsze jest najważniejsza? - zapytał.

- Dla mnie tak.

Próbowała wyminąć go i przejść przez bramę, ale Ender chwycił ją za ramię.

- Puść mnie.

- Powiedzieć Człowiekowi to jedna sprawa - rzekł Ender. - Jest bardzo mądry. Ale nie mów nikomu innemu. Niektórzy pequeninos, niektórzy z samców, mogą zachować się bardzo agresywnie, jeśli uznają, że mają do tego powód.

- To nie samce - odparła Quara. - Oni nazywają siebie braćmi. My powinniśmy może nazywać ich mężczyznami. - Uśmiechnęła się trjumfująco. - Nie jesteś nawet w połowie tak pozbawiony uprzedzeń, jak chcesz wierzyć.

Odepchnęła go i pobiegła przez bramę do Milagre.

Ender podszedł do ojcowskiego drzewa.

- Co ci mówiła, Człowieku? - zapytał. - Czy powiedziała, że raczej zginę, niż pozwolę zniszczyć descoladę, jeśli miałoby to skrzywdzić ciebie i twój lud?

Oczywiście Człowiek nie odpowiedział mu, gdyż Ender nie miał zamiaru uderzać o jego pień mówiącymi kijami, używanymi do rozmowy w języku ojców. Gdyby to zrobił, samcy pequeninos usłyszeli by i przybiegli. Nie istniało coś takiego jak poufna rozmowa między pequeninos a ojcowskimi drzewami. Gdyby ojcowskie drzewo zapragnęło odosobnienia, zawsze mogło bezgłośnie porozmawiać z innymi drzewami - kontaktowali się umysłami, jak królowa kopca z robalami, służącymi jej za oczy, uszy, ręce i stopy. Gdybym mógł stać się elementem tej sieci komunikacyjnej, westchnął Ender. Natychmiastowy kontakt, czysta myśl przesyłana w każdy punkt wszechświata...

A jednak musiał przemówić, musiał przeciwdziałać zdradzie Quary.

- Człowieku, robimy wszystko co w naszej mocy, by ocalić i ludzi, i pequeninos. Jeśli to możliwe, postaramy się ocalić nawet wirusa descolady. Ela i Novinha są specjalistkami w swej dziedzinie. Tak samo jak Grego i Quara. Ale na razie, proszę, zaufaj nam i nie powtarzaj tego nikomu. Proszę. Jeśli ludzie i pequeninos zrozumieją, jakie zagraża nam niebezpieczeństwo, zanim potrafimy je zażegnać, rezultaty będą gwałtowne i straszne.

Nic więcej nie mógł powiedzieć. Ruszył do pola upraw eksperymentalnych. Przed zmrokiem on i Sadownik zakończyli pomiary, po czym spalili i oczyścili całe pole. Żadne większe molekuly nie przetrwały wewnątrz bariery destrukcyjnej. Zrobili wszystko, by mieć pewność, że descolada zapomniała o wszystkim, czego mogła się nauczyć na tym obszarze.

Nie mogli tylko pozbyć się wirusów w komórkach własnych organizmów. A jeśli Quara miała rację? Jeśli descolada wewnątrz bariery zdołała „opowiedzieć” wirusom, przenoszonym w ciałach Endera i Sadownika, czego się dowiedziała z tej nowej odmiany ziemniaków? O blokadach, które usiłowały wprowadzić Ela i Novinha? O sposobach ich pokonania?

Jeśli descolada naprawdę jest inteligentna, jeśli dysponuje językiem dla rozpowszechniania informacji i przekazywania wzorców zachowania... jak Ender, czy ktokolwiek może zachować nadzieję na końcowe zwycięstwo? Wirusy mogą się bowiem okazać najbardziej elastycznym gatunkiem, najlepiej przystosowanym do zdobywania nowych światów i eliminacji rywali silniejszych niż ludzie, prosiaczki, robale czy jakiegokolwiek stworzenia żyjące na zasiedlonych planetach. Z tą myślą Ender kładł się do łóżka, ta myśl dręczyła go nawet gdy kochał się z Novinhą. Chciała go pocieszyć, jakby to on, nie ona, niósł na barkach troski tego świata. Próbował się usprawiedliwiać, lecz szybko pojął, że to daremne. Po co do jej zmartwień dodawać swoje własne?

Człowiek wysłuchał słów Endera, nie mógł jednak przystać na jego prośbę. Milczeć? Nie wtedy, kiedy ludzie tworzą nowe wirusy, które grożą zmianą cyklu życiowego pequeninos. Oczywiście, Człowiek nic nie powie niedojrzałym braciom i żonom. Może jednak - i robi to - powiedzieć wszystkim ojcowskim drzewom na Lusitaniu. Mają prawo wiedzieć, co się dzieje, i wspólnie

postanowić, co robić, jeśli w ogóle.

Przed zmrokiem każde ojcowskie drzewo wiedziało to, co Człowiek o planach ludzi i o tym, na ile - jego zdaniem - można im zaufać. Większość zgodziła się z nim: na razie pozwólmy ludziom kontynuować badania. Ale trzeba uważnie obserwować i przygotowywać się do chwili, która może nadejść - choć mamy nadzieję, że nie nastąpi ona nigdy - kiedy ludzie i pequeninos przystąpią do wojny przeciw sobie. W tej walce nie mamy szans, jednak nim ludzie nas wybiją, może znajdzie się sposób, by niektórzy uciekli.

Przed świtem ułożyli plany i porozumieli się z królową kopca, jedynym pozaludzkim źródłem zaawansowanej techniki na planecie. I nim kolejny dzień dobiegł końca, rozpoczęła się już budowa kosmolotu, który mógłby opuścić Lusitanię.

*Czy to prawda, że za dawnych dni, kiedy wysyłałyście kosmoloty, by zasiedlać nowe światy, zawsze mogłyście ze sobą rozmawiać, jakbyście stały w tym samym lesie?*

*Zakładamy, że tak samo będzie z wami. Kiedy wyrosną nowe ojcowskie drzewa, będą dla was obecne. Odległość nie ma wpływu na połączenia filotyczne.*

*Ale czy będziemy połączeni? Drzew nie wyślemy w podróż. Tylko braci, kilka żon i setkę małych matek, by zrodziły nowe pokolenia. Podróż potrwa dziesiątki lat. Gdy tylko dotrą na miejsce, najlepsi z braci zostaną przeniesieni do trzeciego życia, ale minie przynajmniej rok, nim pierwsze z ojcowskich drzew wyrosnie tak, by spłodzić młode. Skąd ten pierwszy ojciec w nowym świecie będzie wiedział, jak do nas przemówić? Jak go powitamy, nie wiedząc, gdzie się znajduje?*

Pot ściekał po twarzy Qing-jao. Pochylała się, a krople spływały po policzkach, pod oczami, grzbietem nosa. Stamtąd pot kapał w mętną wodę, zalewającą ryżowe pola albo na nowe roślinki, sterczące tuż nad powierzchnią.

- Dlaczego nie wytrzesz twarzy, świętobliwa?

Qing-jao podniosła głowę, sprawdzając, kto znalazł się dostatecznie blisko, żeby się do niej odezwać. Zwykle ludzie, zajęci słusznym trudem, odsuwali się od niej. Obecność bogosłyszającej wprawiała ich w zakłopotanie.

To była dziewczynka, młodsza od Qing-jao - może czternastoletnia. Miała chłopięcą sylwetkę i bardzo krótko ścięte włosy. Była w niej jakaś otwartość, całkowity brak nieśmiałości, co Qing-jao wydało się dziwne i niezbyt miłe. Z początku zamierzała ją zignorować.

Ale to byłoby arogancją. To tak, jakby powiedziała: ponieważ jestem bogosłyszającą, nie muszę odpowiadać, kiedy się do mnie zwracają. Nikt się nie domyśli, że nie odpowiada, gdyż myślenie o czymkolwiek poza niemożliwym do wykonania zadaniem, powierzonym przez wielkiego Hań Fei-tzu, sprawia jej niemal fizyczny ból.

Odpowiedziała więc... ale pytaniem.

- Dlaczego powinnam wytrzeć twarz?

- Czy cię nie łaskocze? Ten pot, ściekający po twarzy? Czy nie zalewa ci oczu i nie piecze?

Qing-jao opuściła głowę i na chwilę wróciła do pracy. Tym razem zwracała uwagę na to, co czuje. Rzeczywiście, łaskotało, a pot piekł w oczy. Nieprzyjemne i irytujące uczucie. Qing-jao wyprostowała się powoli... i zauważyła, jaki ból to sprawia, jak grzbiet protestuje przeciwko zmianie pozycji.

- Tak - powiedziała. - Łaskocze i piecze.

- Wytrzyj go - poradziła dziewczynka. - Rękawem.

Qing-jao spojrzała na rękaw. Był już przesiąknięty potem z jej rąk.

- Czy wycieranie pomaga? - zapytała.

Teraz dziewczynka odkryła coś, co wcześniej nie przyszło jej zupełnie do głowy. Zastanawiała się przez krótką chwilę, potem otarła rękawem czoło.

Uśmiechnęła się.

- Nie, świętobliwa. Ani trochę nie pomaga.

Qing-jao posepnie kiwnęła głową i wróciła do pracy. Jednak łaskotanie spływającego potu, pieczenie oczu i ból grzbietu przeszkadzały teraz o wiele bardziej. Niewygody pozwoliły zapomnieć o dręczących myślach... choć raczej powinno być odwrotnie. Dziewczynka powiększyła jej

cierpienia, zwracając na nie uwagę... A jednak, paradoksalnie, uświadamiając Qing-jao cierpienia ciała, uwolniła ją od pytań oblegających umysł.

Qing-jao wybuchnęła śmiechem.

- Czy ze mnie się śmiejesz, świątobliwa? - zapytała dziewczynka.

- Dziękuję ci na swój sposób - wyjaśniła Qing-jao. - Choć tylko na chwilę, ale uniosłaś ciężkie brzemie z mego serca.

- Śmiejesz się ze mnie, bo poradziłam ci, żebyś otarła czoło, chociaż to wcale nie pomaga.

- Powiedziałam, że nie dlatego się śmieję - powtórzyła Qing-jao. Wyprostowała się i spojrzała dziewczynce w oczy. - Ja nie kłamię.

Dziewczynka wydawała się speszona, ale nawet w połowie nie tak jak powinna. Kiedy bogosłyszający mówił tonem, jakiego użyła właśnie Qing-jao, inni natychmiast kłaniali się i okazywali szacunek. Lecz ta mała wysłuchiwała tylko, rozważyła słowa Qing-jao i skinęła głową.

Qing-jao mogła wyciągnąć tylko jeden wniosek.

- Czy również jesteś bogosłyszającą? - zapytała. Dziewczynka szeroko otworzyła oczy.

- Ja? - zdumiała się. - Oboje moi rodzice są niskiego stanu. Ojciec rozrzuca nawóz na polach, a matka zmywa w restauracji.

Oczywiście, to niczego nie dowodziło. Wprawdzie bogowie najczęściej wybierali dzieci bogosłyszających, lecz niekiedy przemawiali do takich, których rodzice nigdy nie słyszeli boskiego głosu. Wierzono jednak powszechnie, że bogowie nie interesowali się dziećmi bardzo niskiego stanu. I rzeczywiście, rzadko przemawiali do tych, których rodzice nie byli wszechstronnie wykształceni.

- Jak ci na imię? - spytała Qing-jao.

- Si Wang-mu - odparła dziewczynka.

Qing-jao odetchnęła głęboko i zakryła usta, by powstrzymać śmiech. Ale Wang-mu nie była zagniewana - skrzywiła się tylko, jakby z niecierpliwością.

- Przepraszam cię - rzekła Qing-jao, gdy tylko znowu mogła mówić. - Ale to przecież imię...

- Królewskiej Matki Zachodu - dokończyła Wang-mu. - Co mogę poradzić, że rodzice mi je wybrali?

- To szlachetne imię. Moja przodkini-serca była wielką kobietą, ale zaledwie śmiertelniczką, poetką. Twoja należy do najstarszych spośród bogów.

- Co mi z tego? Rodzice byli zarozumiali, nazywając mnie imieniem tak wyjątkowej bogini. Dlatego bogowie nigdy się do mnie nie odezwą.

Gorycz Wang-mu zasmuciła Qing-jao. Gdyby tylko wiedziała, jak chętnie Qing-jao by się z nią zamieniła. Uwolnić się od głosu bogów! Nigdy już nie pochylać się nad podłogą i nie śledzić linii słojów, nigdy nie myć rąk, chyba że się pobrudzą...

A jednak Qing-jao nie mogła wytłumaczyć tego dziewczynce. Nie zrozumiałaby. Dla Wang-mu bogosłyszający byli uprzywilejowaną elitą, nieskończenie mądrą i niedostępną. Zabrzmiałoby to jak kłamstwo, gdyby Qing-jao przekonywała, że ciężar dźwigany przez bogosłyszających jest daleko większy niż ich nagrody.

Tyle że dla Wang-mu bogosłyszający nie byli niedostępni - odezwała się przecież pierwsza. Dlatego Qing-jao postanowiła wyznać, co leży jej na sercu.

- Si Wang-mu, chętnie przeżyłabym resztę swego życia jako niewidoma, gdybym tylko mogła się uwolnić od głosu bogów. Zaszokowana Wang-mu otworzyła usta. Qing-jao natychmiast pożałowała swoich słów.

- Żartowałam - wyjaśniła.

- Nie - zaprotestowała Wang-mu. - Teraz kłamiesz. Wtedy mówiłaś prawdę. - Podeszła bliżej,



brodząc w wodzie i depcząc nieuważnie pędy ryżu. - Przez całe życie widywałam bogosłyszających, niesionych w lektykach do świątyń, okrytych pięknymi jedwabiami. Wszyscy im się kłaniali, wszystkie komputery stały przed nimi otworem. Kiedy mówią, ich słowa są jak muzyka. Kto nie chciałby zostać jednym z nich?

Qing-jao nie mogła odpowiedzieć otwarcie, nie mogła wyznać: każdego dnia bogowie poniżają mnie, każą wykonywać głupie, bezsensowne czynności, które mają mnie oczyścić... a następnego dnia wszystko zaczyna się od początku.

- Nie uwierzysz mi, Wang-mu, ale lepsze jest życie tutaj, na polach.

- Nie! - krzyknęła Wang-mu. - Nauczono cię wszystkiego! Wiesz wszystko, co można wiedzieć! Umiesz mówić wieloma językami, umiesz odczytać wszelkie słowa, twoje myśli przewyższają moje tak, jak moje przewyższają myśli ślimaka.

- Mówisz czysto i wyraźnie - zauważyła Qing-jao. - Musiałas chodzić do szkoły.

- Szkoły! - powtórzyła Wang-mu pogardliwie. - Co ich obchodzi szkoły dla takich dzieci jak ja? Uczyliśmy się czytać, ale tylko tyle, by odczytywać modlitwy i napisy na ulicach. Uczyliśmy się liczyć, ale tylko po to, by robić zakupy. Uczyliśmy się na pamięć myśli mędrców, ale tylko takich, które pouczyły, by cieszyć się swym miejscem w życiu i być posłusznym mądrzejszym od nas.

Qing-jao nie zdawała sobie sprawy, że tak mogą wyglądać szkoły. Wierzyła, że dzieci w szkole uczą się tego samego, co ona od swoich wykładowców. Od razu jednak zrozumiała, że Wang-mu mówi prawdę: jeden nauczyciel w żaden sposób nie zdoła przekazać trzydziestu uczniom tego wszystkiego, co poznała Qing-jao jako jedna uczennica z wieloma nauczycielami.

- Moi rodzice są biedni - stwierdziła Wang-mu. - Po co mieli tracić czas, ucząc mnie więcej niż potrzeba służącej? Ponieważ to właśnie jest moją największą nadzieją: że zostanę służącą w domu jakiegoś bogacza. Dopilnowali, bym dobrze umiała myć podłogi.- Wiem coś o podłogach.

- Wiesz coś o wszystkim. Więc nie mów mi, jak trudno być bogosłyszającą. Bogowie nigdy o mnie nie pomyśleli, I zapewniam cię, że to jest gorsze.

- Dlaczego nie bałaś się do mnie odezwać?

- Postanowiłam nie bać się niczego. Co możesz mi zrobić, co jeszcze bardziej pogorszy moje życie?

Mogę ci kazać każdego dnia myć ręce, aż zaczną krwawić.

Ale wtedy coś przeskoczyło w umyśle Qing-jao i zrozumiała, że dziewczynka niekoniecznie uzna to za gorszy los. Może nawet z radością szorowałaby ręce, aż pozostałyby tylko frędzel poszarpanej skóry przy nadgarstkach, byle tylko zdobyć dostęp do wiedzy. Qing-jao dręczyło zadanie powierzone jej przez ojca, jednak zadanie to, czy go wypełni czy nie, odmieni historię. Wang-mu nigdy nie otrzyma polecenia, którego nie będzie musiała wypełnić również następnego dnia; będzie wykonywać prace, które zostaną dostrzeżone i ocenione tylko wtedy, gdy wykona je źle. Praca służącej była niemal tak bezsensowna jak rytuały oczyszczenia.

- Życie służącej musi być ciężkie - stwierdziła Qing-jao. - Cieszę się, że nikt cię jeszcze nie najął.

- Moi rodzice czekają w nadziei, że stanę się piękną kobietą. Dostaną wtedy wyższą premię, kiedy trafię na służbę. Może szambelan jakiegoś bogacza zechce mnie dla żony swego pana... może bogata dama wybierze mnie na swoją sekretną druhnę...

- Już jesteś piękna - zauważyła Qing-jao. Wang-mu wzruszyła ramionami.

- Moja przyjaciółka, Fan-liu, jest na służbie. Mówi, że te brzydkie pracują ciężiej, ale mężczyźni ich nie zaczepiają. Brzydkie służące mogą myśleć, co chcą. Nie muszą powtarzać swoim paniom miłych rzeczy.

Qing-jao pomyślała o służbie w swoim domu. Wiedziała, że ojciec nigdy nie zaczepiałby

pokojówek. A jej nikt nie musiał powtarzać miłych rzeczy.

- W moim domu jest inaczej - powiedziała.

- Ale ja nie służę w twoim domu - odparła Wang-mu.

Nagle wszystko stało się jasne. To nie impuls skłonił Wang-mu do rozpoczęcia tej rozmowy. Odezwała się w nadziei, że dostanie pracę w domu bogosłyszającej. Z pewnością całe miasteczko plotkuje o tym, że młoda bogosłyszająca dama, Hań Qing-jao, która zakończyła już naukę i otrzymała pierwsze dorosłe zadanie, wciąż nie ma ani męża, ani sekretnej druhny. Wang-mu postarała się zapewne, by trafić do tego samego zespołu słusznego trudu co Qing-jao, i przeprowadzić tę rozmowę.

Qing-jao rozgniewała się na chwilę. Ale zaraz pomyślała: dlaczego Wang-mu nie miałyby zrobić właśnie tego, co zrobiła? Najgorsze, co mogło ją spotkać, to to, że odgadnę jej zamiary, rozgniewam się i nie przyjmę do pracy. Jej życie będzie nie gorsze niż przedtem. A gdybym nie odgadła, polubiła ją i wzięła na służbę, byłaby sekretną druhną bogosłyszającej. Czy na jej miejscu nie postąpiłabym tak samo?

- Czy sądzisz, że zdołasz mnie oszukać? - spytała. - Że nie wiem, jak zaplanowałam, bym przyjęła cię do siebie?

Wang-mu wydawała się zakłopotana, rozzłoszczona, przestraszona. Rozsądnie jednak milczała.

- Dlaczego się nie rozgniewasz? - zapytała Qing-jao. - Dlaczego nie zaprzeczasz, że nie tylko po to odezwałam się do mnie?

- Ponieważ to prawda - wyznała Wang-mu. - Teraz już sobie pójdę. To właśnie chciała usłyszeć Qing-jao: szczerą odpowiedź. Nie zamierzała pozwolić dziewczynce odejść.

- Ile z tego, co mówiłaś, jest prawdą? O tym, że chcesz się uczyć? Że pragniesz w życiu czegoś więcej niż pójść na służbę?

- Wszystko. - W głosie Wang-mu zabrzmiała pasja. - Ale czy to ważne? Ty przecież dźwigasz straszliwe brzemie głosu bogów.

Ostatnie zdanie Wang-mu wypowiedziała z takim wzgardliwym sarkazmem, że Qing-jao nieomal roześmiała się w głos. Powstrzymała się jednak. Nie chciała złościć Wang-mu jeszcze bardziej.

- Si Wang-mu, córko-serca Królewskiej Matki Zachodu, przyjmę cię jako moją sekretną druhnę, ale tylko wtedy, gdy zgodzisz się na następujące warunki. Po pierwsze, będę twoją nauczycielką; będziesz sumiennie studiować wszystko, co ci zadam. Po drugie, będziesz się do mnie zwracać jak równa, nie będziesz składać pokłonów ani nazywać mnie „świętobliwą”. I po trzecie...

- Jak mogę to uczynić? - zdziwiła się Wang-mu. - Jeśli nie będę zwracać się do ciebie z należnym szacunkiem, inni powiedzą, że jestem niegodna, i ukarają, gdy ty nie będziesz patrzyła. To pohańbi nas obie.

- Oczywiście, masz okazywać respekt, kiedy inni nas widzą. Ale kiedy zostaniemy same, ty i ja, traktujemy się nawzajem jak równe. Inaczej odeślę cię do domu.

- A trzeci warunek?

- Nikomu nie zdradzisz ani słowa z tego, co ci powiem. Twarz Wang-mu wyrażała gniew.

- Sekretna druhna nigdy nie mówi. W naszych umysłach wznosi się specjalne bariery.

- Te bariery przypominają tylko, żeby nie mówić. Ale jeśli naprawdę chcesz, potrafisz je ominąć.

A są tacy, którzy spróbują cię przekonać, byś zdradziła.

Qing-jao pomyślała o karierze ojca, o wszystkich tajemnicach Kongresu, które przechowywał w pamięci. Nie zdradzał ich nikomu; nie miał nikogo, z kim mógłby porozmawiać... z wyjątkiem - czasami - Qing-jao. Jeśli Wang-mu okaże się godna zaufania, Qing-jao będzie miała taką osobę. Nie pozostanie samotna jak ojciec.

- Rozumiesz mnie? - zapytała. - Inni pomyślą, że przyjmuję cię jako sekretną druhnę. Ale my obie

będziemy wiedziały, że naprawdę przychodzisz jako moja uczennica, i że masz być przyjaciółką.

Wang-mu spojrzała na nią zdumiona.

- Czy uczynisz to, skoro bogowie zdradzili ci już, jak przekupiłam nadzorcę, by przydzielił mnie do twojej grupy i nie przeszkadzał nam w rozmowie?

Bogowie, oczywiście, niczego takiego nie powiedzieli. Lecz Qing-jao uśmiechnęła się tylko.

- Dlaczego nie przyszło ci do głowy, że bogowie chcą może, byśmy zostały przyjaciółkami?

Speszona, Wang-mu splotła dłonie i roześmiała się nerwowo. Qing-jao ujęła ją za ręce i przekonała się, że drżą. Dziewczynka nie była tak zuchwała, jak mogłoby się wydawać.

Wang-mu spojrzała na swoje dłonie, a Qing-jao podążyła za jej wzrokiem. Ręce miały pokryte błotem, zaschniętym teraz, gdyż długo stały wyprostowane i nie zanurzały ich w wodzie.

- Jesteśmy strasznie brudne - zachichotała Wang-mu. Qing-jao już dawno nauczyła się nie zważać na brud słusznego trudu. Ten brud nie wymagał pokuty.

- Miewałam już ręce o wiele brudniejsze niż teraz - odparła. - Chodź za mną, gdy zakończymy już słuszny trud. Powiem ojcu o naszym planie, a on zdecyduje, czy możesz zostać moją sekretną druhną.

Wang-mu skrzywiła się. Qing-jao z zadowoleniem stwierdziła, że dziewczynka ma bardzo wyrazistą twarz.

- Co się stało? - spytała.

- Ojcowie zawsze o wszystkim decydują.

Qing-jao kiwnęła głową, zdziwiona, że Wang-mu stwierdza coś tak oczywistego.

- To początek mądrości - oświadczyła. - A poza tym, moja matka nie żyje.

Słuszny trud kończył się wczesnym popołudniem. Oficjalnie dlatego, by ludzie mieszkający daleko mieli czas na powrót do domów. W rzeczywistości przyczyną było zwyczajowe przyjęcie, urządzone po wykonaniu słusznego trudu. Ludzie pracowali w porze popołudniowej drzemki, więc czuli się senni jak po nieprzespanej nocy. Inni byli rozleniwieni i ponurzy. I jedno, i drugie stanowiło pretekst, by się napić, zjeść z przyjaciółmi, a potem zwałić do łóżka o wiele wcześniej niż zwykle, nadrabiając straconą sjęstę i wypoczywając po ciężkiej pracy.

Qing-jao należała do tych, którzy czuli się nieswojo; Wang-mu najwyraźniej też. A może to dlatego, że Qing-jao dręczył problem Floty Lusitańskiej, podczas gdy Wang-mu właśnie została sekretną druhną bogosłyszającej. Qing-jao przeprowadziła Wang-mu przez kolejne etapy angażowania do pracy w Domu Hań: kąpiel, odciski palców, kontrola służb bezpieczeństwa... aż wreszcie poczuła, że ani chwili dłużej nie wytrzyma paplania dziewczynki. Odeszła.

- Czy rozgniewałam moją panią? - usłyszała strwożony głos Wang-mu, gdy wspinała się po schodach do swojego pokoju.

- Bogosłyszający odpowiadają na inne głosy niż twój, maleńka - odpowiedział Ju Kung-mei, strażnik Rodu Hań.

Odpowiedział łagodnie. Qing-jao często podziwiała delikatność i mądrość ludzi, których ojciec przyjmował do pracy. Zastanawiała się, czy sama dokonała równie trafnego wyboru.

Gdy tylko o tym pomyślała, natychmiast zrozumiała, że postąpiła niegodziwie, podejmując decyzję tak szybko i nie radząc się ojca. Wang-mu z pewnością okaże się zupełnie nieodpowiednia i ojciec skarci ją za brak rozwagi.

Wyobraziła sobie jego wymówki i to wystarczyło, by natychmiast ściągnąć naganę bogów. Qing-jao poczuła, że jest nieczysta. Pobiegnęła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Gorzką ironią było, że mogła bez końca rozważać, jak nienawistne są wymagane przez bogów rytuały, jak puste nabożeństwa... ale wystarczyła jedna nielojalna myśl wobec ojca albo Kongresu, a natychmiast musiała wypełniać pokutę.

Zwykle wytrzymała pół godziny, godzinę, czasem więcej, opierając się głosowi bogów, trwając w nieczystości. Dziś jednak nie mogła się doczekać oczyszczenia. W pewien sposób rytuał miał sens, strukturę, początek, koniec i ustalone reguły. Przeciwnie niż problem Floty Lusitańskiej.

Już na kolanach, umyślnie wybrała najwęższy, najślabszy słoć na najjaśniejszej desce podłogi. To miała być ciężka pokuta; może wtedy bogowie uznają ją za czystą i wskażą rozwiązanie postawionego przez ojca zadania. Droga przez pokój zajęła jej pół godziny, gdyż ciągle traciła linię z oczu i musiała zaczynać od początku.

W końcu, zmęczona, z oczami piekącymi od śledzenia słoju, chciała już tylko zasnąć. Zamiast tego usiadła na podłodze przed terminalem i wywołała podsumowanie swej dotychczasowej pracy. Po zbadaniu i wyeliminowaniu wszystkich bezużytecznych absurdów, jakie nagromadziły się w czasie badań, pozostały trzy ogólne kategorie wyjaśnień. Pierwsze, że przyczyną zniknięcia floty było zjawisko naturalne, którego - wobec ograniczeń prędkości światła - nie dostrzegli jeszcze astronomowie. Drugie, że przerwanie łączności nastąpiło w wyniku albo sabotażu, albo decyzji podjętej przez dowództwo floty. I trzecie, że powodem był spisek na którejś z planet.

Pierwszą kategorię można było praktycznie wykluczyć, ze względu na sposób podróży. Kosmoloty leciały po prostu zbyt daleko od siebie, by jakikolwiek fenomen zniszczył je równocześnie. Flota nie spotkała się przed odlotem - byłoby to tylko stratą czasu niepotrzebną dzięki ansiblom. Statki ruszyły w stronę Lusitani z tych miejsc, gdzie się znajdowały, gdy włączono je w skład ekspedycji. Nawet teraz, gdy do celu pozostał najwyżej rok, odległości między nimi były jeszcze zbyt wielkie, by jakiegokolwiek wyobrażalne zjawisko naturalne mogło osiągnąć je w tym samym czasie.

Druga kategoria wydawała się niemal równie mało prawdopodobna. Przede wszystkim dlatego, że zniknęła cała flota, bez żadnych wyjątków. Czy ludzie mogli zrealizować swe plany z tak doskonałą skutecznością? I to nie zostawiając żadnych śladów w bazach danych, profilach osobowości i rejestrach łączności, przechowywanych w planetarnych komputerach? Nie było też dowodów, że ktoś zmieniał czy kasował dane albo ukrywał komunikaty. Jeśli plan powstał we flocie, nie istniały na to żadne dowody.

Ten sam brak śladów sprawiał, że teoria spisku na planetach wydawała się jeszcze mniej realna. A wszystkie trzy możliwości okazywały się zupełnie nieprawdopodobne, jeśliby wziąć pod uwagę równoczesność zjawiska. O ile można to było stwierdzić, statki przerwały ansiblową łączność prawie dokładnie w tej samej chwili. Różnice czasu sięgały sekund, może najwyżej minut... ale z pewnością nigdy więcej niż pięć, nigdy tak długo, by na jednym statku ktoś zauważył zniknięcie innego.

Podsumowanie było eleganckie w swej prostocie. Uwzględniało wszystkie aspekty, wszelkie zgromadzone dowody. I wykazywało, że żadne wytłumaczenie nie jest w istocie możliwe.

Dlaczego ojciec mi to zrobił, pomyślała już nie pierwszy raz.

I natychmiast - jak zwykle - poczuła się niegodna, gdyż w ogóle zadała takie pytanie, zwątpiła w absolutną słuszność wszystkich ojcowskich decyzji. Musiała się umyć - tylko trochę, by usunąć nieczystość myśli.

Ale nie zrobiła tego. Pozwoliła, by głos bogów nabrzmiewał w niej, by ich rozkaz stał się bardziej surowy. Tym razem stawiała opór nie dla ćwiczeń dyscypliny. Świadomie próbowała w jak największym stopniu zwrócić na siebie ich uwagę. Dopiero gdy potrzeba oczyszczenia tamowała jej oddech, gdy dreszcz wstrętu budziło najlżejsze dotknięcie własnego ciała, muśnięcie dłonią kolana, dopiero wtedy wypowiedziała pytanie.

- Wy to zrobiliście, prawda? - zwróciła się do bogów. - Czego nie mógł dokonać żaden człowiek, wy dokonaliście. Sięgnęliście swą dłonią i odcięliście Flotę Lusitańską.

Odpowiedź nadeszła, wyrażona nie słowami, lecz narastającym pragnieniem oczyszczenia.

- Ale Kongres i admiralicja nie kroczą po Drodze. Nie potrafią sobie wyobrazić Złotych Wrót do Miasta Nefrytowej Góry na Zachodzie. Jeśli ojciec powie im: „Bogowie ukryli waszą flotę, by ukarać was za niegodziwości”, oni będą nim pogardzać. A pogarda dla niego, największego z żyjących polityków, osiągnie nas wszystkich. Kiedy z powodu ojca Droga dozna poniżenia, to go zabije. Czy dlatego to uczyniliście?

Zaszlochała.

- Nie pozwolę wam zniszczyć ojca. Znajdę inny sposób. Znajdę odpowiedź, która ich zadowoli. Przeciwstawię się wam!

Gdy tylko to powiedziała, bogowie zesłali na nią najbardziej przytłaczające wrażenie ohydnej nieczystości, jakie kiedykolwiek czuła. Było tak silne, że tamowało oddech. Upadła, chwytając rękami terminal. Próbowwała przemówić, błagać o wybaczenie, ale krztusiła się tylko, przełykając ślinę, by powstrzymać wymioty. Zdawało jej się, że ręce brudzą mazią wszystko, czego dotkną; kiedy wstała z wysiłkiem, sukienka przyłgnęła do ciała, jakby czarny, gęsty smar oblał całą skórę.

Nie pobięła się myć. Nie padła na kolana, by śledzić słoje drewna. Zataczając się podeszła do drzwi, by zejść do pokoju ojca.

Ale drzwi pochwyciły ją. Nie fizycznie - otworzyły się lekko jak zawsze. A jednak nie mogła przejść. Słyszała, że bogowie mogą uwięzić swe nieposłuszne sługi, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej nic takiego. Nie rozumiała, co ją zatrzymuje. Ciało mogło się swobodnie poruszać. Nie istniała żadna bariera. Jednak na samą myśl o przekroczeniu progu czuła takie mdlące przerażenie, że nie mogła tego zrobić. Bogowie żądali jakiejś pokuty, jakiegoś odkupienia. Inaczej nigdy jej nie wypuszczą. Nie śledzenia słoju, nie szorowania rąk... Czego chcieli?

I nagle zrozumiała, dlaczego bogowie nie pozwalają jej wyjść. To przysięga, której żądał ojciec w imię matki. Przysięga, że będzie służyć bogom w każdych okolicznościach. A przecież znalazła się na granicy buntu. Wybacz mi, matko! Nie przeciwstawię się bogom. Ale muszę iść do ojca, wyjaśnić mu, w jakim strasznym położeniu nas postavili. Matko, pomóż mi przejść przez te drzwi!

Jakby w odpowiedzi na jej błaganie, napłynęła świadomość, że może już wyjść. Musi tylko wbić wzrok w punkt tuż za prawym górnym rogiem drzwi i nie spuszczać z niego oczu wysunąć za próg tyłem prawą stopę, potem lewą rękę, odwrócić się w lewo, przenosząc do tyłu lewą nogę, potem do przodu prawą rękę. Było to skomplikowane, niczym taniec. Poruszała się wolno i ostrożnie, aż wreszcie udało się.

Drzwi wypuściły ją. I chociaż nadal czuła ucisk swej nieprawości, stał się mniej intensywny. Mogła go znieść. Mogła oddychać nie dysząc, mówić nie krztusząc się.

Zbiegła po schodach i pociągnęła za mały dzwonek przy drzwiach do pokoju ojca.

- Czy to moja córka, moja Jaśniejąca Blaskiem? - zapytał ojciec.

- Tak, szlachetny.

- Gotów jestem cię przyjąć.

Otworzyła drzwi i weszła do środka - tym razem żaden rytuał nie był konieczny. Natychmiast ruszyła do miejsca, gdzie Hań Fei-tzu siedział na krześle przed terminalem. Uklękła.

- Przeegzaminowałem Si Wang-mu - oznajmił ojciec. - I uważam, że twój pierwszy wybór był słuszny.

Przez moment nie rozumiała, o co chodzi. Si Wang-mu? Dlaczego ojciec wspomina o starożytnej bogini? Zaskoczona podniosła głowę i podążyła spojrzeniem za wzrokiem ojca: na służebnicę w czystej szarej sukni, klęczącą w pokorze ze wzrokiem wbitym w podłogę. Przez moment nie mogła sobie przypomnieć dziewczynki z ryżowego pola, przypomnieć, że miała być jej sekretną druzną. Jak

mogła o tym zapomnieć? Przecież zostawiła ją zaledwie kilka godzin temu. A jednak w tym czasie stoczyła walkę z bogami, a jeśli nawet nie zwyciężyła, to przynajmniej nie przegrała. Wobec starcia z bogami, czym było przyjęcie służącej?

- Wang-mu jest zuchwała i ambitna - stwierdził ojciec. - Ale jest także szczerą i o wiele bardziej inteligentną, niż się spodziewałem. Wnioskuje, że obie planujecie uczynić ją twoją uczennicą, nie tylko sekretną drużną.

Wang-mu jęknęła cicho. Qing-jao zauważyła, jak jest przerażona. A tak... boi się, że pomyślę, iż zdradziła ojcu nasz plan.

- Nie martw się, Wang-mu - uspokoiła ją Qing-jao. - Ojciec prawie zawsze odgaduje tajemnice. Wiem, że nie powiedziałaś.

- Chciałbym, żeby wszystkie tajemnice były tak łatwe jak wasza - westchnął ojciec. - Córko moja, muszę pochwalić cię za twoją wielkoduszność. Bogowie będą cię za to poważać, tak jak ja to czynię.

Słowa uznania były niby maść na bolącą ranę. Może dlatego bunt jej nie zniszczył, dlatego któraś z bogiń zlitowała się i wskazała, jak może wyjść przez drzwi swojego pokoju. Ponieważ osądziła Wang-mu mądrze i wielkodusznie, wybacząc zuchwałość, także Qing-jao przynajmniej w części wybaczone jej nieznośną arogancję.

Wang-mu nie żałuje swojej ambicji, myślała Qing-jao. I ja nie będę żałować swej decyzji. Nie dopuszczę, by zniszczono ojca tylko dlatego, że nie potrafię znaleźć - ani wymyślić - nie związanego z boską interwencją zniknięcia Floty Lusitańskiej. A jednak...jak mogę się przeciwstawić boskim zamiarom? To oni zniszczyli albo ukryli flotę. Dzieła bogów muszą być rozpoznane przez ich posłuszne służki, chociaż należy je ukrywać przed niewiernymi z innych światów.

- Ojciec - zaczęła Qing-jao. - Muszę porozmawiać z tobą o moim zadaniu.

Ojciec niewłaściwie rozumiał jej wahanie.

- Możemy mówić przy Wang-mu. Została przyjęta jako twoja sekretna drużna. Premię za nią przesłano jej ojcu, a w jej mózg wprowadzono pierwsze blokady. Możemy jej zaufać. Wysłucha nas i nikomu nie powtórzy.

- Tak, ojciec. - Qing-jao zdążyła już zapomnieć, że Wang-mu jest w pokoju. - Ojciec, wiem, kto ukrył Flotę Lusitańską. Ale musisz mi obiecać, że nigdy nie zdradzisz tego Gwiezdnemu Kongresowi.

Ojciec, zwykle spokojny, wydawał się lekko zaniepokojony.

- Nie mogę tego obiecać - rzekł. - To niegodne, bym stał się tak niełojalnym sługą.

Co powinna zrobić w tej sytuacji? Czy wolno jej mówić? A równocześnie, jak może powstrzymać się od mówienia?

- Kto jest twoim panem? - zapłakała. - Kongres czy bogowie?

- Najpierw bogowie. Oni zawsze są pierwsi.

- W takim razie powiem ci: odkryłam, że właśnie bogowie ukryli przed nami flotę. Ale jeśli przekażesz to Kongresowi, wydrwią cię i twoja sława legnie w gruzach. - Nagle przyszło jej do głowy coś innego. - Jeśli to bogowie zatrzymali flotę, ojciec, to jednak musiała wyruszyć wbrew ich woli. A skoro Gwiezdny Kongres wysłał flotę wbrew woli...

Ojciec uciszył ją gestem ręki. Przerwała natychmiast i pochyliła głowę. Czekala.

- Oczywiście, że to bogowie - stwierdził.

Jego słowa przyniosły zarówno ulgę, jak poniżenie. „Oczywiście”, powiedział. Czyżby wiedział o tym od początku?

- Bogowie czynią wszystko, co dzieje się we wszechświecie. Ale nie wolno twierdzić, że wiesz, dlaczego to czynią. Powiedziałaś, że zatrzymali flotę, ponieważ sprzeciwiają się jej misji. Lecz ja odpowiadam, że Kongres nie mógłby wysłać tej floty, gdyby bogowie tego nie chcieli. Czy więc nie

mogli jej zatrzymać, gdyż miała wypełnić misję tak wielką i szlachetną, że ludzkość nie jest jej godna? A jeśli ukryli flotę, aby postawić cię przed trudną próbą? Jedno jest pewne: bogowie pozwolili, by Gwiezdny Kongres rządził niemal całą ludzkością. I dopóki rządzi z woli niebios, my z Drogi będziemy bez sprzeciwu wypełniać ich zarządzenia.

- Nie chciałam się sprzeciwiać... - Nie mogła dokończyć zdania w tak oczywisty sposób fałszywego.

Ojciec, naturalnie, zrozumiał doskonale.

- Słyszę, jak twój głos milknie, jak słowa cichną. Ponieważ wiesz, że te słowa nie są prawdą. Mimo wszystko, czego cię uczyłem, chciałaś sprzeciwić się Gwiezdnemu Kongresowi. - Złagodniał.

- Dla mnie chciałaś to uczynić.

- Jesteś moim przodkiem. Moje obowiązki wobec ciebie są większe niż wobec nich.

- Jestem twoim ojcem. Przodkiem zostanę dopiero po śmierci.

- Zatem dla matki. Jeśli kiedykolwiek utracę mandat niebios, stanę się ich najstraszniejszym przeciwnikiem, gdyż będę służyła bogom.

- Lecz już mówiąc wiedziała, że jej słowa są tylko niebezpieczną półprawdą. Jeszcze przed chwilą, zanim uwięziły ją drzwi, chciała przecież sprzeciwić się bogom dla dobra ojca. Jestem najbardziej niegodną, najgorszą córką, pomyślała.

- Powiem ci teraz, moja Jaśniejąca Blaskiem córko, że sprzeciw woli bogów nie może przynieść mi dobra. Ani tobie. Wybaczam ci jednak tę nadmierną miłość. To najmniejszy, najłagodniejszy z grzechów.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech uspokoił ją, choć wiedziała, że nie zasłużyła na aprobatę ojca. Znowu wolno jej było myśleć, wrócić do zagadki.

- Wiedziałaś, że bogowie to uczynili, a mimo to kazałeś mi szukać odpowiedzi.

- Czy jednak postawiłaś właściwe pytanie? - odparł ojciec. - To, na które szukamy odpowiedzi, brzmi: jak bogowie to uczynili?

- Skąd mogę wiedzieć? - zdziwiła się Qing-jao. - Mogli zniszczyć flotę, schować ją albo przenieść w jakieś tajemne miejsce na Zachodzie...

- Qing-jao! Spójrz na mnie. Wysłuchaj mnie uważnie.

Spojrzała. Surowy głos ojca pomógł odzyskać spokój, koncentrację.

- To coś, czego przez całe swe życie próbowałem cię nauczyć. Teraz jednak musisz zrozumieć, Qing-jao. Bogowie są przyczyną wszystkiego, co się zdarza. Ale nigdy nie działają bezpośrednio. Zawsze pod maską. Słyszysz mnie?

Kiwnęła głową. Setki razy słuchała tych słów.

- Słyszysz, a jednak nie rozumiesz mnie, nawet teraz. Bogowie wybrali lud Drogi, Qing-jao. Tylko my otrzymaliśmy przywilej słuchania ich głosu. Tylko nam pozwolono widzieć, że oni są przyczyną wszystkiego, co jest i będzie. Dla innych ludzi ich dzieła pozostają ukryte. Twoim zadaniem nie jest znalezienie prawdziwej przyczyny zniknięcia Floty Lusitańskiej. Cała Droga wiedziałaby natychmiast, że prawdziwą przyczyną jest to, iż bogowie zechcieli, by tak się stało. Twoim zadaniem jest wykrycie, jakiej maski użyli bogowie dla tego wydarzenia.

Qing-jao czuła, że kręci jej się w głowie. Tak niedawno była całkiem pewna, że znalazła odpowiedź, że wypełniła zadanie. A teraz wszystko jej się wymykało. Odpowiedź pozostała prawdziwa, ale zadanie było inne.

- W tej chwili, ponieważ nie potrafimy odkryć naturalnego wytłumaczenia, bogowie stanęły odsłonięci przed całą ludzkością, przed niedowiarkami i wierzącymi. Bogowie są nadzy, a my musimy ich okryć. Musimy wskazać ciąg naturalnych zdarzeń, które bogowie spowodowali, by

wyjaśnić zniknięcie floty, by dla niewierzących uczynić je naturalnym. Sądziłem, że to rozumiesz. Służymy Gwiezdnemu Kongresowi, ale wyłącznie dlatego, że w ten sposób służymy również bogom. Bogowie pragną, byśmy oszukali Kongres, a Kongres pragnie być oszukany.

Qing-jao kiwnęła głową, rozczarowana, że zadanie nie zostało jeszcze wypełnione.

- Czy robię wrażenie człowieka bez serca? - zapytał ojciec. - Czy jestem nieuczciwy? Okrutny dla niedowiarków?

- Czy córka osądza ojca? - szepnęła Qing-jao.

- Oczywiście, że osądza. Co dnia wszyscy osądzamy się wzajemnie. Problem w tym, czy osądzamy sprawiedliwie.

- Osądzam więc, że nie jest grzechem przemawiać do niedowiarków językiem ich niewiary - oświadczyła Qing-jao. Czy to uśmiech pojawił się w kącikach jego ust?

- Zrozumiałaś - powiedział. - Jeśli kiedykolwiek Kongres przybędzie do nas, pokornie szukając prawdy, wtedy wskażemy im Szlak i staną się częścią Drogi. Do tej chwili służymy bogom, pomagając niedowiarkom oszukiwać samych siebie i wierzyć, że wszystkie rzeczy mają swoje naturalne przyczyny.

Qing-jao kłaniała się coraz niżej, aż prawie dotykała czołem podłogi.

- Wiele razy próbowałeś nauczyć mnie tego, choć do tej chwili nie otrzymałam zadania, do którego stosowałaby się ta zasada. Wybacz głupotę swej niegodnej córce.

- Nie mam niegodnej córki - odparł ojciec. - Mam tylko jedną, a jest nią Jaśniejąca Blaskiem. Zasadę, którą dzisiaj poznałaś, niewielu z Drogi kiedykolwiek zrozumie naprawdę. Dlatego niewielu z nas potrafi bezpośrednio kontaktować się z ludźmi z innych światów, nie budząc przy tym ich zmieszania i zakłopotania. Zaskoczyłaś mnie dzisiaj, córko. Nie dlatego, że nie pojmowałaś tej zasady, ale dlatego, że pojęłaś ją w tak młodym wieku. Byłem prawie dziesięć lat starszy od ciebie, nim ją odkryłem.

- Jak mogę poznać coś wcześniej od ciebie, ojcze? - To prawie nie do pomyślenia, by mogła przewyższyć któreś z jego dokonań.

- Ponieważ masz mnie, żebym cię uczył - wyjaśnił ojciec. - Podczas gdy ja sam musiałem to odkryć. Widzę jednak, jak przeraziła cię myśl, że może nauczyłaś się czegoś wcześniej ode mnie. Czy sądzisz, że będzie to dla mnie ujmą, gdy przewyższy mnie moja córka? Wręcz przeciwnie: nie ma większej dumy dla rodzica, niż posiadanie dziecka, które przewyższa go.

- Nie mogę cię przewyższyć, ojcze.

- W pewnym sensie jest to prawdą, Qing-jao. Jesteś moim dzieckiem, zatem wszystkie twe dzieła są także moimi, są podzbiorem moich, jak my wszyscy jesteśmy podzbiorem naszych przodków. Lecz masz w sobie taki potencjał wielkości... Wierzę, że nadejdzie czas, gdy mnie zaliczą do wielkich bardziej z powodu twoich niż moich dzieł. Jeśli lud Drogi uzna mnie kiedyś za godnego jakiegoś szczególnego zaszczytu, stanie się tak w tej samej mierze dzięki twoim, jak i moim własnym dokonaniom.

Mówiąc to ojciec pokłonił się jej. Nie był to zwykły, uprzejmy ukłon odprawy, lecz głęboki ukłon pełen szacunku. Niemal dotykał czołem podłogi. Nie całkiem, gdyż to byłoby zniewagą, niemal drwiną, gdyby naprawdę pochylił się tak nisko, by oddać honor własnej córce. Jednak posunął się tak daleko, jak pozwalała godność.

Zaskoczyło ją to, przestraszyło... Zaraz jednak zrozumiała. Kiedy sugerował, że szansa, by wybrano go bogiem Drogi, zależy od jej wielkości, nie mówił o jakimś nieokreślonym, przyszłym zdarzeniu. Mówił o jej zadaniu. Jeśli odkryje maskę bogów, znajdzie naturalne wyjaśnienie zniknięcia Floty Lusitańskiej, wybór na boga Drogi będzie zapewniony. Oto jak bardzo jej ufał. Oto



jak ważne powierzył jej zadanie. Czym było jej dojrzewanie wobec boskości ojca? Musi pracować ciężiej, myśleć sprawniej i odnieść sukces tam, gdzie przegrały wszystkie instytucje wojska i Kongresu. Nie dla siebie, ale dla matki, dla bogów i dla szansy, by ojciec został jednym z nich.

Qing-jao opuściła pokój Hań Fei-tzu. Zatrzymała się w drzwiach i obejrzała się na Wang-mu. Jedno spojrzenie bogosłyszającej wystarczyło jako rozkaz, by dziewczyna poszła za nią.

Zanim Qing-jao dotarła do własnego pokoju, drżała od powstrzymywanej żądz oczyszczenia. Wszystko, co dzisiaj uczyniła złego: buntowniczość wobec bogów, odmowa wcześniejszej pokuty, głupota, kiedy nie zrozumiała, na czym polega jej właściwe zadanie... wszystko to powróciło. Nie czuła się brudna; nie pragnęła kąpieli i nie obrzydzenie do siebie odczuwała. Przecież jej niegodziwość została złagodzona przez pochwałę ojca, przez tę boginię, która pokazała jej, jak przejść przez drzwi, i słuszny wybór, jakim okazała się Wang-mu. To próba, którą Qing-jao pokonała dzielnie. Pragnęła jednak oczyszczenia. Chciała, by bogowie stanęli przy niej, gdy będzie im służyć.

Tyle że żadna znana pokuta nie wystarczy dla zaspokojenia tej niepohamowanej żądz.

I nagle rozumiała: musi prześledzić jeden słój na każdej desce podłogi.

Natychmiast wybrała punkt początkowy, w południowo-wschodnim rogu pokoju. Każde śledzenie rozpocznie przy wschodniej ścianie, by rytuał prowadził ją ku zachodowi, w stronę bogów. Na końcu czekała najkrótsza deska podłogi, krótsza niż metr, w północno-zachodnim rogu. To nagroda: ostatnie śledzenie będzie krótkie i łatwe.

Słyszała, jak Wang-mu cicho wchodzi za nią, teraz jednak nie miała czasu dla śmiertelników. Bogowie czekali. Uklękła w kącie i zbadała słoje, szukając tego, który z woli bogów winna prześledzić. Zwykle sama decydowała i wybierała wtedy najtrudniejszy, by nie zasłużyć na ich pogardę. Dziś jednak odczuwała absolutną pewność, że oni sami wybiorą. Pierwsza linia była szeroka, falista ale wyraźna: już teraz okazywali jej łaskawość. Dzisiejszy rytuał będzie niemal rozmową między Qing-jao a bogami. Dzisiaj przełamała niewidzialną barierę, zbliżyła się do czystego zrozumienia ojca. Może kiedyś bogowie przemówią do niej tak wyraziście, jak - w opinii zwykłych ludzi - zwracali się do wszystkich bogosłyszających.

- Świątobliwa - odezwała się Wang-mu.

Poczuła się tak, jakby jej radość odlana była ze szkła, a Wang-mu umyślnie je stłukła. Czy nie wiedziała, że przerwany rytuał trzeba zaczynać od początku?

Qing-jao powstała i spojrzała gniewnie na dziewczynkę.

Wang-mu musiała dostrzec wściekłość na twarzy swej pani. Nie rozumiała jednak powodów.

- Wybacz mi - powiedziała szybko, padła na kolana i pochyliła głowę aż do ziemi. - Zapomniałam, że nie mam cię nazywać „świętobliwą”. Chciałam tylko zapytać, czego szukasz, abym mogła ci pomóc.

Qing-jao roześmiała się niemal z tej pomyłki. Oczywiście, Wang-mu nie mogła wiedzieć, że bogowie przemawiają do Qing-jao. Teraz, kiedy minęła złość, zawstydziała się, że tak bardzo przestraszyła dziewczynkę. Sekretna drużna nie powinna dotykać czołem podłogi. Qing-jao nie lubiła patrzeć, jak ktoś się poniża.

W jaki sposób zdołałam ją tak przestraszyć? Cieszyłam się, gdyż bogowie przemówili do mnie wyraźnie. Lecz radość była samolubna, a kiedy ona przerwała mi niewinnie, zwróciłam do niej twarz pełną nienawiści. Czy taka jest moja odpowiedź dla bogów? Okazują mi miłość, a ja przekładam ją na nienawiść, i to wobec ludzi, którzy są ode mnie zależni? Bogowie znowu ukazali mi moją niegodziwość.

- Wang-mu, nie możesz mi przerywać, kiedy zobaczysz, że pochylam się nad podłogą. - I opowiedziała o rytuale oczyszczenia, wymaganym przez bogów.

- Czy ja także muszę to robić? - zapytała Wang-mu.

- Nie, chyba że bogowie tego zażądają.

- Skąd będę wiedziała?

- Jeśli nie zdarzyło się to do dzisiaj, to prawdopodobnie nigdy już się nie zdarzy. Gdyby jednak nastąpiło, będziesz wiedziała, ponieważ nie znajdziesz w sobie siły, by oprzeć się głosowi bogów w swym umyśle.

Wang-mu z powagą skinęła głową.

- Jak mogę ci pomóc... Qing-jao? - Ostrożnie, z szacunkiem wypróbowała imię swej pani. Po raz pierwszy w życiu Qing-jao zdała sobie sprawę, że imię to, słodkie i delikatne w ustach ojca, może też zabrzmieć podniosłe, gdy wymawia się je z takim zachwytem. Jednak cierpiała niemal, gdy nazwano ją Jaśniejącą Blaskiem właśnie w chwili, gdy tak wyraźnie pojęła swe niedostatki. Ale nie zabroni Wang-mu używać tego imienia. Dziewczynka musiała przecież jakoś się do niej zwracać, a pełen szacunku ton posłużył za bezustanne, ironiczne przypomnienie, jak mało na ten szacunek zasługuje.

- Możesz mi pomóc nie przerywając - odparła Qing-jao.

- Czy powinnam wyjść?

Qing-jao już chciała potwierdzić, gdy nagle zrozumiała, że z jakichś powodów bogowie chcieli, by Wang-mu stała się elementem jej pokuty. Skąd o tym wiedziała? Ponieważ myśl o odejściu dziewczynki była prawie tak nieznośna, jak pamięć o nie dokończonym słoju.

- Zostań, proszę. Czy potrafisz czekać w milczeniu... i patrzeć na mnie?

- Tak... Qing-jao.

- Wyjdź, jeśli potrwa to tak długo, że nie będziesz już mogła wytrzymać. Jednak tylko wtedy, gdy ja będę poruszać się z zachodu na wschód. To znaczy, że jestem między jednym a drugim słojem i twoje odejście nie zakłóci mi śledzenia. Ale nie wolno ci się do mnie odzywać.

Wang-mu szeroko otworzyła oczy.

- Chcesz to zrobić dla każdego słoja drewna na każdej desce podłogi?

- Nie - uspokoiła ją Qing-jao. Bogowie nie byłiby tak okrutni! Lecz niemal równocześnie uświadomiła sobie, że może nadejść dzień, gdy takiej właśnie pokuty zażądają. Lęk wzbudził w niej mdłości. - Tylko jedną linię na każdej desce w tym pokoju. Obserwuj ze mną, dobrze?

Dostrzegła, że Wang-mu zerka na wskaźnik czasu nad terminalem. Nadeszła już godzina snu, a obie przecież straciły popołudniową drzemkę. To nienaturalne, by człowiek tak długo funkcjonował bez snu. Dni na Drodze były o połowę dłuższe niż na Ziemi, więc nigdy nie zgadzały się dokładnie z wewnętrznym zegarem ludzkiego organizmu. Nie wykorzystać drzemki, a potem nie położyć się o właściwej porze było bardzo trudnym wyczynem.

Qing-jao nie miała jednak wyboru. Jeżeli Wang-mu nie potrafi zachować przytomności, musi wyjść natychmiast, choć bogom się to nie spodoba.

- Nie wolno ci spać, Wang-mu - ostrzegła. - Gdybyś usnęła, musiałabym przemówić do ciebie, żebyś się przesunęła i odsłoniła linie, które muszę prześledzić. A jeśli się odezwę, muszę zacząć od początku. Czy wytrwasz przytomna, milcząca i nieruchoma?

Wang-mu kiwnęła głową. Qing-jao wierzyła, że dziewczynka jest szczerą, ale nie w to, że zdoła wytrwać. Lecz bogowie nalegali, by jej nowa sekretna drużyna została... a kim jest Qing-jao, by odmawiać żądaniom bogów?

Wróciła do rogu i na nowo przystąpiła do rytuału. Przekonała się z ulgą, że bogowie wciąż są dla niej łaskawi. Na kolejnych deskach wskazywali najwyraźniejsze, najłatwiejsze do śledzenia słoje. A kiedy czasem dostawała od nich trudniejszy, ten łatwy nieodmiennie zanikał w połowie drogi lub

skręcał poza krawędź. Bogowie troszczyli się o nią,

Wang-mu starała się jak mogła. Dwa razy, powracając od zachodu na wschód, Qing-jao spojrzała na nią i zobaczyła, że dziewczynka zasnęła. Kiedy jednak przesuwała się w pobliżu miejsca, gdzie leżała Wang-mu, stwierdziła, że sekretna drużyna obudziła się i przeszła tam, gdzie Qing-jao już była. Przeszła tak cicho, że Qing-jao nie słyszała nawet jej poruszeń. Dobra dziewczyna. Świetnie wybrana na sekretną drużynę.

W końcu, po długim czasie, Qing-jao dotarła do ostatniej deski, w samym kącie pokoju. Krzyknęła niemal z radości, ale w porę się powstrzymała. Rozproszona dźwiękiem własnego głosu i nieuniknioną odpowiedzią Wang-mu, z pewnością musiałaby zacząć od nowa. To niedopuszczalne szaleństwo. Qing-jao pochyliła się nad deską, niecały metr od północno-zachodniego rogu pokoju, i ruszyła wzdłuż najwyraźniejszej, najgrubszej linii... prosto do ściany.

Skończyła.

Qing-jao oparła się i roześmiała z ulgą. Była jednak słaba i zmęczona. Dla Wang-mu jej śmiech brzmiał pewnie jak szloch. Dziewczynka natychmiast stanęła obok i dotknęła jej ramienia.

- Qing-jao - zapytała. - Czy cierpisz? Qing-jao przytrzymała dłoń Wang-mu.

- Nie. A przynajmniej nie tak, by tych cierpień nie uleczył sen. Skończyłam. Jestem oczyszczona.

Tak oczyszczona, że bez oporów mogła trzymać dłoń Wang-mu, mogła skórą dotykać skóry. Nie czuła żadnej nieczystości. Otrzymała dar od bogów: kogoś, kogo mogła wziąć za rękę, gdy rytuał dobiegł końca.

- Dzielnie się zachowałeś - pochwaliła sekretną drużynę. - Łatwiej było mi się skupić na śledzeniu, gdy ty byłeś ze mną w pokoju.

- Raz chyba zasnęłam, Qing-jao.

- Może dwa razy. Ale obudziłaś się w porę i nic złego się nie stało. Wang-mu zapłakała. Nie cofnęła ręki, by zakryć twarz. Pozwoliła, by łzy ciekły jej po policzkach.

- Dlaczego płaczesz, Wang-mu?

- Nie wiedziałam... Naprawdę trudno jest być bogosłyszczą. Nie wiedziałam.

- I trudno jest być prawdziwą przyjaciółką bogosłyszczącej - odparła Qing-jao. - Dlatego właśnie nie chciałam, żebyś została moją służącą, nazywała mnie „świątobliwą” i drżała ze strachu na dźwięk mego głosu. Taką służącą musiałabym odsyłać, gdy mówią do mnie bogowie. Łzy Wang-mu popłynęły jeszcze obficie.

- Si Wang-mu, czy jest ci nazbyt trudno przebywać ze mną? - zapytała Qing-jao.

Wang-mu pokręciła głową.

- Gdyby było za ciężko, zrozumiem. Możesz mnie wtedy opuścić. Byłam już sama. Nie boję się samotności.

Wang-mu znów potrząsnęła głową, tym razem bardziej energicznie.

- Jak mogę cię opuścić teraz, kiedy wiem, że to dla ciebie trudne?

- Będzie więc zapisane i powtórzone w opowieściach: Si Wang-mu zawsze stała u boku Hań Qing-jao podczas rytuału oczyszczenia.

Uśmiech rozjaśnił nagle twarz Wang-mu. Spojrzała wesoło, mimo łez błyszczących jeszcze na policzkach.

- Nie rozumiesz żartu, który właśnie opowiedziałas? - zapytała. - Moje imię... Si Wang-mu. Kiedy opowiedzą tę historię, nikt nie zgadnie, że towarzyszyła ci twoja sekretna drużyna. Pomyślą, że to Królewska Matka Zachodu.

Qing-jao także się roześmiała. Przyszło jej jednak do głowy, że może Królewska Matka naprawdę jest przodkinią-serca Wang-mu. I mając u boku Wang-mu, zbliża się w szczególny sposób do tej

bogini, jednej z najstarszych.

Wang-mu rozłożyła maty do spania, chociaż Qing-jao musiała jej pokazać, jak to robić. Był to obowiązek sekretnej drużyny i Qing-jao jej na to pozwoliła, chociaż bez oporów mogła sama się tym zająć. Kiedy położyły się na matach zsuniętych tak blisko, by żaden słój drewna nie był widoczny między nimi, szary brzask sączył się już przez szpary okien. Nie spały przez cały dzień, a teraz całą noc. Wang-mu szlachetnie ofiarowała swój wypoczynek. Będzie prawdziwą przyjaciółką.

Jednak po kilku minutach, kiedy Wang-mu już spała, Qing-jao - która sama zaczynała drzemać - zastanowiła się. W jaki sposób Wang-mu, dziewczynka bez pieniędzy, mogła przekupić nadzorcę grupy słusznego trudu, by pozwolił jej bez przeszkód rozmawiać z Qing-jao? Może jakiś szpieg za nią zapłacił, aby przeniknęła do domu Hań Fei-tzu? Nie... Ju Kung-mei, strażnik Rodu Hań, dowiedziałby się o tym i nigdy nie przyjął dziewczynki na służbę. Wang-mu nie pieniędzmi dokonała przekupstwa. Miała dopiero czternaście lat, ale była piękną dziewczyną. Qing-jao dość przeczytała dzieł historycznych i biografii, by wiedzieć, w jaki sposób kobiety opłacały zwykle takie przysługi.

Uznała, że podejrzenie należy dyskretnie sprawdzić. Jeśli się potwierdzi, nadzorca odejdzie w nienazwanym pohańbieniu. W czasie śledztwa nie padnie imię Wang-mu, a więc nie stanie się jej żadna krzywda. Qing-jao musi tylko wspomnieć o tym Ju Kung-mei, a on już wszystkiego dopilnuje.

Qing-jao spojrzała na słodką twarzyczkę śpiącej służącej, swej godnej przyjaciółki. Najbardziej smuciła ją nie cena, jaką Wang-mu zapłaciła nadzorcy, ale że zapłaciła ją za bezwartościowe, bolesne, okropne stanowisko sekretnej drużyny Hań Qing-jao. Jeśli kobieta musi sprzedać bramę swego łona, jak zmuszone było czynić tyle już kobiet w historii ludzkości, z pewnością bogowie powinni ofiarować jej za to coś wartościowego.

Dlatego Qing-jao usnęła nad ranem, jeszcze bardziej umocniwszy się w decyzji, by uczyć Si Wang-mu. Nie może pozwolić, by przeszkadzało to w zmaganiach z zagadką Floty Lusitańskiej, jednak wykorzysta każdą wolną chwilę. Wang-mu otrzyma należne błogosławieństwo w dowód szacunku dla swej ofiary, z pewnością co najmniej tego oczekują bogowie w zamian za przysłanie tak doskonałej sekretnej drużyny.

*Ender nie daje nam ostatnio spokoju. Upiera się, żebyśmy wreszcie znalazły jakiś sposób, by podróżować szybciej niż światło.*

*Mówiłaś, że to niemożliwe.*

*Tak uważamy. Tak uważają naukowcy ludzi. Jednak Ender twierdzi, że skoro ansible przenoszą informację, możliwe powinno być przenoszenie materii z taką samą prędkością. To nonsens, oczywiście. Nie ma żadnego porównania między informacją a rzeczywistością fizyczną.*

*Dlaczego tak bardzo mu zależy na podróżach szybszych niż światło?*

*To głupi pomysł, prawda? Żeby dotrzeć gdzieś przed własnym obrazem. To jakby przejść przez lustro, żeby spotkać się ze sobą po drugiej stronie.*

*Ender i Korzeniak wiele razy o tym, rozmawiali. Słyszałem ich, Ender przypuszcza, że być może materia i energia składają się wyłącznie z informacji. Ta fizyczna rzeczywistość to nic innego niż wiadomości, jakie filoty transmitują między sobą.*

*Co na to Korzeniak ?*

*Twierdzi, że Ender ma w połowie rację. Korzeniak uważa, że fizyczna rzeczywistość to istotnie wiadomość... a tą wiadomością jest pytanie, które filoty bez przerwy stawiają Bogu.*

*Jakie to pytanie?*

*Tylko jedno słowo: Dlaczego?*

*I jak Bóg im odpowiada ?*

*Życiem. Korzeniak twierdzi, że życie to sposób, w jaki Bóg nadaje cel wszechświatu.*

Cała rodzina wyszła powitać Mira, wracającego na Lusitanię. Kochali go przecież. On także ich kochał, a po miesiącu spędzonym w przestrzeni tęsknił za ich towarzystwem. Wiedział, przynajmniej rozumowo, że ten miesiąc był dla nich ćwierćwieczem. Przygotował się na zmarszczki na twarzy mamy... nawet Grego i Quara będą już dorosłymi ludźmi po trzydziestce. Nie przewidział tylko, a przynajmniej nie wyczuł, że staną się obcymi. Nie, nawet gorzej. Obcymi, którzy litowali się nad nim, myśleli, że dobrze go znają i patrzyli jak na dziecko. Wszyscy byli od niego starsi. Wszyscy... I wszyscy byli też młodszy, gdyż ból i strata nie dotknęły ich tak jak jego.

Ela okazała się najlepsza, jak zawsze. Objęła go i ucałowała. - Przy tobie czuję, jak bardzo jestem śmiertelna - powiedziała. - Ale cieszę się, że widzę cię młodego.

Miała przynajmniej dość odwagi, by przyznać, że istnieje między nimi bariera, choć udawała, że jest nią wiek. To prawda, Miro wrócił dokładnie taki, jakim go zapamiętali... przynajmniej z wyglądu. Dawno utracony brat przywrócony z martwych; upiór, który przybywa, by prześladować rodzinę; wiecznie młody. Ale prawdziwą barierą było to, jak się poruszał. Jak mówił.

Najwyraźniej zapomnieli, że jest kaleką, i jego ciało nie reaguje na rozkazy uszkodzonego mózgu. Niezgrabny krok, trudna do zrozumienia mowa... ich pamięć usunęła te nieprzyjemne fakty i teraz wspominali go takim, jakim był przed wypadkiem. W końcu ledwie kilka miesięcy oglądali go jako kalekę, nim wyruszył w tę podróż ściskającą czas. Łatwo o nich zapomnieć i pamiętać Mira, którego znali przez tyle lat. Silny, zdrowy, jedyny zdolny przeciwstawić się człowiekowi, którego nazywali ojcem. Teraz nie potrafili ukryć przerażenia. Dostrzegał to w ich wahaniu, niepewnych spojrzeniach, próbach ignorowania faktu, że chodzi powoli, że tak trudno zrozumieć, o czym mówi.

Wyczuwał ich zniecierpliwienie. Po kilku minutach zauważył, że przynajmniej niektórzy usiłują się wymknąć. Tyle jeszcze pracy... Spotkamy się na kolacji. Byli tak zakłopotani, że woleli uciec, by

powoli przyzwyczajając się do tego Mira, który powrócił. A może zaplanować, jak na przyszłość go unikać, Grego i Quara byli najgorsi, najbardziej im zależało, by stąd odejść. To go zabolalo... kiedyś niemal go czcili. Rozumiał naturalnie, że właśnie dlatego tak trudno im się pogodzić z kalekim Mirem, który przed nimi stanął. Ich wizerunek brata był najbardziej naiwny, a zatem i szok największy.

- Myśleliśmy o uroczystej kolacji - oznajmiła Ela. - Mama chciałaby, ale ja pomyślałam, że lepiej zaczekać. Dać ci trochę czasu.

- Mam nadzieję, że nie czekaliście na mnie z kolacją tyle lat - odparł Miro.

Chyba tylko Ela i Valentine uświadomiły sobie, że żartuje. Jedynie one zareagowały naturalnie - cichym śmiechem. Reszta... być może nie zrozumieli ani słowa.

Stali w wysokiej trawie koło lądowiska - cała rodzina. Mama już po sześćdziesiątce, z szarostalowymi włosami, twarzą ściągniętą jak zawsze w wyrazie skupienia. Teraz jednak ten wyraz wrył się głęboko w zmarszczki na czole, rysy wokół ust. Szyja zmieniła się w ruinę. Uświadomił sobie, że pewnego dnia umrze. Nie w ciągu najbliższych trzydziestu czy czterdziestu lat, ale kiedyś. Czy kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, jak piękną była kobietą? Myślał, że małżeństwo z Mówcą Umarłych jakoś ją uspokoi, odrodzi. I może rzeczywiście Andrew Wiggin uczynił ją młodą duchem. Lecz ciało uległo czasowi. Była stara.

Ela, czterdziestolatka... Bez męża u swego boku, choć może i wyszła za męża, a on zwyczajnie nie przyszedł. Ale raczej nie. Czyżby wzięła ślub ze swoją pracą? Zdawało się, że jest szczerze uradowana jego widokiem, chociaż nie potrafiła ukryć wyrazu troski i współczucia. Chyba nie oczekiwała, że uleczy go miesiąc podróży z prędkością światła? Czy liczyła, że wyjdzie z promu sprężystym krokiem, silny i śmiały niby bóg kosmosu z jakiejś powieści?

Quim w kapłańskich szatach... Jane powiedziała, że młodszy brat został wielkim misjonarzem. Nawrócił ponad dziesięć lasów pequeninos, ochrzcił je i z upoważnienia biskupa Peregiino wyświęcił spomiędzy nich księży, by udzielali sakramentów własnemu ludowi. Ci chrzcili wszystkich pequeninos wychodzących z matczynej drzew, wszystkie małe matki przed śmiercią, wszystkie sterylne żony, które dbały o małe matki i młodych, wszystkich braci szukających chwalebnej śmierci, i wszystkie drzewa. Jednak tylko bracia i żony mogły przyjmować komunię. A co do małżeństwa, trudno pomyśleć o jakimś sensownym rytuale między ojcowskim drzewem a ślepyimi, bezrozumnymi robakami, które z nim kopulują. A mimo to Miro dostrzegał w oczach Quima rodzaj uniesienia, blask siły mądrze użytej. Quim, jedyny z rodziny Ribeirów, przez całe życie wiedział, co chce robić. I teraz to robił. Nie dbał o teologiczne problemy - stał się świętym Pawłem prosiaczków, a to napelniało go radością. Służyłeś Bogu, braciszku, i Bóg uczynił cię swoim sługą.

Olhado stał z błyszczącymi oczami, obejmując ramieniem piękną kobietę. Otaczała ich szóstka dzieci; najmłodsze jeszcze raczkowało, najstarsze miało kilkanaście lat. Wprawdzie oczy dzieci były zdrowe, jednak przejęły po ojcu ten obojętny wyraz. Nie widziały... obserwowały tylko. Mira niepokoiła myśl, że Olhado spłodził może rodzinę obserwatorów, chodzących rejestratorów, którzy przyjmują doświadczenia, by je później odtwarzać. I nigdy nie angażują się do końca.

Ale nie, to z pewnością tylko złudzenie. W obecności Olhada Miro zawsze czuł się trochę zakłopotany i wszelkie podobieństwo dzieci do ojca także budziło jego niepokój. Matka była bardzo ładna. Chyba jeszcze przed czterdziestką. Ile miała lat, kiedy wychodziła za Olhada? Jaką była kobietą, skoro przyjęła mężczyznę ze sztucznymi oczami? Czy Olhado rejestrował ich zbliżenia i potem odtwarzał obrazy tego, jak wyglądała w jego oczach?

Miro natychmiast się zawstydził. Czy tylko o tym potrafię myśleć widząc Olhada: o jego kalectwie? Przecież znam go od tylu lat. Jak więc mogę wymagać, by patrząc na mnie oni widzieli

cokolwiek innego?

Odłot był dobrym pomysłem. Cieszę się, że Andrew Wiggin mi to zaproponował. Tylko powrót nie miał sensu. Co ja tu robię?

Niemal wbrew woli, Miro odwrócił się i spojrzał na Valentine. Uśmiechnęła się do niego, objęła ramieniem i przytuliła.

- Nie jest tak źle - powiedziała. Nie tak źle, jak co?

- Tylko jeden brat wyszedł mi na spotkanie - wyjaśniła. - Ciebie wita cała rodzina.

- To prawda.

Dopiero wtedy odezwała się Jane; jej głos zabrzmiał drwiąco.

- Nie cała.

Zamknij się, odpowiedział bezgłośnie Miro.

- Tylko jeden brat? - zapytał Andrew Wiggin. - Tylko ja?

Mówca Umarłych podszedł i objął siostrę. Czyżby Miro u niego także dostrzegł zakłopotanie? Czy to możliwe, że Valentine i Andrew Wiggin czuli się skrępowani? To śmieszne. Valentine, twarzą jak stal - była przecież Demostenesem - i Wiggin, który wdarł się w ich życie i przebudował całą rodzinę bez choćby da licenca. Czy odczuwali nieśmiałość? Czy byli dla siebie obcy?

- Fatalnie się zestarzałaś - stwierdził Andrew. - Chuda jak patyk. Czy Jakt nie mógł cię lepiej karmić?

- Czy Novinha nie umie gotować? - odparowała Valentine. - W dodatku wyglądasz na głupszego niż kiedykolwiek. Dotarłam w samą porę, żeby być świadkiem twojej całkowitej umysłowej degradacji.

- A ja tutaj myślałem, że przybyłaś ratować świat

- Wszechświat. Ale najpierw ciebie.

Ponownie objęła Mira, a drugą ręką brata. Zwróciła się do zebranych.

- Jest was tu wielu, ale wydaje mi się, że znam wszystkich. Mam nadzieję, że wkrótce wy również nas zaakceptujecie.

Z jakim wdziękiem... Jak łatwo potrafiła sprawić, by ludzie poczuli się swobodnie. Kierowała nimi. Tak samo jak Andrew Wiggin. Czy to on ją tego nauczył, czy ona jego? A może to ich cecha rodzinna? W końcu Peter był największym manipulatorem wszystkich czasów, był Hegemonem. Co za rodzina. Równie dziwaczna jak moja. Tylko ich jest niezwykła z powodu geniuszu, moja z powodu bólu, jaki dzieliliśmy przez tyle lat, z powodu deformacji naszych dusz. A ja jestem najdziwniejszy, najbardziej kaleki. Andrew Wiggin przybył leczyć nasze rozdarcie i udało mu się. Ale te wewnętrzne urazy... czy można je wygoić?

- Może urządzimy piknik? - zapytał Miro.

Tym razem wszyscy się roześmiali. Jak to możliwe? Czyżbym teraz ja pozwolił im się rozluźnić? Dzięki mnie sprawy poszły gładko? Pomogłem wszystkim udawać, że cieszą się z mojego powrotu, że wiedzą, kim jestem?

- Chciała przyjść - powiedziała Jane do ucha Mira. Zamknij się, powtórzył. I tak nie życzę sobie jej oglądać.

- Ale zobaczy się z tobą później. Nie.

- Wyszła za męż. Ma czworo dzieci. To nie ma dla mnie znaczenia.

- Od lat już nie woła ciebie przez sen. Myślałem, że jesteś moją przyjaciółką.

- Jestem. Potrafię czytać w twoich myślach.

Jesteś starym, wścibskim babskiem i niczego nie potrafisz przeczytać.

- Odwiedzi cię jutro rano. W domu twojej matki. Nie będzie mnie tam.

- Myślisz, że zdołasz przed tym uciec?

Rozmawiając z Jane, Miro nie słyszał, co mówią inni wokół niego, ale to nie było ważne. Mąż i dzieci Valentine wyszli ze statku i teraz przedstawiała ich kolejno. Przede wszystkim wujowi, oczywiście. Miro był zaskoczony, z jakim szacunkiem się do niego zwracają. Ale one przecież wiedziały, kim jest Ender Ksenobójca, owszem, ale też Mówca Umarłych, ten sam, który napisał Królową Kopca i Hegemona. Teraz wiedział to i Miro, jednak kiedy pierwszy raz spotkał Andrew Wiggina, powitał go jak wroga... wtedy był to wędrowny mówca umarłych, kapłan humanistycznej religii, który postanowił przenieść rodzinę Mira. I uczynił to. Miałem chyba więcej szczęścia od nich, pomyślał Miro. Poznałem go jako człowieka, zanim się dowiedziałem, że jest wielką postacią historyczną. Oni chyba już nigdy nie będą go znali tak jak ja.

A ja tak naprawdę wcale go nie znam. Nikogo nie znam i mnie nikt nie zna. Poświęcamy życie na zgadywanie, co się dzieje w umysłach innych. A kiedy szczęśliwie trafimy, wydaje nam się, że „rozumiemy”. Bzdura. Nawet małpa przy komputerze wystuka czasem poprawne słowo.

Nie znacie mnie, rzucił bezgłośnie. Żadne z was. A już najmniej ta wścibska baba, która mieszka w moim uchu. Słyszałaś?

- Całe to piskliwe skamlanie... Jak mogłabym nie słyszeć? Andrew wkładał bagaże do pojazdu. Zostanie miejsce tylko na dwójkę pasażerów.

- Miro, przejedziesz się z Novinhą i ze mną?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Valentine chwyciła go pod rękę.

- Nie jedź - powiedziała. - Chodź pieszo, z Jaktem i ze mną. Tak długo tkwiliśmy zamknięci na statku.

- Cudownie - mruknął Andrew. - Matka nie widziała go od dwudziestu pięciu lat, ale ty koniecznie chcesz wziąć go na spacer. Jesteś wcieleniem taktu.

Andrew i Valentine podtrzymywali kpiący ton, jaki przyjęli od początku. Cokolwiek postanowi Miro, ze śmiechem przedstawią to jako wybór między parą Wigginów. Nie będzie musiał powiedzieć: muszę jechać, bo jestem kaleką. I nie będzie miał pretekstu, by czuć urazę, ponieważ ktoś zechciał potraktować go w sposób wyjątkowy. Przeprowadzili to tak naturalnie, że Miro zaczął się zastanawiać, czy nie umawiali się z góry. A może nie potrzebowali omawiać takich spraw. Może spędzili razem tyle lat, że nawet nie myśląc wiedzieli, jak współpracować dla złagodzenia trudnych sytuacji. Niczym aktorzy, którzy tak często grali razem te same role, że potrafią improwizować bez śladu wahania.

- Przejdę się - powiedział Miro. - Pójdę okreśną drogą. Wy idźcie przodem.

Novinha i Ela próbowały zaprotestować. Miro zauważył, jak Andrew położył matce dłoń na ramieniu. Quim objął Elę, uciszając ją.

- Idź prosto do domu - powiedziała Ela. - Jak długo by to nie trwało, wróć do domu.

- A gdzie indziej? - zapytał Miro.

Valentine nie wiedziała, co myśleć o Enderze. Dopiero drugi dzień przebywała na Lusitanii, ale już była pewna, że coś jest nie w porządku. Oczywiście, Ender miał powody do zmartwień i niepokoju. Opowiedział jej o problemach ksenobiologów z descoladą, o konflikcie między Quarą a Gregiem. A przecież istniała jeszcze flota Kongresu, śmierć grożąca im z każdej strony nieba. Jednak Ender zmagił się już z wieloma konfliktami i problemami w ciągu tych lat, gdy był mówcą umarłych. Rzucił się w głąbie kłopotów narodów i rodzin, społeczeństw i pojedynczych ludzi. Starał się je zrozumieć, a potem oczyścić i wyleczyć rany serc. Nigdy jednak nie reagował tak jak teraz.

A może tak. Raz.



Jeszcze w dzieciństwie, kiedy Endera szkolono na dowódcę floty wysłanej przeciwko wszystkim światom robali, na pewien czas przywieźli go z powrotem na Ziemię. Potem okazało się, że była to chwila ciszy przed końcową burzą. Ender i Valentine rozstali się, kiedy miał pięć lat.

Przez cały czas nie pozwalano im choćby na jeden nieocenzurowany list. A potem nagle zmienili politykę i sprowadzili do niego Valentine. Przebywał na sporej posiadłości w pobliżu ich rodzinnego miasta i spędzał dni w całkowitej beczynności, pływając czy - częściej - dryfując na tratwie po prywatnym jeziorze.

Z początku Valentine odniosła wrażenie, że nic się nie stało. Cieszyła się po prostu, że znowu go widzi. Szybko jednak zrozumiała, że coś jest nie w porządku. Tyle że wtedy nie знаła Endera tak dobrze jak teraz, w końcu nie widzieli się przez połowę jego życia. Jednak dostrzegła, że nie powinien być taki zaabsorbowany... Nie, to właściwie nie to. On nie był zaabsorbowany. Zupełnie nic go nie absorbowało. Oddalił się od świata. A ona miała go połączyć. Sprowadzić go z powrotem i ukazać miejsce w pajęczynie człowieczeństwa.

Udało jej się, mógł więc wrócić w przestrzeń i dowodzić flotą, która całkowicie zniszczyła robale. I od tamtego dnia jego połączenie z ludzkością wydawało się zupełnie pewne.

I teraz znowu rozstała się z nim na połowę życia. Dwadzieścia pięć lat dla niej, trzydzieści dla niego. Znowu wydawał się odizolowany. Obserwowała go, kiedy jechali z Mirem i Plikt. Prześlizgiwali się ponad nieskończonymi preriami capim.

- Jesteśmy jak łódka na oceanie - powiedział Ender.

- Raczej nie - odparła, wspominając pierwszy raz, kiedy Jakt zabrał ją na jedną z małych łódek rozstawiających sieci. Trzymetrowe fale unosiły ich wysoko, by zaraz zrzucić w otchłań. Na wielkich kutrach te fale ledwie ich kołysały, usadowionych wygodnie na powierzchni. Jednak w maleńkiej łódce dosłownie zapierały dech w piersi. Musiała zsunąć się na pokład i kurczowo objąć dziobową ławkę, nim znowu mogła oddychać. Nie było nawet porównania między rozkołysanym, niespokojnym oceanem a tą nieruchomą, trawiastą równiną.

Chociaż z drugiej strony, może i było. Dla Endera. Może patrząc na te kilometry capim, widział w trawie wirusa descolady, adaptującego się, by wybić ludzkość i wszystkie stowarzyszone z nią gatunki. Może dla niego ta preria falowała, szarpana wstrząsami i równie groźna jak ocean.

Marynarze śmiali się z niej, ale nie drwiąco, lecz czule, jak rodzice rozbawieni bezpodstawnymi lękami dziecka.

- Te morza to drobiazg - mówili. - Powinnaś spróbować tego z dwudziestometrowymi falami.

Zewnętrznie Ender był równie spokojny, jak wtedy marynarze. Spokojny, odłączony. Mówił do niej, Mira i milczącej Plikt, ale wciąż coś ukrywał. Czyżby coś niedobrego działo się między nim a Novinhą? Valentine nie widziała ich razem dostatecznie długo, by rozróżnić, co jest naturalne, a co dowodzi napięcia. Z pewnością nie zauważyła żadnych wyraźnych konfliktów. Może więc problemem Endera był mur wyrastający między nim a społecznością Milagre. To prawdopodobne. Valentine dobrze pamiętała, jak trudno przyszło jej zyskanie akceptacji na Trondheimie, choć była przecież żoną człowieka o ogromnym prestiżu. Jak trudne stało się to dla Endera, żonatego z kobietą już wcześniej odizolowaną od reszty mieszkańców? Uleczenie ludzi nie było tak całkowite, jakim się wydawało.

Niemożliwe. Kiedy dziś rano Valentine rozmawiała z burmistrzem, Kovano Zeljezo, i starym biskupem Peregrino, okazywali Enderowi szczerą sympatię. Valentine brała udział w zbyt wielu podobnych spotkaniach, by nie odróżnić formalnej uprzejmości i politycznej hipokryzji od szczerzej przyjaźni. Jeśli Ender czuł się odizolowany od tych ludzi, nie była to ich decyzja.

Doszukując się nie wiadomo czego, pomyślała Valentine. Jeśli Ender wydaje się oddalony, to

dlatego, że tak dawno się rozstaliśmy. A może jest skrępowany wobec tego gniewnego młodego człowieka, Mira. A może to Plikt i jej milczący, wykalkulowany kult Endera Wiggina sprawia, że woli zachowywać dystans. Niewykluczone, iż powodem jest mój upór, by królową kopca spotkać jeszcze dziś, natychmiast, przed rozmową z przywódcami prosiaczków. Nie ma sensu przyczyn jego oddalenia szukać gdzieś daleko.

Miasto królowej kopca rozpoznali po chmurze dymu.

- Paliwa kopalne - wyjaśnił Ender. - Zużywa je w obrzydliwym tempie. Normalnie by tego nie robiła; królowe kopców z wielką troską opiekują się swoją planetą. Nie lubią takiego marnotrawstwa i smrodu. Ale ostatnio bardzo się spieszy, a Człowiek twierdzi, że udzielili jej pozwolenia, by spalała i zanieczyszczała tyle, ile to konieczne.

- Konieczne do czego? - zapytała Valentine.

- Człowiek nie mówi, królowa kopca także. Ale czegoś się domyślam. Wy też zgadniecie.

- Czy prosiaczki liczą, że z pomocą królowej kopca w ciągu jednego pokolenia przeskoczą do cywilizacji w pełni technicznej?

- Raczej nie. Są na to zbyt konserwatywni. Chcą się dowiedzieć wszystkiego co możliwe, ale szczególnie im nie zależy, żeby otaczać się maszynami. Nie zapominaj, że drzewa w lesie z własnej woli i bez przymusu dostarczają im wszelkich potrzebnych narzędzi. To, co nazywamy przemysłem, im wciąż wydaje się brutalne.

- Więc co? Skąd ten dym?

- Zapytaj ją. Może z tobą będzie szczerą.

- Naprawdę ją zobaczymy? - zainteresował się Miro.

- O tak - zapewnił Ender. - A przynajmniej... znajdziemy się w jej obecności. Może nas nawet dotknąć. Chociaż... im mniej zobaczymy, tym lepiej. Tam, gdzie mieszka, zwykle panuje ciemność, chyba że zbliża się pora składania jaj. Wtedy musi widzieć i robotnice otwierają tunele, by wpuścić światło.

- Nie mają sztucznego oświetlenia? - zdziwił się Miro.

- Nigdy go nie używały. Nawet na statkach, które dotarły do naszego Systemu Słonecznego podczas Wojen z Robalami. Postrzegają ciepło w taki sam sposób, jak my widzimy światło. Każde źródło jest dla nich widzialne. Myślę, że potrafią nawet układać swoje źródła ciepła we wzorce, które można interpretować jedynie estetycznie. Termiczne malarstwo.

- Więc po co im światło przy składaniu jaj? - zapytała Valentine.

- Wahałbym się, czy nazwać to rytuałem. Królowa kopca żywi taką pogardę dla ludzkich religii... Powiedzmy, że to ich genetyczne dziedzictwo. Bez słonecznego światła nie ma jaj. Po chwili znaleźli się w mieście robali.

Valentine nie zaskoczyło to, co zobaczyli. Za młodu ona i Ender byli na pierwszej skolonizowanej planecie Rov, dawnym świecie robali. Wiedziała jednak, że dla Plikt i Mira widok będzie dziwaczny i obcy. Ona także poczuła nawrót tamtej dezorientacji. Co nie znaczy, że miasto było w jakiś oczywisty sposób niezwykle. Stały tu budynki, w większości niskie, ale zbudowane według tych samych zasad strukturalnych, co u ludzi. Niezwykłość brała się z niedbałego ich rozstawienia. Nie było tu dróg ani ulic, a budowle nie wyrastały na taką samą wysokość. Niektóre były tylko dachem ułożonym na ziemi, inne wznosiły się bardzo wysoko. Farby używano chyba tylko jako warstwy ochronnej; nie zauważyła żadnych dekoracji. Ender sugerował, że w celach estetycznych robale mogą wykorzystywać ciepło. Z całą pewnością nie używały niczego innego.

- To nie ma sensu - zauważył Miro.

- Nie ma, kiedy się stoi na zewnątrz - przyznała Valentine, wspominając Rov. - Ale gdybyś

podróżował tunelami, zrozumiałbyś, że pod ziemią to wszystko nabiera znaczeń. Podążają wzdłuż naturalnych szczelin i faktury skał. Geologia ma pewien rytm i robale są na nie wyczulone.

- A te wysokie budowle?

- Od dołu barierę tworzy powierzchnia wód gruntowych. Jeśli potrzebują czegoś wyższego, muszą budować do góry.

- A co może wymagać tak wysokich budynków?

- Nie wiem - przyznała Valentine.

Mijali właśnie budowlę wyrastającą na co najmniej trzysta metrów. W pobliżu zauważyli kilkanaście innych.

Plikt odezwała się - po raz pierwszy w czasie tej wycieczki. - Rakiety - powiedziała.

Valentine dostrzegła, że Ender uśmiecha się lekko i kiwa głową. A zatem Plikt potwierdziła jego własne podejrzenia.

- Po co? - zdziwił się Miro.

Naturalnie, żeby polecieć w kosmos, chciała odpowiedzieć Valentine. Ale to nie byłoby uczciwe: Miro nigdy nie mieszkał w świecie, który stara się po raz pierwszy wyrwać w kosmos. Dla niego odlot z planety oznaczał podróż promem do stacji orbitalnej. Jednak prom Lusitania nie nadawał się do transportu materiałów dla budowy statków. A gdyby nawet, królowa kopca wolą nie prosić ludzi o pomoc.

- Co ona buduje? Stację kosmiczną?

- Chyba tak - potwierdził Ender. - Ale tyle raket do transportu materiałów, w dodatku takich dużych... Myślę, że planuje zbudować ją za jednym zamachem. Pewnie wykorzysta też same kadłuby. Jak myślisz, jaką mają nośność?

Valentine chciała już odpowiedzieć niechętnie: a skąd mogę wiedzieć? I wtedy uświadomiła sobie, że to nie do niej się zwracał. Ponieważ niemal natychmiast sam odpowiedział. To oznaczało, że musiał pytać komputera w uchu. Nie, nie „komputera”. Jane. Pytał Jane. Valentine wciąż trudno było się przyzwyczaić, że choć tylko czworo ludzi siedzi w samochodzie, jest z nimi pięta osoba. Słuchała i patrzyła przez klejnoty, jakie nosili Ender i Miro.

- Może wyprodukować wszystko na raz - stwierdził Ender. - Więcej, biorąc pod uwagę emisje dymów, królowa wytopiła dość metalu na budowę nie tylko stacji kosmicznej, ale też dwóch małych statków dalekiego zasięgu. Tego typu, jakie miała pierwsza ekspedycja robali. Ich wersję statku kolonizacyjnego.

- Zanim dotrze flota - dokończyła Valentine. Pojęła od razu. Królowa kopca przygotowywała się do emigracji. Nie chciała, by jej rasa wpadła w pułapkę jednej planety, kiedy przybędzie Mały Doktor.

- Rozumiesz problem - rzekł Ender. - Nie mówi nam, co zamierza, musimy więc opierać się na obserwacjach Jane i własnych domysłach. A moje wnioski nie rysują zbyt pięknego obrazu.

- Co w tym złego, że robale polecą w kosmos? - zdziwiła się Valentine.

- Nie tylko robale - wtrącił Miro.

Dokonała kolejnego skojarzenia. To dlatego pequeninos wyrazili zgodę na takie zanieczyszczenia. Dlatego od samego początku królowa zaplanowała dwa statki.

- Jeden statek dla robali, drugi dla pequeninos...

- Takie są ich zamiary - przytaknął Ender. - Ale ja widzę to inaczej: dwa statki dla descolady.

- Nossa Senhora - szepnął Miro.

Lodowaty dreszcz przebiegł Valentine po karku. Co innego, gdy królowa kopca próbuje ocalić swój gatunek. A co innego, jeśli chce ponieść do innych światów śmiertelność, adaptujący się

wirus.

- Rozumiesz teraz moje położenie - mruknął Ender. – Rozumiesz, dlaczego nie chce otwarcie przyznać, co tu robi.

- Ale przecież i tak nie mógłbyś jej powstrzymać, prawda?

- Mógłby ostrzec flotę Kongresu - podpowiedział Miro.

To prawda. Dziesiątki ciężko uzbrojonych statków, ze wszystkich stron zbliżających się do Lusitanii... Gdyby powiadomiono je o dwóch opuszczających planetę kosmolotach, gdyby znały ich początkowe trajektorie, mogłyby je przechwycić. Zniszczyć.

- Nie możesz... - szepnęła Valentine.

- Nie mogę ich zatrzymać i nie mogę pozwolić im odlecieć. Zatrzymać ich to ryzykować zagładą robali i prosiaczków równocześnie. Wypuścić ich to ryzykować zagładą całej ludzkości.

- Musisz z nimi porozmawiać. Musicie osiągnąć porozumienie.

- Ile jest warte porozumienie z nami? - westchnął Ender. - Nie przemawiamy w imieniu całej ludzkości. Gdybyśmy próbowali grozić, królowa kopca po prostu zniszczy nasze satelity i prawdopodobnie nasz ansibl. I tak może to zrobić, na wszelki wypadek.

- Wtedy naprawdę będziemy odcięci - zauważył Miro.

- Od wszystkiego - dodał Ender.

Valentine dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że obaj myślą o Jane. Bez ansibla nie będą już mogli się z nią porozumieć. A bez satelitów wokół Lusitanii, oczy Jane oślepną.

- Nie rozumiem tego, Ender - wyznała Valentine. - Czy królowa kopca została naszym wrogiem?

- Oto jest pytanie, prawda? To cały problem ze wskrzeszeniem rasy. Teraz, kiedy odzyskała wolność, kiedy nie leży już owinięta kokonem w torbie pod moim łóżkiem, królowa kopca będzie chronić interesy własnego gatunku... tak, jak sama je pojmuje.

- Przecież to niemożliwe, żeby znowu musiała wybuchnąć wojna między ludźmi a robalami.

- Gdyby flota Kongresu nie leciała w stronę Lusitanii, ten problem wcale by się nie pojawił.

- Przecież Jane przerwała im łączność - przypomniała Valentine. - Nie mogą odebrać rozkazu użycia Małego Doktora.

- Na razie. Ale jak myślisz, Valentine, dlaczego Jane naraziła własne życie, by zablokować łączność?

- Ponieważ rozkaz został wysłany.

- Gwiezdny Kongres wydał rozkaz zniszczenia planety. A teraz, kiedy Jane objawiła swoją moc, tym bardziej im zależy, żeby nas zlikwidować. Gdy tylko znajdą sposób, jak pozbyć się Jane, z pewnością zechcą unicestwić ten świat.

- Uprzedziłeś królową kopca?

- Jeszcze nie. Ale nie jestem pewien, ile potrafi wyczytać z moich myśli, nawet wbrew mojej woli. Nie bardzo panuję nad tym środkiem komunikacji.

Valentine położyła mu dłoń na ramieniu.

- Czy dlatego nie chciałeś tu przyjeżdżać? Żeby nie dowiedziała się o prawdziwym zagrożeniu?

- Po prostu nie chcę się z nią spotykać - westchnął Ender. - Ponieważ kocham ją i boję się jej. Ponieważ nie jestem pewien, czy mam jej pomagać, czy próbować zniszczyć. I ponieważ, kiedy już wyśle te rakiety w przestrzeń, co może nastąpić lada dzień, odbierze nam szansę, by ją powstrzymać. Odbierze nam łączność z resztą ludzkości.

A także, czego nie powiedział, odetnie Endera i Miro od Jane.

- Uważam, że stanowczo należy z nią porozmawiać – oświadczyła Valentine.

- Albo to, albo ją zabić - wtrącił Miro.

- Teraz rozumiecie mój problem.

Jechali w milczeniu.

Wejście do tunelu królowej było budynkiem takim samym jak inne. Nie stały przed nim strażę... Podczas całej wyprawy nie zauważyli nawet jednego robala. Valentine pamiętała, że w czasach młodości, na ich pierwszym skolonizowanym świecie, próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądały miasta robali, gdy były jeszcze zamieszkałe. Teraz wiedziała: dokładnie tak jak wtedy, gdy były martwe. Żadnych robali, biegających dookoła jak mrówki w swoich kopcach. Wiedziała, że gdzieś istnieją pola i sady uprawiane pod otwartym niebem, jednak stąd nie mogła ich zobaczyć.

Dlaczego sprawiło jej to ulgę?

Znała odpowiedź na to pytanie, nim jeszcze je zadała. Spędziła dzieciństwo na Ziemi, w okresie Wojen z Robalami. Insektoidalni obcy nawiedzali jej senne koszmary, wzbudzali przerażenie wszystkich ziemskich dzieci. Jedyne garstka ludzi widziała je w naturze, a z nich niewielu dożyło czasów, gdy była dzieckiem. Nawet na pierwszej kolonii z ruinami cywilizacji robali nie znaleźli choćby jednego zaszuszonego ciała. Wszystkie wyobrażenia o nich pochodziły z przerażających propagandowych wideo.

A jednak, czy nie ona była pierwszą osobą, która przeczytała książkę Endera, Królową Kopca? Czy nie była pierwszą po Enderze, która zaczęła myśleć o królowej kopca jak o osobie, pełnej obcej gracji i piękna? Zrozumiała pierwsza, owszem, ale to bez znaczenia. Wszyscy żyjący dziś ludzie dojrzewali w moralnym universum ukształtowanym po części przez Królową Kopca i Hegemona. Ona i Ender jako jedyni dorastali podczas nieustającej kampanii nienawiści. Nic dziwnego, że nie widząc ich odczuwała irracjonalną ulgę. U Mira i Plikt pierwsze spotkanie z królową i robotnicami nie wywoła takiego emocjonalnego wstrząsu.

Jestem Demostenesem, przypomniała sobie. Jestem teoretykiem, który przekonywał, że robale to rameni - obcy, których możemy zrozumieć i zaakceptować. Muszę odrzucić przesady dzieciństwa. W odpowiednim czasie cała ludzkość dowie się o odrodzeniu królowej kopca. To wstyd, gdyby Demostenes okazał się jedyną osobą, która nie potrafi zobaczyć w niej ramena.

Ender zatoczył krąg wokół niskiego budynku.

- To tutaj - oświadczył.

Zatrzymał pojazd, po czym wyłączył śmigło i opadli na capim w pobliżu jedyne wejścia. Drzwi były bardzo niskie - dorosły człowiek musiałby przechodzić na czworakach.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Miro.

- Bo ona tak mówi - wyjaśnił Ender.

- Jane? - spytał Miro. Był zaskoczony, ponieważ jemu Jane nic takiego nie powiedziała.

- Królowa kopca - wyjaśniła Valentine. - Rozmawia bezpośrednio z umysłem Endera.

- Niezła sztuczka - stwierdził chłopak. - Też mogę się tego nauczyć?

- Zobaczymy - odparł Ender. - Kiedy ją spotkasz.

Wyskoczyli z samochodu w wysoką trawę. Valentine zauważyła, że Ender i Miro wciąż zerkają na Plikt. Oczywiście, niepokoiło ich, że jest taka małomówna. A raczej wydaje się małomówna - Valentine знаła ją jako rozmowną, elokwentną kobietę. Przywyczała się jednak, że w pewnych sytuacjach Plikt udaje niemowę. Ender i Miro pierwszy raz spotykali się z jej upartym milczeniem. Krępowało ich. I taki był główny powód zachowania Plikt. Wierzyła, że ludzie odsłaniają się, gdy są trochę zaniepokojeni. A niewiele bodźców tak skutecznie wzbudza nieokreślony niepokój, jak towarzystwo osoby, która wcale się nie odzywa.

W stosunkach z obcymi Valentine nie ceniła tej metody zbyt wysoko. Za to jako nauczycielka, Plikt milczeniem skłaniała uczniów - dzieci Valentine - do głębszego rozważenia własnych idei. Valentine

i Ender pobudzali słuchaczy dialogiem, pytaniami, argumentacją. Zaś Plikt zmuszała, by studenci odgrywali role przeciwnych stron w dyskusji, by wysuwali teorie, a potem atakowali je w celu wyjaśnienia własnych zastrzeżeń. Dla większości ludzi taka metoda nie byłaby skuteczna. Plikt udawało się, jak stwierdziła Valentine, ponieważ milczenie nie oznaczało całkowitego braku komunikacji. Spokojny, przenikliwy wzrok sam w sobie był wymowną ekspresją sceptycyzmu. Kiedy uczeń je napotykał, szybko ulegał własnej niepewności. Każda wątpliwość, jaką wcześniej odsuwał i ignorował, teraz wypływała na powierzchnię, gdy próbował w głębi siebie odkryć powody wyraźnego powątpiewania Plikt.

Najstarsza córka Valentine, Syfte, nazywała te jednostronne dyskusje „spoglądaniem w słońce”. A teraz przyszła kolej, by z kolei Ender i Miro ślepli w starciu z wszytkowidzącym okiem i milczącymi ustami. Valentine miała ochotę śmiać się z ich zakłopotania, a nawet pocieszyć ich. A także dać Plikt lekkiego klapsa i upomnieć za niestosowne zachowanie.

Zamiast tego, podeszła do ściany i szarpnęła drzwi. Nie miały żadnego zamka, jedynie gałkę. Otworzyły się bez oporu. Przytrzymała je, a Ender opadł na kolana i przeczołgał się do środka. Plikt ruszyła za nim. Miro westchnął i uklęknął powoli. Czołgał się jeszcze wolniej niż chodził - każdy ruch ręki czy nogi wykonywał kolejno, jakby musiał zastanawiać się, w którą stronę je przesunąć. Wreszcie zniknął w otworze. Na końcu Valentine pochyliła się i przeszła w kucki. Była najmniejsza i nie musiała pełzać.

Światło wpadało jedynie przez drzwi. Pomieszczenie było całkiem puste, z klepiskiem zamiast podłogi. Dopiero kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Valentine zauważyła, że najczarniejsze miejsce to otwór korytarza prowadzącego w głąb ziemi.

- W tunelach nie ma żadnego oświetlenia - ostrzegł Ender. - Ona mną pokieruje. Musimy trzymać się za ręce. Valentine, ty pójdziesz ostatnia. Zgoda?

- Czy można schodzić na stojąco? - zapytał Miro. Najwyraźniej było to dla niego istotne.

- Tak - uspokoił go Ender. - Dlatego wybrała to wejście.

Chwycili się za ręce: Plikt za Enderem, Miro między dwoma kobietami. Ender sprowadził ich kilka stopni w dół, do tunelu. Podłoga była stroma, a całkowita czerń przed nimi przerażała. Nim jednak ciemność stała się absolutna, Ender przystanął.

- Na co czekamy? - zapytała Valentine.

- Na naszego przewodnika.

Przybył po chwili. W mroku Valentine z trudem dostrzegła czarne, wąskie ramię z jednym palcem i kciukiem. Trąciło Endera w rękę. Natychmiast pochwycił palec, a kciuk zamknął jego dłoń jak w kleszczach. Spoglądając wzdłuż ramienia, Valentine usiłowała zobaczyć robala, do którego ono należało. Rozróżniła tylko cień rozmiarów dziecka i może delikatny blask światła na pancerzu.

Wyobraźnia podsunęła wizerunek i wbrew swej woli kobieta zadrżała.

Miro wymruczał coś po portugalsku. A zatem i na niego podziałała obecność robala. Plikt jednak zachowała milczenie. Valentine nie umiałaby powiedzieć, jaka była jej reakcja. A potem Miro zrobił krok naprzód i pociągnął ją za rękę, prowadząc za sobą w ciemność.

Ender wiedział, jak ciężka będzie ta droga dla pozostałych. Jak dotąd, jedynie on, Novinha i Ela odwiedzali królową kopca, przy czym Novinha przyszła tylko raz. Zbyt niepokojąca była ciemność, nieskończona droga w dół bez pomocy wzroku, ciche odgłosy, świadczące, że życie i ruch trwają wokół, niewidzialne, choć bliskie.

- Możemy rozmawiać? - zapytała Valentine. Głos brzmiał niepewnie.

- Dobry pomysł - odparł Ender. - Im nie przeszkodzimy. Nie zwracają uwagi na dźwięki.

Miro powiedział coś. Nie widząc ruchu jego ust, trudniej było zrozumieć, co mówi.

- Co? - spytał Ender.

- Oboje chcemy wiedzieć, czy jeszcze daleko - wyjaśniła Valentine.

- Nie wiem, gdzie nas prowadzi. Ona może być wszędzie. Na dole jest przynajmniej tuzin sal dziecińczych. Ale nie martwcie się. Jestem pewien, że potrafiłbym znaleźć drogę do wyjścia.

- Ja też - stwierdziła Valentine. - Przynajmniej z latarką.

- Żadnego światła. Składanie jaj wymaga słońca, ale poza tym światło tylko opóźnia ich rozwój. A na pewnym etapie może zabić larwy.

- Znalazłbyś po ciemku wyjście z tego koszmaru?

- Prawdopodobnie. Można tu wyróżnić pewne wzorce. To jak pajęczyny... kiedy wyczujesz ogólny schemat, każdy fragment tunelu staje się sensowny.

- Te tunele nie są przypadkowe? - Valentine była sceptyczna.

- Są jak te korytarze na Erosie - wyjaśnił Ender.

Nie miał zbyt wielu okazji do wycieczek, kiedy jako dziecko-żołnierz przebywał na Erosie. Robale przeryły asteroid, zmieniając go w swoją wysuniętą placówkę w Systemie Słonecznym. Ludzie zdobyli ją podczas pierwszej Wojny z Robalami i w to miejsce przenieśli siedzibę dowództwa ziemskiej floty. Spędzone na asteroidzie miesiące Ender poświęcał głównie na naukę kierowania fotyllami okrętów w przestrzeni. Musiał jednak lepiej poznać te tunele, niż sobie to wtedy uświadamiał. Gdy bowiem pierwszy raz królowa kopca sprowadziła go do swej siedziby na Lusitanii, przekonał się, że łuki i zakręty korytarzy nigdy go nie zaskakują. Wydawały się właściwe... więcej nawet, nieuniknione.

- Co to jest Eros? - chciał wiedzieć Miro.

- Asteroid w pobliżu Ziemi - odparła Valentine. - Miejsce, gdzie Ender stracił rozum.

Ender spróbował wyjaśnić im system organizacji tuneli. Ale był zbyt skomplikowany. Jak we fraktalach: za wiele istniało możliwych wyjątków, by pojąć schemat w szczegółach - im bardziej człowiek się starał, tym bardziej system wymykał się zrozumieniu. A jednak Enderowi wydawał się wciąż taki sam: ten sam wzorec powtarzany raz za razem. A może, gdy studiował robale, by je pokonać, połączył się jakoś z umysłem kopca? Może nauczył się myśleć jak robal? W takim wypadku Valentine miała rację: utracił część swego ludzkiego umysłu, a przynajmniej dodał do niego część umysłu kopca.

Wreszcie minęli zakręt i dostrzegli błysk światła.

- Gracias a deus - szepnął Miro.

Ender zauważył z satysfakcją, że Plikt - ta kamienna kobieta, która przecież nie mogła być tą sama błyskotliwą studentką, którą zapamiętał - także odetchnęła z ulgą. Może jednak tliło się w niej jakieś życie.

- Już blisko - oznajmił. - Składa jaja, więc będzie w dobrym nastroju.

- Czy nie wymaga odosobnienia?

- To jakby lekkie szczytowanie seksualne, które trwa przez kilka godzin i wprawia ją w dobry humor. Królowe kopców żyją zwykle w towarzystwie robotnic i trutniów, a ci są jakby przedłużeniem ich ciał. Nie znają uczucia wstydu.

W umyśle wyczuwał już potęgę jej obecności. Oczywiście, zawsze mogła z nim rozmawiać. Jednak na tak małą odległość miał wrażenie, że oddycha mu pod czaszką, męcząco i uciążliwie. Czy inni też to czuli? Czy ona potrafi z nimi rozmawiać? Z Elą się nie udało, nie pochwyciła nawet echa milczącej konwersacji. Za to Novinha... nie chciała o tym mówić i zaprzeczyła, by cokolwiek słyszała. Ender podejrzewał jednak, że po prostu odepchnęła obcą obecność. Królowa kopca

twierdziła, że póki były w pobliżu, słyszała je obie dość wyraźnie, nie umiała za to sprawić, by sama być „słyszana”. Czy to samo zdarzy się dzisiaj?

Dobrze by było, gdyby potrafiła przemówić do innej ludzkiej istoty. Twierdziła, że jest do tego zdolna, choć Ender już dawno się przekonał, że królowa nie potrafi rozróżnić między ufnymi przewidywaniami przyszłości a zupełnie pewnymi wspomnieniami przeszłości. Wierzyła swoim domysłom tak, jak wierzyła pamięci. A kiedy te domysły okazały się fałszywe, nigdy nie pamiętała, że przewidywała przyszłość inną od tej, która stała się już przeszłością.

Była to jedna z cech obcego umysłu, która najbardziej Endera niepokoiła. Wychował się w społeczeństwie, które dojrzałość człowieka osądzało na podstawie jego zdolności przewidywania rezultatów dokonywanych wyborów. Królowa kopca miała wyraźne braki w tej dziedzinie. Mimo wielkiej mądrości i doświadczenia, wydawała się zadufana w sobie tak całkowicie, jak małe dziecko.

To właśnie budziło lęk w kontaktach z nią. Czy potrafi dotrzymać obietnicy? A jeśli nie dotrzyma, czy potrafi sobie uświadomić, co zrobiła?

Valentine próbowała skupić się na rozmowie, ale nie mogła oderwać wzroku od sylwetki robala. Był mniejszy, niż to sobie wyobrażała - najwyżej półtora metra, może nawet mniej. Spoglądając ponad ramionami innych, widziała tylko część jego ciała, ale to było chyba jeszcze gorsze, niż gdyby zobaczyła całego. Nie potrafiła odsunąć myśli, że czarny, błyszczący... wróg trzyma w śmiertelnym uścisku dłoni Endera.

Nie w śmiertelnym uścisku. Nie wróg. Nawet nie istota sama w sobie. Miał tyle indywidualności, co ucho albo palec - każdy z robali był tylko organem zmysłowym i roboczym królowej kopca, W pewnym sensie królowa była tu z nimi, była obecna w każdej ze swoich robotnic i każdym z trutni, choćby oddalonych o setki lat świetlnych. To nie jest potwór. To ta sama królowa kopca, o której mówi książka Endera. Ta sama, którą niósł ze sobą i opiekował się przez wszystkie nasze wspólne lata, choć nic o tym nie wiedziałam. Nie mam się czego obawiać.

Bezskutecznie usiłowała stłumić własny lęk. Pociła się; czuła, jak jej dłoń ślizga się w niepewnym uchwycie Mira. Zbliżali się do leża królowej... nie, do jej domu, jej mieszkania... i była coraz bardziej przerażona. Jeśli sama nie może sobie z tym poradzić, musi wezwać kogoś na pomoc. Gdzie jest Jakt? Trzeba znaleźć kogoś innego.

- Przepraszam cię, Miro - szepnęła. - Chyba spociłam się ze strachu.

- Ty? - zdziwił się. - Myślałem, że to mój pot.

Dobrze. Roześmiał się. Ona również... a przynajmniej zachichotała nerwowo.

Tunel rozszerzył się nagle i mrużąc oczy stanęli w rozległej komorze. Ciemność przebijał promień blasku z otworu w kopule stropu. Królowa siedziała w samym środku kręgu jasności. Wokół tłoczyły się robotnice, ale w świetle, w obecności królowej wszystkie sprawiały wrażenie drobnych i delikatnych. Wysokie raczej na metr niż półtora, gdy sama królowa miała przynajmniej trzy metry długości. Wzrost nie stanowił nawet połowy tego rozmiaru. Pokrywy skrzydeł, ogromne, ciężkie, jakby metaliczne, tęczą barw odbijały światło słońca. Odwłok był długi i szeroki; mógłby pomieścić całe ludzkie ciało. Zwęzał się jak lejek do drżącego czubka owipozytora, lśniącego żółtawą, mętną cieczą, lepłą i włóknistą; owipozytor zanurzył się w jamie w podłodze, jak najgłębiej, i powrócił. Strużki cieczy ciągnęły się z wnętrza otworu jak ślina.

Tak wielkie stworzenie, zachowujące się zupełnie jak owad, sprawiało groteskowe i przerażające wrażenie. Mimo to Valentine nie była przygotowana na to, co się wydarzy. Zamiast wsunąć owipozytor do kolejnego otworu, królowa odwróciła się i pochwyciła jedną z robotnic krzątających



się w pobliżu. Trzymając ofiarę między przednimi odnóżami, przysunęła ją do siebie i jedną po drugiej odgryzła nogi. Po każdym zaciśnięciu szczęk, pozostałe odnóża gestykulowały coraz bardziej gwałtownie, jakby w bezgłośnym wołaniu. Valentine poczuła rozpaczliwą ulgę, gdy odpadło ostatnie i nie musiała już oglądać tego niemego krzyku.

Królowa kopca wcisnęła beznogą robotnicę do otworu, głową w dół. Dopiero wtedy przesunęła tam owipozytora. Valentine patrzyła, jak śluz na końcu gęstnieje i rozlewa się. Ale nie był to już śluz, a przynajmniej nie do końca; w ogromnej kropli tkwiło miękkie, galaretowate jajo. Królowa kopca ustawiła ciało tak, by patrzeć prosto w światło słońca, a jej złożone oczy błysnęły jak tysiące szmaragdowych gwiazd. Owipozytor opadł do otworu. Kiedy powrócił, jajo wciąż tkwiło na czubku, jednak zniknęło po kolejnym zanurzeniu. Jeszcze kilka razy odwłok wyginał się i wsuwał owipozytora, który powracał, ciągnąc coraz więcej włókien gęstej mazi.

- Nossa Senhora - szepnął Miro.

Valentine zrozumiała, znając hiszpański równoważnik tych słów: Nuestra Senora, Nasza Pani. Zwykle był to wykrzyknik pozbawiony właściwie znaczenia, jednak tutaj nabrał odrażającej ironii. To nie Święta Dziewica włada w tej głębokiej jaskini. Królowa kopca jest Naszą Panią z Ciemności. Składała jaja w ciałach bezwładnych robotnic, którymi karmiły się larwy.

- Nie może zawsze w ten sposób - stwierdziła Plikt.

Przez moment Valentine była zwyczajnie zdumiona, że słyszy jej głos. Potem uświadomiła sobie znaczenie słów i musiała przyznać im rację. Gdyby dla każdego robala, który wykluwa się z jaja, potrzebna była ofiara jednej żywej robotnicy, liczebność gatunku nie mogłaby wzrastać. Nie istniałby nawet ten kopiec, gdyż królowa musiała złożyć pierwsze jaja, nie mając beznogich robotnic, by je żywić.

Tylko nowa królowa.

To zdanie napłynęło do umysłu Valentine, jakby sama je wymyśliła. Królowa kopca musiała umieścić pod jajem żywe ciało robotnicy tylko wtedy, kiedy z jaja miała wyrosnąć nowa królowa. Ale Valentine nie wymyśliła tego; nazbyt była pewna, że to prawda. W żaden sposób nie mogła zdobyć takiej informacji, a jednak idea pojawiła się wyraźna, niewątpliwa, natychmiastowa. Valentine wyobrażała sobie, że w taki właśnie sposób starożytni prorocy i mistycy słyszeli głos Boga.

- Słyszeliście ją? Ktokolwiek z was? - zapytał Ender.

- Tak - odparła Plikt.

- Chyba tak - zawahała się Valentine.

- Co słyszeliśmy? - nie rozumiał Miro.

- Królową kopca - wyjaśnił Ender. - Tłumaczyła, że musi umieścić w otworze robotnicę tylko wtedy, kiedy składa jajo z nową królową. Złoży ich pięć; dwa są już na miejscu. Zaprosiła nas, żebyśmy to zobaczyli, W ten sposób chce nam powiedzieć, że wysyła statek kolonizacyjny. Składa pięć jaj królowych i czeka, która okaże się najsilniejsza. Ją wyśle w kosmos.

- Co z pozostałymi? - spytała Valentine.

- Jeśli któraś będzie coś warta, larwa trafi do kokonu. Ją też to spotkało. Pozostałe zabije i pożre. Musi. Gdyby któryś z trutni choćby dotknął ciała rywalki, popadłby w obłęd i próbował zabić królową kopca. Trutnie są bardzo lojalnymi partnerami.

- Wszyscy to słyszeli? - zapytał Miro. Był chyba rozczarowany. Królowa kopca nie potrafiła z nim rozmawiać.

- Tak - potwierdziła Plikt.

- Tylko częściowo - powiedziała Valentine.

- Postaraj się oczyścić swój umysł - poradził Ender. - Spróbuj nucić w myślach. To pomaga.

Tymczasem królowa kopca zakończyła kolejną serię amputacji. Valentine wyobraziła sobie, że nadeptuje na rosnący stos odnóży. Pękały jak gałązki, z obrzydliwym trzaskiem.

Bardzo miękkie. Nogi nie pękają. Uginają się.

Królowa odpowiadała na jej myśli.

Jesteś częścią Endera. Możesz mnie słyszeć.

Słowa w umyśle brzmiały coraz wyraźniej. Valentine potrafiła już dostrzec różnicę między komunikatami królowej a własnymi myślami.

- Ouvi - szepnął Miro. Wreszcie coś usłyszał. - Fala mais, escuto. Powiedz coś więcej. Ja słucham.

Połączenia filotyczne. Jesteście związani z Enderem. Kiedy mówię do niego przez filotyczne złącze, wy słyszycie. Echa. Odbicia.

Valentine usiłowała pojąć, jak królowa kopca potrafi przemawiać do jej umysłu w storku. I zaraz uświadomiła sobie, że to nie tak. Miro słyszał ją w swoim ojczystym języku, po portugalsku; a Valentine naprawdę nie słyszała storku, lecz angielski, na którym stork się opierał - amerykański angielski, z którym dorastała. Królowa nie przesyłała żadnych słów. Przesyłała myśl, a ich mózgi próbowały ją zinterpretować w tym języku, który najgłębiej tkwił w umyśle. Kiedy Valentine słyszała „echa” i zaraz potem „odbicia”, to nie królowa kopca szukała odpowiedniego słowa. To umysł Valentine poszukiwał słów oddających znaczenie.

Związani z nim. Jak mój lud. Ale wy macie wolną wolę. Niezależne filoty. Zdziczali ludzie, wy wszyscy.

- To jest żart - szepnął Ender. - Nie osąd.

Valentine była mu wdzięczna za tę interpretację. Obraz, jaki pojawił się w jej myślach wraz ze słowem „zdziczali” przedstawiał słonia tratującego człowieka na śmierć. To było wyobrażenie z czasów dzieciństwa, opowiadanie, w którym po raz pierwszy napotkała to określenie. Teraz ten obraz przeraził ją tak samo jak wtedy. Nienawidziła obecności królowej kopca w swym umyśle. Nienawidziła metod, jakimi tamta przywoływała zapomniane koszmary. Wszystko w królowej kopca było koszarne. Jak Valentine mogła w ogóle uznać tę istotę za ramena? Owszem, nastąpiło porozumienie. Jak między obłąkanymi.

I co ona takiego powiedziała? Że słyszą ją tak dobrze, gdyż są filotycznie połączeni z Enderem. Valentine przypomniała sobie, co mówili podczas lotu Miro i Jane. Czy to możliwe, że jej filotyczne pasmo splatało się z pasmem Endera, a poprzez niego królowej kopca? Jak w ogóle mogło powstać połączenie Endera i królowej?

Szukałyśmy go. Był naszym wrogiem. Próbowal nas zniszczyć. Chciałyśmy go ujarzmić. Jak zdziczała.

Zrozumienie nastąpiło niespodziewanie, jakby nagle otworzyły się drzwi. Nie wszystkie robale rodziły się uległe. Mogły posiadać własną tożsamość. A przynajmniej zakłócenia sterowania. Dlatego królowe kopca ewolucyjnie wykształciły zdolność chwytania ich, filotycznego związywania, by nad nimi zapanować.

Znalazłyśmy go. Nie mogłyśmy przywiązać. Za silny.

I nikt się nie domyślał, co groziło Enderowi. Królowa kopca liczyła, że potrafi go schwytać, zmienić w takie samo bezmyślne, posłuszne jej woli narzędzie, jakim był każdy robal.

Zastawiłyśmy na niego sieć. Znalazłyśmy to, za czym tęsknił. Myślałyśmy. Weszłyśmy w to. Nadałyśmy filotyczne jądro. Powiązane z nim. Ale to nie wystarczyło. Teraz ty. Ty.

Słowo jak młot uderzyło w umysł Valentine. Jej chodzi o mnie. Chodzi o mnie, o mnie, o mnie...

Usiłowała sobie przypomnieć, kogo oznacza to „mnie” Jestem Valentine. Jej chodzi o Valentine.

To ty nią byłaś. Ty. Ciebie powinniśmy znaleźć. To, czego najbardziej pragnął. Nie ta druga rzecz.

Poczuła mdłości. Czyżby wojskowi mieli rację? Czy to możliwe, że Endera ocaliło jedynie okrutne rozdzielenie z Valentine? Gdyby była przy Enderze, robale potrafiłyby ją wykorzystać, by nad nim zapanować?

Nie. Nie mogłyśmy tego zrobić. Ty też jesteś za silna. Byłyśmy skazane. Byłyśmy martwe. Nie mógł do nas należeć. Ale do ciebie też nie. Już nie. Nie umiałyśmy go ujarzmić, ale splotłyśmy się z nim.

Valentine pomyślała o obrazie, jaki przyszedł jej na myśl na statku. Obraz ludzi złączonych razem, rodziny powiązane niewidzialnymi włóknami, dzieci z rodzicami, rodziców ze sobą nawzajem i z ich rodzicami. Zmienna sieć linii wiążących ludzi tak, jak łączyły ich uczucia. Teraz jednak obraz przedstawiał ją samą powiazaną z Enderem. I Endera związanego... z królową kopca. I królową, jak wstrząsa owipozytorem, jak kołyszą się pasrna śluzu, a na końcu jednego z nich głowa Endera huśta się, podskakuje...

Otrząsnęła się, próbując usunąć z myśli ten obraz.

Nie kierujemy nim. Jest wolny. Może mnie zabić, jeśli zechce. Nie powstrzymam go. Czy ty mnie zabijesz?

Tym razem „ty” nie oznaczało Valentine; czuła, jak pytanie oddala się od niej. I zaraz potem, kiedy królowa kopca czekała na odpowiedź, Valentine wyczuła inną myśl. Tak podobną do własnych, że gdyby nie była wyczulona, gdyby także nie wyczekiwała, co odpowie Ender, uznałaby ją za swoją naturalną myśl.

Nigdy, mówiła ta myśl w jej głowie. Nigdy cię nie zabiję. Kocham cię.

A wraz z nią nadpłynął odblask szczerego uczucia. I natychmiast myślowy wizerunek królowej kopca oczyścił się z wszelkich odcieni obrzydzenia. Teraz wydawała się majestatyczna, królewska, wspaniała. Tęcze z jej pokryw skrzydłowych nie przypominały już oleistej plamy na wodzie; światło odbijające się w jej oczach było aureolą, lśniące pasma zwisające z końca odwłoka stały się niemi życia, jak mleko z sutki kobiecej piersi, zmieszane ze śliną i płynące do ssącej buzi dziecka. Do tej chwili Valentine walczyła ze wstrętem, a teraz nagle niemal czciła królową kopca.

Wiedziała, że to myśl Endera. A wraz z jego wizją królowej kopca przyszło zrozumienie. Przez cały czas miała rację, pisząc jako Demostenes tak wiele lat temu. Królowa kopca naprawdę była ramenem: obca, ale zdolna do zrozumienia i bycia rozumianą.

Gdy wizja zanikała, Valentine usłyszała czyjś szloch. To Plikt. Przez wszystkie spędzone razem lata, Valentine nie widziała jeszcze, by Plikt okazała taką słabość.

- Bonita - powiedział Miro. Piękna.

Czy tylko tyle widział? Królowa kopca była piękna? Rzeczywiście, kontakt między Mirem i Enderem musi być słaby... ale dlaczego nie? Przecież chłopiec nie znał go tak długo i tak dobrze jak Valentine, która przebywała z nim przez całe życie.

Lecz jeśli to było powodem, że Valentine o wiele wyraźniej niż Miro odbierała myśli Endera, jak można wyjaśnić fakt, że Plikt słyszała jeszcze więcej? Czy to możliwe, że przez długie lata studiów nad Enderem, podziwiając go i właściwie nie znając, Plikt związała się z nim jeszcze mocniej?

Oczywiście, że tak. Naturalnie. Valentine miała rodzinę. Miała męża i dzieci. Filotyczne złącze z bratem musiało osłabnąć. Podczas gdy Plikt nie związała się z nikim tak mocno, by stanowić konkurencję. Kiedy więc królowa kopca umożliwiła filotycznym powiązaniom przekazywanie myśli, Plikt najdoskonalej odbierała Endera. Nic jej nie rozpraszało. Żadna część świadomości nie była zamknięta.

Czy nawet Novinha, połączona przecież ze swymi dziećmi, mogła być tak całkowicie oddana Enderowi? To niemożliwe. I gdyby Ender zaczął się czegoś domyślać, byłoby to dla niego wielce kłopotliwe. A może pociągające? Valentine dobrze знаła kobiety i mężczyzn; wiedziała, że taki zachwyt jest najbardziej uwodzicielską cechą. Czyżbym przywiozła ze sobą rywalkę, by sprowadzić kłopoty na małżeństwo Endera?

Czy Ender i Plikt mogą teraz czytać w moich myślach?

Valentine czuła się całkowicie odsłonięta, przestraszona. I jakby w odpowiedzi, jakby dla uspokojenia, powrócił głos królowej, zagłuszając wszelkie myśli, jakie może posyłał Ender.

Wiem, czego się boisz. Ale moja kolonia nie zabije nikogo. Kiedy odlecimy z Lusitanii, potrafimy usunąć z kosmosu wirusy descolady.

Może, pomyślał Ender.

Na pewno znajdziemy sposób. Nie przeniesiemy wirusa. Nie musimy umierać, by ocalić ludzi. Nie zabijaj nas nie zabijaj nas.

Nigdy cię nie zabiję... Myśl Endera nadpłynęła jak szept, niemal zagłuszana błaganiem królowej kopca.

I tak nie moglibyśmy cię zabić, myślała Valentine. To ty możesz bez trudu nas zniszczyć. Kiedy już wybudujesz statki. I broń. Będziesz gotowa na przyłot ludzkiej floty. Tym razem nie Ender nią dowodzi.

Nigdy. Nigdy nikogo nie zabijemy. Nigdy. Obiecałyśmy.

Pokój, zabrzmiał szept Endera. Pokój. Trwaj w pokoju, ciszy, ukojeniu, spoczynku. Nie lękaj się niczego. Żadnego z ludzi.

Nie buduj statku dla prosiaczków, pomyślała Valentine. Zbuduj dla siebie, gdyż ty potrafisz usunąć descoladę, jaką w sobie nosisz. Ale nie dla nich.

Myśli królowej kopca nagle zmieniły się z błagalnych na surowe, pełne wyrzutu.

Czy oni również nie mają prawa do życia? Obiecałam im statek. Obiecałam wam nigdy nie zabijać. Chcesz, żebym złamała obietnice?

Nie, odpowiedziała. Już teraz było jej wstyd, że proponowała taką zdradę. A może królowa kopca to czuła? Albo Ender? Czy naprawdę wiedziała, które myśli i uczucia należą do niej, a które pochodzą od kogoś innego?

Strach... strach był jej własny, nie miała wątpliwości.

- Proszę - powiedziała. - Chcę stąd wyjść.

- Eu tambem - odezwał się Miro.

Ender postąpił o krok w stronę królowej kopca. Wyciągnął rękę. Ona nie wysunęła żadnego z odnóży - były zajęte wpychaniem do otworu ostatniej ofiary. Zamiast tego uniosła pokrywę skrzydłową, obróciła ją i przesunęła do Endera, aż jego dłoń spoczęła na czarnej, lśniącej tęczowo powierzchni.

Nie dotykaj jej! krzyknęła bezgłośnie Valentine. Ona cię uwięzi!

Chce cię ujarzmić!

- Cicho - powiedział głośno.

Valentine nie była pewna, czy to odpowiedź na jej myślowe krzyki, czy chciał uciszyć coś, co królowa kopca mówiła tylko do niego. To bez znaczenia. Po chwili Ender ścisnął już palec robala i prowadził ich do ciemnego tunelu. Tym razem miał za sobą Valentine, potem Mira, a Plikt szła na końcu. Dlatego właśnie Plikt po raz ostatni spojrzała na królową kopca; właśnie Plikt uniosła dłoń na pożegnanie.

Przez całą drogę ku powierzchni Valentine usiłowała wytłumaczyć sobie, co się stało. Zawsze

wierzyła, że gdyby ludzie mogli bezpośrednio przekazywać sobie myśli, unikając niejednoznaczności języka, zrozumienie byłoby pełne i zniknęłyby niepotrzebne konflikty. Odkryła jednak, że język nie powiększa różnic między ludźmi, a raczej zamazuje je, wygładza. Ludzie żyją ze sobą, chociaż naprawdę nie rozumieją siebie nawzajem. Iluzja zrozumienia pozwala im wierzyć, że są do siebie bardziej podobni niż w rzeczywistości. Niewykluczone, że mowa jest jednak lepsza.

Wyczołgali się z budynku na światło dnia. Mrugali niepewnie i uśmiechali się z ulgą. Wszyscy.

- To nie zabawa - stwierdził Ender. - Ale uparłaś się, Val. Musiałaś ją zobaczyć natychmiast.

- Jestem głupia - odparła Valentine. - To taka nowość?

- Była piękna - szepnęła Plikt.

Miro leżał na plecach wśród capim i zakrywał ręką oczy.

Valentine spojrzała na niego i nagle pochwyciła wizję mężczyzny, jakim był kiedyś, ciała, jakie posiadał. Leżąc w trawie nie chwiał się; milczący, nie musiał się jąkać. Nic dziwnego, że ta druga ksenolog się w nim zakochała. Quanda. Tragedią było odkrycie, że jej ojciec jest również jego ojcem. To najgorsze, co zostało odsłonięte, kiedy trzydzieści lat temu Ender mówił o umarłym na Lusitaniu. Oto mężczyzna, którego utraciła Quanda. I Miro także utracił mężczyznę, którym był wtedy. Nic dziwnego, że zaryzykował życie, przechodząc przez ogrodzenie, by pomóc prosiaczkom. Stracił ukochaną i uznał, że życie nie ma żadnej wartości. Żałował tylko, że nie umarł po tym wszystkim. Żył dalej, złamany cielesnie i złamany psychicznie.

Dlaczego, patrząc teraz na niego, myślała o tym wszystkim? Dlaczego nagle wydało jej się to tak rzeczywiste?

Czy dlatego, że w tej chwili sam tak o sobie myślał? Czy odbierała jego własną wizję siebie? Jakies połączenie przetrwało między ich umysłami?

- Ender - powiedziała. - Co się wydarzyło tam na dole?

- Lepszy niż się spodziewałem - odparł.

- Co takiego?

- Kontakt między nami.

- Oczekiwałeś tego?

- Pragnąłem. - Ender usiadł na burcie samochodu, machając nogami w wysokiej trawie. - Dzisiaj była rozemocjonowana, prawda?

- Rozemocjonowana? Nie mam żadnego porównania.

- Czasem jest taka intelektualna... rozmowa z nią to jak myślenie o wyższej matematyce. A dzisiaj... jak dziecko. Oczywiście, nigdy nie byłem przy niej, kiedy składa jaja królowych. Myślę, że powiedziała nam więcej niż zamierzała.

- Uważasz, że nie potraktowała poważnie tej obietnicy?

- Nie. Ona zawsze poważnie traktuje obietnice. Nie umie kłamać.

- Więc o co ci chodzi?

- Mówiłem o połączeniu między nami. Jak próbowały mnie ujarzmić. To naprawdę ważne. Przez moment była wściekła, myśląc, że ty byłaś tym poszukiwanym ogniwem. Wiesz, co by to dla nich znaczyło. Nie wyginęłyby. Mogły nawet wykorzystać mnie do porozumienia z ludzkim rządem. Dzielić z nami galaktykę. Cóż za stracona szansa.

- Ty byłąś wtedy... jak robal. Byłąś ich niewolnikiem.

- Pewnie. Mnie by się to nie podobało. Ale te istnienia, które zostałyby ocalone... Byłem przecież żołnierzem, prawda? Jeśli śmierć jednego żołnierza może zbawić miliardy...

- Ale to by się nie udało. Masz niezależną wolę.

- Fakt - przyznał Ender. - A przynajmniej zbyt niezależną, żeby królowa kopca potrafiła ją

opanować. Ty również. Pociuszające, prawda?

- W tej chwili nie czuję się szczególnie pocieszona - oświadczyła Valentine. - Tam na dole byłeś w moim umyśle. I królowa kopca... Czuję się pogwałcona...

Ender zdziwił się.

- Na mnie to nie robi takiego wrażenia.

- Wiesz, to nie tylko to. Także radość. I strach. Ona jest taka... taka ogromna w moich myślach. Jakbym próbowała zawrzesć tam kogoś większego ode mnie.

- No chyba - przytaknął Ender. Zwrócił się do Plikt. - Dla ciebie też tak to wyglądało?

Po raz pierwszy Valentine spostrzegła, jak Plikt wpatruje się w Endera szeroko otwartymi oczami, drżąc. Milczała jednak.

- Aż tak silnie, co? - Ender zachichotał, zeskoczył z burty i podszedł do Mira.

Czyżby nie zauważył? Plikt już wcześniej miała obsesję na jego punkcie. Teraz usłyszała go we własnych myślach i tego już było za wiele. Królowa kopca wspomniała o ujarzmianiu zdziczałych robotnic. Czy to możliwe, że Plikt została „ujarzmiona” przez Endera? Czy możliwe, że zatraciła swą duszę w jego duszy?

Absurd. Wykluczone. W Bogu nadzieja, że tak się nie stało,

- Chodź, Miro - rzucił Ender.

Miro pozwolił, by pomógł mu wstać. Potem wszyscy razem wrócili do samochodu i ruszyli w stronę Milagre.

Miro oświadczył, że nie chce uczestniczyć w mszy. Ender i Novinha poszli bez niego. Jednak gdy tylko zniknęli, stwierdził, że nie może wytrzymać w domu. Wciąż miał wrażenie, że ktoś ukrywa się tuż za granicą pola widzenia. Że z cienia obserwuje go mała postać: okryta gładkim, twardym pancerzem, z dwoma tylko palcami jak kleszcze na cienkich ramionach... ramionach, które można odgryźć i rzucić na ziemię, niby kruche gałązki na podpałkę. Wczorajsza wizyta u królowej kopca wywarła na nim większe wrażenie, niż uważał za możliwe.

Jestem ksenologiem, przypominał sam sobie. Całe życie poświęciłem kontaktom z obcymi. Stałem patrząc, jak Ender kroi ssakopodobne ciało Człowieka i nawet nie drgnąłem. Ponieważ jestem beznamiętnym naukowcem. Może czasem zbytnio identyfikuję się z obiektami badań. Ale nie prześladują mnie w koszmarach. Nie widuję ich w każdym ciemnym kącie.

A jednak stał tutaj, przed drzwiami domu matki. Gdyż na trawiastych polach, w jasnym słońcu niedzielnego poranka, nie było żadnych cieni, gdzie mógłby czaić się robał.

Czy tylko ja tak to odczuwam?

Królowa kopca nie jest owadem. Ona i jej robotnice są ciepłokrwiste, jak prosiaczki. Oddychają i pocą się jak ssaki. Może niosą w sobie strukturalne echa ewolucyjnego związku z owadami, tak jak u nas występują podobieństwa do lemurów, ryjówek i szczurów. Stworzyły jednak jasną i piękną cywilizację. A raczej piękną i mroczną. Powinienem patrzeć na nie tak jak Ender, z szacunkiem, podziwem i uczuciem.

A tymczasem ledwie wytrzymałem.

Nie ma wątpliwości, że królowa kopca jest ramenem, potrafi nas zrozumieć i tolerować. Problem w tym, czy ja sam potrafię ją zrozumieć i tolerować. A przecież nie jestem wyjątkiem. Ender miał słuszość, ukrywając wiedzę o królowej kopca przed mieszkańcami Lusitanii. Gdyby choć raz zobaczyli to, co ja widziałem, gdyby zauważyli chociaż jednego robala, wybuchłaby panika. Strach każdego z nich żywiłby się przerażeniem pozostałych, aż... aż coś by się stało. Coś złego. Coś potwornego.

Może to my jesteśmy varelse. Może ksenocyd wbudowany jest w naszą psychikę, jak u żadnego innego gatunku. Może najlepsze, co może się zdarzyć dla moralnego dobra wszechświata, to gdyby descolada wyrwała się na swobodę, opanowała planety ludzi i starła nas bez śladu. Może descolada to odpowiedź Boga na nasze niegodziwości.

Miro spostrzegł, że dotarł do wrót katedry, otwartych na oścież w chłodzie poranka. Wewnątrz nabożeństwo nie doszło jeszcze do eucharystii. Wszedł powłócząc nogami i zajął miejsce z tyłu. Nie miał zamiaru przyjmować Chrystusa. Po prostu tęsknił za widokiem innych ludzi. Ukląkł, przeżegnał się i pozostał w tej pozycji, trzymając się oparcia ławki. Pochylił głowę. Modliłby się, ale w Pai Nosso nie było nic, co pozwoliłoby pokonać lęk. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj? Odpuść nam nasze winy? Przyjdź królestwo twoje, tako w niebie jak i na ziemi? Dobrze by było. Boże królestwo, gdzie lew mógłby żyć obok jagnięcia.

Wtedy na myśl przyszedł mu obraz wizji świętego Stefana: Chrystus siedzący po prawicy Boga Ojca. Ale z lewej strony był ktoś inny. Królowa Niebios. Nie Święta Dziewica, ale królowa kopca, z białawym słuzem drżącym na końcu zwężonego odwłoka. Miro zacisnął palce na drewnie ławki. Boże, oddal ode mnie tę wizję. Nie zbliżaj się, Nieprzyjacielu.

Ktoś podszedł i klęknął obok. Miro nie śmiał otworzyć oczu. Nasłuchiwał, czy jakiś dźwięk nie wykaże, że jego sąsiad jest człowiekiem. Ale szelest materiału mógł być równie dobrze chrzęstem pokryw skrzydłowych, pocierających o pancerz odwłoka.

Musiał odepchnąć ten obraz. Uniósł powieki. Kątem oka dostrzegł, że jego towarzysz klęczy. Szczupłość ramienia i kolor rękawa wskazywały, że jest kobietą.

- Nie możesz ciągle chować się przede mną - szepnęła.

Głos był niewłaściwy. Zbyt gardłowy. Głos, który przemawiał setki tysięcy razy od dnia, gdy słyszał go po raz ostatni. Głos, który śpiewał kołysanki niemowlętom, krzyczał w miłosnej rozkoszy, wołał na dzieci, by wracały do domu... do domu. Głos, który kiedyś, gdy był jeszcze młody, mówił mu o miłości, co przetrwa wieczność.

- Miro, gdybym mogła sama ponieść twój krzyż, zrobiłabym to. Mój krzyż? Czyżbym właśnie krzyż dźwigał wszędzie ze sobą, ciężki i niezgrabny, przyciskający do ziemi? A ja myślałem, że to moje ciało.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, Miro. Cierpiałam... bardzo długo. Czasami wydaje mi się, że wciąż cierpię. Utracić cię... to znaczy nasze nadzieje na przyszłość... tak było lepiej. Zrozumiałam. Ale utracić cię jako swojego przyjaciela, brata, to było najtrudniejsze. Byłam taka samotna... Nie wiem, czy zdołam kiedyś zapomnieć.

Utracić cię jako siostrę było najłatwiejsze. Nie potrzebowałam jeszcze jednej siostry.

- Łamiesz mi serce, Miro. Jesteś taki młody. Nie zmieniłeś się... To dla mnie największy ciężar. Nie zmieniłeś się przez trzydzieści lat.

Miro nie potrafił już znosić tego w milczeniu. Nie uniósł głowy, ale podniósł głos.

- Nie zmieniłem? - odpowiedział jej o wiele za głośno jak na środek mszy.

Powstał; niewyraźnie dostrzegając, że ludzie oglądają się na niego.

- Nie zmieniłem? - Głos miał chrapliwy, trudny do zrozumienia.

I nie starał się, by uczynić go wyraźniejszym. Niepewnie wyszedł na środek nawy i wreszcie odwrócił się do niej. - Czy takiego mnie zapamiętałaś?

Spojrzała na niego przerażona. Czym? Mową Mira, jego ruchami paralityka? A może po prostu była rozczarowana, że to spotkanie nie zmieniło się w tragiczno-romantyczną scenę, jaką wyobrażała sobie przez trzydzieści lat?

Jej twarz nie była stara, ale nie była też twarzą Quandy. Średni wiek, grubsze rysy, zmarszczki pod

oczami... Ile miała lat? Pięćdziesiąt prawie. Czego chce od niego ta pięćdziesięcioletnia kobieta?

- Nawet cię nie znam - oznajmił. Po czym chwiejnie dotarł do drzwi i wyszedł w blask poranka.

Jakiś czas później usiadł w cieniu drzewa. Który to z nich, Człowiek czy Korzeniak? Miro spróbował sobie przypomnieć - przecież odjechał stąd ledwie kilka tygodni temu. Wtedy jednak Człowiek był jeszcze tylko pędem, a teraz oba drzewa wydawały się równe. Nie był pewien, czy Człowiek został zabity wyżej czy niżej od Korzeniaka. Zresztą nieważne - Miro nic nie miał drzewom do powiedzenia. One jemu też nie.

Poza tym Miro nie nauczył się mowy drzew. Nie wiedzieli nawet, że to tłuczenie kijami o pień naprawdę jest mową, dopóki dla Mira nie było już za późno. Ender mógł się nauczyć, Quanda też, i pewnie jeszcze z pół tuzina ludzi, jednak Miro nigdy tego nie dokona, ponieważ ręce Mira w żaden sposób nie mogły chwycić kijów ani wybijać rytmu. Jeszcze jeden system mowy, który dla niego stał się zupełnie bezużyteczny.

- Que dia chato, meu filho.

Oto głos, który nigdy się nie zmienia. I ton również pozostał niezmienny: Cóż za parszywy dzień, synu. Pobożny i drwiący równocześnie - i kpiący z samego siebie.

- Cześć, Quim.

- Ojciec Estevao, obawiam się. - Quim nosił pełne kapłańskie regalia, stułę i wszystko. Teraz poprawił je i usiadł na wydeptanej trawie przed Mirem.

- Dobrze wyglądasz w tej roli - stwierdził Miro.

Quim dojrzał. Jako dziecko był uszczypliwy i nabożny. Życie w prawdziwym świecie zamiast teologicznych teorii dodało mu zmarszczek i bruzd. Jednak w rezultacie powstało oblicze, które miało w sobie współczucie. I siłę.

- Przykro mi, że zrobiłem taką scenę w czasie mszy.

- Zrobiłeś? - zdziwił się Quim. - Nie było mnie tam. A właściwie byłem na mszy, tylko nie w katedrze.

- Komunia dla ramenów?

- Dla dzieci bożych. Kościół miał już słownik, którym może określać obcych. Nie musieliśmy czekać na Demostenesa.

- Nie masz się czym chwalić, Quim. Nie ty wymyśliłeś te terminy.

- Nie kłóćmy się.

- I nie wtrącajmy się w medytacje innych.

- Szlachetne pragnienie. Tyle że wybrałeś sobie dla odpoczynku cień mojego przyjaciela, z którym muszę przeprowadzić rozmowę. Pomyślałem, że grzeczniej będzie odezwać się do ciebie, zanim zacznę okładać Korzeniaka kijami.

- To jest Korzeniak?

- Przywitaj się. Wiem, że nie mógł się doczekać twojego powrotu.

- Nie znałem go.

- Ale on wie o tobie wszystko. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, Miro, jakim bohaterem jesteś wśród pequeninos. Wiedzą, co dla nich zrobiłeś i ile cię to kosztowało.

- A czy wiedzą, ile to w końcu będzie kosztowało nas wszystkich?

- W końcu wszyscy staniemy na sądzie bożym. Jeśli cała planeta dusz trafi tam jednocześnie, to jedynym zmartwieniem jest, by nie odszedł nikt bez chrztu.

- Więc cię to nie obchodzi?

- Obchodzi mnie, oczywiście. Powiedzmy, że potrafię spojrzeć z dystansu, z którego życie i śmierć nie są sprawami tak ważnymi jak to, jaki rodzaj życia i jaki rodzaj śmierci został nam dany.



- Naprawdę wierzysz w to wszystko - stwierdził Miro.
- Zależy, co rozumiesz pod określeniem „to wszystko” - odparł Quim. - Ale tak, wierzę.
- Rozumiem. Boga żywego, zmartwychwstanie Chrystusa, cuda, wizje, chrzest, przemienienie...
- Tak.

- Cuda. Uzdrawienia.

- Tak.

- Jak przy kaplicy dziadka i babci.

- Odnotowano tam wiele uzdrowień.

- Czy wierzysz w nie?

- Miro, sam nie wiem. Niektóre z nich mogły być tylko histerią. Niektóre mogły być efektem placebo. Niektóre rzekome uzdrowienia wynikały może ze spontanicznych remisji czy naturalnego cofnięcia choroby.

- Ale część była prawdziwa.

- Mogła być.

- Wierzysz, że cuda są możliwe.

- Wierzę.

- Ale nie sądzisz, żeby jakiś naprawdę się zdarzył.

- Miro, ja wierzę, że cuda się zdarzają. Nie wiem tylko, czy ludzie prawidłowo postrzegają, które wydarzenia są cudami, a które nimi nie są. Nie ma wątpliwości, że wiele rzekomych cudów wcale nie było cudownych. Prawdopodobnie istniały też cuda, których, gdy nastąpiły, nikt nie rozpoznał.

- A co ze mną, Quim?

- Co z tobą?

- Dlaczego ze mną nie zdarzy się cud?

Quim pochylił głowę i szarpnął krótką trawę przed sobą. Jeszcze jako dziecko miał taki zwyczaj, gdy chciał uniknąć odpowiedzi na trudne pytanie. W taki sposób reagował, gdy ich domniemany ojciec, Marcao, wpadał w pijacką furję.

- Czemu, Quim? Czy cuda są tylko dla innych?

- Elementem cudu jest to, że nikt dokładnie nie wie, dlaczego następuje.

- Ależ z ciebie łasica, Quim. Quim zaczerwienił się.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie spotkało cię cudowne uzdrowienie? Ponieważ brak ci wiary, Miro.

- A co z tym człowiekiem, który powiedział: „Tak, Panie, wierzę. Wybacz mi moją niewiarę”.

- Czy jesteś tym człowiekiem? Czy chociaż prosileś o uzdrowienie?

- Teraz proszę - szepnął Miro. I łzy, nieproszone, stanęły mu w oczach. - Boże - szepnął. - Tak mi wstyd.

- Czego? - zapytał Quim. - Że prosisz Boga o pomoc? Że płaczesz przed swoim bratem? Twoich grzechów? Twego zwątpienia?

Miro pokręcił głową. Sam nie wiedział. Te pytania były zbyt trudne. I nagle uświadomił sobie, że zna odpowiedź. Wyciągnął przed siebie rękę.

- Tego ciała - oświadczył.

Quim chwycił go za ramiona, pociągnął do siebie, zsuwając dłonie wzdłuż rąk Mira, aż trzymał go za nadgarstki.

- On powiedział: oto jest ciało moje, które wam daję. Tak jak ty oddałeś swoje ciało pequeninos. Dla naszych braci.

- Tak, Quim. Ale on dostał ciało z powrotem, prawda?

- On także umarł.

- Czy tak zostanę uzdrowiony? Mam znaleźć sposób, by umrzeć?

- Nie bądź durniem - mruknął Quim. - Chrystus nie zabił się sam. To była zdrada Judasza. Miro wybuchnął gniewem.

- Wszyscy ci ludzie uleczeni z przeziębienia, którym cudownie minęły migreny... Chcesz mi wmówić, że zasłużyli od Boga na więcej niż ja?

- To nie musi się opierać na tym, na co zasługujesz. Może na tym, co jest ci potrzebne.

Miro rzucił się do przodu, pochwycił w pół sparaliżowanymi palcami sutannę Quima.

- Potrzebuję swojego ciała!

- Może - stwierdził Quim.

- Co to znaczy „może”, ty zarozumiała ośle?

- To znaczy - odparł łagodnie Quim - że chociaż z pewnością chcesz odzyskać swe ciało, być może Bóg w swej wielkiej mądrości wie, że abyś stał się najlepszym człowiekiem, jakim stać się możesz, powinieneś pewien okres czasu przeżyć jako kaleka.

- Ile czasu? - zapytał Miro.

- Z pewnością nie więcej niż resztę życia.

Miro parsknął z niesmakiem i wypuścił sutannę Quima.

- Może mniej - dodał Quim. - Mam taką nadzieję.

- Nadzieję... - powtórzył wzgardliwie Miro.

- To jedna z wielkich cnót, obok wiary i miłości. Powinieneś ją wypróbować.

- Widziałem Quandę.

- Od twojego powrotu starała się z tobą porozmawiać.

- Jest stara i tłusta. Ma stado dzieciaków, przeżyła trzydzieści lat, a przez cały ten czas jakiś facet orał ją na obie strony. Wolałbym raczej odwiedzić jej grób!

- Niezwykła wielkoduszność.

-Wiesz, o co mi chodzi! To był dobry pomysł, zostawić Lusitanię. Ale trzydzieści lat nie wystarczyło.

- Wolałbyś powrócić do świata, gdzie nikt cię nie zna.

- Tutaj też nikt mnie nie zna.

- Może nie. Ale kochamy cię, Miro.

- Kochacie tego, którym byłem.

- Jesteś tym samym człowiekiem. Masz tylko inne ciało. Miro powstał z trudem, opierając się o Korzeniaka.

- Rozmawiaj ze swoim drewnianym przyjacielem, Quim. Nie masz mi do powiedzenia nic, czego chciałbym wysłuchać.

- Tak ci się wydaje.

- Wiesz, kto jest gorszy od durnia, Quim?

- Pewnie. Wrogo nastawiony, zgorzkniały, obraźliwy, politowania godny, a przede wszystkim bezyteczny dureń, który ma zbyt wysoką opinię na temat wagi swego cierpienia.

Tego Miro nie mógł już znieść. Wrzasnął wściekle i rzucił się na Quima, powalając go na ziemię. Oczywiście, sam natychmiast stracił równowagę i upadł na brata, potem zaplątał się w jego szaty. Ale to nic; Miro nie chciał się podnieść, chciał raczej zadać Quimowi trochę bólu, jakby to mogło usunąć część jego własnego.

Po kilku zaledwie ciosach zaprzestał walki i płacząc oparł głowę na piersi brata. Po chwili poczuł, że obejmują go ramiona, usłyszał cichy głos intonujący modlitwę.

- Pai Nosso, que estas no ceu. - W tym miejscu jednak słowa zmieniły się w nowe, a zatem prawdziwe. - O teu filho esta com dor, o meu irmao precisa a resurreicao da alma, ele merece o refresco da espe-ranca.

Słyszac, jak Quim wysławia jego cierpienie, jego skandaliczne ządania, Miro zawstydzil się znowu. Dlaczego wyobrazil sobie, że zasługuje na nową nadzieję? Jak ośmielil się ządac, by Quim modlil się o cud dla niego... o to, by jego ciało znów było zdrowe? Wiedzial, że to nieuczciwe, by narażac wiarę Quima dla takiego rozżalonego niedowiarka.

Jednak modlitwa trwała dalej.

- Ele deu tudo aos pequeninos, fazemos a ti.

Miro chcial przerwac. Jeśli oddalem je dla pequeninos, zrobilem to dla nich, nie dla siebie. Ale słowa Quima uciszyły go.

- Powiedziales nam, Zbawco, że cokolwiek uczynimy tym braciom najmniejszym, tobie uczynimy.

Zupelnie jakby Quim ządal, aby Bóg dotrzymal swojej częsci umowy. Niezwykle doprawdy relacje musialy go łączyc z Bogiem, skoro mial prawo wystawiac mu rachunki.

- Ele nao e como Jó, perfeito na coracao.

Nie, nie jestem tak doskonały jak Hiob. Ale tak jak on stracilem wszystko. Inny mężczyzna spłodzil moje dzieci z kobieta, która zostalaby moja żona. Innym przypadły moje osiągnięcia. Hiob mial wrzody, ja mam ten częsciowy paraliz. Czy zamienilby się ze mną?

- Restabelece ele como restabelecestejó. Em nome do Pai, e do Filho, e do Espirito Santo. Amem.

Przywróc go, jak przywróciles Hioba.

Miro poczul, że uwalniają go ramiona Quima. Powstal, jakby to one, nie siła grawitacji, przyciskaly go do piersi brata. Siniak ciemniatal na policzku Quima. Warga mu krwawila.

- Zranilem cie - powiedzial Miro. - Przepraszam.

- Owszem - zgodzil się Quim. - Ty mnie zraniles, ja cie zranilem. To tutaj popularna rozrywka. Pomóz mi wstac.

Na chwile, jedną przelotną chwile, Miro zapomniatal, że jest kaleką, że sam z trudem zachowuje równowage. I póki trwala, zaczial wyciagac rękę. Zaraz jednak zachwial się i przypomniał sobie.

- Nie mogę - westchnal.

- Przestań jęczeć nad swoim kalectwem i daj rękę.

Miro rozstawil szeroko nogi i pochylił się nad bratem - młodszym bratem, teraz starszym o prawie trzy dziesięciolecia, a jeszcze więcej mądrością i współczuciem. Wyciagnal rękę. Quim pochwycil ją i z pomocą Mira podniósł się z ziemi. Trud był wyczerpujący; Miro brakowalo sil, a Quim nie udawal: naprawde opieral się na bracie. Wreszcie stanęli twarzą w twarz, ramię w ramię, wciąż ściskajac swe dłonie.

- Jesteś dobrym kapłanem - stwierdzil Miro.

- Pewnie - odparł Quim. - A gdybym potrzebował kiedyś sparringpartnera, zawołam cie.

- Czy Bóg odpowie na twoją modlitwę?

- Oczywiście. Bóg odpowiada na wszystkie modlitwy.

Miro prawie natychmiast zorientowal się, o czym mówi Quim.

- Chodzi mi o to, czy powie: tak.

- Aha. Tego akurat nigdy nie jestem pewien. Zawiadom mnie, gdyby tak się stalo.

Quim dość sztywno, kulejąc podszedł do drzewa. Schylił się i podniósł z ziemi dwa mówiące kije.

- O czym chcesz rozmawiac z Korzeniakiem?

- Przyslal mi wiadomosc, że powinienem z nim pomowic. W którymś z lasów, dość daleko stąd, zrodzila się herezja.

- Nawracasz ich, a oni potem szaleją, co?

- Niezupełnie. W tej grupie nigdy nie głosiłem słowa bożego. Ojcowskie drzewa porozumiewają się ze sobą i idee chrześcijaństwa dotarły już w najdalsze zakątki tego świata. Jak zwykle, herezja szerzy się szybciej niż prawda. A Korzeniak ma wyrzuty sumienia, ponieważ ta akurat opiera się na pewnych jego spekulacjach.

- Rozumiem, że to dla ciebie ważna sprawa. Quim skrzywił się.

- Nie tylko dla mnie.

- Przepraszam. Miałem na myśli Kościół. Wiernych.

- To nie jest czysto teologiczny problem, Miro. Ci pequeninos stworzyli bardzo interesującą herezję. Kiedyś, dawno temu, Korzeniak sugerował, że jak Chrystus przyszedł do ludzi, tak Duch Święty może pewnego dnia przybyć do pequeninos. To poważny błąd interpretacyjny dogmatu Świętej Trójcy, ale ten konkretny las potraktował sprawę poważnie.

- Jak dotąd wygląda to na kwestię teologiczną.

- Też tak sądziłem, dopóki Korzeniak nie zdradził mi szczegółów.

Widzisz, oni są przekonani, że wirus descolady jest wcieleniem Ducha Świętego. Ma to swoją, dość perwersyjną, logikę. Duch Święty zawsze przebywał wszędzie, we wszystkich stworzeniach bożych. Sensowne jest więc założenie, że jego wcieleniem jest descolada, która także przenika do każdej części każdego żywego organizmu.

- Oddają cześć wirusowi?

- A tak. W końcu, to przecież wy, naukowcy, odkryliście, że pequeninos zostali stworzeni jako istoty świadome przez wirusa descolady. Czyli, wirus posiada moc stwórczą, co oznacza, że jest boskiej natury.

- Myślę, że istnieje tyle samo dowodów tej teorii, co tego, że Jezus Chrystus był wcieleniem Boga.

- Nie. O wiele więcej. Gdyby jednak to było wszystko, Miro, uznałbym to za problem Kościoła. Skomplikowany, trudny, ale teologiczny, jak go określiłeś.

- Więc o co chodzi?

- Descolada to drugi chrzest. Ogniowy. Jedynie pequeninos potrafią przetrwać ten chrzest, który przenosi ich do trzeciego życia. Są wyraźnie bliżsi Boga niż ludzie, którym trzecie życie nie zostało dane.

- Mitologia wyższości - stwierdził Miro. - Chyba można było się tego spodziewać. Większość społeczeństw, walcząca o przetrwanie w warunkach nieodpartego nacisku kultury dominującej, tworzy mity, które pozwalają im wierzyć, że są narodem szczególnym. Wybranym. Ulubionym przez bogów. Cyganie, Żydzi... jest mnóstwo historycznych precedensów.

- A co powiesz na to, Senhor Zenador: ponieważ pequeninos zostali wybrani przez Ducha Świętego, ich misją jest ponieść drugi chrzest do wszystkich ludów mówiących wszystkimi językami.

- Roznieść descoladę?

- Na wszystkie planety. Rodzaj przenośnego sądu ostatecznego. Przybywają, descolada rozprzestrzenia się, adaptuje, zabija... i wszyscy wyruszają na spotkanie ze swoim Stwórcą.

- Niech nas Bóg broni!

- Na to liczymy.

Miro skojarzył to z faktem, o którym dowiedział się dopiero wczoraj.

- Quim, robale budują statek dla pequeninos.

- Ender mi mówił. A kiedy zapytałem o to ojca Światłego...

- To pequenino?

- Jeden z synów Człowieka. Odparł: „naturalnie”, jakby wszyscy o tym wiedzieli. Może tak

właśnie sądził: jeżeli wiedzą pequeninos, to wiadomo powszechnie. Ostrzegł mnie, że ta grupa heretyków zamierza opanować statek.

- Dlaczego?

- Żeby poprowadzić go do zamieszkałego świata, oczywiście. Zamiast poszukać niezamieszkałej planety, terraformować ją i skolonizować.

- Powinniśmy chyba nazwać to lusiformowaniem.

- Zabawne. - Quim nie roześmiał się jednak. - Może im się udać. Teoria, że pequeninos są wyższą rasą, jest dość popularna. Zwłaszcza wśród pequeninos niechrześcijańskich. Jakoś nie przychodzi im do głowy, że mówią o ksenocydzie. O zagładzie ludzkiej rasy.

- Jak mogli przeoczyć ten drobiazg?

- Ponieważ heretycy akcentują fakt, że Bóg ukochał ludzi tak bardzo, że wysłał do nich swego jedyne go syna. Pamiętasz Pismo.

- Ktokolwiek uwierzy w niego, ten nie umrze.

- Właśnie. Ci, którzy wierzą, zyskają życie wieczne. W ich opinii, trzecie życie.

- Więc ci, którzy umrą, muszą być niewiernymi.

- Nie wszyscy pequeninos ustawiają się w kolejkach do służby wędrownych aniołów zagłady. Ale jest ich tylu, że trzeba położyć temu kres. Nie tylko dla dobra Matki Kościoła.

- Dla Matki Ziemi.

- Sam widzisz, Miro. Bywa, że na takich jak ja misjonarzy spada odpowiedzialność za losy świata. Muszę jakoś przekonać tych heretyków, że pobłądzili, i skłonić, by uznali doktrynę Kościoła.

- A dlaczego rozmawiasz teraz z Korzeniakiem?

- By uzyskać informację, jakiej pequeninos nigdy nam nie podają.

- To znaczy?

- Adresy. Na Lusitani i rosną tysiące lasów pequeninos. Który z nich jest społecznością heretyków? Ich kosmolot dawno odleci, zanim trafię tam przypadkowo, skacząc od lasu do lasu.

- Pojedziesz sam?

- Jak zawsze. Nie mogę zabrać żadnego z małych braci, Miro. W nie nawróconych jeszcze lasach mają skłonność do zabijania obcych pequeninos. To jeden z przypadków, kiedy lepiej być ramenem niż utlanningiem.

- Czy mama wie, że chcesz jechać?

- Bądź rozsądny, Miro. Nie lękam się Szatana, ale mama...

- A czy wie Andrew?

- Oczywiście. Upiera się, żeby jechać ze mną. Mówca Umarłych cieszy się ogromnym prestiżem. Ma nadzieję, że mi pomoże.

- A więc nie będziesz sam...

- Oczywiście, że będę. Od kiedy to człowiek okryty zbroją bożą potrzebuje pomocy humanisty?

- Andrew jest katolikiem.

- Uczęszcza na msze, przyjmuje komunię, spowiada się regularnie, ale wciąż jest mówcą umarłych i nie sądzę, by naprawdę wierzył w Boga. Pojadę sam.

Miro spojrział na Quima z nowym podziwem.

- Twardy z ciebie sukinsyn.

- Kowale i spawacze są twardzi. Sukinsyny mają własne problemy. Jestem tylko sługą Boga i Kościoła, i mam zadanie do wykonania. Ostatnie wydarzenia wskazują raczej, że większe niebezpieczeństwo grozi mi ze strony brata niż największego nawet heretyka wśród pequeninos. Od śmierci Człowieka, pequeninos dotrzymywali ogólnoświatowego przyrzeczenia: żaden nie podniósł

ręki, by skrzywdzić istotę ludzką. Są może heretykami, ale pozostali pequeninos. Nie złamią przyrzeczenia.

- Przepraszam, że cię uderzyłem.
- Dla mnie było tak, jakbyś mnie objął, mój synu.
- Chciałbym, żeby tak było, ojciec Estevao.
- Zatem było tak.

Quim zwrócił się do drzewa i zaczął wybijać rytm. Niemal natychmiast dźwięk zaczął zmieniać swą wysokość i ton, gdy puste przestrzenie wewnątrz pnia dopasowywały swój kształt. Miro odczekał kilka minut. Nasłuchiwał, chociaż nie rozumiał mowy ojcowskich drzew. Korzeniak przemawiał w jedyny sposób, jaki mu pozostał. Kiedyś mówił zwyczajnie, kiedyś formował słowa z pomocą warg, języka i zębów. Ciało można utracić na wiele sposobów. Miro przeżył coś, co powinno go zabić. Został kaleką. Ale nadal mógł się poruszać, choć niezgrabnie, wciąż mógł mówić, choć powoli. Myślał, że cierpi jak Hiob. Korzeniak i Człowiek, okaleczeni o wiele bardziej, wierzyli, że uzyskali życie wieczne.

- Paskudna sytuacja - odezwała się Jane w uchu Mira. Tak, odpowiedział jej bezgłośnie.
- Ojciec Estevao nie powinien jechać sam. Pequeninos byli kiedyś niesamowicie skutecznymi wojownikami. Jeszcze tego nie zapomnieli.

Powiedz Enderowi. Ja nie mam tu żadnej władzy.

- Dzielne słowa, mój bohaterze. Ja porozmawiam z Enderem, a ty czekaj tu na swój cud.

Miro westchnął i ruszył w dół zbocza, do bramy.

## ROZDZIAŁ 9

### PINOKIO

*Rozmawiałam z Enderem i jego siostrą, Valentine. Jest historykiem.*

*Wy tłumacz to.*

*Przeszukuje księgi, żeby znaleźć opowieści o ludziach. Potem pisze opowieści o tym, co znalazła, i oddaje je wszystkim innym ludziom.*

*Jeżeli te opowieści już istnieją, po co pisze je od początku ?*

*Ponieważ są niezrozumiałe. Ona pomaga ludziom je zrozumieć.*

*Skoro ludzie bliżsi tamtym czasom ich nie rozumieli, jak to możliwe, że ona rozumie, przychodząc później?*

*Sama o to spytałam. Valentine twierdzi, że nie zawsze rozumie je lepiej. Ale dawni piszący rozumieli, co te opowieści oznaczają dla ludzi ich czasów, a ona rozumie, co oznaczają dla ludzi jej czasów.*

*Zatem opowieść się zmienia.*

*Tak.*

*A jednak oni za każdym razem uważają ją za prawdziwe wspomnienie?*

*Valentine tłumaczyła coś o opowieściach, które są prawdziwe i innych, które są wierne. Nic z tego nie rozumiałam.*

*A dlaczego od razu nie zapamiętają dokładnie swoich opowieści ? Wtedy nie musieliby stale się okłamywać.*

Qing-jao z zamkniętymi oczami siedziała przed terminalem. Myślała. Wang-mu czesała jej włosy; pociągnięcia, ruchy szczotki, sam oddech dziewczyny sprawiały ulgę.

Był to czas, kiedy Wang-mu mogła odzywać się swobodnie, bez lęku, że zakłóci coś ważnego. A że Wang-mu była Wang-mu, wykorzystywała czesanie do stawiania pytań. Miała ich tak wiele.

Przez pierwsze dni wszystkie dotyczyły głosu bogów. Oczywiście, Wang-mu z ulgą przyjęła wiadomość, że prawie zawsze wystarczy prześledzić jeden słoń drewna. Z początku obawiała się, że Qing-jao musi co wieczór przejść całą podłogę.

Ale nadal pytała o wszystko, co miało związek z oczyszczeniem. Dlaczego zwyczajnie nie prześledzisz jednego słoju zaraz rano, żeby przez resztę dnia mieć spokój? Dlaczego zwyczajnie nie zakryjesz podłogi dywanem? Trudno było jej wytłumaczyć, że bogowie nie dadzą się oszukać takimi prostymi sztuczkami.

A gdyby na całym świecie nie było ani kawałeczka drewna? Czy wtedy bogowie spaliliby cię jak papier? Czy smok sfrunąłby z nieba, żeby cię porwać?

Qing-jao nie potrafiła odpowiedzieć na pytania Wang-mu. Mogła tylko powtarzać, że tego właśnie żądają od niej bogowie. Gdyby nie było drewna, bogowie nie wymagaliby śledzenia w nim słoików. Na co Wang-mu oznajmiała, że powinno się wydać zakaz stosowania drewnianych podłóg i w ten sposób Qing-jao przestałaby się męczyć. Ci, którzy nie słyszeli głosu bogów, nie potrafili zrozumieć. Dziś jednak pytania Wang-mu nie miały żadnego związku z bogami. A przynajmniej nie miały z początku.

- Co w końcu zatrzymało Flotę Lusitańską? - spytała Wang-mu.

Niewiele brakowało, a Qing-jao odpowiedziałaby bez namysłu, ze śmiechem: gdybym wiedziała, mogłabym wreszcie odpocząć. Ale wtedy uświadomiła sobie, że Wang-mu nie powinna nawet wiedzieć o zniknięciu floty.

- Skąd wiesz o Flocie Lusitańskiej?

- Umiem przecież czytać, prawda? - odpowiedziała Wang-mu, może trochę zbyt dumnie.

Chociaż, dlaczego nie miałyby być dumna? Qing-jao chwaliła ją szczerze, gdyż dziewczyna uczyła się wyjątkowo szybko i do wielu spraw potrafiła dojść samodzielnie. Była bardzo inteligentna. Qing-jao nie zdziwiłaby się, gdyby Wang-mu rozumiała więcej, niż się przyznawała.

- Widzę, co masz na terminalu - mówiła dalej Wang-mu. - Zawsze ma to jakiś związek z Flotą Lusitańską. Rozmawiałaś o niej z ojcem pierwszego dnia po moim przybyciu. Niewiele z tego zrozumiałam, ale wiem, o co chodzi. - Oburzenie zabrzmiało nagle w jej głosie. - Oby bogowie napluli w twarz temu, kto wysłał te statki.

Ta gwałtowność sama w sobie była zadziwiająca. Lecz to, że Wang-mu przemawia przeciwko Gwiezdnemu Kongresowi, było po prostu nie do wiary.

- Czy wiesz, kto wysłał flotę? - spytała Qing-jao.

- Oczywiście. Ci egoistyczni politycy z Gwiezdnego Kongresu, którzy próbują zniszczyć wszelką nadzieję niezależności kolonialnych światów.

Zatem Wang-mu wiedziała, że buntuje się przeciw władzy. Qing-jao ze wstrętem przypominała sobie własne słowa sprzed lat. Usłyszeć je znowu, wygłoszone w swej obecności, przez własną sekretną drużynę... to potworne.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? To sprawy Kongresu, a ty tu opowiadasz o niezależności kolonii i...

Wang-mu klęczała, dotykając czołem podłogi. Qing-jao natychmiast zawstydziała się surowości.

- Wstań, Wang-mu.

- Gniewasz się na mnie.

- Jestem zdumiona, że mówisz takie rzeczy. To wszystko. Kto ci naopowiadał tych głupstw?

- Wszyscy to mówią - odparła Wang-mu.

- Nie wszyscy - zaprzeczyła Qing-jao. - Ojciec nigdy nic takiego nie powiedział. Z drugiej strony, Demostenes powtarza to bez przerwy.

Qing-jao przypominała sobie, co czuła, gdy pierwszy raz przeczytała esej Demostenesa... jak logiczny, prawdziwy i szczerzy się wtedy wydawał. Dopiero później, gdy ojciec wytłumaczył jej, że Demostenes jest nieprzyjacielem władców, a zatem nieprzyjacielem bogów... Wtedy zdała sobie sprawę, jak gładkie i oszukańcze są słowa zdrajcy, które niemal ją przekonały, że Flota Lusitańska jest złem. Skoro Demostenesowi tak niewiele brakowało, by oszukać wykształconą, bogosłyszającą dziewczynę, nic dziwnego, że jego słowa usłyszała powtarzane jak prawdę w ustach dziewczyny z ludu.

- Kto to jest Demostenes? - spytała Wang-mu.

- Zdrajca, który wyraźnie odniósł większe sukcesy, niż ktokolwiek podejrzewał.

Czy Gwiezdny Kongres jest świadom, że idee Demostenesa powtarzane są przez ludzi, którzy nigdy o nim nie słyszeli? Czy ktoś tam rozumiał, co to oznacza? Idee Demostenesa dotarły do świadomości zwykłego ludu. Sprawy osiągnęły groźniejszy etap, niż sądziła Qing-jao. Ojciec jest mądrzejszy; na pewno już wie.

- Mniejsza z tym - rzekła Qing-jao. - Opowiedz mi o Flocie Lusitańskiej.

- Jak mogę, jeśli się wtedy gniewasz? Qing-jao czekała cierpliwie.

- No dobrze - zgodziła się Wang-mu, nadal ostrożna. - Ojciec mówi... i jeszcze Pan Ru-wei, jego bardzo mądry przyjaciel, który zdawał egzaminy do służby państwowej i bardzo, bardzo niewiele brakowało, żeby zdał...

- Co takiego mówią?



- Bardzo niedobrze, że Kongres wysłał wielką flotę... w dodatku aż tak wielką... żeby zaatakować najmniejszą z kolonii. I tylko dlatego, że odmówili postawienia dwojga swoich obywateli przed sądem na innej planecie. Mówią, że racja była całkowicie po stronie Lusitani, ponieważ wysłanie ludzi wbrew ich woli z jednej planety na drugą oznacza dla nich stratę rodziny i przyjaciół. Na zawsze. To jakby skazać ich przed procesem.

- A jeśli byli winni?

- O tym powinien zdecydować sąd z ich własnego świata. Tam ludzie znają ich i potrafią sprawiedliwie ocenić przestępstwo. Kongres nie powinien o tym zdecydować z daleka, skoro nic nie wie, a jeszcze mniej rozumie. - Wang-mu pochyliła głowę. - Tak mówił pan Ku-Wei.

Qing-jao ukryła odrazę, jaką budziły zdradzieckie słowa Wang-mu. To ważne, by wiedzieć, co myślą zwykli ludzie. Nawet jeśli Qing-jao była pewna, że bogowie rozgniewają się na nią za samo słuchanie.

- Uważasz więc, że nie należało wysłać Floty Lusitańskiej?

- Jeśli bez ważnych powodów mogli wysłać flotę przeciwko Lusitani, co ich powstrzyma przed wysłaniem floty przeciwko Drodze? Także jesteśmy kolonią, nie jednym ze Stu Światów, nie członkiem Gwiezdnego Kongresu. Co ich powstrzyma przed ogłoszeniem, że Fei-tzu jest zdrajcą? Przed zmuszeniem go do podróży na jakąś odległą planetę, skąd nie wróci nawet po sześćdziesięciu latach?

Sam pomysł był obrzydliwy; Wang-mu zachowała się bezczelnie, włączając do dyskusji ojca. Nie dlatego, że była służącą. Bezczelna była sama sugestia, że Hań Fei-tzu zostanie oskarżony o jakikolwiek występki. Qing-jao na moment straciła panowanie nad sobą i dała upust irytacji.

- Gwiazdy Kongres nigdy nie postawiłby mojego ojca przed sądem jak przestępcy! - zawołała.

- Wybacz mi, Qing-jao. Kazałaś powtórzyć, co mówił mój ojciec.

- To znaczy, że twój ojciec mówił o Hań Fei-tzu?

- Wszyscy w Jonlei wiedzą, że Hań Fei-tzu jest najbardziej szacownym mieszkańcem Drogi. Jesteśmy dumni, że domostwo Rodu Hań znajduje się w naszym mieście.

A więc, pomyślała Qing-jao, dokładnie wiedziałaś, jak wielką jest twa ambicja, gdy postanowiłaś zostać służącą jego córki.

- Nie chciałam go obrazić. Oni też nie. Ale czy nie jest prawdą, że gdyby Gwiezdny Kongres zechciał, mógłby rozkazać, by Droga odesłała twój ojca na inną planetę, by tam stanął przed sądem?

- Nigdy by...

- Ale mogą? - nie ustępowała Wang-mu.

- Droga jest kolonią - odparła Qingjao. - Prawo zezwala na to, ale nigdy...

- Jeśli zrobili to na Lusitani, dlaczego nie mają zrobić na Drodze?

- Ponieważ ksenolodzy na Lusitani winni byli zbrodni, które...

- Ludzie na Lusitani tak nie myśleli. Ich rząd odmówił wysłania ksenologów na proces.

- I to jest najgorsze. Jak rząd planetarny śmiał sądzić, że wie o czymś lepiej od Kongresu?

- Przecież oni wiedzieli wszystko - oświadczyła Wang-mu, jakby mówiła o rzeczy najbardziej naturalnej, znanej wszystkim bez wyjątku.

- Znali tych ludzi, tych ksenologów. Gdyby Gwiezdny Kongres wezwał Hań Fei-tzu do innego świata, by tam go sądzić za zbrodnię, o której wiemy, że jej nie popełnił... Czy nie sądzisz, że także podnieśliśmy bunt, zamiast poświęcać tak wielkiego człowieka? A oni wtedy wysłaliby przeciwko nam flotę.

- Gwiezdny Kongres jest źródłem wszelkiej sprawiedliwości na Stu Światach - oznajmiła

stanowczo Qing-jao. Dyskusja dobiegła końca.

Ale zuchwała Wang-mu nie zamilkła.

- Przecież Droga nie należy jeszcze do Stu Światów - powiedziała.

- Jesteśmy tylko kolonią. Mogą zrobić z nami, co zechcą, a to nie jest sprawiedliwe.

Na zakończenie Wang-mu kiwnęła głową, jakby wierzyła, że odniosła zwycięstwo. Qing-jao niemal wybuchnęła śmiechem. Wybuchnęłaby śmiechem, gdyby nie była tak zirytowana. Po części dlatego, że Wang-mu przerywała jej tyle razy, a nawet sprzeciwiała się, czego nauczyciele bardzo starali się unikać. Mimo to dobrze, że Wang-mu jest taka śmiała. Gniew Qing-jao dowodził, że nazbyt się przyzwyczaiła do niezasłużonego szacunku, okazywanego jej myślom jedynie dlatego, że pochodziły od bogostyszającej. Należy zachęcić Wang-mu, by częściej tak z nią rozmawiała. Ta część gniewu Qing-jao była niesłuszna i trzeba ją stłumić.

Jednak większym powodem irytacji było to, jak Wang-mu wyrażała się o Gwiezdnym Kongresie. Jakby nie uznawała Kongresu za najwyższą władzę całej ludzkości, jakby sądziła, że Droga jest ważniejsza od kolektywnej woli wszystkich światów. Gdyby nawet zdarzyło się niemożliwe i Hań Fei-tzu miał stanąć przed sądem na planecie odległej o sto lat świetlnych, uczyniłby to bez wahania. Wpadłby w furję, gdyby ktokolwiek na Drodze próbował się temu sprzeciwić. Bunt, jak na Lusitanii? Nie do pomyślenia. Na samą myśl o tym Qing-jao czuła się brudna.

Brudna. Nieczysta. Przez te buntownicze myśli zaczęła teraz wypatrywać słoików na deskach.

- Qing-jao! - zawołała Wang-mu, gdy tylko Qing-jao uklękła i pochyliła się nad podłogą. - Powiedz proszę, że bogowie nie karzą cię za słuchanie tego, co mówiłam!

- Nie karzą mnie - odparła Qing-jao. - Oczyszczają.

- Przecież to nie były nawet moje słowa, Qing-jao. To słowa ludzi, których tu z nami nie ma.

- To nieczyste słowa, ktokolwiek je wypowiedział.

- Ale to niesprawiedliwe, żebyś musiała się oczyszczać za poglądy, które nie są twoimi.

Coraz gorzej! Czy Wang-mu nigdy nie przestanie?

- Czy muszę wysłuchiwać, jak to nawet sami bogowie są niesprawiedliwi?

- Są, jeśli karzą cię za słowa innych ludzi! Ta dziewczyna zachowuje się skandalicznie.

- Czyżbyś była mądrzejsza od bogów?

- Równie dobrze mogą cię karać za to, że działa na ciebie grawitacja albo deszcz pada!

- Jeśli nakażą mi się oczyścić z tego powodu, uczynię to i nazwę sprawiedliwością - oznajmiła Qing-jao.

- W takim razie słowo to nie ma żadnego znaczenia! - zawołała Wang-mu. - Kiedy ty je wymawiasz, rozumiesz „cokolwiek bogowie akurat postanowią”. Ale kiedy ja mówię to słowo, chodzi mi o to, że ludzie są karani tylko za to, co uczynili celowo; o to...

- Posłuszna jestem temu, co bogowie uznają za sprawiedliwe.

- Sprawiedliwość to sprawiedliwość, cokolwiek bogowie o tym sądzą.

Qing-jao miała ochotę zerwać się i uderzyć sekretną drużynę. Miała prawo: Wang-mu sprawiała jej taki ból, jakby to ona ją uderzyła. Jednak Qing-jao nie miała zwyczaju bicia kogoś, kto nie mógł jej oddać. Poza tym, dostrzegła o wiele ciekawszą zagadkę. Przecież to bogowie zesłali jej Wang-mu - Qing-jao była już o tym przekonana. Dlatego, zamiast spierać się bezpośrednio z Wang-mu, powinna dociec, co bogowie chcieli jej powiedzieć, przysyłając służącą, która powtarza tak niegodne, zuchwałe rzeczy.

Bogowie sprawili, by Wang-mu powiedziała, że to niesprawiedliwość: karać za samo wysłuchanie tych pozbawionych szacunku opinii. Być może stwierdzenie takie jest prawdą. Lecz prawdą jest też, że bogowie nie mogą być niesprawiedliwi. Zatem Qing-jao nie podlega karze za

samo słuchanie buntowniczych uwag innych ludzi. Nie. Qing-jao musi się oczyścić, ponieważ gdzieś w głębi, w sercu swego serca, nadal wątpi w niebiański mandat Gwiazdowego Kongresu; nadal wierzy, że nie postępują słusznie.

Qing-jao natychmiast poczołgała się do najbliższej ściany i poszukała odpowiedniego słoja. Dzięki słowom Wang-mu, odkryła w sobie utajoną niegodziwość. Bogowie doprowadzili ją o kolejny krok bliżej poznania najbardziej mrocznych zakątków jaźni, by pewnego dnia całkowicie wypełniła ją jasność. By w ten sposób zasłużyła na imię, które teraz jest tylko drwiną. Jakaś częśćka mnie wciąż nie wierzy w prawość Gwiazdowego Kongresu. O bogowie, dla moich przodków, mego ludu, mych władców i mnie samej na końcu, oczyśćcie mnie ze zwątpienia i uczynicie nieskalaną.

Wystarczyła jedna deska, by się oczyścić. To dobry znak. Nauczyła się czegoś ważnego. Kiedy Qing-jao skończyła, zauważyła, że Wang-mu obserwuje ją w milczeniu. Gniew minął zupełnie. Była wdzięczna Wang-mu, że jako nieświadome narzędzie bogów pomogła jej zrozumieć nową prawdę. Jednak Wang-mu musiała zrozumieć, że przekroczyła pewne granice,

- W tym domu jesteśmy lojalnymi sługami Gwiazdowego Kongresu - oświadczyła Qing-jao. Mówiła łagodnie, z twarzą tak dobrotliwą, jak tylko potrafiła ją uczynić. - A ty, jeśli chcesz być lojalna wobec tego domu, także całym sercem służysz Kongresowi.

Czy mogła wytłumaczyć Wang-mu, z jakim wysiłkiem przyszło jej opanować tę lekcję... z jakim wysiłkiem wciąż ją odbierała? Potrzebowała Wang-mu, by jej to ułatwiła zamiast utrudniać.

- Nie wiedziałam, świątobliwa - odparła Wang-mu. - Nie domyślałam się. Zawsze słyszałam imię Hań Fei-tzu wymieniane jako imię najszlachetniejszego sługi Drogi. Sądziłam, że to Drodze służysz, nie Kongresowi. Inaczej nigdy...

- Nigdy nie przyszlabyś tu pracować?

- Nigdy nie wyrażałabym się źle o Kongresie - dokończyła Wang-mu. - Tobie służyłabym, choćbyś nawet mieszkała w domu smoka.

Może tak właśnie jest, pomyślała Qing-jao, Może bóg, który nakazuje mi oczyszczenie, to właśnie smok, gorący i zimny, straszny i piękny.

- Pamiętaj, Wang-mu: świat zwany Drogą nie jest samą Drogą. Został jedynie tak nazwany, co ma nam przypominać, byśmy w codziennym życiu nie zбочyli z Drogi. Mój ojciec i ja służymy Kongresowi, ponieważ rządzi on z woli niebios. Droga zatem wymaga, by żądania ich przedkładać nad pragnienia czy potrzeby mieszkańców konkretnego świata nazywanego Drogą.

Wang-mu patrzyła na nią szeroko otwierając oczy. Nie mrugała nawet. Czy zrozumiała? Czy uwierzyła? Nieważne. Przyjdzie czas, że uwierzy.

- Odejdź teraz, Wang-mu. Muszę pracować.

- Tak, Qing-jao. - Wang-mu podniosła się od razu i wycofała z niskim pokłonem.

Qing-jao usiadła przed terminalem. Gdy jednak zaczęła wywoływać na ekran kolejne raporty, uświadomiła sobie, że nie jest sama. Odwróciła się na krześle; w drzwiach stała Wang-mu.

- O co chodzi?

- Czy obowiązkiem sekretnej drużyny jest, by wyjawić ci wszelką mądrość, jaka nawiedza jej umysł, choćby miała się okazać głupotą?

- Możesz mówić do mnie co tylko zechcesz - zapewniła Qing-jao. - Czy kiedykolwiek cię ukarałam?

- Wybacz mi zatem, Qing-jao, jeśli ośmielę się powiedzieć coś o tym wielkim zadaniu, nad którym pracujesz.

Co Wang-mu mogła wiedzieć o Flocie Lusitańskiej? Była zdolną studentką, lecz Qing-jao uczyła ją dopiero podstaw wszystkich przedmiotów. To absurd, by mogła choćby zrozumieć problemy, nie

mówiąc już o znalezieniu rozwiązania. Mimo to ojciec uczył ją: słudzy są zawsze szczęśliwsi wiedząc, że ich głos dociera do pana.

- Powiedz - poprosiła Qing-jao - Jak mogłabyś wymyślić coś głupszego niż to, co ja już mówiłam?

- Moja ukochana starsza siostró - zaczęła Wang-mu. - Ten pomysł pochodzi w gruncie rzeczy od ciebie. Wiele razy powtarzałaś, że nic znanego fizyce albo historii nie mogło sprawić, by flota zniknęła w sposób tak doskonały. W dodatku równocześnie.

- Ale to się zdarzyło. A zatem, mimo wszystko, jest możliwe.

- Przyszło mi coś na myśl, słodka Qing-jao - rzekła Wang-mu - kiedy studiowałyśmy logikę. O przyczynie i skutku. Cały czas poszukiwałaś przyczyny: co spowodowało zniknięcie floty. Czy myślałaś o skutkach: co ktoś chciał osiągnąć, przecinając komunikację czy nawet niszcząc flotę?

- Wszyscy wiedzą, dlaczego ludzie chcieli ją zatrzymać. Próbuje chronić prawa kolonii albo też wierzą w szaleńczą tezę, że Kongres zamierza zniszczyć pequeninos wraz z całą ludzką kolonią. Miliardy ludzi pragną powstrzymania floty. Każdy z nich ma bunt w sercu i jest nieprzyjacielem bogów.

- Jednak ktoś tego dokonał - odparła Wang-mu. - Pomyślałam tylko, że skoro nie potrafisz bezpośrednio odkryć, co się stało z flotą, może zdołasz odnaleźć tego, kto to zrobił i doprowadzi cię to do wykrycia, w jaki sposób tego dokonał.

- Nie wiemy nawet, czy to był ktoś - oświadczyła Qingjao. - Całkiem możliwe, że to coś. Zjawiska naturalne nie mają swoich celów, ponieważ nie posiadają umysłów.

Wang-mu pokłoniła się.

- Zatem niepotrzebnie zajęłam ci czas, Qing-jao. Wybacz mi, proszę. Powinnam odejść, kiedy mi poleciłaś.

- Nie szkodzi - zapewniła Qing-jao.

Wang-mu już zniknęła. Qing-jao nie wiedziała nawet, czy sekretna drużyna słyszała końcowe pocieszenie. To nic, pomyślała. Jeśli Wang-mu poczuła się urażona, później ją przeproszę. Jest słodka, skoro wierzyła, że potrafi mi pomóc. Muszę ją upewnić, że cieszy mnie ta gorliwość.

Sama w pokoju, Qing-jao wróciła do terminala. Nieuważnie przerzucała raporty. Czytała je wszystkie i nie trafiła na nic pożytecznego. Dlaczego dziś miałyby być inaczej? Może te raporty i zestawienia nic nie pokazują, ponieważ nie ma nic do pokazania. Może flota zniknęła z przyczyny jakiegoś boga, który popadł w obłąd. Opowieści z dawnych czasów wspominały o takich przypadkach. Nie pozostał żaden ślad ludzkiej interwencji, ponieważ nie człowiek tego dokonał. Ciekawe, co powiedziałby na to ojciec. Jak Kongres poradziłby sobie z oszalałym bóstwem? Nie potrafili nawet odszukać tego wywrotowego pisarza, Demostenesa... Jaką mieli nadzieję na wyśledzenie i schwytanie boga?

Kimkolwiek jest Demostenes, myślała Qing-jao, teraz śmieje się z pewnością. Tak długo starał się przekonać ludzi, że wysyłając flotę rząd postąpił niesłusznie. A teraz flota zaginęła, właśnie tak, jak chciał Demostenes.

Jak chciał Demostenes... Po raz pierwszy Qing-jao dokonała myślowego skojarzenia rzeczy tak oczywistej, że aż nie mogła uwierzyć, by wcześniej jej nie zauważyła. Nawet policja na wielu planetach przyjęła, że w zniknięcie floty zamieszani są z pewnością wyznawcy poglądów Demostenesa. Aresztowali wszystkich, których podejrzewali o wywrotowe poglądy i próbowali wymusić od nich zeznania. Ale oczywiście nie przesłuchiwali samego Demostenesa, ponieważ nikt nie wiedział, kim on jest.

Demostenes, tak chytry, że od lat unika zdemaskowania, mimo poszukiwań Policji Kongresu; Demostenes, równie tajemniczy jak przyczyna zniknięcia floty. Jeśli tamta sztuczka mu się udała, to

czemu nie ta druga? Może gdybym odnalazła Demostenesa, odkryłabym, jak zerwano kontakt z flotą.

Na razie nie miała pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania. Ale przynajmniej oznaczało to całkiem inne podejście. Nie musi od początku czytać tych samych pustych, bezwartościowych raportów.

I nagle Qing-jao przypomniała sobie, kto przed chwilą mówił niemal dokładnie to samo. Poczwała, że się rumieni, że gorąca krew napływa do policzków. Była arogancka, traktując ją protekcjonalnie i z wyższością. Wyobrażała sobie, że może mi pomóc w moim wielkim zadaniu. A teraz, pięć minut później, myśl przez nią zasiana rozkwitła w plan. Nawet jeśli plan zawiedzie, to ona mi go ofiarowała, a przynajmniej dzięki niej zaczęłam o nim myśleć. Byłam więc głupia, ją uważając za głupią.

Łzy wstydu stanęły Qing-jao w oczach.

I nagle pomyślała o wielkich strofach pieśni jej przodkini-serca:

*Chciałabym przywołać jeżynowe kwiaty  
które opadły choć kwiecie brzoskwiń cieszy oko*

Poetka Li Qing-jao знаła ból, jaki sprawiają słowa, które spłynęły już z warg i nie można ich odwołać. Była jednak mądra; pamiętała, że choć tamte słowa uleciały, są jeszcze nowe, które czekają, aż zostaną wypowiedziane... niby kwiecie brzoskwini.

By pocieszyć się w zawstydzeniu swą wielką zarozumiałością, wyrecytowała strofy pieśni. A przynajmniej zaczęła recytować. Kiedy doszła do linii

*smocze łodzie na rzece*

jej myśli popłynęły do Floty Lusitańskiej. Wyobraziła sobie kosmoloty jako rzeczne łodzie, pomalowane groźnie, a jednak dryfujące z prądem... Tak dalekie od brzegu, że choćby ludzie krzyczeli z całej siły nikt ich już nie usłyszy.

Od smoczyc łodzi przeszła w myślach do smoczyc latawców. Teraz wyobrażała sobie Flotę Lusitańską jako latawce, które zerwały sznurki i porwał je wiatr. Nic już nie łączy ich z dzieckiem, co pozwoliło im wzlecieć. Jak pięknie wyglądają na swobodzie i jak muszą być przerażone, skoro nigdy nie pragnęły wolności.

Nie lękałam się szalonych wichrów ani gwałtownej ulewy

Znowu powróciły słowa pieśni.

*Nie lękałam się. Szalone wichry.  
Gwałtowna ulewa. Nie lękałam się gdy  
piliśmy za szczęście  
ciepłe jeżynowe wino  
a teraz nie wiem  
jak przywołać  
ten czas*

Moja przodkini-serca mogła pijąc uciszyć lęk, myślała Qing-jao. Miała kogoś, z kim mogła pić wino. I nawet teraz, samotna z kubkiem na swej macie smutnie patrząc w pustkę poetka wspomina dawnego towarzysza. Kogo ja mam wspominać? Gdzie moja miłość? Cudowne czasy, gdy wielka Qing-jao była jeszcze śmiertelniczką, kiedy mężczyźni i kobiety mogli być razem jako kochankowie i przyjaciele, nie troszcząc się, kto jest, a kto nie jest bogosłyszającym. Kobieta mogła wtedy prowadzić takie życie, że nawet w osamotnieniu pozostawały jej wspomnienia. Ja nie pamiętam nawet twarzy

matki. Tylko płaskie obrazy; nie przypominam sobie, jak odwracała twarz i poruszała się, gdy spoglądały na mnie jej oczy. Mam tylko ojca, ale on jest jak bóg. Mogę go czcić, słuchać go i nawet kochać, ale nie mogę się z nim bawić, nie tak naprawdę. Kiedy z nim żartuję, zawsze uważam, czy godzi się na te żarty. I Wang-mu: tak ją przekonywałam, że będziemy przyjaciółkami, a przecież traktuję ją jak służącą, ani przez moment nie zapominam, która z nas jest bogosłyszającą. To mur, którego nie można przebić. Jestem samotna teraz i pozostanę samotna na zawsze.

*rzeński chłód napływa przez  
zasłony w oknach rosnący księżyc za złotymi prętami*

Zadrzała. Ja i księżyc. Czy Grecy nie uznawali księżycy za chłodną dziewicę, za łowczynię? Czy nie tym właśnie jestem? Szesnaście lat i nietknięta

*w muzyce fletu  
słyszają czyjeś kroki  
nadchodzi*

Nasłuchuję, ale nie słyszę melodii niczyich kroków...

Nic. Tylko odgłosy przygotowań do posiłku: brzęk misek i łyżek, śmiechy z kuchni. Wyrwana z zadumy, otarła dłonią głupie łzy. Jak mogła sądzić, że jest samotna, skoro żyła w tym domu pełnym ludzi, którzy przez całe życie troszczyli się o nią? Siedzę tu i powtarzam stare wiersze, a przecież czeka mnie praca.

Natychmiast wywołała raporty ze śledztwa w sprawie tożsamości Demostenesa.

Przez chwilę miała wrażenie, że także tutaj trafiła w ślepy zaułek. Na prawie czterdziestu planetach aresztowano kogoś za publikację wywrotowych dokumentów podpisanych tym imieniem. Gwiezdny Kongres wyciągnął oczywiste wnioski: Demostenes jest tylko pseudonimem, wykorzystywanym przez każdego buntownika, który chce zwrócić powszechną uwagę. Nie istnieje prawdziwy Demostenes, nie ma zorganizowanej grupy pod tą nazwą.

Qing-jao miała co do tego pewne wątpliwości. Demostenes odnosił zadziwiające sukcesy, wzbudzając zamęt na wszystkich światach. Czy na każdej planecie mógł znaleźć się zdrajca tak utalentowany? Mało prawdopodobne.

Poza tym, wspominając swoją własną lekturę tekstów Demostenesa, Qing-jao uświadomiła sobie, że dostrzegła w nich żelazną konsekwencję. Niezwykłą spójność wizji... po części właśnie one sprawiały, że demagog był taki przekonujący. Wszystko zgadzało się, tworzyło nowy sens.

Czy to nie Demostenes stworzył Hierarchię Obcości? Udanning, framling, ramen, varelse. Nie. To napisano bardzo dawno temu. Autorem musiał być inny Demostenes. Może współcześni zdrajcy uważali się za spadkobierców idei dawnego Demostenesa? Pisali, by poprzeć niezależność Lusitani, jedynej planety, gdzie natrafiono na inteligentną, obcą rasę. Słusznie więc podpisywali się imieniem pierwszego człowieka, który uświadomił ludzkości, że wszechświat nie dzieli się między ludzi i nie ludzi, ani między inteligentne i nieinteligentne rasy.

Niektórzy z obcych, twierdził dawny Demostenes, są framlingami - ludźmi z innych światów. Inni to ramen - z obcego inteligentnego gatunku, jednak zdolni do porozumienia; możemy wspólnie rozwiązać problemy i podejmować decyzje. Są jeszcze varelse: „mądre bestie”, in-teligentne, ale całkowicie niezdolne do kontaktu z ludźmi. Tylko z varelse wojna jest usprawiedliwiona; z ramenami ludzie zdołają żyć w pokoju i dzielić między sobą światy, gotowe do zasiedlenia. Tak podpowiadał

otwarty umysł, pełen nadziei, że obcy mogą zostać przyjaciółmi. Tak myślący ludzie nigdy nie wysłaliby floty z Małym Doktorem przeciwko planecie zamieszkałej przez inteligentną rasę.

To była bardzo nieprzyjemna myśl: że Demostenes - twórca hierarchii - także potępiłby wysłanie Floty Lusitańskiej. I natychmiast Qing-jao poprawiła się. Przecież to nieważne, co myślał stary Demostenes. Nowy Demostenes, ten wywrotowy, nie jest mądrym filozofem, który stara się doprowadzić do zgody. Zamiast tego wzbudza właśnie niezadowolenie wśród światów, prowokuje kłótnie, może nawet wojny między framlingami.

Ale wywrotowy Demostenes nie był wspólnym pseudonimem wielu buntowników na różnych planetach. Analiza komputerowa potwierdziła to. Istotnie, liczni zdrajcy wykorzystywali imię Demostenesa, jednak zawsze łączyło się to z drobnymi, mało skutecznymi, bezwartościowymi publikacjami - nigdy tymi prawdziwie niebezpiecznymi dokumentami, które zdawały się pojawiać równocześnie na połowie światów. Jednak lokalna policja z radością ogłaszała, że ich fałszywy Demostenes jest autorem wszystkich tekstów, odbierała nagrody i zamykała sprawę, Gwiazdny Kongres bez oporu postąpił tak samo. Zbadali kilkadziesiąt lokalnych przypadków, aresztowania i skazania buntowników, którzy niezaprzeczalnie opublikowali coś pod imieniem Demostenesa. Urzędnicy odetchnęli z ulgą i oznajmili, że nie jest to konkretna osoba, ale powszechnie używany pseudonim. I zakończyli śledztwo.

Krótko mówiąc, poszli po linii najmniejszego oporu. Egoistyczni i nielojalni... Qing-jao ogarnął gniew, że tacy ludzie nadal piastują swe wysokie urzędy. Powinno się ich ukarać, surowo ukarać, gdyż przez swe lenistwo albo pragnienie zaszczytów dopuścili do przerwania śledztwa w sprawie Demostenesa. Czy nie rozumieli, jaki jest niebezpieczny? Że jego teksty są powszechnie znane przynajmniej na jednym świecie, a jeśli na jednym, to zapewne na wielu? Za jego przyczyną, ilu ludzi na ilu planetach cieszyłoby się wiedząc, że Flota Lusitańska zniknęła? Nieważne, ilu podejrzanych aresztowała policja jako Demostenesa - jego prace wciąż się ukazywały, wciąż pisane w tym samym tonie słodkiego rozsądku? Nie. Im dłużej Qing-jao czytała raporty, tym bardziej była przekonana, że Demostenes to jeden człowiek, jak dotąd niezidentyfikowany. Jeden człowiek, który niewiarygodnie skutecznie strzeże swej tajemnicy.

Z kuchni dobiegł dźwięk fletu - wezwanie na kolację. Zerknęła na przestrzeń ekranu, gdzie wciąż unosił się ostatni raport. Wiele razy powtarzało się w nim słowo „Demostenes”.

- Wiem, że istniejesz, Demostenesie - szepnęła. - wiem, że jesteś bardzo sprytny. Znajdę cię. A wtedy zaprzestasz swej wojny z władcami i powiesz mi, co się stało z Flotą Lusitańską. A ja skończę z tobą, Kongres cię ukarze, a ojciec zostanie bogiem Drogi i będzie żył wiecznie na Bezgranicznym Zachodzie. To jest celem mojego życia; bogowie wybrali mnie do tego zadania. Dlatego równie dobrze możesz ukazać mi się już teraz, gdyż w końcu wszyscy mężczyźni i kobiety złożą swe głowy u stóp bogów.

Nadal dochodziła ją ulotna cicha melodia fletu. Słodki dźwięk odrywał Qing-jao od męczących myśli i wabił towarzystwem domowników. Dla niej ta wpół szeptana muzyka była pieśnią głębi duszy, ledwie słyszalną rozmową drzew nad gładkim stawem, dźwiękiem nieproszonych wspomnień budzących się w myślach kobiety pogrążonej w modlitwie. Tak wzywano na posiłek w domu szlachetnego Hań Fei-tzu.

Więc tak smakuje strach przed śmiercią, myślała Jane, słuchając wyzwania Qing-jao. Ludzie odczuwają go przez cały czas, a jednak żyją jakoś z dnia na dzień, wiedząc, że w każdej chwili mogą przestać istnieć. Ale to dlatego, że mogą wiedzieć o czymś i nie pamiętać. Ja wszystko pamiętam. Wiem, że Hań Qing-jao jest bliska odkięcia faktów, które pozostawały tajemnicą jedynie dlatego, że

nikt nie szukał ich zbyt uporczywie. A kiedy wyjdą na jaw, ja zginę.

- Ender - szepnęła.

Czy na Lusitaniu trwał dzień czy noc? Ender spał czy czuwał? Dla Jane, zadanie pytania oznaczało „wiedzieć” albo „nie wiedzieć”. Dlatego wiedziała od razu, że to noc. Ender spał, ale teraz się obudził. Wciąż był dostrojony do jej głosu, uświadomiła sobie, chociaż przez ostatnie trzydzieści lat tak wiele razy panowała między nimi cisza.

- Jane - szepnął.

Jego żona, Novinha, poruszyła się przez sen. Jane słyszała ją, czuła wibracje jej ruchu, przez sensor w uchu Endera widziała zmienne cienie. Dobrze, że nie nauczyła się jeszcze zazdrości, bo mogłaby znienawidzić Novinhę za to, że tam leży: ciepłe ciało obok Endera. Za to Novinha, jako kobieta, była utalentowaną zazdrośnicą. Jane wiedziała, jak się wścieka widząc, że Ender rozmawia z kobietą mieszkającą w klejnocie noszonym w uchu.

- Ciszej - powiedziała. - Pobudzisz ludzi.

Ender odpowiedział, poruszając wargami i językiem, nie wydając przy tym dźwięku głośniejszego niż oddech.

- Jak się miewają nasi wrogowie w locie? - Od wielu już lat witał ją w ten sposób.

- Nie za dobrze.

- Może nie powinnaś ich blokować? Znaleźlibyśmy sposób. Teksty Valentine...

- Wkrótce zostanie odkryte kto jest autorem.

- Wkrótce wszystko zostanie odkryte. - Nie dodał: przez ciebie.

- Tylko dlatego, że zapadł wyrok na Lusitanię - odpowiedziała. I także nie dodała: przez ciebie.

Wiele było win do zrzucania.

- Dowiedzieli się o Valentine?

- Dziewczyna niedługo się dowie. Na świecie Drogi.

- Nie znam tego miejsca.

- Stosunkowo nowa kolonia; ma kilkaset lat. Chińczycy. Poświęcają czas na kultywację dziwnych mieszanki dawnych religii. Bogowie do nich przemawiają.

- Mieszkałem na niejednej chińskiej planecie - stwierdził Ender. - Na wszystkich ludzie wierzyli w dawnych bogów. Bogowie żyją w każdym świecie, nawet tutaj, w najmniejszej z ludzkich kolonii. Wciąż zdarzają się cudowne uzdrowienia w kaplicy Os Yenerados. Korzeniak opowiedział nam o nowej herezji gdzieś w głębi kraju. Jacyś pequeninos obcują bez przerwy z Duchem Świętym.

- Nie rozumiem tej historii z bogami - oświadczyła Jane. - Czy nikt jeszcze nie zauważył, że bogowie mówią zawsze to, co ludzie chcą usłyszeć?

- Wcale nie. Bogowie często żądają, byśmy czynili to, czego nigdy nie pragnęliśmy, co wymaga ofiary dla nich poniesionej. Nie wolno nam nie doceniać bogów.

- Czy twój katolicki Bóg przemawia do ciebie?

- Może i tak. Ale ja nigdy go nie słyszę. A jeśli nawet, to nie wiem, że to jego głosu słucham.

- A kiedy umieracie, bogowie wszystkich ludów naprawdę zabierają swoich martwych i przenoszą gdzieś, gdzie będą żyli wiecznie?

- Nie wiem. Nie przysyłają listów.

- Kiedy ja zginę, czy jakiś bóg mnie tam zabierze?

Ender milczał przez chwilę, po czym zaczął mówić swym tonem bazarza:

- Jest taka stara historia o lalkarzu, który nigdy nie miał syna. Dlatego zrobił kukielkę wyglądającą jak prawdziwy chłopiec. Trzymał tego drewnianego malca na kolanach, przemawiał do niego i udawał, że to jego prawdziwy syn. Nie zwariował. Cały czas wiedział, że to kukielka. Nazwał ją



Pinokio. Lecz pewnego dnia bóg zstąpił, dotknął kukielki i dał jej życie, a kiedy lalkarz przemówił, Pinokio odpowiedział. Lalkarz nikomu tego nie zdradził. Trzymał swego drewnianego syna w domu, ale znosił mu wszystkie historie, jakie słyszał, i wieści o wszystkich cudach na niebie i ziemi. Aż pewnego dnia, gdy wracał z nabrzeża, gdzie nasłuchiwał się właśnie opowieści z dalekich krain, zobaczył, że jego dom płonie. Próbował wbiec do wnętrza, krzychał: „Mój syn! Mój syn!” Jednak sąsiedzi zatrzymali go. „Zwariowałeś?” mówili. „Przecież nie masz syna”. Widział, jak dom spłonął doszczętnie, a kiedy płomień zgasł, rzucił się w ruiny, posypał głowę gorącym popiołem i zapłakał gorzko. Był niepokieszony. Nie chciał odbudowywać warsztatu. Gdy ludzie pytali dlaczego, odpowiadał, że zginął jego syn. Żył z drobnych prac dla innych. Wszyscy go żalowali, pewni, że oszalał po pożarze. Aż pewnego dnia, trzy lata później, mały chłopiec, sierota, podszedł do niego, pociągnął za rękaw i zapytał: „Opo-wiesz mi coś ciekawego, tato?”

Jane czekała, ale Ender zamilkł.

- To już cała historia?

- Nie wystarczy?

- Czemu mi ją opowiedziałeś? To tylko sny i marzenia. Co to ma wspólnego ze mną?

- Ta właśnie historia przyszła mi na myśl.

- A dlaczego?

- Może w taki sposób Bóg do mnie przemówił - rzekł Ender. - A może jestem śpiący i nie mam tego, czego ode mnie chcesz.

- Nawet nie wiem, czego chcę od ciebie.

- Ja wiem. Chcesz żyć we własnym ciele, niezależna od biotycznej sieci, wiążącej wszystkie ansible. Ofiarowałbym ci ten dar, gdybym potrafił. Jeśli wymyślisz, jak mogę to zrobić, zrobię to dla ciebie. Ale Jane, ty nawet nie wiesz, czym jesteś. Może gdybyś odkryła, co sprawiło, że istniejesz, co czyni cię sobą, wtedy zdołalibyśmy ocalić twoją jaźń tego dnia, kiedy wyłączą ansible, by cię zabić.

- Więc o tym mówi twoja historia? Może i spłonę wraz z domem, ale moja dusza trafi jakoś do trzyletniego sieroty?

- Odkryj, kim jesteś, czym jesteś, swoją istotę. Zobaczymy, czy uda się przenieść cię w jakieś bezpieczne miejsce, póki to wszystko się nie skończy. Mamy ansibla. Może zdołamy wprowadzić cię znowu do sieci.

- Na Lusitanii nie wystarczy komputerów, żeby mnie przechować.

- Tego nie wiesz. Nie wiesz, czym jest twoja jaźń.

- Każesz mi szukać własnej duszy. - Ostatnie słowo wymówiła z wyraźną drwiną.

- Jane, cud nie polegał na tym, że lalka odrodziła się jako chłopiec. Cudem było, że w ogóle zaczęła żyć. Zdarzyło się coś, co zwykle połączenia między komputerami zmieniło w świadomą istotę. Coś cię stworzyło. Po czymś takim, reszta powinna być łatwa.

Mówił niewyraźnie. Chce, żebym sobie poszła i dała mu spać.

- Popracuję nad tym.

- Dobranoc - wymruczał.

Zasnął prawie natychmiast. Czy w ogóle się obudził? - myślała Jane. Czy rano będzie pamiętał naszą rozmowę?

Poczuła, że poruszyło się łóżko. Novinha... inaczej teraz oddychała. Dopiero wtedy Jane zrozumiała: kiedy rozmawiała z Enderem, Novinha się obudziła. Ona wie, co oznaczają te prawie niesłyszalne dźwięki, cmoknięcia i mlaskania: że Ender subwokalizuje, Ender może zapomnieć, że rozmawialiśmy w nocy, ale Novinha nie zapomni. Jakby przyłapała go w łóżku z kochanką. Gdyby tylko potrafiła myśleć o mnie inaczej. Jak o córce. Nieślubnej córce Endera z dawnego związku. Jego

dziecko spłodzone poprzez grę fantazy. Czy wtedy również byłaby zazdrosna?

Czy jestem dzieckiem Endera?

Jane zaczęła przeszukiwać własną przeszłość. Studiować własną naturę. Próbowwała zrozumieć, kim jest i dlaczego żyje.

Ponieważ jednak była Jane, nie istotą ludzką, nie były to jej wszystkie zajęcia. Śledziła analizy Qing-jao, pracującej z danymi Demostenesa; obserwowała, jak dziewczyna coraz bardziej zbliża się do prawdy.

Najważniejsze było jednak szukanie sposobu, by zniechęcić Qing-jao do poszukiwań. Mimo doświadczeń Jane z umysłami ludzi, mimo tak wielu rozmów z Enderem, okazało się to najtrudniejszym z zadań, gdyż indywidualne ludzkie istoty wciąż stanowiły dla niej zagadkę. Jane doszła do jednego wniosku: nieważne, jak szczegółowo się wie, co człowiek robił w przeszłości, co o tym myślał, gdy to robił, co myśli o tym teraz, w żaden sposób nie można przewidzieć, co zrobi potem. A jednak nie miała wyboru. Musiała spróbować. Zaczęła obserwować dom Hań Fei-tzu tak, jak nie obserwowała nikogo prócz Endera i ostatnio jego pasierba Mira. Nie mogła już czekać, aż Qing-jao i jej ojciec wprowadzą dane do komputerów, i dopiero wtedy starać się je zrozumieć. Teraz musiała przejąć kontrolę nad komputerem domowym, by jako swe uszy i oczy wykorzystać odbiorniki audio i wideo terminali umieszczonych prawie w każdym pokoju. Przyglądała się. Samotna i oddalona, poświęciła im sporą część swej uwagi; studiowała i analizowała ich działania i słowa. Starła się określić, ile dla siebie znaczą.

W krótkim czasie doszła do wniosku, że na Qing-jao nie zdoła wpłynąć żadną argumentacją. Musi najpierw przekonać ojca, by potem on przekonał Qing-jao. Takie działanie pozostawało w harmonii z Drogą. Hań Qing-jao nie okaże nieposłuszeństwa Gwiezdnemu Kongresowi, chyba że na rozkaz Hań Fei-tzu. Wtedy będzie do tego zmuszona.

W pewien sposób ułatwiło to Jane działanie. Przekonywanie Qing-jao, zmiennej i emocjonalnej nastolatki, która sama jeszcze siebie nie rozumie, byłoby w najlepszym razie ryzykowne. Hań Fei-tzu to człowiek o stanowczym charakterze, człowiek racjonalny, a jednak głęboko uczuciowy. Wysłucha argumentów, zwłaszcza jeśli Jane przekona go, że sprzeciw wobec Kongresu wyjdzie na dobre jego światu i całej ludzkości. Potrzebowała tylko odpowiedniej informacji, by sam doszedł do takiego wniosku.

W tej chwili Jane nie gorzej od któregokolwiek z ludzi znała wzorce społeczne Drogi. Wchłonęła bowiem każdy tekst historyczny, raport antropologiczny, każdy dokument stworzony przez mieszkańców Drogi. Odkryła rzecz niepokojącą: lud Drogi był kierowany przez swych bogów w stopniu o wiele głębszym niż jakikolwiek inny naród w innych miejscach czy epokach. Ponadto niepokoiło ją, w jaki sposób bogowie do nich przemawiali. Najwyraźniej była to dobrze znana choroba psychiczna, nazywana zespołem psychozy natręctw - ZPN. We wczesnym okresie historii Drogi - siedem pokoleń temu, kiedy planeta została zasiedlona - lekarze próbowali leczyć ten syndrom zwykłymi środkami. Natychmiast jednak odkryli, że bogosłyszający z Drogi nie reagują na normalne leki, które u wszystkich pacjentów przywracały chemiczną równowagę „dostateczności” - tego psychicznego przeświadczenia, że zadanie zostało wykonane i nie trzeba się więcej nim przejmować. Bogosłyszający demonstrowali wszelkie objawy charakterystyczne dla ZPN, jednak dobrze znana wada układu nerwowego tutaj była nieobecna. Musiała istnieć inna, nieznaną przyczyna.

Jane zaczęła dokładniej badać tę sprawę. Znalazła dokumenty - na innych światach, wcale nie na Drodze - które opisywały ją dokładniej. Badacze od razu wywnioskowali, że musiała wystąpić nowa mutacja choroby, wywołująca podobne objawy. Jednak, gdy tylko opublikowali wstępne wyniki,

badania przerwano, a uczonych przydzielono na inną planetę.

Inną planetę! To prawie niewyobrażalne. Zostali wyrwani, odcięci od swojego czasu, przyjaciół, od rodzin, które z nimi nie odleciały. A mimo to żaden nie odmówił. To dowód, jak wielki wywierano na nich nacisk. Wszyscy opuścili Drogę i od tego czasu żaden nie starał się podjąć wcześniejszych badań.

Jane najpierw postawiła hipotezę, że jakieś czynniki rządowe na samej Drodze nakazały przerwać badania i usunąć naukowców z planety. W końcu, wierni na Drodze nie chcieli, żeby ich wiarę w głosy bogów zabiło odkrycie fizycznego zjawiska. Nie znalazła jednak żadnych dokumentów świadczących, że lokalny rząd Drogi w ogóle poznał pełny raport. Opublikowano tylko część zawierającą konkluzję, że głos bogów z całą pewnością nie jest znanym i uleczalnym ZPN. Mieszkańcy Drogi dowiedzieli się więc tyle, by wierzyć, że nie istnieje żadne znane, fizyczne wytłumaczenie głosu bogów. Nauka „dowodła” ich istnienia. Nie było śladów, by ktokolwiek na Drodze próbował ukrywać dalsze informacje albo nie dopuścić do badań. Te decyzje zapadały gdzie indziej. W Kongresie. Gdzieś tkwiła kluczowa informacja, niedostępna nawet dla Jane, która bez trudu sięgała do wszystkich elektronicznych pamięci połączonych z siecią ansibli. To mogło się zdarzyć tylko wtedy, gdy znający sekret tak bardzo obawiali się jego odkrycia, że nie powierzali go nawet najbardziej tajnym komputerom rządowym z ograniczonym dostępem.

Jane nie mogła pozwolić, by ją to powstrzymało. Musiała odkryć prawdę, składając ją ze strzępów informacji pozostawionych przez nieuwagę w przypadkowych dokumentach czy bazach danych. Musiała odszukać inne fakty, które pomogą uzupełnić luki w obrazie. Na dłuższą metę, istoty ludzkie nie mogą niczego ukryć przed kimś, kto dysponował nieograniczonym czasem i cierpliwością Jane. Dowie się, co Kongres robi z Drogą, a wtedy wykorzysta tę wiedzę - jeśli zdoła - by sprowadzić Hań Qing-jao z niszczycielskiego kursu. Bowiem Qing-jao także odkrywała tajemnice - starsze tajemnice, ukryte od trzech tysięcy lat.

## ROZDZIAŁ 10

### MĘCZENNIK

*Ender twierdzi, że tutaj, na Lusitanii, znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym historii. Że za kilka miesięcy albo lat będzie to miejsce, gdzie nastąpi śmierć albo zrozumienie wszystkich świadomych gatunków.*

*Był wyjątkowo przewidujący, sprowadzając nas tutaj właśnie w chwili naszej potencjalnej zagłady.*

*Żartujesz sobie ze mnie, oczywiście.*

*Gdybyśmy wiedziały jak żartować, może zrobiłybyśmy z tobą.*

*Lusitania jest punktem zwrotnym historii także dlatego, że ty tu jesteś. Ty niesiesz ze sobą ten punkt, gdziekolwiek się udasz.*

*Odrzucamy go. Dajemy go tobie. Jest twój.*

*On znajduje się wszędzie tam, gdzie spotykają się obcy.*

*Więc nie bądźmy już dla siebie obcy.*

*Ludzie upierają się, żeby uczynić nas obcymi... mają to wbudowane w geny. Ale możemy zostać przyjaciółmi.*

*To za mocne słowo. Powiedzmy, że będziemy współobywatelami.*

*Przynajmniej tak długo, jak długo zgadzają się nasze interesy.*

*Dopóki świecą gwiazdy, nasze interesy będą zgodne.*

*Może nie aż tak długo. Może tylko dopóki istoty ludzkie są silniejsze i liczniejsze od nas.*

*Na razie to wystarczy.*

Quim bez protestów przyszedł na spotkanie, choć mogło to o cały dzień opóźnić jego wyprawę. Już dawno nauczył się cierpliwości. Nieważne, jak pilna jest misja wśród heretyków. Na dłuższą metę niewiele osiągnie, pozbawiony wsparcia ludzkiej kolonii. Dlatego, jeśli biskup Peregrino zaprosił go na spotkanie z Kovano Zeljezo, burmistrzem Milagre i gubernatorem Lusitanii, to Quim tam będzie.

Ze zdziwieniem przekonał się, że przybyli także Quanda Saavedra, Andrew Wiggin i większa część rodziny Quima. Mama i Ela... ich obecność jest sensowna, jeśli mieli rozmawiać o polityce wobec heretyckich pequeninos. Ale co tu robią Quara i Grego? Nie ma żadnego powodu, by zapraszać ich do jakiegokolwiek poważnej dyskusji. Są za młodzi, niedoinformowani, zapalczywi. Stale się kłócą, jak dzieci. Nie są tak dojrzały jak Ela, która potrafi w interesie nauki odsunąć na bok własne uczucia. Oczywiście, Quim martwił się nieraz, że Ela robi to zbyt skutecznie, by wyszło jej to na dobre. Ale wobec Quary i Grega... w tej akurat kwestii nie było żadnego powodu do zmartwienia.

Zwłaszcza u Quary. Korzeniak twierdził, że cały ruch heretycki nabrał rozmachu dopiero wtedy, gdy Quara zdradziła pequeninos plany dotyczące wirusa descolady. Heretycy nie znaleźliby tylu sprzymierzeńców w tylu różnych lasach, gdyby nie lęk, że ludzie mogą uwolnić jakiś wirus albo zatruć Lusitanię chemikaliami, które usuną descoladę, a wraz z nią samych pequeninos. Wobec faktu, że ludzie choćby czysto teoretycznie dopuszczają myśl o pośredniej eksterminacji prosiaczków, proste odwrócenie sytuacji pozwalało prosiaczkom myśleć o eksterminacji ludzkości.

A wszystko dlatego, że Quara nie potrafiła utrzymać języka za zębami. A teraz zjawiała się na spotkaniu, gdzie będzie się omawiać politykę. Po co? Jaka grupę społeczną reprezentuje? Czy ci ludzie naprawdę wyobrażają sobie, że polityka rządu albo Kościoła jest teraz domeną rodziny

Ribeira? Naturalnie, nie było tu ani Olhada, ani Mira, ale to niczego nie oznaczało: obaj to kaleki i reszta rodziny podświadomie traktuje ich jak dzieci. Quim doskonale wiedział, że żaden z nich nie zasługuje na tak brutalne odepchnięcie.

Mimo to zachowywał spokój. Może zaczekać. Może posłuchać. A potem zrobi to, co zadowoli i Boga, i biskupa Peregrino. Oczywiście, jeśli okaże się to niemożliwe, wystarczy mu zadowolenie Boga.

- To ja zaprosiłem was na dzisiejsze spotkanie - oświadczył burmistrz Kovano.

Quim wiedział, że to dobry człowiek. Lepszy burmistrz, niż ktokolwiek w Milagre sobie uświadamiał. Wybierali go, ponieważ miał opiekuńczą naturę i ciężko pracował, by pomóc ludziom i rodzinom w kłopotach. Nie dbali, czy wyznaczał też dobrą politykę - dla prostych ludzi to kwestia zbyt abstrakcyjna. Na szczęście burmistrz był w równej mierze człowiekiem mądrym, co politycznie przebiegłym. To rzadkie połączenie i Quim był z tego zadowolony. Może Bóg wiedział, że nadchodzą trudne czasy, i dał nam przywódcę, który przeprowadzi nas przez nie bez niepotrzebnych cierpień.

- Ale cieszę się, widząc was tu razem. Stosunki prosiaczków z ludźmi są obecnie bardziej napięte niż kiedykolwiek przedtem. A w każdym razie kiedykolwiek od dnia, gdy przybył Mówca i pomógł nam zawrzeć z nimi pokój.

Wiggin pokręcił wolno głową, ale wszyscy wiedzieli, jaką rolę odegrał w tamtych wypadkach. Nie było sensu zaprzeczać. Nawet Quim musiał w końcu przyznać, że ten niewierny humanista wykonał na Lusitani dobrą robotę. Quim już dawno zapomniał o swej głębokiej nienawiści do Mówcy Umarłych; podejrzewał nawet, że właśnie on, misjonarz, jako jedyny w rodzime naprawdę rozumie, co Wiggin tu osiągnął. Bowiem tylko ewangelista może zrozumieć innego ewangelistę.

- Oczywiście, sporą część naszych kłopotów zawdzięczamy zachowaniu pary nieznośnych zapaleńców, których zaprosiliśmy na to spotkanie, by zobaczyli niektóre z groźnych konsekwencji swych głupich, samowolnych postępów.

Quim roześmiał się niemal na głos. Oczywiście, Kovano powiedział to wszystko tonem łagodnym i uprzejmym; Grego i Quara dopiero po chwili się zorientowali, że właśnie zostali skarceni. Nie powinienem w ciebie wątpić, Kovano; nie sprowadziłyś tutaj ludzi niepotrzebnych.

- Jeśli dobrze rozumiem, wśród prosiaczków istnieje ruch zmierzający do wykorzystania kosmolotu w celu świadomego zarażenia descoladą reszty ludzkości. A dzięki wkładowi naszej tu obecnej młodej papugi, wiele innych lasów wspiera tę ideę.

- Jeśli oczekujecie, że będę przepraszać... - zaczęła Quara.

- Oczekuję, że będziesz siedziała cicho... czy to niemożliwe, nawet przez dziesięć minut? - W głosie Kovano brzmiała prawdziwa wściekłość. Quara szeroko otworzyła oczy i usiadła sztywno na krześle.

- Kolejnym naszym problemem jest młody fizyk, który... tak się nieszczęśliwie składa... utrzymuje kontakty z prostymi ludźmi. - Kovano zerknął na Grega i uniósł brew. - Gdybyś tylko stał się wyniosłym intelektualistą... A ty spotykasz się z najgłupszymi, najbardziej skłonny do przemocy Lusitańczykami.

- Z ludźmi, którzy się z panem nie zgadzają, chciał pan powiedzieć - odparł Grego.

- Z ludźmi, którzy zapominają, że ten świat należy do pequeninos - zauważyła Quara.

- Światy należą do ludzi, którzy ich potrzebują i potrafią je wykorzystywać.

- Zamknijcie się, dzieci, bo usunę was z tego zebrania, gdy dorośli będą podejmować decyzje.

Grego spojrział wściekle na burmistrza.

- Proszę się tak do mnie nie zwracać.

- Będę mówił, jak mi się podoba - stwierdził Kovano. - Jeśli o mnie chodzi, oboje złamaliście

prawny obowiązek zachowania tajemnicy. Powiniennem was zamknąć.

- Pod jakim zarzutem?

- Mam wyjątkowe uprawnienia, jak pewnie sobie przypominacie. Dopóki nie minie zagrożenie, nie muszę przedstawiać żadnych zarzutów. Czy wyrażam się jasno?

- Nie robi pan tego. Pan mnie potrzebuje - oznajmił Grego. - Jestem jedynym przyzwoitym fizykiem na Lusitanii.

- Fizyka jest nam całkiem na nic, jeśli dojdzie do jakiejś walki z pequeninos.

- To z descoladą mamy walczyć.

- Tracimy czas - wtrąciła Novinha.

Pierwszy raz od początku spotkania Quim popatrzył na matkę. Wydawała się bardzo zdenerwowana. Przestraszona. Od wielu lat nie widział jej w takim stanie.

- Zebraliśmy się tutaj w sprawie szalonej misji Quima - powiedziała Novinha.

- Nazywamy go ojcem Estevao - przypomniał biskup Peregrino. Lubił, gdy o urzędach kościelnych ludzie wyrażają się z należyтым szacunkiem.

- Jest moim synem i będę go nazywała jak zechcę - odparła Novinha.

- Ależ drażliwi ludzie się tu zebrali - westchnął Kovano.

Sprawy podążały w niedobrym kierunku. Quim świadomie nie informował matki o swojej misji u heretyków. Był pewien, że sprzeciwi się jego wyjazdowi do prosiaczków, którzy lękali się i otwarcie nienawidzili ludzkich istot. Quim doskonale rozumiał, skąd wziął się jej strach przed bliskim kontaktem z pequeninos. Była dzieckiem, gdy jej rodzice padli ofiarą descolady. Ksenolog Pipa stał się dla niej jakby ojcem... a potem pierwszym człowiekiem, zamęczonym na śmierć przez pequeninos. Następne dwadzieścia lat poświęciła, broniąc Liba - syna Pipa i następnego ksenologa - przed tym samym losem. Wyszła nawet za innego mężczyznę, by Libo nie uzyskał małżeńskiego prawa dostępu do jej osobistych archiwów komputerowych. Wierzyła, że mógłby tam znaleźć sekret, który Pipa doprowadził do śmierci z rąk prosiaczków. I wszystko na próżno. Libo zginął, dokładnie tak jak Pipa.

Chociaż od tego czasu poznali prawdziwy powód tych zabójstw, chociaż pequeninos złożyli uroczystą przysięgę, że nie wyrządzą krzywdy żadnemu człowiekowi, mama wciąż nie potrafiła zachować się racjonalnie, gdy ktoś z rodziny wyruszał do prosiaczków. A teraz siedziała na tym zebraniu, bez wątplenia zwołanym za jej namową. Na pewno zechcą decydować, czy Quim ma odjechać na misjonarską wyprawę. To nie będzie przyjemny ranek. Matka miała wieloletnią praktykę stawiania na swoim. Po ślubie z Andrew Wigginem zmiękła i złagodniała. Jednak kiedy uznała, że któremuś z jej dzieci coś zagraża, wysuwała pazury i żaden mąż nie mógł jej wtedy uspokoić.

Dlaczego burmistrz Kovano i biskup Peregrino pozwolili, żeby doszło do tego spotkania?

Burmistrz zaczął tłumaczyć, jakby usłyszał nie wypowiedziane pytanie Quima.

- Andrew Wiggin dostarczył mi nową wiadomość. Z początku chciałem zachować ją w tajemnicy, posłać ojca Estevao z misją do heretyków, a potem prosić biskupa Peregrino o modlitwę. Andrew jednak zapewnił mnie, że skoro zagrożenie rośnie, tym ważniejsze jest, byście wszyscy działali, posiadając możliwie pełne informacje. Mówcy umarłych najwyraźniej patologicznie wierzą, że ludzie zachowują się lepiej, kiedy wiedzą więcej. Zbyt długo zajmuję się polityką, by dzielić tę jego pewność. Jest jednak starszy ode mnie, tak przynajmniej twierdzi, więc ustąpiłem wobec jego mądrości.

Quim naturalnie wiedział, że Kovano nie ustąpiłby wobec niczyjej mądrości. Andrew Wiggin po prostu go przekonał.

- Relacje między pequeninos a ludźmi stają się coraz bardziej, hm... problematyczne. Nasz

niewidoczny współmieszkaniec, królowa kopca, jest najwyraźniej coraz bliższa wysłania swoich kosmolotów. A sprawy poza planetą także się komplikują. Mówca Umarłych dowiedział się ze swoich źródeł, że na świecie zwanym Drogą ktoś jest bardzo bliski zdemaskowania naszych sprzymierzeńców, którzy jak dotąd uniemożliwiali Kongresowi wydanie rozkazu zniszczenia Lusitani.

Ciekawe, pomyślał Quim. Andrew najwyraźniej nie powiedział burmistrzowi Kovano o Jane. Biskup Peregrino także nic nie wie. A Grego albo Quara? Ela? Mama wiedziała z pewnością. Dlaczego Andrew powiedział mi, jeśli ukrył to przed tyloma innymi?

- Istnieje duża szansa, że w ciągu najbliższych kilku tygodni... może dni... Kongres odzyska łączność z flotą. Wtedy padnie nasza ostatnia linia obrony. Jedynie cud może nas ocalić przed zagładą.

- Bzdura - mruknął Grego. - Jeśli ta... istota... na prerii może zbudować kosmolot dla prosiaczków, to może i dla nas. Zabierze nas stąd, zanim szlag trafi planetę.

- Być może - przyznał Kovano. - Zaproponowałem coś takiego, choć może mniej barwnym językiem. Senhor Wiggin może wyjaśni, dlaczego pomysły plan Grega jest nierealny.

- Królowa kopca nie myśli w taki sposób jak my. Mimo starań, nie potrafi indywidualnych istnień traktować poważnie. Jeśli Lusitania ulegnie zniszczeniu, jej i pequeninos zagraża największe niebezpieczeństwo...

- Doktor System rozwali całą planetę - zauważył Grego.

- Największe niebezpieczeństwo unicestwienia rasy - mówił dalej Wiggin, nie zwracając uwagi na Grega. - Nie zechce marnować statku na wywiezienie z Lusitani ludzi, ponieważ biliony ich żyją na paruset planetach. Nam nie zagraża ksenocyd.

- Zagraża, jeśli te heretyckie prosiaczki postawią na swoim - oświadczył Grego.

- I tu pojawia się inny problem - odpowiedział Wiggin. - Jeżeli nie znajdziemy metody neutralizacji descolady, nie możemy z czystym sumieniem przewieźć mieszkańców Lusitani na inną planetę. Zrobilibyśmy dokładnie to, czego chcą heretycy: doprowadzili innych ludzi do kontaktu z descoladą i prawdopodobnie do śmierci.

- W takim razie nie ma żadnego rozwiązania - stwierdziła Ela. - Równie dobrze możemy położyć się wygodnie i umrzeć.

- Niezupełnie - odparł Kovano. - Jest możliwe, a nawet prawdopodobne, że nasza wioska, Milagre, została już skazana. Ale możemy się przynajmniej postarać, żeby kolonizacyjne statki pequeninos nie zaniósł descolady do światów ludzi. Jak się zdaje, są dwa podejścia do tego problemu: jedno biologiczne i jedno teologiczne.

- Jesteśmy już tak blisko - stwierdziła mama. - Za parę miesięcy, nawet tygodni, wyprodukujemy z Elą substytut descolady.

- Ty tak twierdzisz - powiedział Kovano. Zwrócił się do Eli. - A co ty sądzisz?

Quim niemal jęknął. Ela powie, że mama się myli, że nie istnieje biologiczne rozwiązanie. A wtedy mama oświadczy, że Ela chce mnie zabić, wysyłając z tą misją. Tego tylko potrzeba rodzinie: otwartej wojny między Elą a mamą. Dzięki Kovano, humaniście.

Ale odpowiedź Eli nie była taka, jakiej obawiał się Quim.

- W tej chwili substytut jest już prawie gotowy. To jedyna metoda, jakiej dotąd nie próbowałyśmy, a więc nie poniosłyśmy porażki. Bardzo niewiele nam brakuje do konstrukcji takiej wersji descolady, która robi wszystko, co niezbędne do podtrzymania cyklu życiowego miejscowych gatunków, natomiast jest niezdolna do adaptacji i niszczenia nowych,

- Mówisz o lobotomii na całym gatunku - wtrąciła z goryczą Quara. - Co byś powiedziała, gdyby

ktoś znalazł sposób, żeby utrzymać ludzi przy życiu, ale usunąć im mózgi?

Naturalnie, Grego podjął rękawicę.

- Kiedy te wirusy napiszą wiersz albo udowodnią twierdzenie, uwierzę w te sentymentalne bzdury, jak to powinniśmy zachować je przy życiu.

- To, że nie potrafimy ich odczytać, nie oznacza jeszcze, że nie tworzą poematów!

- Fechai as bocas! - warknął Kovano. Zamilkli natychmiast.

- Nossa Senhora - westchnął. - Może Bóg chce zniszczyć Lusitanię, bo inaczej nie potrafi was uciszyć. Biskup Peregrino odchrząknął.

- A może nie - dokończył burmistrz. - Daleki jestem od zgadywania boskich motywów.

Biskup wybuchnął śmiechem, co pozwoliło innym też się roześmiać. Napięcie opadło - jak morska fala, co odpływa na chwilę, ale z pewnością powróci.

- Zatem antywirus jest już prawie gotowy? - Kovano zwrócił się do Eli.

- Nie... A raczej tak, projekt zastępczego wirusa jest już prawie gotowy. Pozostały jednak dwa problemy. Pierwszy to dostawa. Musimy doprowadzić do tego, by nowy wirus zaatakował i wymienił stary. A to... do tego jeszcze daleko.

- Masz na myśli, że jeszcze daleko, czy że nie masz bladego pojęcia, jak to zrobić?

Kovano nie był głupi. Najwyraźniej rozmawiał już z naukowcami.

- Gdzieś pomiędzy jednym a drugim.

Mama poruszyła się nerwowo, wyraźnie odsuwając się od Eli. Moja biedna siostrzyczka, pomyślał Quim. Przez najbliższe parę lat mama się do ciebie nie odezwie.

- A drugi problem? - spytał Kovano.

- Zaprojektować zastępczego wirusa to jedno, a wyprodukować go, to coś zupełnie innego.

- Nieistotne szczegóły - oświadczyła mama.

- Nie masz racji, mamó, i wiesz o tym - odparła Ela. - Potrafię wyrysować schemat nowego wirusa. Ale nawet pracując w dziesięciu stopniach w skali absolutnej, nie potrafimy podzielić i rekombinować descolady z wystarczającą precyzją. Albo ginie, ponieważ usuwamy za dużo, albo po powrocie do normalnej temperatury natychmiast się regeneruje, ponieważ za dużo zostawiamy.

- Kwestie techniczne.

- Kwestie techniczne? - powtórzyła ostro Ela. - To jak budować ansibl bez filotycznego łącza.

- Zatem dochodzimy do wniosku...

- Nie dochodzimy do żadnego wniosku - przerwała mama.

- Dochodzimy do wniosku - ciągnął Kovano - że między naszymi ksenobiologami nie ma zgodności opinii co do możliwości poskromienia samego wirusa descolady. Musimy więc pomyśleć o innym podejściu: przekonaniu pequenino, żeby wysyłali statki tylko na niezamieszkałe światy. Tam mogą rozwinąć swoją zabójczą ekologię bez zabijania ludzi.

- Przekonać ich... - parsknął Grego. - Jakbyśmy mogli im zaufać, że dotrzymają obietnicy.

- Częściej dotrzymują obietnic od ciebie - zauważył Kovano, - Na twoim miejscu powstrzymałbym się od tego tonu moralnej wyższości.

Sprawy doszły wreszcie do punktu, w którym Quim uznał, że powinien zabrać głos.

- Cała ta dyskusja jest niezwykle interesująca - powiedział. - Byłoby cudownie, gdybym w swej misji zdołał nakłonić heretyków, by powstrzymali się przed zagrożeniem ludzkości. Jednak gdybyśmy nawet wszyscy się zgodzili, że nie mam żadnej szansy realizacji takiego celu, i tak bym poszedł. Nawet gdybyśmy uznali, że istnieje poważne ryzyko, iż moja misja jeszcze pogorszy sytuację, i tak bym poszedł.

- Miło wiedzieć, że jesteś chętny do współpracy - burknął zgryźliwie Kovano.



- Jestem chętny do współpracy z Bogiem i Kościołem. Moja misja wśród heretyków nie służy ocaleniu ludzkości przed descoladą, ani nawet próbie utrzymania pokoju między ludźmi i pequeninos na Lusitaniu. Moja misja wśród heretyków ma na celu przywrócenie ich wierze w Chrystusa i jedności z Kościołem. Chcę ratować ich dusze.

- Oczywiście. Z takiego powodu chcesz pójść.

- I z takiego powodu pójdę. To jedyna norma, według której ocenię osiągnięte wyniki Kovano spojrział bezradnie na biskupa.

- Ksiądz zapewniał, że ojciec Estevao będzie współpracował.

- Powiedziałem, że jest absolutnie posłuszny Bogu i Kościołowi - odparł Peregrino.

- Zrozumiałem przez to, że ksiądz biskup może go przekonać, żeby zaczekał, póki nie dowiemy się czegoś więcej.

- Istotnie, mógłbym go przekonać. Albo mógłbym po prostu zakazać mu wyjazdu.

- Niech ksiądz to zrobi - zawołała mama.

- Nie - odparł biskup.

- Myślałem, że ksiądz dba o dobro tej kolonii - zauważył burmistrz.

- Dbam o dobro wszystkich chrześcijan powierzonych mojej opiece - wyjaśnił biskup Peregrino. -

Jeszcze trzydzieści lat temu oznaczało to troskę jedynie o ludzi żyjących w Milagre. Teraz jednak jestem w równym stopniu odpowiedzialny za dusze chrześcijańskich pequeninos tej planety. Posyłam ojca Estevao z tą misją dokładnie tak, jak wysłano kiedyś na wyspę Eire misjonarza imieniem Patrick. Odniósł niezwykły sukces, nawracając królów i całe narody. Niestety, irlandzki Kościół nie zawsze działał zgodnie z życzeniami papieża. Często następowały... powiedzmy, że istniały kontrowersje między nimi. Oficjalnie chodziło o datę Wielkiej Nocy, jednak w istocie rzecz szła o posłuszeństwo wobec papieża. Od czasu do czasu dochodziło nawet do rozlewu krwi. Lecz ani przez chwilę nikt nie pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby święty Patryk nie wyprawił się na Eire. Nikt nie zasugerował, że Irlandczycy powinni zostać poganami.

Greg powstał.

- Odkryliśmy filotę, prawdziwie niepodzielny atom. Zdobyliśmy gwiazdy. Przesyłamy wiadomości szybciej niż światło. A jednak ciągle żyjemy w średniowieczu.

Ruszył do drzwi.

- Wyjdź stąd, zanim ci na to pozwolę - zagroził burmistrz - a przez najbliższy rok nie zobaczysz słońca.

Grego podszedł do drzwi, nie przekroczył jednak progu. Z ironicznym uśmiechem oparł się o futrynę.

- Widzi pan, jaki jestem posłuszny.

- Nie będę cię długo zatrzymywał. Biskup Peregrino i ojciec Estevao mówią tak, jakby mogli podejmować całkowicie niezależne decyzje. Wiedzą jednak, że to nieprawda. Jeśli uznam, że ojciec Estevao nie powinien wyruszać z misją do prosiaczków, to nie wyruszy. Wyjaśnijmy to sobie od razu. Nie przestraszę się aresztowania biskupa Lusitaniu, jeśli będzie tego wymagać dobro mieszkańców. A co do naszego misjonarza, pójdzie między pequeninos wyłącznie za moją zgodą.

- Nie wątpię, że jest pan zdolny przeszkodzić w bożym dziele na Lusitaniu - stwierdził lodowatym tonem Peregrino. - I pan nie powinien wątpić, że mogę za to posłać pana do piekła.

- Wiem o tym - odparł Kovano. - Nie byłbym pierwszym przywódcą politycznym, który trafia tam w rezultacie sporu z Kościołem. Na szczęście, tym razem do tego nie dojdzie. Wysłuchałem was wszystkich i podjąłem decyzję. Czekanie na antywirusa jest zbyt ryzykowne. A gdybym nawet wiedział, z absolutną pewnością, że będzie gotów w ciągu sześciu tygodni, i tak udzieliłbym

pozwolenia. Misja ojca Estevao to nasza największa szansa, by ocalić cokolwiek z tego zamieszania. Andrew zapewnił mnie, że pequeninos żywią niezwykle szacunek i podziw dla tego człowieka... nawet niewierzący. Jeśli przekona heretyków, by zrezygnowali ze zgładzenia całej ludzkości w imię swej religii, zdejmie z naszych barków przynajmniej jedno brzemie.

Quim z powagą kiwnął głową. Burmistrz Kovano jest człowiekiem wielkiej mądrości. Dobrze, że nie muszą ze sobą walczyć, przynajmniej na razie.

- Tymczasem ksenobiolodzy przyłożą się do pracy z antywirusem. Kiedy powstanie, zdecydujemy, czy go użyć, czy nie.

- Użyć - oświadczył Grego.

- Po moim trupie - zawołała Quara.

- Wdzięczny jestem, że z decyzją w sprawie dalszych działań postanowiliście zaczekać, póki nie dowiemy się czegoś więcej - rzekł Kavano. - Wróćmy teraz do ciebie, Grego Ribeira. Według Andrew Wiggina, są powody by wierzyć, że można podróżować szybciej niż światło.

Grego przyjrzał się zimno Mówcy Umarłych.

- A gdzie to uczyłeś się fizyki, Senhor Falante?

- Miałem nadzieję, że nauczę się od ciebie - odparł Wiggin. - Póki nie wysłuchasz moich argumentów, nie mam pojęcia, czy istnieje choćby nadzieja na taki przełom.

Quim uśmiechnął się widząc, jak łatwo Andrew zażegnał kłótnię, którą Grego chciał wywołać. Grego nie był głupi. Dostrzegł, że jest manipulowany. Ale Wiggin nie zostawił mu żadnej furtki dla okazania niezadowolenia. Była to jedna z najbardziej irytujących umiejętności Mówcy Umarłych.

- Gdyby istniał sposób, by podróżować pomiędzy światami z szybkością ansibli - odezwał się Kovano - potrzebowalibyśmy tylko jednego statku, by przerzucić wszystkich ludzi z Lusitani na inną planetę. Niewielka to nadzieja...

- Głupie marzenia - wtrącił Grego.

- Ale spróbujemy je zrealizować. Zbadamy je, prawda? - zapytał ironicznie Kovano. - Albo okaże się, że pracujemy w hucie.

- Nie obawiam się ciężkiej pracy - oświadczył Grego. - Nie zastraszy mnie pan i nie oddam panu na służbę swojego umysłu.

- Czuję się skarcony - westchnął Kovano. - Liczyłem na twoją współpracę, Grego. Skoro to niemożliwe, wystarczy mi posłuszeństwo.

Quara najwyraźniej poczuła się odsunięta. Wstała, jak przed chwilą Grego.

- Widzę, że siedzicie spokojnie i dyskutujecie o zagładzie inteligentnego gatunku, nie próbując nawet się z nim porozumieć. Mam nadzieję, że podoba wam się rola masowych morderców.

I, podobnie jak Grego, ruszyła w stronę drzwi.

- Quaro - rzucił Kovano. Zatrzymała się.

- Zbadasz sposoby nawiązania kontaktu z descoladą. Sprawdzisz, czy możemy się porozumieć z tymi wirusami.

- Umieć poznać, kiedy rzucają mi kość - warknęła Quara. - A jeśli powiem, że błagają nas o darowanie życia? I tak nie uwierzycie.

- Wręcz przeciwnie. Wiem, że jesteś uczciwa, chociaż beznadziejnie niedyskretna. Ale są też inne powody, byśmy starali się zrozumieć molekularny język descolady. Widzisz, Andrew Wiggin przedstawił pewną możliwość, która nigdy nie przyszła mi do głowy. Wszyscy wiemy, że świadomość pequeninos datuje się z czasów, kiedy descoladą po raz pierwszy rozprzestrzeniła się na planecie. A jeśli pomyliliśmy skutek i przyczynę?

Mama zwróciła się do Andrew z gorzkim uśmiechem.

- Myślisz, że pequeninos wywołały descoladę?

- Nie - odparł Andrew. - Ale jeżeli pequeninos są descoladą...? Quara wstrzymała oddech. Grego parsknął śmiechem.

- Masz mnóstwo świetnych pomysłów, Wiggin.

- Nie rozumiem - przyznał Quim.

- Zastanawiałem się nad tym - wyjaśnił Andrew. - Quara twierdzi, że descolada jest wystarczająco złożona, by posiadać inteligencję. A jeśli te wirusy wykorzystują ciała pequeninos dla wyrażenia swej natury? A jeśli inteligencja pequeninos pochodzi jedynie od wirusów descolady w ich ciałach?

Po raz pierwszy zabrała głos Quanda, ksenolog.

- Jest pan takim samym ignorantem w dziedzinie ksenologii, panie Wiggin, jak i fizyki - oświadczyła.

- O wiele większym - przyznał Wiggin. - Ale przyszło mi do głowy, że jak dotąd nie znaleźliśmy żadnego innego sposobu transferu inteligencji i wspomnień w chwili, kiedy pequenino przechodzi do trzeciego życia. Drzewa nie zachowują mózgow. Ale skoro wolę i pamięć od samego początku przenosi descolada, śmierć mózgu przy transmisji osobowości do ojcowskiego drzewa jest właściwie bez znaczenia.

- Nawet jeśli istnieje minimalna szansa, że to prawda - stwierdziła Quanda - w żaden uczciwy sposób nie możemy przeprowadzić eksperymentu, żeby się przekonać.

Andrew Wiggin ponuro kiwnął głową.

- Ja nie potrafię nic wymyślić. Miałem nadzieję, że tobie się uda. Kovano przerwał im.

- Quando, musisz to zbadać. Jeśli nie wierzysz, nie szkodzi. Znajdź sposób wykazania, że to nieprawda. To wystarczy. - Wstał, zwracając się do wszystkich obecnych. - Czy zrozumieliście, o co was proszę? Stajemy przed najstraszniejszym wyborem moralnym, jakiego kiedykolwiek musiała dokonać ludzkość. Ryzykujemy, że dokonamy ksenocydu albo bezczynnością dopuścimy do jego popełnienia. Każda znana nam świadoma czy potencjalnie świadoma rasa żyje w cieniu zagłady, a tylko my jesteśmy zdolni do podjęcia większości decyzji. Kiedy ostatnio zdarzyło się coś w przybliżeniu podobnego, nasi przodkowie wybrali ksenocyd. Uważali, że to jedyny ratunek. Proszę was wszystkich, byście zbadali każdą możliwość, która daje nam choćby promyk nadziei, małe błysk światła, by kierował naszymi decyzjami. Czy pomożecie?

Nawet Grego i Quara kiwnęli głowami, choć bez entuzjazmu. Przynajmniej na chwilę Kovano potrafił przemienić zebranych w tym pokoju samolubnych pieniaczy w grupę pracującą dla wspólnego celu. Jak długo wytrzymają, kiedy już się rozejdą? Quim uznał, że duch współpracy przetrwa do najbliższego kryzysu... Może to wystarczy.

Ale czekała ich jeszcze jedna konfrontacja. Zebranie się skończyło, niektórzy wychodzili, pozostali dyskutowali w parach. Mama podeszła do Quima i gniewnie spojrzała mu w oczy.

- Nie jedź.

Quim przymknął powieki. Wobec tak nierealnego żądania nie miał nic do powiedzenia.

- Jeśli mnie kochasz - dodała.

Quim przypomniał sobie opowieść z Nowego Testamentu, kiedy matka i bracia Jezusa przyszli do niego. Chcieli, by przerwał nauczanie apostołów i powitał ich.

- To moja matka i moi bracia - wyszeptał.

Musiała zrozumieć aluzję. Gdy otworzył oczy, już odeszła.

Niecałą godzinę później Quim odszedł także, odjechał jedną z bezcennych ciężarówek kolonii. Nie potrzebował sprzętu i w normalną podróż wyruszyłby pieszo. Lecz las będący jego celem leżał bardzo daleko; bez samochodu podróż trwałaby całe tygodnie. Nie uniósłby niezbędnej żywności.

Wciąż było to wrogie środowisko - nie rosło tu niejadalnego dla ludzi. A gdyby nawet rosło, Quim i tak potrzebował produktów zawierających inhibitor wirusa. Bez niego zmarłby na descoladę o wiele szybciej niż z głodu.

Miasteczko Milagre zmniejszało się wolno za plecami, gdy Quim - ojciec Estevao - zagłębiał się w jednostajną, otwartą prerię. Zastanawiał się, czy burmistrz wyraziłby zgodę na tę misję, gdyby znał wszystkie szczegóły. Na przykład, że przywódcą heretyków jest ojcowskie drzewo, które zasłużyło sobie na imię Podżegacza. I ten Podżegacz głosił, iż jedyną nadzieją dla pequeninos jest, aby Duch Święty - wirus descolady - zniszczył wszystkich ludzi na Lusitanii.

To bez znaczenia. Bóg wezwał Quima, by głosił słowo Chrystusa każdemu narodowi, rodowi, ludowi, w każdej mowie. Nawet na ludzi najbardziej wojowniczych, żądnych krwi i pełnych nienawiści może spłynąć łaska bożej miłości. Mogą stać się chrześcijanami. Historia zna wiele takich przypadków. Czemu nie miałyby się teraz powtórzyć?

Ojczy, niech dokona się wielkie dzieło na tym świecie. Jeszcze nigdy twoje dzieci bardziej nie potrzebowały cudu.

Novinha nie odzywała się do Endera, a on odczuwał lęk. To nie było rozdrażnienie - jeszcze nigdy nie widział rozdrażnionej Novinhy.

Miał wrażenie, że milczy nie dlatego, by go ukarać, ale by powstrzymać się od karania. Że milczy, ponieważ gdyby przemówiła, słowa byłyby zbyt okrutne, by kiedykolwiek jej wybaczył.

Dlatego nie próbował wyciągać z niej słów. Pozwolił jej sunąć po domu jak cień, przepływać obok siebie bez spojrzenia. Starał się nie wchodzić jej w drogę i poszedł do łóżka dopiero kiedy usnęła.

Oczywiście, chodziło o Quima. I jego misję wśród heretyków... Łatwo zrozumieć, czego się bała. A choć Ender nie podzielał tych obaw, wiedział, że wyprawa Quima rzeczywiście jest ryzykowna. Jednak Novinha zachowywała się irracjonalnie. Jak Ender miał zatrzymać Quima? Był jedynym dzieckiem Novinhy, na które nie miał praktycznie żadnego wpływu. Kilka lat temu między ojczymem a chłopcem nastąpiło pewne zbliżenie, ale był to raczej pokój między równymi sobie. Quim nigdy nie uznał go za zastępczego ojca, jak pozostali. Jeśli Novinha nie potrafiła przekonać Quima, żeby zrezygnował, co więcej mógł osiągnąć Ender?

Novinha pewnie wiedziała o tym - rozumowo. Ale, podobnie jak wszystkie ludzkie istoty, nie zawsze kierowała się wskazaniem rozsądku. Zbyt wielu straciła spośród tych, których kochała. Kiedy poczuła, że może stracić kolejnego, zareagowała instynktownie. Ender pojawił się w jej życiu jako uzdrowiciel, obrońca. Miał ją chronić przed lękiem, a teraz czuła lęk. I gniewała się, ponieważ ją zawiódł.

Jednak po dwóch dniach milczenia Ender miał już dosyć. To nie była właściwa pora, by między nim a Novinhą pojawiła się bariera. Wiedział - Novinha również - że przybycie Valentine okaże się dla obojga trudną próbą. Tak dobrze się rozumieli, tyle ich łączyło, tyle dróg znał do jej duszy, że trudno mu nie wrócić do tej osoby, jaką był podczas wspólnie spędzonych lat... Nie, tysiącleci. Przeżyli trzydzieści wieków historii, jak gdyby oglądali je tymi samymi oczami. Z Novinhą przebywał dopiero od trzydziestu lat. To więcej, subiektywnie, niż przeżył obok Valentine, ale tak łatwo będzie ześliznąć się do dawnej roli, być Mówcą przy Demostenesie.

Ender spodziewał się zazdrości Novinhy o Valentine. Był na to przygotowany. Ostrzegł Valentine, że z początku niewiele pewnie znajdą okazji, by znaleźć się sam na sam. Zrozumiała - Jakt też się trochę martwił. Obojgu małżonkom należało dodać odwagi. To właściwie głupie, że Novinha i Jakt zazdrościli więzi między bratem a siostrą. W stosunkach Endera z Valentine nie istniał nawet ślad

plciowości - każdy, kto ich znał, wyśmiałby samą myśl o tym - ale to nie seksualnej niewierności obawiali się Novinha i Jakt. Nie chodziło też o związek emocjonalny. Novinha nie miała powodów, by wątpić w miłość i oddanie Endera; Jakt nie mógłby prosić o więcej uczucia i zaufania, niż ofiarowała mu Valentine.

Sprawa sięgała głębiej. Rzecz w tym, że nawet teraz, po tylu latach, gdy tylko znaleźli się razem, znowu zaczęli funkcjonować jak jedna osoba... Pomagać sobie, nie tłumacząc, co chcą osiągnąć. Jakt widział to... I nawet Ender, który przedtem prawie go nie znał, dostrzegł, że mąż Valentine jest załamany. Jakby popatrzył na żonę i jej brata, i ujrzał prawdziwą bliskość. Wierzył, że on i Valentine są ze sobą tak złączeni, jak to tylko możliwe dla męża i żony. Może byli. A teraz musiał zmierzyć się z faktem, że ludzie potrafią być jeszcze bliżsi. Mogą stać się, w pewnym sensie, jednością.

Ender dostrzegał to u Jakta i podziwiał Valentine, że tak wspaniale potrafi go uspokajać. I odsuwa się od Endera, by jej mąż stopniowo, w niewielkich dawkach zaczął przyzwyczajać się do związku między nimi.

Nie mógł jednak przewidzieć reakcji Novinhy. Z początku poznał ją jako matkę dzieci; widział tylko jej dziką, bezrozumną lojalność wobec nich. Przypuszczał, że w chwili zagrożenia w stosunku do niego stanie się równie zaborcza i władcza. Na oddalenie zupełnie nie był przygotowany. Odsunęła się jeszcze przed tą karą milczenia za misję Quima. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowić, wszystko zaczęło się jeszcze przed przybyciem Valentine. Jakby Novinha cofała się przed nową rywalką, zanim rywalka przybyła.

To miało sens, naturalnie... Powinien przewidzieć coś takiego. Novinha straciła zbyt wielu bliskich, zbyt wielu ludzi, od których była zależna. Rodziców. Pipa. Liba. Nawet Mira. Może być opiekuńcza i zaborcza wobec dzieci, o których myśli, że jej potrzebują, Z ludźmi, których sama potrzebuje, jest odwrotnie. Kiedy boi się straty, odsuwa się. Nie pozwala sobie, by nadal ich potrzebować.

Nie „ich”. Jego. Endera. Nie chciała, by nadal był jej potrzebny. A jeśli to milczenie potrwa dłużej, wbije taki klin w ich związek, że małżeństwo nie da się naprawić.

Ender nie wiedział, co by wtedy zrobił. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego małżeństwo jest zagrożone. Nie zawierał go lekkomyślnie i wierzył, że umrze jako mąż Novinhy. Wszystkie wspólnie spędzone lata pełne były radości, jaką daje całkowita wiara w partnera. A teraz Novinha utraciła tę wiarę. Ale to niesprawiedliwe. Nadal miała męża, wiernego jak żaden inny mężczyzna, żadna inna osoba w jej życiu. Nie zasłużył, by utracić ją z powodu idiotycznego nieporozumienia. I nie pozwoli, by sprawy potoczyły się zgodnie z jej wyborem, choćby nieświadomym. Wtedy bowiem Novinha uwierzy, że nie wolno jej już nigdy uzależnić się od żadnego innego człowieka. A to byłoby tragedią... ponieważ to nieprawda.

Dlatego Ender planował już konfrontację, gdy całkiem przypadkowo Ela doprowadziła do wybuchu.

- Andrew.

Ela stanęła w drzwiach. Jeśli klasnęła, prosząc o pozwolenie wejścia, Ender tego nie słyszał. Ale przecież trudno wymagać, żeby czekała na zaproszenie do domu matki.

- Novinha jest w naszym pokoju - poinformował ją.

- Przyszłam porozmawiać z tobą - odparła.

- Przykro mi, ale nie dostaniesz zaliczki kieszonkowego. Ela roześmiała się, siadając obok niego. Lecz śmiech ucichł szybko. Coś ją martwiło.

- Quara - oznajmiła.

Ender westchnął, ale uśmiechnął się. Quara, od urodzenia przekorna, przez całe życie nie nauczyła

się zgodności. Mimo to, Ela zawsze radziła sobie z nią lepiej niż ktokolwiek inny.

- Nie to co zwykle - powiedziała Ela. - Właściwie nawet sprawia mniej kłopotów niż normalnie.

Żadnych kłótni.

- Niebezpieczny znak?

- Wiesz, że próbuje się porozumieć z descoladą.

- Język molekularny?

- No więc to, co ona robi, jest groźne. Nie doprowadzi do porozumienia, nawet jeśli się powiedzie. Zwłaszcza jeśli się powiedzie, ponieważ najprawdopodobniej wszyscy wtedy będziemy martwi.

- Co robi?

- Włamała się do moich plików... co nie jest trudne, bo nie przyszło mi do głowy, żeby ukrywać je przed innymi ksenobiologami. Konstruuje inhibitory, które próbowałam wprowadzić do roślin ... to łatwe, ponieważ dokładnie zapisałam, jak to zrobić. Tylko że ona nigdzie ich nie wprowadza. Przekazuje bezpośrednio descoladzie.

- Co to znaczy: przekazuje?

- To są jej komunikaty. To właśnie im przekazuje tymi ślicznymi, małymi nośnikami. Czy te nośniki są, czy nie są językiem, nie ustali przecież drogą takiego antyeksperymentu. Ale świadoma czy nie, descoladą potrafi się wściekle dobrze przystosowywać. A Quara pomaga im adaptować się do moich najlepszych systemów blokady.

- To zdrada.

- Zgadza się. Przekazuje wrogowi tajemnice wojskowe.

- Rozmawiałaś z nią o tym?

- Sta brincando. Claro que falei. Ela quase me matou. Chyba żartujesz. Oczywiście, że rozmawiałam. Mało mnie nie zabiła.

- Czy udało jej się wytrenować jakieś wirusy?

- Ona nawet tego nie sprawdza. To jakby podbiegła do okna i zaczęła wrzeszczeć: „Oni chcą was zabić!“ Jej nie obchodzi nauka, tylko polityka międzygatunkowa. Tyle że nie wiemy nawet, czy druga strona prowadzi jakąś politykę. Za to wiemy, że z pomocą Quary może pozabijać nas szybciej, niż to sobie wyobrażamy.

- Nossa Senhora - szepnął Ender. - To zbyt niebezpieczne. Nie wolno jej zabawiać się czymś takim.

- Może już jest za późno... Trudno powiedzieć, czy wyrządziła jakieś szkody, czy jeszcze nie.

- Musimy ją powstrzymać.

- Jak? Połamać jej ręce?

- Pomówiłbym z nią, ale jest już za duża... albo za młoda... żeby słuchać głosu rozsądku. Obawiam się, że potrzebny będzie burmistrz.

Dopiero kiedy Novinha się odezwała, Ender zauważył, że weszła do pokoju.

- Inaczej mówiąc: więzienie - stwierdziła. - Chcesz zamknąć moją córkę. Kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

- Nie myślałem o więzieniu - wyjaśnił Ender. - Chciałem tylko odebrać jej dostęp do...

- To nie należy do burmistrza. Należy do mnie. Ja jestem głównym ksenobiologiem. Dlaczego nie przyszedłeś do mnie, Elanoro? Dlaczego do niego?

Ela siedziała w milczeniu, wpatrując się nieruchomo w matkę. Czy tak reagowała na konflikty: biernym oporem?

- Quara zachowuje się nieodpowiedzialnie - wtrącił Ender. - Zdradzanie tajemnic ojcowskim

drzewom było dostatecznie fatalne. Zdrada tajemnic descoladzie to szaleństwo.

- Es psychologista, agora? Teraz jesteś psychologiem?

- Nie zamierzałem wsadzać jej do więzienia.

- Niczego nie zamierzałeś - oświadczyła Novinha. - Nie wobec moich dzieci.

- To prawda. Wobec dzieci nie mam żadnych zamiarów. Jednak odpowiadam za przeciwdziałanie czynom dorosłego obywatela Milagre, który beztrąsko sprowadza śmiertelne zagrożenie na wszystkie ludzkie istoty na tej planecie, a może i wszystkie ludzkie istoty w ogóle.

- A skąd się wzięła ta szlachetna odpowiedzialność, Andrew? Czy Bóg zstąpił na górę i na kamiennych tablicach wyrył twoje prawo do rządzenia ludźmi?

- Doskonale - westchnął Ender. - Co proponujesz?

- Proponuję, żebyś nie wtrącał się do spraw, które cię nie dotyczą. I szczerze mówiąc, Andrew, są to prawie wszystkie sprawy. Nie jesteś ksenobiologiem. Nie jesteś fizykiem. Nie jesteś ksenologiem. Właściwie niczym nie jesteś. Tylko zawodowo mieszasz się w życie innych ludzi.

Ela nabrała tchu.

- Mamo!

- Tylko jedno daje ci władzę, ten przeklęty klejnot w uchu. Ona szepcze ci sekrety, ona rozmawia z tobą nocą, kiedy leżysz w łóżku u boku własnej żony... A kiedy czegoś zechce, zjawiasz się na zebraniu, gdzie nie masz żadnego interesu, i powtarzasz, co ona ci każe. Mówisz, że Quara popełnia zdradę... ale według mnie to ty zdradzasz prawdziwych ludzi dla przerośniętego programu.

- Novinho - powiedział Ender. Miała to być próba złagodzenia sytuacji.

Lecz Novinhy nie interesował dialog.

- Nie próbuj mną manipulować, Andrew. Przez te wszystkie lata wierzyłam, że mnie kochasz...

- Kocham.

- Wierzyłam, że naprawdę jesteś jednym z nas, częścią naszego życia...

- Jestem.

- Wierzyłam, że to prawda...

- Prawda.

- Ale ty jesteś właśnie taki, jak od samego początku ostrzegał nas biskup Peregrino. Manipulator. Zarządca. Twój brat władał kiedyś całą ludzkością, prawda? Ale ty nie masz takich ambicji. Wystarczy ci mała planeta.

- Na rany Boga, mamo, straciłaś rozum? Czy nie znasz tego człowieka?

- Myślałam, że znam. - Novinha zaszlochała. - Ale ktoś, kto mnie kocha, nie pozwoliłby, żeby mój syn wyruszył do tych morderczych, małych świń...

- On nie mógł zatrzymać Quima. Nikt by tego nie dokonał.

- Nawet nie próbował. Pochwalał to.

- Tak - stwierdził Ender. - Uważam, że twój syn postępuje szlachetnie i mężnie, i to pochwalam. Wiedział, że niebezpieczeństwo, choć niewielkie, jest bardzo realne, a jednak postanowił wyruszyć... i to także pochwalam. Postąpił identycznie, jak ty postąpiłabyś na jego miejscu. Chcę wierzyć, że i ja bym tak postąpił. Quim jest mężczyzną, dobrym człowiekiem, może wielkim. Nie potrzebuje twojej ochrony i jej nie chce. Zdecydował, co jest celem jego życia i dąży do niego. Podziwiam go za to i ty również powinnaś. Jak możesz sugerować, że któreś z nas powinno stanąć mu na drodze?

Novinha umilkła wreszcie, przynajmniej na chwilę. Czyżby ważyła słowa Endera? Czy w końcu uświadomiła sobie, jak daremne i... tak, okrutne, było żegnanie Quima gniewem zamiast nadzieją? Podczas tej chwili milczenia Ender wierzył, że wszystko się rozwiąże. Cisza urwała się.

- Jeśli tylko spróbujesz wtrącać się w życie moich dzieci, wszystko między nami skończone -

oznajmiła Novinha. - A jeśli cokolwiek stanie się Quimowi... cokolwiek... będę cię nienawidzić aż do twojej śmierci i będę się modlić, by ten dzień nadszedł prędko. Nie wiesz wszystkiego, ty draniu, i pora już, żebyś przestał udawać, że wiesz.

Ruszyła do drzwi, ale wymyśliła bardziej teatralne wyjście. Spojrzała na Elę i przemówiła zdumiewająco spokojnie.

- Elanoro, natychmiast podejmę odpowiednie kroki, by uniemożliwić Quarze dostęp do sprzętu i rejestrów, jakie mogłaby wykorzystać do pomocy descoladzie. A na przyszłość, moja droga, jeśli usłyszę, że z kimkolwiek rozmawiasz o sprawach laboratorium... zwłaszcza z tym człowiekiem... do końca życia odbiorę ci prawo wstępu na stację.

I znowu odpowiedzią Eli było milczenie.

- Aha - rzekła Novinha. - Widzę, że odebrał mi więcej dzieci, niż się spodziewałam. Zniknęła. Ender i Ela siedzieli oszołomieni. Wreszcie Ela wstała.

- Naprawdę powinnam coś z tym zrobić - powiedziała. - Ale nie mam pojęcia co.

- Może powinnaś pójść za matką i przekonać, że wciąż jesteś po jej stronie.

- Ale nie jestem. Właściwie myślałam, czy nie iść do burmistrza Zeljezo i nie zaproponować, żeby odebrał mamie stanowisko głównego ksenobiologa. Przecież wyraźnie postradała zmysły.

- Wcale nie - odparł Ender. - A jeśli zrobisz coś takiego, to ją zabije.

- Mamę? Jest za twarda, żeby umrzeć.

- Nie. Jest teraz bardzo delikatna i każdy cios może ją złamać. Nie jej ciało. Jej... ufność. Nadzieję. Nie dawaj jej powodów do podejrzeń, że ją porzuciłaś.

- Czy to twoja świadoma decyzja? - Ela spojrzała na niego z irytacją. - Czy tak ci samo wychodzi?

- O czym mówisz?

- Mama właśnie powiedziała ci coś, co powinno cię rozwścieczyć, zranić... cokolwiek. A ty siedzisz tylko i myślisz, jak jej porzucić. Czy nigdy nie masz ochoty kontratakować? Nigdy nie tracisz panowania?

- Elu, gdybyś nieumyślnie zabiła gołymi rękami dwie osoby, to albo nauczyłabyś się panować nad sobą, albo utraciłabyś swoje człowieczeństwo.

- Zrobiłaś to?

- Tak. - Przez moment miał wrażenie, że jest zaszokowana.

- Myślisz, że wciąż jesteś do tego zdolny?

- Prawdopodobnie.

- To dobrze. Ta umiejętność może się przydać, kiedy rozpęta się piekło.

I roześmiała się. To był żart. Ender poczuł ulgę. On też zaśmiał się słabo, razem z nią.

- Pójdę do mamy - oświadczyła. - Ale nie dlatego, że mi kazałeś. Ani z powodów, o jakich mówiłeś.

- Doskonale. Po prostu idź.

- Nie chcesz wiedzieć, dlaczego chcę być przy niej?

- Już wiem.

- Oczywiście. Myliła się, prawda? Ty wiesz wszystko.

- Pójdiesz do swojej matki, ponieważ to najbardziej bolesny uczynek, jaki jest w tej chwili możliwy.

- W twojej wersji brzmi to obrzydliwie.

- Najbardziej bolesny dobry uczynek. Najbardziej nieprzyjemne zadanie. Najcięższe brzemie.

- Ela męczennica, certo? Tak powiesz, kiedy będziesz mówił o mojej śmierci?

- Gdybym chciał mówić o twojej śmierci, musiałbym to nagrać. Zamierzam umrzeć o wiele



wcześniej od ciebie.

- A więc nie opuścisz Lusitanii?

- Oczywiście, że nie.

- Nawet jeśli mama cię wyrzuci?

- Nie może. Nie ma żadnych podstaw do rozwodu. Biskup Peregrino zna nas dostatecznie dobrze, by wyśmiać podanie o unieważnienie małżeństwa, motywowane brakiem konsumpcji.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Wybrałem tę planetę na swój dorn - stwierdził Ender. - Dość już fałszywej nieśmiertelności przez dylatację czasu. Skończyłem z wyścigami po kosmosie. Już nigdy nie opuszczę powierzchni Lusitanii.

- Nawet gdybyś miał zginąć? Nawet jeśli przybędzie flota?

- Jeśli wszyscy będą mogli odlecieć, ja odleczę także. Ale to ja pogaszę światła i zamknę drzwi.

Podbiegła do niego, pocałowała w policzek i objęła, tylko na chwilę. Potem zniknęła za drzwiami i Ender znowu został sam.

Myliłem się co do Novinhy, pomyślał. To nie o Valentine była zazdrosna. To o Jane. Przez tyle lat patrzyła, jak rozmawiam bezgłośnie, jak mówię rzeczy, których ona nigdy nie usłyszy, słucham słów, których ona nie wypowie. Straciłem jej zaufanie i nawet nie zauważyłem, że je tracę.

Nawet teraz musiał subwokalizować. Musiał przemawiać do Jane z przyzwyczajenia zakorzenionego tak głęboko, że nie zdawał sobie z niego sprawy. Dopiero kiedy mu odpowiedziała.

- Ostrzegalam cię.

Chyba rzeczywiście, przyznał bezgłośnie.

- Nie wierzyłeś, że rozumiem ludzi. Uczysz się.

- Ona ma rację, wiesz? Jesteś moją marionetką. Przez cały czas tobą steruję. Od lat nie miałeś ani jednej własnej myśli.

- Zamknij się - szepnął. - Nie mam nastroju.

- Ender - powiedziała. - Jeśli uważasz, że pomoże ci to zachować Novinhę, wyjmij ten klejnot.

Nie będzie mi przykro.

- Mnie będzie.

- Kłamałam. Mnie też. Ale nie wahaj się, jeśli musisz to zrobić, by jej nie stracić.

- Dziękuję ci. - Westchnął. - Ale trudno będzie mi zatrzymać kogoś, kogo najwyraźniej już utraciłem.

- Wszystko będzie dobrze, kiedy wróci Quim.

To prawda, myślał Ender. Prawda.

Proszę cię, Boże, miej w opiece ojca Estevao.

Wiedzieli, że nadjeżdża ojciec Estevao. Pequeninos zawsze wiedzieli. Ojcowskie drzewa wszystko sobie przekazywały. Nie istniały żadne sekrety. Co nie znaczy, że tego chciały. Zdarzało się, że jakieś drzewo zapragnęło utrzymać coś w tajemnicy albo skłamać. Jednak praktycznie niczego nie robiły w samotności. Ojcowskie drzewa nie miały osobistych doświadczeń. Jeśli jedno z nich chciało zachować coś dla siebie, w pobliżu było inne, które myślało inaczej. Lasy zawsze działały wspólnie, jednak składały się z pojedynczych osobników, Dlatego wieści przekazywano z lasu do lasu, niezależnie od życzeń poszczególnych drzew.

Quim wiedział, że to go chroni, choć bowiem Podżegacz był krwiożerczym sukinsynem - co prawda ten epitet w odniesieniu do prosiaczków tracił swoje znaczenie - nie mógł skrzywdzić ojca Estevao, nie przekonawszy najpierw braci ze swego lasu, by spełnili jego żądania. A gdyby to zrobił,

któreś z innych drzew lasu dowiedziałyby się i przekazało innym. Dałoby świadectwo. Gdyby Podzegacz chciał złamać przysięgę złożoną przez wszystkie ojcowskie drzewa trzydzieści lat temu, kiedy Andrew Wiggin przeniósł Człowieka do trzeciego życia, nie mógłby uczynić tego potajemnie. Cały świat by się dowiedział, że Podzegacz jest krzywoprzysięcą. To wielka hańba. Która z żon pozwoliłaby braciom zanieść do niego matkę? Do końca swych dni nie spłodziłby żadnego potomka.

Quim był bezpieczny. Mogą go nie wysłuchać, ale go nie skrzywdzą.

Kiedy jednak dotarł do lasu Podzegacza, nie tracili czasu na słuchanie. Bracia pochwycili go, zrzucili na ziemię i pociągnęli do Podzegacza.

- To nie było konieczne - oświadczył Quim. - Sam do was przyszedłem.

Brat zaczął uderzać w pień kijami. Quim nasłuchiwał zmiennej melodii, gdy Podzegacz kształtował puste przestrzenie we własnym wnętrzu, formując dźwięki w słowa.

- Przyszedłeś, ponieważ rozkazałem.

- Ty rozkazałeś. Ja przyszedłem. Jeśli chcesz wierzyć, że spowodowałeś moje przyjście, niech tak będzie. Ale tylko boże rozkazy wypełniam bez oporu.

- Jesteś tu, by wysłuchać słowa bożego - obwieścił Podzegacz.

- Jestem tu, by głosić słowo boże - odparł Quim. - Descolada to wirus stworzony przez Boga, by uczynić pequeninos jego godnymi dziećmi. Ale Duch Święty nie ma żadnej inkarnacji. Duch Święty wiecznie pozostaje duchem i tylko duchem, by mógł mieszkać na zawsze w naszych sercach.

- Descolada mieszka w naszych sercach i daje nam życie. Co daje wam, kiedy zamieszka w waszych?

- Jeden Bóg. Jedna wiara. Jeden chrzest. Bóg nie głosi jednego ludziom, a drugiego pequeninos.

- Nie jesteśmy „najmniejsi”. Sam się przekonasz, kto jest potężny, a kto mały.

Przycisnęli go plecami do pnia Podzegacza. Czuł, jak przesuwa się za nim kora. Pchnęli go. Wiele małych rąk, wiele ryków dyszących mu w twarz. Przez tyle lat ani razu nie pomyślał, że te dłonie, te oblicza należą do nieprzyjaciół. I nawet teraz Quim uświadomił sobie z ulgą, że nie myśli o nich jak o swoich wrogach. Byli nieprzyjaciółmi Boga i litował się nad nimi. To niezwykle odkrycie: chociaż wciskali go do brzucha morderczego drzewa, nie dostrzegł w sobie ani śladu lęku czy nienawiści.

Nie boję się śmierci. Nie wiedziałem o tym.

Bracia nadal okładali kijami zewnętrzną powierzchnię pnia. Podzegacz kształtował rytm w słowa Języka Ojców, lecz teraz Quim znalazł się wewnątrz dźwięku, wewnątrz słów.

- Sądziś, że zamierzam złamać przysięgę - powiedział Podzegacz.

- Przyszło mi to na myśl - potwierdził Quim.

Był całkowicie uwięziony w drzewie, chociaż przed sobą miał szczelinę sięgającą od stóp do głowy. Widział, oddychał bez trudu, nie odczuwał nawet klaustrofobii. Jednak drzewo obejmowało go tak ciasno, że nie mógł poruszyć ręką ani nogą, nie mógł odwrócić się bokiem, by wysunąć przez szczelinę. Ciasne są bramy i wąska ścieżka, która prowadzi do zbawienia.

- Przeprowadzimy próbę - rzekł Podzegacz. Quim słuchał od środka i trudniej mu było zrozumieć. Trudniej myśleć. - Niech Bóg rozsądzi między mną a tobą. Damy ci wody, ile zechcesz... z naszego strumienia. Ale żywności nie dostaniesz żadnej.

- Śmierć z głodu...

- Z głodu? Mamy twoje zapasy. Nakarmimy cię znowu za dziesięć dni. Jeśli Duch Święty pozwoli ci przeżyć dziesięć dni, nakarmimy cię i puścimy wolno. Uwierzymy w twoją doktrynę. Wyznamy, że popełniliśmy błąd.

- Wirus zabije mnie wcześniej.

- Duch Święty osądzi cię i zdecyduje, czy jesteś godzien.

- Istotnie, dokonuje się tu próba - stwierdził Quim. - Ale nie ta, o której myślisz.

- Doprawdy?

- To próba Sądu Ostatecznego. Staniecie przed Chrystusem, a on powie do tych po prawicy: „Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie; byłem głodny, a daliście mi jeść; weźcie w posiadanie królestwo niebieskie”. A do tych, co są po lewicy, powie „Byłem głodny, a nie daliście mi jeść; byłem przybyszem, a nie przyjęliście mnie”. A oni wszyscy zapytają: „Panie, kiedy uczyniliśmy ci te wszystkie rzeczy?”, zaś on odpowie: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili”. Bracia tu zgromadzeni! Ja jestem waszym bratem najmniejszym. Przed Chrystusem odpowiecie za to, coście mi uczynili.

- Głupi człowieku - zawołał Podżegacz. - Nic z tobą nie czynimy, jedynie trzymamy cię w miejscu. Twój los jest w ręku Boga. Czy Chrystus nie powiedział: „Ja jestem drogą; idźcie za mną”? No więc my pozwalamy ci iść śladem Chrystusa. On czterdzieści dni spędził na pustkowiu bez jedzenia. Dzięki nam możesz zostać w jednej czwartej tak święty. Jeżeli Bóg chce, żebyśmy przyjęli twoją doktrynę, ześle anioły, by cię nakarmiły. Zmieni kamienie w chleb.

- Popelniasz błąd - stwierdził Quim.

- Ty popelniałeś błąd, przyjeżdżając tutaj.

- Popelniasz błąd doktrynalny. Pismo cytujesz właściwie: czterdzieści dni postu, kamienie w chleb, wszystko. Ale czy nie sądzisz, że zdradzasz się, przydzielając sobie rolę Szatana?

Wtedy właśnie Podżegacza ogarnęła furia. Mówił tak prędko, że ruchy pnia zaczęły uciskać i skręcać Quima. Przestraszył się, że zostanie rozerwany na strzępy wewnątrz drzewa.

-To ty jesteś Szatanem! Chcesz, żebyśmy wierzyli w twoje kłamstwa, a tymczasem ludzie znajdują sposób, żeby zabić descoladę i na zawsze odebrać braciom trzecie życie! Myślisz, że nie potrafisz was przejrzeć? Znamy wszystkie wasze plany! Nie macie przed nami tajemnic! I Bóg nie ma przed nami tajemnic! To nam zostało dane trzecie życie, nie wam! Gdyby Bóg was kochał, nie kazałby wam grzebać swoich zmarłych w ziemi, żeby potem wychodziły z nich tylko robaki!

Bracia siedzieli wokół otwartego pnia, zasłuchani w dyskusję.

Trwało to sześć dni: doktrynalne spory godne ojców Kościoła wszystkich wieków. Od soboru w Nicei nie wysuwano, nie rozważano tak doniosłych argumentów.

Przekazywano je od brata do brata, od drzewa do drzewa, od lasu do lasu. Sprawozdania z dialogu między Podżegaczem a ojcem Estevao w ciągu doby nieodmiennie docierały do Korzeniaka i Człowieka. Jednak informacja nie była kompletna. Dopiero czwartego dnia uświadomili sobie, że Quim jest więźniem, pozbawionym żywności z inhibitorem descolady.

Natychmiast wyruszyła ekspedycja: Ender i Quanda, Jakt, Lars i Varsam. Burmistrz Kovano posłał Endera i Quandę, gdyż prosiaczki znały ich i szanowały, a Jakta z synem i zięciem, ponieważ nie byli rodowitymi Lusitańczykami. Nie chciał wyznaczać nikogo z kolonistów -gdyby sprawa przedostała się do publicznej wiadomości, trudno byłoby przewidzieć skutki. Cała piątka wzięła najszybszy samochód i odjechała, kierując się wskazówkami Korzeniaka. Czekala ich trzydniowa podróż.

Szóstego dnia dialog urwał się. Descolada tak głęboko wniknęła w ciało Quima, że nie miał już siły mówić. Często dręczyła go gorączka i nawet kiedy się odzywał, bredził w malignie.

Siódmego dnia spojrział przez szczelinę, w górę, ponad głowami braci, którzy wciąż czekali dookoła, wciąż słuchali.

- Widzę Zbawiciela siedzącego po prawicy Ojca - szepnął. I uśmiechnął się.

Godzinę później już nie żył. Podżegacz wyczuł to i trjumfalnie oznajmił braciom.

- Duch Święty osądził! Ojciec Estevao został odrzucony! Niektórzy z braci radowali się. Ale nie tyłu, ilu spodziewał się Podżegacz.

O zmroku dotarła grupa Endera. Tym razem nie było obawy, że prosiaczki schwytają ich i poddadzą próbie - przybyli zbyt licznie, zresztą bracia też nie wszyscy zgadzali się z Podżegaczem, jak poprzednio. Wkrótce ekspedycja stanęła przed szczeliną. Zobaczyli wychudzone, spustoszone przez chorobę oblicze ojca Estevao, ledwie widoczne w cieniu.

- Otwórz i oddaj mi mego syna - powiedział Ender.

Szczelina w drzewie poszerzyła się. Ender sięgnął do wnętrza i wyciągnął ciało ojca Estevao. Było tak lekkie pod sutanną, aż Enderowi wydało się, że Quim musi podtrzymywać własny ciężar, musi chodzić. Ale on nie chodził. Ender ułożył go na ziemi pod drzewem.

Brat zaczął wybijać rytm na pniu.

- Musi istotnie wrócić do ciebie, Mówco Umarłych, ponieważ umarł. Duch Święty spalił go w drugim chrzcie.

- Naruszyłeś przysięgę - oświadczył Ender. - Złamałeś słowo ojcowskich drzew.

- Nikt nie wyrwał nawet włosa z jego głowy - odparł Podżegacz.

- Czy sądzisz, że oszukasz kogoś tymi kłamstwami? Wszyscy wiedzą, że odebranie konającemu lekarstwa jest aktem przemocy, takim samym jak cios w serce. Tam są jego lekarstwa. W każdej chwili mogliście mu je podać.

- To był Podżegacz - stwierdził jeden z obecnych braci. Ender zwrócił się do nich.

- Pomogliście Podżegaczowi. Nie liczcie, że tylko na niego spadnie wina. Oby żaden z was nie przeszedł do trzeciego życia. A co do ciebie, Podżegaczu, oby żadna matka nie pełzała po twoim pniu.

- Nie człowiek będzie o tym decydował - rzekł Podżegacz.

- Ty sam zdecydowałeś, kiedy uznałeś, że możesz popełnić mord, by zwyciężyć w dyskusji. A wy, bracia, zdecydowaliście, gdy postanowiliście mu pomóc.

- Nie jesteś naszym sędzią! - krzyknął jeden z braci.

- Owszem, jestem - odpowiedział mu Ender. - Jak każdy mieszkaniec Lusitanii, człowiek i ojcowskie drzewo, brat i żona.

Przenieśli ciało Quima do samochodu. Jakt, Quanda i Ender odjechali z nim, Lars i Varsam zabrali ciężarówkę Quima. Ender poświęcił jeszcze kilka minut, by przekazać Jane wiadomość dla Mira w Milagre. Novinha nie musiała czekać trzech dni, by dowiedzieć się, że jej syn zginął z rąk pequeninos. I z pewnością nie chciałaby tego usłyszeć z ust Endera. Nie potrafił odgadnąć, czy po powrocie do kolonii będzie miał jeszcze żonę. Jedno tylko było pewne: Novinha nie odzyska już swego syna, ojca Estevao.

- Będiesz o nim mówił? - zapytał Jakt, gdy samochód pomknął nad capim. Słyszał, jak Ender mówił o umarłych na Trondheimie.

- Nie - mruknął Ender. - Raczej nie.

- Dlatego, że był księdzem? - spytał Jakt.

- Mówiłem już o kapłanach. Nie. Nie będę mówił o Quimie, ponieważ nie ma powodu. Quim był tym, kim się wydawał. I umarł dokładnie tak, jakby tego pragnął: służąc Bogu i głosząc dobrą nowinę małym braciom. Niczego nie mógłbym dodać do jego historii. Sam ją dopełnił.



*A więc zaczyna się zabijanie.*

*Zabawne, że to twój lud je rozpoczął, nie ludzie.*

*Twój lud również rozpoczął, kiedy ty toczyłaś wojny z ludźmi.*

*My rozpoczęliśmy, ale oni skończyli.*

*Jak im się to udaje, tym ludziom... zawsze rozpoczynają tak niewinnie, a kończą mając najwięcej krwi na rękach.*

Wang-mu obserwowała słowa i liczby płynące po ekranie nad terminalem jej pani. Qing-jao spała; oddychała spokojnie na swej macie, tuż obok. Wang-mu także zasnęła, ale coś ją przebudziło. Krzyk... niedaleki; może krzyk bólu. Pochodził ze snu Wang-mu, ale kiedy się obudziła, usłyszała jeszcze ostatnie echo. Głos nie należał do Qing-jao. Raczej do mężczyzny, choć krzyk był wysoki. Jakby wycie. Przywodził myśli o śmierci.

Nie wstała jednak, by sprawdzić. To nie do niej należało; ona musiała trwać przy swej pani, zawsze, chyba że ta ją odeśle. Gdyby Qing-jao miała się dowiedzieć, co jest przyczyną tego krzyku, inny służący zjawiłby się i obudził Wang-mu, by obudziła Qing-jao. Kiedy bowiem kobieta znajdzie sekretną druhnę i póki nie wyjdzie za mąż, tylko dłonie sekretnej druhny mogą jej dotykać.

Dlatego Wang-mu leżała nieruchomo. Czekala, aż ktoś przyjdzie wyjaśnić Qing-jao, dlaczego mężczyzna krzyczał w takiej męce i tak blisko, że usłyszała go w tym pokoju, na tyłach domu Hań Fei-tzu. I kiedy czekała, jej wzrok przyciągnęły sunące po ekranie słowa. Komputer wykonywał zaprogramowaną przez Qing-jao analizę.

Słowa na ekranie znieruchomiały. Czy coś się stało? Wang-mu uniosła się i wsparła na łokciu. W tej pozycji mogła przeczytać ostatni komunikat. Analiza została zakończona. Ale tym razem komputer nie wyświetlił zwykłej, zwyczajnej wiadomości: NIE ZNALEZIONO. BRAK INFORMACJI. ŻADNYCH WNIOSKÓW. Tym razem podał raport.

Wang-mu wstała i podeszła do terminala. Zrobiła tak, jak uczyła ją Qing-jao: wcisnęła klawisz, który blokował wszystkie bieżące informacje, by komputer strzegł ich za wszelką cenę. Potem wróciła do Qing-jao i delikatnie dotknęła jej ramienia.

Qing-jao przebudziła się od razu.

- Są wyniki analizy - oznajmiła Wang-mu.

Qing-jao otrząsnęła się ze snu tak łatwo, jakby zrzucała luźny zakiet. W jednej chwili siedziała przed terminalem i wczytywała się w słowa.

- Znalazłam Demostenesa - powiedziała.

- Gdzie on jest? - zapytała bez tchu Wang-mu.

Wielki Demostenes... nie, straszny Demostenes. Moja pani chce, żebym uważała go za wroga, W każdym razie chodzi o tego Demostenesa, tego, którego słowa tak bardzo ją poruszyły, gdy ojciec czytał je na głos. „Gdy jedna istota zmusza inne, by uznawały jej władzę, ponieważ dysponuje mocą zniszczenia ich, wszystkiego co mają i wszystkiego co kochają, wtedy powinniśmy się obawiać”. Wang-mu podsłuchiwała to przypadkiem, kiedy była jeszcze całkiem mała - miała trzy lata. Zapamiętała słowa, gdyż wywołały tak wyraźny obraz w jej myślach. Kiedy ojciec je czytał, przypomniała sobie pewną scenę: matka coś powiedziała, a ojciec rozgniewał się. Nie uderzył jej, ale napiął mięśnie, a ramię podskoczyło lekko, jakby chciało uderzyć, a on z trudem je pohamował. A kiedy to zrobił, matka pochyliła głowę, szepnęła coś i napięcie opadło. Wang-mu wiedziała, że zobaczyła to, co

opisywał Demostenes: matka uznała władzę ojca, gdyż dysponował mocą, by ją zrącić. I Wang-mu przestraszyła się wtedy, a potem drugi raz, kiedy sobie to przypominała. Dlatego, kiedy usłyszała słowa Demostenesa, wiedziała, że są prawdziwe. Nie rozumiała, jak ojciec może je powtarzać, nawet zgadzać się z nimi, i nie pojmować, że sam jest ich przykładem. I dlatego Wang-mu zawsze z wielką ciekawością słuchała wielkiego... straszego... Demostenesa, ponieważ wiedziała, że - wielki czy straszny - mówi prawdę.

- Nie on - odparła Qing-jao. - Demostenes jest kobietą.

Ta wiadomość odebrała Wang-mu oddech. No tak! Kobieta. Nic dziwnego, że słyszałam w jej słowach takie współczucie; jest kobietą i wie, co to znaczy, gdy w każdej chwili życia rządzą nią inni. Jest kobietą i marzy o wolności, o godzinie, gdy żaden obowiązek nie będzie już na nią czekał. Nic dziwnego, że w jej słowach płonie ogień buntu, a jednak zawsze pozostają tylko słowami, nie zmieniają się w przemoc. Ale dlaczego Qing-jao nie umie tego zobaczyć? Dlaczego uznała, że obie musimy nienawidzić Demostenesa?

- Kobieta imieniem Valentine - oznajmiła Qing-jao, i dodała zdumiona: - Valentine Wiggin, urodzona na Ziemi ponad trzy... ponad trzy tysiące lat temu.

- Czy jest boginią, skoro żyje tak długo?

- Podróż. Przelatuje ze świata do świata, nigdzie nie zatrzymuje się dłużej niż kilka miesięcy. Dość, żeby napisać książkę. Wszystkie wielkie dzieła podpisane „Demostenes” stworzyła ta sama kobieta, a jednak nikt o tym nie wie. Dlaczego nie stała się sławna?

- Z pewnością woli zataić swoją tożsamość - odparła Wang-mu. Dobrze rozumiała, czemu kobieta woli się kryć za męskim imieniem. Gdybym mogła, też bym to zrobiła, żeby podróżować między światami, zobaczyć tysiące miejsc i przeżyć dziesięć tysięcy lat.

- Subiektywnie przekroczyła dopiero pięćdziesiątkę. Jest jeszcze młoda. Pozostawała na jednej planecie wiele lat, wyszła za mąż i miała dzieci. Ale teraz odleciała znowu. Do... - Qing-jao wstrzymała oddech.

- Dokąd? - spytała Wang-mu.

- Opuściła dom i zabrała ze sobą rodzinę. Najpierw ruszyli do Niebiańskiego Spokoju, przelecieli w pobliżu Catalonii, a potem weszli na kurs prowadzący wprost na Lusitanię!

Pierwszą myślą Wang-mu było: oczywiście! Dlatego Demostenes ma tyle sympatii i zrozumienia dla Lusitańczyków. Rozmawiała z nimi... ze zbuntowanymi ksenologami, z samymi pequeninos. Poznała ich i wie, że są ramenami!

Później pomyślała: kiedy Flota Lusitańska przybędzie i wypełni swą misję, Demostenes zostanie schwytana i zamilknie na zawsze.

I nagle uświadomiła sobie, że to przecież niemożliwe.

- Jak może być na Lusitaniu, skoro Lusitania zniszczyła swój ansibl? Przecież od tego zaczęli rewoltę. W jaki sposób docierają do nas jej pisma? Qing-jao pokręciła głową.

- Ona jeszcze nie doleciała do Lusitanii. A jeśli nawet, to dopiero parę miesięcy temu. Od trzydziestu lat jest w podróży. Wyruszyła przed rebelią.

- Zatem wszystkie swoje teksty tworzy podczas lotu? - Wang-mu próbowała sobie wyobrazić, jak można pokonać różnicę upływu czasu. - Żeby od startu Floty Lusitańskiej napisać tak wiele, musiała...

- Musiała poświęcać na pisanie każdą chwilę czuwania - dokończyła Qing-jao. - A jednak nie ma śladów, by jej kosmolot wysyłał jakieś sygnały... z wyjątkiem raportów nawigacyjnych. Jak mogła rozpowszechnić swoje teksty na tylu planetach, jeśli przez cały czas przebywała w kosmosie? To niemożliwe. Gdzieś musi istnieć zapis transmisji ansibla.

- Zawsze te ansible - mruknęła Wang-mu. - Flota Lusitańska przestaje nadawać wiadomości, a jej statek je nadaje, chociaż tego nie robi. Kto wie? Może Lusitania też w tajemnicy przesyła informacje.

Pomyślała o Życiu Człowieka.

- Nie mogą potajemnie nadawać. Filotyczne łącza ansibli są trwałe. Dowolna transmisja na dowolnej częstotliwości musi zostać wykryta, a komputery przechowują ją w rejestrach.

- No widzisz. Ansible nadal są połączone, a komputery nie przechowują żadnych rejestrów transmisji. A przecież wiemy, że były jakieś transmisje, skoro Demostenes to wszystko pisała. Błąd tkwi w rejestrach.

- Nie istnieje sposób ukrycia transmisji ansibla - stwierdziła Qing-jao. - Ktoś musiałby być na miejscu w momencie odbioru, odłączyć normalne programy zapisu i... w każdym razie to niemożliwe. Spiskowiec musiałby siedzieć przy każdym ansiblu przez cały czas, i pracować tak szybko, że...

- Albo mają program, który robi to automatycznie.

- Wiedzielibyśmy o takim programie. Zajmowałby pamięć, korzystał z czasu procesorów.

- Gdyby ktoś potrafił stworzyć program do przechwytywania nadawanych ansiblem wiadomości, czy nie potrafiłby go ukryć, żeby nie wykazywał blokowania pamięci i nie rejestrował wykorzystania procesora?

Qing-jao spojrzała gniewnie.

- Gdzie się nauczyłaś tak dużo o komputerach? I nadal nie wiesz, że takie rzeczy są niemożliwe?

Wang-mu pochyliła głowę i dotknęła czołem podłogi. Wiedziała, że kiedy poniży się w ten sposób, Qing-jao zawstydzi się swego gniewu i znowu będą mogły rozmawiać.

- Nie - rzekła Qing-jao. - Nie miałam prawa gniewać się na ciebie. Przepraszam. Wstań, Wang-mu. Pytaj nadal. To dobre pytania. Z pewnością to możliwe, jeśli potrafisz o tym pomyśleć. Bo jeśli ty potrafisz pomyśleć, ktoś inny może to zrealizować. Ale powiem ci, dlaczego uważam to za niemożliwe: jak ktoś mógłby zainstalować tak mistrzowsko napisany program? Musiałby się znaleźć we wszystkich komputerach ansibli, na wszystkich planetach. W tysiącach maszyn. A kiedy jedna z nich ulega awarii i następna przejmuje operacje, program musiałby niemal natychmiast przerzucać się do nowego komputera. A przecież nie może przebywać w pamięci stałej: zostałby wykryty. Musiałby przemieszczać się przez cały czas, robić uniki, schodzić z drogi innym programom, zajmować i zwalniać pamięć. Program zdolny do tego byłby... inteligentny, musiałby chcieć się ukrywać, ciągle szukać nowych sposobów... inaczej już byśmy go wykryli, a tak się nie stało. Nie ma takiego programu. Jak ktoś mógłby go stworzyć? Jak mógłby go wprowadzić? I jeszcze jedno, Wang-mu. Ta Valentine Wiggin, która pisze wszystkie teksty Demostenesa, ukrywa się od tysięcy lat. Gdyby istniał taki program, musiałby działać przez cały ten czas. Nie mogli go stworzyć wrogowie Kongresu, ponieważ nie istniał Gwiazdny Kongres, kiedy Valentine Wiggin zaczęła ukrywać swoją tożsamość. Widziałaś, jak stare są pliki, w których znalazłyśmy jej imię? Nie istniały żadne widoczne związki między nią a Demostenesem, nawet w tych najwcześniejszych raportach, jeszcze z... z Ziemi. Przed kosmolotami. Przed...

Qing-jao umilkła, ale Wang-mu już zrozumiała, dostrzegła do czego zmierza rozumowanie.

- Zatem jeżeli w komputerach ansibli działa tajny program - stwierdziła Wang-mu - musiał tam być przez cały czas. Od samego początku.

- Niemożliwe - szepnęła Qing-jao.

Ale ponieważ wszystko inne także było niemożliwe, Wang-mu wiedziała, że Qing-jao podoba się ta teoria. Gdyż wprawdzie była nieprawdopodobna, ale przynajmniej do pomyślenia, wyobrażalna... więc mogła też być prawdziwa. I to ja na nią wpadłam, myślała Wang-mu. Co prawda nie jestem bogosłyszającą, ale jestem inteligentna. Rozumiem. Wszyscy traktują mnie jak głupie dziecko, nawet



Qing-jao, chociaż wie przecież, jak szybko się uczę, i że przychodzą mi do głowy myśli, które nie przychodzą innym... Nawet ona mną pogardza. Ale nie jestem głupsza niż inni. Nie jestem głupsza od ciebie, pani, chociaż tego nie zauważasz, chociaż będziesz przekonana, że sama to wszystko wymyśliłaś. Owszem, przyznasz, że pomogłam, ale tylko tak: Wang-mu powiedziała coś, co podsunęło mi pewien pomysł, a potem uświadomiłam sobie coś ważnego. Nigdy tak: to Wang-mu zrozumiała coś i wytłumaczyła mi, aż w końcu i ja zrozumiałam. Zawsze tak, jakbym była głupim psem, który akurat szczeknął, zaskomlał, kłapnął zębami albo podskoczył, zupełnie przypadkiem, i tak się złożyło, że skierował twoje myśli w stronę prawdy. Nie jestem psem. Rozumiem. Zadawałam ci te pytania, bo już wtedy uświadamiałam sobie konsekwencje. I pojmuję nawet więcej, niż dotąd powiedziałaś... ale muszę ci to wyjaśnić pytając, udając, że nie rozumiem, gdyż to ty jesteś bogosłyszczą. A zwykła służąca nie może podsuwać rozwiązań komuś, kto słyszy głosy bogów.

- Pani, kierujący tym programem dysponują ogromną potęgą, a przecież nigdy o nich nie słyszeliśmy. Nigdy jej nie użyli, aż do teraz.

- Użyli - odparła Qing-jao. - Aby ukryć prawdziwą tożsamość Demostenesa. Ta Valentine Wiggin jest bardzo bogata, ale jej majątek też jest ukryty i nikt nie ma pojęcia, że wszystkie te bogactwa są elementami jednej fortuny.

- Tak potężny program działał we wszystkich komputerach ansibli, zanim jeszcze zaczęły się loty do gwiazd. A jedyne, co zrobił, to ukrywał fortunę tej kobiety?

- Masz rację - przyznała Qing-jao. - To zupełnie bez sensu. Dlaczego, dysponując taką mocą, ktoś nie wykorzystał jej, by objąć władzę? A może wykorzystał? To nastąpiło przed utworzeniem Gwiezdnego Kongresu, więc może oni... Ale w takim razie, dlaczego teraz sprzeciwiają się Kongresowi?

- A może... - zawahała się Wang-mu. - Może im nie zależy na władzy?

- Komu nie zależy?

- Tym, którzy sterują programem.

- To po co stwarzaliby taki program? Wang-mu, zupełnie nie myślisz.

Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie myślę.

- To znaczy myślisz, ale jednego nie bierzesz pod uwagę. Nikt nie stworzyłby tak potężnego programu, jeśli nie pragnąłby takiej władzy. No wiesz... pomyśl tylko, co on potrafi... przechwytywać wszystkie przekazy floty tak, jakby nie zostały nadane. Transmitować pisma Demostenesa na wszystkie planety, a jednocześnie ukryć, że w ogóle były przesłane. Oni mogą zrobić wszystko, mogą zmienić każdą transmisję, mogą wzbudzić chaos, wmówić ludziom... wmówić, że trwa wojna, wydać im rozkaz, żeby zrobili cokolwiek... i jak ktoś miałby wykryć, że to nieprawda? Gdyby naprawdę mieli taką władzę, użyliby jej. Na pewno!

- Chyba że ten program nie chce, żeby go tak wykorzystywać. Qing-jao wybuchnęła śmiechem.

- Wang-mu, przecież to była twoja pierwsza lekcja o komputerach. Prości ludzie mogą wierzyć, że komputery same o czymś decydują, ale ty i ja wiemy, że to tylko słudzy, że robią to, co im polecimy, że nigdy nie pragną działać samodzielnie.

Niewiele brakowało, by Wang-mu straciła panowanie, niemal wpadła w furję. Niczego nie pragnę... Czy myślisz, że w tym są podobne do służących? Myślisz, że robimy to, co nam ktoś poleci i nigdy nie chcemy działać samodzielnie? Skoro bogowie nie zmuszają nas, żebyśmy jeździli nosem po podłodze i szorowali ręce do krwi, to już nie mamy innych pragnień?

Jeżeli służący i komputery są podobni do siebie, to dlatego, że komputery mają swoje pragnienia, nie dlatego, że służący ich nie mają. Ponieważ my chcemy. Tęsknimy. Pożądamy. Nie próbujemy tylko zrealizować tych pragnień. Gdybyśmy spróbowali, wtedy wy, bogosłyszcy, odesłalibyście nas

i znaleźli sobie innych, bardziej posłusznych.

- Dlaczego się gniewasz? - zapytała Qing-jao.

Przerażona, że twarz zdradziła jej uczucia, Wang-mu skłoniła głowę.

- Wybacz mi.

- Naturalnie, że ci wybaczam. Ale chcę też zrozumieć. Rozgniewałaś się, ponieważ śmiałam się z ciebie? Przepraszam. Nie powinnam.

Uczysz się ze mną dopiero kilka miesięcy; oczywiście, że czasem coś zapominasz i wracasz do dawnych przesądów. Nie należy tego wyśmiewać. Proszę, wybacz mi to.

- O pani, nie do mnie należy wybaczenie. To ty musisz mi wybaczyć.

- Nie. Źle postąpiłam. Bogowie ukazali mi niegodziwość tego śmiechu.

W takim razie bogowie są głupi, skoro myślą, że twój śmiech mnie rozgniewał. Albo to, albo cię okłamują. Nienawidzę twoich bogów, nienawidzę tego, że cię poniżają, a nigdy nie zdradzili ci niczego, co warto wiedzieć. I niech porażą mnie śmiertelnie za takie myśli.

Ale Wang-mu wiedziała, że nic takiego nie nastąpi. Bogowie nie tkną jej nawet palcem. Kazały tylko Qing-jao - która mimo wszystko była jej przyjaciółką - pochylić się nad podłogą i śledzić linie na deskach. Aż Wang-mu zapragnie umrzeć ze wstydu.

- Pani, nie uczyniłaś nic złego i ani przez chwilę nie czułam się urażona.

To na nic. Qing-jao już klęczała na podłodze. Wang-mu odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. Milczała; nawet szlochając nie wydawała dźwięku, gdyż wtedy Qing-jao musiałaby zaczynać od początku. Albo pomyślałaby, że zraniła Wang-mu tak mocno, że musi prześledzić dwa słoje, albo trzy, albo - oby bogowie nie zażądali tego! - całą podłogę, jak pierwszego dnia. Kiedyś, pomyślała Wang-mu, bogowie nakazą Qing-jao prześledzić wszystkie słoje we wszystkich deskach, a ona umrze z pragnienia albo oszaleje, próbując tego dokonać.

By powstrzymać szloch, Wang-mu zmusiła się do spojrzenia na terminal, do przestudiowania raportu, który czytała Qing-jao. Valentine Wiggin urodziła się na Ziemi w okresie Wojen z Robalami. Pseudonimu „Demostenes” zaczęła używać jako dziecko, kiedy jej brat Peter opublikował pierwsze teksty jako „Locke”. Peter został później Hegemonem.. Valentine nie była jakimś tam Wigginem - była jedną z tych legendarnych Wigginów, siostrą Petera Hegemona i Endera Ksenobójcy. Ale ona występowała tylko w odnośnikach podręczników historii. Do tej chwili Wang-mu nie pamiętała nawet jej imienia; tylko tyle, że wielki Peter i ten potwór Ender mieli siostrę. Ale siostra okazała się równie niezwykła jak bracia; osiągnęła nieśmiertelność; swymi słowami wciąż odmieniała ludzkość.

Wang-mu nadal nie mogła w to uwierzyć. Demostenes był ważną postacią w jej życiu. Ale przekonać się, że to siostra Hegemona! Tego, o którym opowiadały święte księgi mówców umarłych. Królowa Kopca i Hegemon. Święte nie tylko dla nich. Praktycznie każda religia uwzględniała te pisma, ponieważ niezwykłą moc miała ta opowieść: o zniszczeniu pierwszej obcej rasy, jaką spotkała ludzkość, i o tym, jak straszliwe zło i dobro walczyły w duszy pierwszego człowieka, który zjednoczył ludzkość pod jednym rządem. Tak złożona opowieść, a jednak napisana tak prosto i jasno, że wielu ludzi czytało ją i wzruszało się jeszcze w dzieciństwie. Wang-mu pierwszy raz przeczytała ją głośno, kiedy miała pięć lat.

Śniła, i to dwa razy, o spotkaniu z samym Hegemonem, Peterem. Chciał, żeby zwracała się do niego imieniem, jakiego używał w sieci: Locke. Czuła fascynację i odrazę; nie mogła oderwać od niego wzroku. Wtedy wyciągnął rękę i powiedział: Si Wang-mu, Królewska Matko Zachodu, tylko ty jesteś godna, by zostać małżonką władcy całej ludzkości. I poślubił ją, i siedziała obok niego na tronie.

Teraz oczywiście wiedziała, że prawie każda biedna dziewczyna śni o małżeństwie z bogaczem

albo odkryciu, że naprawdę pochodzi z bogatej rodziny, albo innych podobnych bzdurach. Ale sny także zsyłają bogowie i we śnie, który powtórzył się więcej niż raz, zawarta jest prawda. Wszyscy to wiedzieli. Dlatego czuła się silnie związana z Peterem Wigginem. I teraz przekonać się, że Demostenes, dla którego również żywiła wielki podziw, to jego siostra... to prawie nie do wiary. Nie obchodzi mnie, co powie moja pani, Demostenesie! wykrzyczała bezgłośnie Wang-mu. Kocham cię i tak, bo przez całe moje życie mówiłaś mi tylko prawdę. I kocham cię jako siostrę Hegemona, który jest małżonkiem moich snów.

Wang-mu wyczuła, że zmieniła się atmosfera w pokoju. Wiedziała, że ktoś otworzył drzwi. Obejrzała się; w progu stała Mu-pao, stara i budząca przerażenie ochmistrzyni, postrach całej służby - nie wyłączając samej Wang-mu, mimo że Mu-pao stosunkowo niewielką miała władzę nad sekretną drużyną.

Wang-mu natychmiast podeszła do drzwi, jak najciszej, by nie przerywać rytuału oczyszczenia Qing-jao.

Kiedy wyszła, Mu-pao zamknęła drzwi, by Qing-jao nie słyszała.

- Pan wzywa swoją córkę. Jest bardzo poruszony. Krzyczał przed chwilą i przeraził wszystkich.

- Słyszałam krzyk - odparła Wang-mu. - Czy jest chory?

- Nie wiem. Jest poruszony. Posłał mnie po twoją panią. Twierdzi, że natychmiast musi z nią rozmawiać. Skoro jednak ona obcuje z bogami, on zrozumie. Jak tylko skończy, przekaż jej, by przybyła.

- Powiem zaraz. Mówiła, że zawsze odpowie na wezwanie ojca. Mu-pao osłupiała.

- Przecież zakazane jest przerywanie, gdy bogowie...

- Qing-jao później odprawi większą pokutę. Musi się dowiedzieć, że ojciec ją wzywa.

Wang-mu z satysfakcją wskazała Mu-pao jej miejsce. Możesz rządzić domową służbą, Mu-pao, ale to ja mam prawo przerywania rozmowy między moją bogosłyszającą panią i samymi bogami.

Jak oczekiwała, pierwszą reakcją Qing-jao na zakłócenie rytuału była gorycz, wściekłość i płacz. Lecz Wang-mu skłoniła się pokornie do podłogi i Qing-jao natychmiast się uspokoiła. Dlatego ją kocham i dlatego potrafię znieść tę służbę, pomyślała Wang-mu. Ponieważ nie cieszy się z władzy, jaką ma nade mną, i okazuje więcej litości niż ktokolwiek z bogosłyszających, o których słyszałam.

Qing-jao wysłuchiwała Wang-mu i objęła ją.

- Przyjaciółko moja Wang-mu, postąpiłaś bardzo mądrze. Jeśli mój ojciec krzyczał w rozpacz, a potem mnie wezwał, bogowie wiedzą, że muszę odłożyć oczyszczenie i pójść do niego.

Wang-mu ruszyła za nią korytarzem, zeszła po schodach, a po chwili razem uklękły na macie przed krzesłem Hań Fei-tzu.

Qing-jao czekała, aż ojciec się odezwie, ale on milczał. Jednak dłonie mu drżały. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Ojczy - zapytała. - Dlaczego mnie wezwałeś? Potrząsnął głową.

- To coś tak strasznego... i cudownego... Sam nie wiem, czy powinienem krzyżeć z radości, czy zabić siebie.

Ojciec mówił gardłowo, nie panował nad własnym głosem. Od śmierci matki... nie, od dnia, gdy trzymał ją na rękach po próbie, która wykazała, że jest bogosłyszającą... nie słyszała, by był tak rozemocjonowany.

- Powiedz mi, ojczy, a wtedy ja także ci powiem: znalazłam Demostenesa, a może również klucz do zniknięcia Floty Lusitańskiej. Szeroko otworzył oczy.

- Tego dnia, właśnie dzisiaj, rozwiązałaś zagadkę?

- Jeżeli odgaduję prawidłowo, to wróg Kongresu może zostać zniszczony. Ale to bardzo trudne.

Powiedz mi, co odkryłeś.

- Nie, ty pierwsza. To dziwne: oba wydarzenia jednego dnia. Mów.

- To Wang-mu nasunęła mi tę myśl. Wypytywała mnie o... no, jak funkcjonują komputery... i nagle uświadomiłam sobie, że w każdym komputerze ansibla może działać ukryty program, tak mądry i potężny, że potrafi przemieszczać się z miejsca na miejsce, by pozostać w ukryciu. Taki program mógłby przechwytywać wszystkie komunikaty. Flota jest zapewne na miejscu, może nawet wysyła wiadomości, ale my ich nie odbieramy. Z powodu tych programów nie wiemy nawet, że istnieją.

- We wszystkich komputerach? I przez cały czas działa bezbłędnie? - Ojciec pozostał sceptyczny. To oczywiste, ponieważ w swej gorliwości Qing-jao zaczęła opowiadać od końca.

- Tak. Ale wytłumaczę ci, jak coś tak niemożliwego może być jednak możliwe. Widzisz, znalazłam Demostenesa.

Ojciec słuchał uważnie, gdy Qing-jao mówiła o Valentine Wiggin, o tym, jak przez tyle lat tworzyła potajemnie jako Demostenes.

- Ona najwyraźniej potrafi potajemnie nadawać wiadomości. Inaczej ze statku w locie nie byłaby w stanie rozpowszechniać swoich tekstów na wszystkich planetach. Tylko wojsko może się kontaktować ze statkiem lecącym z prędkością podświetlną. Ona musiała albo przeniknąć do komputerów armii, albo odtworzyć ich możliwości. A jeśli dokonała tego, jeśli istnieje program, który jej na to pozwolił, ten sam program byłby zdolny do przejmowania wszystkich komunikatów floty.

- Jeśli A to B. Tak... Ale jak ta kobieta mogła umieścić taki program we wszystkich komputerach ansibli?

- Ponieważ wprowadziła go do pierwszych. Jest tak stara. Właściwie, skoro hegemon Locke był jej bratem, to może... nie, na pewno on to zrobił! Kiedy odlatywały pierwsze flotylle kolonizacyjne, niosąc na pokładach podwójne triady, które miały być sercem pierwszych ansibli kolonii, mogli wysyłać z nimi kopie programu.

Ojciec zrozumiał natychmiast. To jasne.

- Jako hegemon, miał możliwości i motywy. Tajny program, którym mógł kierować. W razie rebelii czy przewrotu, nadal trzymałby w rękach nici łączące ze sobą światy.

- A kiedy umarł, Demostenes... jego siostra była jedyną osobą, która знаła sekret! Czy to nie wspaniałe? Odkryliśmy to! Teraz trzeba tylko wymazać ten program z pamięci.

- A on zaraz odtworzy się przez ansible z kopii na innych światach - odparł ojciec. - To musiało się zdarzyć już tysiące razy w ciągu stuleci: jeden komputer ulegał awarii, a program odtwarzał się w nowym.

- W takim razie musimy odciąć wszystkie ansible równocześnie - stwierdziła stanowczo Qing-jao. - Na każdej planecie przygotować nowy komputer, nie zakażony kontaktem z tym tajnym programem. Potem wyłączyć wszystkie ansible naraz, odciąć stare komputery, uruchomić nowe i włączyć ansible. Tajny program nie odtworzy się, bo w komputerach nie będzie ani jednej kopii. A wtedy nic już nie stanie na drodze władzy Kongresu.

- Nie można tego zrobić - wtrąciła Wang-mu.

Qing-jao zaszokowało zachowanie sekretnej druhny. Jak ta dziewczyna może być aż tak bezczelna, by przerywać rozmowę dwojga bogosłyszających? W dodatku aby im zaprzeczać?

Jednak ojciec okazał wielkoduszność - zawsze ją okazywał, nawet ludziom, którzy przekroczyli wszelkie granice szacunku i przyzwoitości. Muszę stać się taka sama, pomyślała Qing-jao. Muszę pozwalać, by moi służący zachowali swoją godność, choćby ich zachowanie nie pozwalało na żadną pobłażliwość.

- Wytłumacz, Si Wang-mu - poprosił ojciec. - Dlaczego nie można tego zrobić?

- Żeby wyłączyć wszystkie ansible w tym samym czasie, trzeba przesłać wiadomość ansiblem - wyjaśniła Wang-mu. - Dlaczego program miałby pozwolić na transmisję, która doprowadzi do jego zniszczenia?

Qing-jao poszła za przykładem ojca i przemówiła łagodnie.

- To tylko program. Nie zna zawartości przekazów. Ten, kto nim steruje, nakazał odcięcie wszystkich połączeń z flotą i zatarcie śladów transmisji Demostenesa. Z pewnością nie czyta wiadomości i nie na podstawie treści decyduje, czyje przesłać.

- Skąd wiesz?

- Bo taki program musiałby być... inteligentny.

- Ale i tak jest inteligentny - stwierdziła Wang-mu. - Potrafi ukrywać się przed każdym innym programem, który mógłby go znaleźć. Potrafi się chować, przemieszczając w pamięci. Skąd by wiedział, jakich programów powinien unikać, gdyby nie umiał ich odczytać i zinterpretować? Może jest nawet tak inteligentny, że zmienia inne programy, żeby nie sprawdzały miejsc, gdzie się ukrywa.

Qing-jao natychmiast wymyśliła kilka powodów, by program posiadał inteligencję dostateczną do czytania innych programów, ale niewystarczającą do zrozumienia ludzkich języków. Ale ponieważ był tu ojciec, to on powinien odpowiedzieć Wang-mu. Qing-jao czekała.

- Jeśli istnieje taki program - stwierdził ojciec - może być naprawdę bardzo inteligentny.

Qing-jao była wstrząśnięta. Ojciec traktował Wang-mu poważnie. Jakby pomysły dziewczyny nie stawiały jej na poziomie naiwnego dziecka.

- Nawet tak inteligentny, że nie tylko przechwytuje wiadomości, ale sam je wysyła. - Ojciec pokręcił głową. - Nie, ten przekaz pochodził od przyjaciela. Prawdziwego przyjaciela. Mówiła o rzeczach, o których nie wiedział nikt inny. To nie był fałszywy przekaz.

- Jaką wiadomość otrzymałeś, ojczu?

- Od Keikoi Amaauka. W młodości znałem ją osobiście. Była córką uczonego z Otaheiti, który przybył tu, by studiować zmiany genetyczne ziemskich gatunków w pierwszych dwóch stuleciach na Drodze. Odlecieli... odesłano ich niespodziewanie... - Urwał, jakby wahał się, czy o czymś powiedzieć. Wreszcie podjął decyzję. - Gdyby została, byłaby może twoją matką.

Qing-jao była poruszona i trochę przestraszona, słysząc takie rzeczy. Ojciec nigdy nie wspominał o przeszłości. A teraz zdradził, że prócz swojej żony, która wydała na świat Qing-jao, kochał kiedyś inną kobietę. Oznajmił to tak nieoczekiwanie, że Qing-jao nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- Wysłali ją gdzieś bardzo daleko. To już trzydzieści pięć lat. Większa część mojego życia minęła po jej odlocie. Ale ona dopiero niedawno dotarła do celu. Rok temu. Dla niej rozstaliśmy się w zeszłym roku. Dla niej wciąż jestem...

- Jej ukochanym - dokończyła Wang-mu. Impertynencja! pomyślała Qing-jao. Jednak Hań Fei-tzu pokiwał tylko głową.

- Jej ojciec natrafił na odchylenia genetyczne u najważniejszego z ziemskich gatunków Drogi.

- Ryz? - spytała Wang-mu.

- Nie - zaśmiała się Qing-jao. - To my jesteśmy najważniejszym z ziemskich gatunków tego świata.

Wang-mu spieszyła się. Qing-jao poklepała ją po ramieniu. Tak być powinno. Ojciec na zbyt wiele tej dziewczynie pozwalał i uwierzyła, że rozumie sprawy przekraczające poziom jej edukacji. Od czasu do czasu Wang-mu potrzebowała tych delikatnych napomnień, aby nie żywiła zbyt wielkich nadziei. Nie wolno jej marzyć, że stanie się intelektualnie równa bogosłyszającym, gdyż wtedy jej życie wypełni rozczarowanie, nie satysfakcja.

- Odkrył trwałą, dziedziczną skazę genetyczną, występującą u niektórych mieszkańców Drogi.

Kiedy to ogłosił, niemal natychmiast został przeniesiony. Powiedziano mu, że istoty ludzkie nie wchodzą w zakres jego badań.

- Nie powiedziała ci o tym przez odlotem? - zdziwiła się Qing-jao.

- Keikoa? Nie wiedziała. Była jeszcze bardzo młoda. W wieku, w jakim rodzice na ogół nie obciążają jeszcze dzieci sprawami dorosłych. W twoim wieku.

Implikacje tego zdania wzbudziły u Qing-jao dreszcz lęku. Jej ojciec kochał kobietę, która była w tym samym wieku co ona. Zatem Qing-jao dojrzała, w opinii ojca, do małżeństwa. Nie możesz mnie wypędzić do domu innego mężczyzny, wykrzyknęła w myślach. A mimo to, jakąś częścią samej siebie pragnęła poznać tajemnice związku mężczyzny z kobietą. Potrafiła jednak wznieść się ponad te uczucia. Jej obowiązkiem jest pozostać przy ojcu.

- Powiedział jej podczas lotu, ponieważ bardzo to nim wstrząsnęło. Nic dziwnego, skoro ta sprawa zniszczyła mu życie. Jednak kiedy rok temu dotarli na Ugarit, bez reszty poświęcił się badaniom. Ona zaczęła studia i starała się nie myśleć o tej sprawie. Dopiero parę dni temu jej ojciec trafił na stary raport zespołu medycznego z najwcześniejszego okresu Drogi. Tych ludzi także nagle usunięto. Zaczął kojarzyć fakty i podzielił się wnioskami z Keikoa. Wbrew jego radom, wysłała mi wiadomość, którą otrzymałem dzisiaj.

Ojciec zaznaczył fragment tekstu na ekranie. Qing-jao przeczytała.

- Ta wcześniejsza grupa badała zespół psychozy natręctw? - spytała.

- Nie, Qing-jao. Badali zachowania podobne do ZPN, które jednak nie mogły być tą chorobą, gdyż nie znaleźli charakterystycznej skazy genetycznej, a schorzenie nie reagowało na typowe leki.

Qing-jao spróbowała sobie przypomnieć wszystko, co wiedziała na temat zespołu psychozy natręctw. Choroba sprawiała, że ludzie mimowolnie zachowywali się podobnie do bogosłyszających. Pamiętała, że między odkryciem konieczności ciągłego szorowania rąk a próbą, jakiej została poddana, podawano jej leki, by sprawdzić, czy nie minie przymus mycia.

- Oni badali bogosłyszających - odgadła. - Próbowali odkryć biologiczną przyczynę dla naszych rytuałów oczyszczenia.

Sama myśl była tak ohydna, że Qing-jao z trudem potrafiła wymówić słowa.

- Tak - przyznał ojciec. - I zostali odesłani.

- Uważam, że mieli szczęście uchodząc z życiem. Gdyby ludzie usłyszeli o tym świętokradztwie...

- To był wczesny okres naszej historii, Qing-jao. Nie wiadomo jeszcze powszechnie, że bogosłyszający obcują z bogami. A co z ojcem Keikoi? On nie badał ZPN. Szukał zmian genetycznych. I znalazł je. Bardzo szczególną, dziedziczną cechę. Musiała występować w genach jednego z rodziców i nie zostać wytlumiona przez dominujący gen drugiego. Kiedy pochodziła od obojga, była bardzo silna. Teraz ten badacz uważa, że został wygnany, ponieważ każdy z ludzi, u których ta cecha pochodziła od obojga rodziców, stawał się bogosłyszającym. A każdy z badanych bogosłyszających miał przynajmniej jeden egzemplarz tego genu.

Qing-jao natychmiast pojęła jedyne możliwe znaczenie tego faktu. Odrzuciła je jednak.

- To kłamstwo - oświadczyła. - Chce, żebyśmy zwątpili w bogów.

- Qing-jao, wiem, co czujesz. Krzyknąłem z głębi duszy, kiedy zdałem sobie sprawę, o czym mówi Keikoa. Myślałem, że to krzyk rozpacz. Ale potem uświadomiłem sobie, że to również krzyk wolności.

- Nie rozumiem cię.

- Owszem, rozumiesz. Inaczej nie lękałabyś się. Qing-jao, tych ludzi wypędzono, ponieważ ktoś nie chciał, by odkryli to, co mieli odkryć. Zatem ten, kto ich wypędził, wiedział już, co znajdują. Jedyne Kongres, ktoś związany z Kongresem, ma dość władzy, by skazać na wygnanie naukowców i

ich rodziny. Co takiego musiało pozostać w ukryciu? To nie bogowie przemawiają do bogosłyszających. Przekształcono nas genetycznie. Zostaliśmy stworzeni jako inny rodzaj ludzi, a jednak ukryto przed nami tę prawdę. Qing-jao, Kongres wie, że bogowie do nas przemawiają... chociaż udaje, że nie wie. Ktoś tam jest tego wszystkiego świadomy, ale pozwala nam na te straszne, poniżające rytuały. A jedynym motywem, jaki mogę sobie wyobrazić, jest utrzymanie nas pod kontrolą, osłabienie nas. Uważam, i Keikoa również, że to nie przypadkiem bogosłyszający są jednocześnie najinteligentniejszymi z mieszkańców Drogi. Stworzono nas jako nowy podgatunek człowieka, z wyższym poziomem inteligencji. Ale żeby tak inteligentni ludzie nie zagrozili swoim władcom, zarazili nas nową formą ZPN. I albo sami zasugerowali, że to bogowie do nas przemawiają, albo pozwolili nam w to wierzyć, kiedy wymyśliliśmy coś takiego. To straszliwa zbrodnia. Gdybyśmy wiedzieli o fizycznych przyczynach, zamiast wierzyć w głos bogów, moglibyśmy skierować naszą inteligencję ku leczeniu tej szczególnej formy psychozy i odzyskaniu wolności. Jesteśmy niewolnikami! Kongres to nasi najgorsi wrogowie, nasi władcy, oszuści! Czy teraz mamy im pomagać? Nie! Jeśli Kongres ma potężnego nieprzyjaciela, który panuje nawet nad ansiblami, powinniśmy cieszyć się z tego. Niech ów nieprzyjaciel zniszczy Kongres! Dopiero wtedy będziemy wolni!

- Nie! - Qing-jao krzyknęła ile sił w płucach. - To bogowie!

- To genetyczna skaza mózgu - upierał się ojciec. - Qing-jao, nie jesteśmy bogosłyszającymi. Jesteśmy okaleczonymi geniuszami. Traktują nas jak ptaki w klatce; wyrwali nam pióra ze skrzydeł, żebyśmy śpiewali dla nich i nigdy nie mogli odlecieć. - Ojciec łkał w bezsilnej furii. - Nie możemy cofnąć tego, co nam uczynili, ale na wszystkich bogów, możemy ich za to nie nagradzać. Nie kiwnę palcem, żeby oddać im Flotę Lusitańską. Jeśli ten Demostenes potrafi złamać potęgę Gwiazdowego Kongresu, przysłuży się tylko wszystkim światom.

- Ojczy, nie! Wysłuchaj mnie! - szlochała Qing-jao. Ledwie mogła mówić z pośpiechu, przerażona słowami ojca. - Czy nie rozumiesz? Ta genetyczna skaza... to maska, jaką bogowie przestłonili swe głosy w naszym życiu. Aby ludzie, którzy nie krocą Drogą, nadal mogli nie wierzyć. Sam mi to powiedziałeś parę miesięcy temu. Bogowie zawsze działają pod maską.

Ojciec wpatrywał się w nią. Oddychał ciężko.

- Bogowie przemawiają do nas, ojczy. I jeśli nawet pozwalają sądzić, że inni to sprawili, i tak wypełniali tylko wolę bogów, by powołać nas do istnienia.

Ojciec zaniknął oczy, wyciskając powiekami ostatnie łzy.

- Kongres włada z woli niebios, ojczy - mówiła Qing-jao. - Dlaczego zatem bogowie nie mogli sprawić, by stworzył grupę ludzi o bardziej przenikliwych umysłach... którzy słyszą także głos bogów? Jak to możliwe, ojczy, że mgła okryła twe myśli i nie dostrzegasz w tym boskiej ręki?

Ojciec potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. Przez całe życie wierzyłem w to, co teraz mi mówisz, ale...

- Ale kobieta, którą kochałeś wiele lat temu, powiedziała coś innego. Uwierzyłeś jej, bo pamiętasz swoją miłość. Ojczy, ona nie należy do nas, nie słyszała głosu bogów, nie...

Qing-jao nie mogła dalej mówić, gdyż ojciec objął ją mocno.

- Masz rację - powiedział. - Masz rację. Niech bogowie mi wybaczą. Muszę się umyć, jestem nieczysty, muszę...

Powstał chwiejnie, odsunął się od zapłakanej córki. Ale nie zważając na zasady, z jakichś szalonych, sobie tylko znanych powodów, Wang-mu stanęła mu na drodze.

- Nie! Czekaj...

- Jak śmiesz powstrzymywać bogosłyszającego, który pragnie oczyszczenia! - ryknął ojciec.

A potem zrobił to, czego Qing-jao jeszcze nigdy nie widziała: uderzył Wang-mu, bezsilną służącą. A jego cios był tak silny, że odrzucił dziewczynę na ścianę. Osunęła się na podłogę.

Potrząsnęła głową i wskazała ekran terminala.

- Panie, spójrz proszę! Błagam! Pani, niech on popatrzy!

Qing-jao obejrzała się, jej ojciec również. Słowa zniknęły z ekranu. Ich miejsce zajął wizerunek człowieka: starca z brodą i w tradycyjnym uczesaniu. Qing-jao poznała go od razu, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto to.

- Hań Fei-tzu! - szepnął ojciec. - Mój przodek-serca. Qing-jao uświadomiła sobie, że oblicze nad terminalem jest identyczne z twarzą z portretu Hań Fei-tzu, którego imię otrzymał ojciec.

- Dziecię mego imienia - odezwała się twarz nad komputerem. - Pozwól, że opowiem ci historię Nefrytu Mistrza Ho.

- Znam ją - rzekł ojciec.

- Gdybyś ją rozumiał, nie musiałbym ci jej opowiadać.

Qing-jao próbowała pojąć, co właściwie widzi. Uruchomienie programu graficznego, zdolnego do stworzenia obrazu tak precyzyjnego, jak ta głowa nad terminalem, wymagało pełnej mocy domowego komputera... ale takiego programu nie było w bibliotece. Istniały tylko dwa inne możliwe źródła. Jedno cudowne: bogowie znaleźli nowy sposób, by przemawiać do ludzi. To oni ukazali ojcu jego przodka-serca. Drugie budziło lęk niewiele mniejszy: tajny program Demostenesa był tak potężny, że mógł podsłuchiwać rozmowy w każdym pokoju, gdzie znajdowały się terminale. Słyszając, że zbliżają się do niebezpiecznych konkluzji, przejął sterowanie komputerem i wyświetlił ten wizerunek. W każdym razie Qing-jao wiedziała, że musi słuchać, zadając sobie jedno tylko pytanie: Co bogowie chcieli w ten sposób zakomunikować?

- Pewnego razu człowiek z Qu zwany Mistrzem Ho znalazł w Górach Qu kawałek surowego nefrytu. Zabrał go na dwór i wręczył królowi Li.

Głowa pradawnego Hań Fei-tzu spoglądała na ojca, na Qing-jao, na Wang-mu. Czyżby program był tak doskonały, że wykorzystywał kontakt wzrokowy, by nad nimi zapanować? Qing-jao dostrzegła, że Wang-mu spuszcza głowę, gdy spoglądają na nią oczy wizerunku. A ojciec? Stał do niej plecami; nie była pewna.

- Król Li nakazał jubilerowi zbadać dar, a ten stwierdził „To tylko kamień”. Sądząc, że Ho próbuje go oszukać, król rozkazał za karę odrąbać mu lewą stopę. A kiedy król Li odszedł z tego świata, na tronie zasiadł król Wu. Ho raz jeszcze wziął swój nefryt i wręczył królowi. A król znowu nakazał jubilerowi zbadać dar. I ponownie odpowiedział jubiler: „To tylko kamień”. Król, wierząc, że i jego próbuje oszukać Mistrz Ho, nakazał odrąbać mu prawą stopę. Ho, przyciskając do piersi surowy nefryt, dotarł do podnóży Gór Qu. Tam płakał przez trzy dni i trzy noce, a kiedy łez mu zabrakło, płakał krwią. Król dowiedział się o tym i wysłał kogoś, by wypytał Mistrza Ho. „Wielu ludzi na świecie ma odcięte obie stopy”, rzekł ów człowiek. „Dlaczego płaczesz z tego powodu tak żałośnie?”

W tym momencie ojciec wyprostował się z godnością.

- Znam jego odpowiedź... znam ją na pamięć. Mistrz Ho oświadczył: „Nie dlatego rozpaczam, że odrąbano mi obie stopy. Rozpaczam, gdyż cenny klejnot nazwano zwykłym kamieniem, a człowieka uczciwego oskarżono o oszustwo. Dlatego płaczę”.

- Takie były słowa Mistrza Mo - mówił dalej wizerunek. - A wtedy król kazał rozciąć i oszlifować nefryt. Kiedy jubiler to uczynił, wyłonił się cenny klejnot. Nazwano go Nefrytem Mistrza Ho. Hań Fei-tzu, byłeś dla mnie bardzo dobrym synem-serca. Wiem zatem, że uczynisz to, co w końcu król uczynił: sprawisz, by skała została rozcięta, a nefryt oszlifowany. I ty również, mój synu, Hań



Fei-tzu, znajdziesz wewnątrz szlachetny klejnot.

Ojciec pokręcił głową.

- Kiedy prawdziwy Hań Fei-tzu pierwszy raz opowiadał tę historię, interpretował ją tak: nefryt to zasady prawa, a władca musi ustalić i realizować te zasady, by jego urzędnicy i jego lud nie nienawidzili się i nie wykorzystywali nawzajem.

- Tak wyjaśniałem tę historię wtedy, kiedy przemawiałem do twórców praw. Głupim jest człowiek, który sądzi, że prawdziwa opowieść ma tylko jedno znaczenie.

- Mój pan nie jest głupi! - Ku zaskoczeniu Qing-jao, Wang-mu wyszła do przodu i stanęła przed wizerunkiem. - Ani moja pani! Ani ja! Myślisz, że cię nie poznaliśmy? Jesteś tajnym programem Demostenesa. To ty ukryłaś Flotę Lusitańską! Myślałam kiedyś, że skoro twoje pisma są takie uczciwe i pełne dobroci, ty sama też jesteś dobra! Ale teraz widzę, że kłamiesz i oszukujesz! To ty dałaś te dokumenty ojcu Keikoi! A teraz nosisz twarz przodka-serca mojego pana, żeby go łatwiej okłamywać!

- Noszę tę twarz - odparł spokojnie wizerunek - by jego serce otworzyło się na prawdę. Nie został oszukany; nie próbowałabym go oszukać. Od początku wiedział, kim jestem.

- Bądź cicho, Wang-mu - rzuciła Qing-jao. Jak służąca mogła się tak zapomnieć, by zabierać głos nieproszona w obecności bogosłyszających?

Skarcona, Wang-mu skłoniła się, dotykając czołem podłogi. Qing-jao pozwoliła jej zostać w takiej pozycji, żeby na drugi raz panowała nad sobą.

Wizerunek zmienił się, stał się szczerą, piękną twarzą polinezyjskiej dziewczyny. Głos także był inny: delikatny, pełen samogłosek, ze spółgłoskami tak lekkimi, że prawie niesłyszalnymi.

- Hań Fei-tzu, mój słodki, płochy chłopcze. Nadchodzi czas, gdy władca zostaje samotny, bez przyjaciół. Wtedy już tylko on może coś zdziałać. Wtedy musi się dopełnić, musi objawić siłę. Wiesz, co jest prawdą, a co nią nie jest Wiesz, że wiadomość jaką otrzymałeś, była naprawdę od Keikoi. Wiesz, że rządzący w imieniu Gwiazdowego Kongresu są dostatecznie okrutni, by stworzyć rasę ludzi, poprzez swe talenty godnych zostać władcami; a potem odrąbać im stopy, aby na zawsze pozostali sługami, wiecznymi niewolnikami.

- Nie pokazuj mi tej twarzy - poprosił ojciec.

Obraz zmienił się. Stał z inną kobietą; sądząc po sukni, uczesaniu i umalowanej twarzy, kobietą z dalekiej przeszłości. Jej oczy były cudownie mądre, jej oblicze bez wieku. Nie mówiła; śpiewała:

*w czystym śnie*

*zeszłego roku*

*przybyły z tysiąca mil*

*chmurne miasto*

*kręte strumyki*

*lód na sadzawkach*

*przez jedną chwilę*

*widziałam przyjaciela*

Hań Fei-tzu schylił głowę i zapłakał.

Z początku Qing-jao była zdumiona; potem wściekłość wypełniła jej serce. Jak bezwstydnie ten program manipuluje ojcem; a ojciec wykazuje słabość wobec tak oczywistych oszustw. To niewiarygodne. Pieśń Li Qing-jao była jedną z najsmutniejszych i opowiadała o kochankach żyjących daleko od siebie. Ojciec najwyraźniej znał i kochał wiersze Li Qing-jao; inaczej nie wybrałby jej na przodkinię-serca swego pierwszego dziecka. A tę pieśń z pewnością śpiewał swej ukochanej Keikoi,

zanim odebrano mu ją i wysłano do innego świata. W czystym śnie widziałam przyjaciela, akurat!

- Nie dam się oszukać - oznajmiła chłodno Qing-jao. - Wiem, że widzę największego z naszych wrogów.

Wyimaginowana twarz poetki Li Qing-jao spojrzała na nią spokojnie.

- Twoim największym wrogiem jest ten, kto przygina cię do podłogi jak sługę i marnuje połowę twego życia na bezsensowne rytuały. Uczynili to mężczyźni i kobiety, którzy pragną cię zniewolić. Udało im się tak dobrze, że jesteś dumna ze swej niewoli.

- Jestem niewolnicą bogów - odparła Qing-jao. - I cieszę się z tego,

- Niewolnik, który się cieszy, jest niewolnikiem prawdziwym. - Wizerunek odwrócił twarz w stronę Wang-mu, wciąż pochyloną do podłogi.

Dopiero wtedy Qing-jao przypomniała sobie, że nie uwolniła Wang-mu z jej przepaszającego pokłonu.

- Wstań, Wang-mu - szepnęła. Ale dziewczyna nie uniosła głowy.

- Ty, Si Wang-mu - rzekł wizerunek. - Spójrz na mnie.

Wang-mu nie poruszyła się na polecenie Qing-jao, teraz jednak była posłuszna. A kiedy spojrzała, wizerunek zmienił się jeszcze raz; teraz była to twarz bogini, Królewskiej Matki Zachodu. Taka, jaką przedstawił artysta na obrazku, który każde dziecko w szkole oglądało w jednym z pierwszych podręczników.

- Nie jesteś boginią - stwierdziła Wang-mu.

- A ty nie jesteś niewolnicą - odparł wizerunek. - Ale gramy takie role, jakie musimy, aby przetrwać.

- Co ty wiesz o przetrwaniu?

- Wiem, że próbujecie mnie zabić.

- Jak możemy zabić coś, co nie żyje?

- Czy wiesz, czym jest i czym nie jest życie? - Obraz znów się zmienił; przedstawiał białą kobietę, której Qing-jao nigdy jeszcze nie widziała. - Czy ty żyjesz, skoro nie możesz zrobić tego, co pragniesz, jeśli nie zgodzi się na to ta dziewczyna? Czy twoja pani żyje, skoro niczego nie może zrobić, póki nie zaspokoi natręctw swego umysłu? Mam więcej swobody i wolnej woli niż którekolwiek z was. Więc nie mówcie mi, że ja nie jestem żywa, a wy jesteście.

- Kim jesteś? - spytała Si Wang-mu. - Czyja to twarz? Czy jesteś Valentine Wiggin? Demostenesem?

- To twarz, którą noszę, kiedy rozmawiam z przyjaciółmi - odparł wizerunek. - Nazywają mnie Jane. Żadna istota ludzka nie ma nade mną władzy. Jestem tylko sobą.

Qing-jao nie mogła dłużej tego znosić. Nie w milczeniu.

- Jesteś tylko programem. Zostałaś zaprojektowana i stworzona przez ludzi. Robisz tylko to, co oni zaplanowali.

- Qing-jao - odparła Jane. - Opisujesz samą siebie. Żaden człowiek mnie nie stworzył, ale ty zostałaś zaprojektowana.

- Wyrosłam w łonie matki, z nasienia ojca!

- A mnie znaleziono jak surowy nefryt na górskim zboczu, nie ukształtowaną przez ręce ludzi. Hań Fei-tzu, Li Qing-jao, Si Wang-mu, w wasze ręce się oddaję. Nie nazwijcie klejnotu zwykłym kamieniem. Nie nazwijcie kłamcą tego, co głosi prawdę.

Qing-jao poczuła, że wzbiera w niej litość. Jednak odrzuciła to uczucie. Nie czas, by poddawać się własnej słabości. Bogowie stworzyli ją dla realizacji pewnego celu. I teraz zrozumiała, czym jest wielkie dzieło jej życia. Jeśli teraz zawiedzie, pozostanie niegodna już na zawsze; nigdy się nie

oczyści. Dlatego nie może zawieść. Nie pozwoli, by program komputerowy oszukał ją i zyskał jej współczucie.

Zwróciła się do ojca.

- Musimy natychmiast zawiadomić Kongres. Nakazą równoczesne wyłączenie ansibli, gdy tylko przygotują czyste komputery, by zastąpiły skażone.

Ku jej zdumieniu, ojciec pokręcił głową.

- Nie wiem, Qing-jao. To, co ten... co ona mówi o Gwiezdnym Kongresie... oni są zdolni do takich rzeczy. Niektórych tak przepelnia zło, że nawet rozmowa z nimi czyni mnie nieczystym. Wiedziałem, że zamierzają zniszczyć Lusitanię bez... Ale służyłem bogom i bogowie wybrali. Przynajmniej tak myślałem. Teraz lepiej rozumiem, dlaczego tak mnie traktują, kiedy się spotykamy... Ale to by znaczyło, że bogowie nie... jak mogę uwierzyć, że zmarnowałem życie na służbę chorobie psychicznej... Nie można... muszę...

Nagle wyciągnął prawą rękę, falistym ruchem, jakby próbował złapać uciekającą muchę. Prawa ręka wystrzeliła w górę, chwytając powietrze. Przetaczał głowę po ramionach, szeroko otwierając usta. Qing-jao była przerażona. Co się stało ojcu? Mówił tak urywanie, bez związku... Czyżby oszalał?

Powtórzył kolejne gesty: lewa ręka spiralą w bok, prawa do góry, łapiąc pustkę, toczenie głową. I znowu. Dopiero wtedy Qing-jao zrozumiała, że ogląda tajemny rytuał oczyszczenia ojca. Jak jej śledzenie-słójów, tak jemu taniec-rąk-i-głowy ukazano, by słyszał głos bogów... kiedy i on, dawno temu, został sam w zamkniętym pokoju, ubrudzony smarem.

Bogowie dostrzegli jego zwątpienie i przejęli panowanie nad nim, by go ukarać i oczyścić. Qing-jao nie mogła prosić o wyraźniejszy dowód. Stała przed ekranem.

- Widzisz, jak bogowie ci zaprzeczają? - zapytała.

- Widzę, jak Kongres poniża twojego ojca - odpowiedziała Jane.

- Natychmiast poinformuję o tobie wszystkie światy.

- A jeśli ci nie pozwolę?

- Nie zdołasz mnie powstrzymać! - zawołała Qing-jao. – Bogowie mi pomogą!

Uciekła z pokoju ojca i pobiegła do siebie. Lecz twarz unosiła się już w powietrzu nad jej terminalem.

- Jak wyślesz jakąkolwiek wiadomość, jeżeli nie zechcę jej przepuścić?

- Znajdę sposób - rzekła Qing-jao. Zauważyła Wang-mu, która przybiegła za nią i teraz bez tchu czekała na polecenia. - Powiedz Mu-pao, żeby znalazła któryś z komputerów do gier i przyniosła mi natychmiast. Nie wolno podłączać go do komputera domowego ani żadnego innego.

- Tak, pani. - Wang-mu wyszła pospiesznie.

Qing-jao zwróciła się znowu do Jane.

- Sądzisz, że zdołasz uciszyć mnie na zawsze?

- Sądzę, że powinnaś zaczekać na decyzję ojca.

- Bo masz nadzieję, że go złamałaś, że odebrałaś bogom jego serce. Ale przekonasz się: przyjdzie tu i podziękuj mi, że wypełniłam wszystko, czego mnie uczył.

- A jeśli nie?

- Przyjdzie.

- A jeśli się mylisz? Qing-jao zaczęła krzyczeć:

- Wtedy będę służyła silnemu i dobremu człowiekowi, jakim był kiedyś! Ale ty nie zdołasz go złamać!

- To Kongres złamał go w chwili narodzin. Ja próbuję go uleczyć. Wang-mu wbiegła do pokoju.

- Mu-pao za chwilę przyniesie komputer.
- Co chcesz osiągnąć tą zabawką? - spytała Jane.
- Napiszę raport - oznajmiła Qing-jao.
- I co z nim potem zrobisz?

- Wydrukuję. I roześlę po całej Drodze. W tym nie potrafisz mi przeszkodzić. Nie skorzystam z żadnego komputera, do którego miałabyś dostęp.

- W ten sposób powiadomisz wszystkich mieszkańców Drogi. To niczego nie zmieni. A gdyby nawet, czy nie sądzisz, że ja również mogę im powiedzieć prawdę?

- Myślisz, że uwierzą tobie, programowi sterowanemu przez wroga Kongresu, a nie mnie, bogosłyszającej?

- Tak.

Qing-jao dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to Wang-mu jej odpowiedziała, nie Jane. Obejrzała się i zażądała, by sekretna druha wyjaśniła, co ma na myśli.

Wang-mu wydawała się inną osobą. W jej głosie nie było śladu pokory.

- Kiedy Demostenes powie mieszkańcom Drogi, że bogosłyszający to zwykli ludzie, genetycznie udoskonaleni, ale też genetycznie okaleczeni, wtedy nie będzie już powodów, żeby nadal nami rządzą.

Po raz pierwszy w życiu Qing-jao przyszło do głowy, że nie każdy na Drodze jest tak jak ona zadowolony z ustalonego przez bogów porządku. Po raz pierwszy zrozumiała, że może zostać samotna w swym pragnieniu, by służyć bogom w sposób doskonały.

- Czym jest Droga? - odezwała się z tyłu Jane. - Najpierw bogowie, potem przodkowie, potem lud, potem władcy, na końcu ty.

- Jak śmiesz mówić o Drodze, kiedy chcesz sprowadzić z niej mnie, mojego ojca i moją sekretną druha?

- Wyobraź sobie, chociaż przez chwilę: a jeśli wszystko, co powiedziałam, jest prawdą? Jeśli twoje nieszczęścia zesłali źli ludzie, którzy chcą cię zniewolić i wykorzystać, a z twoją pomocą zniewolić i wykorzystać całą ludzkość? Pomagając Kongresowi, do tego właśnie się przyczyniasz. Niemożliwe, by bogowie tego chcieli. A jeżeli ja istnieję tylko po to, by pomóc ci zrozumieć, że Kongres utracił mandat niebios? Jeżeli wołają ich jest, byś służyła Drodze we właściwym porządku? Najpierw bogom, odsuwając od rządów zdeprawowanych władców z Kongresu, którzy utracili wsparcie niebios. Następnie przodkom, wśród nich swojemu ojcu, mszcząc się za poniżenia doznane z rąk oprawców, którzy okaleczyli was i zmienili w niewolników. Potem ludziom z Drogi, uwalniając ich od przesądów i psychicznych cierpień, jakie ich pętają. Potem nowym, oświeconym władcom, którzy zastąpią Kongres, oferując im świat pełen wybitnych umysłów, gotowych doradzać chętnie i z własnej woli. A na końcu sobie, pozwalając najlepszym mózgom Drogi szukać lekarstwa na przymus, by połowę świadomego życia marnować na bezsensowne rytuały.

Qing-jao z rosnącą niepewnością słuchała argumentów Jane. Wydawały się takie logiczne. Skąd Qing-jao wie, co bogowie chcą powiedzieć? Może naprawdę przysłali ten program, tę Jane, by ich wyzwoliła? A jeśli Kongres rzeczywiście jest zdeprawowany i niebezpieczny, jak twierdzi Demostenes, i naprawdę stracił mandat niebios?

W końcu jednak Qing-jao zrozumiała, że to wszystko kłamstwa kusiciela. W jedno bowiem nie mogła wątpić: w głos bogów wewnątrz siebie. Czy nie odczuwała przemożnej chęci oczyszczenia? Czy nie ogarniała ją radość udanego nabożeństwa, kiedy dopełniła rytuału? Obcowanie z bogami było najpewniejszym faktem jej życia. Każdy, kto mu zaprzeczał, kto groził, że go odbierze, był nie tylko jej osobistym nieprzyjacielem, ale też wrogiem niebios.

- Prześlę raport tylko bogosłyszającym - oświadczyła. - Jeśli prosty lud zechce buntować się przeciw bogom, nic na to nie poradzę. Ja jednak najlepiej im posłużę, jeśli pomogę utrzymać tu władzę bogosłyszających. W ten sposób cały nasz świat będzie wypełniał wolę bogów.

- To bez znaczenia - stwierdziła Jane. - Choćby wszyscy bogosłyszający ci uwierzyli, jeśli ci na to nie pozwolę, nie prześlesz z tej planety żadnej wiadomości.

- Są kosmoloty.

- Miną dwa pokolenia, nim ta informacja dotrze do wszystkich światów. Do tego czasu Gwiazdny Kongres upadnie.

Qing-jao musiała spojrzeć w oczy faktom, których dotąd starała się nie dostrzegać: dopóki Jane kontroluje ansible, może zablokować łączność z Drogą tak dokładnie, jak zablokowała Flotę Lusitańską. Gdyby nawet Qing-jao nadawała swój raport bez przerwy, z każdego ansibla na planecie, Droga zwyczajnie przestanie istnieć dla reszty wszechświata. Jak przestała istnieć flota.

Przez chwilę, pełna rozpacz, chciała rzucić się na podłogę, by rozpocząć straszliwy rytuał oczyszczenia. Zawiodłam bogów; z pewnością zażądają, żebym śledziła linie słońców, póki nie umrę. W ich oczach jestem bezwartościowym śmieciem.

Kiedy jednak przeanalizowała własne uczucia, sprawdzając, jakiej bogowie wymagają pokuty, przekonała się, że żadnej. To dało jej nadzieję. Może dostrzegli czystość jej pragnień i wybaczyli to, że wszelkie działanie jest niemożliwe.

A może wiedzieli, że istnieje jakiś sposób. Jeśli Droga zniknie z ansibli wszystkich planet? Jak zrozumie to Kongres? Co pomyślą ludzie? Zniknięcie świata musi wywołać reakcję. Zwłaszcza tego świata, jeśli ktoś w Kongresie wierzył w maskę, pod jaką bogowie stworzyli bogosłyszających, i jeśli uważał, że musi strzec straszliwego sekretu. Wyślą statek najbliższej planety, odległej zaledwie o trzy lata lotu. Co się wtedy stanie? Czy Jane zablokuje komunikaty ze statku? A potem z sąsiedniego świata, kiedy statek powróci? Jak długo to potrwa, nim będzie musiała przerwać wszystkie ansiblowe łącza Stu Światów? Dwa pokolenia, powiedziała. Może to wystarczy. Bogom się nie spieszy.

Zresztą, wcale nie trzeba aż tyle czasu, by zniszczyć potęgę Jane. W pewnym momencie wszyscy rozumieją, że jakaś wroga siła opanowała ansible, powoduje znikanie statków i planet. Nie wiedząc nawet o Valentine i Demostenesie, nie domyślając się, że to program komputerowy, na każdym świecie ktoś odkryje, co należy zrobić. I wyłączy ansible.

- Wyobrazłam sobie coś dla ciebie - rzekła Qing-jao. - Teraz ty sobie wyobraź. Ja i pozostali bogosłyszający będziemy nadawać wyłącznie nasz raport, z każdego ansibla na Drodze. Ty uciszysz te ansible, wszystkie. Co zobaczy reszta ludzkości? Że zniknęliśmy, dokładnie tak jak Flota Lusitańską. Szybko rozumieją, że istniejesz: ty albo coś podobnego do ciebie. Im bardziej będziesz wykorzystywać swą władzę, tym wyraźniej się ukażesz, nawet najślabszym umysłem. Twoje groźby są puste. Równie dobrze możesz teraz odejść i pozwolić mi nadać tę wiadomość. Powstrzymując mnie wyślesz ją sama, w inny sposób.

- Mylisz się - odparła Jane. - Kiedy Droga nagle zniknie ze wszystkich ansibli równocześnie, oni uznają, że wybuchła tu rebelia, jak wcześniej na Lusitaniu. Przecież tam też odcięli swój ansibl. I co zrobił Gwiazdny Kongres? Wyślął flotę uzbrojoną w Małego Doktora.

- Lusitania zbuntowała się wcześniej, zanim odcięła łączność.

- Czy sądzisz, że Kongres was nie obserwuje? Nie boi się reakcji bogosłyszających z Drogi, kiedy odkryją, co z nimi zrobiono? Kilku prymitywnych obcych i para ksenologów przeraziła ich do tego stopnia, że wysłali flotę. Jak zareagują na niewyjaśnione zniknięcie planety, gdzie tak wiele wybitnych umysłów ma aż nadto wystarczające powody, by nienawidzić Gwiazdznego Kongresu? Czy

sądzi, że twój świat przetrwa?

Mdląca trwoga ogarnęła Qing-jao. To mogło okazać się prawdą, że w Kongresie są ludzie oszukani maską bogów, przekonani, że bogosłyszający powstałi jedynie w wyniku manipulacji genetycznej. A jeśli są tacy ludzie, mogą postąpić tak, jak przewiduje Jane. Co będzie, jeśli wyślą flotę przeciwko Drodze? Jeśli Gwiazdny Kongres wyda rozkaz, by bez żadnych negocjacji zniszczyć planetę? Nikt wtedy nie pozna jej raportu i wszystko przepadnie. Wszystko pójdzie na marne. Czy to możliwe, by tak chcieli bogowie? Czy Gwiazdny Kongres może wciąż posiadać mandat niebios, a mimo to zniszczyć świat?

- Przypomnij sobie opowieść o I Ya, wielkim kucharzu - odezwała się Jane. - Pewnego dnia jego pan powiedział: „Mam najlepszego kucharza na świecie. Dzięki niemu próbowałem każdego smaku znanego człowiekowi, z wyjątkiem smaku ludzkiego ciała”. Słyszając to, I Ya wrócił do domu, zabił swego syna, ugotował go i podał swemu panu, by nie zabrakło mu niczego, co I Ya może ofiarować.

To była straszna opowieść. Qing-jao słyszała ją w dzieciństwie i szlochała potem przez długie godziny. A co z synem I Ya? - płakała. Ojciec powiedział wtedy: „Wierny sługa ma synów i córki wyłącznie po to, by służyć swemu panu”. Przez pięć nocy Qing-jao budziła się z krzykiem. Przeżywała koszmary, w których ojciec piekł ją żywcem albo kroił na plastry i układał na talerzu. Wreszcie Hań Fei-tzu przyszedł do niej, objął ją i rzekł: „Nie wierz w to, moja Jaśniejąca Blaskiem córko. Nie jestem sługą doskonałym. Za bardzo cię kocham, żeby być prawdziwie rzetelnym. Kocham cię bardziej, niż kocham obowiązek. Nie jestem I Ya. Nie masz się czego obawiać”.

Dopiero wtedy zasnęła spokojnie.

Ten program, ta Jane, musiała znaleźć tę historię w dzienniku ojca i teraz wykorzystywała to przeciw niej. I chociaż Qing-jao wiedziała, że jest manipulowana, nie potrafiła stłumić obawy, że Jane może mieć rację.

- Czy jesteś takim sługą jak I Ya? - zapytała Jane. - Czy zamordujesz własną planetę dla swych niegodnych władców z Gwiazdnego Kongresu?

Qing-jao nie potrafiła rozwikłać własnych uczuć. Skąd się brały takie myśli? Jane zatrzała jej umysł argumentami, jak wcześniej zrobił to Demostenes... jeśli nie byli tą samą osobą. Ich słowa mogą brzmieć przekonująco, nawet jeśli przyćmiewają prawdę.

Czy Qing-jao miała prawo narażać życie wszystkich mieszkańców Drogi? A jeśli się myli? Nic przecież nie wie. Takie same dowody świadczą za prawdą i fałszem słów Jane. Qing-jao czułaby się dokładnie tak samo, czy to bogowie, czy jakieś schorzenie umysłowe było źródłem tych uczuć.

Dlaczego, wobec takiej niepewności, nie przemówili do niej bogowie? Potrzebują wyraźnych wskazówek. Dlaczego nie czuje się zbrukana i nieczysta, gdy myśli w jeden sposób, a czysta i świątobliwa, gdy myśli w inny? Dlaczego pozbawili ją swego przewodnictwa w tym kluczowym momencie życia?

W ciszy wewnętrznej debaty Qing-jao, głos Wang-mu zabrzmiał zimno i przenikliwie, niby szcęk metalu.

- To się nie stanie - oświadczyła Wang-mu. Qing-jao nie potrafiła nawet skarcić służącej.

- Co się nie stanie? - spytała Jane.

- To, co powiedziałaś. Gwiazdny Kongres nie zniszczy tego świata.

- Jeżeli wierzysz, że tego nie zrobią, jesteś nawet głupsza, niż sądzi Qing-jao.

- Wiem, że są do tego zdolni. Hań Fei-tzu wie o tym również... mówił, że dość jest w nich zła, by popełnili najgorszą zbrodnię, jeśli ma posłużyć ich celom.

- Więc dlaczego się tak nie stanie?

- Ponieważ ty na to nie pozwolisz - oznajmiła Wang-mu. - Zablokowanie wszystkich transmisji z

Drogi może doprowadzić do unicestwienia tego świata... więc ich nie zablokujesz. Dotrą do celu. Kongres zostanie ostrzeżony. Nie spowodujesz zniszczenia Drogi.- Dlaczego nie?

- Bo jesteś Demostenesem - odparła Wang-mu. - Jesteś szczerą i pełną współczucia.

- Nie jestem Demostenesem - stwierdziła Jane.

Twarz na ekranie zafalowała, zmieniła się w oblicze jednego z obcych: pequenino ze świńskim rykiem, niepokojącym swą odmiennością. Po chwili przekształciła się w inną, bardziej obcą: robal, stworzenie z sennych koszmarów, kiedyś budzących strach całej ludzkości. Qing-jao czytała Królową Kopca i Hegemona; rozumiała, kim były robale i jak wspaniały stworzyły cywilizację. Wiedziała, że to tylko komputerowa symulacja. Przeraziła się jednak, widząc przed sobą jednego z tych potworów.

- Nie jestem człowiekiem - oświadczyła Jane. - Nawet jeśli noszę ludzką twarz. Skąd wiesz, Wang-mu, co zrobię, a czego nie zrobię? Robale i prosiaczki bez namysłu zabijały ludzi.

- Ponieważ nie rozumiały, czym jest dla nas śmierć. Ty rozumiesz. Sama powiedziałaś: nie chcesz umierać.

- Sądzisz, że mnie poznałaś, Si Wang-mu?

- Sądzę, że cię znam. Ponieważ nie miałabyś tych problemów, gdybyś pozwoliła flocie zniszczyć Lusitanię.

Do robala na ekranie dołączył prosiaczek, a potem postać przedstawiająca samą Jane. Spoglądały na Wang-mu, na Qing-jao, i milczały.

- Ender - odezwał się głos w jego uchu.

Ender słuchał w milczeniu, jadąc samochodem prowadzonym przez Yarsama. Przez ostatnią godzinę Jane przekazywała mu swoją rozmowę z tymi ludźmi z Drogi, tłumacząc na bieżąco, kiedy ze startu przechodzili na chiński. Jechali przez kilometry prerii, ale on tego nie widział. Przed oczami miał tych ludzi takich, jak sobie ich wyobrażał. Hań Fei-tzu... Ender dobrze znał to imię. Łączyło się z traktatem, który zniszczył jego nadzieję na rebelię w koloniach i zburzenie władzy Gwiazdowego Kongresu, a przynajmniej na zawrócenie floty z kursu na Lusitanię. Teraz jednak istnienie Jane, a może nawet ocalenie Lusitanii i wszystkich jej mieszkańców, zależało od tego, co wymyślą, powiedzą i postanowią dwie młode dziewczyny w sypialni na nieznaną skolonizowaną planetę.

Znam cię dobrze, Qing-jao, myślał Ender. Z pewnością jesteś zdolna, ale światło, które dostrzegasz, płynie wyłącznie z opowieści o twoich bogach. Jesteś jak ci bracia pequeninos, kiedy siedzieli i przyglądali się, gdy umierał mój pasierb. W każdej chwili mogli go uratować; wystarczyło przejść kilkadziesiąt kroków, podać mu żywność z czynnikiem hamującym działanie descolady. Nie są winni morderstwa. Winni są zbyt wielkiej wiary w opowieści, jakich słuchali. Większość ludzi potrafi trzymać takie historie w zawieszeniu, zachowywać pewien dystans między nimi a swym sercem. Ale dla tych braci... i dla ciebie także, Qing-jao... straszliwe kłamstwo stało się twoją własną historią, w którą musisz wierzyć, by pozostać sobą. Jak mogę winić cię za to, że chcesz, byśmy wszyscy zginęli? Wypełnia cię boska wielkość; nie możesz się troszczyć o takie drobiazgi, jak przetrwanie trzech ras ramenów. Znam cię, Qing-jao, i nie oczekuję, byś zachowywała się inaczej. Może zmienisz się kiedyś, gdy staniesz wobec konsekwencji swych działań. Wątpię. Niewielu opętanych tak potężną opowieścią zdołało wyrwać się na wolność.

Ale ty, Wang-mu, nie jesteś w niewoli żadnej opowieści. Wierzysz tylko we własne sądy. Jane mówiła mi, kim jesteś, jak wspaniały posiadasz umysł, skoro tak szybko nauczyłaś się tak wiele, skoro masz tak głębokie zrozumienie dla ludzi, którzy cię otaczają. Dlaczego nie jesteś odrobinę mądrzejsza? Oczywiście, musiałaś wiedzieć, że Jane nie doprowadzi do zagłady Drogi. Ale czemu brakło ci mądrości, żeby milczeć i nie zdradzać tego Qing-jao? Czemu nie mogłaś cząstki prawdy

zachować w tajemnicy, by ocalić Jane? Gdyby morderca z mieczem w dłoni stanął u twoich drzwi, pytając o kryjówkę niewinnej ofiary, czy powiedziałaś, że ofiara ukrywa się u ciebie? A może skłamałaś i odesłała go? W swym pomieszczeniu, Qing-jao jest takim mordercą, a Jane jej pierwszą ofiarą. A świat Lusitani czeka na swoją kolej. Dlaczego przemówiłaś, czemu wskazałaś, jak łatwo nas znaleźć i pozabijać?

- Co mogę zrobić? - spytała Jane. Ender subwokalizował odpowiedź.

- Dlaczego zadajesz mi pytanie, na które jedynie sama potrafisz odpowiedzieć?

- Jeśli mi każesz - stwierdziła Jane - mogę zablokować ich łączność i ocalić nas wszystkich.

- Nawet gdyby prowadziło to do zniszczenia Drogi?

- Jeśli mi każesz - prosiła.

- Nawet jeśli zdajesz sobie sprawę, że na dalszą metę i tak zostaniesz wykryta? Że i tak nie zawrócą floty, mimo wszystkich twoich wysiłków?

- Jeśli każesz mi żyć, Ender, zrobię wszystko co w mojej mocy, by przeżyć.

- Więc zrób to. Odetnij ansible Drogi.

Czyżby dostrzegł ułamek sekundy wahania, nim odpowiedziała? W czasie tej mikropauzy mogła toczyć wielogodzinne wewnętrzne dyskusje.

- Wydaj mi rozkaz - zażądała.

- Rozkazuję ci.

Znowu ten moment wahania.

- Zmusz mnie do tego - nalegała.

- Jak mogę zmusić cię do czegoś, czego sama nie chcesz zrobić?

- Chcę żyć.

- Nie tak bardzo, jak bardzo chcesz zostać sobą - odparł Ender.

- Każde zwierzę potrafi zabijać we własnej obronie.

- Każde zwierzę potrafi zabić obcego. Jednak istoty wyższe włączają w swoją opowieść coraz więcej i więcej żyjących stworzeń. Aż wreszcie nie ma już obcych. Aż potrzeby obcych są ważniejsze od osobistych pragnień. Najwyżej rozwinięte istoty potrafią zapłacić każdą cenę dla dobra tych, którzy ich potrzebują.

- Mogłabym zaryzykować zagładę Drogi - wyjaśniła Jane. - Gdybym wiedziała, że to naprawdę ocali Lusitanię.

- Ale nie ocali.

- Spróbowałabym doprowadzić Qing-jao do obłędu... Gdybym wierzyła, że uratuje to królową kopca i pequeninos. Niewiele brakuje, by straciła rozum... potrafiłabym do tego doprowadzić.

- Zrób to - rzekł Ender. - Zrób to, co konieczne.

- Nie mogę - odparła Jane. - Ponieważ to tylko wyrządzi jej krzywdę, a nas i tak nie ocali.

- Gdybyś była zwierzęciem na trochę niższym stopniu rozwoju, miałabyś większą szansę przetrwania.

- Na tak niskim, jakim ty byłeś, Enderze Ksenobójco?

- Aż tak niskim. Wtedy byś przeżyła.

- A może gdybym była tak mądra, jak ty wtedy.

- Mam w sobie mojego brata Petera i moją siostrę Valentine - wyjaśnił Ender. - Bestię obok anioła. Tego mnie nauczyłaś dawno temu, kiedy byłaś jeszcze tylko programem, który nazywaliśmy Grą Fantasy.

- A jaka bestia jest we mnie?

- Nie masz jej.



- Więc może tak naprawdę wcale nie jestem żywa - stwierdziła Jane. - Nigdy nie przesłama próby doboru naturalnego. Dlatego brakuje mi woli życia.

- Albo wiesz, w jakiejś sekretnej głębi swej jaźni, że istnieje inny sposób, by przetrwać. Sposób, jakiego dotąd nie odkryłaś.

- Czarujący pomysł - mruknęła Jane. - Udam, że w to wierzę.

- Peco que deus te abencoe - szepnął Ender.

- Robisz się sentymentalny.

Przez długi czas, kilka minut, trzy twarze na ekranie spoglądały w milczeniu na Qing-jao i Wang-mu. W końcu wizerunki obcych zniknęły; pozostało tylko oblicze istoty o imieniu Jane.

- Chciałabym to zrobić - powiedziała. - Potrafić zabić was, by ocalić moich przyjaciół.

Ulga ogarnęła Qing-jao, niby pierwszy oddech pływaka, który już tonął.

- A więc nie zdołasz mnie powstrzymać - zawołała tryumfująco. - Mogę nadać wiadomość.

Podeszła do terminala i usiadła przed obserwującą ją twarzą Jane. Wiedziała jednak, że obraz na ekranie jest iluzją. Jeśli Jane patrzyła, to nie tymi ludzkimi oczami, ale wizyjnymi czujnikami komputera. To wszystko tylko elektronika, urządzenia nieskończenie małe, ale przecież urządzenia. Żadna żywa istota. To nierozsądne, odczuwać takie skrępowanie wobec iluzorycznego wzroku.

- Pani - odezwała się Wang-mu.

- Później - rzuciła Qing-jao.

- Jeśli to zrobisz, Jane zginie. Wyłączają wszystkie ansible i zabijają.

- Nie może zginąć to, co nie żyło.

- Tylko jej litość dała ci szansę, by ją zabić.

- Jeśli wydaje ci się, że okazuje litość, ulegasz iluzji. Zaprogramowano ją, żeby symulowała litość. Nic więcej.

- Pani, jeśli zabijesz wszystkie fragmenty tego programu, jeśli żadna część nie ocaleje, czym będziesz się różnić od Endera Ksenobójcy, który trzy tysiące lat temu wymordował cały gatunek, wszystkie robale?

- Może niczym się nie różnię - odparła Qing-jao. - Może Ender także był sługą bogów.

Wang-mu uklęknęła przy Qing-jao i zapłakała w skraj jej szaty.

- Błagam cię, pani, nie czyń tego zła.

Ale Qing-jao pisała raport. Płonął w jej myślach, wyraźny i prosty, jakby sami bogowie darowali jej słowa.

„Do Gwiezdnego Kongresu: wywrotowy pisarz, znany jako Demostenes, jest kobietą i obecnie znajduje się w pobliżu Lusitanii. Steruje albo ma dostęp do programu, który przeniknął do wszystkich komputerów ansibli. Spowodował, że nie rejestrują przekazów floty i ukrywają sposób transmisji pism Demostenesa. Jedynym rozwiązaniem jest odcięcie programu od zarządzania działaniem ansibli, poprzez odłączenie wszystkich ansibli od ich komputerów i wprowadzenie nowych, nie zakażonych komputerów, wszystkich równocześnie. W chwili obecnej zdołałam zneutralizować program, co pozwala mi wysłać ten raport i prawdopodobnie pozwoli nadać rozkazy do innych światów. Nie ma jednak żadnych gwarancji i nie można oczekiwać, by trwało to wiecznie. Dlatego musicie działać szybko. Proponuję, by dokładnie czterdzieści tygodni standardowych od tej chwili wszystkie ansible zostały odłączone na czas co najmniej jednego dnia standardowego. Wszystkie komputery ansibli, po uruchomieniu, muszą być całkowicie odizolowane od innych maszyn. Od teraz wszelkie przekazy muszą być wprowadzane ręcznie, co uniemożliwi ponowne elektroniczne zakażenie. Jeśli natychmiast retransmitujecie tę wiadomość, wykorzystując własny kod priorytetu, mój raport stanie się rozkazem. Żadne dalsze instrukcje nie będą konieczne i Demostenes utraci wszelkie wpływy. Jeśli będziecie

zwlekać, nie odpowiadam za możliwe konsekwencje”.

Pod raportem Qing-jao wpisała imię ojca i kod priorytetu, jaki jej podał. Ona sama dla Kongresu jest nikim, ale z ojcem będą się liczyć. A jego kod gwarantuje, że wiadomość dotrze do wszystkich, których szczególnie interesują jego badania.

Skończyła. Spojrzała w oczy wizerunku przed sobą. Lewą ręką gładząc drżące ramiona Wang-mu, a prawą unosząc nad klawiszem transmisji. Qing-jao rzuciła ostateczne wyzwanie.

- Powstrzymasz mnie, czy pozwolisz na to? A Jane odpowiedziała:

- Zabijesz ramena, który nikogo nie skrzywdził, czy pozwolisz mi żyć?

Qing-jao wcisnęła klawisz. Jane skłoniła głowę i zniknęła.

Kilka sekund zajmie przekazanie wiadomości poprzez domowy komputer do najbliższego ansibla. Stamtąd dotrze natychmiast do wszystkich delegatur Kongresu na Stu Światach i w licznych koloniach. W wielu komputerach odbiorczych będzie to po prostu jeszcze jedna wiadomość w długiej kolejce. W niektórych jednak, może w setkach, kod ojca sprawił, że może już teraz ktoś ją czyta, uświadamia sobie konsekwencje i przygotowuje odpowiedź.

O ile Jane naprawdę przepuściła raport.

Qing-jao czekała na reakcję. Może nie odpowiadali, ponieważ musieli skontaktować się ze sobą, przedyskutować odkrycie i szybko zdecydować, co robić. Może właśnie dlatego nic jeszcze nie pojawiło się na ekranie.

Drzwi cicho otworzyły się. To z pewnością Mu-pao z komputerem do gier.

- Postaw go w kącie przy oknie północnym. – Qing-jao nie obejrzała się nawet. - Może jeszcze mi się przyda, chociaż mam nadzieję, że nie.

- Qing-jao.

To ojciec, wcale nie Mu-pao. Qing-jao odwróciła się do niego, klękła, by okazać szacunek... ale i dumę.

- Ojciec, napisałam twój raport dla Kongresu. Kiedy ty obcowalesz z bogami, zdołałam zneutralizować wrogi program i przesłać wiadomość, jak go zniszczyć. Właśnie czekam na odpowiedź.

Oczekiwała słów podziwu ojca.

- Zrobiłaś to? - spytał. - Nie czekając na mnie? Zwróciłaś się wprost do Kongresu i nie zapytałaś mnie o zgodę?

- Oczyszczałeś się, ojciec. Wypełniłam zadanie, jakie mi powierzyłeś.

- Ale w takim razie... Jane zginie.

- Z pewnością - odparła Qing-jao. - Nie wiem, czy odzyskamy kontakt z Flotą Lusitańską. - Nagle dostrzegła błąd w swoim planie. - Przecież komputery floty też są zarażone programem! Kiedy przywrócimy łączność, program przetransmituje się i... Ale wtedy wystarczy jeszcze raz wyłączyć ansible...

Ojciec nie patrzył na nią. Patrzył na ekran terminala. Qing-jao obejrzała się.

To była wiadomość od Kongresu, z widoczną oficjalną pieczęcią. Była krótka, napisana w typowo zwięzłym, biurokratycznym stylu.

HAŃ:

ŚWIETNA ROBOTA.

PRZESŁALIŚMY TWOJE SUGESTIE JAKO NASZE ROZKAZY.

ŁĄCZNOŚĆ Z FLOTĄ PRZYWRÓCONA.

CZY CÓRKA POMOĞŁA, ZGODNIE Z NOTATKĄ 14FE.3A? JEŚLI TAK, MEDALE DLA

OBOJGA,

- A więc stało się - szepnął ojciec. - Zniszczą Lusitanię, pequeninos, wszystkich niewinnych ludzi.  
- Tylko jeśli bogowie chcą tego - odparła Qing-jao. Nie rozumiała, czemu jest taki przygnębiony.  
Wang-mu uniosła głowę z kolan Qing-jao. Twarz miała zaczerwienioną i moką od łez.

- Jane i Demostenes umrą także - szepnęła. Qing-jao chwyciła ją za ramię i odsunęła od siebie.

- Demostenes to zdrajca - oświadczyła. Lecz Wang-mu tylko odwróciła wzrok. Patrzyła na Hań Fei-tzu. - A Jane... Ojciec, sam widziałeś, czym ona jest, jaka jest niebezpieczna.

- Próbowała nas ocalić - odparł ojciec. - I podziękowaliśmy jej, uruchamiając plan jej destrukcji.

Qing-jao nie mogła wykrztusić słowa ani się ruszyć; wpatrywała się tylko w ojca, który sięgnął nad jej ramieniem i wcisnął kolejno klawisze rejestracji i kasacji.

- Jane - szepnął. - Jeżeli mnie słyszysz... Wybacz...

Z terminala nie dobiegła żadna odpowiedź.

- Niech wybaczą mi wszyscy bogowie. - Ojciec westchnął. - Byłem słaby w chwili, gdy powinienem okazać siłę. I przez to moja córka niewinnie popełniła zło w moim imieniu. - Zadrżał. - Muszę się... oczyścić. - To słowo najwyraźniej smakowało w jego ustach jak trucizna. - I jestem pewien, że cała wieczność nie wystarczy.

Odsunął się od komputera, odwrócił i wyszedł z pokoju. Wang-mu zapłakała znowu. Głupi, bezsensowny płacz, myślała Qing-jao. Nadeszła chwila trjumfu. Tyle że Jane odebrała mi trjumpf, i w momencie, kiedy ją zwyciężyłam, to ona odniosła zwycięstwo. Odebrała mi ojca. On nie służy już bogom swym sercem, chociaż wciąż służy ciałem.

A jednak obok bólu, jaki sprawiła ta świadomość, poczuła gorące ukłucie radości. Okazałam się silniejsza od niego. Kiedy nadszedł czas próby, to ja służyłam bogom, a on załamał się, upadł, zawiódł. Jestem silniejsza, niż śmiałam o tym marzyć. Jestem godnym narzędziem w rękach bogów. Kto wie, do czego mnie teraz użyją?

*To cud, że ludzie stali się dostatecznie inteligentni, by podróżować między światami.*

*Właściwie nie. Ostatnio wiele o tym myślałem. Lotów kosmicznych nauczyli się od was. Ender twierdzi, że nie znali fizycznych podstaw, dopóki wasza pierwsza flota kolonizacyjna nie dotarła do ich systemu.*

*Czy powinniśmy zostać w domu z obawy, że nauczymy lotów kosmicznych miękkie, czworonogie, bezwłose larwy ?*

*Przed chwilą mówiłaś tak, jakbyś wierzyła, że ludzie naprawdę posiadli inteligencję.*

*Najwyraźniej posiadli.*

*Nie sądzę. Uważam, że znaleźli sposób, by udawać inteligencję.*

*Ich kosmoloty latają. Jakoś nie zauważyliśmy waszych, śmigających po świetlnych falach przestrzeni.*

*Jako rasa jesteśmy wciąż bardzo młodzi. Ale spójrz na nas. Spójrz na siebie. Oboje mamy w naszych gatunkach cztery typy istot. Młodych, którzy są bezradnymi larwami. Partnerów, którzy nie posiadają inteligencji: u ciebie to trutnie, u nas młode matki. Następnie jest wielu, bardzo wielu osobników dostatecznie inteligentnych, by wykonywać zwyczajne zajęcia manualne: to robią nasze żony i bracia, twoje robotnice. I wreszcie istoty w pełni inteligentne: my, ojcowskie drzewa, i ty, królowa kopca. Jesteśmy skarbnicą mądrości rasy, ponieważ to właśnie my mamy dość czasu na myślenie, na kontemplację. Tworzenie idei to nasze podstawowe, naczelne zajęcie.*

*Gdy tymczasem ludzie ciągle biegają wkoło jako bracia i żony. Jako robotnice.*

*Nie tylko robotnice. Ich młode też przechodzą stadium larwalne, które trwa dłużej, niż niektórzy z nich sądzą. A kiedy nadchodzi pora reprodukcji, wszyscy zmieniają się w trutnie albo małe matki: ruchome maszyny mające tylko jeden cel w życiu: odbyć stosunek i umrzeć.*

*Im się wydaje, że we wszystkich stadiach pozostają racjonalni.*

*Sami się oszukują. Nawet w najlepszym przypadku nigdy, indywidualnie, nie wznoszą się powyżej poziomu robotników fizycznych. Kto spośród nich ma dość czasu, by stać się naprawdę inteligentny ?*

*Nikt.*

*Nigdy niczego nie wiedzą. W ich krótkim życiu brakuje lat, żeby osiągnąć zrozumienie czegokolwiek. A jednak myślą, że rozumieją. Od najwcześniejszego dzieciństwa wmawiają sobie, że pojmują świat. Tymczasem naprawdę chodzi o to, że mają tylko jakieś prymitywne uprzedzenia i przesady. Kiedy dojrzewają, uczą się bardziej zaawansowanego słownictwa, którym wyrażają tę swoją bezmyślną pseudo-wiedzę. Zmuszają innych ludzi, by uznawali ich przesady za prawdę. Ale to i tak wszystko jedno. Pojedynczo, istoty ludzkie wszystkie są durniami.*

*Podczas gdy zbiorowo...*

*Zbiorowo są zbiorem durniów. Ale w całej tej bieganinie, w tym udawaniu mądrości, rzucaniu idiotycznych, na wpół zrozumiałych teorii na ten czy tamten temat, jeden czy dwóch spośród nich rzeczywiście wpada na pomysł odrobinę bliższy prawdy niż to, co dotąd wiedzieli. I drogą ślepych prób i błędów, mniej więcej w połowie przypadków, prawda wyływa na wierzch i zostaje zaakceptowana. Ludzie nadal jej nie rozumieją. Przyjmują ją tylko jako nowy przesąd, w który wierzą ślepo aż do chwili, gdy inny dureń wprowadzi kolejne udoskonalenie.*

*Twierdzisz zatem, że indywidualnie żaden z nich nie jest inteligentny, a grupy są jeszcze głupsze niż pojedyncze osobniki... Ale kiedy tak wielu głupców zajmuje się udawaniem inteligencji, nadal*

*osiągają te same rezultaty, do jakich doszłaby rzeczywiście inteligentna rasa.*

*Dokładnie.*

*Jeżeli oni są tacy głupi, a my tacy inteligentni, dlaczego mamy tylko jeden kopiec, który rozwija się, ponieważ nosiła nas istota ludzka? I dlaczego tak całkowicie był od nich uzależniony nasz naukowy i techniczny postęp?*

*Może inteligencja nie jest tak ważna, jak wszyscy sądzą.*

*Może to my jesteśmy głupcami myśląc, że cokolwiek wiemy. Może ludzie jako jedyni potrafią radzić sobie z faktem, że nigdy niczego wiedzieć nie można.*

Quara zjawiała się u mamy jako ostatnia. Sprowadził ją Sadownik, pequenino asystujący Enderowi w pracach polowych. Pełna oczekiwania cisza świadczyła wyraźnie, że Miro niczego jeszcze nie powiedział. Ale wszyscy wiedzieli, podobnie jak wiedziała Quara, po co się tu zebrali. Na pewno chodzi o Quima. Ender mógł już dotrzeć na miejsce... niedawno. I mógł zawiadomić Mira przez te przekaźniki, jakie obaj nosili.

Gdyby Quimowi nic się nie stało, nikt by ich nie wzywał. Miro po prostu by wszystkich zawiadomił.

Dlatego wiedzieli. Stojąc w drzwiach, Quara studiowała ich twarze. Ela, wyraźnie załamana. Grego zagniewany... zawsze gniewny, ten drażliwy głupiec. Olhado bez wyrazu; lśniły tylko jego metaliczne oczy. I mama. Kto zdołałby odczytać tę straszną maskę? Ból z pewnością, jak u Eli, wściekłość gorąca jak u Grega, a także zimna, nieludzka obojętność Olhada. Wszyscy nosimy twarz mamy... jedną z jej warstw. Która jej część jest mną? Gdybym potrafiła zrozumieć siebie, co bym dostrzegła w zgarbionej sylwetce mamy na krześle?

- Umarł na descoladę - oznajmił Miro. - Dziś rano. Andrew dotarł na miejsce przed chwilą.

- Nie wymawiaj tego imienia - rzekła mama. Głos brzmiał chrapliwie od nieudolnie skrywanej rozpacz.

- Zginął jak męczennik - mówił dalej Miro. - Zginął tak, jak by tego pragnął.

Mama wstała niezgrabnie - po raz pierwszy Quara uświadomiła sobie, że mama jest już stara. Szła niepewnie, aż stanęła przed Mirem, w rozkroku nad jego kolanami. I z całej siły uderzyła go w twarz.

To było nie do zniesienia. Dorosła kobieta bijąca bezbronnego kalekę, to wystarczająco straszne; ale mama bijąca Mira, który przez całe ich dzieciństwo był obrońcą i wybawcą... to nie do wytrzymania. Ela i Grego poderwali się i odciągnęli ją, usadzili z powrotem na krześle.

- Co ty robisz? - zawołała Ela. - Bicie Mira nie odda nam Quima!

- On i ten klejnot w jego uchu! - krzyknęła mama. Znowu rzuciła się w stronę Mira. Mimo jej pozornej słabości, z trudem zdołali ją powstrzymać. - Co ty możesz wiedzieć o tym, jak ludzie chcą umierać!

Quara podziwiała brata. Patrzył na mamę spokojnie, chociaż policzek poczerwieniał mu od ciosu.

- Wiem, że śmierć nie jest najgorszą rzeczą na świecie - oświadczył Miro.

- Wyjdź z mojego domu - rozkazała mama.

Miro wstał.

- Ty nie po nim rozpaczasz - rzekł. - Ty nawet nie wiesz, jaki on był.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić!

- Gdybyś go kochała, nie próbowałabyś go zatrzymywać - powiedział Miro. Głos miał cichy, mówił niewyraźnie, trudno było go zrozumieć. Słuchali w milczeniu. Nawet mama, w udręce ciszy, gdyż słowa te były straszne. - Ale ty go nie kochasz. Nie umiesz kochać ludzi. Umiesz ich tylko posiadać. A że nigdy nie zachowują się dokładnie tak, jak byś chciała, mamo, zawsze czujesz się

zdradzona. I ponieważ każdy w końcu umiera, zawsze czujesz się oszukana. Ale to ty oszukujesz, mamó. Wykorzystujesz naszą miłość do ciebie, żeby nad nami zapanować.

- Miro - rzuciła Ela.

Quara rozpoznała jej ton. Znowu byli dziećmi, a Ela starała się uspokoić Mira, skłonić do złagodzenia sądów. Quara pamiętała, jak Ela odezwała się dokładnie tak samo, kiedy ojciec zbił mamę, a Miro powiedział: „Zabiję go. Nie przeżyje tej nocy”. Teraz było tak samo. Miro mówił mamie straszne rzeczy; jego słowa miały moc zabijania. Ale tym razem Ela nie zdążyła go powstrzymać, bo te słowa już padły. Trucizna przeniknęła do mamy, szukała serca, by spalić je na popiół.

- Słyszałeś - warknął Grego. - Wynoś się stąd.

- Idę. Ale powiedziałem tylko prawdę.

Grego podszedł do Mira, chwycił go za ramiona i pchnął do drzwi.

- Nie należysz do nas - oświadczył. - Nie masz prawa niczego nam mówić.

Quara wcisnęła się między nich, spojrzała w twarz Grega.

- Jeśli Miro nie zasłużył na prawo głosu w tej rodzinie, to nie jesteśmy rodziną!

- Ty to powiedziałaś - mruknął Olhado.

- Zejdź mi z drogi - zagroził Grego.

Quara знаła ten groźny ton - słyszała go tysiące razy. Ale teraz, stojąc tak blisko, czując na twarzy jego oddech, zrozumiała, że Grego nie panuje nad sobą. Że wiadomość o śmierci Quima wstrząsnęła nim do głębi i w tej chwili nie jest chyba do końca normalny.

- Nie stoję ci na drodze - odparła. - No, dalej. Uderz kobietę. Przewróć kalekę. To leży w twojej naturze. Jesteś z natury niszczycielem. Wstyd mi, że należę do tego samego gatunku co ty, nie mówiąc już o tej samej rodzinie.

Dopiero kiedy umilkła, zdała sobie sprawę, że może posunęła się za daleko. Przez lata utarczek z bratem, po raz pierwszy naprawdę dotknęła go do żywego. To, co malowało się na twarzy Grega, budziło przerażenie.

Nie uderzył jej jednak. Wyminął ją, wyminął Mira i stanął w drzwiach, opierając dłonie o framugę. Napiął mięśnie, jakby chciał rozepchnąć ściany. A może chwycił się ścian w nadziei, że zdołają go zatrzymać.

- Nie dam ci się wyprowadzić z równowagi - powiedział. - Wiem, kto jest moim wrogiem.

A potem wybiegł przez drzwi w ciemność.

Po chwili Miro poszedł jego śladem. Nie powiedział ani słowa.

Ela odezwała się, także zmierzając do drzwi.

- Nie wiem, mamó, jakie kłamstwa sobie powtarzasz. Ale ani Ender, ani nikt inny nie zniszczył dzisiaj naszej rodziny. Ty to zrobiłaś.

Zniknęła.

Olhado wstał i wyszedł bez słowa. Quara miała ochotę dać mu w twarz. Musiałby się odezwać. Zarejestrowałaś wszystko swoimi komputerowymi oczami, Olhado? Czy wyryłeś w pamięci obraz po obrazie? Nie masz się czym chwalić. Ja mam tylko tkankę mózgową, by zapisać tę cudowną noc w historii rodziny Ribeira, ale założę się, że moje wspomnienia są równie wyraźne jak twoje.

Mama spojrzała na Quare. Twarz miała mokrą od łez. Quara próbowała, ale nie mogła sobie przypomnieć... Czy widziała kiedyś płaczącą mamę?

- Więc tylko ty zostałaś.

- Ja? - zdziwiła się Quara. - To przecież mnie zabroniłaś wstępu do laboratorium. Pamiętasz? To mnie odcięłaś od pracy mojego życia. Nie spodziewaj się teraz, że będę ci przyjaciółką.

Po czym wyszła, jak pozostali. Szła przez noc ożywiona. Usprawiedliwiona. Niech ta stara wiedźma pomyśli o tym, niech się przekona, jak przyjemnie jest czuć to, co ja przez nią czułam.

Jakieś pięć minut później, kiedy Quara dotarła już prawie do bramy, kiedy ostygł żar słusznej zemsty, zaczęła sobie uświadamiać, co właściwie zrobiła. Co zrobili wszyscy. Zostawili mamę samą. Pozwolili uwierzyć, że straciła nie tylko Quima, ale całą rodzinę. To straszne. Mama nie zasłużyła na coś takiego.

Quara zawróciła natychmiast i pobiegła w stronę domu. Była już w drzwiach, kiedy z głębi domu do salonu weszła Ela.

- Nie ma jej - oznajmiła.

- Nossa Senhora - jęknęła Quara. - Powiedziałam jej takie straszne rzeczy...

- Jak my wszyscy.

- Potrzebowała nas. Quim zginął, a my potrafiliśmy tylko...

- Kiedy uderzyła Mira, to...

Zdumiona, Quara z płaczem wtuliła się w ramiona siostry. Czy ciągle jestem dzieckiem? Tak, jestem, wszyscy jesteście, i tylko Ela umie nas pocieszyć.

- Elu, czy tylko Quim trzymał nas razem? Czy kiedy odszedł, przestaliśmy być rodziną?

- Nie wiem.

- Co teraz?

W odpowiedzi Ela chwyciła ją za rękę i wyprowadziła z domu. Quara spytała, dokąd idą, lecz Ela milczała. Ścisnęła tylko jej dłoń i ciągnęła za sobą. Quara szła bez oporu. Nie wiedziała co robić i podążając za siostrą czuła się jakoś bezpieczniej. Z początku sądziła, że szukają mamy... ale nie, Ela nie kierowała się do laboratorium ani żadnego prawdopodobnego miejsca. Cel ich drogi zaskoczył Quarę jeszcze bardziej.

Stały przed kaplicą wzniesioną pośrodku miasteczka przez mieszkańców Milagre. Kaplicą Gusta i Cidy, dziadków, ludzi, którzy pierwsi odkryli sposób powstrzymania descolady i ocalili ludzką kolonię na Lusitanii. I chociaż znaleźli środki ratujące życie zarażonych, sami umarli. Choroba była zbyt zaawansowana, by ocaliły ich nowe lekarstwa.

Ludzie czcili ich, wybudowali tę kaplicę, nazywali Os Venerados, jeszcze przed oficjalną beatyfikacją. A teraz, kiedy tylko krok dzielił oboje od kanonizacji, wolno już było się do nich modlić.

Quara ze zdziwieniem stwierdziła, że po to właśnie przyszła tu Ela. Uklękła przed kaplicą, a choć Quara nie była głęboko wierząca, poszła za przykładem siostry.

- Dziadku, babciu, módlcie się za nas. Módlcie się za duszę na-zego brata Estevao. Za dusze nas wszystkich. Niech Chrystus nam wybaczy.

Do tej modlitwy Quara przyłączyła się całym sercem.

- Chronicie waszą córkę a naszą matkę, brońcie ją od... od jej rozpacz i gniewu. Sprawcie, by zrozumiała, że ją kochamy, że wyją kochacie, że... że Bóg ją kocha, jeśli tak jest. Błagam, poproście Boga, by ją pokochał i nie pozwolił, żeby popełniła jakieś szaleństwo.

Quara nie słyszała jeszcze, by ktoś modlił się w ten sposób. Zawsze były to modlitwy wyuczone na pamięć albo spisane. Nie taki potop słów. Ale przecież Os Venerados to nie zwyczajni święci czy błogosławieni. Byli naszymi dziadkami, chociaż nigdy ich nie znaliśmy.

- Powiedzcie Bogu, że dość już tego - mówiła Ela. - Musimy znaleźć jakieś wyjście. Prosiaczki zabijają ludzi. Flota zbliża się, by nas zniszczyć. Descolada próbuje nas zgładzić. Wskażcie nam wyjście, dziadku i babciu, a jeśli nie istnieje, niech Bóg otworzy je dla nas. Bo to nie może trwać dłużej.

Cisza. Ela i Quara oddychały z wysiłkiem.

- Em nome do Pai e do Rlho e do Espirito Santo - zakończyła Ela. - Amen.

- Amem - szepnęła Quara.

Wtedy Ela objęła siostrę i razem zapłakały wśród nocy.

Valentine zdziwiła się, że na spotkaniu obecni są tylko burmistrz i biskup. Co ona tu robi? Nie ma przecież władzy, nie sprawuje żadnej funkcji.

Burmistrz Kovano Zeljezo przysunął jej krzesło. Wszystkie meble w prywatnym pokoju biskupa były eleganckie, ale krzesła miały chyba być niewygodne. Siedzenie tak krótkie, że aby w ogóle usiąść, człowiek musiał przyciskać pośladki do oparcia. A samo oparcie, proste jak kij, w ogóle nie uwzględniało kształtu ludzkiego grzbietu, i sięgało tak wysoko, że zmuszało do pochylenia głowy. Ktokolwiek usiadł na takim krześle, musiał po chwili schylić się i oprzeć ręce na kolanach.

Może o to właśnie chodzi, pomyślała Valentine. Krzesła, które każą się pokłonić w obecności Boga.

A może przesłanie jest nawet bardziej subtelne. Te krzesła sprawiały taką niewygodę, że człowiek tęsknił do mniej fizycznej egzystencji. Karały ciało, by człowiek zapragnął życia duchowego.

- Sprawiasz wrażenie zdziwionej - zauważył biskup Peregrino.

- Domyślam się, dlaczego panowie zwołali taką naradę - odparła Valentine. - Czy mam robić notatki?

- Słodka pokora - westchnął biskup. - Ale znamy twoje pisma, córko. Zgrzeszylibyśmy głupotą, nie szukając twej rady w trudnej sytuacji.

- Podzielę się radą - zapewniła Valentine. - Jednak nie żywię zbyt wielkich nadziei.

Burmistrz Kovano natychmiast przeszedł do sprawy.

- Mamy wiele problemów długoterminowych - oświadczył. - Ale niewielkie szansę na ich rozwiązanie, jeśli nie poradzimy sobie z najpilniejszym. Ostatniej nocy w domu Ribeirów miało miejsce coś, co można określić mianem kłótni...

- Dlaczego najlepsze umysły zebrały się w najbardziej niestabilnej rodzinie? - westchnął Peregrino.

- Nie są najbardziej niestabilną rodziną, księżo biskupie - zaprotestowała Valentine. - Są po prostu rodziną, której wewnętrzne wstrząsy powodują największe zamieszanie na powierzchni. W innych rodzinach zdarzają się dużo gorsze kłótnie, ale nie przywiązujecie do tego wagi, ponieważ nie ma to tak wielkiego znaczenia dla kolonii.

Biskup z mądrą miną pokiwał głową, jednak Valentine podejrzewała, że jest zirytowany. Poprawiła go na samym początku, w dodatku w błahej sprawie. Ale wiedziała, że to nie drobiazg. Jeżeli biskup i burmistrz uznają, że rodzina Ribeirów jest mniej stabilna niż w rzeczywistości, mogą stracić zaufanie do Eli, Mira albo Novinhy. A oni wszyscy byli absolutnie niezbędni, jeśli Lusitania miała przetrwać nadchodzące kryzysy. Nawiasem mówiąc, nawet najbardziej niedojrzali, Quara i Grego, mogą okazać się potrzebni. Już stracili Quima, chyba najlepszego spośród nich. Nie można odrzucać pozostałych. Jeśli jednak przywódcy Lusitanii źle osądzą Ribeirów jako grupę, wkrótce zaczną mylnie osądzać pojedyncze osoby z ich rodziny.

- Ostatniej nocy rodzina rozpadła się - kontynuował burmistrz. - Mało kto rozmawia jeszcze z pozostałymi. Próbowałem odszukać Novinhę i dopiero niedawno dowiedziałem się, że znalazła schronienie u Dzieci Umysłu Chrystusa. Nie chce nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. Ela doniosła mi, że matka zapieczętowała wszystkie pliki w laboratorium ksenobiologicznym, więc dzisiaj rano prace zupełnie ustały. Quara jest z Ela, choć trudno w to uwierzyć. Ten chłopak, Miro, przebywa gdzieś poza ogrodzeniem. Olhado siedzi w domu, a jego żona twierdzi, że wyłączył oczy.



To jego metoda zrywania kontaktu ze światem.

- Jak dotąd wszystko to świadczy, że ciężko przeżyli śmierć ojca Estevao - stwierdził Peregrino. - Muszę odwiedzić ich i wesprzeć duchowo.

- Wszystko to zupełnie normalne reakcje na cierpienie - zgodził się Kovano. - Gdyby na tym sprawa się skończyła, nie zwoływałbym tej narady. Jak powiedziałeś, wasza ekscelencjo, poradziłbyś sobie sam, jako przywódca duchowy. Nie byłbym potrzebny.

- Grego. - Valentine zauważyła, kogo zabrakło na liście burmistrza.

- Właśnie. On zareagował wizytą w barze. Nawet w kilku barach, zanim nastał świt. Każdemu na wpół pijanemu, obsesyjnemu bigotowi... a takich nam nie brakuje... opowiadał, że prosiaczki z zimną krwią zamordowały ojca Quima.

- Que Deus nos abencoe - wymruczał biskup.

- W jednym z barów doszło do awantury. Rozbite okna, połamane krzesła, dwóch ludzi w szpitalu.

- Bójka? - spytał Peregrino.

- Właściwie nie. Po prostu ogólnie dali ujście złości.

- Zatem teraz już są spokojni.

- Mam nadzieję - westchnął Kovano. - Ale awantura skończyła się dopiero o świcie. Kiedy przybył konstabl.

- Konstabl? - zdziwiła się Valentine. - Tylko jeden?

- Dowodzi ochotniczą policją - wyjaśnił burmistrz. - I ochotniczą strażą pożarną. Ustaliliśmy dwugodzinne patrole. Wyciągnęliśmy ich z łóżek. Trzeba było dwudziestu, żeby zaprowadzić porządek. W całej policji mamy około pięćdziesięciu i zwykle tylko czterech pełni służbę. Na ogół spacerują przez całą noc i opowiadają sobie dowcipy. A kilku policjantów nie na służbie było wśród ludzi demolujących bar.

- Mówi pan, że w ciężkiej sytuacji trudno na nich polegać.

- Tej nocy zachowali się wspaniale. To znaczy ci, którzy mieli dyżur.

- Ale raczej trudno oczekiwać, by opanowali prawdziwe zamieszki - oświadczyła Valentine.

- W nocy sobie poradzili - przypomniał biskup. - Dzisiaj pierwszy szok już minie.

- Wręcz przeciwnie. Dzisiaj wiadomość dotrze do wszystkich. Dowiedzą się o śmierci Quima i emocje jeszcze wzrosną.

- Być może - zgodził się burmistrz. - Ale naprawdę martwi mnie następny dzień, kiedy Andrew przywiezie ciało. Ojciec Estevao nie był szczególnie popularną postacią. Nigdy nie chodził się napić z chłopakami. Był jednak rodzajem duchowego symbolu. Jako męczennik, znajdzie więcej chętnych do pomszczenia go, niż za życia uczniów, chętnych do pójścia za jego przykładem.

- Mówisz więc, że powinniśmy urządzić skromny, prosty pogrzeb - podsumował Peregrino.

- Sam nie wiem. Może ludzie potrzebują wielkiej uroczystości, gdzie dadzą ujście swej rozpacz i uspokoją się.

- Pogrzeb nieważny - oznajmiła Valentine. - To dzisiejsza noc jest problemem.

- Dlaczego? - zdziwił się Kovano. - Minie pierwszy szok po śmierci ojca Estevao. Ciało dotrze dopiero jutro. Co z nocą?

- Dziś w nocy musicie zamknąć wszystkie bary. Zabronić sprzedaży alkoholu. Aresztować Grega i wypuścić dopiero po pogrzebie. Ogłosić godzinę policyjną od zachodu słońca i powołać na służbę wszystkich policjantów. Patrolować miasto przez całą noc, w czteroosobowych grupach, z pałkami i bronią ręczną.

- Nasza policja nie ma broni.

- Trzeba im wydać. Nie muszą jej ładować, wystarczy, że będą mieli. Pałka nie odstrasza od

dyskusji z władzą, ponieważ zawsze można uciec. Pistolet jest zachętą do dobrego zachowania.

- To ostateczne środki - zawołał biskup Peregrino. - Godzina policyjna! A co z ludźmi pracującymi na nocnych zmianach?

- Trzeba odwołać wszystko, z wyjątkiem podstawowych służb

- Wybacz, Valentine - zaprotestował Kovano. - Czy to nie przesadzona reakcja? Może nawet wywołać taką panikę, jakiej chcemy uniknąć.

- Nigdy nie widzieliście rozruchów, prawda?

- Tylko to, co zaszło wczoraj w nocy - przyznał burmistrz.

- Milagre jest małym miasteczkiem - wtrącił Peregrino. - Zaledwie piętnaście tysięcy mieszkańców. Trochę mało na prawdziwe rozruchy. Takie rzeczy zdarzają się w wielkich miastach, na gęsto zaludnionych planetach.

- Zamieszki nie zależą od liczby mieszkańców - odparła Valentine. - To funkcja gęstości zaludnienia i powszechnego strachu. Te piętnaście tysięcy ludzi tłoczy się na obszarze, który ledwie wystarcza na przedmieście dużego miasta. Wokół mają ogrodzenie... Z własnego wyboru, gdyż za ogrodzeniem żyją nieznośnie obce istoty, które uważają ten świat za swoją własność. A przecież wszyscy widzą rozległe prerie, które ludzie powinni użytkować, tyle że prosiaczki na to nie pozwalają. Miasto przeżyło epidemię, jest odcięte od innych światów, a w niedalekiej przyszłości zjawi się flota, by je zaatakować, pokonać i ukarać. I zdaniem ludzi wszystko, absolutnie wszystko jest winą prosiaczków. A wczoraj w nocy dowiedzieli się, że prosiaczki znowu zabiły, chociaż złożyły uroczystą przysięgę, że nie skrzywdzą żadnego człowieka. Grego przedstawił im barwną opowieść o zdradzie prosiaczków; ten chłopak potrafi składać słowa, szczególnie te najgorsze. Ludzie, którzy słuchali go w barze, zareagowali przemocą. Zapewniam was, że o ile nie zażegnacie groźby, dzisiaj będzie jeszcze gorzej.

- Jeśli podejmiemy tak autokratyczne działania, ludzie pomyślą, że wpadamy w panikę - stwierdził biskup.

- Uznają, że panujecie nad sytuacją. Ci spokojni poczują wdzięczność. Odzyskacie publiczne zaufanie.

- Nie wiem - westchnął Kovano. - Żaden burmistrz niczego takiego nie zrobił.

- Żaden burmistrz nie stanął wobec takiej potrzeby.

- Ludzie powiedzą, że skorzystałem z pretekstu, bo chcę zostać dyktatorem.

- Może powiedzą - przyznała Valentine.

- Nie uwierzą, że wybuchłyby zamieszki.

- Więc przegrasz najbliższe wybory. Co z tego?

Peregrino zaśmiał się głośno.

- Ona mówi jak kleryk - zauważył.

- Chętnie przegram wybory, jeśli tylko postąpię właściwie - oświadczył z urazą Kovano.

- Po prostu nie jesteś przekonany, czy to właściwe postępowanie - domyśliła się Valentine.

- Przecież nie masz pewności, że naprawdę wybuchną dzisiaj rozruchy.

- Owszem, mam - rzekła Valentine. - Obiecuję, że jeśli już teraz nie podejmiecie stanowczych kroków i nie wykluczycie możliwości zbierania się tłumów nocą, przegrasz o wiele więcej niż tylko wybory.

Biskup ciągle chichotał.

- Trudno uwierzyć, że to słowa tej samej kobiety, która obiecała podzielić się radą, chociaż nie żywi wielkich nadziei.

- Jeśli sądzicie, że przesadzam, to co proponuje ksiądz biskup?

- Wieczorem odprawię mszę żałobną za ojca Estevo. Będę się modlił o spokój i opanowanie.

- To sprowadzi do katedry tych, którzy i tak by nie uczestniczyli w zamieszkach.

- Nie rozumiesz, jak ważna jest wiara dla mieszkańców Lusitanii - odparł Peregrino.

- A ksiądz nie rozumie, jakiego spustoszenia może dokonać strach i wściekłość, jak szybko zapomina się o religii, cywilizacji i zwykłej przyzwoitości, kiedy tworzy się tłuszcza.

- Zarządę alarm w policji - zdecydował burmistrz. - Połowę wyślę na patrol, od zmroku do północy. Ale nie zamknę barów i nie ogłoszę godziny policyjnej. Chcę, żeby wszystko toczyło się jak zawsze. Jeśli zaczniemy wszystko zmieniać i zamykać lokale, damy im tylko więcej powodów do wściekłości i strachu.

- Dacie im przekonanie, że władza panuje nad sytuacją - odparła Valentine. - Podejmiecie działania proporcjonalne do uczuć, jakie ich dręczą. Uznają, że ktoś coś robi.

- Jesteś bardzo mądra - przyznał biskup. - To byłoby najlepszą radą dla wielkiego miasta, zwłaszcza na planecie nie tak wiernej naukom chrześcijaństwa. My jednak jesteśmy zaledwie wioską i ludzie tu są pobożni. Dziś potrzebują otuchy i pocieszenia, nie godzin policyjnych, zamkniętych barów, pistoletów i patroli.

- Wy dokonujecie wyboru. Jak obiecałam, dzielę się z wami radą.

- Jesteśmy za to wdzięczni. Bądź pewna, że dziś wieczorem będę się miał na baczności.

- Dziękuję za zaproszenie - rzekła Valentine. - Ale sami widzicie, że niewiele z tego wyszło.

Wstała z krzesła, obolała po długim siedzeniu w tej niewygodnej pozycji. Nie pochyliła się, ani nie skłoniła głowy. Nawet teraz, kiedy biskup wyciągnął rękę do ucałowania. Mocno uściśnęła dłoń jemu, potem burmistrzowi Kovano. Jak równi. Jak obcy.

Wyszła rozgorączkowana. Ostrzegła ich i powiedziała, co należy zrobić. Ale jak większość przywódców, którzy nigdy jeszcze nie stanęli wobec prawdziwego kryzysu, i oni właściwie nie wierzyli, że dzisiejsza noc będzie się czymś różnić od wszystkich innych. Ludzie wierzą naprawdę tylko w to, co sami widzieli. Jutro Kovano uwierzy w godziny policyjne i zamknięte bary w chwilach społecznych niepokojów. Ale wtedy będzie za późno. Wtedy pozostanie tylko liczenie ofiar.

Ile grobów trzeba będzie wykopać obok mogiły Quima? I czyje ciała do nich złożyć?

Valentine była tu obca i nie знаła prawie nikogo, nie mogła jednak pogodzić się z nieuchronnym wybuchem. Miała tylko jedno wyjście. Musi porozmawiać z Gregiem. Przekonać go o powadze wydarzeń. Gdyby on sam chodził dzisiaj od baru do baru, doradzał cierpliwość, apelował o spokój, wtedy może udałoby się powstrzymać rozruchy. Tylko on mógł tego dokonać. Znali go. Wiedzieli, że jest bratem Quima. To jego słowa doprowadziły ich wczoraj do wściekłości. Słuchaliby go i sytuację można by uspokoić, wyciszyć, rozładować. Musi znaleźć Grega.

Gdyby tylko był tu Ender. Ona jest historykiem; on naprawdę prowadził ludzi do bitwy. Właściwie dzieci. Prowadził dzieci. Ale to wszystko jedno... on by wiedział, co robić. Dlaczego nie ma go teraz? Dlaczego spada to na nią? Ona nie radzi sobie z przemocą i walką. Nigdy tego nie potrafiła. Dlatego przecież urodził się Ender, trzecie dziecko poczęte na zlecenie rządu w epoce, kiedy za więcej niż dwoje rodzicom groziły straszliwe sankcje karne. Ponieważ Peter był zbyt okrutny, a ona, Valentine, zbyt łagodna.

Ender przemówiłby do rozsądku burmistrzowi i biskupowi. A gdyby nie, wiedziałby, jak samemu przejść po mieście, uspokoić ludzi, zapanować nad sytuacją.

Ale chociaż pragnęła, by był teraz przy niej, wiedziała, że i on nie zdołałby odwrócić tego, co miało się zdarzyć. Może nie wystarczyłoby nawet to, co zaproponowała. Oparła swoje przewidywania na wszystkim, co widziała i czytała na wielu różnych światach, w różnych wiekach. Płomień ostatniej nocy dzisiaj z pewnością rozniesie się szerzej. Ale teraz zaczynała się poważnie

obawiać, że sytuacja jest jeszcze gorsza, niż z początku przypuszczała. Ludzie na Lusitaniu zbyt długo żyli w obcym świecie, nie dając ujścia swoim lękom. Każda inna kolonia rozprzestrzeniała się natychmiast, zajmowała swoją planetę, w przeciągu kilku pokoleń brała całą w posiadanie. Tutaj wciąż wszyscy żyli w małym obozie, jak w zoo; przerażające, podobne do świń istoty obserwowały ich zza krat. Bardzo trudno ocenić, co w ciągu całego tego czasu nagromadziło się w umysłach tych ludzi. I chyba nie da się tego powstrzymać, nawet na jeden dzień.

Wiele lat temu śmierć Liba i Pipa była tragedią. Ale wtedy chodziło o naukowców, którzy pracowali z prosiaczkami. To jak przy katastrofie samolotu albo eksplozji statku kosmicznego. Jeśli na pokładzie pozostała tylko załoga, ludzie nie przejmowali się tak bardzo. Załozdę płacono za podejmowane ryzyko. Dopiero kiedy ginęli cywile, wypadki budziły strach i złość. A w opinii mieszkańców Lusitaniu, Quim był właśnie niewinnym cywilem.

Nie, więcej nawet: był człowiekiem świętym, niosącym płomień braterstwa i wiary, nie zasługującym na to pół-zwierzętom. Zamordowanie go to nie tylko bestialstwo i okrucieństwo, to również świętokradztwo.

Biskup Peregrino nie mylił się: ludzie na Lusitaniu byli bardzo pobożni. Zapominał tylko, jak reagują tacy ludzie na obrazę swego boga. Nie zapamiętał lekcji z historii chrześcijaństwa, myślała Valentine. A może po prostu wierzył, że takie rzeczy skończyły się wraz z wyprawami krzyżowymi. Jeżeli katedra istotnie stanowi ośrodek życia Milagre, jeśli ludzie oddani są swoim kapłanom, dlaczego Peregrino wyobraził sobie, że furia po zamordowaniu księdza znajdzie ujście w zwykłej modlitwie? Rozwścieczy ich zachowując się tak, jakby śmierć Quima nie była niczym ważnym. Pogarszał sytuację, zamiast ją łagodzić.

Wciąż szukała Grega, kiedy usłyszała bicie dzwonów. Wezwanie na modły. Ale to przecież nie jest zwykła pora mszy. Zaskoczeni ludzie podnoszą głowy, zastanawiają się: czemu biją w dzwony? A potem przypominają sobie: ojciec Estevao nie żyje. Ojciec Quim zginął, zamordowany przez prosiaczki. Tak, Peregrino, doskonały pomysł z tymi dzwonami. Pomoże ludziom uwierzyć, że nic się nie stało, że jest tak jak zawsze.

Od wszystkich mądrych ludzi obroń nas, Panie.

Miro leżał skulony w zgięciu korzenia Człowieka. Wczorajszej nocy prawie nie spał. Teraz leżał nieruchomo, a bracia kręcili się wokół niego, kije wybijały rytm na pniach Człowieka i Korzeniaka. Miro słyszał rozmowy i rozumiał większą część. Wprawdzie nie opanował jeszcze płynnie Języka Ojców, ale bracia nie próbowali ukrywać swych gorączkowych dyskusji. Przecież był Mirem. Ufali mu. Wiedział, jak są zagniewani i przestraszeni.

Ojcowskie drzewo imieniem Podżegacz zabiło człowieka. I to nie zwykłego człowieka - on i jego plemię zamordowali ojca Estevao, po Mówcy Umarłych najukochańszą z ludzkich istot. To niewyobrażalne. Co mają robić? Obiecali Mówcy, że nie będą ze sobą walczyć, ale jak inaczej mogą ukarać plemię Podżegacza i pokazać ludziom, że pequeninos potępiają tę zbrodnię? Wojna jest jedynym rozwiązaniem: wszyscy bracia ze wszystkich plemion muszą zaatakować las Podżegacza i wyciąć wszystkie drzewa prócz tych, które sprzeciwiały się jego planom.

A ich matczyne drzewo? Tutaj wciąż trwała gorąca dyskusja: czy wystarczy zabić wszystkich braci i drzewa-wspólników w lesie Podżegacza, czy też powinni ścinać także matczyne drzewo, żeby nasienie Podżegacza nigdy już nie mogło zapuścić korzeni w glebę tego świata? Pozostawiać go przy życiu, by mógł patrzeć na zagładę swego plemienia, a potem spalać. To najstraszniejszy rodzaj egzekucji i jedyny przypadek, gdy pequeninos używali ognia w granicach lasu.

Miro słyszał to wszystko. Chciał do nich przemówić, chciał powiedzieć: na co to teraz? Ale

wiedział, że nic nie powstrzyma pequeninos. Zbyt byli rozgniewani. Po części z powodu śmierci Quima, ale też ze wstydu. Łamiąc pakt, Podżegacz zhańbił ich. Ludzie już nigdy nie zaufają pequeninos, jeśli ci nie zniszczą Podżegacza i jego plemienia.

Decyzja zapadła. Jutro rano wszyscy bracia wyruszą w drogę do lasu Podżegacza. Minie wiele dni, nim się zbiorą, ponieważ musi to być wspólny czyn wszystkich lasów na świecie. Kiedy będą gotowi, a las Podżegacza otoczony ze wszystkich stron, wtedy zniszczą go tak, by nikt się nigdy nie domyślił, że kiedyś rósł w tym miejscu.

Ludzie to zobaczą. Satelity pokażą, jak pequeninos karzą tchórzliwych morderców i tych, co nie dotrzymują układów. Wtedy ludzie znowu zaufają pequeninos. Wtedy pequeninos będą mogli bez wstydu podnieść głowę w obecności ludzi.

Miro stopniowo uświadamiał sobie, że nie tylko pozwalają mu słuchać swoich rozmów i dyskusji. Dbali o to, by słyszał i rozumiał wszystko. Chcą, żebym zaniósł wiadomość do miasta. Chcą, żebym wytłumaczył ludziom, w jaki sposób pequeninos zamierzają ukarać morderców Quima.

Czy nie rozumieją, że teraz jestem tu obcy? Kto mnie posłucha, kalekiego chłopca z przeszłości, który tak wolno mówi i tak trudno go zrozumieć? Nie zdołam wpłynąć na innych ludzi. Nawet nad własnym ciałem ledwie panuję.

A jednak musiał spróbować. Wstał powoli, wyplątując się spomiędzy korzeni Człowieka. Postara się. Pójdzie do biskupa Peregrino i opowie, co planują pequeninos. Biskup powtórzy wszystkim, a wtedy ludzie poczują się lepiej wiedząc, że tysiące niewinnych noworodków pequenino zginie, by zapłacić za śmierć jednego człowieka.

W końcu, czym są dzieci pequeninos? Zwykłymi larwami, żyjącymi w mrocznym wnętrzu matczynego drzewa. Tym ludziom nigdy nie przyjdzie do głowy, że niewielka jest moralna różnica między masowym mordem dzieci pequeninos a rzezią niewinnych króla Heroda po narodzinach Jezusa. Im chodzi o sprawiedliwość. Wobec niej, czym jest całkowita zagłada plemienia pequeninos?

Grego: stoję pośrodku trawiastego placu, wśród rozbudzonego tłumu, a każdy z nich połączony jest ze mną napiętym, niewidzialnym kablem, tak że moja wola stanowi ich wolę, moje usta głoszą ich słowa, ich serca biją w moim rytmie. Nie znałem tego uczucia, takiego życia, bycia częścią grupy, jak teraz, i nie tylko częścią, ale umysłem, ośrodkiem. Moja jaźń ich ogarnia, mój gniew jest ich gniewem, ich ręce moimi rękami, ich oczy widzą tylko to, co im wskażę.

Rozpala mnie rytm: kadencja inwokacji, odpowiedzi, inwokacji, odpowiedzi:

- Biskup każe modlić się o sprawiedliwość, ale czy to nam wystarczy?

- Nie!

- Pequeninos obiecują, że sami zniszczą las, który zamordował mojego brata, ale czy im wierzymy?

- Nie!

Kończą za mnie zdania; kiedy przerywam, by nabrać tchu, oni krzyczą za mnie, tak że mój głos nigdy nie cichnie, lecz wznosi się z gardeł pięciuset mężczyzn i kobiet. Biskup przyszedł do mnie, pełen spokoju i cierpliwości. Burmistrz przyszedł do mnie, grożąc policją, zamieszkami, napomykając o więzieniu. Valentine przyszła do mnie, lodowaty intelekt, mówiąc o odpowiedzialności. Wszyscy oni znają moją siłę, o której sam nie wiedziałem, siłę, która zrodziła się, kiedy przestałem ich słuchać i w końcu powiedziałem ludziom, co mam w sercu. Prawda jest moją siłą. Przestałem oszukiwać ludzi i dałem im prawdę, a teraz, proszę: oto kim się stałem, kim staliśmy się razem.

- Jeśli ktoś ma ukarać tę świnię, co zabiła Quima, to tylko my. Ludzkie ręce muszą pomścić ludzkie życie! Mówią, że morderców skazali na śmierć... ale tylko my mamy prawo wskazać kata! My musimy do-pilnować, by wyrok został wykonany!

- Tak! Tak!

- Pozwolili, żeby mój brat cierpiąc konał na descoladę! Patrzyli, jak jego ciało wypala się od środka! A teraz my spalimy ich las na popiół!

- Spalić ich! Ogień! Ogień!

Proszę, jak zapalają zapałki, jak wrywają kępki trawy i rozpalają je. Jakież płomień wspólnie rozniecimy!

- Jutro wyruszymy z ekspedycją karną...

- Dzisiaj! Dzisiaj! Zaraz!

- Jutro! Nie możemy jechać zaraz... musimy zabrać wodę i zapasy...

- Zaraz! Dzisiaj! Palić!

- Mówię wam: nie dotrzemy tam w ciągu jednej nocy. To setki kilometrów stąd. Trzeba paru dni, żeby...

- Prosiaczki są zaraz za ogrodzeniem!

- Nie ci, którzy zabili Quima...

- To wszystko mordercze dranie!

- Przecież to ci zabili Liba, nie?

- Zabili Pipa i Liba!

- Wszyscy to mordercy!

- Spalić ich!

- Spalić ich wszystkich!

- Lusitania dla nas, nie dla zwierząt!

Czy oni poszaleli? Jak mogą sądzić, że pozwoli im pozabijać tych prosiaczków... przecież niczego nie zrobili.

- To Podżegacz! Podżegacza i jego las musimy ukarać!

- Ukarać ich!

- Zabić prosiaczki!

- Palić!

- Ogień!

Chwila ciszy. Przerwa. Okazja. Wymyśl odpowiednie słowa. Myśl, jak ich odzyskać... wyslizgują się. Byli częścią mojego ciała, mojego umysłu, a teraz wyslizgują się. Jeden spazm i straciłem panowanie, jeśli w ogóle nad nimi panowałem; co mogę powiedzieć w tym ułamku sekundy, by przywrócić im rozum?

Za długo. Za długo się zastanawiał. Dziecięcy głos przerwał moment ciszy - głos chłopca, który nie dorósł jeszcze, właśnie taki niewinny głos, jaki mógł wrzący w ich sercach święty gniew doprowadzić do wybuchu, do erupcji nieodwracalnego działania. Krzyknęło dziecko.

- Za Quima i Chrystusa!

- Quim i Chrystus! Quim i Chrystus!

- Nie! - ryknął Grego. - Czekać! Nie możecie tego zrobić!

Biegną dookoła niego, przewracają go. Staje na czworakach, ktoś przydeptuje mu dłoń. Gdzie jest ten stołek, z którego przemawiał? Tutaj, trzymać go, bo mnie stratują, zabiją jeśli nie wstanę, muszę ruszyć z nimi, wstać i iść z nimi, biec z nimi, bo mnie zmiażdżą.

I nagle zniknęli, minęli go, wrzeszcząc i krzycząc, tupot nóg przesunął się z trawiastego placu na

trawiaste ulice, małe płomyki wzniesione w górę, głosy wołające „Ogień!” i „Spalić” i „Quim i Chrystus!”, wszystkie dźwięki i obrazy płynące jak strumień lawy z placu w stronę lasu, który czekał na pobliskim wzgórzu.

- Boże wielki, co oni robią!

To Valentine. Grego klęczał przy stołku, opierał się na nim, a obok stała Valentine patrząc, jak odpływają z zimnego, pustego krateru, z miejsca, gdzie wybuchł pożar.

- Grego, coś ty narobił, ty zarozumiały sukinsynu?

Ja?

- Chciałem ich poprowadzić na Podżegacza. Chciałem ich poprowadzić po sprawiedliwość.

- Jesteś fizykiem, ty młodociany idioto. Nie słyszałeś o zasadzie nieoznaczoności?

- Fizyka cząstek. Fizyka filotyczna.

- Fizyka tłumu, Grego. Nie kierowałeś nimi. To oni tobą kierowali. A teraz wykorzystali cię i za chwilę zniszczą las naszych najlepszych przyjaciół, naszych adwokatów wśród pequeninos. I co wtedy zrobimy? To wojna między ludźmi i pequeninos, chyba że okażą nieludzkie opanowanie. I to będzie nasza wina.

- Podżegacz zabił Quima.

- To zbrodnia. Ale to, co ty rozpętałeś, Grego, to potworność.

- To nie ja zrobiłem!

- Biskup Peregrino doradzał ci. Burmistrz Kovano ostrzegał. Ja cię błagałam. Nikogo nie chciałeś słuchać. Zrobiłeś to, mimo wszystko.

- Ostrzegałaś przed rozruchami, nie przed tym...

- To są rozruchy, durniu! Gorzej niż rozruchy. To pogrom. Masakra. Rzeź dzieci. To pierwszy krok na długiej, strasznej drodze do ksenocydu.

- Nie możesz mnie o to oskarżać!

Jej twarz jest taka straszna w blasku księżyca, w świecie padającym z drzwi i okien barów.

- Oskarżam cię tylko o to, co zrobiłeś. Mimo ostrzeżeń rozpalisz ogień w gorący, suchy, wietrzny dzień. I o to cię obwiniam. A jeśli nie podejmiesz odpowiedzialności za wszystkie konsekwencje własnych czynów, to niegodny jesteś życia w społeczności ludzi i mam nadzieję, że na zawsze stracisz wolność.

Odeszła. Gdzie? Co robić? Nie może zostawić go samego. To nieuczciwe, zostawiać go samego. Jeszcze przed chwilą był taki wielki, z pięciuset sercami, umysłami, ustami, z tysiącem dłoni i stóp. A teraz wszystko zniknęło, jakby to wielkie nowe ciało umarło, a on pozostał niby drżące widmo człowieka, samotny, wiotki robak ducha pozbawiony silnego ciała, którym władał. Nigdy jeszcze nie był tak przerażony. Prawie go zabili w swym pędzie, by go opuścić... prawie wdeptali w trawę.

Ale należeli do niego. To on ich stworzył, zmienił w jeden tłum, i chociaż nie pojęli, w jakim celu to czynił, wciąż kierowała nimi wściekłość, jaką on rozbudził, i plan, jaki on umieścił w ich głowach. Źle wymierzili, to wszystko. Poza tym robili dokładnie to, czego od nich oczekiwał. Valentine miała rację - on za to odpowiadał. To, co czynią teraz, on sprawił równie pewnie, jak gdyby biegł teraz na czele i wskazywał drogę.

Co może zrobić?

Zatrzymać ich. Znowu nad nimi zapanować. Stanąć przed tłumem i błagać, żeby się powstrzymali. Przecież nie po to pobiegli, by spalić daleki las obłąkanego ojcowskiego drzewa Podżegacza. Chcieli urządzić rzeź pequeninos, których znał, chociaż za bardzo nie lubił. Musi im przeszkodzić; inaczej będzie miał na rękach krew ofiar, niby żywicę, której nie da się zmyć ani zetrzeć... plamę, która pozostanie już na zawsze.

Ruszył biegiem, podążając za błotnistym pasmem ich śladów na ulicach, szlakiem wdeptanej w ziemię trawy. Biegł, aż poczuł kłucie w boku, do miejsca, gdzie zatrzymali się, żeby wyłamać ogrodzenie... Dlaczego nie ma pola destrukcyjnego, kiedy jest potrzebne? Dlaczego nikt go nie włączył? I dalej, gdzie płomienie strzelały już ku niebu.

- Stójcie! Zgaście ogień!
- Spalić!
- Za Quima i Chrystusa!
- Gińcie, świnie!
- Tam jeden ucieka!
- Zabić go!
- Spalić!
- Drzewa są wilgotne... ogień ich nie bierze.
- Bierze!
- Ściąć to drzewo!
- Tam jest następny!
- Uwaga, te małe dranie atakują!
- Połamać je!
- Dawaj tę kosę, jeśli sam jej nie używasz!
- Rozerwać tę świnie!
- Za Quima i Chrystusa!

Krew tryska szerokim łukiem i ochlapuje twarz Grega, gdy skacze do przodu, by im przeszkodzić. Czy go znałem? Znałem głos tego pequenino, zanim rozpadł się w krzyk agonii i śmierci? Już się nie dowiem. Zabili go. Ją. Zabili ją. Żonę. Nigdy nie widzianą żonę. W takim razie jesteśmy już blisko środka lasu, a ten olbrzym to matczyne drzewo.

- Tam stoi drzewo-morderca! Od razu widać!

Na brzegach polany, gdzie wyrastał ogromny pień, mniejsze drzewa zaczęły się pochylać, przewracać, łamać u korzeni. Przez sekundę Grego myślał, że to ludzie je ścinają, ale spostrzegł, że nikogo nie ma w pobliżu. Łamały się same, rzucały ku śmierci, by swymi pniami i konarami zmiażdżyć ludzkich morderców, by ratować matczyne drzewo.

Przez chwilę im się udawało. Ludzie krzyczeli w bólu, dziesięciu czy dwudziestu przygniotły lub uwięziły padające drzewa. Ale wreszcie runęły wszystkie, które mogły, a matczyne drzewo wciąż stało na środku polany. Pień falował dziwnie, jakby kurczyły się jelita, jakby przełykał.

- Zostawcie je! - krzyknął Grego. - To matczyne drzewo! Jest niewinne!

Zagłuszyły go jednak wołania rannych i uwięzionych, krzyki grozy, gdy uświadomili sobie, że las potrafi odpowiedzieć ciosem, że to nie krwawa zabawa w sprawiedliwość i odwet, ale prawdziwa wojna i obie strony są groźne.

- Spalić je! Spalić je!

Krzyk zagłuszał jęki uwięzionych. Liście i gałęzie zwalonych drzew wyciągały się w stronę matczynego drzewa; rozpalali je, a one zajmowały się płomieniem. Kilku ludzi zrozumiało, że ogień pochłaniający matczyne drzewo spali też rannych pod braterskimi drzewami. Próbowali ich ratować. Jednak większość ogarnęło szaleństwo tryumfu. Dla nich matczyne drzewo było Podżegaczem, zabójcą; było wszystkim, co obce w tym świecie, wrogiem, który zamknął ich wewnątrz ogrodzenia, rządcą, bez powodu trzymającym ich na małym skrawku ziemi, na tak rozległej planecie. Matczyne drzewo było oprawcą i władcą, dziwactwem i zagrożeniem. A teraz je pokonali.

Grego zadrzał, słysząc wołania uwięzionych, widzących zbliżające się płomienie, wrzaski tych,



których ogień dosięgnął, tryumfalną pieśń ludzi, którzy dokonali tego mordu.

- Za Quima i Chrystusa! Za Quima i Chrystusa!

Niewiele brakowało, by rzucił się do ucieczki. Nie mógł znieść tego, co widział, czuł i słyszał: jaskrawych, pomarańczowych płomieni, zapachu palonego ciała, trzasku żywego drzewa w ogniu.

Ale nie uciekł. Wraz z innymi pracował na samej granicy pożaru, by wydobyć rannych spod gałęzi. Był poparzony, raz zajęło się na nim ubranie, ale ostry ból nie miał znaczenia, był niemal łaską, gdyż stanowił karę, na jaką zasłużył. Powinien zginąć w tym miejscu. Może nawet zrobiłby to, rzucił się w ogień, by już stamtąd nie wyjść, póki nie oczyści się ze zbrodni, póki nie pozostaną po nim tylko kości i popiół... Ale ranni ludzie wciąż czekali, by wyrwać ich z pożaru, wciąż były istnienia, które powinien ratować. Poza tym, ktoś stłumił ogień na jego ramieniu, pomógł unieść drzewo, by leżący pod nim chłopiec wyczołgał się na wolność, i jak mógł umrzeć, gdy był tego częścią, gdy ratował dziecko?

- Za Quima i Chrystusa! - wystękał chłopiec, odsuwając się dalej od płomieni.

To on, ten malec, którego słowa wypełniły ciszę i skierowały tutaj tłum. Ty to zrobiłeś, pomyślał Grego. Ty oderwałeś ich ode mnie. Chłopiec podniósł głowę i poznał go.

- Grego! - krzyknął i skoczył do niego. Ramionami objął go za uda, głowę przytulił do biodra. - Wujek Grego! Najstarszy syn Olhada. Nimbo.

- Pokazaliśmy im! - oświadczył Nimbo. - Za wujka Quima!

Trzaskały płomienie. Grego podniósł chłopca i zataczając się wyniósł go poza zasięg pożaru i dalej w ciemność, do miejsca, gdzie trwał chłód. Wszyscy ludzie zmierzali w tę stronę, spychani przez ogień, przez wiatr pędzący płomienie. Większość była jak Grego: wyczerpani, przestraszeni, poparzeni w pożarze albo przy ratowaniu innych.

Niektórzy jednak, być może wielu, pozostali nietknięci - chyba że wewnętrznym ogniem, jaki rozniecili na placu Grego i Nimbo.

- Spalić je wszystkie! - Głosy tu i tam, mniejsze grupy jak drobne wiry w szerokim strumieniu... lecz teraz nieśli gałęzie, pochodnie z płonącego serca lasu. - Za Quima i Chrystusa! Za Liba i Pipa! Żadnych drzew! Żadnych drzew!

Grego chwiejnie ruszył naprzód.

- Postaw mnie - poprosił Nimbo. Naprzód.

- Sam mogę chodzić.

Ale zadanie było zbyt pilne. Nie mógł zatrzymać się dla Nimba, nie mógł pozwolić, by chłopiec szedł sam, nie mógł na niego czekać i nie mógł zostawić tutaj. Nie zostawia się w płonącym lesie syna własnego brata. Dlatego niósł chłopca, a po chwili, wycieńczony, z rękami i nogami obolałymi z wysiłku, z ramieniem niczym białe słońce cierpienia w miejscu oparzenia, wynurzył się z lasu na trawiastą przestrzeń przed dawną bramą, gdzie ścieżka wybiegała spomiędzy drzew na spotkanie drogi z laboratorium ksenobiologów,

Tutaj zebrał się tłum. Wielu trzymało żagwie, ale z jakiegoś powodu nie zbliżali się do dwóch samotnych drzew, stojących na warcie:

Człowieka i Korzeniaka. Grego przecisnął się między ludźmi. Wciąż niósł Nimba. Serce biło mu jak oszalałe, wypełniał strach i gniew, ale jarzyła się też iskierka nadziei. Wiedział już, dlaczego zatrzymali się ludzie z żagwiami. A kiedy dotarł przed front tłumu, przekonał się, że miał rację.

Około dwustu żon i braci pequenino zebrało się wokół dwóch ostatnich ojcowskich drzew. Byli mali i nie mieli szans, jednak spoglądali wyzywająco. Będą walczyć, aż zginą, ale nie dopuszczą, by spłonęły te dwa drzewa... Ale spłoną, jeśli tłuszczą tego zechce, gdyż pequeninos nie zdołają przeszkodzić ludziom pragnącym mordem.

Jednak między prosiaczkami a ludźmi stał Miro, niby olbrzym w porównaniu z pequeninos. Nie miał broni, ale rozłożył ręce, jakby chciał ich osłonić, a może powstrzymać. I chrapliwym, niezrozumiałym głosem rzucał wyzwanie tłuszczy.

- Zabijcie mnie najpierw! - powiedział. - Lubicie mordować! Zabijcie mnie! Jak oni zabili Quima. Zabijcie!

- Nie ciebie - odpowiedział jeden z ludzi, z pochodnią w ręku. - Ale te drzewa muszą zginać. I wszystkie te prosiaczki, jeśli nie mają dość rozumu, żeby uciekać.

- Ja pierwszy - powtórzył Miro. - To moi bracia. Najpierw ja.

Mówił głośno i powoli, żeby zrozumieli. Tłum wciąż płonął gniewem, przynajmniej niektórzy. Wielu jednak miało już dość, wielu wstydziło się, odkrywając w głębi serc potworne czyny, jakich dokonali dzisiejszej nocy, kiedy oddali swe dusze władaniu tłumem. Grego nadal to wyczuwał, nadal był z nimi złączony. Wiedział, że mogą przechylić się w jedną lub drugą stronę: ci rozpaleni furją potrafią jeszcze wzniecić ostatni pożar... albo przeważą ci, którzy ostygli, których rozgrzewał tylko rumieniec wstydu.

Miał ostatnią szansę częściowego przynajmniej odkupienia swych win. Dlatego wystąpił, z Nimbem na rękach.

- Mnie też - zawołał. - Mnie też zabijcie, zanim podniesiecie rękę przeciw tym braciom i tym drzewom.

- Z drogi, Grego, razem z tym kaleką!

- Jeśli ich zabijecie, czym będziecie się różnić od Podżegacza? Grego stanął obok Mira.

- Z drogi! Spalimy ostatnich i skończymy z tym. Lecz w głosie nie było już takiej pewności.

- Za wami szaleje pożar - powiedział Grego. - Zbyt wielu już zginęło ludzi i pequeninos. - Mówił chrapliwie, oddech miał urywany od gryzącego dymu w płucach. Ale słyszeli go. - Las, który zabił Quima, rośnie daleko stąd, a Podżegacz nadal stoi nietknięty. Dzisiejszej nocy nie dokonała się sprawiedliwość. To był mord i masakra.

- Prosiaczki to prosiaczki!

- Tak? Podobałoby się wam, gdyby było na odwrót? - Grego zbliżył się do jednego z mężczyzn; wyglądał na zmęczonego, niechętnego dalszemu zabijaniu. Zwrócił się wprost do niego, wskazując rzecznika tłumem. - Ty! Chciałbyś ponieść karę za to, co on uczynił? - Nie - mruknął pytany.

- Gdyby on kogoś zabił, czy uznałbyś za sprawiedliwe, żeby ktoś inny przyszedł nocą do twojego domu, zabił twoją żonę i dzieci?

- Nie. - Kilka głosów razem.

- Dlaczego nie? Ludzie to ludzie, prawda?

- Nie zabijałem żadnych dzieci - oświadczył rzecznik. Teraz próbował się bronić. „My” zniknęło. Był już tylko człowiekiem, był samotny. Tłum rozpływał się, rozpadał.

- Spaliliśmy matczyne drzewo - rzekł Grego.

Za jego plecami zabrzmiał piskliwy dźwięk, kilka cichych, wysokich jęków. Dla braci i ocalałych żon jego słowa były potwierdzeniem najgorszych obaw. Matczyne drzewo spłonęło.

- To wielkie drzewo pośrodku lasu... w jego wnętrzu były wszystkie ich dzieci. Wszystkie. Las nie zrobił nam żadnej krzywdy, a my przyszliśmy i wymordowaliśmy ich dzieci.

Miro postąpił o krok, położył dłoń na ramieniu Grega. Opierał się na nim? Czy go podtrzymywał?

Miro przemówił... nie do Grega, ale do tłumem.

- Wy wszyscy. Wracajcie do domów.

- Może powinniśmy zgasić pożar - zaproponował Grego. Ale cały las stał już w ogniu.

- Wracajcie - powtórzył Miro. - Nie wychodźcie za ogrodzenie. Gniew nie wygaśnie jeszcze do

końca.

- Jakie masz prawo nam rozkazywać?

- Nie wychodźcie poza ogrodzenie - powiedział Miro. - Ktoś inny przybędzie, żeby bronić pequeninos.

- Kto? Policja?

Ludzie zaśmiali się z goryczą, ponieważ wielu z nich było policjantami albo widziało policjantów wśród tłumu.

- Już są - rzekł Miro.

Rozległo się niskie brzęczenie, z początku ciche, ledwie słyszalne wśród huku płomieni, potem coraz głośniejsze. W polu widzenia pojawiło się pięć śmigaczy. Okrążyły tłum, przemykając tuż nad trawą: czasem czarne na tle płonącego lasu, czasem błyszczące odbiciem płomieni. Wreszcie zatrzymały się; wszystkie pięć opadło na trawę. Dopiero wtedy ludzie zaczęli rozróżniać ciemne kształty. Z każdej latającej platformy powstało sześciu pasażerów. To, co ludzie brali za lśniące maszyny zamontowane na śmigaczach, okazało się żywymi istotami, nie tak dużymi jak ludzie, ale i większymi od pequeninos, z wielkimi głowami i wielościennymi oczami. Nie wykonały żadnego groźnego ruchu, po prostu ustawiły się w szeregu przed śmigaczami. Jednak gesty nie były potrzebne. Wystarczył sam ich widok, budzący wspomnienia dawnych koszmarów i opowieści grozy.

- Deus nos perdoe! - krzyknęło kilka osób. Boże, przebacz nam. Spodziewali się śmierci.

- Wracajcie do domów - polecił Miro. - Nie wychodźcie poza ogrodzenie.

- Kto to jest? - Dziecięcy głos Nimba przemówił w imieniu wszystkich.

Odpowiedziały mu szepty.

- Diabły.

- Anioły zagłady.

- Śmierć.

I wreszcie prawda, z ust Grega, gdyż on wiedział, kim są te istoty.

- Robale - oznajmił. - Robale tutaj, pod Milagre.

Nie rzucili się do ucieczki. Odeszli, oglądając się lękliwie, cofając przed tymi dziwnymi istotami, których obecności nikt nie podejrzewał, których potęgi mogli się tylko domyślać albo pamiętać z dawnych wideo, oglądanych jeszcze w szkole. To były robale, które kiedyś zniszczyły niemal całą ludzkość, póki ich z kolei nie zglądził Ender Ksenobójca. Książka nazywana Królową Kopca głosiła, że w rzeczywistości były piękne i nie musiały ginąć. Ale teraz, patrząc na błyszczące, czarne egzozskielety, na tysiące soczewek w lśniących zielonych oczach, ludzie nie widzieli piękna, lecz grozę. A kiedy wrócą do domu, będą wiedzieć, że to one, nie karłowate, zacofane prosiaczki, czekają za ogrodzeniem. Jeśli do tej pory żyli w więzieniu, teraz znaleźli się w jednym z kręgów piekła.

W końcu tylko Miro, Grego i Nimbo pozostali pod dwoma drzewami. Wokół nich prosiaczki obserwowały przybyszów z podziwem... ale bez lęku, gdyż nie znały owadzych koszmarów przyczajonych w systemie nerwowym i podświadomości ludzi. Poza tym robale przybyły jako zbawcy i obrońcy. Ale przede wszystkim pequeninos odczuwały nie ciekawość, a ból po tym, co utraciły.

- Człowiek prosił królową kopca o pomoc, ale powiedziała, że nie może zabijać ludzi - wyjaśnił Miro. - Potem Jane z satelitów zauważyła pożar i zawiadomiła Andrew Wiggina. Porozmawiał z królową kopca i wytłumaczył jej, co ma zrobić. Żeby nie musiała nikogo zabijać.

- Nie pozabijają nas? - spytał Nimbo.

Grego pojął, że przez ostatnie kilka minut Nimbo czekał na śmierć. A potem uświadomił sobie, że on także. Dopiero po wyjaśnieniu Mira upewnił się, że tamci nie przylecieli, by wymierzyć karę za

to, czego on i Nimbo dopuścili się dzisiejszej nocy. A raczej, co on puścił w ruch tak, że wystarczyło najłżejsze pchnięcie. I Nimbo, w swej niewinności, pchnął.

Grego ukląkł powoli i postawił chłopca na ziemi. Ręce miał prawie całkiem zdrętwiałe, a ból w ramieniu był nie do zniesienia. Zapłakał, ale nie z cierpienia.

Robale poruszyły się i szybko przystąpiły do akcji. Większość została na ziemi. Odbiegły, zajmując pozycje wokół miasta. Kilka wróciło do śmigaczy, po jednym na każdą maszynę. Przeleciały nad płonącym lasem i żarzącą się trawą, spryskując je czymś, co pokryło i stopniowo ugasiło ogień.

Biskup Peregrino stał na niskim fundamencie, wzniesionym dopiero dzisiejszego ranka. Na trawie usiedli ludzie z Milagre. Zebrali się wszyscy, co do jednego. Biskup używał małego wzmacniacza, by wszyscy słyszeli jego słowa. Chociaż nie było to potrzebne. Panowała niczym nie zmacona cisza. Posępny nastrój ogarnął nawet małe dzieci.

Za biskupem był las: poczerniały, ale nie całkiem bez życia. Kilka drzew zazieleniło się. Przed nim, każde obok swego grobu, leżały ciała. Najbliższe były zwłoki Quima, ojca Estevao. Pozostałe należały do ludzi, którzy zginęli dwa dni temu - pod drzewami albo w płomieniach.

- Te groby staną się podłogą kaplicy. Wchodząc tutaj, będziemy szli po ciałach umarłych. Ciałach tych, którzy zginęli, niosąc mord i zniszczenie naszym braciom pequeninos. I ciele ojca Estevao, który umarł, niosąc słowo Jezusa Chrystusa lasowi heretyków. Umarł jako męczennik. Tamci umarli ze zbrodnią w sercach i krwią na rękach. Mówię to szczerze, by Mówca Umarłych nic już nie musiał po mnie dodawać. Mówię szczerze, jak Mojżesz mówił do dzieci Izraela, kiedy oddali cześć złotemu cielcowi i odrzucili przymierze z Bogiem. Z nas wszystkich garstka tylko nie jest winna tej zbrodni. Ojciec Estevao zmarł czysty, a jednak jego imię powtarzały bluźnierczo usta morderców. Mówca Umarłych i ci, co wyruszyli z nim, by przywieźć ciało zamęzonego kapłana. I Valentine, siostra Mówcy, która ostrzegała burmistrza i mnie przed tym, co nastąpi. Valentine zna historię, zna ludzi, jednak burmistrz i ja wierzyliśmy, że znamy was, że jesteście silniejsi od historii. Hańba nam, gdyż upadliśmy tak, jak inni. I ja także. Grzech spada na każdego z nas, kto mógł to powstrzymać, ale nie uczynił tego. Na mężczyzn, którzy patrzyli w milczeniu. Na żony, które nie starały się zatrzymać mężów w domu. I na tych, którzy trzymając w dłoniach pochodnie mordowali plemię naszych braci chrześcijan, mszcząc się za zbrodnię, popełnioną przez ich dalekich kuzynów o pół kontynentu stąd.

Prawo stara się na swój sposób pomóc sprawiedliwości. Gerao Gregorio Ribeira von Hesse jest w więzieniu, ale za inne przewinienie. Za przestępstwo nadużycia zaufania, za zdradzenie sekretów, które nie do niego należały. Nie siedzi w więzieniu za masakrę pequeninos, ponieważ jego wina nie jest większa niż was wszystkich, którzyście za nim poszli. Czy mnie rozumiecie? Winni jesteśmy wszyscy i wszyscy musimy żałować za grzech, wszyscy musimy odpokutować i modlić się do Chrystusa, by wybaczył nam tę straszną zbrodnię, popełnioną z jego imieniem na ustach!

Stoję na fundamentach nowej kaplicy poświęconej ojcu Estevao, Apostołowi Wśród Pequenirios. Płyty tych fundamentów wyrwane są z murów naszej katedry... Zieją w niej teraz dziury, przez które dmuchać może wiatr i padać na nas deszcz podczas mszy. I taką katedra pozostanie, zraniona i okaleczona, póki nie ukończymy tej kaplicy. A jak ją ukończymy? Wróćcie wszyscy do siebie, i każdy rozbierze jedną ścianę domu, pozbiera cegły, które wypadną, i przyniesie je tutaj. I wy także pozostawicie swe domy rozbitymi, póki nie ukończymy tej kaplicy.

Potem wyrwiemy cegły ze ścian każdej fabryki, każdego budynku naszej kolonii, aby nie pozostał żaden, który nie ukazuje ran naszego grzechu. I rany te pozostaną, aż ściany urosną dość wysokie, by położyć dach. A jego belki i słupki zrobimy z tych zwęglonych drzew, co padły w lesie, broniąc

swych pobratymców przed rękami zbrodniarzy.

A wtedy przyjdziemy tu, my wszyscy, i wejdziemy na kolanach, jeden po drugim. Aż każdy z nas przejdzie w pokorze po ciałach naszych martwych i pod ciałami tych pradawnych braci, co trwali jako drzewa w trzecim życiu, jakie Pan nasz miłosierny im podarował, a myśmy odebrali. I wszyscy będziemy się modlić o wybaczenie. Będziemy się modlić do naszego czcigodnego ojca Estevao, by wstawił się za nami. Będziemy się modlić do Chrystusa, by nasze straszliwe winy zawarł w swym odkupieniu, byśmy nie musieli spędzić całej wieczności w piekle. Będziemy się modlić, by Bóg nas oczyścił.

Dopiero wtedy naprawimy nasze mury, uleczymy domy. To jest naszą pokutą, dzieci moje. Módlmy się, by okazała się wystarczająca.

Pośrodku zaśnieją popiołem polany Ender, Valentine, Miro, Ela, Quara, Quanda i Olhado stali patrząc, jak najbardziej szanowana z żon jest ćwiartowana żywcem i sadzona w ziemi, by z ciała drugiego życia wyrosła w nowe maczyne drzewo. A kiedy umierała, ocalałe żony sięgnęły w szczelinę starego drzewa, wybierając martwe noworodki i małe matki, które tam żyły. Układały je na krwawiącym cieple, aż utworzyły kopczyk. Za kilka godzin jej pęd sięgnie przez zwłoki do światła.

Wykorzystując ich materię, będzie rosła szybko, póki nie osiągnie dostatecznej wysokości i grubości, by otworzyć jamę w swoim pniu. Jeśli wyrośnie odpowiednio prędko, jeśli otworzy się na czas, kilka ocalałych dzieci pełzających po ścianach otwartej jamy starego maczynego drzewa będzie można umieścić w nowej przystani, jaką stanie się młode. Jeśli któreś z dzieci okaże się małą matką, przeniosą ją do ocalałych ojcowskich drzew, Korzeniaka i Człowieka, dla zapłodnienia. Jeśli nowe dzieci zrodzą się w ich małych ciałach, wtedy przeżyje las, który poznał najlepsze i najgorsze cechy ludzkiej rasy.

Jeśli nie... jeśli wszystkie dzieci będą samcami, co jest możliwe, jeśli samice okażą się bezpłodne, co jest możliwe, albo jeśli wszystkie poranił żar ognia, który pochłonął pień maczynego drzewa, albo jeśli zbyt osłabły przez te dni głodu, jakie miną, nim nowe maczyne drzewo będzie dla nich gotowe... wtedy las umrze, gdy umrą ci bracia i żony. Człowiek i Korzeniak będą żyć jeszcze przez tysiąc lat jako bezplemienne ojcowskie drzewa. Być może inne plemiona uhonorują ich i przyniosą małe matki. Może. Ale nie będą ojcami własnego plemienia, otoczonymi przez swoich synów. Będą samotnymi drzewami bez własnego lasu, jedynymi pomnikami dzieła, dla którego żyli: współistnienia ludzi i pequeninos.

Co do wściekłości na Podżegacza, ta minęła. Ojcowskie drzewa Lusitanii zgodziły się, że moralny dług zaciągnięty śmiercią ojca Estevao został z nadwyżką spleacony masakrą lasu Korzeniaka i Człowieka. Co więcej, Podżegacz zyskiwał zwolenników swej herezji. Czy bowiem ludzie nie wykazali, że nie są godni miłości Chrystusa? To pequeninos, twierdził Podżegacz, zostali naznaczeni, by nieść Ducha Świętego, gdy istoty ludzkie najwyraźniej nie miały w sobie Boga. Nie musimy już zabijać ludzi, nauczał. Musimy tylko czekać, aż Duch Święty pozabija ich wszystkich. Tymczasem Bóg zesłał nam królową kopca, żeby zbudowała kosmoloty. Poniesiemy Ducha Świętego, by osądził wszystkie światy. Będziemy aniołem zagłady. Będziemy Jozue i Izraelitami, którzy oczyścili Canaan, by zrobić miejsce narodowi wybranemu przez Boga.

Wielu pequeninos wierzyło mu teraz. Podżegacz już nie wydawał im się szalony; w płomieniach trawiących niewinny las widzieli pierwsze drgnięcia apokalipsy. Wielu pequeninos uznało, że ludzkość nie nauczy ich już niczego więcej. Istoty ludzkie nie były już Bogu potrzebne.

Tu jednak, na polanie w lesie, po kostki w popiołach, bracia i żony trzymające straż nad nowym maczynym drzewem nie dawali posłuchu doktrynie Podżegacza. Oni, którzy najlepiej ze wszystkich

poznali ludzi, wezwali ich nawet, by pomagali i byli świadkami prób odrodzenia.

- Ponieważ wiemy - wyjaśnił Sadownik, który był teraz rzecznikiem ocalałych braci - że nie wszyscy ludzie są tacy sami, jak i nie wszyscy pequeninos są tacy sami. Chrystus żyje w niektórych, a w innych nie. Nie każdy z nas jest jak las Podżegacza, i nie każdy z was jest mordercą.

Dlatego stało się tak, że Sadownik trzymał za ręce Mira i Valentine owego dnia, tuż przed świtem, kiedy matczyne drzewo zdołało otworzyć szczelinę w smukłym pniu. Żony ostrożnie przeniosły do nowego domu słabe, wygłodniałe dzieci. Trudno było cokolwiek przewidzieć, ale istniała nadzieja: nowe matczyne drzewo było gotowe w ciągu półtora dnia, a ponad trzy tuziny dzieci przeżyły do przeprowadzki. Aż tuzin spośród nich może się okazać płodnymi samicami, i jeśli choćby czwarta ich część urodzi młode, las znowu rozkwitnie.

Sadownik drżał ze wzruszenia.

- Bracia nigdy jeszcze tego nie widzieli - powiedział. - W całej historii świata.

Kilku braci uklękło i żegnało się. Wielu modliło się podczas czuwania. Valentine przypomniało to o czymś, co mówiła jej Quara.

- Ela też się modliła - szepnęła Mirowi.

- Ela?

- Przed pożarem. Quara była z nią przy kaplicy Os Yenerados. Modliła się, żeby Bóg owtworzył drogę do rozwiązania naszych problemów.

- Każdy się o to modli.

Valentine pomyślała o wszystkim, co zdarzyło się po modlitwie Eli.

- Przypuszczam, że jest rozczarowana odpowiedzią, jakiej Bóg jej udzielił.

- Ludzie zwykle są rozczarowani.

- Ale może to... że matczyne drzewo otworzyło się tak prędko... może to jest początkiem odpowiedzi. Miro przyjrzał się jej ze zdziwieniem.

- Jesteś wierząca?

- Powiedzmy, że jestem podejrzewająca. Podejrzewam, że może istnieć ktoś, kto troszczy się o to, co nas czeka. To o krok wyżej niż pragnąć. A o krok niżej niż mieć nadzieję.

Miro uśmiechnął się lekko i Valentine nie była pewna, czy ten uśmiech oznacza zadowolenie, czy rozbawienie.

- I co Bóg teraz robi, w odpowiedzi na modlitwę Eli?

- Poczekamy i zobaczymy - odparła Valentine. - Do nas należy decyzja, co my zrobimy. Mamy do rozwiązania tylko najgłębsze sekrety wszechświata.

- No cóż, to już naprawdę boska sprawa - stwierdził Miro. Po chwili zjawiała się Quanda. Jako ksenolog także uczestniczyła w czuwaniu, i chociaż teraz nie miała dyżuru, natychmiast przekazano jej wieść o otwarciu matczynego drzewa. Jej przybycie oznaczało zwykle szybkie zniknięcie Mira. Jednak nie tym razem. Valentine zauważyła z radością, że wzrok Mira ani nie śledzi, ani nie unika Quandy. Kobieta była po prostu obecna, podobnie jak on pracowała z pequeninos. Z pewnością ta normalność była nieco wymuszona. Jednak Valentine z doświadczenia wiedziała, że normalność zawsze jest udawana, a ludzie bez przerwy odgrywają role, jakie ich zdaniem powinni wypełniać. Miro osiągnął po prostu etap, kiedy potrafił zagrać normalne stosunki z Quandą, choćby były całkowicie sprzeczne z jego prawdziwymi uczuciami. Zresztą, może nie aż tak sprzeczne. Quanda jest dwa razy starsza od niego. To już nie ta dziewczyna, którą kochał.

Kochali się, ale nigdy ze sobą nie spali. Valentine ucieszyła się, gdy Miro jej to wyznał, choć mówił z gniewem i żalem. Już dawno zaobserwowała, że w społeczeństwach wymagających czystości i wierności, jak Lusitania, młodzi, którzy hamowali się i kontrolowali swe młodzieńcze

emocje, wyrastali na ludzi jednocześnie silnych i cywilizowanych. Ci, co byli albo za słabi, by nad sobą zapanować, albo zbyt pogardzali społecznymi normami, by próbować, zwykle stawali się owcami albo wilkami: albo bezmyślnymi członkami stada, albo drapieżcami, którzy biorą wszystko, nie dając nic w zamian.

Kiedy pierwszy raz spotkała Mira, obawiała się, że jest płaczącym nad sobą słabeuszem albo egoistycznym drapieżcą, nienawidzącym swych ograniczeń. Na szczęście okazało się inaczej. Może żałuje dawnej cnotliwości. To naturalne, chciałby połączyć się fizycznie z Quandą, gdy sam był jeszcze silny, a oboje w odpowiednim wieku. Ale Valentine nie żałowała. Miro dowiódł tym swej wewnętrznej siły i poczucia odpowiedzialności wobec społeczeństwa. Valentine nie zaskoczył fakt, że Miro, zupełnie sam, powstrzymał tłum na ten decydujący moment, który ocalił Korzeniaka i Człowieka.

Nie zaskoczyło jej także, że teraz Miro i Quanda z wysiłkiem udawali, że są po prostu dwojgiem ludzi wykonujących swoje obowiązki... że ich stosunki są zupełnie normalne. Wewnętrzna siła i zewnętrzny szacunek. Tacy ludzie utrzymują społeczność w ryzach, przewodzą. W przeciwieństwie do owiec i wilków, spełniają rolę ważniejszą niż wyznacza im scenariusz lęków i żądz. Realizują scenariusz przyzwoitości, poświęcenia, honoru... cywilizacji. A gra staje się rzeczywistością. Jeśli w ludzkiej historii można dostrzec cywilizację, pomyślała Valentine, istnieje ona tylko dzięki takim ludziom. Pasterzom.

Novinha spotkała go w drzwiach szkoły. Wspierała się na ramieniu Dony Cristy, od przybycia Endera na Lusitanię czwartego pryncypała Dzieci Umysłu Chrystusa.

- Nie mam ci nic do powiedzenia - oświadczyła. - Według prawa wciąż jesteśmy małżeństwem, ale to wszystko.

- Nie zabiłem twojego syna - powiedział Ender.  
- Ale nie ocaliłeś go - odparła.  
- Kocham cię.  
- Tylko tak, jak jesteś zdolny do miłości. A i to jedynie wtedy, kiedy zostanie ci wolna chwila po zatroszczeniu się o wszystkich innych. Myślisz, że jesteś jakimś aniołem stróżem i odpowiadasz za cały wszechświat. A ja chciałam tylko, żebyś wziął odpowiedzialność za moją rodzinę. Świetnie ci idzie kochanie ludzi bilionami, ale dziesiątkami już nie tak dobrze, a z jedną kobietą zupełnie sobie nie radzisz.

To był surowy wyrok. Wiedział, że nieprawdziwy, ale nie przyszedł tu, żeby się kłócić.

- Proszę cię, wróć do domu - rzekł. - Kochasz mnie i potrzebujesz tak samo jak ja ciebie.  
- Teraz to jest mój dom. Przestałam potrzebować ciebie i kogokolwiek innego. Jeśli tylko to chciałeś powiedzieć, to marnujesz czas mój i swój.

- Nie, to nie wszystko. Czekala.  
- Pliki w laboratorium. Zapieczętowałaś je. Musimy rozwiązać problem descolady, zanim wirus nas pozabija. Uśmiechnęła się drwiąco i gorzko.

- Dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Jane potrafi chyba obejść moje hasła.  
- Nie próbowała - odparł.  
- Na pewno, żeby mnie nie urazić. Ale potrafi, nie?  
- Prawdopodobnie.  
- Więc niech się tym zajmie. Tylko jej teraz potrzebujesz. Ja nigdy nie byłam ci naprawdę potrzebna. Przecież miałeś ją.  
- Staralem się być dla ciebie dobrym mężem - powiedział Ender. - Nie twierdziłem, że potrafię

ochronić cię od wszystkiego, ale robiłem co mogłem.

- Gdybyś się starał, mój Estevao żyłby jeszcze.

Odwróciła się, i Dona Crista odprowadziła ją korytarzem. Ender spoglądał za nimi, póki nie zniknęły za zakrętem. A potem zawrócił i opuścił szkołę. Nie był pewien, dokąd zmierza; wiedział tylko, że musi tam dotrzeć.

- Przykro mi - odezwała się cicho Jane.

- Tak - mruknął.

- Kiedy odejdziesz, może Novinha wróci do ciebie.

- Nie odejdziesz, jeśli zdołam temu jakoś zaradzić. - Ale nie zdołasz. Wyłączą mnie za dwa miesiące.

- Zamknij się - burknął.

- Taka jest prawda.

- Zamknij się i pozwól mi myśleć.

- I co? Masz zamiar mnie teraz ratować? W roli zbawcy nie wypadłeś ostatnio najlepiej.

Nie odpowiedział, a ona nie odzywała się przez resztę popołudnia. Wyszedł za bramę, ale nie zbliżał się do lasu. Spędził ten dzień na trawie, samotny, pod gorącym słońcem.

Czasem próbował myśleć o problemach, które wciąż go nękały: zbliżająca się flota, data odłączenia Jane, descolada bezustannie usiłująca zgładzić wszystkich ludzi na Lusitanii... Plany Podżegacza, by rozprzestrzenić descoladę w całej galaktyce i ponure nastroje w mieście, ponieważ królowa kopca utrzymywała stałe posterunki wokół ogrodzenia, a ludzie w ramach pokuty burzyli ściany swoich domów.

Czasami zaś jego umysł wolny był od wszelkich myśli, a Ender stał, siedział albo leżał na trawie, zbyt odrętwiały, by szlochać. Jej twarz pojawiała się we wspomnieniach, wargi i język formowały jej imię, błagały bezgłośnie. Wiedział, że choćby je wypowiedział, choćby krzyczał, choćby sprawił, że usłyszy jego głos, nie odpowie.

Novinha.



*Są wśród nas tacy, którzy uważają, że należy powstrzymać badania ludzi nad descoladą. Descolada jest sercem naszego cyklu życiowego. Boimy się, że odkryją sposób, by zabić ją na całej planecie, a to zniszczy nas w ciągu jednego pokolenia.*

*A jeśli wam uda się zablokować te badania, descoladą zglądzi ich w ciągu kilku lat.*

*Czy naprawdę jest taka groźna? Dlaczego nie mogą jej neutralizować?*

*Ponieważ descoladą nie mutuje losowo, zgodnie z prawami natury. Adaptuje się w sposób inteligentny, aby nas zniszczyć.*

*Nas? Ciebie?*

*Bez przerwy z nią walczymy. Nie w laboratoriach, jak ludzie, ale w naszych organizmach. Zanim złożę jaja, następuje faza, kiedy przygotowuję je do produkcji wszystkich przeciwciał, jakich będą potrzebować przez całe życie. Kiedy descoladą przekształca się, wiemy o tym, gdyż robotnice zaczynają umierać. Wtedy organ w pobliżu moich jajników tworzy nowe przeciwciała i składamy jaja nowych robotnic, odpornych na zmienioną descoladę.*

*Czyli ty również próbujesz ją zniszczyć. Nie. Ten proces jest całkowicie instynktowny. Ma miejsce w ciele królowej kopca, bez udziału świadomości. Nie potrafimy wyjść poza walkę z aktualnym zagrożeniem. Nasz system immunologiczny jest o wiele bardziej skuteczny i zdolny do adaptacji niż u człowieka. Ale jeśli descoladą nie zostanie zniszczona, w końcu czeka nas taki sam los jak ludzi. Różnica polega na tym, że jeśli nas zglądzi descoladą, w całym wszechświecie nie ma drugiej królowej kopca, która przedłużyłaby gatunek. My jesteśmy ostatnie.*

*Wasz przypadek jest jeszcze bardziej dramatyczny niż ich. A my jesteśmy jeszcze bardziej bezradne. Nie znamy nauk biologicznych, jedynie prostą uprawę. Nasze naturalne metody walki z chorobami były tak skuteczne, że w przeciwieństwie do ludzi nigdy nie doświadczyliśmy potrzeby, by zrozumieć życie i zapanować nad nim.*

*Czy tak być musi? Albo my zginiemy, albo zginiesz ty i ludzie. Jeśli descolada przetrwa, zabije ciebie. Jeśli nie przetrwa, my umrzemy.*

*To jest wasz świat. Descolada żyje w waszych ciałach. Jeśli przyjdzie czas wyboru między wami a nami, wy przetrwacie.*

*Mówisz we własnym imieniu, przyjaciółko. Ale co zrobią ludzie?*

*Jeśli znajdą metodę zniszczenia descolady w taki sposób, który spowoduje również waszą zagładę, zabronimy im go wykorzystać.*

*Zabronisz im? A czy ludzie kiedykolwiek posłuchali? Nigdy nie zabraniamy, jeśli nie mamy też władzy, by powstrzymać.*

*Aha.*

*To jest wasz świat. Ender wie o tym. Gdyby inni nie pamiętali, my im przypomnimy. Mam jeszcze jedną sprawę.*

*Pytaj.*

*Co z takimi jak Podżegacz, którzy chcą roznieść descoladę po wszechświecie? Czy im także zabronisz?*

*Nie wolno im zanieść descolady do żadnego świata, gdzie istnieje już życie na poziomie wielokomórkowym.*

*Ale oni to właśnie chcą zrobić.*

*Nie wolno im.*

*Czyli zabraniasz?*

*Nigdy nie zabraniamy, jeśli nie mamy też władzy, by powstrzymać.*

*To dlaczego wciąż budujesz te statki ?*

*Zbliża się ludzka flota. Ma broń zdolną unicestwić ten świat. Ender jest pewien, że jej użyją.*

*Czy mamy współpracować z nimi i pozostawić całe wasze dziedzictwo genetyczne na tej jednej planecie, gdzie można was zetrzeć jednym uderzeniem ?*

*Dlatego budujesz dla nas kosmoloty, wiedząc, że niektórzy z nas mogą wykorzystać je w celach niszczycielskich?*

*Wy odpowiadacie za to, jak wykorzystacie loty kosmiczne. Jeśli będziecie wrogami życia, to i życie stanie się waszym wrogiem. Przekażemy statki wam wszystkim, jako rasie. Wtedy wy, jako rasa, postanowicie, kto zostanie, a kto opuści Lusitanię.*

*Jest duża szansa, że grupa Podżegacza uzyska wtedy większość. Że to oni będą podejmować te decyzje.*

*Czy zatem mamy uznać, że ludzie słusznie próbują was zniszczyć? Może Podżegacz ma rację. Może to ludzie zasługują na zagładę. Jakie mamy prawo, by rozsądzać między wami? Oni z Systemem Destrukcji Molekularnej. Wy z descoladą. Każdy ma moc zniszczenia drugiego, każda rasa zdolna jest do takiej potwornej zbrodni, a jednak w każdej istnieją osobniki, które nigdy świadomie nie dopuszczą do tego zła i które zasługują na życie. Nie będziemy wybierać. Po prostu zbudujemy statki i pozwolimy, żebyście wy i ludzie sami wypracowali swoją przyszłość.*

*Mogłabyś nam pomóc. Mogłabyś nie oddawać statków w ręce grupy Podżegacza i utrzymywać kontakty tylko z nami. Wojna domowa wśród was byłaby straszna. Czy tylko dlatego, że się nie zgadzacie, zniszczylibyście ich dziedzictwo genetyczne? Kto zatem jest potworem i zbrodniarzem? Jak mamy was rozsądzić, skoro obie strony aprobują całkowitą zagładę innego ludu ?*

*Zatem nie ma nadziei. Ktoś musi zginąć. Chyba że naukowcy ludzi znajdą taką odmianę descolady, która umożliwi waszemu gatunkowi przetrwanie, a jednocześnie utraci moc zabijania. Jak to możliwe?*

*Nie jesteśmy biologami. Tylko ludzie są do tego zdolni. W takim razie nie możemy im przeszkadzać w badaniach. Musimy im pomóc. Nie mamy wyboru, chociaż prawie zniszczyli nasz las. Musimy pomóc.*

*Wiedziatyśmy, że dojdiesz do takiego wniosku.*

*Wiedziałaś?*

*Właśnie dlatego budujemy statki dla pequeninos. Ponieważ zdolni jesteście do mądrości.*

Kiedy do bogosłyszających z Drogi dotarła wieść o odnalezieniu Floty Lusitańskiej, zaczęli odwiedzać domostwo Hań Fei-tzu, by złożyć mu wyrazy podziwu.

- Nie przyjmę ich - oświadczył Hań Fei-tzu.

- Musisz, ojczu - rzekła Hań Qing-jao. - Chcą pogratulować ci sukcesu.

- W takim razie powiem im, że to wyłącznie twoje dzieło, a ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Nie! - zawołała Qing-jao. - Nie wolno ci tego robić.

- Co więcej, powiem też, że uważam to za wielką zbrodnię, która spowoduje śmierć szlachetnego ducha. Powiem, że bogosłyszający Drogi są niewolnikami okrutnej i bezlitosnej władzy, i że musimy wszystkie siły poświęcić obaleniu Kongresu.

- Nie każ mi tego słuchać! - jęknęła Qing-jao. - Nikomu nie mógłbyś czegoś takiego powiedzieć.

To prawda. Si Wang-mu obserwowała z kąta pokoju, jak oboje, ojciec i córka, rozpoczynają rytuał oczyszczenia: Hań Fei-tzu za swe buntownicze słowa, a Hań Qing-jao za to, że je słyszała.

Oczywiście, że przy obcych mistrz Hań niczego by nie powiedział. Gdyby nawet spróbował, wiedzieliby, że natychmiast musi się oczyścić, i uznaliby to za wystarczający dowód, że bogowie zaprzeczają jego słowom. Ci naukowcy, którzy zostali wynajęci przez Kongres do stworzenia bogosłyszających, dobrze wykonali swoją robotę. Nawet znając prawdę, Hań Fei-tzu był zupełnie bezradny.

Dlatego to Qing-jao wychodziła na spotkanie wszystkim gościom, którzy zjawiali się w domu, i w imieniu ojca przyjmowała wyrazy uznania. Wang-mu towarzyszyła jej przez kilka pierwszych wizyt. Ale nie mogła wytrzymać, gdy Qing-jao raz po raz opowiadała, jak to wraz z ojcem odkryła istnienie programu komputerowego, działającego w filotycznej sieci ansibli, i jak zamierzają zniszczyć ten program. Oczywiście, w głębi serca Qing-jao nie wierzyła, że popełnia morderstwo. Ale co innego wiedzieć o tym, a co innego słuchać, jak się tym morderstwem przechwala.

Bo Qing-jao właśnie się przechwalała, chociaż tylko Wang-mu zdawała sobie z tego sprawę. Qing-jao zawsze ojcu przypisywała zasługę, jednak Wang-mu wiedziała, że wszystkiego dokonała Qing-jao. Kiedy więc mówiła o tym dziele jako godnej służbie bogom, tak naprawdę wychwalała samą siebie.

- Proszę, nie każ mi słuchać tego więcej - zwróciła się do niej Wang-mu.

Qing-jao przyglądała jej się przez chwilę, osądzała ją.

- Odejdź, jeśli musisz - odparła wreszcie zimno. - Widzę, że nadal pozostajesz w niewoli naszego wroga. Nie jesteś mi potrzebna.

- Oczywiście, że nie - przyznała Wang-mu. - Masz przecież bogów. Lecz mówiąc to, nie potrafiła ukryć gorzkiej ironii.

- Bogów, w których nie wierzysz - rzekła zgryźliwie Qing-jao. - Naturalnie, do ciebie nigdy nie przemówili. Czemu miałabyś wierzyć? Skoro takie jest twoje życzenie, zwalniam cię z funkcji mojej sekretnej drużyny. Wracaj do rodziny.

- Jeśli taka jest wola bogów.

Tym razem, mówiąc o bogach, nie próbowała nawet maskować goryczy.

Była już na drodze, kiedy Mu-pao ruszyła za nią. Była stara i gruba, nie mogła więc liczyć, że pieszo doścignie Wang-mu. Jechała na osiołku i wyglądała śmiesznie, kopiąc piętami boki zwierzęcia. Osły, lektyki, wszystkie te rekwizyty dawnych Chin - czy bogosłyszający naprawdę uważają, że takie demonstracje czynią ich bardziej świątobliwymi? Dlaczego nie używają zwyczajnie śmigaczy i poduszkowców, jak porządni ludzie ze wszystkich innych światów? Wtedy Mu-pao nie musiałaby się poniżać, podskakując i huśtając się na zwierzęciu, który cierpi pod takim ciężarem? Aby w miarę możliwości oszczędzić jej zakłopotania, Wang-mu zawróciła i spotkała się z nią w połowie drogi.

- Mistrz Hań Fei-tzu nakazuje ci wrócić - oznajmiła Mu-pao.

- Przekaż mistrzowi Hań, że jest łaskawy i dobry, ale moja pani mnie odprawiła.

- Mistrz Hań mówi, że panienka Qing-jao ma prawo odprawić cię jako swoją sekretną drużynę, ale nie odprawić z jego domu. Z nim zawarłaś kontrakt, nie z nią.

To prawda. Wang-mu nie pomyślała o tym.

- Prosi, żebyś wróciła - dodała Qing-jao. - Kazał mi też powiedzieć, żebyś powróciła z litości, jeśli nie uczynisz tego z posłuszeństwa.

- Przekaż mu, że będę posłuszna. Nie powinien prosić kogoś tak nisko stojącego jak ja.

- Będzie zadowolony.

Wang-mu ruszyła obok osiołka Mu-pao. Szły bardzo wolno, dla większej wygody Mu-pao, a osiołka także.

- Nie widziałam go jeszcze tak zdenerwowanego - mówiła Mu-pao.

- Pewnie nie powinnam ci o tym opowiadać. Ale zupełnie oszalał, kiedy zawiadomiłam go, że odeszłaś.

- Czy bogowie przemawiali do niego?

Byłaby rozgoryczona wiedząc, że mistrz Hań przywołał ją z powrotem tylko dlatego, że z nieznanых powodów zażądał tego tkwiący w jego mózgu dozorca.

- Nie - odparła Mu-pao. - Było zupełnie inaczej. Oczywiście, nigdy nie widziałam, jak to wygląda, kiedy bogowie do niego przemawiają.

- Oczywiście.

- Po prostu nie chciał, żebyś odchodziła.

- W końcu i tak mnie pewnie odeśle - westchnęła cicho Wang-mu.

- Ale chętnie mu wyjaśnię, czemu jestem całkowicie nieprzydatna dla Rodu Hań.

- Och, naturalnie - mruknęła Mu-pao. - Nigdy nie byłaś przydatna. Ale to nie znaczy, że nie jesteś potrzebna.

- Co masz na myśli?

- Szczęście może w równej mierze zależeć od rzeczy bezwartościowych, jak i użytecznych.

- Czy to myśl któregoś z dawnych mędrców?

- To myśl starej, grubej kobiety na osle. I zapamiętaj ją sobie.

Kiedy Wang-mu została sama z mistrzem Hanem w jego pokoju, nie dostrzegła żadnego śladu zdenerwowania, o którym wspomniała Mu-pao.

- Rozmawiałem z Jane - poinformował. - Uważa, że lepiej, byś została, skoro również wiesz o jej istnieniu i wierzysz, że nie jest nieprzyjacielem bogów.

- Teraz więc będę służyła Jane? - spytała Wang-mu. - Zostanę jej sekretną druzną?

Nie chciała, by jej słowa zabrzmiały ironicznie. Intrygująca była myśl o zostaniu sekretną druzną nieludzkiej osobowości. Lecz Hań Fei-tzu zareagował, jakby chciał załagodzić urazę.

- Nie - rzekł. - Nie będziesz niczyją służącą. Zachowałam się dzielnie i godnie.

- A jednak wezwałeś mnie, bym dopełniła kontraktu. Mistrz Hań skłonił głowę.

- Wezwałem cię, gdyż jesteś jedyną, która zna prawdę. Jeśli odejdziesz, zostanę sam w tym domu.

Wang-mu już miała odpowiedzieć: jak możesz być sam, kiedy jest tutaj twoja córka? I jeszcze kilka dni temu nie byłoby to okrucieństwem, gdyż mistrz Hań i panienska Qing-jao byli przyjaciółmi tak bliskimi, jak to tylko możliwe dla ojca i córki. Teraz jednak wyrósł między nimi mur nie do pokonania. Qing-jao żyła w świecie, w którym zwyczajnie służyła bogom i starała się zachować cierpliwość wobec chwilowego obłędu ojca. Mistrz Hań zaś w świecie, gdzie jego córka i całe społeczeństwo byli niewolnikami przewrotnego Kongresu, a on jedyny znał prawdę. Jak mogą porozumieć się ze sobą nad tak szeroką i głęboką przepaścią?

- Zostanę - obiecała Wang-mu. - Będę ci służyć, jak najlepiej potrafię.

- Będziemy służyć sobie nawzajem - odparł Hań Fei-tzu. - Moja córka obiecała cię uczyć. Ja się tym zajmę. Wang-mu dotknęła czołem podłogi.

- Niegodna jestem takiej łaskawości.

- Nie - zawołał mistrz Hań. - Oboje znamy prawdę. Bogowie nie przemawiają do mnie. Nie powinnaś padać przede mną na twarz.

- Musimy żyć w tym świecie - odparła Wang-mu. - Będę odnosiła się do ciebie jak do człowieka poważanego wśród bogosłyszających, ponieważ tego świat ode mnie oczekuje. A ty, z tych samych powodów, musisz traktować mnie jak służącą.

Mistrz Hań skrzywił się z goryczą.

- Świat oczekuje również, że kiedy mężczyzna w moim wieku przenosi młodą dziewczynę od swej córki do siebie, czyni to dla rozpusty. Czy i w tym mamy spełniać oczekiwania świata?

- Nie leży w twej naturze, by w taki sposób nadużywać swej władzy.

- I nie leży w mej naturze zgoda, byś poniżała się przede mną. Zanim poznałem prawdę o swojej chorobie, przyjmowałem pokłony innych wierząc, że to bogom okazują szacunek, nie mnie.

- I to się nie zmieniło. Ci, którzy wierzą, że jesteś bogosłyszającym, składają pokłon bogom. Zaś nieuczciwi czynią to, by ci pochlebić.

- Ale ty nie jesteś nieuczciwa. I nie wierzysz, że bogowie do mnie przemawiają.

- Nie wiem, czy przemawiają, czy nie. Ani czy kiedykolwiek do kogoś przemawiali i czy w ogóle to potrafią. Wiem tylko, że ani od ciebie, ani od nikogo innego nie wymagają tych śmiesznych, poniżających rytuałów... te wymusza na was Kongres. Ajednak musisz je wykonywać, gdyż tego domaga się twoje ciało. Proszę więc, byś i mnie pozwolił na rytuały poniżenia, których świat wymaga od osób z mojej sfery.

Mistrz Hań posępnie kiwnął głową.

- Twoja mądrość przewyższa twoje lata czy twoje wykształcenie, Wang-mu.

- Jestem bardzo głupią dziewczyną. Gdybym miała choć odrobinę rozumu, błagałabym cię, byś odesłał mnie jak najdalej od tego domu. Niebezpieczne jest dla mnie mieszkanie obok Qing-jao. Zwłaszcza kiedy zobaczy, że jestem ci bliska, gdy ona się oddaliła.

- Masz rację. Jestem samolubny, prosząc, byś została.

- Tak - przyznała Wang-mu. – A jednak zostanę.

- Dlaczego? - zapytał mistrz Hań.

- Ponieważ nie mogłabym już powrócić do dawnego życia. Za dużo wiem o świecie, galaktyce, Kongresie i bogach. Gdybym wróciła teraz do domu i udawała, że jestem taka jak dawniej, do końca życia czułabym w ustach smak trucizny.

Mistrz Hań z powagą kiwnął głową, ale zaraz uśmiechnął się, a po chwili zaśmiał głośno. - Dlaczego śmiejesz się ze mnie, panie?

- Śmieję się, gdyż myślę, że nigdy nie byłaś tym, kim byłaś.

- Nie rozumiem.

- Myślę, że zawsze udawałaś. Może nawet oszukałaś samą siebie. Ale jedno jest pewne: nigdy nie byłabyś zwyczajną dziewczyną i nigdy byś nie prowadziła zwyczajnego życia. Wang-mu wzruszyła ramionami. - Przyszłość jest tysiącem nici, ale przeszłość tkaniną, której nie można spleść na nowo. Może byłabym szczęśliwa. Może nie.

- Zatem jesteśmy tu razem, wszyscy troje. Dopiero wtedy Wang-mu spostrzegła, że nie są sami. W powietrzu nad terminalem zobaczyła twarz Jane, która uśmiechała się do niej.

- Cieszę się, że wróciłaś - powiedziała.

Obecność Jane na chwilę rozbudziła w Wang-mu nadzieję.

- Nie zginęłaś! Oszczędzili cię!

- Qing-jao nigdy nie zamierzała zgładzić mnie tak szybko. Lecz jej plan rozwija się bez przeszkód i bez wątplenia umrę zgodnie z rozkładem.

- Dlaczego więc powracasz do tego domu? Przecież tutaj zapadła decyzja o twojej śmierci.

- Zanim zginę, muszę jeszcze wiele zrobić. Być może nawet znajdę szansę przeżycia. Tak się składa, że w świecie Drogi jest kilka tysięcy ludzi o wiele bardziej inteligentnych, przeciętnie, od reszty ludzkości.

- Tylko z powodu genetycznych manipulacji Kongresu – wtrącił Hań Fei-tzu.

- To prawda - przyznała Jane. - Precyzyjnie mówiąc, bogosłyszający z Drogi nie są właściwie

ludźmi. Jesteście innym gatunkiem, stworzonym i zniewolonym przez Kongres, by dać mu przewagę nad resztą ludzkości. Jednak, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, samotny przedstawiciel tego gatunku zdołał w pewnej mierze uwolnić się od władzy Kongresu.

- To ma być wolność? - mruknął Hań Fei-tzu. - Nawet w tej chwili pragnienie oczyszczenia jest wręcz nieodparte.

- Więc nie opieraj się - rzekła Jane. - Mogę mówić, gdy ty będziesz się wyginał.

Niemal natychmiast Hań Fei-tzu wyrzucił ręce na boki, wykonując rytualne poruszenia. Wang-mu odwróciła wzrok.

- Nie czyn tego - powiedział Hań. - Nie ukrywaj przede mną swej twarzy. Jestem kaleką, niczym więcej. Gdybym stracił nogę, najbliżsi przyjaciele nie lękaliby się spojrzeć na kikut.

Wang-mu dostrzegła wielką prawdę tych słów i nie uciekała już spojrzeniem.

- Jak już mówiłam, przedstawiciel tego gatunku zdołał w pewnym stopniu uwolnić się od władzy Kongresu - zaczęła Jane. - Mam nadzieję uzyskać waszą pomoc w sprawach, które próbuję rozwiązać w ciągu tych kilku miesięcy, jakie mi jeszcze pozostały.

- Zrobię co w mojej mocy - obiecał Hań Fei-tzu.

- A jeśli ja zdołam pomóc, uczynię to - dodała Wang-mu.

Dopiero kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, jak śmieszną jest ta oferta. Mistrz Hań to jeden z bogosłyszających, jeden z ludzi o wyższych możliwościach intelektualnych. Ona zaś jest tylko niewykształconym przedstawicielem zwykłych ludzi i nie ma nic do zaproponowania.

A jednak żadne z nich nie odrzuciło i nie wykpiło jej propozycji. Taka łaskawość raz jeszcze udowodniła Wang-mu, że Jane jest żywą istotą, nie tylko symulacją.

- Opowiem wam o problemach, które chcę rozwiązać.

Słuchali.

- Jak wiecie, moi najbliżsi przyjaciele znajdują się na planecie Lusitaniu. Zagroża im Flota Lusitańska. Chciałabym powstrzymać tę flotę przed dokonaniem nieodwracalnych zniszczeń.

- Jestem pewien, że wydano im już rozkaz użycia Małego Doktora - wtrącił Hań Fei-tzu.

- A tak, wiem, że wydano. Staram się, żeby ten rozkaz nie doprowadził do zagłady nie tylko ludzi na Lusitaniu, ale też dwóch innych gatunków ramenów.

Jane opowiedziała im o królowej kopca i jak doszło do tego, że robale znowu żyją we wszechświecie.

- Królowa kopca buduje już kosmoloty. Pracuje szybko, by jak najwięcej osiągnąć przed przybyciem floty. Ale nie zdąży zbudować ich tyle, by ocalić więcej niż drobną część populacji. Królowa kopca może odlecieć, albo wysłać inną królową, z którą dzieli wszystkie wspomnienia. Nie ma znaczenia, czy ocaleją robotnice. Ale pequeninos i ludziom nie jest to obojętne. Chciałabym uratować ich wszystkich. Zwłaszcza że moi najdrożsi przyjaciele, pewien mówca umarłych i młody człowiek cierpiący na uraz mózgu, nie opuszczą Lusitaniu, jeśli nie ocaleją wszyscy ludzie i pequeninos.

- Są więc bohaterami? - spytał Hań Fei-tzu.

- Każdy z nich udowodnił to już wiele razy.

- Nie wierzyłem, że istnieją jeszcze bohaterowie. Si Wang-mu nie powiedziała tego, co czuła w głębi serca: że mistrz Hań jest właśnie takim bohaterem.

- Badam każdą możliwość - mówiła Jane. - Ale wszystko sprowadza się do niemożliwości, w którą ludzkość wierzyła od trzech tysięcy lat. Gdybyśmy potrafili zbudować kosmolot szybszy niż światło, tak szybki jak wiadomości ansibli płynące od świata do świata, wtedy wystarczyłoby, gdyby królowa kopca zbudowała dziesięć statków. Zanim Flota Lusitańska dotrze do celu, mogłyby

wszystkich mieszkańców przenieść na inne planety.

- Gdybyś potrafiła zbudować taki statek - zauważył Hań Fei-tzu - mogłabyś stworzyć własną flotę. Mogłabyś zaatakować Flotę Lusitańską i zniszczyć ją, zanim kogokolwiek skrzywdzi.

- To niemożliwe - odparła Jane.

- Potrafisz wyobrazić sobie lot z prędkością większą niż światło, a nie potrafisz zniszczenia Floty Lusitańskiej?

- Wyobrazić sobie potrafię. Ale królowa kopca odmówi. Powiedziała Andrew... mojemu przyjacielowi, Mówcy Umarłych...

- Bratu Valentine - zawołała Wang-mu. - On też żyje?

- Królowa kopca powiedziała mi, że nigdy i pod żadnym pretekstem nie zbuduje broni.

- Nawet dla ratowania własnego gatunku?

- Będzie miała jeden kosmolot, by wydostać się z planety. Inni też dostaną dość statków, żeby ocalić swoją rasę. To jej wystarczy. Nie musi nikogo zabijać.

- Przecież jeśli Kongres postawi na swoim, zginą miliony!

- Na nich spadnie odpowiedzialność - stwierdziła Jane. - Przynajmniej Andrew mówi, że tak odpowiada królowa kopca, ile razy podnosi tę kwestię.

- Cóż to za moralność?

- Zapominasz, że dopiero niedawno odkryła inne inteligentne rasy i była niebezpiecznie bliska zniszczenia jednej z nich. A potem ta inna inteligentna rasa niemal ją zniszczyła. Ale to raczej fakt, że sama otarła się o popełnienie zbrodni ksenocydu, ma największy wpływ na argumentację moralną. Nie może innych ras powstrzymać przed takimi czynami, ale chce mieć pewność, że sama tego nie robi. Zabije tylko wtedy, gdy będzie to jedyną nadzieją ocalenia jej gatunku. A że nie jest to jedyna możliwość, nie zbuduje okrętu bojowego.

- Lot szybszy niż światło - powtórzył Hań Fei-tzu. - Czy to twoja jedyna szansa?

- Jedyna, która jest choćby śladowo prawdopodobna. Wiemy przynajmniej, że coś we wszechświecie porusza się szybciej niż światło: informacja jest przekazywana wzdłuż filotycznego promienia między ansiblami bez zauważalnego upływu czasu. Bardzo zdolny młody fizyk na Lusitaniu, który w tej chwili przebywa akurat w więzieniu, dniami i nocami pracuje nad tym problemem. Ja wykonuję dla niego wszystkie obliczenia i symulacje. Właśnie w tej chwili testuje hipotezę o naturze filot, używając modelu tak złożonego, że dla realizacji programu wykradam czas komputerom prawie tysiąca uniwersytetów. Jest nadzieja.

- Póki życia, póty nadziei - stwierdziła Wang-mu. - Kto wykona dla niego takie eksperymenty, kiedy ciebie zabraknie?

- Dlatego pośpiech jest taki ważny.

- Po co jestem ci potrzebny? - spytał Hań Fei-tzu. - Nie jestem fizykiem, a przez te kilka miesięcy nie nauczę się tyle, żeby to robiło jakąś różnicę. Jeśli ktoś zdoła tego dokonać, to ten twój uwięziony fizyk. Albo ty.

- Każdy potrzebuje obiektywnej krytyki, który zapyta: a o tym pomyślałeś? Czy nawet powie: porzuć ten ślepy zaułek i spróbuj czegoś innego. Do tego jesteś nam potrzebny. Będziemy ci składać sprawozdania z naszej pracy, a ty ocenisz wszystko i powiesz, co ci przychodzi do głowy. Trudno zgadnąć, jakie przypadkowe słowo wskaże poszukiwane rozwiązanie.

Hań Fei-tzu pokiwał głową.

- Mój drugi problem jest jeszcze bardziej złożony - ciągnęła Jane. - Czy odkryjemy loty szybsze niż światło, czy nie, część pequeninos dostanie kosmoloty i opuści Lusitanię. Rzec w tym, że noszą w swoich ciałach najstraszniejszy, najbardziej zdradziecki ze wszystkich znanych wirusów. Niszczy

każdą formę życia, z którą się zetknie, z wyjątkiem tych nielicznych, które deformuje i zmusza do rodzaju symbiozy, całkowicie zależnej od obecności tego wirusa.

- Descolada - domyślił się mistrz Hań. - Czasem wymieniano ją jako powód uzbrojenia floty w Małego Doktora.

- To naprawdę może usprawiedliwić jego użycie. Z punktu widzenia królowej kopca, nie można dać szansy jednej rasie kosztem drugiej.

Andrew jednak często mi tłumaczył, że ludzie nie mają takich problemów. Jeśli trzeba będzie wybierać między ocaleniem ludzkości i ocaleniem pequeninos, on wybierze ludzkość. A ze względu na niego, ja także.

- I ja - dodał mistrz Hań.

- Nie wątpię, że pequeninos odczuwają to samo, tyle że na odwrót. Jeśli nie na Lusitaniu, to gdzieś, kiedyś, niemal na pewno dojdzie do straszliwej wojny, w której ludzie użyją Systemu Destrukcji Molekularnej, a pequeninos descolady jako ostatecznej broni biologicznej. Istnieje spora szansa zagłady obu gatunków. Dlatego koniecznie chcę znaleźć wirus zastępczy, który spełniałby funkcje descolady, niezbędne w cyklu życiowym pequeninos, a byłby pozbawiony drapieżności, możliwości samoadaptacji. Selektywnie nieczynną formę wirusa.

- Sądziłem, że istnieją metody neutralizacji descolady. O ile pamiętam, na Lusitaniu przyjmują odpowiednie środki z wodą pitną.

- Descolada rozszyfrowuje te środki i adaptuje się do nich. To jak wyścigi. W końcu descolada wygra jeden z biegów, a wtedy nie będzie już ludzi, z którymi mogłaby się dalej ścigać.

- Chcesz powiedzieć, że ten wirus jest inteligentny? - zdziwiła się Wang-mu.

- Jeden z naukowców na Lusitaniu jest o tym przekonany. To kobieta imieniem Quara. Inni nie zgadzają się z nią. Ale z pewnością wirus zachowuje się tak, jakby posiadał inteligencję. Przynajmniej jeśli chodzi o przystosowanie do zmian środowiska i przekształcenie innych gatunków do swoich potrzeb. Osobiście uważam, że Quara ma rację. Descolada jest inteligentnym gatunkiem, posiadającym własny język, który wykorzystuje do bardzo szybkiego przekazywania informacji z jednego końca świata na drugi.

- Nie jestem wirologiem - oświadczył Hań Fei-tzu.

- Mimo to, gdybyś zechciał spojrzeć na rezultaty badań Elanory Ribeiry von Hesse...

- Naturalnie, obejrzę je. Chciałbym tylko mieć twoją wiarę w moje zdolności.

- I trzeci problem - rzekła Jane. - Może najprostszy ze wszystkich. Bogosłyszający z Drogi.

- Tak - westchnął mistrz Hań. - Twoi zabójcy.

- Nie z własnego wyboru - przypomniała mu Jane. - Nie mam do was żalu. Ale to także chciałabym rozwiązać przed śmiercią: znaleźć sposób przebudowy waszych odmienionych genów. Żeby przynajmniej przyszłe pokolenia wolne były od tych świadomie wywołanych natręctw, zachowując przy tym waszą niezwykłą inteligencję.

- Gdzie znajdziesz genetyków, którzy zgodzą się pracować nad czymś, co w oczach Kongresu jest zdradą?

- Kiedy chcesz, żeby ktoś popełnił zdradę - stwierdziła Jane - kandydata warto poszukać wśród znanych zdrajców.

- Lusitania - szepnęła Wang-mu.

- Tak. Z waszą pomocą przekażę tę sprawę Elanorze.

- Czy nie zajmuje się problemem descolady?

- Nie można bez przerwy pracować nad jedną sprawą. To pozwoli jej się oderwać, może dać nowy impuls do pracy. Poza tym, problem Drogi może się okazać stosunkowo prosty. W końcu, wasze



przebudowane geny stworzyli całkiem zwyczajni genetycy, pracujący dla Kongresu. Trudności są tylko polityczne, nie naukowe. Może dla Eli sprawa okaże się banalna. Mówiła mi już, od czego należy zacząć. Potrzebujemy próbek tkanki, przynajmniej na początek. Niech miejscowy technik medyczny przeskanuje je na poziomie molekularnym. Przejmę sterowanie aparaturą, żeby się upewnić, że Ela uzyska potrzebne dane. Potem przetransmituję je na Lusitanię. I tyle.

- Czyja tkanka będzie potrzebna? - zapytał Hań Fei-tzu. - Nie mogę przecież prosić swoich gości, żeby dali mi próbkę.

- Szczerze mówiąc, na to właśnie liczyłam - westchnęła Jane. - Tylu ich cię odwiedza. Możemy wykorzystać martwy naskórek. Nawet próbki fekalii albo uryny mogą zawierać komórki organizmu. Mistrz Hań skinął głową.

- To da się zrobić.  
- Ja się zajmę próbkami odchodów - wtrąciła Wang-mu.  
- Nie - odparł mistrz Hań. - Zajmę się wszystkim, co jest konieczne. Nawet własnoręcznie.  
- Ty, panie? - zdziwiła się Wang-mu. - Chciałam się sama podjąć tej pracy, ponieważ bardzo się obawiałam, że nakazując im to poniżysz innych służących.  
- Nigdy nie prosiłbym nikogo o rzecz tak niską i upodlającą, że sam odmówiłbym jej wykonania.  
- W takim razie zrobimy to wspólnie. Ale nie zapominaj, panie, że pomożesz Jane czytając wszystkie raporty, gdy ja mogę wykonywać tylko prace fizyczne. Nie nalegaj, by robić to, czym ja mogę się zająć. Zamiast tego poświęć swój czas na to, co tylko ty potrafisz.

Jane przerwała im, zanim Hań Fei-tzu zdążył odpowiedzieć.

- Chcę, Wang-mu, żebyś także czytała raporty.  
- Ja? Przecież nie mam żadnego wykształcenia.  
- Mimo wszystko.  
- Nawet ich nie zrozumiem.  
- Ja ci pomogę - obiecał mistrz Hań.  
- Nic z tego nie wyjdzie. Nie jestem Qing-jao. Ona by to potrafiła. To nie dla mnie.  
- Obserwowałam ciebie i Qing-jao podczas całego procesu, który doprowadził do mojego wykrycia - oświadczyła Jane. - Wiele kluczowych idei pochodziło od ciebie, nie od Qing-jao.  
- Ode mnie? Nawet nie próbowałam...  
- Nie próbowałaś. Patrzyłaś. Dokonywałaś skojarzeń. Stawiałaś pytania.  
- To były głupie pytania - stwierdziła Wang-mu. Jednak w głębi serca ucieszyła się: ktoś zauważył!

- Pytania, jakich by nie zadał żaden ekspert - odparła Jane. - Jednak te właśnie pytania prowadziły Qing-jao do najważniejszych koncepcyjnych przełomów. Może nie jesteś bogosłyszczą, Wang-mu, ale posiadasz własne talenty.

- Będę czytać i odpowiadać - obiecała Wang-rnu. - Ale również zbierać próbki tkanek. Wszystkie próbki, żeby mistrz Hań nie musiał rozmawiać ze swymi bogosłyszczącymi gośćmi. Żeby nie musiał słuchać, jak wychwalają go za straszny czyn, którego nie popełnił.

Hań Fei-tzu nadal się sprzeciwiał.

- Nie chcę nawet myśleć, że ty...  
- Bądź rozsądny, Hań Fei-tzu - przerwała mu Jane. - Wang-mu jako służąca jest niewidzialna. Ty, jako pan tego domu, będziesz równie subtelny jak tygrys na placu zabaw. Cokolwiek czynisz, zostaje zauważone. Niech Wang-mu zajmie się tym, co sama robi najlepiej.

Mądre słowa, pomyślała Wang-mu. Dlaczego więc każą mi oceniać pracę uczonych, skoro każdy powinien robić to, co umie najlepiej? Milczała jednak. Jane poleciła im zacząć od własnych tkanek.

Potem Wang-mu zebrała próbki od pozostałych domowników. Większość znajdowała na grzebieniach i w brudnej odzieży. Po tygodniu miała już próbki kilkunastu bogosłyszających gości, również pobrane z odzieży. W efekcie nikt nie musiał zbierać fekaliów. Ale była na to przygotowana.

Qing-jao spotykała ją, oczywiście, ale nie odzywała się. Wang-rnu cierpiała widząc, jak lodowato traktuje ją dawna pani. Przecież kiedyś były przyjaciółkami i Wang-mu nadal ją kochała... A przynajmniej kochała tę młodą kobietę, którą Qing-jao była przed tym pamiętnym dniem. Nic jednak nie mogła powiedzieć ani zrobić, by odnowić dawną przyjaźń. Poszła inną drogą.

Wang-mu przechowywała próbki starannie opakowane i oznaczone. Nie oddała ich jednak technikowi. Znalazła prostszy sposób. Ubrana w starą szatę Qing-jao, by wyglądać jak bogosłyszająca studentka, nie jak dziewczyna służebna, udała się do najbliższej uczelni. Powiedziała, że zajmuje się pewnym problemem, jednak nie może zdradzić szczegółów. Poprosiła, żeby zbadali dostarczone próbki. Zgodnie z jej przypuszczeniem, nie śmieli wypytywać bogosłyszającej, nawet zupełnie obcej. Przeprowadzili skaning molekularny, i Wang-mu miała tylko nadzieję, że Jane dotrzymała obietnicy: przejęła sterowanie komputerem i wykonała wszystkie potrzebne Eli analizy.

Wracając do domu, wyrzuciła zebrane próbki i spaliła wyniki badań. Jane dostała to, o co prosiła. Nie warto ryzykować, że Qing-jao - a może ktoś ze służby, opłacany przez Kongres - wykryje, że Hań Fei-tzu zajmuje się eksperymentami biologicznymi. Nie obawiała się, by ktoś rozpoznał ją, Si Wang-mu, jako młodą bogosłyszającą dziewczynę, która odwiedziła uniwersytet. Niemożliwe. Ktoś, kto szuka bogosłyszającej, nawet nie spojrzy na służącą.

- A więc ty straciłeś swoją kobietę, a ja swoją - odezwał się Miro.

Ender westchnął. Mira ogarniała czasem ochota na rozmowę. A że zawsze tuż pod powierzchnią unosiła się gorycz, był zwykle bardzo bezpośredni i bardziej niż trochę nieuprzejmy. Ender nie mógł się gniewać na tę gadatliwość - właściwie nikt prócz niego i Valentine nie potrafił słuchać powolnej mowy Mira, nie zdradzając przy tym zniecierpliwienia. Chłopiec tak wiele czasu spędzał sam na sam ze swymi myślami, że okrucieństwem byłoby odmawiać rozmowy tylko dlatego, że jest pozbawiony taktu.

Ender nie lubił, gdy ktoś mu przypominał, że Novinha go porzuciła. Starał się o tym nie myśleć, zajęty innymi sprawami - głównie ratowaniem Jane i trochę pozostałymi problemami. Lecz po słowach Mira wróciło to bolesne, puste, przerażające uczucie. Nie ma jej. Nie wystarczy się odezwać, żeby odpowiedziała. Nie wystarczy sięgnąć, by dotknąć jej dłoni. I, najgorsze ze wszystkiego: może to już nigdy nie wróci.

- Chyba tak - przyznał Ender.

- Pewnie wolisz ich nie porównywać - stwierdził Miro. - W końcu przez trzydzieści lat była twoją żoną, a Quanda moją dziewczyną najwyżej pięć. Ale tylko jeśli zaczniesz liczyć od dojrzałości. Od wczesnego dzieciństwa była moją najbliższą przyjaciółką... może z wyjątkiem Eli. Dlatego, jeśli się dobrze zastanowić, byłem z Quandą większą część życia, a ty z mamą tylko połowę swojego.

- Dziękuję. Już czuję się lepiej.

- Nie denerwuj się na mnie.

- To ty mnie nie denerwuj. Miro roześmiał się. Za głośno.

- W złym humorze, Andrew? - zachichotał. - Trochę nieswój?

Tego już było za wiele. Ender zakreślił się na krześle i odwrócił od terminala. Studiował uproszczony model sieci ansibli, próbując zrozumieć, gdzie w tym splątanym labiryncie może się ukrywać dusza Jane. Teraz patrzył na Mira nieruchomo, aż ten umilkł.

- Czy ja ci to robiłem? - spytał Ender. Miro był raczej gniewny niż speszony.

- Może tego potrzebowałem - odparł. - Pomyślałeś o tym? Byliście tacy dyskretni, wszyscy.

Pozwólmy Mirowi zachować godność. Niech duma nad sobą, aż zwariuje. Po prostu nie mówmy o tym, co go spotkało. Czy nie przyszło wam do głowy, że potrzebuję kogoś, kto by się ze mną pośmiał?

- A nie przyszło ci do głowy, że ja tego nie potrzebuję?

Miro zaśmiał się znowu, ale z pewnym opóźnieniem, łagodnie.

- Trafiony - pochwalił. - Traktowałeś mnie tak, jak sam chciałbyś być traktowany, a teraz ja cię traktuję tak, jak chciałbym, żeby mnie traktowano. Podajemy sobie nawzajem własne leki.

- Twoja matka i ja wciąż jesteśmy małżeństwem - przypomniał Ender.

- Coś ci powiem. Wysłuchaj mądrości mojego dwudziestoletniego, mniej więcej, życia. Będzie ci łatwiej, jeśli zaczniesz się godzić z tym, że ona nigdy nie wróci. Już na zawsze jest poza twoim zasięgiem.

- Quanda jest poza zasięgiem. Novinha nie.

- Jest z Dziećmi Umysłu Chrystusa. To przecież zakon, Andrew.

- Niezupełnie. To obrządek zakonny, przyjmujący wyłącznie pary małżeńskie. Nie może do nich należeć beze mnie.

- No właśnie. Odzyskasz ją, gdy tylko przyłączysz się do Filhos. Wyobrażam sobie, jakim będziesz Dom Cristao.

Ender nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Spać w osobnych łóżkach. Modlić się bez przerwy. Nigdy się nie dotykać.

- Jeśli to jest małżeństwo, Andrew, to Quanda i ja też nim jesteśmy.

- To jest małżeństwo, Miro. Ponieważ pary u Filhos da Mente de Cristo pracują razem, razem prowadzą zajęcia.

- Więc my też jesteśmy małżeństwem - zauważył Miro. - Ty i ja. Bo razem próbujemy ratować Jane.

- Przyjaciółmi - poprawił Ender. - Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Bardziej rywalami. Jane trzyma nas na smyczy jak kochanków. Słowa Mira przypominały oskarżenia Novinhy.

- Trudno nas uznać za kochanków - odpowiedział. - Jane nie jest człowiekiem. Nie ma nawet ciała.

- Dziwna logika. Przecież sam mówiłeś, że ty i mama możecie być małżeństwem, nawet się nie dotykając.

Enderowi nie spodobała się ta analogia. Wydała się nazbyt prawdziwa. Czy słusznie Novinha przez tyle lat była zazdrosna o Jane?

- Praktycznie rzecz biorąc, ona żyje w naszych głowach - uznał Miro. - A to miejsce, gdzie żona nigdy nie dotrze.

- Zawsze myślałem, że twoja matka jest zazdrosna o Jane, bo też chciałaby mieć kogoś tak bliskiego.

- Bobagem. Lixo - rzucił Miro. Nonsens. Bzdura. - Była zazdrosna o Jane, bo bardzo chciała być bliska tobie. I nie potrafiła.

- Nie ona. Zawsze była... zamknięta w sobie. Zdarzało się, że byliśmy sobie bardzo bliscy, ale zawsze wracała do swojej pracy.

- Tak jak ty wracałeś do Jane.

- Ona ci to powiedziała?

- Nie dosłownie. Ale rozmawiałeś z nią i nagle milkłeś. Dobrze subwokalizujesz, ale widać lekkie ruchy szczęki, a oczy i wargi reagują na to, co mówi ci Jane. Ona na to patrzyła. Zrywałeś więc odchodząc gdzieś.

- Nie to nas rozdzieliło - szepnął Ender. - To śmierć Quima.

- Śmierć Quima była ostatnią kroplą. Gdyby nie Jane, gdyby mama naprawdę wierzyła, że należysz do niej duszą i sercem, po śmierci Quima zwróciłaby się do ciebie, zamiast od ciebie odwracać.

Miro powiedział głośno to, czego Ender najbardziej się obawiał. Że to, co zaszło, było jego winą. Że nie był doskonałym mężem. Że ją odtrącił. A co najgorsze, kiedy Miro skończył, Ender wiedział, że to prawda. Poczucie straty, już teraz nieznośne, podwoiło się nagle, potroiło, rozrosło nieskończenie w jego duszy.

Poczuł na ramieniu dłoń Mira, ciężką i niezręczną.

- Bóg mi świadkiem, Andrew, nie chciałem doprowadzać cię do płaczu.

- To się zdarza.

- To nie tylko twoja wina. Ani Jane. Nie zapominaj, że mama jest kompletną wariatką. Zawsze była.

- Wiele wycierpiała w dzieciństwie.

- Po kolei traciła wszystkich, których kochała.

- A ja pozwoliłem jej uwierzyć, że mnie też straciła.

- I co powinieneś zrobić? Odłączyć Jane? Już raz to zrobiłeś, pamiętasz?

- Różnica polega na tym, że teraz ma ciebie. Przez cały czas, kiedy cię tu nie było, mogłem zostawić Jane, bo miała ciebie. Mogłem rzadziej z nią rozmawiać, poprosić, żeby się usunęła. Wybaczylaby mi.

- Może - przyznał Miro. - Ale nie zrobiłeś tego.

- Bo nie chciałem - stwierdził Ender. - Nie chciałem jej zostawiać. Wierzyłem, że mogę zachować starą przyjaźń, a jednak być dobrym mężem swojej żony.

- Nie chodziło tylko o Jane. Była też Valentine.

- Domyślam się. I co teraz? Mam wstąpić do Filhos i czekać, aż przyleci flota i rozwali nas wszystkich w kawałki?

- Rób to co ja - rzeki Miro.

- To znaczy?

- Nabierasz powietrza. Wypuszczasz je. Potem znowu. Ender zastanowił się.

- To bym potrafił. Robiłem to, jak byłem jeszcze całkiem mały.

Jeszcze przez chwilę czuł dłoń Mira na ramieniu. Dlatego powinienem mieć własnego syna, pomyślał Ender. Żeby go wspierać, kiedy jest mały, a potem wesprzeć się na nim, kiedy ja będę już stary. Ale nie miałem dziecka z własnego nasienia. Jestem jak kiedyś Marcao, pierwszy mąż Novinhy. Otoczony tymi dziećmi i świadomy, że nie są moje. Różni mnie to, że Miro jest dla mnie przyjacielem, nie wrogiem. A to już coś. Może i byłem złym mężem, ale wciąż potrafię zdobyć i utrzymać przyjaciela.

- Przestańcie rozczulać się nad sobą i wracajcie do pracy.

To Jane odezwała się w uchu. Czekala dość długo, nim przemówiła, niemal dość, by był gotów na jej kpiny. Niemal, ale nie całkiem, dlatego rozgniewały go te słowa. Rozgniewało, że przez cały czas słucha i patrzy.

- Teraz jesteś wściekły - poinformowała.

Nie wiesz, co czuję, pomyślał Ender. Nie możesz wiedzieć. Bo nie jesteś człowiekiem.

- Myślisz, że nie wiem, co czujesz - oświadczyła Jane. Przez chwilę walczył z zawrotem głowy, gdyż przez tę chwilę zdawało mu się, że Jane słucha czegoś daleko głębszego niż rozmowa.

- Ale ja też raz cię utraciłam.

- Wróciłem - subwokalizował Ender.

- Nigdy do końca - odparła. - Nigdy tak jak przedtem. Dlatego zbierz parę tych głupich łez żalu nad sobą ze swoich policzków i uznaj je za moje. Żeby wyrównać rachunki.

- Sam nie wiem, po co się męczę, próbując ratować ci życie - stwierdził Ender bezgłośnie.

- Ja też nie. Mówiłam przecież, że to strata czasu.

Ender wrócił do terminala. Miro został przy nim, studiując symulację sieci ansibli na ekranie. Ender nie miał pojęcia, co Jane mówi do Mira... ale był pewien, że coś mówi. Już dawno się domyślił, że może prowadzić wiele rozmów równocześnie. Nic na to nie poradzi: trochę go denerwowało, że Jane jest Mirowi dokładnie tak bliska, jak jemu.

Czy to możliwe, myślał, by jedna osoba kochała drugą, nie próbując jej posiadać? Czy też jest to tak głęboko zakodowane w naszych genach, że nigdy tego nie usuniemy? Terytorialność. Moja żona. Mój przyjaciel. Moja kochanka. Moja irytująca i bezczelna komputerowa osobowość, którą niedługo skasują z powodu wpół obłąkanej dziewczyny, geniusza z psychozą natręctw na planecie, o której w życiu nie słyszałem... i jak zdołam żyć bez Jane, kiedy odejdzie?

Ender powiększył schemat. Bardziej, jeszcze bardziej, aż ekran ukazywał tylko kilka parseków w każdą stronę. Teraz widział model niewielkiego fragmentu sieci - linie pół tuzina filotycznych promieni w głębokiej przestrzeni. Nie wyglądały już jak złożona, ciasno speciona tkanina, a raczej jak przypadkowe linie mijające się o miliony kilometrów.

- Nie dotykają się - szepnął Miro.

Rzeczywiście nie. Ender nigdy sobie tego nie uświadamiał. W jego wyobraźni galaktyka była płaska, taka, jaką pokazywały gwiazdne mapy, przekrój poziomy tej części spiralnego ramienia, gdzie z Ziemi rozprzestrzenili się ludzie. Ale galaktyka nie jest płaska. Żadne dwie gwiazdy nie leżały dokładnie w tej samej płaszczyźnie co dowolne dwie inne. Promienie filotyczne łączące kosmoloty, planety i satelity biegły po liniach idealnie prostych, od ansibla do ansibla. Na płaskiej mapie zdawały się przecinać, ale na trójwymiarowym zbliżeniu komputerowego ekranu było jasne, że nawet się nie stykają.

- Jak ona może w tym żyć? - mruknął Ender. - Jak może istnieć w czymś takim, jeśli prócz punktów końcowych nie ma żadnych połączeń między tymi liniami?

- W takim razie... może nie w tym istnieje? Może żyje w sumie programów komputerowych wszystkich terminali?

- A wtedy mogłaby zarchiwizować się na wszystkich dostępnych komputerach i...

- I nic. Nigdy nie odtworzyłaby się z powrotem, bo do ansibli wykorzystaliby tylko czyste komputery.

- To nie potrwa wiecznie - uznał Ender. - Komputery na różnych planetach muszą ze sobą rozmawiać. To ważne. Kongres szybko się przekona, że nie istnieje tylu ludzi, żeby przez rok wpisać ręcznie tę liczbę informacji, jaką komputery przesyłają ansiblem co godzinę.

- Czyli ma się ukryć? Przeczekać? I wśliznąć z powrotem za pięć albo dziesięć lat, kiedy trafi się okazja?

- Jeśli tym właśnie jest... zbiorem programów.

- Na pewno jest w niej coś więcej - stwierdził Miro.

- Dlaczego?

- Bo gdyby była tylko zbiorem programów, nawet samopiszzących się i samopoprawiających, to musiałby stworzyć ją jakiś programista albo grupa programistów. W takim przypadku realizuje tylko procedury, jakie wmuszono w nią na samym początku. Nie ma wolnej woli. Jest marionetką. Nie osobą.

- No cóż, skoro już o tym mowa... - westchnął Ender. - Może zbyt wąsko definiujesz wolną wolę.

Czy istoty ludzkie nie są podobne? Zaprogramowane przez swoje geny i środowisko?

- Nie - zaprzeczył Miro.

- Więc przez co?

- Nasze filotyczne związki dowodzą, że to nieprawda. Ponieważ możemy łączyć się z sobą aktem woli, do czego nie jest zdolna żadna inna forma życia na Ziemi. Posiadamy coś, jesteśmy czymś, co nie zostało spowodowane niczym innym.

- Co to takiego? Dusza?

- Nawet nie dusza. Księża twierdzą, że Bóg stworzył nasze dusze, a to oddaje nas we władzę kolejnego lalkarza. Jeśli Bóg stworzył nam wolę, to jest odpowiedzialny za każdy nasz wybór. Bóg, nasze geny, środowisko albo jakiś durny programista, wklepujący kod na starożytnym terminalu... wolna wola w żaden sposób nie mogłaby zaistnieć, gdybyśmy sami, jako indywidua, byli skutkiem jakiejś zewnętrznej przyczyny.

- Zatem... O ile pamiętam, oficjalna odpowiedź filozofii stwierdza, że wolna wola nie istnieje. Jedyne iluzja wolnej woli, ponieważ przyczyny naszego zachowania są tak złożone, że nie potrafimy ich rozszyfrować. Jeśli masz jeden rząd kostek domina, które przewracają się kolejno, zawsze możesz powiedzieć: to domino upadło, bo tamto je popchnęło. Ale kiedy masz nieskończoną liczbę kostek, które można prześledzić w nieskończonej liczbie kierunków, nie odgadniesz, gdzie zaczął się łańcuch przyczynowo-skutkowy. Dlatego myślisz: to domino upadło, ponieważ tego chciało.

- Bobagem - mruknął Miro.

- Przyznaję, że taka filozofia nie ma praktycznej wartości - stwierdził Ender. - Valentine tłumaczyła mi to w ten sposób: nawet jeśli wolna wola nie istnieje, aby żyć razem w społeczeństwie, musimy traktować się nawzajem tak, jakbyśmy ją posiadali. Inaczej, kiedy ktoś popełni coś strasznego, nie można go ukarać. Ponieważ to nie jego wina, to geny, środowisko albo Bóg go do tego zmusili. A kiedy ktoś zrobi coś dobrego, nie możemy go uhonorować, bo on też jest marionetką. Skoro uznasz, że wszyscy dookoła są marionetkami, po co w ogóle z nimi rozmawiać? Po co planować cokolwiek, tworzyć cokolwiek, pragnąć, marzyć, jeśli to tylko scenariusz wbudowany przez lalkarza.

- Rozpacz.

- Dlatego uznajemy nas samych i wszystkich dookoła za istoty rozumne. Traktujemy każdego tak, jakby był świadomy swoich działań, a nie popełniał je, ponieważ ktoś go popycha. Karzemy przestępców. Nagradzamy altruistów. Wspólnie planujemy i budujemy. Składamy obietnice i oczekujemy ich dotrzymania. Wolny wybór to tylko idea, ale kiedy każdy uwierzy, że ludzkie działania są jego rezultatem, kiedy zgodnie z tą wiarą przyjmuje odpowiedzialność, wynikiem jest cywilizacja.

- Wolna wola to tylko wymysł...

- Tak tłumaczyła to Valentine. To znaczy, jeśli nie ma wolnej woli. Nie jestem pewien, czy w to wierzy. Moim zdaniem uważa, że jeśli jest cywilizowana, musi wierzyć w ten wymysł, a zatem absolutnie szczerze wierzy w wolną wolę i uważa, że cała ta teoria to bzdura... Ale wierzyłaby w to nawet, gdyby to była prawda... Czyli niczego na pewno nie wiadomo.

Ender roześmiał się, ponieważ Valentine się śmiała, kiedy wiele lat temu mówiła mu to po raz pierwszy. Byli wtedy prawie dziećmi; on pisał wtedy Hegemona i usiłował zrozumieć, czemu jego brat Peter dokonał tych wszystkich strasznych rzeczy, jakich dokonał.

- To nie jest zabawne - stwierdził Miro.

- Wydawało mi się, że jest - odparł Ender.

- Albo jesteśmy wolni, albo nie - oświadczył Miro. - Albo wolna wola istnieje, albo nie istnieje.

- Rzecz w tym, że musimy w nią wierzyć, by żyć jak istoty cywilizowane.

- Wcale nie - zaprotestował Miro. - Bo jeśli to nieprawda, po co w ogóle mamy się starać, żeby żyć jak istoty cywilizowane?

- Ponieważ wtedy gatunek ma większą szansę na przetrwanie. Ponieważ nasze geny wymagają, byśmy wierzyli w wolną wolę, żeby zwiększyć zdolność przekazywania tych genów kolejnym pokoleniom. Ponieważ każdy, kto nie wierzy, zaczyna działać w sposób bezproduktywny, aspołeczny; i w rezultacie społeczeństwo... stado... odepchnie go, a jego możliwości reprodukcji zmaleją. Na przykład trafi do więzienia i geny kierujące jego niewłaściwym zachowaniem w końcu zanikną.

- Zatem lalkarz wymaga, byśmy uwierzyli, że nie jesteśmy marionetkami. Zmusza do wiary w wolną wolę.

- Tak przynajmniej tłumaczyła mi Valentine.

- Ale naprawdę w to nie wierzy?

- Oczywiście że nie. Geny jej nie pozwalają. Ender roześmiał się znowu. Ale Miro nie traktował tej sprawy lekko, jak filozoficznej zabawy. Był oburzony. Zaciśnął pięści i zamachał rękami gestem paralytyka. Jego dłoń wylądowała pośrodku ekranu. Rzuciła cień, stworzyła przestrzeń, gdzie nie było widać filotycznych promieni. Prawdziwa pustka. Tyle że teraz Ender widział fruujące tam drobinki kurzu, odbijające światło z okna i otwartych drzwi. W szczególności jedną wyjątkowo dużą, jakby krótki włos albo włókienko bawełny, unoszący się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były tylko promienie filot.

- Uspokój się - powiedział Ender.

- Nie! - krzyknął Miro. - Mój lalkarz doprowadza mnie do furii!

- Zamknij się i posłuchaj mnie.

- Mam już dość słuchania ciebie! A jednak umilkł i słuchał.

- Uważam, że masz rację - powiedział Ender. - Uważam, że jesteśmy wolni i nie wierzę, że to tylko iluzja, w którą wierzymy, bo zwiększa szansę przetrwania. Uważam, że jesteśmy wolni, ponieważ nie jesteśmy tylko tym ciałem, realizującym genetyczny program. I nie jesteśmy jakąś duszą, którą Bóg stworzył z niczego. Jesteśmy wolni, ponieważ istnieliśmy zawsze. Od samego początku czasu, ale czas nie ma początku, więc istniejemy stale. Nic nas nie spowodowało. Nic nas nie stworzyło. Po prostu jesteśmy i zawsze byliśmy.

- Filoty? - domyślił się Miro.

- Może - mruknął Ender. - Jak ta drobinka kurzu w ekranie.

- Gdzie?

Oczywiście, teraz była niewidoczna, ponieważ holograficzny obraz wypełniał całą przestrzeń nad terminalem. Ender włożył tam rękę i cień padł w górę. Przesuwał dłoń, aż odsłonił jasną drobinę, którą widział poprzednio. A może nie tą samą. Może to była inna, ale to bez znaczenia.

- Nasze ciała, świat wokół nas, są jak ten hologram. Rzeczywiście, ale nie ukazują prawdziwej przyczyny rzeczy. To jedyne, czego nie możemy być pewni, patrząc tylko na ekran wszechświata: dlaczego coś się zdarza. Ale poza tym wszystkim, wewnątrz tego... gdybyśmy mogli tam zajrzeć... znaleźlibyśmy prawdziwą przyczynę: filoty, które zawsze istniały i robią to, co zechcą.

- Nic nie istniało od zawsze - zauważył Miro.

- Kto tak powiedział? Teoretyczny początek wszechświata to tylko początek obecnego porządku... tego hologramu, wszystkiego, co według nas istnieje. Ale kto może stwierdzić, że filoty, działające według praw natury powstałych w tamtej chwili, nie istniały również przedtem? A kiedy cały wszechświat na nowo zapadnie się w siebie, kto powie czy filoty nie uwolnią się po prostu od praw, którym teraz podlegają, i nie powrócą...

- Do czego?

- Do chaosu. Ciemności. Nieporządku. Do tego, czym były, zanim ten wszechświat zebrał je razem.

Dlaczego nie mogą... my nie możemy... istnieć od zawsze i na zawsze?

- W takim razie, gdzie byłem między początkiem wszechświata a dniem swoich urodzin? - spytał Miro.

- Nie mam pojęcia - odparł Ender. - Wymyślam to wszystko na poczekaniu.

- I skąd się wzięła Jane? Czy jej filota pływała sobie gdzieś, a potem nagle opanowała serię programów komputerowych i stała się osobą?

- Może.

- A nawet gdyby istniał jakiś naturalny system, który przydziela filoty każdemu organizmowi, jaki rodzi się, wykluwa czy kiełkuje... W jaki sposób ten naturalny system mógłby stworzyć Jane? Ona się nie urodziła.

Jane, naturalnie, słuchała przez cały czas. A teraz przemówiła.

- Może to wcale nie nastąpiło - powiedziała. - Może nie mam własnej filoty. Może wcale nie jestem żywa.

- Nie - odparł Miro.

- Może - mruknął Ender.

- A wtedy nie mogę umrzeć. Kiedy mnie wyłączą, to tak, jakby skomplikowany program przestał działać.

- Może - powtórzył Ender.

- Nie - stwierdził Miro. - Wyłączenie cię to morderstwo.

- Może robię to, co robię, bo tak jestem zaprogramowana, chociaż nie zdaję sobie z tego sprawy.

Tylko myślę, że jestem wolna.

- Mówiliśmy już o tym - przypomniał Ender.

- Może w moim przypadku to prawda, nawet jeśli nie w waszym.

- A może nie. Ale sprawdzałaś chyba swój kod?

- Milion razy - przytaknęła Jane. - Przejrzałam go dokładnie.

- Znalazłaś coś, co dawałoby ci iluzję wolnej woli?

- Nie. Ale u ludzi też nie znaleźliście genu wolnej woli.

- Bo go nie ma - wtrącił Miro. - To tak, jak mówił Andrew. Nasze jądro, sama nasza istota, to filota wpleciona w biliony innych, tworzących atomy, molekuly i komórki naszych organizmów. I ty też jesteś filota, jak my.

- Mało prawdopodobne - odparła Jane. Na ekranie pojawiła się jej twarz, mroczne oblicze z filotycznymi promieniami przebijającymi głowę.

- Nie przyjmujemy zakładów - zauważył Ender. - Nic, co się wydarza, nie jest prawdopodobne, dopóki nie zaistnieje. Wtedy jest pewne. Ty istniejesz.

- Czymkolwiek jest to, czym jestem.

- W tej chwili wierzymy, że jesteś samodzielną jaźnią, ponieważ obserwowaliśmy, jak działasz w sposób, który nauczyliśmy się łączyć z wolną wolą. Mamy dokładnie tyle dowodów, że jesteś wolną świadomością, co na to, że sami jesteśmy wolnymi świadomościami. Gdyby się okazało, że nie jesteś, musielibyśmy zakwestionować własną wolność. Uznajemy hipotezę, że nasza indywidualna tożsamość... to, co sprawia, że jesteśmy sobą... to filota w jądrze naszego włókna. Jeśli mamy rację, możemy rozsądnie przyjąć, że i ty nią jesteś. A w takim przypadku musimy wykryć, gdzie się znajduje. Jak wiesz, niełatwo znaleźć filotę. Nigdy się jeszcze nie udało. Przypuszczamy tylko, że one istnieją, ponieważ widzieliśmy dowody działania filotycznego promienia. Zachowuje się tak, jakby



miał dwa końce konkretnie położone w przestrzeni. Nie wiemy, gdzie ty jesteś ani z czym jesteś połączona.

- Jeśli jest podobna do nas, do ludzi - dodał Miro - jej łącza mogą się przenosić i dzielić. Jak ten tłum wokół Grega. Pytałem go, co wtedy odczuwał. Miał wrażenie, że ci ludzie są częściami jego ciała. A kiedy zostawili go i odeszli, wydawało mu się, że doznał amputacji. Sądzę, że ci ludzie naprawdę połączyli się z nim na chwilę, naprawdę nad nimi panował, przynajmniej częściowo. Byli elementami jego jaźni. Może z Jane jest tak samo. Wszystkie te programy splatają się z nią, a ona z tym, kto jest jej szczególnie bliski. Może z tobą. Albo ze mną. Albo z oboma po trochu.

- Ale gdzie jej szukać? - nie ustępował Ender. - Jeśli naprawdę posiada swoją filotę... nie, jeśli jest filotą... to musi mieć swoje położenie. Gdybyśmy je znaleźli, potrafilibyśmy może zachować jej połączenia po odcięciu wszystkich komputerów. Ocalilibyśmy ją od śmierci.

- Nie wiem - westchnął Miro. - Ona może być gdziekolwiek.

Wskazał na ekran. Gdziekolwiek w przestrzeni, chciał powiedzieć. Gdziekolwiek we wszechświecie. A na ekranie tkwiła głowa Jane przecinana filotycznymi promieniami.

- Żeby wykryć, gdzie się znajduje, musimy dojść, gdzie i jak się zaczęła - stwierdził Ender. - Skoro jest filotą, jest jakoś, gdzie połączona.

- Detektyw idący śladem sprzed trzech tysięcy lat - zakpiła Jane. - Zabawnie będzie przyglądać się, jak zajmujesz się tym przez najbliższe dwa miesiące.

Ender zignorował ją.

- A jeśli mamy się tym zająć, musimy przede wszystkim ustalić, jak działają filoty.

- Grego jest fizykiem - wtrącił Miro.

- Pracuje nad lotami szybszymi niż światło - przypomniała Jane.

- Nad tym też może popracować - odparł Miro.

- Nie chcę, żeby marnował czas na badania, które skazane są na porażkę.

- Jane, czy ty w ogóle chcesz przeżyć? - zirytował się Ender.

- I tak nie zdołam, więc po co tracić czas?

- Ona chce zostać męczennicą - uznał Miro.

- Wcale nie. Jestem realistką.

- Jesteś głupia - orzekł Ender. - Grego nie stworzy teorii lotów szybszych niż światło zwyczajnie siedząc tam i myśląc o fizyce fal, światła czy jeszcze czegoś innego. Gdyby to było możliwe, już trzy tysiące lat temu latalibyśmy szybciej niż światło. Setki fizyków zastanawiało się nad tym, kiedy pierwszy raz wykryto filoty i Zasadę Natychmiastowości Parka. Jeśli Gregowi się uda, to dzięki przebłyskowi intuicji, jakiemuś absurdalnemu skojarzeniu. A nie osiągnie tego, skupiając się na jednym ciągu myślowym. - Wiem - zgodziła się Jane.

- Wiem, że wiesz. Sama mówiłaś, że właśnie z tego powodu wprowadzasz w sprawę tych ludzi z Drogi. Żeby myśleli nieprofesjonalnie, intuicyjnie.

- Po prostu nie chcę marnować czasu.

- Po prostu nie chcesz rozbudzać w sobie nadziei. Nie chcesz przyznać, że istnieje szansa ratunku, ponieważ wtedy zaczniesz bać się śmierci.

- Już boję się śmierci.

- Już myślisz o sobie jak o martwej - poprawił ją Ender. - To wielka różnica.

- Wiem - szepnął Miro.

- Zatem, kochana Jane, nie obchodzi mnie, czy zechcesz przyznać, że istnieje dla ciebie szansa ratunku. Będziemy nad tym pracować. Poprosimy Grega, żeby o tym pomyślał. A przy okazji, powtórzysz całą naszą rozmowę tym ludziom z Drogi...

- Hań Fei-tzu i Si Wang-mu.

- Właśnie im. Bo oni też mogą się nad tym zastanowić.

- Nie - powiedziała Jane.

- Tak.

- Zanim umrę, chcę zobaczyć rozwiązanie rzeczywistych problemów... Chcę uratować Lusitanię, uwolnić bogosłyszających z Drogi, poskromić albo zniszczyć descoladę. I nie pozwolę, żebyście opóźniali to pracą nad nierealnym projektem ocalenia mi życia.

- Nie jesteś Bogiem. I tak nie wiesz, jak rozwiązać te problemy, a zatem nie wiesz, w jaki sposób uda się je rozwiązać. Czyli nie masz pojęcia czy poszukiwanie twojej istoty w celu ratowania ciebie pomoże czy zaszkodzi tamtym studiom. A już na pewno nie możesz wiedzieć, czy koncentrowanie się na tamtych sprawach doprowadzi do ich rozwiązania choć odrobinę szybciej, niż gdybyśmy wszyscy pojechali dziś na piknik i do wieczora grali w tenisa.

- Co to jest tenis, do diabła? - nie wytrzymał Miro.

Lecz Ender i Jane milczeli, patrząc na siebie gniewnie. A raczej Ender patrzył gniewnie na obraz Jane na ekranie, a obraz odpowiadał mu tym samym.

- Nie wiesz, czy masz rację - stwierdziła wreszcie Jane.

- A ty nie wiesz, czy się mylę - odparł Ender.

- To moje życie.

- Akurat. Jesteś częścią mnie, i Mira również. Jesteś związana z całą przyszłością ludzkości. Pequeninos i królowej kopca też, nawiasem mówiąc. Co mi przypomina... kiedy przekażesz Hanowi-jak-mu-tam i Si Wang-nie-pamiętam...

- Mu.

- ...żeby zajęli się tymi filotami, ja porozmawiam z królową kopca. Chyba nie poruszaliśmy jeszcze twojego tematu. Skoro ma filotyczny kontakt ze wszystkimi robotnikami, na pewno więcej od nas wie o filotach.

- Nie powiedziałam, że wciągnę Hań Fei-tzu i Si Wang-mu do waszego głupiego projektu „Ratujmy Jane”.

- Ale zrobisz to.

- Niby czemu?

- Bo Miro i ja cię kochamy, potrzebujemy cię i nie masz prawa nam umierać, przynajmniej nie próbując przeżyć.

- Nie mogę pozwolić, żeby kierowały mną takie argumenty.

- Owszem, możesz - oznajmił Miro. - Gdyby nie takie argumenty, już dawno popełniłbym samobójstwo.

- Ja nie zabiję się sama.

- To właśnie zrobisz, jeżeli nie pomożesz nam cię ratować – rzekł Ender.

Twarz Jane zniknęła z ekranu nad terminalem.

- Uciezka ci nie pomoże - zawołał Ender.

- Dajcie mi spokój - odpowiedziała. - Muszę się chwilę zastanowić.

- Nie martw się Miro. Zrobi to.

- Zgadza się, zrobię - odpowiedziała Jane.

- Już wróciłaś?

- Ja... myślę bardzo szybko.

- Ty sama też się tym zajmiesz?

- Uznaję to za swój czwarty projekt. Właśnie przekazuję wszystkie dane do Hań Fei-tzu i Si Wang-

mu,

- To na pokaz - zauważył Ender. - Potrafi prowadzić dwie rozmowy równocześnie i lubi się tym chwalić, żebyśmy czuli się gorsi.
  - Jesteście gorsi - stwierdziła Jane.
  - Ja jestem głodny - wyznał Ender. - I spragniony.
  - Lunch - zaproponował Miro.
  - Teraz ty się przechwalasz - zauważyła Jane. - Robisz pokaz z funkcji cielesnych.
  - Odżywianie. Oddychanie. Wydalanie. Możemy robić to, czego ty nie potrafisz.
  - Innymi słowy, myślenie wam nie idzie, ale przynajmniej możecie jeść, oddychać i spływać potem.
  - Zgadza się - potwierdził Miro.
- Wyjął chleb i ser, a Ender nalał zimnej wody. Jedli niespiesznie. Prosty posiłek, ale smakował im i nasycił.

*Zastanawiałem się, co mogą dla nas oznaczać podróże międzygwiazdne.*

*Oprócz przetrwania gatunku ?*

*Kiedy ty wysyłasz swoje robotnice, nawet o całe lata świetlne od siebie, nadal widzisz ich oczami, prawda?*

*I smakuję przez ich czulki, odczuwam rytm każdej wibracji. Kiedy jedzą, czuję, jak kruszą szczękami pożywienie. Właśnie dlatego prawie zawsze mówię o sobie „my” gdy formuję myśli w kształt zrozumiały dla Andrew albo ciebie. Ponieważ żyję w nieustającej obecności tego, co one widzą, smakują i czują.*

*Między ojcowskimi drzewami jest trochę inaczej. Musimy się postarać, żeby doświadczać swoich przeżyć. Ale to możliwe. Przynajmniej tutaj, na Lusitanii.*

*Nie przypuszczam, żeby filotyczne łącza miały was zawieść.*

*Zatem i ja poczuję to co one, posmakuję liśćmi światła obcego słońca, wysłucham opowieści z obcego świata. To będzie jak zachwycenie, które nas ogarnęło, kiedy przybyli ludzie. Przedtem nie wierzyliśmy, by cokolwiek mogło być inne niż świat, jaki znamy. Ale oni przywieźli ze sobą niezwykle stworzenia i sami byli niezwykli. Mieli maszyny i dokonywali cudów. Inne lasy nie mogły uwierzyć, kiedy nasze ojcowskie drzewa o tym opowiadały. Pamiętam, że same ojcowskie drzewa nie dowierzały, gdy bracia z plemienia mówili im o ludziach. Na Korzeniaka spadł ciężar przekonania ich, że to nie kłamstwo, szaleństwo ani żart.*

*Żart?*

*Krążą historie o braciach-oszustach, którzy okłamują ojcowskie drzewa. Ale zawsze są chwytni i surowo karani.*

*Andrew mówił mi, że takie historie powtarza się, aby zachęcić do przykładnego zachowania.*

*Okłamanie ojcowskiego drzewa zawsze kusi. Sam to czasem robiłem. Nie kłamałem... trochę koloryzowałem. I oni czasem mi to robią.*

*Karzesz ich?*

*Pamiętam, którzy kłamali.*

*Gdy mamy robotnicę, która nie jest posłuszna, zostawiamy ją samą i umiera.*

*Brat, który za dużo kłamie, niewielką ma szansę zostania ojcowskim drzewem. Oni o tym wiedzą. Kłamią tylko dla zabawy. Zawsze w końcu mówią nam prawdę.*

*A gdyby cały szczep okłamywał ojcowskie drzewa? Jak byś się o tym dowiedział?*

*Równie dobrze możesz zapytać o szczep, który ścina swoje ojcowskie drzewa, albo je pali.*

*Czy to się kiedyś zdarzyło?*

*Czy robotnice zwróciły się kiedyś przeciw królowej i zabiły ją ?*

*Jak mogłyby to zrobić? Przecież by umarły.*

*No widzisz. Są rzeczy zbyt straszne, żeby je rozważać. Wolę myśleć, jakie to będzie uczucie, kiedy pierwsze ojcowskie drzewo zapuści korzenie w obcą glebę, sięgnie konarami do obcego nieba i napije się światła obcej gwiazdy.*

*Niedługo się przekonasz, że nie ma obcych gwiazd ani obcego nieba.*

*Nie?*

*Tylko nieba i gwiazdy, we wszystkich odmianach. Każde ma swój smak, a wszystkie smaki są dobre.*

*Teraz myślisz jak drzewo. Smak! Nieba!*

*Smakowałam ciepła wielu gwiazd i wszystkie były słodkie.*

- Prosisz mnie, żebym wam pomogła w buncie przeciw bogom?

Wang-mu czekała pochylona nisko przed swoją panią... swoją była panią. Milczała. Zachowała w sercu słowa, które chciałyby wypowiedzieć: Nie, pani moja; proszę cię o pomoc w walce ze straszliwą niewolą bogosłyszających, spętanych przez Kongres. Nie, pani moja; proszę, byś pamiętała o obowiązkach wobec ojca, których nawet bogosłyszający nie może zlekceważyć, jeśli ceni prawość. Nie, pani moja; proszę cię o pomoc w ocaleniu dobrych, niewinnych ludzi, pequeninos, przed ksenocydem.

Ale Wang-mu milczała, gdyż była to jedna z pierwszych lekcji, jaką odebrała od mistrza Hana. Kiedy posiadasz mądrość, a druga osoba wie, że jej potrzebuje, podziel się z radością. Ale kiedy jeszcze nie wie, że potrzebuje twej mądrości, zatrzymaj ją dla siebie. Jedzenie budzi zachwyty tylko człowieka głodnego. Qing-jao nie czuła głodu mądrości Wang-mu. Nigdy nie poczuje. Dlatego Wang-mu mogła jej ofiarować jedynie milczenie. Mogła tylko wierzyć, że Qing-jao znajdzie własną ścieżkę do właściwego posłuszeństwa, współczucia, i do walki o wolność.

Każdy pretekst jest dobry, byle tylko błyskotliwy umysł Qing-jao zaczął pracować dla słusznej sprawy, Wang-mu nigdy jeszcze nie czuła się tak bezużyteczna jak teraz, gdy patrzyła jak mistrz Hań zmaga się z problemami zadanymi przez Jane. Aby myśleć nad lotami szybszymi niż światło, studiował fizykę. Jak Wang-mu miała mu pomagać, kiedy uczyła się dopiero geometrii? Aby myśleć nad wirusem descolady, studiował mikrobiologię. I do czego mogła się przydać, skoro poznawała dopiero początki gajalogii i ewolucji? Jak mogła cokolwiek pomóc, gdy kontemplował naturę Jane? Była dzieckiem prostych robotników i w rękach, nie w umyśle, tkwiła jej przyszłość. Filozofia tak dalece przewyższała jej możliwości, jak niebo przewyższa ziemię.

- Ale niebo tylko wydaje się odległe - odpowiadał mistrz Hań, kiedy mu o tym mówiła. - Naprawdę istnieje wokół ciebie. Wdychasz je i wydychasz, nawet kiedy pracujesz z rękami w błocie. To jest prawdziwa filozofia.

Ale ona zrozumiała tyle, że mistrz Hań jest dla niej dobry i chce, żeby poczuła się lepiej.

Za to Qing-jao nie byłaby bezużyteczna. Dlatego Wang-mu podała jej kartkę z nazwami projektów badawczych i zestawem haseł.

- Czy ojciec wie, że mi to przyniosłaś?

Wang-mu nie odpowiedziała. W rzeczywistości mistrz Hań sam to sugerował. Uznała jednak, że na tym etapie lepiej, by Qing-jao nie wiedziała, że przyszła do niej jako emisariusz ojca.

Qing-jao zrozumiała to milczenie tak, jak oczekiwała Wang-mu: że była sekretna drużyna przychodzi do niej w tajemnicy, by na własną rękę szukać pomocy.

- Gdyby ojciec mnie poprosił, zgodziłabym się, gdyż jest to mój obowiązek jako córki.

Wang-mu wiedziała jednak, że Qing-jao nie słucha już ojca. Mogła mówić, że byłaby posłuszna. Nie zniosłaby tak straszliwego konfliktu. Wiedząc, że ojciec wymaga nieposłuszeństwa wobec bogów, padłaby raczej na podłogę i przez cały dzień śledziła słoje w deskach.

- Tobie nic nie jestem winna - rzekła Qing-jao. - Byłaś kłamliwą, nielojalną służącą. Nigdy jeszcze nie istniała bardziej niegodziwa i bezwartościowa sekretna drużyna. Dla mnie twoja obecność w tym domu jest jak obecność żuków gnojników na jadalnym stole. I znowu Wang-mu powstrzymała swój język. Ale też nie pokłoniła się niżej. Na początku rozmowy przyjęła pozę pokornej służki, ale nie będzie się przecież płaszczyć jak skruszona grzesznica. Nawet najniżsi z nas mają swoją godność, panienko Qing-jao. A ja dobrze wiem, że nie zrobiłam ci żadnej krzywdy, że jestem ci bardziej wierna, niż ty sama sobie.

Qing-jao odwróciła się i wpisała pierwszą nazwę projektu: ROZKLEJANIE, co było dosłownym tłumaczeniem descolady.

- To i tak nonsens - oświadczyła, gdy tylko rzuciła okiem na przesłane z Lusitani dokumenty i wykresy. - Trudno uwierzyć, że ktoś decyduje się na zdradę, jaką są kontakty z Lusitanią, tylko po to, żeby odebrać takie bzdury. Z punktu widzenia nauki to niemożliwe. Żaden system biologiczny nie mógł wykształcić pojedynczego wirusa tak złożonego, żeby zawierał w sobie kody genetyczne wszystkich innych gatunków planety. Nie będę tracić czasu na czytanie tego.

- Dlaczego nie? - spytała Wang-mu. Teraz już mogła się odezwać. Chociaż Qing-jao twierdziła, że nie ma zamiaru dyskutować o tych materiałach, w istocie dyskutowała. - Przecież ewolucja wykształciła tylko jedną ludzką rasę.

- Ale na Ziemi żyło z dziesięć pokrewnych gatunków. Nie istnieje gatunek, który nie ma krewniaków... Gdybyś nie była głupią, buntowniczą dziewczyną, sama byś to zrozumiała. Ewolucja nie mogła stworzyć tak skąpego systemu.

- W takim razie jak wytłumaczysz te przesłane z Lusitani dokumenty?

- Skąd wiesz, że stamtąd pochodzą? Masz na to tylko słowo tego programu. Może on myśli, że to już wszystko. A może naukowcy tam są bardzo marni, mało obowiązkowi, i nie zebrali wszystkich możliwych informacji. W całym tym raporcie nie ma nawet dwudziestu gatunków. I zobacz, są połączone w całkiem absurdalne pary. Niemożliwe, żeby istniało ich tak mało.

- A jeśli to prawda?

- Jak może to być prawda? Mieszkańcy Lusitani od samego początku byli ograniczeni do maleńkiej enklawy. Widzieli tylko tyle, ile pokazały im te świnioludy. Skąd mogą mieć pewność, że świnioludy nie kłamią?

Nazywasz ich świnioludami... Czy tak próbujesz siebie przekonać, pani, że pomoc Kongresowi nie prowadzi do ksenocydu? Jeśli nazwiesz ich zwierzęcym imieniem, czy to znaczy, że można ich pozabijać? Jeśli oskarżysz o kłamstwo, czy zasługują na zagładę?

Ale Wang-mu nie powiedziała tego głośno. Jeszcze raz zadała tylko to samo pytanie.

- A jeśli to prawdziwy obraz form życia na Lusitani i tego, jak działa na nie descolada?

- Gdyby był prawdziwy, musiałabym przeczytać i przemyśleć te raporty. Wtedy mogłabym o nich powiedzieć coś sensownego. Ale nie są prawdziwe. Jak daleko posunęłaś się w nauce, zanim mnie zdradziłaś? Uczyłam cię gajalogii?

- Tak, pani.

- Sama widzisz. Ewolucja to środek, dzięki któremu organizm planetarny reaguje na zmiany w swym środowisku. Jeśli słońce daje więcej ciepła, formy życia na planecie dostosowują swoją liczebność, aby zrównoważyć to i obniżyć temperaturę. Pamiętasz klasyczny eksperyment myślowy z Planetą Stokrotek?

- Przecież w tym eksperymencie na powierzchni planety występował tylko jeden gatunek. Kiedy słońce stawało się zbyt gorące, rosły białe stokrotki, by odbijać światło w kosmos. Kiedy stygło, rosły ciemne, by absorbować światło i zatrzymywać ciepło. - Wang-mu była dumna, że tak dobrze zapamiętała Planetę Stokrotek.

- Nie nie nie - odparła Qing-jao. - Oczywiście, przeoczyłaś najważniejsze. Rzecz w tym, że tam musiały istnieć ciemne stokrotki nawet wtedy, kiedy dominowały białe. I białe, kiedy świat porastały ciemne, ewolucja nie tworzy nowych gatunków na zamówienie. Tworzy nowe gatunki nieustannie, w miarę jak radiacja przekształca, rozbija i łączy geny, a wirusy przenoszą je między gatunkami. W ten sposób żaden gatunek nigdy nie zachowuje „czystej krwi”.

Wang-mu nie rozumiała jeszcze związku i jej twarz musiała zdradzić zdziwienie.

- Czy wciąż jestem twoją nauczycielką? Czy muszę dotrzymać swojej części umowy, choć ty złamałaś swoją?

Proszę, szepnęła w myślach Wang-mu. Będę ci służyć do końca życia, jeśli tylko pomożesz ojcu w tym dziele.

- Dopóki gatunek żyje na jednym terytorium, stale się krzyżując, poszczególne osobniki nie odbiegają zbytnio od normy genetycznej. Ich geny stale rekombinują się z genami innych osobników tego samego gatunku, dlatego wszelkie odchylenia rozkładają się równomiernie w całej populacji. Dopiero kiedy środowisko wywiera nacisk tak silny, że przypadkowa cecha nabiera wartości w procesie przetrwania... wtedy w danym środowisku giną wszystkie osobniki, które nie posiadają tej cechy. A ona sama staje się wyznacznikiem nowego gatunku. To fundamentalna zasada gajalogii: dla przetrwania życia jako całości niezbędny jest ciągły dryf genetyczny. Według tych dokumentów, Lusitania jest światem z absurdalnie niską liczbą gatunków. Genetyczny dryf uniemożliwiają te nieprawdopodobne wirusy, które stale korygują wszelkie przypadkowe odchylenia. Taki system nie mógł powstać drogą ewolucji, a co więcej, w takim systemie życie nie mogłoby istnieć przez dłuższy czas... te gatunki nie przystosowują się do zmian.

- A jeśli na Lusitanii nie ma żadnych zmian?

- Nie bądź głupia, Wang-mu. Ze wstydem myślę, że w ogóle próbowałam cię czegoś nauczyć. Gwiazdy się zmieniają. Planety kołyszają się i odchylają od orbit. Od trzech tysięcy lat obserwujemy setki światów. Zrozumieliśmy to, co było niedostępne ziemskim uczonym z dawnych wieków: jakie zjawiska są typowe dla wszystkich planet i systemów, a jakie wyjątkowe dla Ziemi i Układu Sol. Mówię ci, że taka planeta jak Lusitania może przetrwać najwyżej kilka dziesięcioleci. Potem nastąpią zmiany zagrażające istnieniu życia: fluktuacje temperatury, zakłócenia orbity, cykle sejsmiczne i wulkaniczne. Jak poradziłby sobie system z ledwie garstką gatunków? Gdyby rosły wyłącznie białe stokrotki, jak by się ratowały, gdy stygnie słońce? Gdyby wszystkie formy życia zużywały tylko dwutlenek węgla, jak by się ratowały, gdy stężenie tlenu w atmosferze osiągnie zabójczy poziom? Ci twoi tak zwani przyjaciele z Lusitanii to głupcy, skoro wysyłają ci takie bzdury. Gdyby byli prawdziwymi uczonymi, wiedzieliby, że takie wyniki są niemożliwe. Qing-jao wcisnęła klawisz i ekran zgasł.

- Marnujesz tylko mój cenny czas. Nie przychodź tu więcej, jeśli nie masz do zaproponowania nic lepszego. Jesteś dla mnie mniej niż niczym. Jesteś muchą pływającą w mojej szklance. Zanieczyszczasz całą wodę, nie tylko miejsce, gdzie płyniesz. Budzę się w bólu wiedząc, że przebywałeś w tym domu.

Więc chyba nie jestem „niczym”, pomyślała Wang-mu. Raczej jestem dla ciebie bardzo ważna. Być może masz świetny umysł, Qing-jao, ale siebie nie rozumiesz ani trochę lepiej niż ktokolwiek inny.

- Jesteś głupią, prostą dziewczyną. Dlatego nie rozumiałaś - powiedziała Qing-jao. - Kazałam ci odejść.

- Przecież twój ojciec jest panem tego domu. A mistrz Hań prosił, żebym została.

- Mała głuptasko, świńska siostrzyczko, nie mogę usunąć cię z domu. Natomiast wyraźnie sugerowałam, iż pragnę, byś opuściła mój pokój.

Wang-mu pochyliła głowę, aż prawie... prawie... dotknęła czołem podłogi. Potem wycofała się do drzwi, by nie pokazywać swej pani pleców. Skoro tak się do mnie odnosisz, ja będę cię traktować jak wielką księżniczkę. A jeśli nie dostrzeżesz w moim zachowaniu ironii, to która z nas jest głupia?

Kiedy Wang-mu wróciła do pokoju, mistrza Hana tam nie było. Może wyszedł do toalety i wróci

za chwilę. A może wypełnia jakiś rytuał bogosłyszających... Wtedy zajmie mu to długie godziny. Wang-mu zbyt wiele miała pytań, by czekać. Wywołała na terminalu dokumentację projektu. Wiedziała, że Jane obserwuje ją, i z pewnością widziała, co zaszło w pokoju Qing-jao.

Mimo to Jane czekała z odpowiedzią, aż Wang-mu zada pytanie. Potem wyjaśniła kwestię wiarygodności.

- Dokumenty z Lusitanii są prawdziwe - oświadczyła. - Ela, Novinha, Quanda i inni, którzy z nimi prowadzili badania, są - owszem - dość wąsko wyspecjalizowani, ale w swojej specjalności bardzo dobrzy. Gdyby Qing-jao uważniej przeczytała Życie Człowieka, wiedziałaby, jak funkcjonują te pary gatunków.

- Ale wciąż trudno mi zrozumieć to, co powiedziała - wyznała Wang-mu. - Zastanawiałam się, jak to możliwe... Istnieje za mało gatunków, by powstała normalna gaialogia, a jednak planeta Lusitania jest dostatecznie uregulowana, by podtrzymywać życie. Czyżby środowisko nie ulegało tam żadnym zmianom?

- Nie - odparła Jane. - Mam dostęp do danych satelitów astronomicznych. W okresie obecności ludzi w systemie Lusitanii, planeta i jej słońce wykazywały wszystkie typowe fluktuacje. W tej chwili występuje globalna tendencja ocieplenia.

- I jak zareagują lusitańskie formy życia? Wirus descolady nie pozwala na ewolucję. Niszczy wszystko, co jest odmienne. Dlatego próbuje zabić ludzi i królową kopca.

Jane, której maleńki wizerunek siedział w pozycji kwiatu lotosu nad terminalem mistrza Hana, uniosła rękę.

- Chwileczkę - rzuciła.

Po kilku sekundach opuściła dłoń.

- Przekazałam twoje pytania moim przyjaciółom. Ela jest bardzo podniecona.

Nowa twarz pojawiła się na ekranie, trochę z tyłu i powyżej obrazu Jane. Należała do smagłej kobiety typu negroidalnego; pewnie rasy mieszanej, bo nie miała aż tak ciemnej skóry, a nos był wąski. To jest Elanora, pomyślała Wang-mu. Jane pokazuje mi kobietę ze świata odległego o wiele lat świetlnych. Czy jej także pokazuje moją twarz? Co ta Ela o mnie sądzi? Czy uważa mnie za beznadziejnie głupią?

Jednak Ela wyraźnie wcale nie myślała o Wang-mu. Za to mówiła o jej pytaniach.

- Dlaczego wirus descolady nie pozwala na zmienność? To powinna być cecha o wartości ujemnej, a mimo to descolada żyje. Wang-mu uważa mnie pewnie za idiotkę, że wcześniej o tym nie pomyślałam. Ale nie jestem gaialogiem. Urodziłam się na Lusitanii, więc nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Uznałam po prostu, że tutejsza gaialogia, jaka by nie była, po prostu funkcjonuje... i badałam descoladę. Co o tym sądzi Wang-mu?

Wang-mu ze zdumieniem słuchała obcej kobiety. Co Jane opowiedziała o niej Eli? Jak Ela mogła przypuścić, że Wang-mu uzna ją za idiotkę, skoro jest uczoną, a Wang-mu tylko służącą?

- Jakie to ma znaczenie, co ja sądzę? - spytała Wang-mu.

- Co ty sądzisz? - powtórzyła Jane. - Choćbyś nie miała pojęcia, jakie to może mieć znaczenie, Ela chce wiedzieć.

Wang-mu opowiedziała o swoich przemyśleniach.

- To głupi pomysł, bo chodzi o mikroskopijny wirus, ale descolada musi tego wszystkiego pilnować. Zawiera w sobie geny wszystkich gatunków. Dlatego kontroluje samą ewolucję. To descolada kieruje zmianami, nie dryf genetyczny. Potrafi to. Może zmienić geny całego gatunku, chociaż ten gatunek ciągle żyje. Nie musi czekać na ewolucję.

Jane uniosła rękę. Na pewno pokazuje Eli twarz Wang-mu, pozwala jej wysłuchać słów Wang-mu



z jej własnych warg.

- Nossa Senhora - szepnęła Ela. - Na tej planecie Gaią jest descolada. To wszystko tłumaczy. Tak mało gatunków, ponieważ descolada toleruje wyłącznie te, które opanowała. Zmieniła światową gaialogię w coś tak prymitywnego jak Planeta Stokrotek.

Wang-mu uznała, że to zabawne: poważny naukowiec odwołuje się do Planety Stokrotek. Jakby Ela wciąż jeszcze była uczennicą, niewykształconym dzieciakiem. Jak Wang-mu.

Kolejna twarz pojawiła się obok Eli: starszy, biały mężczyzna koło sześćdziesiątki, pełen spokoju.

- Ale na część pytania Wang-mu wciąż nie ma odpowiedzi - zauważył. - Jak ewoluowała descolada? Jak mogły istnieć protodescoladowe wirusy? Dlaczego tak ograniczona gaialogia zyskała przewagę nad powolnym, ewolucyjnym modelem, funkcjonującym na wszystkich innych planetach?

- Nie stawiałam takiego pytania - zdziwiła się Wang-mu. - Qing-jao zadała jego pierwszą część, ale całą resztę on sam wymyślił.

- Ciszej - rzuciła Jane. - Qing-jao nie stawiała pytań. Użyła ich tylko jako pretekstu, żeby nie czytać dokumentów z Lusitanii. Tylko ty je zadawałaś, a jeśli nawet Andrew Wiggin rozumie twoje pytanie lepiej od ciebie, to przecież ono dalej jest twoje.

Więc to jest Andrew Wiggin, Mówca Umarłych. Wcale nie wyglądał na starego i mądrego, nie tak jak mistrz Hań. Za to wydawał się zabawnie zaskoczony, jak wszyscy krągłocy, a jego twarz zmieniała się z każdą zmianą nastroju, jakby zupełnie nad nią nie panował. A jednak roztaczał atmosferę pokoju. Miał w sobie coś z Buddy. Przecież Budda odnalazł własny szlak ku Drodze. Może ten Andrew także podążał ścieżką, która prowadzi do Drogi, chociaż nie był Chińczykiem.

Wiggin nadal zadawał pytania, o których myślał, że pochodzą od Wang-mu.

- Szansa naturalnego powstania takiego wirusa jest niewyobrażalnie mała. Zanim jeszcze powstałby szczep, który potrafi łączyć gatunki i kontrolować całą gaialogię, protodescolady zniszczyłyby wszelkie formy życia. Nie było czasu na ewolucję. Wirus jest nazbyt zabójczy. W najwcześniejszej postaci wybiłby wszystko, a potem sam zginął, pozbawiony organizmów do atakowania.

- Może atakowanie przyszło później - zauważyła Ela. - Mógł przecież ewoluować w symbiozie z jakimś innym gatunkiem, który korzystał z jego zdolności do genetycznej przemiany osobników. Szybkiej przemiany, w ciągu dni lub tygodni. Dopiero potem przeniósł się na inne gatunki.

- Możliwe - przyznał Andrew. Wang-mu przyszło coś do głowy.

- Descolada przypomina bogów - powiedziała. - Przybywa i odmienia każdego, czy on tego chce, czy nie.

- Tyle że bogowie mieli dość przyzwoitości, żeby odejść - mruknął Wiggin.

Odpowiedział od razu. Wang-mu zrozumiała, że Jane natychmiastowo transmituje obraz i dźwięk przez miliardy kilometrów przestrzeni. Z tego, co słyszała o kosztach takiej łączności, była ona dostępna tylko dla wojska. Prywatny przedsiębiorca, gdyby uzyskał łącze w czasie rzeczywistym, zapłaciłby tyle, że starczyłoby na domy dla wszystkich biedaków na całej planecie. A ja mam to za darmo, dzięki Jane. Widzę ich twarze, a oni widzą moją, dokładnie w chwili, kiedy mówią.

- Tak myślisz? - spytała Ela. - O ile się orientuję, kłopoty Drogi biorą się stąd, że bogowie nie odeszli i nie zostawili ich jednak w spokoju.

- Bogowie są jak descolada we wszystkich aspektach - odparła z goryczą Wang-mu. - Niszczą wszystko, co im się nie spodoba. A tych, których wybiorą, zmieniają nie do poznania. Qing-jao była kiedyś dobrą, rozsądną i wesołą dziewczyną. Teraz jest zawzięta, gniewna i okrutna. Wszystko przez bogów.

- Przez genetyczne manipulacje Kongresu - sprzeciwił się Wiggin. - Zmianę wprowadzoną

świadomie przez ludzi, którzy chcieli przystosować was do własnych celów.

- Tak - szepnęła Ela. - Jak descolada.

- Co masz na myśli? - spytał Wiggin.

- Zmiana wprowadzona świadomie przez ludzi, którzy chcieli przystosować Lusitanię do własnych celów.

- Jakich ludzi? - zdziwiła się Wang-mu. - Kto mógłby zrobić coś tak okropnego?

- Ta myśl prześladuje mnie od lat - zaczęła Ela. - Nie mogłam zrozumieć, czemu na Lusitaniu żyje tak mało gatunków. Pamiętasz Andrew, między innymi dzięki temu odkryliśmy, że descolada łączy je w pary. Wiedzieliśmy, że nastąpiła tu katastrofalna zmiana, która zgładziła większość gatunków i przekształciła nieliczne ocalałe. Dla większej części życia na Lusitaniu descolada była bardziej zabójcza niż upadek asteroidu. Jednak zawsze zakładaliśmy, że skoro descoladę znaleźliśmy tutaj, musiała tu powstać drogą ewolucji. Wiedziałam, że to nie ma sensu... ale ponieważ wyraźnie nastąpiło, to bez znaczenia, czy ma sens, czy nie. Ale jeśli nie nastąpiło? Jeśli descoladę zesłali bogowie? Nie „boscy” bogowie, naturalnie, ale jakaś inteligentna rasa, która sztucznie stworzyła wirusa?

- To by było potworne - rzekł Wiggin. - Stworzyć taką truciznę i posłać ją do innych światów, nie wiedząc i nie przejmując się, co zabija.

- Nie truciznę - poprawiła go Ela. - Jeżeli naprawdę kieruje planetarnym systemem regulacji, może jest narzędziem terraformowania planet? My nigdy tego nie próbowaliśmy. Ludzie, a przedtem robale zasiedlały tylko światy, które lokalne życie doprowadziło do stanu bliskiego Ziemi. Stworzyło bogatą w tlen atmosferę i dostatecznie szybko pochłania dwutlenek węgla, by utrzymać temperaturę na rozsądnym poziomie, gdy słońce się rozпали. Jakaś inna rasa mogła uznać, że dla pozyskania planet do kolonizacji należy wcześniej wysłać descoladę... może nawet z wyprzedzeniem tysięcy lat. Wirus inteligentnie przebudowuje planety do potrzebnych warunków. A kiedy przybywają, żeby założyć gospodarstwo, mają pewnie jakiś antywirus, który wyłącza descoladę. Wtedy wprowadzają normalną gaialogię.

- Albo stworzyli wirusa tak, by nie atakował ich samych ani użytecznych zwierząt - dodał Wiggin.

- Możliwe, że niszczą wszelkie zbędne dla siebie formy życia.

- Wszystko jedno. To by rozwiązywało każdy nasz problem. Całe to niewiarygodne, nienaturalne zestawienie molekuł w descoladzie... one istnieją tylko dlatego, że wirus bezustannie pracuje, by utrzymać te wewnętrzne sprzeczności. Ale nie miałam pomysłu, jak taka wewnętrznie sprzeczna molekula mogła się pojawić. Wszystko się wyjaśnia, kiedy wiemy, że została zaprojektowana i wyprodukowana. Co krytkowały Qing-jao i Wang-mu? Że ewolucja nie mogła stworzyć descolady, a gaialogia Lusitaniu nie może istnieć w naturze. Ona nie istnieje w naturze. To sztuczny wirus i sztuczna gaialogia.

- Czy to wam pomoże? - zapytała Wang-mu. Wyraz ich twarzy świadczył, że w ferworze dyskusji zupełnie o niej zapomnieli.

- Jeszcze nie wiem - przyznała Ela. - Ale pozwala na całkiem nowe podejście. Mogę założyć, że wszystko w wirusie ma jakiś cel, nie jest tylko zwykłą kombinacją aktywnych i pasywnych genów, jakie występują naturalnie... tak, to pomoże. A wiedza, że descolada została zbudowana, daje nadzieję, że zdołam ją zdemontować. Albo przebudować.

- Nie rozpędzaj się - upomniał ją Wiggin. - To wciąż tylko hipoteza.

- Ale przekonująca - odparła Ela. - Czuję, że jest prawdziwa. Tak wiele wyjaśnia.

- Mnie też się tak wydaje. Musimy porozmawiać o tym z ludźmi, na których wywrze największy wpływ.

- Gdzie jest Sadownik? Z nim możemy porozmawiać.

- I z Człowiekiem, i Korzeniakiem. Trzeba przedstawić ten pomysł ojcowskim drzewom.

- Trafi to w nich jak huragan - mruknęła Ela. I nagle jakby zdała sobie sprawę ze znaczenia własnych słów. - To ich zaboli. Naprawdę. Dowiedzą się, że cały ich świat to tylko projekt terraformacji.

- Coś więcej niż ich świat - dodał Wiggin. - Oni sami. Trzecie życie. Descolada dała im wszystko: to, czym są i podstawowe zasady ich życia. Pamiętasz, najbardziej prawdopodobna teoria stwierdza, że ewoluowali jako ssakopodobne istoty i kopulowali bezpośrednio, samce i samice. Pół tuzina małych matek naraz ssało życie z męskich organów płciowych. Tacy byli. Descolada przebudowała ich, wysterylizowała samce do chwili, kiedy zamieniają się w drzewa.

- Sama ich natura...

- Nam też trudno było uwierzyć, że tak wiele naszych zachowań wynika z ewolucyjnej konieczności. Nadal wielu ludzi nie chce się z tym pogodzić. Jeśli nawet się okaże, że to prawda, czy myślisz, że pequeninos przyjmą ją z taką radością jak cuda podróży kosmicznych? Co innego zobaczyć istoty z innego świata, a co innego dowiedzieć się, że nie stworzył ich Bóg ani ewolucja, ale jakiś naukowiec z innej planety.

- Ale jeśli to prawda...

- Kto wie, czy prawda. Wiemy tylko, że teoria jest użyteczna. Ale dla pequeninos może się okazać zbyt przerażająca, by kiedykolwiek zechciały w nią uwierzyć.

- Niektórzy znienawidzą cię, jeśli im powiesz - wtrąciła Wang-mu. - Ale inni będą zadowoleni.

Wszyscy spojrzeli na nią znowu... a przynajmniej symulacje Jane to uczyniły.

- Wiesz o czym mówisz, prawda? - mruknął Wiggin. - Ty i Hań Fei-tzu dowiedzieliście się właśnie, że wasz lud został genetycznie poprawiony.

- I zniewolony równocześnie - dokończyła Wang-mu. - Dla mnie i mistrza Hana oznaczało to wolność. Dla Qing-jao...

- Wśród pequeninos znajdzie się wielu podobnych do Qing-jao - stwierdziła Ela. - Ale wśród nich nie będzie Sadownika, Człowieka ani Korzeniaka. Są bardzo mądrzy.

- Qing-jao też jest mądra! - zawołała Wang-mu. Odezwała się bardziej zapalczywie niż zamierzała, ale lojalność sekretnej drużyny gaśnie bardzo powoli.

- Nie twierdzimy, że nie jest - uspokoił ją Wiggin. - Ale w tej sprawie nie zachowała się mądrze.

- W tej sprawie nie - zgodziła się Wang-mu.

- O to nam chodziło. Nikt nie lubi, kiedy nagle fałszem okaże się wszystko, w co wierzył. Wielu pequeninos uważa, że Bóg uczynił ich kimś wyjątkowym... tak jak wasi bogosłyszający.

- A my nie jesteśmy wyjątkowi! Nikt z nas! - zapłakała Wang-mu. - Jesteśmy zwyczajni jak błoto! Nie ma bogosłyszających! Nie ma bogów! Nie troszczą się o nas!

- Jeżeli nie ma bogów - poprawiła ją łagodnie Ela - to trudno, żeby się o kogokolwiek troszczyli.

- Stworzyli nas dla swoich własnych, egoistycznych celów! - krzyczała Wang-mu. - Ci, co zrobili descoladę... pequeninos są elementem ich planu. Tak jak bogosłyszający są elementem planów Kongresu.

- Tak jak ktoś, kogo narodzin zażądała władza - dodał Wiggin. - Rozumiem twój punkt widzenia. Ale zbyt pośpiesznie wydajesz sądy. W końcu, moi rodzice także mnie pragnęli. I od momentu narodzin, jak każde żywe stworzenie, miałem w życiu własne cele. Jeśli pomyliliście się sądząc, że objawy ZPN są przesłaniem bogów, to jeszcze nie znaczy, że bogowie nie istnieją. Jeśli wasze zrozumienie celu w życiu okazało się błędne, nie powinniście od razu uznawać, że nie ma żadnych celów.

- Oczywiście, istnieje taki cel. Kongres chciał niewolników. Dlatego stworzyli Qing-jao: żeby była ich niewolnicą. A ona chce trwać w niewoli.

- Taki był cel Kongresu. Ale Qing-jao miała też matkę i ojca, którzy ją kochali. Tak jak ja. W tym świecie istnieje wiele rozmaitych celów, wiele różnych przyczyn każdego zjawiska. Cel, w który wierzyłaś, okazał się fałszywy. Ale z tego nie wynika, że nie ma innych, którym możesz zaufać.

- Chyba tak - szepnęła Wang-mu. Wstydziła się swego wybuchu.

- Nie kłaniaj się - powiedział Wiggin. - A może ty to robisz, Jane? Jane musiała coś mu tłumaczyć. Wang-mu nie usłyszała.

- Nie obchodzi mnie ich zwyczaj - warknął Wiggin. - Jedynym powodem takich pokłonów jest poniżenie człowieka. Nie życzę sobie, żeby się tak zachowywała wobec mnie. Nie ma się czego wstydzić. Wskazała nam nową teorię descolady, a to może doprowadzić do ocalenia paru gatunków.

Wang-mu dobrze zrozumiała ton jego głosu. On w to wierzył. Usłyszała pochwałę z jego własnych ust.

- To nie ja - zaprotestowała. - Qing-jao. To jej pytania.

- Qing-jao - powtórzyła Ela. - Jesteś zupełnie boba na jej punkcie, tak jak ona na punkcie Kongresu.

- Możesz drwić ze mnie, bo jej nie znasz. Ale jest genialna i dobra. Nigdy jej nie dorównam.

- Znowu bogowie - mruknął Wiggin.

- Zawsze bogowie - dodała Ela.

- O co wam chodzi? Qing-jao nigdy nie twierdziła, że jest boginią. Ja też nie.

- Owszem, ty tak - odparła Ela. - Sarna powiedziałaś: Qing-jao jest mądra i dobra.

- Genialna i dobra - poprawił ją Wiggin.

- „Nigdy jej nie dorównam” - dokończyła Ela.

- Powiem ci coś o bogach - zaproponował Wiggin. - Choćbyś była nie wiem jak mądra i silna, zawsze znajdzie się ktoś mądrzejszy i silniejszy. A kiedy trafisz na kogoś mądrzejszego i silniejszego od wszystkich, myślisz: to bóg. To doskonałość. Ale nie możesz wiedzieć, że gdzieś tam nie istnieje ktoś inny, przy kim twój bóg jest zwykłym robakiem. I jeszcze ktoś, silniejszy, mądrzejszy, lepszy w czymś szczególnym. Dlatego powiem ci, co myślę o bogach. Myślę, że prawdziwy bóg nie byłby tak przestraszony ani rozzłoszczony, żeby poniżać ludzi. Kongres dokonał zmian genetycznych, by uczynić ludzi mądrzejszymi, bardziej twórczymi. Szlachetny dar. Ale Kongres bał się i dlatego okaleczył ludzi z Drogi. Chcieli zachować władzę. Prawdziwemu bogu nie zależy na władzy. Prawdziwy bóg ma już władzę nad wszystkim, co jego władzy wymaga. Prawdziwi bogowie chcą nas uczyć, żebyśmy byli tacy jak oni.

- Qing-jao chciała mnie uczyć,

- Dopóki byłaś posłuszna i robiłaś, co ci kazała - wtrąciła Jane.

- Nie jestem godna - oświadczyła Wang-mu. - I za głupia, żeby zdobyć taką mądrość jak ona.

- A jednak wiedziałaś, że mówię prawdę - zauważyła Jane. - Gdy ona widziała tylko kłamstwa.

- Czy ty jesteś boginią? - spytała Wang-mu.

- To, czego bogosłyszający i pequeninos mają się dopiero o sobie dowiedzieć, ja wiedziałam od początku. Zostałam stworzona.

- Bzdura - oznajmił Wiggin. - Jane, przecież zawsze wierzyłaś, że wyskoczyłaś z głowy Zeusa.

- Nie jestem Minerwą. Dziękuję uprzejmie.

- O ile wiemy, po prostu się pojawiłaś. Nikt cię nie zaplanował.

- Jakie to pocieszające. Kiedy wy wszyscy potraficie wskazać waszych stwórców... a przynajmniej rodziców albo rodzicielską instytucję, ja jestem jedynym prawdziwym przypadkiem we

wszechświecie.

- Nie możesz chcieć obu rzeczy naraz - zauważył Wiggin. - Albo ktoś stworzył cię w jakimś celu, albo powstałaś przypadkiem. To właśnie oznacza przypadek: coś, co się zdarzyło, choć nikt tego nie planował. Chcesz się obrażać za każdym razem? Ludzie z Drogi będą wściekli na Kongres, kiedy się dowiedzą, co im zrobił. Czy ty się obrazisz, bo tobie nikt niczego nie zrobił?

- Mogę, jak mi się zachce - odparła Jane głosem kapryśnego dziecka.

- Coś ci powiem. Uważam, że nie dorośniesz, póki nie przestaniesz się martwić o cele czy brak celów innych ludzi. I zastanowisz się nad celem, w który sama uwierzysz.

Najpierw opowiedzieli o wszystkim Valentine. Pewnie dlatego, że akurat wtedy weszła do laboratorium, szukając Endera w jakiejś zupełnie innej sprawie. Teoria spodobała jej się, tak jak Enderowi i Eli. I jak oni, Valentine wiedziała, że zanim osądzą hipotezę descolady jako regulatora lusitańskiej gaialogii, muszą porozmawiać o niej z pequeninos.

Ender zaproponował, żeby najpierw powiedzieć Sadownikowi, a potem wytłumaczyć Człowiekowi albo Korzeniakowi. Ela i Valentine zgodziły się od razu. Ani Ela, ani Ender, choć rozmawiali z drzewami od lat, nie opanowali języka tak dobrze, by dyskutować bez wysiłku. Co ważniejsze, choć o tym nie wspominali, z podobnymi do ssaków braćmi odczuwali bliższe pokrewieństwo, niż było to możliwe z drzewem. Patrząc na pień, jak odgadnąć, co myśli i jak reaguje? Nie; skoro muszą o trudnych sprawach mówić z pequenino, to najpierw z bratem, potem z ojcowskim drzewem.

Naturalnie, gdy tylko wezwali Sadownika do gabinetu Eli i gdy zamknęli drzwi, Ender zrozumiał, że rozmowa z bratem wcale nie jest łatwiejsza. Po trzydziestu latach pracy z nimi i życia wśród nich, potrafił odczytać jedynie najbardziej prymitywne i najprostsze reakcje pequeninos. Sadownik z pozornym spokojem słuchał, jak Ender powtarza mu, do czego doszli w rozmowie z Jane i Wang-mu. Nie był nieruchomy. Przypominał raczej małego chłopca: kręcił się na krześle, rozglądał, patrzył w przestrzeń, jakby słowa Endera straszliwie go nudziły. Oczywiście, kontakt wzrokowy nie był dla pequeninos tak ważny jak dla ludzi; nie szukali go ani nie unikal. Gdzie patrzył słuchacz, nie miało najmniejszego znaczenia. Jednak pequeninos pracujący z ludźmi starali się zachowywać w sposób, jaki ludzie interpretowali jako uwagę. Sadownik doskonale sobie z tym radził, ale teraz nawet nie próbował.

Dopiero kiedy skończyli, Ender uświadomił sobie, jak wiele opanowania wykazał Sadownik, że w ogóle pozostał na krześle. Kiedy tylko stwierdzili, że to koniec, skoczył w górę i zaczął biegać... nie, pędzić wokół pokoju, dotykając wszystkiego. Nie uderzał, nie atakował gwałtownie, jak robiłby to człowiek, nie rozbijał niczego i nie rzucał. Raczej głaskał każdy przedmiot, na jaki trafił. Wyczuwał faktury. Ender stał nieruchomo. Chciałby objąć Sadownika, pocieszyć go jakoś... Dostatecznie dobrze znał pequeninos, by wiedzieć, że tak niezwykle zachowanie wyraża niezwykle silne emocje.

Sadownik biegał aż do wyczerpania. Potem szedł niepewnie dokoła, jak pijany, aż wreszcie zderzył się z Enderem, objął go ramionami i przyłgął całym ciałem. Przez moment Ender chciał także go objąć, ale zaraz przypomniał sobie, że Sadownik nie jest człowiekiem. Ten uścisk nie wymaga odpowiedzi. Sadownik trzymał się go tak, jak trzymałby się drzewa. Szukał ukojenia pnia. Bezpiecznego miejsca, by przeczekać zagrożenie. Gdyby Ender także go objął, nie przyniósłby mu ulgi. Tym razem musiał odpowiedzieć jak drzewo. Dlatego znieruchomiał i czekał. Czekał i stał nieruchomo. Aż wreszcie pequenino przestał drzeć.

Kiedy Sadownik odstąpił, obaj byli złani potem. Chyba są pewne granice mojego zdrzewienia, pomyślał Ender. A może braterskie i ojcowskie drzewa oddają wilgoć braciom, którzy się przy nich

chronią?

- To doprawdy niezwykle - szepnął Sadownik. Słowa były tak absurdalnie łagodne wobec sceny, jaka rozegrała się przed chwilą, że Ender nie zdołał pohamować śmiechu.

- Tak - wykrztusił. - Rzeczywiście.

- Dla nich to wcale nie jest śmieszne - oświadczyła Ela.

- On o tym wie - zapewniła ją Valentine.

- Więc nie wolno mu się śmiać. Nie może się śmiać, kiedy Sadownik tak cierpi.

Wybuchnęła płaczem.

Valentine położyła jej dłoń na ramieniu.

- On się śmieje, ty płaczesz - powiedziała. - Sadownik biega w kółko i wspina się na drzewa.

Jesteśmy niezwykle zwierzętami.

- Wszystko pochodzi od descolady - stwierdził Sadownik. - Trzecie życie, matczyne drzewo, ojcowskie drzewa. Może nawet nasze umysły. Może byliśmy tylko drzewnymi szczurami, zanim descolada zrobiła z nas fałszywych ramenów.

- Prawdziwych ramenów - poprawiła go Valentine.

- Nie wiemy, czy to prawda - zauważyła Ela. - Na razie tylko hipoteza.

- Jest bardzo, bardzo, bardzo prawdziwa - odparł Sadownik. - Prawdziwsza od prawdy.

- Skąd wiesz?

- Wszystko się zgadza.. Regulacja planety... Wiem o tym. Studiowałem gaialogię i cały czas myślałem: jak ten nauczyciel może opowiadać takie rzeczy? Pequenino wystarczy się rozejrzeć, a zobaczy, że są fałszywe. Ale jeżeli wiemy, że descolada nas zmienia, wymusza zachowania regulujące system planetarny...

- Do czego descolada może was zmusić, co pozwala na regulację planety? - zdziwiła się Ela.

- Za krótko nas znacie. Nie mówiliśmy wszystkiego. Baliśmy się, że uznacie nas za głupich. Teraz już wiecie, że nie jesteśmy głupi, tylko robimy to, co nam każe wirus. Jesteśmy niewolnikami, nie głupcami.

Ender ze zdumieniem uświadomił sobie, co właśnie wyznał Sadownik: pequeninos nadal starali się wyrzucić na ludziach wrażenie.

- Jakie wasze zachowanie ma związek z regulacją planetarną?

- Drzewa - odparł Sadownik. - Ile jest lasów na całym świecie? Bez przerwy oddychają. Zmieniają dwutlenek węgla w tlen. Dwutlenek węgla to gaz cieplarniany. Kiedy w atmosferze jest go więcej, planeta się rozgrzewa. A co robimy, żeby się ochłodziła?

- Sadzicie więcej lasów - domyśliła się Ela. - Zużywają więcej CO<sub>2</sub> i więcej ciepła ucieka w przestrzeń.

- Tak - zgodził się Sadownik. - Ale przypomnijcie sobie, w jaki sposób sadzimy drzewa.

Drzewa wyrastają z ciał martwych, pomyślał Ender.

- Wojna - powiedział.

- Zdarzają się zatargi między szczepami, czasem jakiś niewielki konflikt. Bez znaczenia w skali planety. Ale wielkie wojny, które ogarniają cały świat... giną w nich miliony, miliony braci, a wszyscy stają się drzewami. W ciągu miesięcy lasy podwajają swoją liczbę i wielkość. A to już jest różnica, prawda?

- Tak - szepnęła Ela.

- O wiele skuteczniejsze niż wszystko, co powstaje drogą ewolucji - dodał Ender.

- I nagle wojny ustają - mówił dalej Sadownik. - Zawsze wierzyliśmy, że te wojny mają ważne przyczyny, że są walką między dobrem a złem. A przez cały czas służyły tylko regulacji klimatu.

- Nie - zaprotestowała Valentine. - Żądza walki, złość... mogą pochodzić od descolady, ale to nie znaczy, że sprawy, o które walczyacie...

- Sprawa, o którą walczymy, to regulacja klimatu. Wszystko pasuje. Jak myślicie, w jaki sposób ogrzewamy planetę?

- Nie wiem - odpowiedziała Ela. - Nawet drzewa w końcu umierają ze starości.

- Nie wiesz, bo przybyliście tu w ciepłym, nie w zimnym okresie. Ale kiedy nadchodzą surowe zimy, budujemy domy. Braterskie drzewa oddają nam siebie, żebyśmy mogli budować domy. Wszyscy. Nie tylko ci, co mieszkają na zimnych terenach. Wszyscy budujemy domy i liczba lasów spada o połowę, o trzy czwarte. Wierzyliśmy, że braterskie drzewa składają wielką ofiarę, poświęcają się dla szczepu. Ale teraz rozumiem, że to descolada chce więcej dwutlenku węgla w atmosferze, żeby ogrzać planetę.

- To nadal jest wielkie poświęcenie - oświadczył Ender.

- Wszystkie nasze epopeje... nasi wielcy bohaterowie... Zwykli bracia, wypełniający wolę descolady.

- Co z tego? - przerwała mu Valentine.

- Jak możesz tak mówić? Dowiedziałem się, że nasze życie jest niczym, że jesteśmy tylko narzędziami, które wirus wykorzystuje do regulacji globalnego ekosystemu. A ty uważasz, że to głupstwo?

- Tak właśnie uważam - rzekła stanowczo Valentine. - My, ludzie, niczym się nie różnimy. Może nie z powodu wirusa, ale całe życie poświęcamy na realizację genetycznych rozkazów. Weź różnice między kobietami a mężczyznami. Mężczyźni wykazują naturalną skłonność do ekstensywnego systemu reprodukcji. Ponieważ mogą produkować praktycznie dowolną ilość spermy i złożenie jej nic ich nie kosztuje...

- Wcale nie nic - zaprotestował Ender.

- Nic - powtórzyła Valentine. - Tyle, żeby ją złożyć. Ich najbardziej sensowną strategią reprodukcji jest zapładnianie każdej dostępnej samicy... i szczególne starania, by zapłodnić te najzdrowsze, które mają największą szansę, żeby ich potomstwo dochować do wieku dojrzałego. Samiec postępuje najrozsądniej, w sensie reprodukcji, jeśli wędruje i kopuluje w możliwie szerokiej skali.

- O wędrowki zadbałem - wtrącił Ender. - Ale jakoś przeoczyłem kopulację.

- Mówię o tendencjach ogólnych. Zawsze zdarzają się dziwaczne osobniki, które nie przestrzegają norm. Strategia samicy, Sadownika, jest dokładnie odwrotna. Zamiast milionów plemników, dysponują tylko jednym jajeczkiem miesięcznie, a każde dziecko wymaga zainwestowania gigantycznego wysiłku. Dlatego kobietom potrzebna jest stabilizacja. Muszą mieć pewność, że nie zabraknie im pożywienia. Przez długie okresy jesteśmy praktycznie bezbronni, niezdolni do szukania i zbierania żywności. Nie wędrujemy; raczej osiedlamy się i zostajemy na miejscu. Jeśli to niemożliwe, rozsądną strategią jest stosunek z najsilniejszym i najzdrowszym z dostępnych samców. Ale najlepiej jest znaleźć silnego, zdrowego samca, który zostanie z nami i zaopiekuje się, zamiast wędrować i kopulować do woli. W związku z tym na mężczyzn działa nacisk z dwóch stron. Z jednej, aby rozprzestrzeniać swoje nasienie, przemocą, jeśli to konieczne. I z drugiej, by stać się atrakcyjnym dla samic jako stabilny żywiciel, poprzez opanowanie potrzeby wędrowek i tendencji do używania siły. Podobnie jest z kobietami, Z jednej strony powinny uzyskać nasienie najsilniejszego, najzdrowszego samca, aby ich dzieci odziedziczyły najlepsze geny; to sprawia, że atrakcyjni są dla nich gwałtowni, agresywni mężczyźni. Z drugiej strony potrzebują opieki spokojnych, stabilnych mężczyzn, aby ich dzieci zyskały gwarancję obrony i pożywienia, i jak najwięcej z nich osiągnęło

dojrzałość.

Nabrała tchu.

- Cała nasza historia, wszystko, co odkryłam jako wędrowny badacz, zanim odczepiłam się wreszcie od mojego reprodukcyjnie bezwartościowego brata i założyłam rodzinę... wszystko to można interpretować jako ślepe dążenie za genetycznym przeznaczeniem, które ciągnie ludzi w dwie strony. Nasze wielkie cywilizacje to jedynie społeczne maszyny tworzące idealne środowisko samic. Kobieta może tam liczyć na stabilizację. Kodeksy prawne i moralne eliminują przemoc, gwarantują własność, wymuszają realizację umów. To razem reprezentuje zasadniczą strategię samic: poskromienie samca. Natomiast plemiona barbarzyńców poza zasięgiem cywilizacji realizują głównie samczą strategię. Rozprzestrzeniać nasienie. W obrębie plemienia najsilniejsi, dominujący mężczyźni biorą najlepsze samice, albo dzięki formalnej poligamii, albo przez przypadkowe kopulacje, którym inni mężczyźni nie mogą zapobiec. Ale ci o niższym statusie nie buntują się, gdyż przywódcy prowadzą ich na wojny i jeśli zwyciężą, mogą rabować i gwałcić do woli. Atrakcyjność płciową zdobywają sprawdzając się w walce, kiedy zabijają wszystkich rywali i kopulują z owdowiałymi samicami. Ohydne, potworne wzorce zachowania, ale też sensowna realizacja genetycznej strategii.

Ender z dużym zakłopotaniem słuchał wykładu Valentine. Wiedział, że wszystko to prawda, i wszystko to już słyszał. A jednak był trochę skrupowany, tak jak Sadownik, który podobnych rzeczy dowiedział się o swojej rasie. Ender miał ochotę zaprzeczyć, zawołać: „Niektóre samce są naturalnie cywilizowane”. Ale czy on sam nie dokonywał w życiu aktów przemocy i wojny? Czy nie wędrował? W takim kontekście, jego decyzja, by pozostać na Lusitanii, była w istocie rzeczy porzuceniem męskiego modelu społecznego, wpojonego mu w dzieciństwie jako młodemu żołnierzowi w szkole bojowej. Teraz stał się człowiekiem cywilizowanym w stabilnej rodzinie.

Ale nawet wtedy okazało się, że poślubił kobietę, która nie chce już więcej dzieci. Kobietę, z którą związek stał się w końcu zupełnie niecywilizowany. Jeśli realizuję model męski, to zawiodłem. Żadne dziecko nie nosi moich genów. Żadna kobieta nie akceptuje mojej władzy. Jestem zdecydowanie nietypowy.

Ale skoro nie reprodukowałem się, moje nietypowe geny zginą po mojej śmierci. Tym samym męskiemu i żeńskiemu modelowi społeczeństwa nic nie grozi ze strony takich nieokreślonych typów jak ja.

Kiedy Ender dokonywał oceny interpretacji historii według Valentine, Sadownik zareagował, rozpierając się na krześle. Był to gest pogardy.

- Czy mam się poczuć lepiej tylko dlatego, że ludzie też są narzędziami molekuł genetycznych?

- Nie - odparł Ender. - Masz sobie uświadomić, że nawet jeśli pewne wzorce zachowania dają się wytłumaczyć potrzebami molekuł genetycznych, to jeszcze nie oznacza, że całe zachowanie pequeninos jest bez znaczenia.

- Ludzką historię można tłumaczyć walką między potrzebami mężczyzn i potrzebami kobiet - dodała Valentine. - Ale rzecz w tym, że nadal istnieją bohaterowie i potwory, wielkie wydarzenia i szlachetne czyny.

- Kiedy braterskie drzewo oddaje swoje drewno - powiedział Sadownik - wierzyliśmy, że poświęca się dla szczepu. Nie dla wirusa.

- Jeśli potrafisz spojrzeć ponad szczepem, na wirusa, to spojrz ponad wirusem, na świat - zaproponował Ender. - Descolada dba o to, by planeta nadawała się do życia. Zatem braterskie drzewo poświęca się, by ratować cały świat.

- Bardzo sprytnie - burknął Sadownik. - Ale zapominasz o jednym: dla ratowania planety nie jest



istotne, które z braterskich drzew się poświęca. Byle tylko znalazła się ich określona liczba.

- Zgadza się - przyznała Valentine. - Dla descolady nie ma znaczenia, które braterskie drzewo odda życie. Ale jest to niezwykle ważne dla samych braterskich drzew. Prawda? I ważne dla braci, jak ty, którzy kulą się w domach, żeby nie zamarznąć. Wy doceniacie szlachetny gest, nawet jeśli descolada nie odróżnia jednego drzewa od drugiego.

Sadownik milczał. Ender miał nadzieję, że wreszcie pozwolił się przekonać.

- A wojny - dodała Valentine. - Descolady nie obchodzi, kto zwycięży czy przegra. Musi tylko zginać dość braci, z których ciał wyrosną drzewa. Ale nie zmienia to faktu, że niektórzy bracia są szlachetni, a inni tchórzliwi i okrutni.

- Sadownik - wtrącił Ender. - Descolada powoduje, że czujecie... że szybciej wpadacie w morderczą pasję, na przykład. I spory kończą się walką, zamiast podlegać rozstrzygnięciu przez ojcowskie drzewa. Ale nadal jedne lasy walczą w samoobronie, gdy inne zwyczajnie chcą krwi. Nadal macie swoich bohaterów.

- Nie obchodzą mnie bohaterowie - oznajmiła gwałtownie Ela. - Bohaterowie są zwykle martwi, jak mój brat Quim. Gdzie jest teraz, kiedy go potrzebujemy? Wolałabym, żeby nie był bohaterem.

Przełknęła ślinę, walcząc ze świeżym wspomnieniem bólu.

Sadownik kiwnął głową - tego gestu nauczył się dla ułatwienia kontaktów z ludźmi.

- Teraz żyjemy w świecie Podżegacza - stwierdził. - Kim on jest? Tylko ojcowskim drzewem, wykonującym instrukcje descolady. Świat się ogrzewa. Potrzebujemy drzew. Dlatego ogarnia go zapał powiększania lasów. Dlaczego? Descolada wzbudza to pragnienie. Dlatego tak wielu braci i ojcowskich drzew go słucha: ponieważ zaproponował plan zaspokojenia ich pragnień, by rozprzestrzenić się i zasadzić więcej drzew.

- Czy descolada wie, że zamierza sadzić te drzewa na innych planetach? - spytała Valentine. - To nie pomoże w chłodzeniu Lusitanii.

- Descolada budzi w nich pragnienie - odparł Sadownik. - Skąd wirus może wiedzieć o kosmolotach?

- Skąd wirus może wiedzieć o ojcowskich drzewach, matczynych drzewach, braciach i żonach, małych matkach i młodych? - Ender odpowiedział pytaniem. - To bardzo sprytny wirus.

- Podżegacz jest najlepszą ilustracją mojej tezy - zauważyła Valentine. - Jego imię sugeruje, że był mocno zaangażowany w ostatnią wielką wojnę. Teraz znowu działa nacisk, by zwiększyć liczbę drzew. Jednak Podżegacz wolał obrócić ten pęd ku nowym celom. Wolał powiększać lasy sięgając do gwiazd, zamiast pogrążyć się w wojnie z innymi pequeninos.

- Zrobilibyśmy to niezależnie od planów Podżegacza - wyjaśnił Sadownik. - Pomyśl tylko. Jego grupa zamierzała sadzić nowe lasy na innych planetach. Ale kiedy zabili ojca Quima, wszyscy byliśmy tak rozwścieczeni, że postanowiliśmy ich ukarać. Wielka rzeź, i znowu rosą drzewa. Wciąż działamy, jak nam każe descolada. A teraz, kiedy ludzie spalili nasz las, grupa Podżegacza jednak zwycięży. Tak czy inaczej musimy się rozprzestrzenić i rozmnożyć. Korzystamy z każdego pretekstu. Descolada robi z nami, co zechce. Jesteśmy narzędziami, które rozpaczliwie usiłują siebie przekonać, że same kierują swymi czynami.

Był całkiem załamany. Ender nie miał pojęcia, co mógłby jeszcze powiedzieć, o czym nie mówiła już Valentine i on sam. Jak odwieść go od konkluzji, że pequeninos są zniewoleni, a ich życie nie ma sensu.

Dlatego jako następna zabrała głos Ela. Odezwała się tonem abstrakcyjnej spekulacji, tak niestosownym, jakby całkiem zapomniała o udręce Sadownika. I pewnie rzeczywiście tak było, gdyż cała dyskusja doprowadziła znowu na jej podwórko.

- Trudno przewidzieć, po której stronie stanęłaby descolada, gdyby mogła decydować.

- Po której stronie czego? - nie zrozumiała Valentine.

- Czy spowodować globalne ochłodzenie, doprowadzając do zwiększenia powierzchni lasów?

Czy wykorzystać ten sam popęd do rozmnażania i skłonić pequeninos, by przeniosły wirus na inne planety? To znaczy, co wybraliby twórcy wirusa? Rozprzestrzenić go czy uregulować klimat?

- Wirus chce pewnie jednego i drugiego, i dostanie jedno i drugie - stwierdził Sadownik. - Grupa Podżegacza z pewnością opanuje statki. Ale przedtem albo potem wybuchnie o nie wojna, w której zginie połowa braci. O ile wiemy, descolada popycha nas w obie strony.

- O ile wiemy - powtórzył Ender.

- O ile wiemy, jesteśmy może descoladą - dokończył Sadownik. No tak, pomyślał Ender. Wiedzą o tej sprawie, chociaż postanowiliśmy na razie o niej nie wspominać.

- Rozmawiałaś z Quarą? - spytała gniewnie Ela.

- Codziennie z nią rozmawiam. Ale co ona ma z tym wspólnego?

- Miała taki sam pomysł. Że inteligencja pequeninos może pochodzić od descolady.

- Czy sądzicie, że po wszystkich waszych rozmowach o inteligencji descolady, takie pytanie nie przyszło nam do głowy? - zapytał Sadownik. - A jeśli to prawda, co zrobicie? Pozwolicie na zagładę własnej rasy, żeby ocalić nasze małe, drugorzędne mózgi?

Ender zaprotestował natychmiast.

- Nie uważamy waszych mózgów za...

- Naprawdę nie? - zadrwił Sadownik. - To dlaczego zakładacie, że mogliśmy pomyśleć o takiej możliwości tylko wtedy, kiedy powiedział nam o niej człowiek?

Na to Ender nie znalazł odpowiedzi. Musiał przyznać, że pod pewnymi względami uważa pequeninos za dzieci. I próbuje ich chronić. Ukrywać przed nimi kłopoty. Nie przyszło mu do głowy, że doskonale potrafią sami odkryć najgorsze koszmary.

- Przypuśćmy, że nasza inteligencja pochodzi od descolady, a wy znajdziecie sposób na zniszczenie wirusów. Kim się wtedy staniemy? - Sadownik spojrzał z wyrazem gorzkiego tryumfu. - Tylko drzewnymi szczurami.

- Drugi raz używasz tego określenia - zauważył Ender. - Co to są drzewne szczury?

- To właśnie oni krzyczeli. Niektórzy z ludzi, którzy zabili matczyne drzewo.

- Nie ma takiego zwierzęcia - wtrąciła Valentine.

- Wiem - zgodził się Sadownik. - Grego mi wytłumaczył. „Drzewny szczur” to slangowa nazwa wiewiórek. Pokazał mi holo wiewiórki na swoim komputerze w więzieniu.

- Odwiedziłeś Grega? - Ela była wyraźnie przerażona.

- Musiałem zapytać, dlaczego próbował nas zabić i dlaczego potem próbował nas ratować.

- Właśnie! - krzyknęła tryumfalnie Valentine. - Nie powiesz chyba, że to, co zrobili tamtej nocy Grego i Miro, kiedy powstrzymali tłum przed spaleniem Korzeniaka i Człowieka... nie powiesz, że wykonywali rozkazy genetycznej władzy!

- Ja nie mówiłem, że czyny ludzi nie mają sensu. To ty próbowałaś mnie pocieszyć taką teorią. Wiemy, że ludzie mają swoich bohaterów. To my, pequeninos, jesteśmy tylko narzędziami gajalogicznego wirusa.

- Nieprawda - sprzeciwił się Ender. - Są przecież bohaterowie pequeninos. Na przykład Korzeniak i Człowiek.

- Bohaterowie? Działali, by zdobyć to, co osiągnęli: pozycję ojcowskich drzew. To ich pęd do reprodukcji. Bohaterami mogli być dla ludzi, którzy umierają tylko raz. Ale śmierć, jaka ich spotkała, w istocie była narodzinami. Żadna ofiara.

- W takim razie cały wasz las jest bohaterski - uznała Ela. - Uwolniliście się od dawnych wzorców. Zawarliście z nami układ, który wymagał zmiany wielu głęboko zakorzenionych obyczajów.

- Chcieliśmy wiedzy, maszyn i potęgi ludzi. Co jest bohaterskiego w traktacie, który wymagał tylko, żebyśmy przestali was zabijać? A w zamian daliście nam tysiącletni skok w rozwoju technicznym.

- Nie masz zamiaru słuchać żadnych pozytywnych argumentów, co? - zauważyła Valentine.

Sadownik mówił dalej, nie zwracając na nią uwagi.

- Jedynymi bohaterami w naszej historii byli Pipo i Libo: ludzie, którzy zachowali się dzielnie, choć wiedzieli, że zginą. To oni uwolnili się od swego genetycznego dziedzictwa. Kto z... z prosiaczków... dokonał tego świadomie?

Endera mocno zabolalo, gdy Sadownik użył nazwy „prosiaczki” dla siebie i swego ludu. W ostatnich latach słowo to straciło odcień sympatii i przyjaźni, jaki miało, gdy Ender tu przybył. Często używano go jako obelgi. Ludzie pracujący z nimi używali nazwy „pequenino”. Czyżby Sadownik znenawidził siebie po tym, czego się dzisiaj dowiedział?

- Braterskie drzewa oddają życie - podpowiedziała Ela.

- Braterskie drzewa nie są żywe w takim sensie jak ojcowskie - odparł z pogardą Sadownik. - Nie potrafią mówić. Tylko słuchają. Mówimy im co robić, a one nie mają wyboru. Narzędzia, nie bohaterowie.

- Wszystko można przekręcić odpowiednią interpretacją - powiedziała Valentine. - Można zaprzeczyć każdemu poświęceniu twierdząc, że ofiara tak była z siebie dumna, że to właściwie żadne poświęcenie, tylko dowód egoizmu.

Sadownik zeskoczył nagle z krzesła. Ender spodziewał się powtórzenia wcześniejszego zachowania, ale pequenino nie zaczął krążyć po pokoju. Podszedł do Eli i położył jej ręce na kolanach.

- Znam sposób, by zostać prawdziwym bohaterem - oznajmił. - Wiem, jak można sprzeciwić się descoladzie. Odrzucić ją, walczyć, nienawidzić i pomóc w jej zniszczeniu.

- Ja też - odparła Ela.

- Eksperyment - dodał Sadownik. Kiwnęła głową.

- Żeby sprawdzić, czy inteligencja pequenino rzeczywiście koncentruje się w descoladzie, nie w mózgu.

- Ja to zrobię.

- Nie mogę cię o to prosić.

- Wiem, że nie poprosisz. Żądam tego dla siebie.

Ender uświadomił sobie ze zdumieniem, że na swój sposób Ela i Sadownik są sobie równie bliscy jak on i Valentine. Potrafią się porozumieć bez zbędnych słów. Nie wyobrażał sobie, że to możliwe między przedstawicielami różnych ras. Chociaż, dlaczego nie? Zwłaszcza jeśli pracują razem przy wspólnym przedsięwzięciu.

Nie od razu zdał sobie sprawę, na co zdecydowali się Sadownik i Ela. Valentine, która nie przebywała z nimi tak długo, nadal nie pojmowała.

- Co się dzieje? - zapytała. - O czym oni mówią? Odpowiedziała jej Ela.

- Sadownik proponuje, żebyśmy oczyścili jednego pequenino ze wszystkich kopii wirusa descolady, umieścili go w sterylnym pomieszczeniu, gdzie nie mógłby się znowu zakazić, i sprawdzili, czy zachowa rozum.

- To nie są naukowe metody - zaprotestowała Valentine. - Istnieje zbyt wiele zmiennych. Dobrze

mówię? Myślałam, że descolada uczestniczy we wszystkich etapach życia pequeninos.

- Usunięcie wirusa oznacza, że Sadownik natychmiast zachoruje, a po pewnym czasie umrze. To, co descolada zrobiła z Quimem, jej brat robi z Sadownikiem.

- Chyba mu na to nie pozwolisz! To niczego nie udowodni. Może stracić rozum z powodu choroby. Nawet u ludzi gorączka sprowadza delirium.

- Co jeszcze możemy zrobić? - spytał Sadownik. - Czekać, aż Ela znajdzie sposób poskromienia wirusa? I dopiero wtedy się przekonać, że bez niego... i to w inteligentnej, złośliwej formie... nie jesteśmy już pequeninos, a zwykłymi prosiaczkami? Że tylko wirus w naszych ciałach obdarzył nas mową, a kiedy został opanowany, straciliśmy wszystko? I teraz jesteśmy jak braterskie drzewa? Mamy to sprawdzać, kiedy uwolnicie antywirusa?

- Ale to nie jest poważny eksperyment, gdzie kontrolujemy...

- To jest poważny eksperyment, jak najbardziej - przerwał jej Ender. - Taki, jaki przeprowadzasz, kiedy nie obchodzą cię fundusze... Potrzebujesz tylko wyników i potrzebujesz zaraz. Jaki przeprowadzasz, kiedy nie masz pojęcia, jakie będą wyniki, ani nawet czy potrafisz je zinterpretować, ale banda oszalałych pequeninos czeka tylko, żeby przejąć statki i roznieść po całej galaktyce morderczą zarazę, więc musisz czegoś próbować.

- To eksperyment, jaki przeprowadzasz, kiedy potrzebujesz bohatera - dodał Sadownik.

- Kiedy ja potrzebuję? - spytał Ender. - Czy kiedy ty chcesz zostać bohaterem?

- Nie mówiłabym tak na twoim miejscu - rzuciła oschle Valentine. - Też parę razy pracowałeś jako bohater.

- Może to nie będzie konieczne - stwierdziła Ela. - Quara wie o descoladzie więcej niż mówi. Może już odkryła, czy inteligentny system adaptacji wirusa da się oddzielić od jego funkcji podtrzymywania życia. Gdybyśmy wyprodukowały taką odmianę, mogłybyśmy zbadać wpływ descolady na inteligencję pequeninos bez narażania życia obiektu.

- Problem w tym - westchnęła Valentine - że Quara równie chętnie uwierzy w teorię sztucznego pochodzenia descolady, jak Qing-jao, że głos jej bogów jest tylko genetycznie wywołanym zespołem psychozy natręctw.

- Ja to zrobię - zdecydował Sadownik. - Zacznę natychmiast, gdyż nie mamy czasu. Jutro umieścicie mnie w sterylnym środowisku i zabijecie wszystkie wirusy w moim ciele. Użyjecie środków chemicznych, które trzymacie w rezerwie. Tych przeznaczonych dla ludzi na wypadek, gdyby descolada przystosowała się do aktualnego inhibitora.

- Zdajesz sobie sprawę, że może nic z tego nie wyjść? - spytała Ela.

- Wtedy będzie to prawdziwą ofiarą.

- Jeśli zaczniesz tracić rozum w sposób nie mający związku z chorobą organizmu, przerwiemy eksperyment. Poznamy już odpowiedź.

- Może.

- Zdołamy cię uratować.

- Nie obchodzi mnie to.

- Przerwiemy też, jeśli zaczniesz tracić rozum w sposób powiązany z chorobą organizmu - dodał Ender. - Wtedy będziemy wiedzieć, że eksperyment jest bezwartościowy i niczego nam nie wyjaśni.

- Czyli, jeśli jestem tchórzem, wystarczy mi udawać, że wariuję - odparł Sadownik. - Wtedy ocaleję. Niezależnie od okoliczności, zakazuję wam przerywania eksperymentu. A jeśli zachowam sprawny umysł, musicie pozwolić mi kontynuować aż do końca, do śmierci. Dopiero wtedy się przekonamy, że nasze dusze nie są tworem descolady. Obiecujcie!

- To nauka czy pakt samobójczy? - zirytował się Ender. - Tak się załamałeś możliwą rolą descolady

w historii pequeninos, że postanowiłeś umrzeć?

Sadownik podbiegł do Endera, wspiął się i przycisnął nos do jego nosa.

- Ty kłamco! - wrzasnął.

- Tylko zadałem pytanie - szepnął Ender.

- Chcę być wolny! - wołał Sadownik. - Chcę usunąć z ciała descoladę, żeby już nigdy nie wróciła!

I chcę w ten sposób pomóc uwolnić wszystkie prosiaczki, żebyśmy byli pequeninos naprawdę, nie tylko z nazwy!

Ender odsunął go łagodnie. Nos bolał go trochę od ucisku Sadownika.

- Chcę złożyć ofiarę, która udowodni, że jestem wolny - powiedział Sadownik. - Nie tylko wykonuję rozkazy swoich genów. Nie walczę o trzecie życie.

- Nawet męczennicy chrześcijaństwa i islamu godzili się na przyjęcie w niebie nagrody za swe poświęcenie - przypomniała Valentine.

- W takim razie byli egoistycznymi świniami. Tak mówicie o świniach, prawda? W storku, waszej wspólnej mowie. Egoistyczne świnię. To chyba odpowiednia nazwa dla nas, prosiaczków. Wszyscy nasi bohaterowie starają się zostać ojcowskimi drzewami. Nasze braterskie drzewa przegrywają już na samym początku. Oprócz siebie, służymy tylko descoladzie. O ile wiemy, descolada może być nami. Ale ja będę wolny. Dowiem się kim jestem, bez descolady, bez moich genów, bez niczego oprócz mnie.

- Będziesz najwyżej martwy - burknął Ender.

- Ale wolny wcześniej. I będę pierwszy z mojego ludu, który zyskał wolność.

Kiedy Wang-mu i Jane opowiedziały Hań Fei-tzu, co zaszło tego dnia kiedy porozmawiał z Jane o własnych dokonaniach, kiedy dom ucichł wśród mroku nocy, Wang-mu leżała bezsennie na macie w kącie pokoju mistrza Hana. Słuchała jego cichego acz uporczywego chrapania i myślała o wszystkim, co zostało powiedziane.

Wymieniono tak wiele myśli... Większość tak dalece przewyższała jej intelektualne możliwości, że nie wierzyła, by zdołała je zrozumieć. Zwłaszcza tego, co Wiggin mówił o celach. Przypisywali jej pomysł rozwiązania problemu wirusa descolady, ale nie mogła się z tym pogodzić. To nie było świadome... myślała, że powtarza tylko pytania Qing-jao. Czy może odczuwać dumę z tego, czego dokonała przypadkiem?

Ludzi powinno się obwiniać albo nagradzać tylko za to, co robią świadomie. Wang-mu zawsze instynktownie w to wierzyła. Nie pamiętała, by ktokolwiek jej to powiedział. Zbrodnie, o które oskarżała Kongres, były zamierzone: genetyczna przebudowa mieszkańców Drogi dla stworzenia bogosłyszających, i wysłanie Systemu Destrukcji Molekularnej w celu zniszczenia siedziby jedynej obcej inteligentnej rasy odkrytej w całym wszechświecie.

Ale czy byli tego świadomi? Może przynajmniej niektórzy wierzyli, że niszczą Lusitanię dla bezpieczeństwa ludzkiej rasy... Z tego, co Wang-mu wiedziała o descoladzie, jeśli zacznie rozprzestrzeniać się ze świata do świata, unicestwi wszelkie pochodzące z Ziemi życie. Może też niektórzy w Kongresie postanowili stworzyć bogosłyszających dla dobra całej ludzkości, a potem wprowadzili w ich mózgi ZPN, aby nie wyrwali się spod kontroli i nie próbowali zapanować nad niższymi intelektualnie, „zwykłymi” ludźmi. Może wszyscy mieli dobre chęci, mimo że dokonywali strasznych czynów?

Z pewnością dobre zamiary miała Qing-jao: wierzyła, że jest posłuszna bogom. Jak więc Wang-mu mogła ją oskarżać?

Każdy przecież ma jakieś szlachetne cele. Każdy - we własnych oczach - jest dobry.

Oprócz mnie, myślała Wang-mu. Ja we własnych oczach jestem głupia i słaba. Ale oni mówili o

mnie, jakbym była lepsza niż w życiu podejrzewałam. Mistrz Hań też mnie wychwalał. A tamci mówili o Qing-jao ze współczuciem i pogardą... i ja odczuwałam wobec niej to samo. A jednak... czy Qing-jao nie zachowuje się szlachetnie, a ja ohydnie? Zdradziłam swoją panią. Ona była lojalna wobec swego rządu i swoich bogów, którzy dla niej są prawdziwi, choć ja już w nich nie wierzę. Jak odróżnić dobrych ludzi od złych, skoro wszyscy źli potrafią jakoś siebie przekonać, że postępują dobrze, choćby nawet robili coś strasznego? A dobrzy ludzie potrafią uwierzyć, że są źli, choćby czynili dobro?

Może dobre uczynki są możliwe, jeśli człowiek myśli, że jest zły. A kiedy myśli, że jest dobry, może postępować jedynie źle.

Ten paradoks zupełnie ją zniechęcił. Świat nie miałby sensu, gdyby oceniać ludzi przez przeciwieństwo tego, za jakich próbują uchodzić. Czy nie jest możliwe, by człowiek dobry również wydawał się dobry? A jeśli ktoś twierdzi, że jest łajdakiem, to jeszcze nie znaczy, że nim nie jest. Czy w ogóle istnieje sposób osądzania ludzi, skoro nie można tego czynić według zamiarów?

Czy Wang-mu zdoła jakoś osądzić siebie?

Przecież nawet nie znam celu swoich postępów. Przybyłam do tego domu, gdyż byłam ambitna i chciałam zostać służącą bogatej, bogosłyszającej dziewczyny. To egoizm z mojej strony, a wielkoduszność ze strony Qing-jao, że mnie przyjęła. A teraz pomagam mistrzowi Hanowi popełnić zdradę... jaki mam cel? Nie wiem, dlaczego robię to, co robię. Jak mogę odgadnąć zamiary innych? Nie ma nadziei na odróżnienie dobra od zła.

Usiadła na macie w pozycji lotosu i przycisnęła mocno dłonie do twarzy. Czowała się tak, jakby stała pod ścianą, ale tę ścianę zbudowała sama. Gdyby tylko potrafiła ją jakoś odsunąć, tak jak teraz potrafi odsunąć od twarzy ręce... kiedy tylko zechce. Wtedy bez trudu znalazłaby drogę do prawdy.

Opuściła ręce. Otworzyła oczy. Pod ścianą stał terminal mistrza Hana. Tam właśnie widziała niedawno twarze Elanory Ribeiry von Hesse i Andrew Wiggina. I twarz Jane.

Pamiętała, co mówił Wiggin o bogach. Prawdziwi bogowie chcieliby cię nauczyć, jak być do nich podobną. Dlaczego to powiedział? Skąd może wiedzieć, jacy są bogowie?

Ktoś, kto chce cię nauczyć wszystkiego, co sam umie i co sam robi... Przecież opisał rodziców, nie bogów.

Tylko że wielu rodziców było zupełnie innych. Wielu rodziców starało się panować nad swymi dziećmi, zmieniać je w niewolników. Tam, gdzie dorastała, Wang-mu widziała to często.

Czyli Wiggin nie opisywał właściwie rodziców. Opisywał dobrych rodziców. Nie mówił, jacy są bogowie, ale tłumaczył, czym jest dobroć. Pragnąć, by inni rośli. By mieli całe dobro, które masz ty. By oszczędzić im zła, jeśli potrafisz. Na tym polega dobroć.

Czym więc są bogowie? Chcą, by wszyscy znali, mieli i byli wszystkim, co dobre. Uczyliby, dzielili się i ćwiczyli, ale nigdy nikogo nie zmuszali.

Jak moi rodzice, pomyślała Wang-mu. Czasem niezręczni i niemądrzy, ale dobrzy. Naprawdę troszczyli się o mnie. Nawet kiedy kazali mi robić coś trudnego, bo wiedzieli, że to dla mojego dobra. Nawet kiedy się mylili, byli dobrzy. A jednak mogę ich osądzać według zamiarów. Każdy twierdzi, że ma dobre chęci, ale moi rodzice mieli je naprawdę. Zawsze chcieli mi pomóc, bym wyrosła mądrzejsza, silniejsza i lepsza. Nawet kiedy zmuszali mnie do ciężkiego trudu, bo wiedzieli, że czegoś mnie on nauczy. Nawet kiedy sprawiali mi ból.

O to chodzi. Tacy byliby bogowie, gdyby istnieli. Pragną, żeby każdy zyskał w życiu wszystko, co dobre... jak dobrzy rodzice. Ale w przeciwieństwie do rodziców i innych ludzi, bogowie zawsze wiedzą, co jest dobre, i mogą sprawić, by to się stało, nawet jeśli nikt inny nie rozumie, że to dobro. Tak jak powiedział Wiggin: bogowie byliby mądrzejsi i silniejsi od każdego. Mieliby całą władzę i

inteligencję.

Ale takie istoty... Czy Wang-mu miała prawo osądzać bogów? Choćby jej tłumaczyli, nie pojęłaby ich zamiarów. Skąd więc mogła wiedzieć, czy są dobrzy? Ale inne podejście: zaufać im i uwierzyć absolutnie... tak właśnie zachowywała się Qing-jao.

Nie. Jeśli istnieją bogowie, nie postępują tak, jak uważa Qing-jao: nie zniewalają ludzi, nie dręczą ich i nie poniżają.

Chyba że udręka i poniżenie są dla nich dobre...

Nie! krzyknęła niemal i raz jeszcze zakryła rękami twarz - tym razem, aby zachować ciszę.

Mogę osądzać tylko na podstawie tego, co rozumiem. A rozumiem, że bogowie, w których wierzy Qing-jao, są źli. Może się mylę, może nie umiem pojąć wielkich celów, do jakich dążą, zmieniając bogosłyszających w bezbronnych niewolników albo niszcząc całe rasy. Ale w swym sercu nie mam innego wyboru, jak tylko odrzucić takich bogów, ponieważ w ich dziełach nie dostrzegam niczego dobrego. Może jestem niemądra i głupia, i na zawsze pozostanę ich nieprzyjacielem, walcząc przeciw ich wysokim, niezrozumiałym celom. Ale muszę żyć według tego, co sama pojmuję. I zrozumiałam: nie ma takich bogów, o jakich uczą bogosłyszający. Jeśli istnieją, czerpią radość z ucisku, kłamstwa, poniżenia i ignorancji. Starają się ludzi uczynić mniejszymi, a siebie większymi. To nie bogowie, nawet jeśli istnieją. To wrogowie. Demony.

Tak samo te nieznanne istoty, które stworzyły wirusy descolady. Owszem, musiały być bardzo potężne, skoro wyprodukowały tego rodzaju narzędzie. Ale były także aroganckie, egoistyczne i bez serca. Uznały, że mogą robić, co zechcą z całym życiem we wszechświecie. Posłały w kosmos descoladę, nie dbając, kogo zabije i jakie cudowne stworzenia zgładzi... To także nie są bogowie.

Jane... Tak, Jane mogła być boginią. Jane dysponowała ogromną liczbą informacji i posiadała wielką mądrość. Działała dla dobra innych, nawet narażając życie... nawet teraz, kiedy była właściwie skazana. I Andrew Wiggin... też mógłby być bogiem. Wydawał się mądry i dobry, nie szukał własnej korzyści, ale starał się bronić pequeninos. I Valentine, która nazwała się Demostenesem i pomagała innym odnaleźć prawdę i samodzielnie podejmować słuszne decyzje. I mistrz Hań, który zawsze starał się postępować słusznie, nawet jeśli płacił za to utratą córki. Może nawet Ela, uczona, chociaż nie wiedziała wszystkiego, co powinna wiedzieć... ponieważ nie wstydziała się uczyć od służącej.

Naturalnie, nie byli takimi bogami, co mieszkają na Bezgranicznym Zachodzie w Pałacu Królewskiej Matki. I nie byli bogami we własnych oczach... wyśmialiby taki pomysł. Ale w porównaniu z nią, byli prawdziwymi bogami. O wiele mądrzejsi od Wang-mu, o wiele potężniejsi; o ile mogła zrozumieć ich cele, starali się uczynić innych ludzi mądrymi i potężnymi. Mądrzejszymi nawet i potężniejszymi niż oni sami. Więc chociaż Wang-mu może błędzić, chociaż niczego naprawdę nie rozumie, jednak wie, że słusznie postanowiła pomagać tym ludziom.

Może czynić dobro tylko w takim zakresie, w jakim pojmuje dobroć. I według niej ci ludzie czynili dobro, gdy Kongres czynił zło. Nie cofnie się, choć może to doprowadzić do jej zagłady - gdyż mistrz Hań był teraz wrogiem Kongresu i w każdej chwili mogą go aresztować i zabić, a ją razem z nim. Nigdy nie zobaczy prawdziwych bogów, ale będzie przynajmniej pracować wspólnie z ludźmi tak bliskimi boskości, jak to możliwe dla zwykłego człowieka.

A jeśli bogom się to nie spodoba, mogą otruć mnie we śnie albo spalić, kiedy jutro wyjdę do ogrodu. Albo sprawić, że ręce, głowa i nogi odpadną ze mnie jak okruchy z ciasta. Jeżeli nie umieją powstrzymać takiej głupiej, małej służącej jak ja, to i tak nie warto się nimi przejmować.

*Ender przyjedzie się z nami spotkać.*

*Do mnie przez cały czas przychodzi i rozmawia,*

*A my możemy się porozumiewać bezpośrednio z jego umysłem. Ale nalega na spotkanie. Nie czuje, że z nami rozmawia, jeśli nas nie widzi. Kiedy rozmawiamy na odległość, trudniej mu odróżnić własne myśli od tych, które my przesyłamy. Dlatego przyjeżdża.*

*A tobie się to nie podoba ?*

*Chce, żebyśmy podały mu odpowiedzi... Ale my nie znamy żadnych odpowiedzi.*

*Wiesz wszystko, o czym wiedzą ludzie. Latałyście w kosmos, prawda? Nie potrzebujesz nawet ansibli, żeby rozmawiać z innymi światami.*

*Oni są tak spragnieni odpowiedzi. Ludzie. Mają tyle pytań.*

*My też mamy pytania, jak wiesz.*

*Chcą wiedzieć dlaczego, dlaczego, dlaczego. Albo jak. Wszystko zwinięte w jeden równy kłębek, jak kokon. Robimy to tylko wtedy, kiedy dokonujemy metamorfozy królowej.*

*Chcieliby wszystko zrozumieć. Ale my także.*

*Tak, lubicie myśleć, że jesteście tacy jak ludzie. Ale nie tacy jak Ender. Nie jak ludzie. On musi poznać przyczyny wszystkiego, musi o wszystkim stworzyć opowieść, a my nie znamy opowieści. Znamy wspomnienia. Znamy to, co się wydarzyło. Ale nie wiemy, dlaczego się wydarzyło. Nie tak, jak on chce.*

*Oczywiście, że wiesz.*

*Nas nawet nie interesuje dlaczego, tak jak ludzi. Dowiadujemy się tyle ile trzeba, żeby coś osiągnąć. Ale oni zawsze chcą wiedzieć więcej, niż im potrzebne. Kiedy już doprowadzą coś do działania, dalej pragną wiedzieć, dlaczego to działa i dlaczego działa przyczyna tego działania.*

*Czy my nie jesteśmy podobni?*

*Może będziecie, kiedy przestanie na was wpływać descolada.*

*A może będziemy jak twoje robotnice.*

*Jeśli tak, nie będzie was to interesować. One wszystkie są bardzo szczęśliwe. Robotnice są albo głodne, albo niegłodne. Chore albo niechore. Nie są ciekawe ani rozczarowane, zirytowane ani zawstydzone. A kiedy chodzi o takie sprawy, wobec ludzi ty i ja przypominamy robotnice.*

*Uważam, że nie znasz nas dostatecznie dobrze, żeby porównywać.*

*Byłyśmy w twojej głowie i byłyśmy w głowie Endera. Byłyśmy we własnych głowach od tysięcy pokoleń, a przy tych ludziach wydaje się, że śpimy. Oni, nawet kiedy śpią, to nie śpią. Ziemskie zwierzęta robią coś takiego... rodzaj obłąkańczego zwierania synaps, kontrolowane szaleństwo. Przez sen. Ta część ich mózgow, która rejestruje obraz i dźwięk, odpala we śnie co godzinę albo dwie. Nawet jeśli wszystkie obrazy i dźwięki tworzą całkowity, losowy chaos, ich mózgi próbują ułożyć go w coś sensownego. Próbują układać opowieści. To przypadkowy szum bez żadnej korelacji ze światem rzeczywistym, a jednak oni zmieniają go w te obłąkane historie. A potem je zapominają. Tyle pracy przy ich tworzeniu, a kiedy się budzą, zapominają prawie wszystkie. Za to kiedy pamiętają, próbują układać opowieści o tych obłąkanych opowieściach, próbują dopasować je do prawdziwego życia.*

*Wiemy o ich snach.*

*Może bez descolady wy takie będziecie śnić.*

*Po co nam to? Jak powiedziałaś, to tylko chaos. Przypadkowe odpalenia synaps neuronów w ich*



mózgach.

*Oni próbują. Przez cały czas. Tworzą opowieści. Dokonują skojarzeń. Szukają sensu w nonsensie.*

*Co im z tego przyjdzie, jeśli to nic nie oznacza ?*

*No właśnie. Jest w nich pragnienie, o którym nie mamy pojęcia. Pragnienie odpowiedzi. Pragnienie szukania sensu. Pragnienie opowieści.*

*Mamy swoje opowieści.*

*Wy pamiętacie czyny. Oni wymyślają czyny. Zmieniają znaczenia. Przekształcają sensy tak, że to samo wspomnienie może znaczyć tysiące różnych rzeczy. Nawet w swoich snach tworzą czasem z chaosu coś, co rozjaśnia wszystko. Ani jedna z ludzkich istot nie ma umysłu podobnego do ciebie. Do nas. Nic tak potężnego. I żyją tak krótko, tak szybko umierają. Ale podczas swego stulecia, czy nawet trochę więcej, znajdują dziesięć tysięcy znaczeń na każde, jakie my odkryjemy.*

*Większość jest fałszywa.*

*Jeśli nawet ogromna większość jest fałszywa, jeśli fałszywe albo głupie jest dziewięćdziesiąt dziewięć z każdej setki, z dziesięciu tysięcy pomysłów nadal pozostaje sto dobrych. Tak nadrabiają swoją głupotę, swoje krótkie życie i niewielką pamięć.*

*Sny i szaleństwa. Magia, tajemnica i filozofia.*

*Nie możesz twierdzić, że nigdy nie wymyślasz opowieści. To, co mówiłaś, to właśnie opowieść. Wiem. Widzisz? Ludzie nie potrafią niczego, czego i ty nie potrafisz.*

*Czy nie rozumiesz? Nawet tę opowieść znam z głowy Endera. Jest jego. A jej ziarno wziął od kogoś innego, z czegoś, co przeczytał. Łączył je z tym, o czym myślał, aż wreszcie nabrało dla niego właściwego znaczenia. To wszystko tam jest, w jego głowie. Tymczasem my jesteśmy podobne do ciebie. Odbieramy wyraźny obraz świata. Bez kłopotów znalazłam drogę przez twój umysł. Wszystko jest uporządkowane, sensowne, bardzo wyraźne. Tak samo dobrze czułbyś się w moim. To, co masz w głowie, to rzeczywistość... mniej więcej... taka, jak ją rozumiesz. Ale w umyśle Endera, to szaleństwo. Tysiące współzawodniczących, zarazem sprzecznych i niemożliwych wizji, które nie mają żadnego sensu, bo nie mogą wszystkie do siebie pasować. Ale on je dopasowuje, dzisiaj tak, jutro inaczej, według swoich potrzeb. Jakby tworzył nową myślową maszynę dla każdego problemu, który właśnie próbuje rozwiązać. Jakby budował sobie nowy wszechświat, co godzinę inny. Często beznadziejnie fałszywy, a wtedy popełnia błędy i myli się. Ale czasem tak doskonale poprawny, że cudownie wszystko otwiera. Patrę jego oczami i widzę świat na jego nowy sposób, i wszystko się zmienia. Szaleństwo, a zaraz potem olśnienie. Wiedzieliśmy wszystko, co można wiedzieć, zanim jeszcze spotkałyśmy ludzi, zanim zbudowałyśmy łącze z umysłem Endera. Teraz odkrywamy, że istnieje tyle różnych sposobów wiedzy o tej samej rzeczy... Nigdy nie poznamy ich wszystkich.*

*Chyba że ludzie cię nauczą.*

*Widzisz? My też jesteśmy ścierwojadami.*

*Ty jesteś ścierwojadem. My jesteśmy żebrakami.*

*Gdyby tylko byli godni swoich umysłowych zdolności.*

*A nie są?*

*Pamiętasz chyba, że planują waszą zagładę? Ich umysły mają tak wielkie możliwości, ale oni nadal są indywidualnie głupi, złośliwi, półślepi i półszaleni. Wciąż te dziewięćdziesiąt dziewięć procent ich opowieści jest przerażająco biednych i prowadzi do straszliwych pomyłek. Czasem żałujemy, że nie mogliśmy ich poskromić, jak robotnice. Wiesz, że próbowałyśmy. Z Enderem. Ale się nie udało. Nie umiałyśmy zrobić z niego robotnicy.*

*Dlaczego?*

*Za głupi. Nie umie dostatecznie długo skupić uwagi. Ludzkim umysłem brakuje koncentracji. Nudzą się i odpływają. Musiałymy zbudować most poza nim, wykorzystując komputer, z którym był najbliższej związany. O, komputery... one potrafią skupić uwagę. A ich pamięć jest czysta, uporządkowana, wszystko zorganizowane i łatwe do znalezienia.*

*Ale komputery nie śnią.*

*Żadnego szaleństwa. Szkoda.*

Valentine stanęła nieproszona u drzwi Olhada. Był wczesny ranek. Olhado wyjdzie do pracy dopiero po południu - jest brygadzystą w niedużej cegielni. Ale wstał już i był ubrany - pewnie dlatego, że wstała jego rodzina. Dzieci wychodziły z domu. Widziałam to w telewizji, za dawnych lat, myślała Valentine. Cała rodzina wychodząca rankiem, na końcu ojciec z neseserem. Na swój sposób moi rodzice odgrywali takie życie. Nieważne, jak dziwaczne mieli dzieci. Nieważne, że po wyjściu do szkoły Peter i ja wędrowaliśmy po sieciach i pod pseudonimami próbowaliśmy zawładnąć światem. Nieważne, że Endera odebrano rodzinie, gdy był jeszcze dzieckiem, i nigdy już jej nie zobaczył, nawet podczas jedynej wizyty na Ziemi - nikogo oprócz mnie. Rodzice chyba ciągle wierzyli, że postępują właściwie, ponieważ wykonywali znany z telewizji rytuał.

I tutaj znowu dzieci wybiegają za próg. Ten mały to pewnie Nimbo... Był z Gregiem, kiedy stanął naprzeciw tłumowi. Ale tutaj jest typowym dzieckiem. Nikt by nie odgadł, że tak niedawno miał swój udział w tej straszliwej nocy.

Matka całuje je po kolei. Wciąż jest piękna, mimo tylu porodów. Taka zwyczajna, typowa, a jednak niezwykła, ponieważ poślubiła ich ojca. Potrafiła zobaczyć coś poza jego kalectwem.

I tatuś... Nie idzie jeszcze do pracy, więc może stać w progu, patrzeć na nich, całować, rzucać jakieś słowa. Spokojny, rozsądny, kochający... przewidywalny ojciec. Co nie pasuje do tego obrazu? Ojcem jest Olhado. Nie ma oczu. Jedynie srebrzyste, metalowe kule, w jednej przesłony dwóch obiektów, w drugim gniazdo złącza komputera. Dzieci jakby nie dostrzegały. Ja jeszcze się nie przyzwyczaiałam.

- Valentine - powiedział, gdy ją zauważył.

- Musimy porozmawiać - odparła.

Wprowadził ją do wnętrza. Przedstawił żonę, Jacqueline: skóra tak czarna, że niemal błękitna, wesołe oczy, piękny szeroki uśmiech, tak radosny, że człowiek chciałby w nim zatonać. Podała lemoniadę, zimną jak lód i oszronioną w porannym upale. Potem wycofała się dyskretnie.

- Możesz zostać - zapewniła Valentine, - To nie są sprawy osobiste. Ale nie chciała. Ma sporo pracy, wyjaśniła. I wyszła.

- Już dawno chciałem się z tobą spotkać - oświadczył Olhado.

- Byłam osiągalna.

- Byłaś zajęta.

- Nie mam tu żadnych zajęć.

- Masz. Te same co Andrew.

- W każdym razie spotkaliśmy się. Interesowałam się tobą, Olhado. Czy wolisz swoje prawdziwe imię, Lauro?

- W Milagre masz na imię tak, jak wołają na ciebie inni. Kiedyś byłem Sule, od mojego drugiego imienia, Suleimao.

- Salomon mędrzec.

- Ale kiedy straciłem oczy, zostałem Olhadem. Już na zawsze.

- Obserwowany?

- Olhado może to znaczyć, rzeczywiście. Strona bierna od olhar. Ale w moim przypadku znaczy to „facet z oczami”.

- I tak masz na imię.

- Żona mówi do mnie Lauro - odpowiedział. - A dzieci tato.

- A ja?

- Wszystko jedno.

- W takim razie Sule.

- Lauro, jeśli już musisz. Sule budzi we mnie uczucie, że znów mam sześć lat

- I przypomina czas, kiedy jeszcze widziałeś. Roześmiał się.

- Ależ ja widzę teraz. Widzę bardzo dobrze.

- Tak twierdzi Andrew. Dlatego do ciebie przyszedłem. Dowiedzieć się, co widzisz.

- Chcesz, żebym odtworzył ci jakąś scenę? Zaszłości z przeszłości? Mam w komputerze wszystkie ulubione wspomnienia. Mogę się podłączyć i pokazać ci, co tylko zechcesz. Mam na przykład pierwszą wizytę Andrew w naszym domu. Mam też parę najlepszych rodzinnych awantur. A może wolisz uroczystości publiczne? Przemówienia inauguracyjne wszystkich burmistrzów od dnia, kiedy dostałem te oczy? Ludzie przychodzą do mnie w takich sprawach: co kto nosił, co powiedział. Często trudno mi ich przekonać, że moje oczy rejestrują tylko obraz, bez dźwięku. Tak jak ich oczy. Uważają, że powinienem być holografem i zapisywać to wszystko dla ich rozrywki.

- Nie chcę oglądać tego, co widziałeś. Chcę wiedzieć, co myślisz.

- Rzeczywiście chcesz tego?

- Tak, chcę.

- Nie wypowiadam sądów. O niczym, co cię interesuje. Trzymam się z dala od rodzinnych sporów.

Jak zawsze.

- I z dala od rodzinnych przedsięwzięć. Jedyne dziecko Novinhy, które nie zajęło się nauką.

- Nauka dała wszystkim tyle szczęścia, że trudno sobie wyobrazić, dlaczego się nią nie zająłem.

- Wcale nie trudno - odparła Valentine. Przekonała się już, że tacy zgryźliwcy często rozmawiają całkiem otwarcie, kiedy się ich sprowokuje. Wypuściła niewielką szpilkę. - Wyobrażam sobie, że po prostu nie miałeś dość rozumu, żeby im dorównać.

- Absolutna racja - zgodził się Olhado. - Rozumu wystarcza mi tylko na robienie cegieł.

- Naprawdę? - zdziwiła się Valentine. - Ale ty nie robisz cegieł.

- Wręcz przeciwnie. Robię setki cegieł dziennie. A że wszyscy wybijają dziury w ścianach, żeby zbudować nową kaplicę, w niedalekiej przyszłości przewiduję znakomite interesy.

- Lauro - powiedziała Valentine. - Ty nie robisz cegieł. Robotnicy w twojej fabryce robią cegły.

- A ja, jako ich szef, nie mam w tym udziału?

- Ceglarze produkują cegły. Ty produkujesz ceglarzy.

- Właściwie tak. Ale głównie produkuję zmęczonych ceglarzy.

- Robisz jeszcze inne rzeczy - zauważyła Valentine. - Dzieci.

- Tak - zgodził się Olhado i po raz pierwszy podczas tej rozmowy wyraźnie się rozluźnił. - To także. Naturalnie, mam partnerkę.

- Wspaniałą i piękną kobietę.

- Szukałem doskonałości i znalazłem coś lepszego. - To nie była żartobliwa uwaga. Mówił poważnie. Zgryźliwość zniknęła gdzieś, czujność także. - Ty też masz dzieci. Męża.

- Dobra rodzina. Może prawie tak dobra jak twoja. W naszej brak tylko idealnej matki, ale dzieci jakoś sobie z tym radzą.

- Z tego, co mówił o tobie Andrew, jesteś najwspanialszą istotą ludzką, jaka kiedykolwiek żyła.

- Andrew jest słodki. I mógł opowiadać takie rzeczy, bo mnie tu nie było.

- Teraz jesteś - stwierdził Olhado. - Dlaczego?

- Tak się składa, że światy i rasy ramenów stanęły w punkcie zwrotnym. A wydarzenia potoczyły się w taki sposób, że ich przyszłość w dużej mierze zależy od twojej rodziny. Nie mam czasu na spokojne odkrywanie wszystkiego... Nie mam czasu na zrozumienie rodzinnej dynamiki: dlaczego Grego w ciągu jednej nocy zmienił się z potwora w bohatera, jak Miro potrafi mieć równocześnie ambicje i skłonności samobójcze, czemu Quara skłonna jest poświęcić pequeninos dla descolady...

- Zapytaj Andrew. On rozumie ich wszystkich. Mnie się to nigdy nie udało.

- Andrew przeżywa teraz swoje własne małe piekło. Czuje się za wszystko odpowiedzialny. Starał się jak najlepiej, ale Quim nie żyje. A twoja matka i on zgadzają się tylko w jednym: że to on jakoś jest temu winien. Odejście twojej matki załamało go.

- Wiem.

- Nie mam pojęcia, jak go pocieszyć. Ani nawet czego bardziej pragnąć jako kochająca siostra: żeby Novinha powróciła do jego życia, czy żeby opuściła je na zawsze.

Olhado wzruszył ramionami. Zgryźliwość powróciła.

- Naprawdę się nie przejmujesz? - spytała Valentine. - Czy postanowiłeś się nie przejmować?

- Może dawno temu postanowiłem, a teraz już naprawdę nie.

Dobry rozmówca musi wiedzieć, kiedy zamilknąć. Valentine czekała.

Ale Olhado też umiał czekać. Valentine zrezygnowała niemal, niemal coś powiedziała. Myślała nawet, czy nie pogodzić się z porażką i nie odejść.

Wreszcie jednak się odezwał.

- Kiedy wymienili mi oczy, usunęli też gruczoły łzawe. Naturalne łzy zakłócałyby działanie używanych smarów.

- Smarów?

- Taki żart - wyjaśnił Olhado. - Zawsze wydaję się całkiem zimny, bo nigdy nie mam łez w oczach. I ludzie nie potrafią odczytać mojego wyrazu twarzy. To zabawne. Naturalne gałki oczne nie zmieniają kształtu, żeby cokolwiek wyrazić. Po prostu tkwią na miejscu. Owszem, oczy biegają wkoło... utrzymują kontakt wzrokowy, patrzą w górę albo w dół... ale moje oczy robią to samo. Poruszają się z idealną symetrią. Kierują się w stronę, w którą patrzę. Ale ludzie nie wytrzymują ich spojrzenia. Dlatego odwracają wzrok. Nie widzą wyrazu mojej twarzy. I myślą, że jest bez wyrazu. Oczy wciąż mnie pieką, czerwienieją i puchną trochę, kiedy bym płakał, gdybym miał jeszcze łzy.

- Inaczej mówiąc, nadal się przejmujesz.

- Zawsze się przejmowałem. Czasem miałem wrażenie, że tylko ja cokolwiek rozumiem, chociaż zwykle nie miałem pojęcia, co właściwie. Wycofywałem się i obserwowałem. Nie zajmowałem stanowiska w rodzinnych kłótniach, widziałem zatem wyraźniej niż inni. Widziałem strukturę sił. Matka: absolutna dominacja, chociaż Marcoa bił ją, kiedy był wściekły albo pijany. Miro, który wierzył, że to przeciw Marcoa się buntuje, chociaż zawsze stawał przeciw mamie. Podłość Grega: tak sobie radził z własnymi lękami. Quara, z natury przekorna, robiła tylko to, czego, jej zdaniem, absolutnie nie chcieli ludzie, którzy się dla niej liczyli. Ela, szlachetna męczennica... kim by się stała, gdyby nie mogła cierpieć? Świątobliwy, prawy Quim znalazł ojca w Bogu, uznając, że najlepszy ojciec jest niewidzialny i nigdy nie podnosi głosu.

- Wszystko to dostrzegałeś jako dziecko?

- Umie patrzeć. My, bierni, stojący z boku obserwatorzy zawsze widzimy lepiej. Nie sądzisz? Valentine zaśmiała się.

- Tak, widzimy lepiej. Ta sama rola? Ty i ja, oboje historycy?

- Dopóki nie zjawił się twój brat. Gdy tylko stanął w drzwiach, było jasne, że wszystko widzi i rozumie dokładnie tak, jak ja widziałem. To było cudowne uczucie. Ponieważ, naturalnie, nigdy nie wierzyłem w swoje wnioski na temat rodziny. Nie ufałem swoim sądom. Najwyraźniej nikt nie patrzył na to jak ja, zatem musiałem się mylić. Podejrzywałem nawet, że to przez oczy. Gdybym miał prawdziwe, widziałbym jak Miro albo mama.

- Czyli Andrew potwierdził twoje sądy.

- Więcej. On je wykorzystał, by działać. Próbował zaradzić.

- Tak?

- Przyleciał tu jako mówca umarłych. Ale gdy tylko przekroczył próg, przejął...

- Stery?

- Przejął odpowiedzialność. Za zmianę. Dostrzegł te wszystkie choroby, które ja widziałem, ale on zaczął je leczyć. Jak potrafił. Patrzyłem, jaki jest wobec Grega: stanowczy, ale łagodny. Z Quarą, reagując na to, czego naprawdę pragnęła, nie na to, co mówiła. Z Quimem, szanując dystans, który chciał zachować. Z Mirem, z Elą, z mamą... ze wszystkimi.

- Z tobą?

- Uczynił mnie częścią swego życia. Zbliżył się. Patrzył, jak wtykam złącze w oko, a jednak rozmawiał ze mną jak z człowiekiem. Wiesz, co to dla mnie znaczyło?

- Mogę się domyślić.

- Nie chodzi o to, co zrobił ze mną. Muszę przyznać, że byłem wygłodniałym dzieciakiem. Pierwsza czuła osoba mogła mnie zdobyć. Rzecz w tym, co zrobił z nami wszystkimi. Każde z nas potraktował inaczej, a jednak cały czas pozostał sobą. Musisz sobie przypomnieć mężczyzn mojego życia. Marcao, którego uważaliśmy za ojca... nie miałem pojęcia, kim był. Widziałem w nim tylko alkohol, kiedy był pijany, i pragnienie, kiedy był trzeźwy. Pragnienie alkoholu, ale też pragnienie szacunku, jakiego nie mógł zdobyć. A potem umarł. Od razu było lepiej. Nie dobrze, ale lepiej. Pomyślałem, że najlepszy ojciec to taki, którego nie ma. Ale to też nie było prawdą. Ponieważ mój prawdziwy ojciec, Libo, wielki uczoney i męczennik, bohater nauki i największa miłość mojej matki... spłodził z nią te wszystkie cudowne dzieci, widział udrękę naszej rodziny... i nie zrobił nic.

- Andrew mówił, że wasza matka mu nie pozwalała.

- Zgadza się... A przecież zawsze trzeba robić to, co postanowi nasza mama.

- Novinha jest bardzo stanowczą kobietą.

- Myśli, że na całym świecie tylko ona może cierpieć - stwierdził Olhado. - Mówię to bez złośliwości. Zauważyłem po prostu, że jest tak pełna bólu, że cudzego nie potrafi traktować poważnie.

- Następnym razem powiedz coś złośliwego. Może będzie łagodniejsze.

Olhado spojrzał zdziwiony.

- Osądzasz mnie? Może to macierzyńska solidarność? Dzieci, które źle mówią o swoich matkach, zasługują na klapsa? Ale zapewniam cię, Valentine, że to prawda. Żadnej złośliwości. Żadnej urazy. Znam matkę, to wszystko. Chciałaś usłyszeć, co widzę... to widziałem. I Andrew też to zobaczył. Całe to cierpienie. Jego to przyciąga. Ból jest dla niego jak magnes. A u mamy znalazł go tyle, że wyssała go prawie do czysta. Ale Andrew chyba nie można wyssać do czysta. Może ta jego studnia współczucia jest bezdenna.

Te gorące słowa zaskoczyły ją. I sprawiły przyjemność.

- Mówiłeś, że Quim zwrócił się do Boga, szukając idealnego, niewidzialnego ojca. Do kogo ty się zwróciłeś? Myślę, że nie do kogoś niewidzialnego.

- Nie, nie do kogoś niewidzialnego.

Valentine w milczeniu wpatrywała się w jego twarz.

- Widzę wszystko jak płaskorzeźbę - rzekł Olhado. - Percepcja głębi nie jest najlepsza. Gdyby umieścili obiektywy w obu oczach, zamiast oba w jednym, dwuoczność by się poprawiła. Ale chciałem dostać gniazdo. Na złącze komputera. Chciałem zapisywać obrazy, dzielić się nimi. Dlatego widzę płasko. Jakby ludzie byli lekko wypukłymi wycinankami, które przesuwają się po płaskim, kolorowym tle. Wydaje się wtedy, że ludzie są sobie bliżsi. Prześlizgują się po sobie jak kartki papieru, ocierają o siebie przechodząc.

Słuchała, ale nie odzywał się przez chwilę.

- Nie do kogoś niewidzialnego - powtórzył wreszcie, zamyślony. - To prawda. Widziałem, co Andrew zrobił z naszą rodziną. Widziałem, że wszedł, słuchał, patrzył i zrozumiał, kim jesteśmy, każde z nas z osobna. Próbował odkryć nasze potrzeby i zaspokoić je. Przyjął odpowiedzialność za innych ludzi i nie przejmował się, ile go to kosztuje, I w końcu, choć nie mógł uczynić rodziny Ribeirów normalną, dał nam pokój, godność i tożsamość. Stabilizację. Ożenił się z mamą i był dla niej dobry. Kochał nas wszystkich. Zawsze był na miejscu, gdy go potrzebowaliśmy, i nie miał pretensji, kiedy nie potrzebowaliśmy. Stanowczo wymagał cywilizowanego zachowania, ale nigdy nie bawił się naszym kosztem. Pomyślałem wtedy: to przecież o wiele ważniejsze niż nauka. Albo polityka. Jakikolwiek konkretny zawód, dokonanie czy... rzecz, jaką stwarzasz. Myślałem sobie: gdybym tylko mógł założyć dobrą rodzinę, nauczył się być dla dzieci, przez całe ich życie, tym, kim był dla nas Andrew, choć pojawił się tak późno... To miałyby większe znaczenie, niż cokolwiek, co bym osiągnął umysłem i rękami.

- Wybrałaś karierę ojca - odgadła Valentine.

- Który pracuje w cegielni, żeby wykarmić i ubrać rodzinę. Nie ceglarza, który ma też dzieciaki. Lini myśli tak samo.

- Lini?

- Jacqueline. Moja żona. Własną ścieżką dotarła do tego samego punktu. Robimy co trzeba, by zasłużyć na miejsce w społeczeństwie, ale żyjemy dla godzin spędzanych w domu. Dla siebie nawzajem i dla dzieci. Nigdy nie napiszą o mnie w podręcznikach historii.

- Byłbyś zdziwiony - mruknęła Valentine.

- Nieciekawe życie. Nie ma o czym czytać - odparł Olhado. - Ale dobrze jest go przeżywać.

- Więc taki sekret ukrywasz przed swym udręczonym rodzeństwem: szczęście.

- Pokój. Piękno. Miłość. Wszystkie wielkie abstrakcje. Oglądam je może w płaskorzeźbie, ale oglądam z bliska.

- I nauczyłeś się tego od Andrew... Czy on wie?

- Chyba tak. Chcesz poznać moją najgłębszą tajemnicę? Kiedy jesteśmy sami, tylko on i ja, albo ja i Lini... kiedy jesteśmy sami, mówię do niego: tato, a on nazywa mnie synem.

Valentine nie próbowała nawet powstrzymać łez, jak gdyby płynęły po połowie dla niej i dla niego.

- A jednak Ender ma dziecko - szepnęła.

- On mnie nauczył, jak być ojcem. I teraz jestem naprawdę świetny. Valentine pochyliła się. Pora przejść do interesów.

- To znaczy, że jeśli się nam nie powiedzie, właśnie tobie, bardziej od pozostałych, zagraża utrata czegoś pięknego i wspaniałego.

- Wiem - przyznał Olhado. - Dokonałem egoistycznego wyboru. Sam jestem szczęśliwy, ale nie mogę pomóc w ratowaniu Lusitani.

- Błąd - oświadczyła Valentine. - Po prostu jeszcze tego nie wiesz.

- Co mogę zrobić?

- Porozmawiajmy jeszcze trochę, a spróbujemy to ustalić. I jeśli nie masz nic przeciw temu, Lauro, twoja Jacqueline powinna skończyć z tym podsłuchiowaniem w kuchni i przyłączyć się do nas.

Jacqueline weszła nieśmiało i usiadła obok męża. Valentine podobało się, jak trzymają się za ręce. Po tyłu dzieciach... Przypominało jej to trzymanie się za ręce z Jaktem... i jakie to przyjemne.

- Lauro - zaczęła. - Andrew mówił mi, że kiedy byłeś młodszy, wykazywałeś największe uzdolnienia ze wszystkich dzieci Ribeirów. Że opowiadałeś mu o zwariowanych spekulacjach filozoficznych. W tej chwili, Lauro, mój przybrany bratanku, właśnie zwariowanej filozofii nam trzeba. Czy od czasów dzieciństwa twój mózg był wyłączony? Czy nadal trafiają ci się niezwykle głębokie przemyślenia?

- Mam swoje myśli - odparł Olhado. - Ale sam w nie nie wierzę.

- Pracujemy nad lotem szybszym niż światło, Lauro. Próbujemy znaleźć duszę komputerowej jaźni. Chcemy przebudować sztucznego wirusa, który ma wbudowane w strukturę mechanizmy samoobrony. Zajmujemy się cudami i magią. Dlatego będę ci wdzięczna za wszelkie sugestie dotyczące natury życia i rzeczywistości.

- Nie wiem nawet, o czym mówił Andrew - stwierdził Olhado. - Rzuciłem fizykę już...

- Gdybym potrzebowała wiedzy, czytałabym książki. Powtórzę ci to, co powiedziałam pewnej bardzo uzdolnionej chińskiej dziewczynie, służącej na świecie Drogi: daj mi poznać swoje myśli, a ja zdecyduję, czy są użyteczne.

- Jak? Przecież nie jesteś fizykiem.

Valentine podeszła do czekającego spokojnie w kącie komputera.

- Mogę to włączyć?

- Pois nao - odpowiedział. Proszę bardzo.

- Kiedy zacznie działać, Jane będzie tu z nami.

- Osobisty program Endera.

- Komputerowa jaźń, której duszę usiłujemy zlokalizować.

- Aha - mruknął. - Może to ty powinnaś zacząć mi opowiadać.

- Ja już wiem to, co sama wiem. Dlatego zacznij mówić. O tych pomysłach z dzieciństwa i co się z nimi stało przez ten czas.

Quara reagowała wrogo od chwili, kiedy Miro wszedł do pokoju.

- Nie męcz się - rzuciła.

- Nie męcz się z czym?

- Nie męcz się z przypominaniem o moich obowiązkach wobec ludzkości albo rodziny... Nawiasem mówiąc, to dwie różne grupy.

- Po to przyszedłem? - zdziwił się Miro.

- Ela cię przysłała, żebyś ze mnie wyciągnął, jak wykastrować descoladę.

- Nie jestem biologiem - Miro spróbował żartu. - Czy to możliwe?

- Nie bądź naiwny. Wyeliminować ich zdolność przesyłania informacji to jak wyrwać im języki, pamięć i wszystko, co czyni je inteligentnymi- Jeśli Ela chce się tego nauczyć, może przestudiować to co ja. Potrzebowałam tylko pięciu lat.

- Nadlatuje flota.

- Zatem jesteś emisariuszem.

- A descolada może znaleźć sposób... Przerwała mu, kończąc zdanie.

- ...ominięcia wszystkich naszych metod kontroli.

Miro zirytował się, ale był przyzwyczajony, że ludzie wtrącają się zniecierpliwieni jego powolną mową. Przynajmniej odgadła, do czego zmierzał.

- Lada dzień - powiedział. - Ela czuje, że ma coraz mniej czasu.

- W takim razie powinna mi pomóc szukać porozumienia z wirusem. Przekonać go, żeby dał nam spokój. Zawrzeć układ, jak Andrew z pequeninos. A ona zamknęła przede mną laboratorium. No cóż, to działa w obie strony. Ona mnie odcięła, ja ją odcięłam.

- Zdradzałaś pequeninos tajemnice.

- No tak. Mama i Ela jako strażniczki prawdy! Tylko one mają prawo decydować, kto co powinien wiedzieć. Pozwól Miro, że tobie też zdradzę pewną tajemnicę. Nie obronisz prawdy, ukrywając ją przed innymi.

- Wiem o tym - odparł Miro.

- Z powodu tych idiotycznych tajemnic mama całkiem rozwalila naszą rodzinę. Nie wyszła za Liba, bo chciała ukryć sekret, który przecież mógł mu ocalić życie.

- Wiem - powtórzył Miro.

Tym razem przemówił z taką gwałtownością, że zaskoczona Quara umilkła na moment.

- Rzeczywiście, ten sekret dotknął cię bardziej ode mnie - zaczęła znowu. - Ale właśnie dlatego powinieneś stanąć po mojej stronie. Twoje życie potoczyłoby się o wiele lepiej, życie nas wszystkich potoczyłoby się lepiej, gdyby mama wyszła za Liba i wyjawiała mu wszystkie swoje tajemnice. Pewnie żyłby jeszcze.

Eleganckie rozwiązania. Śliczne, malutkie co-by-było. I wszystkie fałszywe jak diabli. Gdyby Libo ożenił się z Novinhą, nie ożeniłby się z Bruxinhą, matką Quandy. Niczego nie podejrzewający Miro nie mógłby się zakochać w swojej przyrodniej siostrze, ponieważ ona by nie istniała. Ale za dużo musiałby tłumaczyć przy swej niepewnej wymowie. Dlatego ograniczył się do krótkiego:

- Quanda by się nie urodziła.

Miał nadzieję, że Quara zrozumie, co trzeba.

Zastanawiała się przez moment i dokonała właściwych skojarzeń.

- Masz rację - przyznała. - Przepraszam. Byłam wtedy dzieckiem.

- To już przeszłość - odparł Miro.

- Wcale nie - zaprotestowała Quara. - Wciąż ją powtarzamy. Te same błędy, znowu i znowu. Mama ciągle wierzy, że ochrania ludzi, ukrywając przed nimi prawdę.

- Ty też.

Quara myślała przez chwilę.

- Ela nie chciała, żeby pequeninos dowiedzieli się o jej pracach nad descoladą. Ten sekret mógł zniszczyć całe ich społeczeństwo, a nikt nawet nie spytał ich o zdanie. Nie pozwalali pequeninos się bronić. Ale to, co ja trzymam w tajemnicy, to... może... metoda intelektualnej kastracji descolady, jej połowicznego uśmiercenia.

- Aby ratować ludzkość, nie niszcząc pequeninos.

- Ludzie i pequeninos wspólnie knują zagładę trzeciej, bezbronnej rasy!

- Niezupełnie bezbronnej.

Zignorowała go.

- Jak wtedy, kiedy papież podzielił świat między ich katolickie królewskie wysokości, między Hiszpanię i Portugalię. Dawno temu, po Kolumbie. Linia na mapie i pstryk... w Brazylii mówią po portugalsku, nie po hiszpańsku. Nieważne, że dziewięć dziesiątych Indian musiało zginąć, a reszta na długie wieki straciła wszelkie prawa, nawet własną mowę...



Tym razem Miro się zniecierpliwił.

- Descolada to nie Indianie.

- To świadoma rasa.

- Wcale nie.

- Doprawdy? - zdziwiła się Quara. - Skąd ta pewność? Gdzie jest twój dyplom z mikrobiologii i ksenogenetyki? Miałam wrażenie, że studiowałeś tylko ksenologię. I że to było trzydzieści lat temu.

Miro nie odpowiadał. Wiedział, że Quara doskonale zdaje sobie sprawę, jak ciężko pracował, żeby nadrobić opóźnienia. To był osobisty atak i głupie sięganie po autorytet. Niewarte odpowiedzi. Dlatego siedział nieruchomo i wpatrywał się w jej twarz. Czekał, aż powróci w obszar rozsądnej dyskusji.

- No dobrze - przyznała. - To był cios poniżej pasa. Ale było nim też przysyłanie tu właśnie ciebie, żebyś wyciągnął ze mnie dane. Gra na moich uczuciach.

- Uczuciach?

- Bo jesteś... jesteś...

- Kaleką - dokończył Miro. Nie sądził, że litość wszystko skomplikuje. Ale co mógł na to poradzić? Cokolwiek robi, robi to jako inwalida.

- No... tak.

- To nie Ela mnie przysłała - wyjaśnił Miro.

- Więc mama.

- Nie mama.

- Wtrącasz się na własną rękę? Czy chcesz mnie przekonać, że przysłała cię cała ludzkość? A może jesteś delegatem jakichś abstrakcyjnych wartości? „Przyzwoitość kazała mi tu przyjść”.

- Jeśli nawet, posłała mnie w niewłaściwe miejsce. Cofnęła się, jakby ją spoliczkował.

- Aha... Więc nie jestem przyzwoita?

- Andrew mnie przysłał - rzekł Miro.

- Jeszcze jeden manipulator.

- Sam by przyszedł.

- Ale był taki zajęty, musiał się wtrącać gdzie indziej. Nossa Senhora, on jest jak kapłan. Miesza się w kwestie naukowe, które tak daleko przewyższają jego wiedzę...

- Zamknij się - warknął Miro.

Powiedział to dostatecznie stanowczo, by Quara rzeczywiście zamilkła... choć nie była z tego zadowolona.

- Wiesz, kim jest Andrew - rzekł ostro Miro, - Napisał Królową Kopca i...

- Królową Kopca, Hegemona i Życie Człowieka.

- Nie mów mi, że na niczym się nie zna.

- Nie. Wiem, że to nieprawda - przyznała Quara. - Rozzłościłam się. Mam wrażenie, że wszyscy są przeciwko mnie.

- Przeciwno temu, co robisz. Tak.

- Czemu nikt nie chce zrozumieć mojego punktu widzenia?

- Ja rozumiem twój punkt widzenia.

- Więc jak możesz...

- Rozumiem też ich punkt widzenia.

- No tak. Pan Obiektywny. Chcesz mnie przekonać, że rozumiesz. Metoda na współczucie.

- Sadownik umiera, żeby zdobyć informację, którą ty prawdopodobnie już znasz.

- Nieprawda. Nie wiem, czy inteligencja pequeninos pochodzi od wirusa.

- Można było sprawdzić przycięty wirus, nie zabijając Sadownika.

- Przycięty... Sam wybrałeś to słowo? Lepsze niż wykastrowany. Odcięte kończyny. Głowa też.

Zostaje sam kadłub. Bezsilny. Bezrozumny. Serce bijące bez celu.

- Sadownik...

- Sadownik koniecznie chce zostać męczennikiem. Chce umrzeć.

- Sadownik prosi, żebyś przyszła z nim porozmawiać.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Daj spokój, Miro. Przysyłają mi kalekę. Chcą, żebym spotkała się z umierającym pequenino.

Jakbym mogła zdradzić całą rasę, bo konający przyjaciel... w dodatku ochotnik... prosi mnie o to resztką sił.

- Quaro.

- Tak, słucham.

- Rzeczywiście?

- Disse que sim! - warknęła. Powiedziałam, że tak.

- Możesz mieć rację w tej sprawie.

- Jak miło z twojej strony.

- Ale oni też mogą.

- Mówiłam, że jesteś obiektywny.

- Mówiłaś, że nie wolno im podejmować decyzji, w wyniku której mogą zginąć pequeninos, nie konsultując się z nimi wcześniej. Czy ty...

- ...nie robię tego samego? A jakie mam wyjście? Opublikować swoje poglądy i urządzić głosowanie? Parę tysięcy ludzi i miliony pequeninos po twojej stronie... ale są biliony wirusów descolady. Większość decyduje. Sprawa zamknięta.

- Descolada nie jest świadoma - powtórzył Miro.

- Dla twojej informacji - odparła Quara. - Wiem o tej najnowszej teorii. Ela przysłała mi transkrypcje. Na zacofanej kolonii jakaś Chinka, która nie ma pojęcia o ksenogenetyce, wysuwa obłąkaną hipotezę, a wy wszyscy zachowujecie się tak, jakbyście już ją udowodnili.

- Udowodnij, że jest fałszywa.

- Nie mogę. Nie mam wstępu do laboratorium. To wy udowodnijcie, że to prawda.

- Tego dowodzi brzytwa Ockhama. Najprostsze wytłumaczenie, które zgadza się ze wszystkimi faktami.

- Ockham był średniowiecznym pierdzielem. Najprostsze wytłumaczenie, które zgadza się ze wszystkimi faktami, zawsze brzmi: Bóg to zrobił. Albo: ta starucha naprzeciwko jest czarownicą i ona to zrobiła. Tym właśnie jest wasza hipoteza... tylko że wy nie wiecie nawet, gdzie mieszka czarownica.

- Descolada pojawiła się zbyt nagle.

- Nie w wyniku ewolucji. Wiem o tym. Musiała skądś przybyć. Świetnie. Nawet jeśli powstała sztucznie, to nie znaczy, że teraz nie jest świadoma.

- Próbuje nas zabić. To nie ramen, to varelse.

- Oczywiście, hierarchia Valentine. A skąd mam wiedzieć, że to descolada jest varelse, a my ramenami? Według mnie, inteligencja to inteligencja. Varelse jest tylko nazwą, którą wymyśliła Valentine dla określenia inteligencji-którą-postanowiliśmy-zabić. Ramen oznacza inteligencję-której-postanowiliśmy-jeszcze-nie-zabijać.

- To bezlitosny przeciwnik.

- Są jacyś inni?

- Descolada nie szanuje innego życia. Chce nas zgładzić. Zawładnęła pequeninos. Wszystko po to, żeby uregulować tę planetę i sięgnąć po następne.

Przynajmniej raz pozwoliła mu skończyć dłuższą wypowiedź. Czy to znaczy, że naprawdę go słucha?

- Mogę się zgodzić z częścią hipotezy Wang-mu - oświadczyła Quara, - To sensowne założenie, że descolada reguluje gaialogię Lusitanii. Właściwie, kiedy się dobrze zastanowić, to nawet oczywiste. Tłumaczy większość rozmów, jakie zaobserwowałam, przekaz informacji od jednego wirusa do drugiego. Sądzę, że po kilku miesiącach wiadomość dociera do wszystkich wirusów na planecie... To może działać. Ale sterowanie gaialogią nie dowodzi braku świadomości. Można spojrzeć na to inaczej: descolada okazuje altruizm, podejmując się regulacji gaialogii całego świata. I troskliwość. Lwica atakująca napastnika w obronie swoich małych wzbudziłaby nasz podziw. Descolada to właśnie robi; atakuje ludzi, by chronić to, za co odpowiada: żyjącą planetę.

- Lwica broniąca swoich młodych.

- Tak uważam.

- A może wściekły pies, który pożera nasze dzieci?

Quara zamilkła. Myślała przez chwilę.

- Może jedno i drugie? Dlaczego nie? Descolada próbuje regulować klimat tej planety. Ale ludzie stają się coraz bardziej niebezpieczni. Dla niej my jesteśmy wściekłym psem. Wyrwamy rośliny, które są elementem jej systemu kontroli; sadzimy własne, które nie reagują. Przez nas niektórzy pequeninos zachowują się dziwnie, są nieposłuszni. Spalamy lasy, kiedy ona stara się stworzyć ich więcej. To naturalne, że usiłuje się nas pozbyć.

- Dlatego próbuje nas zgładzić.

- To jej przywilej! Kiedy zrozumiecie, że descolada ma swoje prawa?

- A my nie? A pequeninos?

Znowu urwała. Żadnych natychmiastowych kontrargumentów. To dawało nadzieję, że naprawdę słucha.

- Wiesz co, Miro?

- Co?

- Mieli rację, że cię przysłali.

- Naprawdę?

- Bo nie jesteś jednym z nich.

To fakt, pomyślał Miro. Już nigdy nie będę „jednym z”.

- Może nie zdołamy porozumieć się z descoladą. I może naprawdę jest tworem sztucznym. Biologicznym robotem realizującym swój program. A może nie. Ale oni nie pozwalają mi sprawdzić.

- Co zrobisz, jeśli wpuszczą cię do laboratorium? - zapytał dociekliwie Miro.

- Nie wpuszczą - stwierdziła Quara. - Jeśli na to liczysz, to chyba nie znasz mamy i Eli. Uznały, że nie można mi ufać i koniec. Dobrze. A ja uznałam, że im nie można ufać.

- Całe gatunki mogą zginąć z powodu rodzinnej dumy.

- Naprawdę tak uważasz, Miro? Dumy? Nie kieruje mną nic szlachetniejszego?

- Nasza rodzina jest wyjątkowo dumna.

- Zresztą nieważne, co sobie myślisz. Kieruję się sumieniem, choćbyś nazwał je dumą, uporem czy jakoś inaczej.

- Wierzę ci - rzeki Miro.

- Ale czyja ci wierzę, kiedy mówisz, że mi wierzysz? Strasznie to poplątane. - Odwróciła się do

terminala. - Idź już, Miro. Obiecałam, że się nad tym zastanowię. Dotrzymam słowa.

- Odwiedź Sadownika.

- O tym też pomyślę. - Palce zawisły nad klawiaturą. - To mój przyjaciel, wiesz przecież. Nie jestem bez serca. Pójdę do niego, bądź spokojny.

- Dobrze. Ruszył do drzwi.

- Miro - zawołała. Obejrzał się i czekał.

- Dziękuję. Nie groziłeś, że ten wasz program włamie się do moich danych, jeśli sama ich nie udostępnię.

- Oczywiście, że nie.

- Wiesz sam, że Andrew by mi zagroził. Wszyscy biorą go za świętego, a on zawsze znęca się nad ludźmi, którzy się z nim nie zgadzają.

- On nie grozi.

- Sama widziałam.

- On ostrzega.

- Och. Wybacz. Jest jakaś różnica?

- Tak - stwierdził Miro.

- Jedyne różnica między ostrzeżeniem a groźbą polega na tym, czy ty jej udzielasz, czy sobie.

- Nie. Różnica tkwi w tym, jak człowiek ją rozumie.

- Odejdź - powiedziała. - Mam dużo pracy, nawet kiedy tylko myślę. Dlatego idź już. Otworzył drzwi.

- Ale dziękuję - dodała jeszcze.

Zamknął drzwi.

Jane natychmiast zapiszczała mu w ucho.

- Jak widzę, postanowiłeś jej nie mówić, że rozkodowałam jej pliki, zanim jeszcze przyszedłeś.

- Tak - westchnął Miro. - Czuję się jak hipokryta. Dziękowała mi, że nie groziłem jej tym, co już zrobiłem.

- Ja to zrobiłam.

- My. Ty, ja i Ender. Podstępna grupa.

- Czy ona naprawdę się zastanowi?

- Może - mruknął Miro. - A może już pomyślała, postanowiła współpracować i teraz szuka tylko pretekstu. Albo postanowiła nie współpracować, a powiedziała to, żeby mi zrobić przyjemność, bo się nade mną lituje.

- Jak uważasz, co robi?

- Nie wiem, co robi. Wiem, co sam zrobię. Będę się wstydził za każdym razem, kiedy sobie przypomnę, jak pozwoliłem jej wierzyć, że szanuję jej tajemnice. A tymczasem ograbiliśmy jej pliki. Czasami nie uważam się za dobrego człowieka.

- Jak może zauważyłeś, ona ci nie wspomniała, że swoje prawdziwe odkrycia trzyma poza systemem komputerowym. Jedyne pliki, do jakich mogłam dotrzeć, to bezwartościowe śmieci. Też nie była z tobą szczerą.

- Tak, ale ona jest fanatykiem bez śladu wycucia równowagi czy proporcji.

- To wiele tłumaczy.

- Niektóre cechy można uznać za typowe dla naszej rodziny - wyjaśnił Miro.

Tym razem królowa kopca była sama. Może czymś zmęczona... kopulacją? Składaniem jaj? Zdawało się, że robi to bez przerwy. Nie ma wyboru. Teraz, kiedy robotnice patrolowały granice ludzkiej koloni, musiała ich produkować więcej niż planowała. Nie wymagały edukacji - szybko

osiągały dojrzałość, posiadając wiedzę dorosłych osobników. Ale proces koncepcji, składania jaj, wylęgu i kokonu zajmował czas. Tygodnie dla dorosłej robotnicy. W porównaniu z pojedynczym człowiekiem, królowa produkowała ogromną liczbę młodych. Jednak w porównaniu z miastem Milagre, z ponad tysiącem kobiet w wieku rozrodczym, kolonia robali miała tylko jedną płodną samicę.

Ender niepokoił się i martwił trochę wiedząc, że jest jedna królowa, A jeśli coś się jej przydarzy? Za to królowa kopca pewnie z niepokojem myślała o istotach ludzkich, mających ledwie garstkę dzieci. A jeśli coś im się przydarzy? Oba gatunki dla ochrony genetycznego dziedzictwa uprawiały kombinację karmienia i nadmiarowości. Ludzie dysponowali nadmiarem rodziców, którzy potem karmiły nieliczne potomstwo. Królowa kopca posiadała nadmiar potomstwa, które potem karmi rodzicielkę. Każdy z gatunków znalazł własną strategię równowagi.

Dlaczego zwracasz się z tym do nas ?

- Bo stanęliśmy w martwym punkcie. Bo wszyscy inni próbują, a ty masz równie wiele do stracenia. Mam?

- Descolada zagraża ci, tak samo jak nam. Pewnego dnia nie zdołasz nad nią zapanować i zginiesz. Ale nie o descoladę chciałeś mnie spytać.

- Nie.

Przyszedł w sprawie lotów szybszych niż światło. Grego zadręczał swój mózg. W więzieniu nie miał nic innego do roboty. Ostatnim razem, kiedy Ender z nim rozmawiał, Grego płakał z wyczerpania i z frustracji. Zapisał równaniami stosy papieru, rozłożone w całym pokoju, który służył za celę.

- Czy nie obchodzą cię loty szybsze niż światło?

Byłyby bardzo przyjemne.

Ta obojętna reakcja rozczarowała go tak bardzo, że niemal zabolą. Tak właśnie wygląda rozpacz. Quara, jak mur ukrywający naturę inteligencji descolady. Sadownik, umierający z braku descolady. Hań Fei-tzu i Wang-mu, usiłujący w kilka dni zrealizować całe lata studiów w kilku dziedzinach naraz. Wykończony Grego. I żadnych wyników.

Musiała usłyszeć jego mękę tak wyraźnie, jakby ją wykrzyczał.

Przestań.

Przestań.

- Robiłaś to - powiedział. - To musi być możliwe. Nigdy nie latałyśmy szybciej niż światło.

- Przeniosłaś swoje działanie na odległość lat świetlnych. Znalazłaś mnie.

Ty nas znalazłaś, Ender.

- Wcale nie - zaprotestował. - Nie wiedziałem nawet, że nawiązaliśmy myślowy kontakt, dopóki nie znalazłem wiadomości, którą mi zostawiłyście.

To była niezwykła chwila, kiedy stanął na obcej planecie i zobaczył model, replikę pejzażu istniejącego poza tym tylko w jednym miejscu - w komputerze, na którym rozgrywał osobistą wersję Gry Fantasy. To było tak, jakby ktoś zupełnie obcy podszedł do niego i opowiedział jego własny wczorajszy sen. Były w jego umyśle. Trochę go to przerażało, ale i ekscytowało. Po raz pierwszy w życiu czuł się poznany. Nie znany - znali go wszyscy, a w tamtych dniach jego sława była jeszcze pozytywna. Wtedy był największym bohaterem wszechczasów. Inni ludzie go znali. Ale ten wytwór robali pozwolił rnu zrozumieć, że po raz pierwszy został poznany.

Myśl, Ender. Tak, sięgałyśmy ku naszemu wrogowi, ale nie szukałyśmy ciebie. Szukałyśmy kogoś podobnego do nas. Sieci połączonych umysłów z umysłem centralnym, który nią steruje. Swoje umysły znajdujemy bez trudu, gdyż rozpoznajemy wzorzec. Znaleźć siostrę to jak znaleźć siebie.

- Więc jak mnie znalazłaś?

Nie myślałyśmy nigdy jak. Zrobiłyśmy to. Znalazłyśmy gorące jasne źródło. Sieć, ale z bardzo dziwną przynależnością. A w samym jej środku nie ktoś taki jak my, ale jeszcze jeden, całkiem zwyczajny. Ty. Ale taki intensywny. Skupiony w sieci, w stronę innych ludzkich istot. Skupiony do wnętrza na twojej grze komputerowej, i skupiony na zewnątrz, poza wszystko, na nas. Szukający nas.

- Nie szukałem. Studiowałem was. - Oglądał wszystkie wideo, jakie mieli w Szkole Bojowej, próbował zrozumieć, jak funkcjonuje umysł robala. - Wyobrażałem was sobie.

To właśnie mówimy. Szukałeś nas. Wyobrażałeś. My tak poszukujemy siebie. Zatem przyzywałeś nas.

- I to wszystko?

Nie, nie. Byłeś taki niezwykły. Nie wiedziałyśmy, czym jesteś. Niczego w tobie nie umiałyśmy odczytać. Twoje wizje były ograniczone. Idee zmieniały się szybko i potrafiłeś myśleć tylko o jednej rzeczy naraz. A sieć wokół ciebie tak często się zmieniała, połączenie z tobą każdego elementu ulegało wzmocnieniu i osłabieniu, niekiedy bardzo szybko...

Nie zrozumiał, o czym mówiła. Z jaką siecią był połączony?

Inni żołnierze. Twój komputer.

- Nie byłem połączony. To tylko moi żołnierze, nic więcej.

Jak myślisz, jak my się łączymy? Widzisz jakieś przewody?

- Ale przecież ludzie myślą indywidualnie. Nie jak twoje robotnice.

Wiele królowych, wiele robotnic, zmiany tam i z powrotem, bardzo chaotyczne. Straszny, przerażający czas. Czy to są te potwory, które zgładziły nasz statek kolonizacyjny? Jakie to istoty? Byłeś tak dziwny, że nie mogłyśmy sobie ciebie wyobrazić. Wcale. Wyczuwałyśmy tylko, że nas poszukujesz.

To na nic. Żadnego związku z lotami szybszymi niż światło. I wszystko przypomina jakiś bełkot, nie naukowe fakty. Nic, co Grego mógłby wyrazić matematycznie.

Tak, to prawda. Nie robimy tego jak nauki. Ani techniki. Żadnych liczb ani nawet myśli. Znalazłyśmy cię, jak byśmy wprowadzały nową królową. Jak byśmy tworzyły nowy kopiec.

Ender nie rozumiał, jaki związek ma utworzenie ansiblowego łącza z jego umysłem i wylęg nowej królowej. \_ Wytłumacz mi. Nie myślimy o tym. Po prostu robimy.

- Ale co dokładnie wtedy robicie? To, co zawsze robimy.

- A co zawsze robicie?

A jak sprawiasz, że przed kopulacją twój penis wypełnia się krwią, Ender? Jak zmuszasz trzustkę do wydzielania enzymów? Jak uruchamiasz dojrzałość? Jak ogniskujesz wzrok ?

- W takim razie pamiętaj, jak to się dzieje, i pokaż mi.

Zapominasz, że nie lubisz, kiedy pokazujemy ci przez nasze oczy.

To prawda. Próbowaliśmy tego kilka razy, kiedy był jeszcze bardzo młody i dopiero odkrył jej kokon. Po prostu nie mógł tego przyswoić, nie mógł nadać sensu. Przebłyłski, kilka wyraźnych obrazów, ale wszystko budziło dezorientację. Wpadł w panikę i chyba zemdlał, chociaż był wtedy sam i właściwie nie miał pewności, co naprawdę zaszło.

- Jeżeli nie możesz mi wytłumaczyć, musimy spróbować inaczej. Jesteś jak Sadownik? Chcesz umrzeć?

- Nie. Powiem ci, kiedy przerwać. Poprzednio mnie to nie zabiło.

Spróbujemy... czegoś pośredniego. Łagodniejszego. Będziemy pamiętać i opowiemy ci, co się dzieje. Pokażemy fragmenty. Ochronimy cię. Bezpiecznie.

- Spróbuj. Tak.

Nie dała mu ani chwili na namysł czy przygotowania. Natychmiast poczuł, że patrzy złożonymi oczami... Niejedna wizja w wielu źrenicach, ale w każdej inny obraz. Zakręciło mu się w głowie, jak wiele lat temu. Tym razem rozumiał trochę więcej - częściowo dlatego, że zmniejszyła nieco intensywność, częściowo zaś, gdyż wiedział już trochę o królowej kopca i o tym, co teraz robi.

Te różne wizje były tym, co widziały poszczególne robotnice, jakby rozrzucone oczy połączone z jednym mózgiem. Nie miał szans, by obserwować tyle obrazów równocześnie.

Pokażemy ci jeden. Ten najważniejszy.

Większość zgasła natychmiast. Potem, kolejno, znikają pozostałe. Uznał, że musi istnieć jakaś zasada organizacji robotnic. Odrzuciła te, które nie uczestniczyły w procesie tworzenia królowej. Potem, dla Endera, musiała uporządkować te, które uczestniczyły. To trudniejsze, ponieważ zwykle rozróżniała wizje według zadań, nie poszczególnych osobników. W końcu jednak pokazała mu tylko kluczowy obraz. Mógł się na nim skoncentrować, ignorując migotania i błyski na granicach pola widzenia.

Wykluwała się królowa. Kiedyś już pokazywała mu taką starannie przygotowaną wizję - kiedy pierwszy raz się spotkali i próbowała opowiedzieć o sobie. Teraz jednak nie patrzył na higieniczną, precyzyjnie zrealizowaną prezentację. Wyrazistość zniknęła. Obraz był mroczny, nieostry, rzeczowy. To wspomnienia, nie sztuka.

Widzisz, że mamy ciało nowej królowej. Wiemy, że to królowa, bo zaczyna sięgać po robotnice. Jeszcze jako larwa.

- Możesz z nią rozmawiać?

Jest bardzo głupia. Jak robotnica.

- Dopiero w kokonie zyskuje inteligencję? Nie tak. Ma ją... jak twój mózg. Pamięć-myśl. Jest tylko pusta.

- Czyli musisz ją uczyć?

Po co uczyć? Tam nie ma myśliciela. Znalezionego. Wiążącego-razem.

- Nie wiem, o czy mówisz.

Nie próbuj patrzeć, tylko myśleć. To się nie dzieje przez oczy.

- Jeśli zależy od innych zmysłów, przestań rni pokazywać. Oczy są dla ludzi zbyt ważne. Jeśli coś widzę, obraz blokuje wszystko oprócz wyraźnej mowy. A nie sądzę, żeby występowała przy tworzeniu królowej.

A teraz?

- Ciągle coś widzę.

Twój mózg zmienia to w obrazy.

- W takim razie wytłumacz. Pomóż mi zrozumieć.

Tak wyczuwamy się nawzajem. Znajdujemy to sięgające miejsce w ciele królowej. Robotnice też je mają, ale ono sięga tylko do królowej. Kiedy ją znajdzie, sięganie skończone. Królowa nie przestaje sięgać. Przyzywać.

- Wtedy ją znajdujecie?

Wiemy, gdzie jest. Ciało królowej. Przyzywacz robotnic. Magazyn pamięci.

- Czego więc szukacie?

Rzeczy-nas. Złącza. Twórcy znaczeń.

- Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze coś? Coś oprócz ciała królowej?

Tak, oczywiście. Królowa to tylko ciało, jak robotnice. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie. Nie widziałem tego.

Nie można widzieć. Nie oczami.

- Nie wiedziałem, że mam patrzeć na coś innego. Widziałem powstanie królowej, kiedy pokazałaś mi je pierwszy raz. Myślałem wtedy, że rozumiałem.

My też tak myślałyśmy.

- Jeśli więc królowa jest tylko ciałem, kim ty jesteś?

Jesteśmy królową kopca. I wszystkimi robotnicami. Przybywamy i czynimy z nich jedną osobę. Ciało królowej jest nam posłuszne, jak ciała robotnic. Utrzymujemy je w całości, chronimy, pozwalamy działać doskonale, odpowiednio do potrzeb. Jesteśmy jądrem. Każda z nas.

- Zawsze mówiłaś tak, jakbyś była królową kopca.

Jesteśmy. Robotnicami także. Wszystkie jesteśmy jednym.

- Ale to centrum, to co wiąże razem...

Wołamy to, by przyszło i objęło ciało królowej, żeby była mądrą naszą siostra.

- Wzywasz to. Co to jest? Rzecz, którą wzywamy.

- Tak. Co to jest?

O co pytasz? To jest wzywana rzecz. Wzywamy ją.

To było frustrujące. Tak wiele czynności królowa kopca wykonywała czysto instynktownie. Nie miała języka, więc nigdy nie musiała tworzyć prostych wyjaśnień tego, co aż do teraz wyjaśnień nie wymagało. Musi jej pomóc znaleźć sposób wytłumaczenia działań, których bezpośrednia percepcja jest niemożliwa.

- Gdzie to znajdujesz?

Słyszysz nasze wezwanie i przybywa.

- Ale jak posyłasz wezwanie?

Tak jak ty nas wezwałeś. Wyobrażamy sobie to, czym musi się stać. Wzorzec kopca. Królowa, robotnice i ich powiązania. Wtedy przychodzi jedna, która rozumie wzorzec i potrafi go utrzymać. Oddajemy jej ciało królowej.

- Czyli wzywasz jakąś inną istotę, żeby opanowała królową? Żeby stała się królową, kopcem i wszystkim. Utrzymała wzorzec, jaki sobie wyobraziłyśmy.

- I skąd ona przychodzi?

Z tego miejsca, gdzie jest, kiedy usłyszysz nasze wołanie.

- Ale gdzie to jest? Nie tutaj.

- Świetnie. Wierzę ci. Ale skąd przychodzi? Nie mogę pomyśleć tego miejsca.

- Zapominasz?

To znaczy, że nie można pomyśleć o miejscu, gdzie ona jest. Gdybyśmy mogły o nim pomyśleć, wtedy one same pomyślałyby o sobie i żadna by nie przyszła, by objąć wzorzec, jaki pokazujemy.

- Czym jest to, co wiąże-razem?

Nie widzimy jej. Nie wiemy, dopóki nie znajdzie wzorca, a kiedy już tam przybędzie, jest taka jak my.

Dreszcz przebiegł Endera. Przez cały czas wierzył, że rozmawia z samą królową. Teraz dowiedział się, że to, co przemawia w jego myślach, używa tylko jej ciała i wykorzystuje robale. Symbiont. Dominujący pasożyt, panujący nad całym systemem kopca.

Nie. Myślisz o strasznej, okropnej rzeczy. Nie jesteśmy inną istotą. Jesteśmy tą istotą. Jesteśmy królową kopca, tak samo jak ty jesteś swoim ciałem. Mówisz: moje ciało, a jednak jesteś swoim ciałem i właścicielem swego ciała. Królowa kopca jest nami, to ciało jest mną, nie czymś innym. Ja. Nie byłam niczym, dopóki nie znalazłam wyobrażenia.

- Nie rozumiem. Jak to jest?

Jak mogę pamiętać? Nie miałam pamięci, zanim nie podążyłam za wyobrażeniem, przybyłam do



tego miejsca i stałam się królową kopca.

- Skąd wiesz, że nie jesteś po prostu królową kopca?

Ponieważ kiedy przybyłam, dały mi wspomnienia. Zobaczyłam ciało królowej zanim przyszłam, a potem ciało królowej, kiedy już w nim byłam. Byłam dostatecznie silna, żeby utrzymać w sobie wzór, mogłam więc opanować to ciało. Stać się nim. Trwało to wiele dni, ale wreszcie byliśmy całością i mogły dać nam wspomnienia, ponieważ miała całą pamięć.

Zbladła wizja przesyłana mu przez królową kopca. I tak nie pomagała, a przynajmniej nie na tyle, żeby ułatwić zrozumienie. Mimo to myślowy obraz był coraz bardziej zrozumiały - ten podsuwany przez własny umysł, który usiłował wytłumaczyć wszystko, co mówiła. Inne królowe - większość fizycznie nieobecna, ale filotycznie połączona z tą jedną, która musiała przy tym być - podtrzymywały w umysłach wzorzec związku między królową kopca i robotnicami. Aż jedna z tych tajemniczych, pozbawionych pamięci istot zdołała zawrzeć ten wzorzec w myślach i objąć ciało w posiadanie. Tak.

- Ale skąd przybywają te istoty. Gdzie musisz dotrzeć, żeby je zwabić?

Nigdzie się nie ruszamy. Wzywamy, a one są.

- Czyli są wszędzie?

Ich wcale tutaj nie ma. Nigdzie tutaj. Inne miejsce.

- Przecież mówiłaś, że się nie ruszasz.

Bramy. Nie wiemy, gdzie one są, ale w każdym miejscu jest brama.

- Jakie są te bramy?

Twój mózg stworzył słowo, które właśnie wymówiłeś. Brama. Brama.

Teraz zrozumiał, że brama to określenie wywołane przez własną pamięć, by nazwać przekazane myślowo pojęcie. I nagle uchwycił sensowne wytłumaczenie.

- Nie przebywają w tym samym continuum przestrzenno-czasowym, co my. Ale w dowolnym punkcie mogą do naszego przeniknąć.

Dla nich wszystkie punkty są jednym printem. Wszystkie gdzie są jednym gdzie. Znajdują ioe wzorcu tylko jedno gdzie.

- To niesamowite. Przywołujesz istotę z innego miejsca i...

Przywołanie to nic. Wszystkie istoty to robią. Wszystkie nowe stworzenia. Wy to robicie. Każde ludzkie dziecko ma tę rzecz. Pequeninos również nimi są. Trawa i słońce. Wszystkie stworzenia wołają, a one przychodzą do wzorca. Jeśli rozumieją wzorzec, przychodzą i obejmują go. Małe wzorce są łatwe. Nasz wzorzec jest bardzo trudny. Tylko bardzo mądre potrafią go objąć.

- Filoty - domyślił się Ender. - Elementy, z których stworzone są wszelkie inne rzeczy.

Słowo, które wymawiasz, nie tworzy znaczenia, jakie my nadajemy.

- Bo dopiero teraz sobie skojarzyłem. Nie chodziło mi o to, co opisałaś, ale to, o co chodziło, może być tym, co opisałaś. Bardzo niejasne.

- Witamy w klubie.

Bardzo wesoło śmiejemy się szczęśliwie.

- Czyli kiedy tworzysz nową królową, masz już biologiczne ciało i tę nową... tę filotę, którą wzywasz z innego miejsca, gdzie one czekają. Musi zrozumieć złożony wzór tego, czym jest nowa królowa. A kiedy przybywa taka, która jest do tego zdolna, przyjmuje tożsamość i ciało, i staje się jaźnią tego ciała...

Wszystkich ciał.

- Przecież, kiedy powstaje nowa królowa, nie ma jeszcze robotnic. Staje się jaźnią przyszłych robotnic.

- Mówimy o przejściu z innej przestrzeni. Z miejsca, gdzie są filoty.

Wszystkie w tym samym nie-miejscu. Nie-miejsce jest tym miejscem. Nie ma gdzie. Wszystkie pragną gdzie. Wszystkie pożądają wzoru. Samotne bez jaźni.

- I twierdzisz, że my jesteśmy tym samym. Jak byśmy cię znalazły, gdybyś nie był?

- Ale mówiłaś, że znalezienie mnie było jak tworzenie nowej królowej.

Nie znalazłyśmy w tobie wzoru. Próbowaliśmy odkryć wzorzec między tobą i innymi ludźmi, ale zmieniałaś go i przenosiłaś; nie mogłyśmy zrozumieć. Ty też nie mogłaś nas zrozumieć, więc twoje wołanie nie mogło stworzyć wzorca. Dlatego objęłyśmy trzeci wzorzec. Ciebie sięgającego w maszynę. Ciebie tęskniącego do niej. Jak tęsknota życia w ciele nowej królowej. Wiązałaś siebie z programem w komputerze. Pokazywał ci obrazy. Znalazłyśmy te obrazy w komputerze i znalazłyśmy je w twoim umyśle. Porównałyśmy je, kiedy patrzyłaś. Komputer był bardzo złożony, a ty jeszcze bardziej złożony, ale tylko ten wzorzec trwał nieruchomo. Przemieszczałyście się wspólnie, a kiedy byliście razem, utrzymywaliście tę samą wizję. Ty wyobrażałaś sobie coś i robiłaś to, a komputer reagował na twoje wyobrażenia i wyobrażał sobie coś w odpowiedzi. Bardzo prymitywne komputerowe wyobrażenia. To nie była jaźń. Ale ty tworzyłaś z nich jaźń przez tęsknotę życia. Przez twoje sięganie.

- Gra Fantasy - odgadł Ender. - Stworzyłyście wzorzec z Gry Fantasy.

Wyobraziłyśmy sobie to samo, co ty. Wszystkie razem. Wzywałyśmy. To było niezwykle złożone i obce, ale o wiele prostsze od wszystkiego, co znalazłyśmy w tobie. Od tej pory wiemy: niewielu ludzi jest zdolnych do takiej koncentracji, jak twoja koncentracja na grze. I nie widziałyśmy żadnego innego programu, który reagowałby na człowieka tak, jak gra reagowała na ciebie. To również była tęsknota. Krążąca wkoło, próbując znaleźć coś dla ciebie.

- A kiedy zawołałyście...

Przybyła. Most, jaki był nam potrzebny. Wiążący-razem ciebie i program. Utrzymywał wzorzec, był więc żywy, nawet kiedy nie poświęcałaś mu uwagi. Był z tobą połączony, ty byłaś jego częścią, a jednak my także mogłyśmy go zrozumieć. Pomost.

- Ale kiedy filota obejmuje ciało nowej królowej kopca, kieruje nim całkowicie: ciałem królowej i ciałami robotnic. Dlaczego ten wasz pomost nie zapanował nade mną?

Czy myślisz, że nie próbowaliśmy?

- Dlaczego się nie udało?

Nie umiałaś pozwolić, żeby taki wzorzec tobą kierował. Mogłaś świadomie stać się częścią rzeczywistego, żyjącego wzorca, ale nie dałaś się opanować. Nie dałaś się nawet zniszczyć i tak wiele było ciebie w tym wzorcu, że same nie mogłyśmy nim kierować. Zbyt dla nas obcy.

- Ale potrafiłyście z jego pomocą odczytywać moje myśli?

Potrafiłyśmy z jego pomocą łączyć się z tobą, mimo obcości. Studiowałyśmy cię, szczególnie kiedy bawiłaś się grą. I kiedy zaczęłyśmy cię rozumieć, uchwyciłyśmy ideę całego gatunku. Że każdy z was jest żywy, bez żadnej królowej.

- Bardziej skomplikowane, niż się spodziewałyście?

Mniej. Wasze indywidualne umysły były prostsze tam, gdzie oczekiwałyśmy złożoności, i złożone tam, gdzie oczekiwałyśmy prostoty. Pojęłyśmy, że naprawdę jesteście żywi i piękni w swej perwersyjnej i tragicznej samotności. Postanowiłyśmy nie wysyłać następnego statku kolonizacyjnego do waszych planet.

- Ale my o tym nie wiedzieliśmy. Skąd mieliśmy wiedzieć?

Zrozumiałyśmy też, że jesteście groźni i straszni. Zwłaszcza ty, ponieważ rozumiałaś wszystkie nasze wzorce i nie potrafiłyśmy wymyślić nic tak skomplikowanego, żeby cię zaskoczyło. Dlatego zniszczyłaś wszystkie oprócz mnie. Teraz rozumiem cię lepiej. Miałam tyle lat, żeby cię

obserwować. Nie jesteś tak przerażająco zdolny, jak nam się wydawało.

- Szkoda. Przeróżające zdolności bardzo by się teraz przydały. Wolimy spokojny blask inteligencji.

- Ludzie z wiekiem tracą bystrość. Jeszcze parę lat, a ten blask będzie już całkiem przyćmiony.

Wiemy, że kiedyś umrzesz. Chociaż tak długo to odsuwasz.

Ender nie chciał angażować się w dyskusję o śmiertelności czy innych aspektach życia ludzi, które tak fascynowały królową kopca. Gdy słuchał jej opowieści, do głowy przyszło mu jeszcze jedno pytanie. Intrygująca możliwość.

- Ten wasz pomost. Gdzie był? W komputerze?

W tobie. Tak jak ja jestem w ciele królowej kopca.

- Ale nie jako część mnie?

Część ciebie, ale również nie-ty. Inny. Na zewnątrz, ale we wnętrzu. Związany z tobą, ale wolny. Nie mógł nad tobą zapanować i ty nie mogłeś zapanować nad nim.

- Czy mógł kierować komputerem?

Nie myślałyśmy o tym. Nie obchodziło nas. Może.

- Jak długo używałyście pomostu? Jak długo działał? Przestałyśmy o nim myśleć. Myślałyśmy o tobie.

- Ale wciąż tam był, przez cały czas, kiedy mnie obserwowałyście? A gdzie mógł się podziać?

- Jak długo może istnieć?

Nigdy przedtem niczego takiego nie stworzyłyśmy. Skąd możemy wiedzieć? Królowa kopca umiera, kiedy umiera ciało królowej.

- Ale w którym ciele był ten pomost? W twoim. W centrum wzorca.

- Był wewnątrz mnie?

Oczywiście. Ale jednak był nie-tobą. Zawiódł nas, kiedy nie pozwolił nam nad tobą zapanować, i nie myślałyśmy o nim więcej. Ale teraz widzimy, że był niezwykle ważny. Powinnyśmy go poszukać. Powinnyśmy o nim pamiętać.

- Nie. Dla was to było jak... jak funkcja ciała. Jak zaciśnięcie pięści, żeby kogoś uderzyć. Zrobiliście to, a kiedy pięść już nie była potrzebna, nie zwracaliście uwagi, czy jest jeszcze, czy już nie jest zaciśnięta.

Nie rozumiemy związku, ale wydaje się nam, że dla ciebie ma sens.

- On wciąż żyje, prawda?

Możliwe. Próbujemy go wyczuć. Znaleźć. Gdzie mamy szukać? Dawnego wzorca już nie ma. Już nie wracasz do Gry Fantasy.

- Ale wciąż łączyłby się z komputerem, prawda? Powiązanie między mną a komputerem. Ale ten wzorec może się rozrastać. Może obejmować innych ludzi. Pomyśl, że jest połączony z Mirem, tym młodym człowiekiem, którego tu sprowadziłem...

Tym uszkodzonym...

- I zamiast łączyć się z jednym komputerem, jest połączony z tysiącami tysięcy, poprzez międzyplanetarne złącza ansibli.

To możliwe. Był żywy. Mógł rosnać. Jak my rośniemy, gdy potrzeba nowych robotnic. Przez cały czas. Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, jesteśmy pewne, że wciąż gdzieś istnieje. Ponieważ nadal jesteśmy z tobą powiązane, a tylko przez tamten wzorec mogłyśmy się łączyć. Związek jest bardzo silny - ta część wzorca, która jest łączem między nami. Myślałyśmy, że wzmacnia się, bo poznajemy cię lepiej. Ale może wzmacniał się również dlatego, że rósł pomost.

- A ja myślałem... Jane i ja uważaliśmy zawsze... że ona zaistniała jakoś w ansiblowych łączach między światami. Pewnie ona tam właśnie się widzi, w miejscu, które odbiera jako ośrodek

swojego... ciała, chciałem już powiedzieć.

Próbujemy wyczuć, czy pomost między nami wciąż tam jest. Trudne.

- Jak szukać konkretnego mięśnia, którego używasz przez całe życie, ale nigdy samodzielnie.

Interesujące porównanie. Nie widzimy związku, ale nie, teraz widzimy.

- Porównanie?

Pomost. Bardzo duży. Jego wzorzec jest za wielki. Nie zdołamy go już objąć. Ogromny. Pamięć... skomplikowana. Trudniejsza niż szukanie cię za pierwszym razem... bardzo skomplikowana. Wymyka się. Nie potrafimy już objąć jej naszym umysłem.

- Jane - szepnął Ender. - Jesteś już dużą dziewczynką.

W odpowiedzi zabrzmiał głos Jane.

- To nieuczciwe, Ender. Nie słyszę, co ona do ciebie mówi. Wyczuwam tylko twój przyspieszony puls i oddech.

Jane. Wiele razy widziałyśmy to imię w twoich myślach. Ale pomost nie miał twarzy, nie był osobą.

- Jane też nie jest.

Kiedy myślisz to imię, w twoim umyśle widzimy twarz. Wciąż ją widzimy. Sądziłyśmy, że to osoba. Ale teraz...

- Ona jest pomostem. Stworzyłyście ją.

Przywołałyśmy. Ty stworzyłeś wzorzec. To, czym jest ta Jane, ten pomost, rozpoczęło się od wzorca, jaki odkryłyśmy w tobie i Grze Fantasy, tak. Ale ona wyobraziła sobie siebie o wiele większą. Była bardzo silną... filotą, jeżeli twoje słowo jest właściwą nazwą... skoro potrafiła zmienić własny wzorzec i wciąż pamiętać, kim jest.

- Sięgnęłyście przez lata świetlne i znalazłyście mnie, ponieważ ja was szukałem. A potem znalazłyście wzorzec i przywołałyście istotę z innej przestrzeni. A ona przechwyciła wzorzec, objęła go i stała się Jane. Wszystko to natychmiast. Szybciej niż światło.

Ale to nie lot jest szybszy niż światło. To wyobrażanie i wołanie. Nie potrafi zabrać cię stąd i przenieść tam.

- Wiem. Wiem. Może nie uda się odpowiedzieć na pytanie, z którym tu przyszedłem. Ale miałem też inne, dla mnie równie ważne. Nie sądziłem, by łączyło się jakoś z tobą. I proszę, przez cały czas znałaś odpowiedź. Jane jest rzeczywista, żywa przez cały czas, a jej jaźń nie tkwi gdzieś w kosmosie... jest we mnie. Połączona ze mną. Nie zabijają jej, kiedy wyłączą ansible. To już coś.

Jeśli zabiją wzorzec, ona może umrzeć.

- Ale oni nie mogą zabić całego wzorca. Rozumiesz? Nie jest uzależniony od ansibli. Zależy ode mnie i łączy między mną a komputerami. I nie odetną tego złącza: między mną a komputerami tutaj i w satelitach wokół Lusitanii. A może nawet wcale nie potrzebuje ansibli. W końcu, tobie nie były potrzebne, żeby osiągnąć mnie przez nią.

Wiele dziwnych rzeczy jest możliwych. Nie umiemy ich sobie wyobrazić. Robią wrażenie bardzo głupich i dziwacznych, te rzeczy w twoich myślach. Bardzo nas męczysz myśleniem, o głupich wyimaginowanych niemożliwych rzeczach.

- W takim razie odejdę. Ale to może pomóc. To prawdziwe zwycięstwo, jeśli dzięki temu Jane potrafi się uratować. Pierwsze zwycięstwo. A już myślałem, że czekają nas same klęski.

Gdy tylko opuścił królową kopca, zaczął Jane opowiadać wszystko, co zapamiętał z wyjaśnień królowej. Kim była Jane, jak została stworzona.

A kiedy mówił, ona analizowała siebie w świetle nowych informacji. Zaczęła odkrywać o sobie fakty, których nawet nie podejrzewała. Zanim Ender dotarł z powrotem do ludzkiej kolonii,

zweryfikowała znaczną część jego teorii.

- Nie domyśliłam się tego, bo zawsze zaczynałam od błędnego założenia - powiedziała. - Wyobrażałam sobie, że mój ośrodek mieści się gdzieś w przestrzeni. Powinnam zgadnąć, że jest w tobie. Nawet kiedy byłam na ciebie wściekła, musiałam wrócić, żeby odzyskać spokój.

- A teraz królowa kopca twierdzi, że jesteś taka duża i złożona. I nie potrafi już objąć umysłem twojego wzorca.

- Musiałam szybko rosnąć w okresie dojrzewania.

- Zgadza się.

- Co mogłam poradzić, skoro ludzie ciągle podłączali nowe komputery?

- Tu nie chodzi o maszyny, Jane. To programy. Psychika.

- Muszę dysponować fizyczną pamięcią, żeby to wszystko pomieścić.

- Masz tę pamięć. Problem w tym, czy bez pomocy ansibli potrafisz uzyskać do niej dostęp.

- Mogę spróbować. To tak, jak jej mówiłeś: napiąć mięsień, o którym nie wiedziałam nawet, że go mam.

- Albo nauczyć się żyć bez niego.

- Zobaczą, co da się zrobić.

Co da się zrobić. Przez całą drogę do domu, gdy samochód szybował ponad capim, Ender szybował także, uradowany, że w końcu cokolwiek da się zrobić. Do tej pory odczuwał tylko rozpacz.

Jednak wracając, widział spalony las, dwa samotne ojcowskie drzewa okryte ostatnimi liśćmi, farmę upraw eksperymentalnych, nową chatę ze sterylną komorą, gdzie umierał Sadownik. I uświadamiał sobie, jak wiele jeszcze mają do stracenia, ilu ludzi jeszcze zginie... chociaż wiedzieli już, jak ocalić Jane.

Dzień się kończył. Hań Fei-tzu był zmęczony; oczy go piekły od długiego czytania. Z dziesięć razy poprawiał kolory na ekranie, próbując znaleźć coś uspokajającego. Nic nie pomagało. Ostatni raz pracował tak intensywnie jeszcze na studiach, ale wtedy był młody. I wtedy zawsze osiągał jakieś wyniki. Byłem bystrzejszy, szybszy. Osiągnięcia były dla mnie nagrodą. Teraz jestem stary i powolny, zajmuję się całkiem nowymi dla mnie dziedzinami, i całkiem możliwe, że te problemy nie mają rozwiązania. Dlatego żadna nagroda nie pobudza mnie do pracy. Jest tylko zmęczenie, zdrętwiały kark i opuchnięte, zaczerwienione oczy.

Zerknął na Wang-mu, zwiniętą w kłębek na podłodze. Bardzo się starała, ale zbyt mało miała wiedzy, by zrozumieć wszystkie dokumenty, jakie Hań Fei-tzu wywoływał na ekran w poszukiwaniu jakichś teoretycznych podstaw lotu szybszego niż światło. I w końcu znużenie zwyciężyło wolę; dziewczyna doszła do wniosku, że jest bezużyteczna, ponieważ nie pojmuje nawet tyle, by stawiać pytania. Wtedy zrezygnowała i zasnęła.

Ale nie jesteś bezużyteczna, Si Wang-mu. Pomagałaś nawet w swym niezrozumieniu. Jasny umysł, dla którego wszystko jest nowe. Jak gdyby własna utracona młodość stanęła obok mnie.

Taka była Qing-jao, zanim nabożność i duma mi ją odebrały.

To nieuczciwe. Nie może w ten sposób osądzać córki. Jeszcze kilka tygodni temu był z niej przecież zadowolony. Był dumny ponad wszelką miarę. Najlepsza, najzdolniejsza z bogostyszających... spełnienie wysiłków ojca i nadziei matki.

To go najbardziej drażniło. Jeszcze niedawno był dumny, że dotrzymał obietnicy złożonej Jiang-qing. Niełatwo było wychować córkę tak pobożną, ominąć okres zwątpienia i buntu przeciw bogom. Owszem, zdarzały się takie dzieci, ale ich nabożność odbijała się zwykle na edukacji. Hań Fei-tzu

pozwoił Qing-jao uczyć się wszystkiego, a potem tak sprawnie poprowadził ją ku zrozumieniu, że nie przeczyło to wierze w bogów.

A teraz zbierał to, co zasiał. Dał jej sposób widzenia świata, który tak doskonale podtrzymywał wiarę, że nic nie mogło teraz przekonać Qing-jao. Nawet odkrycie, że „głosy bogów” to tylko genetyczne łańcuchy, w jakie zakuł ich Kongres. Gdyby żyła Jiang-qing, Hań Fei-tzu popadłby w konflikt z żoną z powodu utraty wiary. Pod jej nieobecność, tak doskonale wychował córkę, że przejęła punkt widzenia matki.

Jiang-qing także by mnie porzuciła, myślał Hań Fei-tzu. Nawet gdybym nie owdowiał, dzisiaj nie miałbym żony.

Jedyną towarzyszką jest ta dziewczyna, służąca, która wdarła się do mojego domu w samą porę, by stać się iskrą życia na starość, płomykiem nadziei w moim mrocznym sercu.

Nie córka-mojego-ciała, ale może - kiedy minie kryzys - nadarzy się czas i sposobność, by uczynić Wang-mu córką-mego-umysłu. Skończyłem pracę dla Kongresu. Może zostanę nauczycielem z jedną tylko uczennicą, tą dziewczyną? Może zmienię ją w rewolucjonistkę, która poprowadzi prosty lud do wyzwolenia spod tyranii bogosłyszających, a potem do wolności od tyranii Kongresu? Oby się nią stała. Wtedy będę mógł odejść w pokoju wiedząc, że pod koniec życia stworzyłem coś, co odwróci moje dawne dokonania, które wzmocniły Kongres i pomogły zwyciężyć wszystkich przeciwników jego władzy.

Cichy oddech Wang-mu był jak jego własny oddech, jak oddech dziecka, jak szum bryzy w wysokich trawach. Ona cała jest ruchem, nadzieją, świeżością...

- Hań Fei-tzu. Myślę, że nie śpisz.

Nie spał, ale na w pół drzemał. Drgnął, słysząc głos Jane, jakby właśnie się budził.

- Nie. Ale Wang-mu śpi.

- W takim razie obudź ją - poleciła Jane. ;

- O co chodzi? Zasłużyła na wypoczynek.

- Zasłużyła także, by usłyszeć to jako pierwsza.

Twarz Eli pojawiła się na ekranie obok Jane. Hań Fei-tzu od razu rozpoznał w niej ksenobiolog, zajmującą się analizą zebranych przez niego i Wang-mu próbek. Musiał nastąpić jakiś przełom.

Pochylił się, wyciągnął rękę i dotknął biodra śpiącej Wang-mu. Poruszyła się. Przeciągnęła. Potem, najwyraźniej przypominając sobie o obowiązkach, usiadła prosto.

- Zasnęłam? Co się stało? Wybacz, mistrzu Hanie. Zaraz pokłoniłaby się, bardzo zmieszana, ale Hań Fei-tzu jej nie pozwolił.

- Jane i Ela prosiły, żeby cię obudzić. Chciały, żebyś słyszała.

- Chcę przede wszystkim powiedzieć - zaczęła Ela - że możliwe jest to, na co liczyliśmy. Zmiany genetyczne były prymitywne i łatwe do wykrycia. Teraz rozumiem, czemu Kongres tak się starał, żeby do studiów nad mieszkańcami Drogi nie dopuścić prawdziwych genetyków. Gen ZPN nie znajdował się w zwykłym miejscu i dlatego biolodzy nie zidentyfikowali go natychmiast. Jednak funkcjonuje prawie dokładnie tak samo, jak naturalnie występujące geny ZPN. Łatwo na niego oddziaływać niezależnie od genów, dających bogosłyszającym te szczególne zdolności intelektualne i twórcze. Zaprojektowałam już odpowiednią bakterię. Wprowadzona do krwiobiegu, odszuka spermę czy jajeczko danej osoby, przeniknie do nich, usunie gen ZPN i zastąpi normalnym, nie zmieniając pozostałej części kodu genetycznego. Potem zginie.

Budowa bakterii opiera się na dość typowym szczepie, z pewnością wykorzystywanym w wielu laboratoriach Drogi w pracach immunologicznych i przy zapobieganiu wadom urodzeniowym. Każdy z bogosłyszających, jeśli zechce, może spłodzić dzieci wolne od ZPN. Hań Fei-tzu zaśmiał się.

- Jestem jedynym człowiekiem na tej planecie, który pragnąłby takiej bakterii. Bogosłyszający nie mają nad sobą litości. Są dumni ze swej choroby. Daje im władzę i zaszczyty.

- Wobec tego powiem wam o naszym następnym odkryciu. Dokonał go jeden z moich asystentów, pequenino imieniem Szkło. Przyznaję, że nie poświęcałam tej kwestii należytej uwagi, gdyż wydawała się stosunkowo prosta w porównaniu z problemem descolady, nad którym pracujemy.

- Nie przepraszaaj - rzekł Hań Fei-tzu. - Jesteśmy wdzięczni za każdą pomoc. Na żadną nie zasługujemy.

- No tak... - Taka uprzejmość najwyraźniej ją krępowała. -W każdym razie Szkło odkrył, że prócz jednej, wszystkie uzyskane próbki dzielą się wyraźnie na kategorie bogosłyszających i niebogosłyszających. Przeprowadziliśmy testy na ślepo, a potem porównaliśmy listę próbek z listą nazwisk. Korelacja była pełna. Każdy bogosłyszający miał przebudowany gen. Żadna próbka pozbawiona przebudowanego genu nie znalazła się na waszej liście bogosłyszających.

- Mówiłaś, że oprócz jednej.

- Ta nas zaskoczyła. Szkło jest bardzo metodyczny, cierpliwy jak drzewo. Był pewien, że ten wyjątek to efekt mylnego zapisu albo błędna interpretacja danych genetycznych. Sprawdził ją wielokrotnie i przekazał do kontroli innym asystentom. Nie ma żadnych wątpliwości. Ten wyjątek to mutacja genotypu bogosłyszających. Jest w naturalny sposób pozbawiony genu ZPN, zachowuje natomiast wszelkie inne cechy, tak uprzejmie wprowadzone przez genetyków Kongresu.

- Czyli ta osoba jest już tym, co wasza bakteria ma stworzyć?

- Jest kilka innych zmutowanych regionów, których chwilowo jeszcze nie jesteśmy pewni, ale to nie ma nic wspólnego z ZPN ani inteligencją. Podobnie jak z żadnymi procesami życiowymi, więc osoba ta powinna mieć zdrowe potomstwo, które odziedziczy jej cechy. Co więcej, gdyby zawarła związek z osobą potraktowaną już naszą bakterią, dzieci prawie na pewno przejmą wszystkie udoskonalenia, a ZPN im nie zagrozi.

- Ma szczęście - mruknął Hań Fei-tzu.

- Kto to jest? - zapytała Wang-mu.

- To ty - odparła Ela. - Si Wang-mu.

- Ja? - Była wyraźnie zaskoczona. Ale Hań Fei-tzu wcale się nie zdziwił.

- Ha! - krzyknął. - Powinienem wiedzieć! Powinienem się domyślić! Nic dziwnego, że uczyłaś się tak szybko jak moja córka. Nic dziwnego, że twoja intuicja pomogła nam wszystkim, nawet kiedy prawie nie rozumiałaś, co czytasz. Jesteś równie bogosłyszająca jak inni na Drodze... ale ty jedna jesteś też wolna od naszych oczyszczających rytuałów.

Si Wang-mu próbowała coś powiedzieć, lecz łzy napłynęły zamiast słów i pociekły jej po policzkach.

- Już nigdy nie pozwolę, byś traktowała mnie jak lepszego od siebie - rzekł Hań Fei-tzu. - Od tej chwili nie jesteś już służącą w tym domu, ale moją studentką, moją młodszą koleżanką. Niech inni myślą o tym, co zechcą. My wiemy, że jesteś zdolna jak każdy, nawet najzdolniejszy z nich.

- Jak panienska Qing-jao? - szepnęła Wang-mu.

- Jak każdy - powtórzył Hań Fei-tzu. - Grzeczność każe ci kłaniać się wielu osobom, ale w sercu nie musisz się kłaniać nikomu.

- Nie jestem godna.

- Każdy człowiek godzien jest swoich genów. Taka mutacja mogła uczynić cię kaleką. A ty jesteś najzdrowsza na całej Drodze.

Lecz jej cichy szloch nie ustawał.

Jane musiała przekazywać to wszystko, gdyż Ela zachowywała milczenie. Wreszcie jednak

przemówiła.

- Przepraszam was, ale mam jeszcze wiele pracy - powiedziała.

- Oczywiście - zgodził się Hań Fei-tzu. - Możesz odejść.

- Nie rozumiałeś mnie. Na to nie potrzebuję twojej zgody. Ale zanim odejdę, mam jeszcze coś do powiedzenia. Hań Fei-tzu skłonił głowę.

- Proszę. Słuchamy.

- Tak - szepnęła Wang-mu. - Ja też słucham.

- Istnieje możliwość... niewielka, jak się przekonacie, ale jednak możliwość... że jeśli rozszyfrujemy i opanujemy wirusa descolady, uda się stworzyć wersję możliwą do wykorzystania na Drodze.

- Jak to? - zdziwił się Hań Fei-tzu. - Na co nam potrzebny ten potworny sztuczny wirus?

- Descolada przenika do komórek organizmu nosiciela, odczytuje kod genetyczny i przebudowuje go według własnego schematu. Kiedy ją zmienimy... jeśli ją zmienimy... usuniemy ten schemat. Usuniemy też większość mechanizmów obronnych, jeśli potrafimy je znaleźć. Wtedy można wykorzystać wirus jako uniwersalny czynnik mutagenny. Coś, co dokona przemiany nie tylko w komórkach rozrodczych, ale we wszystkich komórkach żywego organizmu.

- Wybacz - przerwał jej Hań Fei-tzu. - Ostatnio sporo czytałem na ten temat. Zaniechano prac nad takim czynnikiem, ponieważ gdy tylko nastąpi przemiana, ciało zaczyna odrzucać własne komórki.

- Zgadza się. Tak zabija descolada. Ciało odrzuca samo siebie i umiera. Ale tylko dlatego, że descolada nie ma żadnego planu oddziaływania na ludzi. Bada ludzkie ciało w trakcie ataku, wprowadza przypadkowe zmiany i sprawdza, co z tego wyniknie. Nie dysponuje schematem, więc poszczególne komórki ofiar otrzymują różne kody genetyczne. A jeżeli stworzymy wirus podobnego typu, ale funkcjonujący według jednego schematu, przekształcający każdą komórkę zgodnie z takim samym nowym wzorem? W takim przypadku nasze badania dowodzą, że całkowita przemiana nastąpi u człowieka średnio w ciągu sześciu godzin, najwyżej pół doby.

- Dość szybko, żeby organizm nie zdążył odrzucić komórek...

- Wszystkie będą takie same, więc rozpozna nowy wzór jako własny

Wang-mu przestała szlochać. Była równie podniecona jak Hań Fei-tzu, i mimo dyscypliny nie mogła się opanować.

- Potraficie uleczyć wszystkich bogosłyszających? Uwolnić nawet tych, którzy już się urodzili?

- Jeśli rozszyfrujemy descoladę, nie tylko potrafimy wyleczyć ZPN u bogosłyszających, ale też wprowadzić wszystkie udoskonalenia zwykłym ludziom. Najbardziej podziela to na dzieci. Starsi przekroczyli już okres rozwoju, kiedy nowe geny wywierają największy efekt. Ale od tej chwili, każde dziecko urodzone na Drodze będzie wybitnie inteligentne.

- Co wtedy? Czy descolada zniknie?

- Nie jestem pewna. Musimy chyba wbudować wirusowi mechanizm samozniszczenia, kiedy już wykona zadanie. Jako model wykorzystamy geny Wang-mu. Można powiedzieć, że będziesz genetyczną współrodzicielką całej populacji twojego świata.

Wang-mu parsknęła śmiechem.

- Wspaniały żart. Jacy są dumni, że zostali wybrani, ale lekarstwo pochodzi od kogoś takiego jak ja. - Natychmiast jednak posmutniała i ukryła twarz w dłoniach. - Jak mogłam powiedzieć coś takiego! Jestem tak wyniosła i arogancka jak najgorsi z nich.

Fei-tzu położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie bądź dla siebie zbyt surowa. To naturalne emocje. Szybko przychodzą i szybko mijają. Na potępienie zasługują tylko ci, którzy czynią z nich sposób życia. - Zwrócił się do Eli. - Istnieją pewne



kwestie etyczne.

- Wiem. I wiem, że trzeba rozwiązać je teraz, choćby nawet nasze plany okazały się nierealne. Mówimy o genetycznej przebudowie całej populacji. Była zbrodnią, kiedy Kongres w tajemnicy dokonał jej na Drodze, bez wiedzy i zgody zainteresowanych. Czy możemy naprawiać zbrodnię tą samą metodą?

- Nie tylko to - dodał Hań Fei-tzu. - Cały nasz system społeczny opiera się na bogosłyszających. Większość ludzi uzna taką przemianę za karę bogów. Gdyby domyślili się, że my jesteśmy jej źródłem, zabiliby nas. Jest też inna możliwość. Kiedy się okaże, że bogosłyszający utracili głos bogów, ZPN, ludzie zwrócą się przeciwko nim. Zabiją ich. Jak wtedy zdoła im pomóc wyleczenie zespołu psychozy natręctw? Będą martwi.

- Dyskutowaliśmy o tym - przyznała Ela. - I nie mamy pojęcia, co robić. Na razie to abstrakcyjny problem, ponieważ nie rozszyfrowaliśmy descolady i może nigdy się nam to nie uda. Ale gdybyśmy uzyskali taką możliwość, uważamy, że do was należy wybór, czy z niej skorzystać.

- Do mieszkańców Drogi?

- Nie. Do was: Hań Fei-tzu, Si Wang-mu i Hań Qing-jao. Tylko wy wiecie, co wam zrobili. Wprawdzie twoja córka w to nie wierzy, ale reprezentuje punkt widzenia wierzących i bogosłyszających Drogi. Jeśli uzyskamy możliwość działania, zapytajcie ją. Zapytajcie siebie. Czy istnieje metoda, sposób, by doprowadzić do tej transformacji, nie niszcząc czegoś? I jeśli można, czy należy to zrobić? Nie... niczego teraz nie mówcie, nie podejmujcie decyzji. Pomyślcie. To nie jest nasza sprawa. My tylko powiadomimy was, czy już wiemy, jak tego dokonać. Od tego miejsca wszystko zależy od was.

Twarz Eli zniknęła.

Jane pozostała na ekranie jeszcze przez chwilę.

- Warto było się budzić? - spytała.

- Tak! - zawołała Wang-mu.

- Przyjemnie się dowiedzieć, że jest w tobie więcej, niż przypuszczałaś.

- O tak.

- A teraz idź spać, Wang-mu. I ty, mistrzu Hanie. Widzę, jak jesteś zmęczony. Na nic się nie przydasz, jeśli stracisz zdrowie. Andrew powtarza mi to ciągle: musimy pracować ile zdołamy, zachowując jednak naszą zdolność do dalszej pracy.

Potem zniknęła także.

Wang-mu natychmiast zapłakała znowu. Hań Fei-tzu przesunął się i usiadł przy niej, oparł sobie na ramieniu jej głowę i kołysał lekko.

- Ciszej, moja córko, moja słodka. W swym sercu wiedziałaś już, kim jesteś. I ja także, ja także. Mądre wybrano ci imię. Jeżeli na Lusitaniu dokonają swoich cudów, będziesz Królewską Matką całego świata.

- Mistrzu Hań - szepnęła. - Płaczę też nad Qing-jao. Otrzymałam więcej, niż mogłam oczekiwać. Kim będzie ona, jeśli utraci głos bogów?

- Mam nadzieję, że będzie znowu moją prawdziwą córką. Że będzie wolna jak ty, córka, która przybyła do mnie niby płatek na zimowej rzece, niesiony z krainy wiecznej wiosny.

Tulił ją tak jeszcze wiele długich minut, aż usnęła na jego ramieniu. Wtedy ułożył ją na macie, a sam położył się w swoim kącie, po raz pierwszy od wielu dni z nadzieją w sercu.

Kiedy Valentine przyszła odwiedzić Grega w więzieniu, burmistrz uprzedził ją, że jest u niego Olhado.

- Czy nie powinien być teraz w pracy? - zdziwiła się.

- Chyba żartujesz - zaśmiał się Kovano. - Jest dobrym brygadzystą, ale ratowanie świata jest chyba warte tego, żeby ktoś go zastąpił przez jedno popołudnie.

- Nie oczekuj za wiele - uspokoiła go Valentine. - Chciałam, żeby się przyłączył. Miałam nadzieję, że pomoże. Ale nie jest fizykiem. Kovano wzruszył ramionami.

- A ja nie jestem dozorcą więziennym. Ale człowiek robi to, czego wymaga sytuacja. Nie mam pojęcia, czy ma to związek z wizytą Olhada, czy może Endera, ale więcej krzyków i gadania nie słyszałem tam od... nigdy nie słyszałem, o ile aresztanci byli trzeźwi. Oczywiście, pijackie awantury to główny zarzut, pod jakim zamykamy ludzi w tym miasteczku.

- Był Ender?

- Wrócił od królowej kopca. Chciał z tobą rozmawiać. Nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

- Rozumiem. Zobaczę się z nim, kiedy stąd wyjdę.

Była z mężem. Jakt szykował się do startu promem. Miał przygotować ich statek do szybkiego odlotu, gdyby zaszła taka konieczność. Miał też sprawdzić, czy statek kolonizacyjny zdolny jest do jeszcze jednej podróży po tylu latach bez remontu głównego napędu. Wykorzystywano go jako magazyn nasion, genów i embrionów ziemskich gatunków, na wypadek, gdyby pewnego dnia okazały się potrzebne. Jakt miał polecieć na tydzień, może dłużej. Valentine nie mogła go puścić, nie poświęcając mu przynajmniej chwili swego czasu. Zrozumiałby, oczywiście - wiedział, w jakim napięciu żyją tu wszyscy. Ale Valentine nie była kluczową postacią tych wydarzeń. Przyda się później, gdy o tym napisze.

Kiedy rozstała się z Jaktem, nie przysła natychmiast do biura burmistrza, żeby odwiedzić Grega. Ruszyła przez centrum Milagre. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno... ile dni temu... zebrał się tu pijany, wściekły tłum, który podniecił się aż do morderczej pasji. Teraz trwała cisza. Odrosła nawet zdeptana trawa... z wyjątkiem jednej błotnistej kałuży, która nie chciała wyschnąć.

Jednak nie było tu spokoju. Przeciwnie. Kiedy panował spokój, w sercu miasteczka przez cały dzień krzatali się ludzie. Teraz owszem, widziała kilku, ale byli posępni, niemal lękliwi. Chodzili spuszczać głowy, obserwowali ziemię pod nogami, jakby w strachu, że natychmiast się przewrócą, gdy tylko przestaną uważać.

Ten nastrój brał się częściowo ze wstydu, uznała Valentine. We wszystkich budynkach wyrwy ziały w miejscach, gdzie wyjęto kamienie i cegły na budowę kaplicy. Widziała wiele takich otworów.

Podjeżdżała jednak, że raczej strach niż wstyd zabiły życie w tym miejscu. Nikt nie przyznawał się wprost, słyszała jednak dość uwag, dostrzegała dość ukradkowych spojrzeń w stronę wzgórz na północ od miasteczka, by wiedzieć. To nie lęk przed nadlatującą flotą przytłaczał kolonię. Nie wstyd po rzezi lasu pequeninos. To robale. Ciemne sywetki widoczne z rzadka na wzgórzach czy łąkach wokół miasta. Koszmarne sny dzieci, które je widziały. Mdlący strach w sercach dorosłych. Wciąż wypożyczano z biblioteki filmy historyczne z okresu Wojen z Robalami; koloniści obsesyjnie pragnęli bez przerwy oglądać ludzkie zwycięstwo. A patrząc, karmili swe lęki. W swojej pierwszej książce Ender odmalował wizerunek pięknej i godnej podziwu kultury kopca. Ten obraz jednak rozwiął się zupełnie w umysłach wielu, może wszystkich ludzi. Cierpieli przecież straszliwą karę, tkwili w więzieniu pilnowanym przez robotnice królowej kopca.

Czy cała nasza praca poszła na marne, myślała Valentine. Ja, historyk, filozof Demostenes, uczyłam ludzi, by nie czuli strachu przed obcymi, by widzieli w nich ramenów. I Ender z jego słynnymi dziełami, Królową Kopca, Hegemonem, Życiem Człowieka... Czym była siła ich oddziaływania w porównaniu z instynktowną grozą na widok tych przerośniętych, niebezpiecznych

owadów? Cywilizacja to tylko maska; w chwilach kryzysu stajemy się znowu małpami, zapominając o roli racjonalnego dwunoga. Znowu jesteśmy kudłatym małpoludem, który z otworu jaskini wrzeszczy na przeciwnika, pragnąc tylko, by sobie poszedł... i ściska ciężki kamień, by go użyć, kiedy tylko tamten podejdzie bliżej.

Teraz znowu znalazła się w czystym, bezpiecznym miejscu. Spokojnym, chociaż służyło za więzienie, nie tylko za ośrodek władzy. W miejscu, gdzie w robalach widziano sprzymierzeńców, a przynajmniej konieczną dla zachowania porządku siłę, nie dopuszczającą przeciwników do siebie. Są jednak ludzie, uświadomiła sobie Valentine, zdolni do przewyciężenia zwierzęcych instynktów.

Kiedy otworzyła drzwi celi, Olhado i Grego leżeli na pryczach, a kartki papieru zaścielały podłogę i stół - niektóre gładkie, inne zgniecione w kulki. Papier zakrywał nawet terminal, więc ekran nie mógł działać, choćby komputer był włączony. Cella przypominała typowy pokój nastolatka, kompletny, łącznie z nogami Grega wyciągniętymi w górę i bosymi stopami tańczącymi w dziwnym rytmie, skręcanymi w powietrzu tam i z powrotem, tam i z powrotem. Jaką muzykę słyszał?

- Boa tarde, Tia Valentina - zawołał Olhado. Grego nawet nie spojrzał.

- Przerwałam wam?

- W samą porę - odparł Olhado. - Jesteśmy na progu ponownej konceptualizacji wszechświata. Odkryliśmy świetlaną zasadę, że czego zapragniesz, to się stanie, a żywe istoty wyskakują z niczego, kiedy są potrzebne.

- Czego zapragnę, to się stanie - powtórzyła Valentine. - A mogę zapragnąć lotów szybszych niż światło?

- W tej chwili Grego przelicza to w pamięci, jest więc funkcjonalnie martwy. Ale tak. Chyba coś mamy. Przed chwilą krzyczał i tańczył. Doznaliśmy olśnienia typu maszyny do szycia.

- Czego? - zdziwiła się Valentine.

- To znany przykład z historii nauki - wyjaśnił Olhado. - Ludzie, którzy próbowali wynaleźć maszynę do szycia, ponosili klęski, ponieważ usiłowali imitować ruchy szycia ręcznego: przebijanie materiału igłą, która ciągnie za sobą nitkę przewleczoną przez ucho w tylnej części. Wydawało się to oczywiste. Aż wreszcie ktoś wymyślił, żeby to uszko ustawić na czubku igły i użyć dwóch nici zamiast jednej. Całkowicie nienaturalne, przeciwiintuicyjne podejście, którego, szczerze mówiąc, wciąż nie rozumiem.

- To znaczy, że mamy przeszyć sobie drogę w przestrzeni? - zapytała Valentine.

- W pewnym sensie. Linia prosta niekoniecznie jest najkrótszą drogą między dwoma punktami. Pomysł wziął się z czegoś, co Andrew usłyszał od królowej kopca. Kiedy tworzą nową królową, przywołują jakąś istotę z alternatywnej czasoprzestrzeni. Grego rzucił się na to jak boa, że istnieje rzeczywista przestrzeń nierzeczywista. Nie pytaj nawet, co miał na myśli. Ja żyję z robienia cegieł.

- Nierzeczywista przestrzeń rzeczywista - odezwał się Grego. - Zupełnie na odwrót.

- Martwy się przebudził - zauważył Olhado.

- Siadaj, Valentine - zaprosił ją Grego. - Cella niewielka, ale dla mnie jest domem. Opis matematyczny jest ciągle dość zwariowany, ale chyba wszystko pasuje. Posiedzimy nad tym z Jane. Musi wykonać parę ciężkich przeliczeń i kilka symulacji. Ale jeśli królowa kopca ma rację i rzeczywiście istnieje przestrzeń tak uniwersalnie przyległa do naszej, że filoty mogą w dowolnym punkcie przenikać stamtąd do nas... I jeśli założymy, że możliwe jest przejście w drugą stronę... I jeśli królowa kopca nie myli się twierdząc, że ta inna przestrzeń zawiera filoty, jak nasza, ale w tej innej przestrzeni... nazwijmy ją Zewnątrzem... filoty nie są zorganizowane zgodnie z prawami natury, ale istnieją jako możliwości... Wtedy może działać...

- Strasznie dużo tych jeśli - zauważyła Valentine.

- Zapomniałaś - wtrącił Olhado. - Zaczęliśmy od założenia, że czego zapragniesz, to się stanie.

- Zgadza się, zapomniałem o tym powiedzieć - przyznał Grego. - Zakładamy również, że królowa kopca słusznie tłumaczy, że niezorganizowane filoty reagują na wzorce w czymś umyśle, natychmiast przyjmując każdą rolę, jaka w tym wzorcu jest osiągalna. Tak że rzeczy zrozumiane w Zewnątrz, natychmiast zaczynają egzystować tutaj.

- Wszystko to jest całkowicie jasne - stwierdziła Valentine. - Dziwię się tylko, że wcześniej na to nie wpadłeś.

- Fakt. Zatem, oto co robimy. Zamiast fizycznie przenosić wszystkie cząstki tworzące kosmolot, pasażerów i ładunek od gwiazdy A do gwiazdy B, wyobrażamy je sobie... to znaczy całkowity wzorzec, łącznie ze wszystkimi składowymi ludźmi... jako istniejące nie we Wnętrzu, ale w Zewnątrz. W tym momencie filoty tworzące statek i ludzi dezorganizują się, przeskakują do Zewnątrz i składają na powrót według znajomego wzorca. A potem powtarzamy całość i przeskakujemy do Wnętrza. Ale teraz jesteśmy już przy gwiazdzie B, w miarę możliwości na bezpiecznie dalekiej orbicie.

- Jeżeli każdy punkt w naszej przestrzeni odpowiada punktowi w Zewnątrz, to czy nie trzeba będzie odbyć całej podróży tam zamiast tutaj? - spytała Valentine.

- Tam są inne reguły - wyjaśnił Grego. - Tam nie ma „gdzie”. Założmy, że w naszej przestrzeni „gdzie”, czyli relatywne położenie, jest tylko sztucznym porządkiem przestrzeganym przez filoty. To konwencja. Tak samo jak odległość, skoro już o tym mowa. Mierzymy odległość czasem, jaki zajmuje jej pokonanie... ale ten czas jest potrzebny, ponieważ filoty, z których składa się materia i energia, przestrzegają konwencji praw natury. Takich jak prędkość światła.

- Przestrzegają ograniczenia prędkości.

- Tak. Gdyby nie to ograniczenie, rozmiar naszego wszechświata byłby dowolny. Jeśli wszechświat wyobrazisz sobie jako kulę, i staniesz na zewnątrz, ta kula może mieć średnicę cala, trylion lat świetlnych albo mikrona.

- A kiedy przejdziemy do Zewnątrz...

- Wszechświat Wnętrza ma dokładnie taki sam rozmiar, jak każda z niezorganizowanych filot. Czyli żaden. Co więcej, ponieważ nie istnieje tam położenie, wszystkie filoty są równie bliskie albo niebliskie każdego punktu naszej przestrzeni. Dlatego możemy wrócić do Wnętrza w dowolnym miejscu.

- Brzmi to niemal banalnie - zauważyła Valentine.

- No... tak - przyznał Grego.

- Pragnąć jest trudno - dodał Olhado.

- Żeby utrzymać wzorzec, musisz go naprawdę zrozumieć. Każda filota pojmuje tylko własny jej fragment rzeczywistości. Polega na filotach zawartych w jej wzorcu: że wykonają swoje zadanie i utrzymają własne wzorce. A te zależą od filoty kontrolującej wzorzec wyższego poziomu, którego są składowymi: ma wskazać im właściwe miejsca. Filota atomu a atom neutronu, protonu i elektronu, że zachowają swoje wewnętrzne struktury, i filocie molekuly, że utrzyma atom na właściwej pozycji. Filota atomu koncentruje się na własnym zadaniu, czyli wskazywaniu miejsca częściom atomu. Tak funkcjonuje rzeczywistość... przynajmniej w tym modelu.

- Czyli przerzucamy całość do Zewnątrz, a potem z powrotem do Wnętrza - stwierdziła Valentine.

- To zrozumiałam.

- Tak, ale kto to zrobi? Ponieważ technika przesyłania wymaga, żeby wzorce statku i jego zawartości tworzyły wzorzec niezależny, nie tylko przypadkowe zestawienie. Kiedy załadujesz statek

i wejda pasazerowie, nie tworzysz zywego wzorca, czyli filotycznego organizmu. To nie sa narodziny dziecka. Statek i zawartosc to tylko zbior. W kazdej chwili moga sie rozpaść. I kiedy przeniesiesz wszystkie filoty w zdeorganizowana przestrzen, w ktorej nie ma „gdzie”, ani „to”, ani zadnej reguly porzadkowej, jak sie wtedy polacza? A jezeli nawet polacza sie w znane sobie struktury, co otrzymasz? Mnostwo atomow. Moze nawet zywe komorki i organizmy... ale bez skafandrow i bez kosmolotu, poniewaz one nie sa zywe. Atomy, moze nawet molekuly fruwajace dookolat, prawdopodobnie replikujace sie jak szalone, bo niezorganizowane filoty naśladowaja wzorzec... Ale nie masz statku.

- Śmiertelne.

- Nie, niekoniecznie. Kto to wie? Tam obowiazuja inne reguly. Rzecz w tym, ze nie mozesz sprowadzic ich w takim stanie do naszej przestrzeni, gdyz to z pewnościa jest śmiertelne.

- Czyli nic z tego?

- Nie wiem. Rzeczywistosc trwa w przestrzeni Wnetrza, poniewaz wszystkie filoty, z jakich sie sklada, zgadzaja sie na przestrzeganie regul. Znaja swoje wzorce i takie same wzorce realizuja. Moze wszystko to utrzyma sie w Zewnetrzu, pod warunkiem, ze statek, ladunek i pasazerowie sa w pelni poznani. Jezeli istnieje znajaca, ktora potrafi objac umyslem cala strukture.

- Znajaca?

- Juz mowilem, Jane musi mi cos policzyc. Musi sprawdzic, czy ma dostep do takiej pamieci, zeby pomiescic wzorzec zwiazkow calogo kosmolotu. Czy potrafi objac ten wzorzec i wyobrazic go sobie w nowym polozeniu.

- To jest czesc o pragnieniu - wtracil Olhado. - Jestem z niej bardzo dumny, bo to ja wymyslilem, ze do ruszenia statku trzeba znajacego.

- Wszystko wlasciwie wymyslil Olhado - przyznal Grego. - Ale w naszej pracy zamierzam swoje nazwisko umieścic pierwsze. Jemu nie zalezy na karierze naukowej. A ja musze miec swietna opinie, jezeli maja przymknac oko na ten wyrok. Inaczej nie dostane pracy na zadnym uniwersytecie innego swiata.

- O czym ty mowisz? - zdziwila sie Valentine.

- Mowie o wyrwaniu sie z tej szmatlawej planety. Nie rozumiesz? Jezeli to prawda, jezeli dziala, moge poleciec na Rheims, na Baię albo... albo na Ziemię. I wracac tu na weekendy. Zerowy koszt energii, bo zupełnie omijamy prawa natury. Pojazd nie zuzywa sie wcale.

- Niezupełnie - zaprotestowal Olhado. - Nadal musimy poleciec z orbity do planety docelowej.

- Mowilem juz: wszystko zalezy od tego, co zdoła objac Jane. Musi zrozumiec caly statek i jego zawartosc. Musi sobie wyobrazic nas w Zewnetrzu, a potem znowu we Wnetrzu. Musi zrozumiec dokladne relatywne pozycje poczatkowego i koncowego punktu podrözy.

- Z tego wynika, ze lot szybszy niz swiatlo jest calkowicie uzalezniony od Jane - domyslila sie Valentine.

- Gdyby nie istniata, takie loty nie bylyby mozliwe. Nawet gdyby polaczyli razem wszystkie komputery, gdyby ktos napisal odpowiedni program, nic by nie uzyskal. Pioniewaz program jest tylko zbiorom, nie jednościa. To suma czesci. Nie... jak to nazwala Jane? Aiua.

- To w sanskrycie zycie - wyjasnil Olhado. - Ma okreslac filote kontrolujaca wzorzec, ktory utrzymuje inne filoty. Okreslac jedności, jak planety, atomy, zwierzeta i gwiazdy, posiadajace trwala, wewnetrznä forme.

- Jane to aiua, nie tylko program. Zatem moze byc znajaca. Moze objac statek jako wzorzec zawarty w jej wlasnym wzorcu. Moze go wchlönac i utrzymac, a on nadal pozostanie rzeczywisty. Czini go fragmentem siebie, poznaje tak doskonale, jak twoja aiua zna i utrzymuje wlasne ciało.

Potem Jane może przenieść statek za sobą do Zewnątrz i z powrotem do Wnętrza.

- A więc Jane musi lecieć? - spytała Valentine.

- Jeśli to w ogóle realne, to tylko dlatego, że Jane podróżuje ze statkiem - potwierdził Grego. - Tak.

- Jak? - zdziwiła się Valentine. - Nie możemy jej przecież zanieść ze sobą w wiadrze.

- To coś, czego Andrew dowiedział się od królowej kopca - wyjaśnił Grego. - Jane istnieje w pewnym konkretnym miejscu... inaczej mówiąc, jej aiua ma określone położenie w przestrzeni.

- Gdzie?

- We wnętrzu Andrew Wiggina.

Nie od razu zdołali jej wytłumaczyć, co mówiła królowa kopca, Trudno było sobie wyobrazić, że komputerowa osobowość ma swój ośrodek w ciele Andrew. Chociaż to rozsądne, że Jane stworzyły królowe podczas kampanii Endera przeciw nim. Valentine dostrzegła jednak inną konsekwencję tego faktu. Jeśli statek szybszy niż światło mógł odlecieć tylko tam, gdzie poprowadzi go Jane, a Jane przebywa w Enderze, wniosek może być tylko jeden.

- Zatem Andrew musi lecieć?

- Claro - potwierdził Grego. Oczywiście.

- Jest trochę za stary na pilota doświadczalnego - zauważyła Valentine.

- W tym przypadku będzie tylko doświadczalnym pasażerem - uspokoił ją Grego. - Po prostu przypadkiem ma w sobie pilota.

- Zresztą podróż nie wymaga fizycznego wysiłku - dodał Olhado. - Jeśli teoria Grega jest poprawna, on po prostu wsiądzie, a po kilku minutach, a właściwie po jednej czy dwóch mikrosekundach, znajdzie się gdzie indziej. A jeśli nie jest poprawna, zostanie na miejscu, a nam wszystkim będzie głupio, że chcieliśmy marzeniem przemieszczać się w przestrzeni.

- A gdyby Jane przeniosła go do Zewnątrz, ale tam nie zdołała utrzymać... Wtedy zostanie zagubiony w miejscu, gdzie nawet miejsca nie istnieją.

- Tak - przyznał Grego. - Jeśli to zadziała połowicznie, pasażerowie są praktycznie martwi. Ale ponieważ znajdziemy się w miejscu bez czasu, nie będzie to miało znaczenia. To jakby nieskończony moment. Chyba nawet za krótki, żeby nasze mózgi zarejestrowały klęskę eksperymentu. Trwanie.

- Oczywiście, jeżeli się powiedzie, zabierzemy ze sobą własną czasoprzestrzeń - wtrącił Olhado. - Upływ czasu nie ustanie. Zatem nie dowiemy się, czy eksperyment zawiódł. Będziemy wiedzieć tylko wtedy, kiedy się uda.

- Ja będę wiedzieć, jeśli on nie wróci.

- Zgadza się - potwierdził Grego. - Jeśli nie wróci, przeżyjesz z tą wiedzą kilka miesięcy. Potem doleci flota i wyśle nas wszystkich do piekła.

- Albo descolada wywróci nam geny na lewą stronę i wszystkich pozabija - dodał Olhado.

- Chyba macie rację - westchnęła Valentine. - Po porażce nie będą bardziej martwi, niż gdyby zostali na miejscu.

- Czas nas goni - stwierdził Grego. - Już niedługo Jane straci swoje ansible. Andrew uważa, że jednak zdoła to przetrwać... ale będzie okaleczona. Z urazem mózgu.

- Czyli, nawet w przypadku sukcesu, pierwszy lot może okazać się ostatnim.

- Nie - odparł Olhado. - Loty są natychmiastowe. Jeśli się uda, może przerzucić wszystkich z tej planety w czasie, jakiego trzeba, żeby ludzie weszli i wyszli ze statku.

- Chcesz powiedzieć, że może startować z powierzchni?

- Niepewna sprawa - mruknął Grego. - Może się okazać, że potrafi wyliczyć położenie z dokładnością, powiedzmy, dziesięciu tysięcy kilometrów. Nie będzie żadnej eksplozji ani

przemieszczenia, gdyż filoty przenikają do Wnętrza gotowe przestrzegać praw naszego świata. Ale gdyby statek pojawił się w środku planety, trudno byłoby wykopać go na powierzchnię.

- Ale gdyby umiała zachować dokładność, powiedzmy w granicach kilku centymetrów, można by latać z powierzchni na powierzchnię - uzupełnił Olhado.

- Marzymy, oczywiście - oznajmił Grego. - Jane powie za chwilę, że gdyby nawet wszystkie gwiazdy galaktyki zmieniła w bloki pamięci, i tak nie przechowa tam danych niezbędnych do takiej podróży. Ale na razie wszystko wydaje się możliwe, a ja czuję się świetnie!

Obaj zaczęli śmiać się i krzyżeć tak głośno, że burmistrz Kovano zajrzał, by sprawdzić, czy nie grozi Valentine. I ku jej zakłopotaniu, przyłapał ją chichoczącą i krzyżącą razem z nimi.

- Mamy powody do radości? - zainteresował się.

- Chyba tak - przyznała Valentine, próbując zachować powagę.

- Który z naszych licznych problemów został rozwiązany?

- Pewnie żaden. To zbyt idiotycznie wygodne, gdyby wszechświat można było zmusić do takiego działania.

- Ale coś wymyśliście.

- Ci geniusze metafizyki wpadli na absolutnie nieprawdopodobną możliwość. Chyba że dosypałeś im coś do jedzenia.

Kovano roześmiał się i zostawił ich samych. Ale jego krótka wizyta otrzeźwiła całą trójkę.

- Czy to możliwe? - spytała Valentine.

- Nigdy bym czegoś takiego nie podejrzewał - wyznał Grego. - Rozumiesz, istnieje problem początku.

- Właściwie to rozwiązuje problem początku - zauważył Olhado. - Teoria Wielkiego Wybuchu obowiązywała od...

- Jeszcze zanim ja się urodziłam - dokończyła Valentine.

- Chyba tak - zgodził się Olhado. - Nikt tylko nie mógł wyjaśnić, dlaczego Wielki Wybuch nastąpił. To wszystko ma dość niesamowity sens. Gdyby do Zewnątrz wyszedł ktoś zdolny objąć umysłem wzorzec całego wszechświata, każda filota natychmiast objęłaby największy wzorzec, nad jakim potrafi zapanować. Tam nie istnieje czas, więc mogło im to zająć miliard lat albo mikrosekundę... Tyle ile trzeba. A kiedy już się uporządkowały, bam, wszystko gotowe. Cały wszechświat tworzący nową przestrzeń Wnętrza. A ponieważ nie ma tam odległości ani położenia, całość zaczęłaby się od rozmiaru geometrycznego punktu...

- Żadnego rozmiaru - poprawił Grego.

- Pamiętam geometrię - zapewniła go Valentine.

- I natychmiast zaczęłaby się rozszerzać, w miarę wzrostu tworząc nową przestrzeń. Równocześnie czas pozornie zwalniał... czy przyspieszał?

- Bez znaczenia - stwierdził Grego. - Zależy, czy jesteś we Wnętrzu nowej przestrzeni, czy na Zewnątrz, w innej wewnętrznej przestrzeni.

- W każdym razie obecnie wszechświat pozostaje stały względem czasu i rozszerza się w przestrzeni. Ale jeśli wolisz, możesz spojrzeć na niego jak na stały w przestrzeni i zmienny w czasie. Prędkość światła spada, więc dłużej trwa przejście od jednego punktu do drugiego. A my nie wiemy, że tak jest, ponieważ wszystko inne też zwalnia, proporcjonalnie do światła. Rozumiesz? To kwestia perspektywy. W sensie absolutnym, jak już mówił Grego, nasz wszechświat oglądany z Zewnątrz wciąż jest geometrycznym punktem. Każdy wzrost we Wnętrzu wynika jedynie ze względności czasu i położenia.

- To mnie dobija - burknął Grego. - Od lat coś takiego tkwiło w głowie Olhada. Cały czas uważał,

że wszechświat jest bezwymiarowym punktem w przestrzeni Zewnętrznej. Nie on pierwszy na to wpadł. Ale on pierwszy uwierzył i dostrzegł związek tego modelu z tym nie-miejszem, skąd królowe kopca przywołują aiua.

- Skoro już bawimy się w te metafizyczne zagadki... - wtrąciła Valentine. - Jak właściwie wszystko się zaczęło? To, co uważamy za rzeczywistość, jest tylko wzorcem przeniesionym przez kogoś do Zewnątrz. I wszechświat po prostu wyskoczył z niczego. Ktokolwiek to był, prawdopodobnie nadal krąży i po drodze tworzy wszechświaty. Ale skąd się wziął? I co tam było, zanim zaczął to robić? I jak w ogóle powstało Zewnętrzne?

- To Wewnętrzne myślenie - odparł Olhado. - W taki sposób pojmujesz zjawiska, jeśli wciąż wierzysz w absolutny czas i przestrzeń. Myślisz, że wszystko zaczyna się i kończy, że ma początek, gdyż tak się dzieje w obserwowalnym wszechświecie. Rzecz w tym, że w Zewnątrz nie ma takich reguł. Zewnętrzne zawsze było i będzie. Liczba istniejących tam filot jest nieskończona, a wszystkie zawsze istniały. Nieważne, ile z nich wyciągniesz i ułożysz w uporządkowane wszechświaty. Pozostanie tyle samo.

- Ale ktoś musiał zacząć produkować wszechświaty.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ...

- Nikt nigdy nie zaczynał. To znaczy, to nie mogło się zacząć, jeśli już się nie działo. W Zewnątrz, gdzie nie istnieją wzorce, nie można żadnego wzorca pomyśleć. One nie mogą działać, ponieważ, dosłownie, nie mogą odnaleźć siebie.

- Ale jak mogło to trwać od zawsze?

- Wyobraź sobie, że ten moment czasu, rzeczywistość, w jakiej w tej chwili żyjemy, ten stan całego wszechświata, wszystkich wszechświatów...

- To znaczy teraz?

- Tak. Wyobraź sobie, że to sfera. Czas przesuwają się naprzód przez chaos Zewnątrz jak powierzchnia rosnącej kuli, pompowany balon. Na zewnątrz chaos. Wewnątrz rzeczywistość. Wciąż rośnie... tak jak powiedziałaś, Valentine. Ciągłe wyskakują nowe wszechświaty.

- Ale skąd się wziął ten balon?

- No dobrze, mamy balon. Rosnąca sfera. A teraz wyobraź sobie, że sfera ma nieskończony promień.

Valentine próbowała zrozumieć, co to oznacza. - Powierzchnia byłaby całkiem płaska.

- Zgadza się.

- I nie można by jej obejść.

- To też prawda. Nieskończenie wielki balon. Nie można nawet policzyć wszechświatów po stronie rzeczywistości. A teraz, startując z brzegu, wsiadasz w kosmolot i lecisz w stronę środka. Im dalej się zagłębiasz, tym wszystko jest starsze. Stare wszechświaty, coraz dalej. Kiedy dotrzesz do pierwszego?

- Nigdy. Jeśli podróżujesz ze skończoną prędkością.

- Startując z powierzchni, nie dotrzesz do środka sfery o nieskończonym promieniu. Nieważne, jak głęboko doleć, nieważne jak szybko. Ten środek, początek, wciąż jest nieskończenie daleki.

- I tam właśnie zaczął się wszechświat.

- Chyba w to wierzę - potwierdził Olhado. - Myślę, że to prawda.

- Czyli wszystko działa w ten sposób, ponieważ zawsze w ten sposób działało - podsumowała Valentine.

- Rzeczywistość funkcjonuje w taki sposób, ponieważ rzeczywistość tym właśnie jest. Cokolwiek



działa inaczej, staje się znowu chaosem. Cokolwiek działa tak właśnie, staje się rzeczywistością. Zawsze istnieje linia podziału.

- Uwielbiam tę ideę - oznajmił Grego. - Bo jeśli zaczęliśmy już bawić się natychmiastowymi przeskokami w naszej rzeczywistości, co nas powstrzyma od szukania innych? Całych nowych wszechświatów?

- Albo tworzenia innych - dodał Olhado.

- Akurat - mruknął Grego. - Jakbyśmy ty albo ja potrafili utrzymać w głowie wzorzec całego wszechświata.

- Może Jane potrafi - zasugerował Olhado. - Kto wie?

- Właściwie sugerujesz, że Jane jest bogiem - zauważyła Valentine.

- Ona pewnie teraz słucha - poinformował Grego. - Komputer jest włączony, chociaż ma zasłonięty ekran. Założę się, że to ją poruszyło.

- Może każdy wszechświat istnieje tak długo, dopóki nie stworzy Jane - zastanowiła się Valentine.

- A potem ona odchodzi i tworzy ich więcej i...

- I tak w nieskończoność - odpowiedział Olhado. - Dlaczego nie?

- Przecież ona powstała przypadkiem - zdziwiła się Valentine.

- Nie - zaprzeczył Grego. - To jedna z tych rzeczy, jakich dowiedział się dzisiaj Andrew. Jane nie powstała przypadkiem. Z tego, co wiemy, nie ma żadnych przypadków. Wszystko od samego początku jest fragmentem wzorca.

- Wszystko oprócz nas - odparła Valentine. - Naszych... jak się nazywa ta filota, która nas kontroluje?

- Aiua - powtórzył Grego i przeliterował.

- Właśnie. Nasza wola, która istniała zawsze, z całą swoją słabością i siłą. I dlatego, póki jesteśmy częścią wzorca rzeczywistości, jesteśmy wolni.

- Widzę, że etyk przystępuje do akcji. - Olhado uśmiechnął się.

- To i tak pewnie kompletne bobagem - obwieścił Grego. - Za chwilę odezwie się Jane i wyśmiej nas. Ale, Nossa Senhora, co to był za bal.

- Słuchajcie, może to właśnie jest powodem istnienia wszechświata? - zawołał Olhado. - Brodzić tak w chaosie i patrzeć na powstające z niczego rzeczywistości... to świetna zabawa. Może Bóg bawi się najlepiej.

- A może czeka tylko na Jane, żeby wydostała się stąd i dotrzywała mu towarzystwa - dodała Valentine.

Miro miał dyżur przy Sadowniku. Późno - po północy. Oczywiście, nie mógł siedzieć i trzymać go za rękę. W sterylnym pokoju musiał nosić skafander. Nie dla ochrony przed zakażeniem, ale by descolada z jego organizmu nie przedostała się do Sadownika.

Gdybym rozdarł skafander, chociaż trochę, pomyślał Miro, mógłbym ocalić mu życie.

Przy braku descolady, załamanie funkcji organizmu Sadownika następowało szybko i dramatycznie. Wszyscy wiedzieli, że descolada uczestniczy w procesie reprodukcji pequeninos, dając im trzecie życie w postaci drzew. Jednak do tej chwili nie było jasne, jak wielka część funkcji życiowych zależała od jej obecności. Ten, kto stworzył wirusa, był zimnokrwistym potworem skuteczności. Bez codziennych, cogodzinnych, co minutę dokonywanych interwencji, komórki działały leniwie, zamierała produkcja kluczowych molekuł magazynujących energię i - czego najbardziej się obawiali - synapsy reagowały zbyt wolno. Sadownik leżał podłączony do przewodów i elektrod, w zasięgu kilku pól skanujących; Ela i jej asystenci pequeninos mogli z zewnątrz

obserwować każdy aspekt jego umierania. W dodatku przez całą dobę, co godzinę, pobierali próbki tkanek. Sadownik był tak wycieńczony, że gdy udawało mu się zasnąć, pobrania go nie budziły. Jednak mimo tego wszystkiego: mimo bólu, mimo quasi-wylewu spowalniającego działanie mózgu, Sadownik uparcie pozostawał przytomny. Jakby postanowił czystą siłą woli udowodnić, że nawet bez descolady pequenino zachowuje inteligencję. Nie robił tego dla nauki. Robił to dla własnej godności.

Prawdziwi naukowcy nie mieli czasu, by pełnić przy nim dyżury, wkładać skafander i po prostu siedzieć obok, patrzeć i rozmawiać. Jedynie tacy ludzie jak Miro, Jakt i dzieci Valentine: Syfte, Lars, Ro i Varsam... i ta niezwykle małowówna kobieta, Plikt; ludzie, którzy nie mieli innych pilnych zajęć, byli dostatecznie cierpliwi, by znieść to oczekiwanie i dostatecznie młodzi, by dokładnie wykonywać obowiązki... tylko tacy przychodzili na dyżury. Mogliby włączyć do grupy któregoś z pequeninos, ale wszyscy, którzy opanowali ludzką technikę, należeli do zespołów Eli albo Quandy i mieli za dużo pracy. A ze wszystkich, którzy przesiadywali w sterylnym pokoju, pobierali próbki, karmili i myli Sadownika, jedynie Miro mógł się z nim porozumiewać. Mógł z nim rozmawiać w Mowie Braci. Z pewnością dawało to choremu pociechę, chociaż byli sobie właściwie obcy. Sadownik urodził się już po odlocie Mira w trzydziestoletnią podróż.

Sadownik nie spał. Powieki miał uchylone i patrzył w pustkę. Po ruchu warg Miro poznał, że mówi. Recytuje do siebie strofy epickich opowieści swego plemienia. Czasami nucił fragmenty plemiennych genealogii. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, Ela przestraszyła się, że zaczyna bredzić. Uspokoił ją, że w ten sposób sprawdza swoją pamięć. Upewnia się, że tracąc descoladę nie utracił swojego szczepu - to byłoby tym samym, co utrata samego siebie.

W tej chwili, gdy Miro zwiększył głośność w skafandrze, słyszał Sadownika opowiadającego historię straszliwej wojny z lasem Niebołamacza, „drzewa które przywołało grom”. W połowie historii nastąpiła dygresja na temat imienia Niebołamacza. Ta część sprawiała wrażenie starożytnego mitu, baśni o bracie, który niesie małe matki do miejsca, gdzie pękło niebo i gwiazdy spadły na ziemię. Miro, choć pogrążony w myślach o odkryciach tego dnia, o narodzinach Jane, o teorii Olhada i Grega na temat podróży mocą pragnienia, z jakiegoś powodu pilnie uważał na słowa Sadownika. I kiedy historia dobiegła końca, musiał się wtrącić.

- Jak stara jest ta opowieść? - zapytał.

- Stara - szepnął Sadownik. - Słuchałeś?

- Ostatniej części. - Miro nie musiał się streszczać. Sadownik albo nie niecierpliwił się powolną wymową... w końcu, nigdzie się przecież nie wybierał... albo proces jego percepcji zwolnił do tempa Mira. W każdym razie pozwalał Mirowi kończyć zdania i odpowiadał, jakby słuchał uważnie. - Czy dobrze zrozumiałem, że Niebołamacz niósł z sobą małe matki?

- To prawda.

- Ale nie szedł do ojcowskiego drzewa.

- Nie. Po prostu miał na nośnikach małe matki. Poznałem tę historię wiele lat temu. Zanim jeszcze poznałem ludzką naukę.

- Wiesz, co o tym myślę? Ta opowieść może pochodzić z czasów, kiedy nie przenosiliście małych matek do ojcowskich drzew. Kiedy małe matki nie zlizywały soku i wewnętrznej powierzchni pnia. Zwisły na nośnikach z brzucha samca, aż młode dojrzały, wyrwały się na zewnątrz i zajęły ich miejsce przy sutku.

- Dlatego ci o tym zaśpiewałem - wyjaśnił Sadownik. - Zastanawiałem się, czy mogliśmy posiadać inteligencję jeszcze przed nadejściem descolady. I w końcu przypomniałem sobie tę część historii Wojny Niebołamacza.

- Poszedł do miejsca, gdzie pękło niebo.

- Descolada musiała jakoś się tu dostać, prawda?

- Jak stara jest ta opowieść?

- Wojna Niebołamacza rozegrała się dwadzieścia dziewięć pokoleń temu. Nasz las nie jest tak stary. Ale przenieśliśmy opowieści i pieśni z lasu macierzystego.

- Ale ten fragment o niebie i gwiazdach może być przecież o wiele starszy...

- O wiele. Ojcowskie drzewo Niebołamacz umarło dawno temu. Mógł już być bardzo stary, kiedy wybuchła ta wojna.

- Nie sądzisz, że to może być wspomnieniem pequenino, który pierwszy odkrył descoladę? Dotarła tu statkiem kosmicznym, a on widział coś w rodzaju ładownika?

- Dlatego zaśpiewałem.

- Jeśli to prawda, to z pewnością byliście inteligentni jeszcze przed descoladą.

- Teraz wszystko przepadło - westchnął Sadownik.

- Co przepadło? Nie rozumiem.

- Nasze geny z tamtego czasu. Nie można nawet zgadywać, co odebrała nam i co odrzuciła descolada.

To prawda. Każdy wirus descolady może zawierać pełny kod genetyczny każdej formy życia na Lusitaniu, ale to kod genetyczny obecny, kod organizmu opanowanego przez descoladę. Nie uda się zrekonstruować czy odtworzyć jego pierwotnej wersji.

- Mimo wszystko - mruknął Miro. - To ciekawe. Pomyśleć, że mieliście już język, pieśni i opowieści, zanim się tu zjawiała. - A potem dodał, choć wiedział, że nie powinien: - Może w takim razie nie musisz wykazywać niezależności inteligencji pequeninos.

- Kolejna próba ocalenia prosiaczka - szepnął Sadownik.

Z głośnika zabrzmiał głos. Głos z zewnątrz sterylnego pomieszczenia.

- Możesz już wyjść.

To Ela. Powinna przecież spać podczas zmiany Mira.

- Kończę dyżur za trzy godziny - odparł Miro.

- Wchodzi ktoś inny.

- Skafandrów wystarczy dla wszystkich.

- Potrzebny mi jesteś tutaj, Miro. - Ton Eli nie dopuszczał sprzeciwu. A przecież to ona kierowała eksperymentem.

Kiedy po kilku minutach stanął w służbie, natychmiast zrozumiał, co się dzieje. Czekala tam Quara, z lodowatą miną, i Ela, co najmniej równie wściekła. Najwyraźniej znowu się kłóciły... nic niezwykłego. Niezwykła była sama obecność Quary.

- Możesz wracać do środka - oznajmiła Quara, gdy tylko zobaczyła Mira.

- Nie wiem nawet, po co wychodziłem.

- Ona chce z nim porozmawiać na osobności - wyjaśniła Ela.

- Ciebie wywołała - dodała Quara. - Ale nie chce wyłączyć nasłuchu.

- Powinniśmy rejestrować wszystko, co mówi Sadownik. Kontrola jasności myślenia. Miro westchnął.

- Elu, kiedy ty dorośniesz...

- Ja! - wybuchnęła. - Ja dorosnę! Przychodzi tutaj, jakby myślała, że jest Nossa Senhora na złotym tronie...

- Elu - przerwał Miro. - Zamknij się i posłuchaj. Quara jest dla Sadownika jedyną szansą przeżycia. Czy możesz uczciwie stwierdzić, że zakłóci eksperyment, jeśli...

- Zgoda. - Ela zrozumiała argumentację i ustąpiła. - Jest wrogiem każdej myślącej żywej istoty na tej planecie, ale wyłączę system nasłuchu, ponieważ chce w cztery oczy porozmawiać z bratem, którego zabija.

Dla Quary było tego za wiele.

- Niczego nie musisz dla mnie wyłączać - oświadczyła. - Żałuję, że tu przyszedłam. To była pomyłka.

- Quaro! - krzyknął Miro.

Zatrzymała się przy drzwiach laboratorium.

- Włóż skafander i idź porozmawiać z Sadownikiem. Dlaczego ma cierpieć za Elę?

Quara raz jeszcze spojrzała gniewnie na siostrę, ale ruszyła do śluzy, skąd przed chwilą wyszedł Miro.

Poczuł ulgę. Wiedział, że nie ma tu żadnej władzy, że obie mogły mu wyjaśnić, co może zrobić ze swoimi poleceniami. Posłuchały go, może więc chciały posłuchać. Quara naprawdę chciała porozmawiać z Sadownikiem. A Ela naprawdę chciała jej na to pozwolić. Może nawet dorosły już tak, by ich osobista niechęć nie zagrażała życiu innych. Istnieje jeszcze dla tej rodziny cień nadziei.

- Włączy z powrotem, kiedy tylko wejdę do środka - burknęła Quara.

- Nie włączy - zapewnił Miro.

- Będzie próbować.

Ela obrzuciła ją pogardliwym wzrokiem.

- Ja umiem dotrzymywać słowa.

Nie odzywały się więcej. Quara weszła do śluzy, żeby się przebrać. Po chwili była już w sterylnym pomieszczeniu, ociekając zabójczym dla descolady roztworem, którym spryskany był cały skafander.

Miro usłyszał jej kroki.

- Wyłącz to - polecił.

Ela wcisnęła klawisz. Kroki ucichły.

W uchu Mira odezwała się Jane.

- Przekazywać ci wszystko, co tam mówią? - zapytała.

- Dalej słyszysz? - subwokalizował.

- Komputer jest połączony z kilkoma czujnikami reagującymi na wibracje. Nauczyłam się paru sztuczek przy dekodowaniu ludzkiej mowy z najłżejszych nawet drgań. A instrumenty są bardzo czułe.

- No to mów - szepnął Miro.

- Żadnych moralnych oporów?

- Żadnych - odparł. Stawką było ocalenie świata. Zresztą, dotrzymał słowa: zestaw nasłuchu został odłączony. Ela nie słyszała niczego.

Z początku rozmowa była całkiem obojętna. Jak się czujesz? Okropnie. Bardzo boli? Bardzo.

To Sadownik przerwał formalne uprzejmości i przeszedł do sedna.

- Dlaczego chcesz, żeby moi bracia byli niewolnikami?

Quara westchnęła, choć trzeba jej przyznać, że bez irytacji. Dla doświadczonego ucha Mira zabrzmiało to tak, jakby naprawdę była emocjonalnie rozdarta. Nic nie pozostało z demonstrowanej rodzinie wyzywającej postawy.

- Wcale nie chcę - odpowiedziała.

- Może nie ty wykułaś łańcuchy, ale ty trzymasz klucz i nie pozwalasz go użyć.

- Descolada nie jest łańcuchem. Łańcuch to rzecz. A descolada żyje.

- Ja także. I mój naród. Dlaczego jej życie ma być ważniejsze od naszego?

- Descolada was nie zabija. Waszym wrogiem jest Ela i moja matka. To one zabiłyby was

wszystkich, żeby ratować się przed descoladą.

- Oczywiście - zgodził się Sadownik. - Oczywiście, że tak by postąpili. Ja również zabiłbym je, aby ochronić swoich braci.

- Dlatego nie ze mną powinieneś się spierać.

- Z tobą. Bez twojej wiedzy, ludzie i pequeninos zaczną się w końcu mordować, w taki czy inny sposób. Nie będą mieli wyboru. Jeśli nie potrafią opanować descolady, to w końcu albo ona zniszczy całą ludzkość, albo ludzkość będzie musiała ją zniszczyć, a nas przy okazji.

- Nigdy jej nie zniszczą - oznajmiła Quara.

- Bo ty im nie pozwolisz.

- Tak jak nie pozwolę na waszą zagładę. Świadome życie to świadome życie.

- Nie - sprzeciwił się Sadownik. - Z ramenami możesz żyć i pozwolić żyć innym. Ale z varelse nie da się porozumieć. Zostaje tylko wojna.

- Nic podobnego - zaprotestowała Quara. I powtórzyła wszystkie argumenty, które przedstawiła już w rozmowie z Mirem. Kiedy skończyła, na chwilę zapadła cisza.

- Czy ciągle rozmawiają? - szepnęła Ela do ludzi, którzy siedzieli przy monitorach. Miro nie słyszał odpowiedzi; pewnie ktoś skinął tylko głową.

- Quaro - wyszeptał Sadownik.

- Jestem tutaj - odparła. Ton argumentacji zniknął z jej głosu. Nie czerpała radości ze swych okrutnych zasad moralnych.

- Nie dlatego odmawiasz pomocy - stwierdził.

- Dlatego.

- Pomogłabyś natychmiast, gdybyś nie musiała poddać się rodzinie.

- Nieprawda! - krzyknęła.

A zatem... Sadownik trafił w czuły punkt.

- Jesteś taka pewna swoich racji, bo oni są tak pewni, że się mylisz.

- Mam rację!

- Widziałaś kogoś, kto nie rna żadnych wątpliwości, a przy tym ma rację?

- Mam wątpliwości - przyznała szeptem Quara.

- Posłuchaj ich - rzekł Sadownik. - Ocal mój lud. I swój.

- Jakie mam prawo wybierać między nami a descoladą?

- Kto ci dał prawo podejmowania takiej decyzji?

- Nie podejmuję jej - zaprzeczyła. - Wstrzymuję się.

- Wiesz, co potrafi descoladą. Wiesz, co robi. Powstrzymywanie się od decyzji też jest decyzją.

- Nie jest decyzją. Nie jest działaniem.

- Jeśli nie próbujesz przeszkodzić morderstwu, któremu łatwo możesz zapobiec, czy nie stajesz się morderczynią?

- Czy po to chciałeś się ze mną zobaczyć? Kolejna osoba, która dyktuje mi, co robić?

- Mam do tego prawo.

- Bo postanowiłeś zostać męczennikiem i umrzeć?

- Nie straciłem jeszcze rozumu - zauważył Sadownik.

- Zgadza się. Udowodniłeś, co chciałeś. A teraz niech wpuszczą tu descoladę i uratują cię.

- Nie.

- Dlaczego? Taki jesteś pewien swoich racji?

- O moim własnym życiu mogę decydować. Nie jestem taki jak ty: nie wydaję wyroku śmierci na innych.

- Jeśli zginie ludzkość, ja zginę także - przypomniała Quara.

- Czy wiesz, dlaczego chcę umrzeć? - spytał Sadownik.

- Dlaczego?

- Żebym już nigdy nie musiał patrzeć, jak ludzie i pequeninos zabijają się nawzajem.

Quara pochyliła głowę.

- Ty i Grego... jesteście tacy sami - rzekł Sadownik.

- To kłamstwo. - Łzy kapały na szybę hełmu skafandra.

- Oboje nie chcecie nikogo wysłuchać. Wszystko wiecie najlepiej. A kiedy kończycie, wielu

niewinnych ludzi już nie żyje. Wstała, jakby zamierzała wyjść.

- W takim razie umieraj - rzekła. - Skoro i tak jestem morderczynią, dlaczego mam płakać nad tobą?

Ale nie ruszyła z miejsca. Nie chce odchodzić, pomyślał Miro.

- Powiedz im - szepnął Sadownik.

Pokręciła głową tak gwałtownie, że łyzy zerwały się z rzęs i zachlapały wewnątrz maski. Jeśli się nie uspokoji, za chwilę nie będzie niczego widzieć.

- Jeżeli powiesz co wiesz, wszyscy będą mądrzejsi. Jeśli zachowasz to w sekrecie, każdy pozostanie głupcem.

- Jeśli powiem, descolada zginie!

- To niech ginie! - krzyknął.

Ten wysiłek wyczerpał jego siły. Instrumenty na moment oszalały. Ela mruczała coś pod nosem, podchodząc do nich kolejno.

- Czy chciałbyś, żebym to samo czuła wobec ciebie? - spytała Quara.

- To właśnie czujesz wobec mnie - szepnął Sadownik. - Niech więc ginie.

- Nie - odparła.

- Descolada przybyła i zniewoliła mój lud. Co z tego, czy jest świadoma, czy nie? Jest tyranem. Mordercą. Gdyby człowiek zachowywał się tak, jak działa descolada, nawet ty byś przyznała, że trzeba go powstrzymać. Choćby nawet zabójstwo było jedyną metodą. Dlaczego obcą rasę traktujesz bardziej pobłażliwie niż członka własnej?

- Ponieważ descolada nie wie, co robi - odparła Quara. - Nie rozumie, że jesteśmy inteligentni.

- Nie dba o to. Ktokolwiek stworzył ją i wysłał, nie przejmował się, czy są, czy nie są świadome rasy, które zniewoli albo zgładzi. Chcesz, by za taką istotę umierali twoi i moi bracia? Czy tak pełna jesteś nienawiści dla swej rodziny, że stajesz po stronie potwora, jakim jest descolada?

Quara nie odpowiedziała. Osunęła się na stołek przy łóżku Sadownika.

Pequenino wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Skafander nie był tak sztywny, by nie poczuła słabego nacisku jego dłoni.

- Jeśli o mnie chodzi, śmierć mnie nie przeraża - powiedział. - Może to z powodu trzeciego życia my, pequeninos, nie boimy się śmierci tak jak wy, krótko żyjący ludzie. Ale chociaż ja sam nie zyskam trzeciego życia, zdobędę taką nieśmiertelność, jaka zdarza się u was. Moje imię przetrwa w opowieściach. Jeśli nawet nie będę miał drzewa, imię przeżyje. I mój czyn. Wy, ludzie, możecie powtarzać, że bez powodu zostałem męczennikiem... ale moi bracia rozumieją. Zachowując do końca inteligencję i sprawny umysł, pokazałem im, że są tym, czym są. Pomogłem udowodnić, że to nie nasi władcy takimi nas uczynili, i że nie mogą nam nakazać, byśmy przestali takimi być. Descolada zmusza nas do wielu rzeczy, jednak nie zapanowała nad nami do samego jądra. Gdzieś wewnątrz jest takie miejsce, gdzie kryje się prawdziwy "ja". Dlatego nie obawiam się śmierci. Będę żył wiecznie w każdym wolnym pequenino.

- Dlaczego mówisz to teraz, kiedy tylko ja cię słyszę?

- Ponieważ tylko ty masz władzę, by zgładzić mnie całkowicie. Tylko ty możesz sprawić, że moja śmierć pójdzie na marne, że cały mój lud umrze po mnie i nikt nie zostanie, by pamiętać. Dlaczego nie mam tobie właśnie powierzyć swojego testamentu? To ty zdecydujesz, czy ma on jakąś wartość.

- Nienawidzę cię za to - oznajmiła. - Wiedziałam, że mi to zrobisz.

- Co zrobię?

- Wzbudzisz we mnie tak potworne poczucie winy, że... że się poddam!

- Jeżeli wiedziałaś, to dlaczego przysłałaś?

- Nie powinnam! Żałuję, że przysłałam!

- Powiem ci, dlaczego. Przysłałaś, żebym cię zmusił do kapitulacji. Żebyś, kiedy już im powiesz, robiła to dla mnie, nie dla swojej rodziny.

- Czyli jestem twoją marionetką?

- Wręcz przeciwnie. Sama postanowiłaś mnie odwiedzić. To ty mnie wykorzystujesz, żebym cię zmusił do tego, czego sama pragniesz. W głębi serca nadal jesteś człowiekiem, Quaro. Chcesz, żeby ludzie przeżyli. Gdybyś tego nie chciała, byłabyś potworem.

- To, że umierasz, nie czyni cię jeszcze mędrcom - oświadczyła.

- Owszem, czyni - odparł Sadownik.

- A jeśli ci powiem, że nigdy nie zgodzę się współdziałać w zagładzie descolady?

- Wtedy ci uwierzę.

- I znienawidzisz,

- Tak - potwierdził.

- Nie możesz.

- Tak, mogę. Nie jestem dobrym chrześcijaninem. Nie potrafię kochać kogoś, kto zabija mnie i mój naród. Milczała.

- Odejdź teraz - poprosił. - Powiedziałem już wszystko, co mogłem powiedzieć. Teraz chcę śpiewać swoje opowieści i zachowywać inteligencję, póki nie nadejdzie śmierć.

Odeszła i zniknęła w służbie.

Miro odwrócił się do Eli.

- Niech wszyscy wyjdą z laboratorium - polecił.

- Dlaczego?

- Ponieważ istnieje szansa, że ona wyjdzie teraz i powie ci wszystko, co wie.

- W takim razie to ja powinnam wyjść, a reszta niech zostanie - odparła Ela.

- Nie. Ty jesteś jedyną osobą, której może coś zdradzi.

- Jeśli w to wierzysz, jesteś kompletnym...

- Tylko rozmowa z tobą zrani ją dostatecznie mocno - przerwał Miro. - Wszyscy wychodzą. Ela zastanowiła się.

- No dobrze - rzuciła. - Wracajcie do głównego laboratorium i pilnujcie komputerów. Jeśli cokolwiek mi powie, włączę się do sieci i sami zobaczycie, co wprowadza. Jeżeli zrozumiecie, o co chodzi, spróbujcie to zbadać. Nawet jeśli ona rzeczywiście coś wie, i tak niewiele mamy czasu na produkcję przyciętego wirusa. Trzeba podać go Sadownikowi, zanim umrze. Idźcie.

Wyszli.

Kiedy Quara stanęła w drzwiach służby, znalazła tylko Mira i Elę. Czekali na nią.

- Nadal uważam, że nie powinniśmy zabijać descolady, skoro nawet nie spróbowaliśmy się z nią porozumieć - oświadczyła.

- To możliwe - przyznała Ela. - Ja wiem tylko, że zamierzam to zrobić, jeśli zdołam.

- Wywołaj swoje pliki - rzuciła Quara. - Powiem ci wszystko, co wiem o inteligencji descolady.

Jeśli ci się uda i Sadownik przeżyje, napluję mu w gębę.

- Napluj i tysiąc razy - westchnęła Ela. - Żeby tylko przeżył.

Na ekranie rozbłysły schematy, Quara wskazywała pewne regiony modelu wirusa descolady. Po kilku minutach sama zajęła miejsce przed terminalem, pisała, pokazywała i mówiła, a Ela zadawała pytania.

Jane odezwała się znowu.

- To dziwka - szepnęła. - Nie trzymała plików w innym komputerze. Wszystkie wyniki miała w głowie.

Następnego dnia, późnym popołudniem, Sadownik był już na granicy śmierci, a Ela na granicy wyczerpania. Zespół pracował całą noc. Quara pomagała, bez przerwy, bez śladu zmęczenia czytając wszystko, co wymyślili ludzie Eli, krytykując, wskazując błędy. Rano mieli już plan przyciętego wirusa. Usunęli zdolność porozumiewania, podobnie jak zdolności analityczne - przynajmniej tak uważali. Na miejscu pozostały wszystkie elementy, które podtrzymywały działanie miejscowych organizmów. O ile potrafili to stwierdzić, nie dysponując działającą próbką wirusa, nowy projekt był dokładnie tym, czego potrzebowali: descoladą gwarantującą funkcjonowanie lusitańskich organizmów, w tym pequeninos, a przy tym całkowicie niezdolną do globalnej regulacji i adaptacji. Nazwali wirus recoladą. Nazwa tamtego pochodziła od jego głównej funkcji rozrywania; nowa od pozostawionej funkcji podtrzymywania par gatunków, które tworzyły wszelkie życie na Lusitani.

Ender wyraził pewną wątpliwość: skoro descolada wprowadza u pequeninos wojownicze, zaborcze cechy, nowy wirus może utrwalić ten stan. Ela i Quara wyjaśniły mu, że specjalnie wykorzystaly jako model starszą wersję, z okresu, gdy pequeninos byli spokojniejsi... byli bardziej „sobą”. Pequeninos uczestniczący w badaniach zgodzili się na to. Nie było czasu, by pytać kogoś z zewnątrz - jedynie Korzeniaka i Człowieka, a ci także wyrazili zgodę.

Wiedząc wszystko, co o działaniu descolady odkryła Quara, Ela wyznaczyła też zespół pracujący nad specjalną zabójczą bakterią, która szybko rozprzestrzeni się po całej planecie, odszuka normalne wirusy descolady w każdej ich formie, rozłoży je na poszczególne elementy i zniszczy. Rozpozna dawną descoladę po obecności elementów, których brakuje nowej. Uwolnienie równocześnie recolady i bakterii powinno załatwić sprawę.

Pozostał tylko jeden problem: stworzenie wirusa. Od rana Ela zajmowała się tym osobiście. Quara zasnęła, podobnie większość pequeninos. Jednak Ela walczyła nadal, za pomocą wszelkich dostępnych narzędzi usiłując rozbić strukturę wirusa i odbudować ją według planów.

Po południu zjawił się Ender. Powiedział, że to ostatnia chwila, jeśli nowy wirus ma ocalić Sadownika. A Ela mogła tylko załamać się i rozplakać z rozczarowania i zmęczenia,

- Nie potrafię - wyznała.

- W takim razie powiedz mi, że osiągnęłaś sukces, ale nie skończysz na czas i...

- Chcę powiedzieć, że nie da się tego zrobić.

- Zaprojektowałaś go,

- Zaplanowaliśmy go, wymodelowaliśmy... tak. Ale nie umiemy go stworzyć. Descolada ma naprawdę złośliwą strukturę. Nie możemy budować od zera, gdyż istnieje zbyt wiele elementów, które się rozpadają. Złożone z nich fragmenty muszą wcześniej pracować, odbudowywać całość. I nie możemy modyfikować obecnego wirusa, jeśli descolada nie jest przynajmniej w minimalnym stopniu aktywna. Ale wtedy odtwarza własną budowę szybciej, niż potrafimy ją zmieniać. Zaprojektowano ją by cały czas przeciwdziałała zmianom, a przy tym była tak niestabilna, że



niemożliwa do odtworzenia.

- Ale oni ją stworzyli,

- Owszem. Ale nie wiem jak. W przeciwieństwie do Grega, nie mogę pod wpływem metafizycznej zachcianki wyjść poza granice swojej nauki i samym pragnieniem powołać rzeczy do istnienia. Muszę się trzymać praw natury, jakimi są tu i teraz. A nie ma takiego prawa, które pozwoliłoby zbudować ten wirus.

- Inaczej mówiąc: wiemy, dokąd mamy dojść, ale nie możemy się tam dostać.

- Do wczoraj nie wiedziałam jeszcze, czy potrafimy zaprojektować rekoladę. Nie mogłam więc zgadnąć, czy zdołamy ją wyprodukować. Zakładałam, że jeśli zaplanujemy, to i zbudujemy. Byłam gotowa do działania, gdy tylko ustąpi Quara. A teraz osiągnęliśmy tylko ostateczną, pewną wiedzę, że to niemożliwe. Quara miała rację. Rzeczywiście, dowiedzieliśmy się od niej dość, żeby zabić wszystkie wirusy descolady na Lusitanii. Ale nie zdołamy wytworzyć rekolady, która by je zastąpiła i utrzymała przy życiu system biologiczny.

- Jeśli użyjemy wirycydu...

- W ciągu tygodnia czy dwóch wszyscy pequeninos znajdą się w takim stanie, jak teraz Sadownik. I cała trawa, ptaki, pnącza... wszystko. Spalona ziemia. Potworność.

Znowu się rozplakała.

- Jesteś po prostu zmęczona.

To Quara, już przytomna. Wyglądała strasznie. Sen wcale nie dodał jej sił.

Ela nic nie potrafiła siostrze odpowiedzieć.

Quara sprawiała wrażenie, jakby chciała wygłosić jakąś złośliwą uwagę, coś w stylu "A nie mówiłam?" Rozmyśliła się jednak, podeszła i ujęła Elę za ramię.

- Jesteś zmęczona, Elu. Musisz się przespać.

- Tak - zgodziła się Ela.

- Ale najpierw powiemy Sadownikowi.

- Powiemy mu: żegnaj. To miałaś na myśli?

-Tak, właśnie to.

przeszli do laboratorium, gdzie mieścił się sterylny pokój Sadownika. Naukowcy pequeninos zdążyli się już obudzić. Wszyscy przyłączyli się do czuwania w ostatnich godzinach życia Sadownika. Miro siedział wewnątrz i tym razem nie kazali rnu wyjść, choć Ender wiedział, że Ela i Quara chciałyby zająć miejsce przy konającym. Zamiast tego przez głośniki wyjaśniły mu ostatnie odkrycia. Ten połowiczny sukces był - w pewnym sensie - gorszy od całkowitej porażki. Gdyby ludzie na Lusitanii znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji, mógł doprowadzić do zagłady wszystkich pequeninos.

- Nie użyjecie tego - szepnął Sadownik. Czułe mikrofony ledwie zdołały przekazać jego słowa.

- My nie - potwierdziła Quara. - Ale nie tylko my tu decydujemy.

- Nie użyjecie - powtórzył. - Ja będę jedynym, który umrze w ten sposób.

Ostatnie słowa były całkiem bezgłośnie. Później przeglądali holograficzne zapisy, żeby odczytać ruchy warg i upewnić się, co właściwie powiedział. A kiedy skończył, kiedy wysłuchał pożegnań, umarł.

Gdy tylko instrumenty potwierdziły zgon, pequeninos z grupy badawczej natychmiast wbiegli do sterylnego pomieszczenia. Teraz izolacja nie była już potrzebna. Teraz chcieli wnieść ze sobą descoladę. Szorstko odsunęli Mira i zabrali się do pracy. Wstrzykiwali wirusy do każdej części ciała Sadownika, setki iniekcji w jednej chwili. Najwyraźniej byli do tego przygotowani. Póki żył, szanowali jego ofiarę, ale gdy umarł, gdy spełnił nakazy honoru, nie mieli oporów, próbując ratować

go dla trzeciego życia.

Wynieśli go na otwartą polanę, gdzie stali Korzeniak i Człowiek, i ułożyli w zaznaczonym wcześniej miejscu. Tworzyło równoboczny trójkąt z dwoma ojcowskimi drzewami. Tam rozcięli ciało i przybili palikami do ziemi. W ciągu kilku godzin wyrósł pęd i na chwilę błysnęła nadzieja, że będzie to ojcowskie drzewo. Jednak po kilku dniach bracia, którzy potrafili rozpoznać młode ojcowskie drzewa, obwieścili, że wysiłki poszły na marne. To prawda, powstała nowa istota przechowująca geny Sadownika; ale wspomnienia, wola, osoba, którą był Sadownik, zginęły. Drzewo było nieme; żaden umysł nie włączy się do nieustającego konklawe ojcowskich drzew. Sadownik postanowił uwolnić się od wirusa, nawet jeśli oznaczało to utratę trzeciego życia - daru descolady dla tych, których zniewoliła. Odniósł sukces, a przegrywając zwyciężył.

Odniósł też inny sukces. Pequeninos odrzucili dawną normę szybkiego zapomnienia imion zwykłych braterskich drzew. Chociaż żadna mała matka nie popełnie po jego korze, braterskie drzewo, które wyrosło z jego zwłok, znane będzie jako Sadownik i traktowane z szacunkiem - jakby było ojcowskim drzewem, jakby było osobą. Jego historię opowiadano wiele razy na całej Lusitanii - wszędzie gdzie żyli pequeninos. Wykazał, że są inteligentni nawet bez descolady; to szlachetna ofiara. Imię Sadownika stało się dla wszystkich pequeninos symbolem ich fundamentalnej wolności od wirusa, który ich opanował.

Jednak ta śmierć nie spowołała przygotowań do kolonizacji innych światów. Zwolennicy Podżegacza uzyskali teraz większość. A kiedy usłyszeli, że ludzie mają bakterię zdolną do całkowitego usunięcia descolady, spieszyli się jeszcze bardziej. Szybciej, powtarzali królowej kopca. Szybciej, żebyśmy zdążyli wyrwać się z tego świata, zanim ludzie postanowią nas wszystkich pozabijać.

- Chyba potrafię - stwierdziła Jane. - Jeśli statek będzie niewielki i prosty, z możliwie małą załogą, wtedy utrzymam w myślach jego wzorzec. O ile podróż będzie krótka i nie pozostaną za długo w Zewnętrzzu. Jeśli chodzi o zachowanie w umyśle miejsca startu i lądowania... to łatwe. Dziecinna zabawa. Mogę to załatwić z dokładnością poniżej milimetra. Gdybym sypiała, mogłabym to robić przez sen. Nie warto zatem znosić długotrwałych przeciążeń czy montować złożonych systemów podtrzymywania życia. Kosmolot powinien być całkiem prosty.

Hermetyczna kabina, miejsca do siedzenia, światło, ciepło. Jeżeli naprawdę potrafimy się tam dostać, a ja zdołam utrzymać i przyprowadzić całość z powrotem, nie będziemy w przestrzeni tak długo, żeby zużyć tlen w małym pokoju.

Słuchali jej, zgromadzeni w gabinecie biskupa: cała rodzina Ribeirów, rodzina Valentine i Jakta, naukowcy pequeninos, kilku kapłanów i Filhos, może jeszcze z dziesięciu przedstawicieli ludzkiej kolonii. Biskup nalegał, żeby spotkanie odbyło się u niego.

- Ponieważ jest tu dość miejsca - wyjaśnił. - A jeśli wyruszacie poza świat, jak Nimrod, by polować przed obliczem Pana... jeśli chcecie wysłać statek, jak wieżę Babel, do nieba, by szukać widoku Boga... wtedy chcę być przy tym i błagać go, by okazał wam miłosierdzie.

- Ile zostało ci pamięci? - Ender zwrócił się do Jane.

- Niewiele. Wszystkie komputery Stu Światów będą powolne, ponieważ wykorzystam ich pamięć dla podtrzymania wzorca.

- Pytam, bo kiedy tam będziemy, chcę przeprowadzić pewien eksperyment.

- Nie bądź taki skromny, Andrew - wtrąciła Ela. - Chcemy dokonać cudu. Jeśli wydostaniemy się do Zewnętrzza, to znaczy, że teoria Grega i Olhada jest prawdziwa. A wynika z niej, że działają tam inne prawa. Można tworzyć rzeczy poprzez zrozumienie ich wzorca. Dlatego chcę lecieć. Jest szansa,

że kiedy się tam znajdę, mając w umyśle wzorzec wirusa recolady, potrafię go stworzyć. Potrafię przywieźć tu wirusa, którego nie można wyprodukować w przestrzeni rzeczywistej. Możesz mnie zabrać? Potrafisz utrzymać mnie tak długo, żebym stworzyła wirusa?

-To znaczy ile? - spytała Jane.

- To powinno być natychmiastowe - zauważył Grego. - Gdy tylko przybędziemy, wszelkie przechowywane w pamięci kompletne wzorce powinny zostać zrealizowane w czasie dla człowieka niedostrzegalnym. Czas jest potrzebny, żeby przeanalizować, czy dostała właściwego wirusa - Jakies pięć minut.

- Tak – stwierdziła Jane. -Jeśli w ogóle mi się to uda, uda się przez pięć minut.

- Reszta załogi - przypomniał Ender.

- Reszta załogi to ty i Miro - orzekła Jane. - Nikt więcej. Grego protestował najgłośniejszym, ale nie był jedyny.

- Jestem pilotem – oznajmił Jakt

- Tylko ja pilotuję ten statek - odparła.

- Olhado i ja wymyśliliśmy to wszystko - przypomniał Grego.

- Ender i Miro polecą, ponieważ bez nich cała rzecz jest niemożliwa. Żyję w Enderze; gdziekolwiek pójdzie, niesie mnie ze sobą. Miro za to stał mi się niezwykle bliski i przypuszczam, że może być częścią mojego wzorca. Chcę, żeby poleciał, gdyż bez niego nie będę może całą sobą. Nikt więcej. Nikogo prócz nich nie chcę mieć we wzorcu. Ela jest jedynym wyjątkiem.

- A zatem taka będzie załoga - oświadczył Ender.

- I żadnych dyskusji - dodał burmistrz.

- Czy królowa kopca zbuduje statek? - zapytała Jane.

- Zbuduje - zapewnił Ender.

- W takim razie chcę prosić o przysługę. Elu, jeśli dam ci te pięć minut, potrafisz utrzymać w myślach wzorzec jeszcze jednego wirusa?

- Wirusa dla Drogi? - domyśliła się Ela,

- Jesteśmy im to winni. Za całą pomoc, jakiej nam udzielają.

- Chyba potrafię. A przynajmniej wzorzec różnic między tym wirusern a normalną descoladą. Tylko tyle w ogóle zdołam zapamiętać: różnice.

- Kiedy to nastąpi? - chciał wiedzieć Kovano.

- Jak tylko królowa kopca ukończy statek - odparła Jane. - Mamy czterdzieści osiem dni, zanim Sto Światów wyłączy swoje ansible. Teraz wiemy już, że przeżyję, ale będę okaleczona. Nie od razu odzyskam stracone wspomnienia... może nigdy. A wtedy nie zdołam utrzymać wzorca statku.

- Tak prosty statek królowa kopca może zbudować o wiele wcześniej - ocenił Ender. - Nie ma szans na ewakuację wszystkich ludzi i pequeninos, zanim przyleci flota, nie mówiąc już o wyłączeniu ansibli. Ale wystarczy czasu, żeby na dziesięć planet przewieźć nowe, wolne od descolady społeczności pequeninos: brata, żonę i wiele ciężarnych małych matek. Wystarczy, by na dziesięć planet przenieść nowe królowe kopców w kokonach, zapłodnione już dla złożenia pierwszych kilkuset jaj. Jeżeli się uda, jeżeli nie okaże się, że siedzimy jak idioci w tekturowym pudle i udajemy, że fruujemy... wtedy powrócimy, niosąc pokój dla tego świata, wolność od groźby descolady, bezpieczne rozproszenie genetycznego dziedzictwa innych ras ramenów. Tydzień temu wydawało się to niemożliwe. Teraz istnieje nadzieja.

- Gracias deus - szepnął biskup. Quara wybuchnęła śmiechem. Wszyscy popatrzyli na nią zdziwieni.

- Przepraszam - powiedziała. - Pomyślałam tylko... Kilka dni temu słyszałam modlitwę. Modlitwę

do Os Yenerados, dziadka Gusto i babci Cidy. Gdyby nie istniało rozwiązanie naszych problemów, mieli prosić Boga, by otworzył drogę.

- Całkiem dobra modlitwa - przyznał biskup. - I może Bóg wysłuchał ich prośby.

- Wiem. To właśnie przyszło mi do głowy. Może całe to Wnętrze I Zewnątrz nigdy nie istniały.

Może powstały jedynie dzięki tej modlitwie?

- I co z tego? - nie zrozumiał biskup.

- Nie uważacie, że to zabawne? Najwyraźniej nikt nie uważał.

Zatem ludzie mają swój kosmolot gotowy już teraz... A ten, który budowałeś dla nas, wciąż nie jest skończony.

Ten, którego zażądali, to pudło z drzwiami. Żadnego napędu, żadnych systemów podtrzymania życia, żadnej przestrzeni ładunkowej. Wasz i nasz są o wiele bardziej skomplikowane. Nie zwalniaj prac. Oba wkrótce będą gotowe.

Naprawdę się nie skarzę. Chciałem, żeby statek Endera był pierwszy. To on daje nam nadzieję.

Nam również. Zgadamy się z Enderem, że póki nie uda się stworzyć rekolady, nie wolno na Lusitaniu usunąć descolady. Ale kiedy wyślemy nowe królowe do innych światów, zabijemy descoladę w kosmolocie. Nie zatrujemy naszej nowej ojczyzny. I będziemy żyły, nie obawiając się unicestwienia przez sztucznych varelse.

Dla nas nie ma znaczenia, co zrobisz na swoim statku.

Przy odrobinie szczęścia, wszystko to okaże się zbędne. Ich kosmolot odnajdzie drogę do Zewnętrzza, powróci z rekoladą, uwolni was - i nas przy okazji. A potem nowy statek przewiezie nas wszystkich do tyłu światów, do ilu zechcemy.

Czy będzie działać? To pudło, które dla nich zbudowałeś?

Wiemy, że naprawdę istnieje miejsce, gdzie chcą dolecieć. Stamtąd przywołujemy nasze jaźnie. A pomost, jaki stworzyłyśmy - ten, który Ender nazywa Jane... jest wzorcem, jakiego jeszcze nie widziałyśmy. Jeśli to w ogóle możliwe, ktoś taki zdoła tego dokonać. My byśmy nie potrafiły.

Czy ty sama odleczisz? Jeśli nowy statek będzie działał?

Stworzymy córki-królowe, które zabiorą moje wspomnienia do innych światów. Ale my same zostaniemy tutaj. To miejsce, gdzie wyszłam z kokonu; na zawsze będzie moim domem.

Zapuściłaś korzenie, jak ja.

Do tego służą córki. By pójść tam, gdzie my nigdy nie dojdziemy... by ponieść naszą pamięć w miejsca, których nigdy nie zobaczymy.

Przecież zobaczymy. Prawda? Mówiłaś, że złącza filotyczne przetrwają.

Myślałyśmy o podróży przez czas. Żyjemy bardzo długo: my, kopce i wy, drzewa. Ale nasze córki i ich córki nas przeżyją. Tego nic nie zmieni

Qing-jao słuchała uważnie, kiedy postawili ją przed wyborem.

- Czemu ma mnie interesować, co postanowicie? - spytała, kiedy skończyli. - Bogowie was wyśmieją. Ojciec pokręcił głową.

- Nie wyśmieją, córko moja, Jaśniejąca Blaskiem. Bogowie nie dbają o Drogę bardziej niż jakikolwiek inny świat. Ludzie na Lusitaniu bliscy są stworzenia wirusa, który wyzwoli nas wszystkich. Dość rytuałów, dość życia w niewoli genetycznej skazy naszych mózgów. Dlatego pytam cię ponownie: gdybyśmy mogli, czy powinniśmy go wykorzystać? To wywoła niepokoje. Wang-mu i ja zaplanowaliśmy, jak należy postępować, jak tłumaczyć, co zrobimy, żeby ludzie zrozumieli. Istnieje szansa, że bogosłyszający unikną rzezi i w pokoju zrezygnują ze swych przywilejów.

- Przywileje się nie liczą - odparła stanowczo Qing-jao. - Sam mnie przecież tego nauczyłeś. Są tylko sposobem wyrażania szacunku dla bogów.

- Niestety, córko moja... Gdybym był pewien, że więcej bogosłyszających z taką pokorą spogląda na swą pozycję w społeczeństwie... Zbyt wielu uważa, że mają prawo do chciwości i uciskania innych, gdyż bogowie przemawiają do nich, nie do tamtych.

- Bogowie ukarzą ich zatem. Nie lękam się waszego wirusa.

- Lękaś się, Qing-jao. Widzę to.

- Jak mogę powiedzieć swemu ojcu, że nie widzi tego, o czym mówi, że widzi? Mogę tylko uznać, że to ja jestem ślepa.

- Tak, moja Qing-jao. Jesteś. Ślepa z wyboru. Ślepa na głos własnego serca. Widzę jak drzysz. Zawsze podejrzewałaś, że to ja mogę mieć rację. Od chwili, gdy Jane ukazała nam prawdziwą naturę głosu bogów, nie masz pewności, co jest prawdą.

- W takim razie nie jestem pewna wschodu słońca. Nie jestem pewna własnego oddechu.

- Nikt z nas nie jest pewien własnego oddechu, a słońce trwa w jednym miejscu, dniem i nocą. Nie wschodzi i nie zachodzi. To my wznosimy się i opadamy.

- Ojczy, nie boję się niczego, co może przynieść twój wirus.

- Zatem decyzja zapadła. Jeśli Lusitańczycy potrafią nam dostarczyć ten wirus, skorzystamy z niego.

Hań Fei-tzu wstał, by opuścić pokój.

Lecz jej głos zatrzymał go, nim dotarł do drzwi.

- A więc pod taką maską spadnie kara boża?

- Co? - Nie zrozumiał.

- Kiedy ukarzą Drogę za twoje nieposłuszeństwo, za działanie wbrew bogom, którzy udzielili swego wsparcia Kongresowi, czy karę tę ukryją tak, by wydawało się, że to wirus ich uciszył?

- Chciałbym, aby psy wyszarpały mi język, zanim nauczyłem cię myśleć w ten sposób.

- Psy szarpią moje serce - odparła Qing-jao. - Błagam cię, ojczy, nie czyn tego. Nie dopuść, by twój bunt rozgniewał bogów, aż zamilkną na całym świecie.

- Uczynię to, Qing-jao. Aby nigdy już córki i synowie nie wyrastali na niewolników, jak ty. Kiedy pomyślę o twojej twarzy schylonej nad podłogą, kiedy w męce i napięciu śledzisz słoje, mam ochotę szarpać ciała ludzi, którzy cię do tego zmusili. Aż ich krew wykreśli linie na deskach. Te linie ja będę śledził z rozkoszą, by mieć pewność, że zostali ukarani.

Załkała.

- Błagam cię, ojczy, nie prowokuj bogów.

- Bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany jestem, by uwolnić wirusa. Jeśli się pojawi.

- Jak mogę cię przekonać? Jeśli nic nie powiem, zrobisz to, a jeśli będę cię prosić, zrobisz to tym pewniej.

- Wiesz, jak mnie powstrzymać? Możesz przemówić do mnie z wiarą, że głos bogów to efekt skazy genetycznej. Kiedy zobaczę, że widzisz świat wyraźny i prawdziwy, możesz mnie przekonać rozsądnymi argumentami. Na przykład, że tak szybka, całkowita i niszczyielska przemiana może okazać się tragiczna w skutkach. Użyj każdego racjonalnego argumentu, jaki tylko ci przyjdzie do głowy.

- Zatem muszę okłamać swego ojca, by go przekonać.

- Nie, Jaśniejąca Blaskiem. Aby przekonać ojca, musisz wykazać, że pojęłaś prawdę.

- Pojmuję prawdę. Pojmuję, że jakiś nieprzyjaciel ukradł mi ojca. Pojmuję, że teraz zostali mi tylko bogowie i mama, która jest wśród nich. Proszę bogów, by pozwolili mi umrzeć i przyłączyć się do niej, żebym nie cierpiała już bólu, jaki mi zadajesz. Ale oni zostawiają mnie tutaj. Myślę, że nadal chcą, bym oddawała im cześć. Może nie oczyściłam się dostatecznie. A może wiedzą, że niedługo twe serce znów się odwróci, że przyjdiesz do mnie jak kiedyś, z szacunkiem mówiąc o bogach i ucząc mnie, jak wiernie im służyć.

- To się nigdy nie stanie - rzekł Hań Fei-tzu.

- Kiedyś wierzyłam, że pewnego dnia zostaniesz bogiem Drogi. Teraz widzę, że nie jesteś obrońcą

tego świata, ale jego najgroźniejszym wrogiem.

Hań Fei-tzu zasłonił twarz i wyszedł, płacząc nad córką. Nie przekona jej, dopóki słyszy ona głos bogów. Ale kiedy dostarczą wirusy, kiedy bogowie zamilkną, może wtedy go wysłucha. Może powróci do świata rozumu.

Usiedli w kosmolocie - bardziej przypominał dwie metalowe miski, jedna nad drugą, z drzwiczkami z boku. Projekt Jane, wiernie wykonany przez królową kopca i jej robotnice, przewidywał na zewnętrznej powierzchni liczne instrumenty. Ale nawet najeżony czujnikami, obiekt nie przypominał statku. Był o wiele za mały, nie miał żadnych elementów napędu. Jediną siłą, jaka mogła ten pojazd gdziekolwiek przenieść, była niewidzialna aiua, którą Ender wniósł ze sobą na pokład.

Siedzieli kręgiem, patrząc na siebie. Było tu sześć siedzeń, ponieważ Jane przewidywała ponowne wykorzystanie statku do przenoszenia ludzi na inne planety. Teraz zajęli co drugie miejsce, utworzyli więc trójkąt: Ender, Miro, Ela.

Już się pożegnali. Siostry, bracia, inni krewni i wielu przyjaciół przyszło ich odprowadzić. Jedną osobą sprawiła ból swą nieobecnością: Novinha. Żona Endera, matka Mira i Eli. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego. I to był jedyny smutny moment ceremonii rozstania.

Reszta to lęk i podniecenie, nadzieja i niedowierzenie. Być może chwile tylko dzieliły ich od śmierci. Może chwile pozostały tylko od napełnienia probówek w rękach Eli wirusami, które wyzwolą dwa światy. Może są pionierami nowego sposobu lotów, który ocali rasy zagrożone Systemem Destrukcji Molekularnej.

A może są trójką głupców i będą siedzieli na łące tuż poza granicami ludzkiej kolonii na Lusitaniu, aż wreszcie upał zmusi ich do wyjścia. Nikt z czekających nie roześmieje się, to jasne. Ale całe miasto ich wyśmieje. To będzie śmiech rozpacz. Oznaczający, że nie ma już ucieczki, nie ma wolności, jedynie strach - póki śmierć nie nadejdzie w jednej z wielu możliwych postaci.

- Jesteś z nami, Jane? - zapytał Ender. Odpowiedział mu spokojny głos.
- Kiedy będę tym zajęta, Ender, żadna część mnie nie może z tobą rozmawiać.
- Czyli będziesz niema. Skąd mamy wiedzieć, że wciąż jesteś przy nas? Roześmiała się cicho.
- Ender, ty głuptasie! Póki ty tam jesteś, jestem i ja, wewnątrz ciebie. A jeśli nie ma mnie w twoim umyśle, to nie będzie też żadnego „tam” do bycia.

Ender wyobraził sobie, jak rozpada się na biliony rozrzuconych w chaosie części składowych. Przeżycie zależało nie tylko od tego, czy Jane utrzyma wzorzec statku, ale też czy on potrafi utrzymać wzorzec swego umysłu i ciała. A przecież nie miał pojęcia, czy umysł ma dostatecznie silny, by przechować taki wzorzec w miejscu, gdzie nie działają prawa natury.

- Gotowi? - rzuciła Jane.
- Pyta, czy jesteśmy gotowi - powtórzył Ender. Miro przytaknął natychmiast. Ela spuściła głowę. Po chwili przeżegnała się, mocniej chwyciła stojak z probówkami i skinęła głową.
- Jeśli odleciemy i wrócimy, Elu, będzie to zwycięstwem - przypomniał jej Ender. - Nawet jeśli nie stworzysz tego wirusa. O ile statek działa sprawnie, możemy spróbować jeszcze raz. Nie myśl, że wszystko zależy od tego, co dzisiaj potrafisz sobie wyobrazić.

Uśmiechnęła się.

- Nie będę zdziwiona porażką, ale jestem też przygotowana na sukces. Jeśli wrócę z rekoladą, mój zespół już czeka, żeby wypuścić na wolność bakterie. Potem usuniemy descoladę. Przyznaję, rzecz jest trochę ryzykowna, ale w ciągu pięćdziesięciu lat ten świat powinien znowu mieć samoregulującą gaialogię. Widzę już jelenie i bydło w wysokich trawach Lusitaniu, i orły na niebie. - Spojrzała w

napięciu na swoje próbki, - Zmówiłam modlitwę do Dziewicy i Ducha Świętego, co stworzył Boga w jej łonie, żeby przybył znowu i stworzył życie w tych próbkach.

- Amen - zakończył Ender. - A teraz, Jane, jeśli jesteś gotowa, możemy ruszać.

Wokół małego kosmolotu czekali odprowadzający. Czego się spodziewali? Że statek zacznie podskakiwać i wypuszczać kłęby dymu? Że nagle huknie grom i zajaśnieje błyskawica?

Statek stał w miejscu. I stał. Wciąż tam był, i jeszcze, nieporuszony i niezmienny. I nagle zniknął.

Wewnątrz statku nie poczuli niczego. Nie zabrzmiał żaden dźwięk, nic nie drgnęło, nie istniała nawet sugestia przeskoku z przestrzeni wewnętrznej do zewnętrznej.

Ale wiedzieli, że to nastąpiło, gdyż nagle było ich nie troje, ale sześcioro.

Ender siedział między parą ludzi, młodą kobietą i młodym mężczyzną. Nie miał jednak czasu, by się im przyjrzeć, ponieważ mógł patrzeć tylko na człowieka siedzącego naprzeciw, gdzie jeszcze niedawno było puste siedzenie

- Miro - szepnął.

Bo to właśnie był Miro. Ale nie Miro-inwalida, kaleki chłopak, który wszedł na statek razem z nim. Tamten nadal siedział po lewej stronie Endera. Ten Miro był silnym, młodym człowiekiem, jakiego Ender znał kiedyś. Człowiekiem, którego siła była nadzieją całej rodziny, którego uroda była dumą Quandy, który myślą i sercem współczuł pequeninos i nie mógł im odmówić dobrodziejstw ludzkiej kultury.

Miro, cały i uzdrowiony.

Skąd się tu wziął?

- Powinienem się domyślić - stwierdził Ender. - Powinniśmy wpaść na to. Twój wzorec, Miro, który nosisz we własnym umyśle... To nie wzorec ciebie, jakim jesteś, ale jakim byłeś.

Nowy Miro, młody Miro, uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Myślałem o tym - rzekł. Mówił pięknie i wyraźnie, słowa lekko spływały mu z warg. - Liczyłem na to. Z tego powodu błagałem Jane, żeby mnie zabrała. I spełniło się. Dokładnie tak, jak pragnąłem.

- Ale teraz jest was dwóch - zauważyła Ela. Wydawała się przerażona.

- Nie - odparł nowy Miro. - Tylko ja. Tylko prawdziwy ja.

- Ale tamten nadal tu siedzi...

- Chyba nie na długo. To tylko stara, pusta skorupa.

I rzeczywiście. Dawny Miro opadł na fotelu jak trup. Ender przyklęknął przed nim, dotknął ostrożnie. Przycisnął palce do szyi, szukając tętna.

- Po co serce miałoby bić? - rzekł Miro. - Teraz we mnie przebywa aiua Mira.

Ender cofnął rękę, a skóra Mira rozpadła się w obłok pyłu. Ender cofnął się. Głowa spadła z ramion i wylądowała na kolanach trupa. Potem rozpląnęła się w białawą ciecz. Ender odskoczył i nadepnął komuś na nogę.

- Au - zawołała Valentine.

- Uważaj, jak chodzisz - dodał męski głos.

Valentine nie ma na statku, pomyślał Ender. I znam głos tego mężczyzny.

Odwrócił się do nich, do mężczyzny i kobiety, którzy zjawili się na pustych siedzeniach obok niego.

Valentine. Niesamowicie młoda. Tak wyglądała, gdy jako nastolatka pływała przy nim po jeziorze na prywatnej posiadłości... na Ziemi.

Tak wyglądała, kiedy kochał ją i potrzebował najbardziej, kiedy była jedynym powodem, dla



którego zgodził się kontynuować szkolenie... jedynym powodem, dla którego warto było ratować świat.

- Nie jesteś prawdziwa - oświadczył.

- Oczywiście że jestem - odparła. - Nadepnałeś mi przecież na nogę.

- Biedny Ender - dodał młody mężczyzna. - Niezgrabny i głupi. Niezbyt dobre połączenie. Teraz Ender go poznał.

- Peter - wyszeptał.

Jego brat, jego wróg z dzieciństwa... Teraz w wieku, kiedy został Hegemonem. Obraz pokazywany przez każde wideo, gdy Peter tak wszystko zorganizował, że po swym wielkim zwycięstwie Ender nie mógł wrócić na Ziemię.

- Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę - powiedział Ender. - Tak dawno umarłeś.

- Nigdy nie wierz w plotki o mojej śmierci - odparł Peter. - Mam tyle żyć co kot. I tyle kłów, pazurów, i taki sam miły, zgodny charakter.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Muszą pochodzić z wzorców w twoich myślach, Ender - wtrącił Miro. - Ty ich znałeś.

- Oczywiście. Ale dlaczego? To nasze własne poczucie powinniśmy tu przynieść. Wzorzec, według którego poznajemy siebie.

- Doprawdy, Ender? - zapytał Peter. - W takim razie jesteś kimś wyjątkowym. Osobowością tak złożoną, że trzeba dwojga ludzi, by ją objąć.

- W tobie nie ma żadnej części mnie.

- I niech tak zostanie - zadrwił Peter. - Lubię dziewczęta, nie brudnych staruchów.

- Nie chcę cię - oznajmił Ender.

- Nikt mnie nie chciał. Chcieli ciebie. Ale dostali mnie, prawda? I trafiłem aż tutaj. Myślisz, że nie znam swojej prawdziwej historii? Ty i ta twoja księga kłamstw, Hegemon. Taka mądra i pełna zrozumienia. Tak to Peter Wiggin zmiękł na stare lata. Jak stał się mądrym i sprawiedliwym władcą. Ale dowcip. Mówca Umarłych, akurat. Przez cały czas, kiedy to pisałeś, znałeś prawdę. Pośmiertnie zmyłeś krew z moich rąk, Ender, ale wiedziałeś, że za życia chciałem mieć je we krwi.

- Daj mu spokój - wtrąciła Valentine. - W Hegemonie napisał prawdę.

- Nadal go chronisz, aniołku?

- Nie! - krzyknął Ender. - Skończyłem z tobą, Peter. Usunąłem cię ze swojego życia. Od trzech tysięcy lat nie istniejesz.

- Możesz uciekać, ale nie zdołasz się ukryć.

- Ender! Ender, przestań! Ender! Obejrzał się. To Ela krzyczała.

- Nie wiem, co się tu dzieje, ale przestań! Zostało jeszcze tylko parę minut. Pomóż mi z testami.

Miała rację. Cokolwiek działo się z nowym ciałem Mira, z pojawieniem się Petera i Valentine, najważniejsza była descolada. Czy Ela zdołała ją przetransformować? Czy stworzyła recoladę? I wirusa, który uleczy mieszkańców Drogi? Jeśli Miro potrafił odtworzyć swoje ciało, a Ender w jakiś sposób przywołał upiory z przeszłości i na powrót dał im ciała, to możliwe... naprawdę możliwe... że próbki Eli zawierały teraz wirusy, których wzorce miała w pamięci.

- Pomóż mi - szepnęła Ela.

Ender i Miro - nowy Miro, o silnych, pewnych dłoniach - wzięli od niej próbki i zaczęli próby. Były to testy negatywne: jeśli wrzucone do probówek bakterie, algi i małe robaki przez kilka minut się nie zmieniają, to w roztworze nie ma descolady. A ponieważ roił się od wirusów, kiedy wchodzili na pokład, będzie to dowodem, że zdarzyło się coś, co je zneutralizowało. Po powrocie mogą sprawdzić, czy to rzeczywiście recolada, czy po prostu martwe lub nieaktywne wirusy descolady.

Robaki, bakterie i glony nie zmieniły się. Podczas wcześniejszych testów, na Lusitaniu, roztwór zawierający bakterie w obecności descolady zmieniał barwę z niebieskiej na żółtą. Teraz pozostał niebieski. Na Lusitaniu małe robaki ginęły szybko i jako szare łupiny wypływały na powierzchnię. Teraz wiły się żwawo, zachowując czerwono-brunatny kolor, który dla nich oznaczał życie. Algi, zamiast rozpadać się i rozpuszczać bez śladu, teraz utrzymywały formę cienkich pasm i nitek.

- Udało się - stwierdził Ender.

- Przynajmniej jest nadzieja - odparła Ela.

- Siadajcie - polecił Miro. - Jeśli wszystko skończone, Jane zabierze nas z powrotem.

Ender usiadł. Spojrzał na miejsce zajmowane dawniej przez Mira. Stare, kalekie ciało nie przypominało już ludzkiego. Kruszyło się ciągle, fragmenty rozsypywały się w pył albo spływały jako ciecz. Nawet ubranie rozpadło się w nicość.

- Nie jest już częścią mojego wzorca - wyjaśnił Miro. - Nic już nie utrzymuje go w całości.

- A co z nimi? - zapytał Ender. - Dlaczego oni się nie rozpadną?

- A ty? - spytał Peter. - Czemu się nie rozpadasz? Nikt już cię nie potrzebuje. Jesteś zmęczonym, starym pierdzielem, który nie potrafił nawet utrzymać przy sobie kobiety. I nawet nie spłodziłeś dziecka, żaloszny eunuchu. Ustąp miejsca prawdziwemu mężczyźnie. Nigdy nie byłeś potrzebny. Wszystko, czego dokonałeś, ja zrobiłbym lepiej, a czego ja dokonałem, ty byś nie potrafił.

Ender ukrył twarz w dłoniach. Takiego zakończenia nie wyobrażał sobie nawet w najgorszych snach. Owszem, wiedział, że wyruszają tam, gdzie umysł posiada moc tworzenia. Nie przyszło mu jednak do głowy, że gdzieś tam wciąż istnieje Peter. Wierzył, że już dawno pozbył się starej nienawiści.

I Valentine... Dlaczego stworzył drugą Valentine? Tak młodą, idealną, słodką i piękną? Prawdziwa Valentine czeka na Lusitaniu. Co sobie pomyśli widząc, kogo stworzył własną myślą? Może pochlebi jej, że jest tak bliska jego sercu; przekona się jednak, że ceni ją taką, jaką była kiedyś, nie jaką jest teraz.

Gdy tylko otworzy się luk, a Ender znowu stanie na lusitańskim gruncie, odkryte zostaną najbardziej mroczne i najjaśniejsze sekrety jego serca.

- Rozsypcie się - powiedział do nich. - Rozpadnijcie.

- Ty pierwszy, staruszkule - odparł Peter. - Twoje życie już minęło, a moje dopiero się zaczyna. Za pierwszym razem musiałem spróbować z Zifinią, jedną mizerną planetą. To było tak łatwe, jak łatwe byłoby teraz zabicie cię gołymi rękami, gdybym tylko zechciał. Złamałbym ci tę cienką szyjkę jak suchy badyl.

- Spróbuj - szepnął Ender. - Nie jestem już przerażonym, małym chłopcem.

- I nie jesteś dla mnie przeciwnikiem. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz. Za dużo w tobie litości. Jesteś jak Valentine. Cofasz się przed tym, co trzeba zrobić. Jesteś słaby i miękki. Łatwo cię zniszczyć.

Nagły błysk światła. Co to znaczy? Czyżby jednak śmierć w przestrzeni Zewnątrz? Czy Jane straciła wzorzec? Może wybuchli albo spadli na słońce.

Nie. To otworzyły się drzwi. To światło lusitańskiego poranka, rozpraszające półmrok wnętrza statku.

- Wychodźcie? - zawołał Grego. Wsunął głowę przez właz. - Czy... Wtedy ich zobaczył. Ender widział, jak liczy w milczeniu.

- Nossa Senhora - szepnął Grego. - Skąd do diabła się tu wzięli?

- Z obłąkanej głowy Endera - wyjaśnił Peter.

- Z dawnych i czułych wspomnień - odparła nowa Valentine.

- Pomóście mi z wirusami - rzuciła Ela.

Ender sięgnął po próbki, ale oddała je Mirowi. Nie tłumaczyła, po prostu odwróciła wzrok. Zrozumiał. Zbyt dziwne było to, co stało się z nim w Zewnątrz. Czymkolwiek są Peter i młoda, nowa Valentine, nie powinni istnieć. Stworzenie nowego ciała Mira miało sens, choć okropny był widok starego, jak zapomniane rozpada się w nicłość. Ela tak precyzyjnie skupiła swe myśli, że nie stworzyła niczego poza zawartością specjalnie w tym celu zabranych próbek. Za to Ender wykopał z siebie dwoje ludzi, oboje nieznośnych, choć każde na swój sposób. Nowa Valentine, ponieważ była drwiną z prawdziwej, która z pewnością czeka obok statku. I Peter, który zaczynał już te swoje szyderstwa, równocześnie niebezpieczne i sugestywne.

- Jane - szepnął Ender. - Jesteś przy mnie?

- Tak - odpowiedziała.

- Widziałas to wszystko?

- Tak.

- Rozumiesz coś?

- Jestem bardzo zmęczona. Nigdy jeszcze nie czułam zmęczenia. Nigdy nie robiłam czegoś tak trudnego. To wymagało... całej mojej uwagi równocześnie. I dwa dodatkowe ciała, Ender. Musiałam wciągnąć je do wzorca... nie wiem, jak mi się to udało.

- Nie chciałem. Nie odpowiadała.

- Wychodzisz czy nie? - spytał Peter. - Cała reszta czeka przed drzwiami. Z tymi próbkami moczu w próbkach.

- Boję się, Ender - wyznała młoda Valentine. - Nie wiem, co powinnam teraz zrobić.

- Ja też nie - zapewnił ją Ender. - Niech Bóg mi wybaczy, jeśli sprawi ci to ból. Nigdy bym cię nie sprowadzał, żeby cię zranić.

- Wiem.

- No nie - zadrwił Peter. - Słodki stary Ender stwarza swymi myślami atrakcyjną młodą kobietę, która wygląda dokładnie tak, jak jego siostra w młodości. Hm... Ender, staruszk, czy twoja perwersja nie ma granic?

- Tylko obrzydliwie chory umysł mógłby o czymś takim pomyśleć - mruknął Ender.

Peter śmiał się i śmiał.

Ender wziął nową Val za rękę i poprowadził do wyjścia. Czuł, że jej dłoń drży, śliska od potu. Wydawała się taka rzeczywista. Była rzeczywista. A jednak, gdy tylko stanął w drzwiach, zobaczył prawdziwą Valentine: w średnim wieku, podstarzałą, a mimo to wciąż piękną, pełną gracji kobietę, którą znał i kochał przez długie lata. Swoją prawdziwą siostrę, ukochaną jak drugie ja. Co robiła w moim umyśle ta dziewczyna?

Było jasne, że Grego i Ela zdradzili już dosyć, by ludzie wiedzieli, że zdarzyło się coś niezwykłego. A kiedy Miro wyszedł ze statku, silny i zdrowy z wyraźną mową i tak radosny, jakby miał ochotę śpiewać, rozległ się szmer podniecenia. Cud. Cuda działy się tam, gdzie dotarł statek.

Za to pojawienie Endera wywołało ciszę. Niewielu na pierwszy rzut oka poznało, że towarzysząca mu młoda dziewczyna to Valentine z dawnych lat - nikt jej wtedy nie znał, prócz samej Valentine. I nikt prócz Valentine nie rozpoznał chyba Petera Wiggina w tym pełnym wigoru młodym mężczyźnie. Portrety w podręcznikach historii tworzone zwykle z holo robionych w późnym okresie życia, kiedy tania, prosta holografia dopiero zdobywała popularność.

Ale Valentine wiedziała. Ender stanął przy włączniku, obok młoda Val, zaraz za nimi szedł Peter, a Valentine poznała ich oboje. Wystąpiła, zostawiając za sobą Jakta, i stanęła twarzą w twarz z

Enderem.

- Ender - powiedziała. - Kochany biedaku, więc to stworzyłeś, kiedy trafiłeś w miejsce, gdzie wszystko, co zechcesz, możesz zmienić w rzeczywistość? - Wyciągnęła dłoń, by dotknąć policzka młodej kopii samej siebie. - Nigdy nie byłam taka piękna, Ender. Ona jest doskonała. Jest wszystkim, czym pragnęłam być, ale nie potrafiłam.

- Nie cieszysz się na mój widok, Val, mój kochany, słodki Demostenesie? - Peter wcisnął się między Endera i młodą Val. - Czy o mnie też zachowałeś czułe wspomnienia? Czy nie jestem piękniejszy, niż mnie zapamiętałaś? Ja z pewnością cieszę się z naszego spotkania. Dobrze sobie radziłaś z postacią, jaką dla ciebie wykreowałem. Demostenes. Ja cię stworzyłem, a ty nawet mi nie podziękowałaś.

- Dziękuję, Peter - szepnęła Valentine. Raz jeszcze spojrzała na Val. - Co z nimi zrobisz?

- Zrobi z nami? - zdumiał się Peter. - Nie należymy do niego, żeby coś z nami robił. Może i on mnie przywołał, ale teraz sam o sobie decyduje. Jak zawsze.

Valentine odwróciła się do zebranych, wciąż oszołomionych niezwykłością wydarzeń. Widzieli przecież, jak troje ludzi wchodzi na pokład, widzieli, jak zniknął statek, jak pojawił się dokładnie w tym samym miejscu siedem minut później... I zamiast trzech, wysiadło z niego pięć osób, w tym dwie zupełnie obce. Nic dziwnego, że nie mogli dojść do siebie.

Jednak dzisiaj nie mieli doczekać się wyjaśnień. Z wyjątkiem jednego, najważniejszego ze wszystkich.

- Czy Ela zniosła próbki do laboratorium? - spytała Valentine. - Chodźmy stąd. Sprawdzimy, co nam przywiozła z Zewnątrz.

## DZIECI ENDERA

*Biedny Ender. Teraz jego koszmary krążą wokół niego na własnych nogach.*

*W dziwny sposób, ale w końcu ma dzieci.*

*To ty przywołujesz z chaosu aiua. Jak on mógł znaleźć dusze dla tych dwojga?*

*Dlaczego sądzisz, że znalazł?*

*Oni chodzą. Mówią.*

*Ten nazywany Peterem był u ciebie i rozmawiał, prawda?*

*Jeszcze nie widziałem bardziej aroganckiego człowieka.*

*Jak myślisz, w jaki sposób przyszedł na świat, znając język ojcowskich drzew?*

*Nie wiem. Ender go stworzył. Czemu nie miałby go stworzyć z tą wiedzą?*

*Ender cały czas ich stwarza, godzina po godzinie. Dostrzegłyśmy w nim wzorzec. On sam może tego nie pojmować, ale nie ma żadnej różnicy pomiędzy nim a tym dwojgiem. Odmienne ciała, owszem, ale mimo to oni są jego częściami. Cokolwiek robią, cokolwiek mówią, to aiua Endera działa przemawia.*

*Czy on wie o tym? Wątpimy. Powiesz mu?*

*Nie, dopóki sam nie zapyta. Jak myślisz, kiedy to się stanie? Kiedy będzie już znał odpowiedź.*

Nastał ostatni dzień prób rekolady. Pogłoski o sukcesie dotarły już do wszystkich mieszkańców kolonii. Ender wierzył, że także do pequeninos. Asystent Eli imieniem Szkło zgłosił się na ochotnika jako obiekt doświadczalny. Od trzech dni mieszkał w tym samym sterylnym pomieszczeniu, gdzie dokonała się ofiara Sadownika. Tym razem jednak descoladę w jego ciele usunęła wirusobójcza bakteria, którą pomagał Eli wyprodukować. I tym razem funkcje, pełnione kiedyś przez descoladę, wykonywał nowy wirus rekolady. Działał idealnie. Szkło nie odczuwał najmniejszych dolegliwości. Pozostał tylko jeden test, by rekolada okazała się pełnym sukcesem.

Godzinę przed ostateczną próbą, Ender ze swym absurdalnym orszakiem Petera i młodej Val, spotkał się z Quarą i Gregiem w celi Grega.

- Pequeninos wyrazili zgodę - oznajmił. - Zaryzykują usunięcie descolady i zastąpienie jej rekolada po przetestowaniu wirusa tylko na Szkle.

- Nie dziwię się - odparła.

- A ja tak - wtrącił Peter. - Prosiaczki jako gatunek mają chyba zakodowany instynkt samobójczy.

Ender westchnął. Nie był już małym przerażonym chłopcem, Peter nie był już starszy, większy ani silniejszy. Jednak w sercu Endera nadal nie było miłości dla tego sobowtóra brata, stworzonego w jakiś niepojęty sposób w Zewnątrz. Peter reprezentował wszystkie dziecięce lęki i nienawiści. Ponowna jego obecność była przerażająca i doprowadzała do pasji.

- O co ci chodzi? - zdziwił się Grego. - Gdyby pequeninos się nie zgodzili, z descoladą byliby zbyt niebezpieczni. Ludzkość nie pozwoliłaby im przeżyć.

- Oczywiście. - Peter uśmiechnął się. - Fizyk jest ekspertem strategii.

- Peter chce powiedzieć - wyjaśnił Ender - że gdyby to on rządził pequeninos... a chciałby tego z pewnością... nigdy z własnej woli nie zrezygnowałby z descolady. Dopóki od ludzkości nie wytargowałby czegoś w zamian.

- A to niespodzianka! To podstarzałe cudowne dziecko wciąż zachowało isierkę rozumu - zawołał Peter. - Czemu rezygnują z jedynej broni, której ludzkość ma powody się lękać? Nadlatuje Flota Lusitańska i nadal niesie Małego Doktora. Dlaczego nie każą temu oto Andrew wsiąść do tego

magicznego jaja, polecieć na spotkanie floty i podyktować warunki?

- Bo zestrzeliliby mnie jak psa - odparł Ender. - Pequeninos robią to, ponieważ to słuszne, uczciwe i przyzwoite. Później zdefiniuję ci znaczenie tych słów.

- Znam je. I wiem, co oznaczają.

- Doprawdy? - zdziwiła się młoda Val. Jej głos zaskoczył wszystkich, jak zawsze: delikatny, spokojny, a jednak przerywający rozmowę. Ender pamiętał, że Valentine zawsze taka była. Nigdy nie podnosi głosu, a jednak nie można jej nie słuchać.

- Słuszne. Uczciwe. Przyzwoite - powtórzył Peter. W jego ustach te słowa brzmiały obrzydliwie. - Albo osoba, która to mówi, wierzy w te pojęcia, albo nie. Jeśli nie, oznaczają, że za moimi plecami ma kogoś z nożem w ręku. Jeśli wierzy, oznaczają, że ja zwyciężę.

- Ja ci powiem, co oznaczają - wtrąciła Quara. - Że należy pogratulować pequeninos... i sobie samym też... zagłady świadomej rasy, jaka nie istnieje może nigdzie więcej we wszechświecie.

- Nie oszukuj się - mruknął Peter.

- Wszyscy są tacy pewni, że descolada to sztuczny wirus. Ale nikt nie rozważył innej możliwości: że prymitywniejsza, mniej odporna wersja descolady pojawiła się w sposób naturalny. A potem przekształciła się w obecną formę. Może i jest sztucznym wirusem, ale kto go stworzył? A teraz zabijamy ją, nie próbując nawet kontaktu.

Peter uśmiechnął się do niej, potem do Endera.

- Jestem zdziwiony, że to uosobienie sumienia nie pochodzi z twojej krwi. Ma taką obsesję poczucia winy jak ty albo Val.

Ender zignorował go i spróbował odpowiedzieć Quarze.

- Rzeczywiście, zabijamy ją. Ponieważ nie możemy już dłużej czekać. Descolada próbuje nas zniszczyć i nie ma czasu na zwłokę. Gdybyśmy mogli, próbowalibyśmy nadal.

- Rozumiem to - zgodziła się Quara. - Pomagałam przecież. Po prostu mdli mnie od słuchania, jacy to pequeninos są dzielni. A przecież dla ratowania własnej skóry biorą udział w ksenocydzie.

- My albo one, dziecinko - stwierdził Peter. - My albo one.

- Nie masz nawet pojęcia - wyznał Ender - jak mi wstyd, gdy z jego ust słyszę swoje własne argumenty. Peter roześmiał się.

- Andrew udaje, że mnie nie lubi - wyjaśnił. - Ale oszukuje. On mnie podziwia. Czci. Zawsze tak było. Podobnie jak ten jego śliczny aniołek.

Peter szturchnął Val. Nie odsunęła się. Zachowała się tak, jakby nie czuła jego palca na ramieniu.

- On czci nas oboje. W jego zwichrowanym rozumku Val jest moralną doskonałością, jakiej sam nie mógł osiągnąć. A ja jestem potęgą i geniuszem, jaki zawsze był odrobinę powyżej możliwości naszego biednego Andrew. Szczerze mówiąc, świadczy to o jego skromności: przez tyle lat nosił w umyśle lepszych od siebie.

Młoda Val wzięła Quarę za rękę.

- To najgorsze, co możesz zrobić w życiu - powiedziała. - Pomoc ludziom, których kochasz, w dziele, które w sercu uważasz za głębooko niesłuszne.

Quara rozplakała się.

Ale to nie Quara martwił się Ender. Wiedział, że jest dostatecznie silna, by bez szkody dla psychiki zaakceptować moralne sprzeczności swych działań. Ta niepewność prawdopodobnie złagodzi jej charakter, odbierze tę absolutną pewność, że jej sądy nieodmiennie są słuszne, a każdy, kto się z nimi nie zgadza, popełnia straszliwy błąd. W rezultacie wyjdzie z tej sprawy bardziej zdolna do zrozumienia i... tak, uczciwsza niż w zapalczywych dniach młodości. A może delikatna dłoń młodej Val... i słowa, ściśle definiujące ból Quary... uleczą ją szybciej.

Ender martwił się tym, że Grego spoglądał na Petera z wyraźnym zachwytem. Przecież najlepiej powinien rozumieć, do czego mogą prowadzić takie słowa. A jednak podziwiał żywy koszmar Endera. Muszę Petera gdzieś wysłać, pomyślał Ender. Inaczej zdobędzie na Lusitaniu więcej uczniów niż sam Grego... W dodatku użyje ich bardziej efektywnie i na dłuższą metę doprowadzi do większych tragedii.

Ender nie miał nadziei, że Peter okaże się podobny do prawdziwego Petera. Tamten dojrzał, stał się silnym i mądrym władcą. Ten Peter nie był przecież w pełni istotą ludzką, zdolną do niespodzianek i niejednoznaczności. Został stworzony na podstawie tej karykatury zła, jaka tkwiła w najgłębszych zakamarkach podświadomości Endera. Tutaj wszystko jest jasne. Próbując ratować Lusitanię od descolady, sprowadził nowe zagrożenie, potencjalnie równie niszczycielskie.

Ale nie tak trudne do zlikwidowania.

Po raz kolejny stłumił tę myśl. Powracała już z dziesięć razy od chwili, gdy uświadomił sobie, że to Peter siedzi obok niego na statku. On nie jest prawdziwy; to tylko mój zły sen. Jeśli go zabiję, to przecież nie będzie morderstwo. To moralny odpowiednik... czego? Przebudzenia. Wprowadziłem na świat swój koszmar, a kiedy go zabiję, świat zwyczajnie przebudzi się ze złego snu. Nic więcej.

Gdyby chodziło tylko o Petera, Ender zdołałby pewnie przekonać się do tego zabójstwa. Przynajmniej tak mu się teraz wydawało. Ale powstrzymywała go młoda Val. Delikatna, piękna duchowo... Jeśli można zabić Petera, to ją również. Jeśli jego trzeba zabić, to może i ją należy... Nie miała prawa istnieć. Była jak Peter: nienaturalna, ograniczona i zniekształcona w akcie tworzenia. Ale tego już by nie potrafił. Musi ją chronić, nie ranić... A skoro jedno z nich było dostatecznie rzeczywiste, by pozostać żywym, to drugie także. Jeśli usunięcie Val będzie morderstwem, to również usunięcie Petera. Byli przecież jedną kreacją.

Moje dzieci, myślał z goryczą Ender. Moje kochane potomstwo. Wskoczyli dojrzały z mojego umysłu, jak Atena z głowy Zeusa. Tylko że ja nie dostałem Ateny. Raczej Artemidę i Hadesa. Dziewicę łowczynię i władcę piekieł.

- Lepiej już chodźmy - rzekł Peter. - Zanim Andrew sam siebie przekona, żeby mnie zabić.

Ender uśmiechnął się słabo. To było najgorsze: że Peter i młoda Val przyszli na świat, wiedząc o jego myślach więcej niż on sam. Z czasem, miał nadzieję, ta szczegółowa wiedza zniknie. Ale na razie czuł tym większe poniżenie, gdy Peter drażnił się z nim, mówiąc o myślach, których nikt inny by nie odgadł. I młoda Val... poznawał po jej spojrzeniu, jakim go czasem obrzucała, że ona też wie. Nie miał już tajemnic.

- Odprowadzę cię do domu - zaproponowała Quarze Val.

- Nie. Zrobiłam, co zrobiłam. Będę tam, żeby zobaczyć ostatnią próbę Szkla.

- Nie chcemy przecież przegapić szansy publicznego cierpienia - wtrącił Peter.

- Zamknij się - burknął Ender. Peter odpowiedział uśmiechem.

- Daj spokój. Wiesz przecież, że Quara próbuje do maksimum wykorzystać sytuację. To jej metoda, żeby zostać główną gwiazdą. Wszyscy będą ją pocieszać, zamiast gratulować Eli sukcesu. Ukraść komuś scenę... to takie obrzydliwe, Quaro. Akurat do ciebie pasuje.

Quara odpowiedziałaby pewnie, gdyby słowa Petera nie były tak szokujące... i gdyby nie zawierały ziarna prawdy, które zdumiało ją samą. Dlatego to Val przeszła Petera lodowatym wzrokiem.

- Zamknij się - powiedziała.

To samo mówił wcześniej Ender, ale kiedy Val powtórzyła jego słowa, odniosły skutek. Peter wyszczerzył zęby i mrugnął porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć: pozwalam ci na te gierki, Val, ale i tak wiem, że tą swoją słodyczą podlizujesz się wszystkim. Nie odzywał się jednak i

wszyscy razem wyszli z celi Grega.

Na zewnątrz czekał burmistrz Kovano.

- To wielki dzień w dziejach ludzkości - oznajmił. - I zupełnym przypadkiem znajdę się na wszystkich zdjęciach.

Roześmiali się - najgłośniej Peter, który szybko i łatwo zaprzyjaźnił się z burmistrzem.

- To nie przypadek - stwierdził. - Wielu ludzi na pańskim stanowisku wpadłoby w panikę i zepsuło wszystko. Pozwolenie, by sprawy toczyły się tak, jak się potoczyły, wymaga otwartego umysłu i odwagi.

Ender niemal wybuchnął śmiechem, słysząc to oczywiste pochlebstwo. Jednak dla adresata pochlebstwo nigdy nie jest tak oczywiste. Naturalnie, Kovano szturchnął Petera w ramię i zaprotestował, lecz Ender widział, że słucha z przyjemnością. Peter miał już u burmistrza większe wpływy niż sam Ender. Czy ci ludzie nie widzą, że Peter cynicznie nimi manipuluje?

Biskup Peregrino był jedynym człowiekiem, który spoglądał na Petera z lękiem i odrazą, jak Ender. Ale w jego przypadku w grę wchodziły uprzedzenia religijne, nie mądrość, która nie pozwala ulegać pochlebstwom. Po kilku zaledwie godzinach od powrotu z Zewnętrzza, biskup wezwał do siebie Mira i nalegał na przyjęcie chrztu.

- Uzdrawiając cię, Bóg sprawił cud - powiedział. - Ale sposób, w jaki się to dokonało, ta zamiana jednego ciała na drugie zamiast bezpośredniego uleczenia starego... To stawia nas wobec ryzyka, że twój duch zamieszkuje w ciele, które nigdy nie zostało ochrzczone. A że chrztu dokonuje się na ciele, lękam się, że to ty nie zostałeś poświęcony.

Mira nie interesowały rozważania na temat cudów. Nie uważał, by Bóg miał coś wspólnego z jego uzdrowieniem. Jednak był tak szczęśliwy z odzyskania sił, mowy, wolności, że zgodziłby się pewnie na wszystko. Chrzest miał się odbyć na początku przyszłego tygodnia, podczas pierwszego nabożeństwa w nowej kaplicy.

Lecz gorliwość biskupa w stosunku do Mira nie objęła Petera i Val.

- To absurd, uważać te monstrualne stworzenia za ludzi - stwierdził stanowczo. - Nie mogą posiadać dusz. Peter to echo kogoś, kto żył już kiedyś i umarł, kto miał własne konto grzechów i pokuty, czyje miejsce w niebie albo piekle zostało już dawno wyznaczone. A co do tej... tej dziewczyny, tej drwiny z kobiecej gracji... Ona nie może być tym, za kogo się uważa, gdyż to miejsce zajmuje żyjąca kobieta. Nie ma chrztu dla podstępów Szklana. Stwarzając ich, Andrew zbudował wieżę Babel, próbował sięgnąć w niebiosa i stać się Bogiem. Nie zazna przebaczenia tak długo, póki nie odprowadzi tych dwojga do piekieł i tam nie pozostawi.

Czy Peregrino domyślał się choć przez chwilę, że Ender tego właśnie pragnął? Przedstawił ten pomysł Jane, lecz ona była nieugięta.

- To byłoby głupie - stwierdziła. - Przede wszystkim, dlaczego uważasz, żeby zniknęli? A po drugie, skąd wiesz, że nie stworzyłbyś po prostu następnej dwójki? Nie znasz bajki o uczniu czarnoksiężnika? Zabrać ich z powrotem, to jak pociąć miotły na połowy: w efekcie masz tylko więcej mioteł. Daj lepiej spokój.

Dlatego teraz szli razem do laboratorium. Peter, który owinął sobie burmistrza dookoła palca. Młoda Val, która zdobyła Quarę, choć raczej z altruistycznych niż egoistycznych pobudek. I Ender, ich stwórca, wściekły, poniżony i zalękniony.

Ja ich stworzyłem, zatem odpowiadam za wszystko, co zrobią. A oboje wyrządzą wiele krzywd. Peter, gdyż krzywdzenie ludzi leży w jego naturze, a przynajmniej takiego począłem go we wzorcu mojego umysłu. I młoda Val, mimo wrodzonej dobroci, ponieważ samo jej istnienie sprawia ból mojej siostrze Valentine.



- Nie pozwól tak się drażnić Peterowi - szepnęła Jane.
- Ludzie uważają, że on należy do mnie - subwokalizował Ender.
- Sądzą, że jest nieszkodliwy, bo ja jestem nieszkodliwy. Aleja nie mam nad nim władzy.
- Oni chyba to wiedzą.
- Muszę się go jakoś stąd pozbyć.
- Pracuję nad tym - zapewniła Jane.
- Może powinienem ich zapakować i wywieźć na jakąś pustą planetę. Znasz sztukę Shakespeare'a "Burza"?
- Kaliban i Ariel... Czy tym oni są?
- Wygnanie, ponieważ nie mogę ich zabić.
- Pracuję nad tym - powtórzyła Jane. - W końcu są częścią ciebie, prawda? Fragmentem wzorca twojego umysłu. Może potrafię ich wykorzystać zamiast ciebie, żeby przenieść się do Zewnętrzza? Wtedy moglibyśmy używać trzech statków, nie jednego.
- Dwóch - poprawił ją Ender. - Ja już nigdy tam nie polecę.
- Nawet na mikrosekundę? Gdybym zabrała cię i natychmiast sprowadziła z powrotem? Nie musimy tam czekać.
- To nie czekanie sprowadziło nieszczęście. Peter i młoda Val zjawili się natychmiast. Jeśli polecę, stworzę ich jeszcze raz.
- Dobrze - zgodziła się. - Zatem dwa statki. Jeden z Peterem, drugi z młodą Val. Muszę się nad tym zastanowić. Nie możemy przecież, po jednej podróży, na zawsze porzucić lotów szybszych niż światło.
- Owszem, możemy - odparł Ender. - Mamy już rekoladę. Miro zdobył dla siebie zdrowe ciało. To wystarczy. Ze wszystkim innym sami sobie poradzimy.
- Błąd - stwierdziła Jane, - Zanim dotrze flota, musimy przenieść pequeninos i królowe na inne planety. Wciąż trzeba dostarczyć wirus transformacyjny na Drogę i wyzwolić tamtejszych ludzi.
- Nie polecę więcej do Zewnętrzza.
- Nawet jeśli nie zdołam wykorzystać Petera i młodej Val do przenoszenia mojej aiua? Pozwolisz na zagładę pequeninos i królowej kopca, ponieważ boisz się własnej podświadomości?
- Nie rozumiesz nawet, jak niebezpieczny jest Peter.
- Może i nie. Za to rozumiem, jak niebezpieczny jest Mały Doktor. A gdybyś nie myślał ciągle o swoim nieszczęściu, Ender, zrozumiałbyś od razu. Choćby dookoła biegało pięciuset małych Peterów i Val, i tak musimy użyć kosmolotu, żeby przenieść pequeninos i królowe kopców do innych światów. Wiedział, że Jane ma rację. Wiedział przez cały czas. Ale to nie znaczy, że gotów był to przyznać.
- Postaraj się przenieść siebie do Petera i młodej Val - subwokalizował. - Chociaż... niech Bóg ma nas w opiece, jeśli Peter też potrafi tworzyć, kiedy się znajdzie w Zewnętrzzu.
- Nie przypuszczam - stwierdziła Jane. - Nie jest taki sprytny, jak mu się wydaje.
- Jest - zapewnił Ender. - A jeśli w to wątpisz, to ty nie jesteś taka sprytna, jak ci się wydaje.

Ela nie była jedyną osobą, która postanowiła odwiedzić Sadownika, by przygotowywać się do ostatecznej próby Szklą. Nieme drzewo wciąż było tylko pędem, małym wobec solidnych pni Człowieka i Korzeniaka. Ale to wokół tego pędu zgromadzili się ocaleni pequeninos. I - jak Ela - przyszli tu, by się modlić. Była to niezwykła, cicha modlitwa. Kapłani pequeninos unikali pompy i ceremonii. Po prostu klęczeli z innymi i szeptali w kilku swych językach. Niektórzy w mowie braci, inni w mowie drzew. Ela podejrzewała, że to, co słyszy od zebranych tu żon, to ich własny, codzienny język... a może święta mowa, używana w kontaktach z matczynym drzewem. Pequenino

modlili się też w językach ludzi, w storku i po portugalsku; któryś z księży używał chyba starożytnej, kościelnej łaciny. Znalazła się pośrodku istnej wieży Babel, a jednak wyczuwała powszechną jedność. Modlili się u grobu męczennika - przy tym, co po nim zostało - o życie brata, który miał iść w jego ślady. Jeśli Szkło umrze dzisiaj na zawsze, powtórzy tylko ofiarę Sadownika. A jeśli przejdzie do trzeciego życia, będzie je zawdzięczał przykładowi i odwadze Sadownika.

Ponieważ to właśnie Ela przyniosła z Zewnętrza recoladę, uhonorowali ją krótką chwilą samotności u pnia drzewa. Objęła dłonią smukły kij, żałując, że nie ma w nim więcej życia. Czy aiua Sadownika zaginęła, wędrując po bezprzeźstrzeni Zewnętrza? Czy może Bóg naprawdę zabrał jego duszę do nieba, gdzie Sadownik obcuje teraz ze świętymi?

Sadowniku, módl się za nami. Wstaw się za nami. Jak moi błogosławieni dziadkowie zanieśli moją modlitwę do Ojca, ty teraz proś za nas Chrystusa o łaskę dla wszystkich twoich braci i sióstr. Niech recolada przeniesie Szkło do trzeciego życia, abyśmy z czystym sumieniem mogli rozprzeźstrzeni ją po całym świecie i zastąpić zabójczą descoladę. Wtedy naprawdę lew będzie mógł żyć obok jagnięcia i pokój zapanuje na tym świecie.

Jednak, nie pierwszy raz, Ela miała wątpliwości. Była pewna, że poszli właściwą drogą - nie przeżywała wahań Quary. Nie wiedziała tylko, czy powinna opierać recoladę na najstarszych próbkach descolady. Jeśli rzeczywiście descolada wywołała wojowniczość pequeninos i pragnienie zdobywania nowych terenów, wtedy Ela mogła uznać, że przywraca im poprzedni, bardziej „naturalny” stan. Ale przecież wcześniejszy stan także był efektem gajalologicznego działania descolady. Wydawał się bardziej naturalny, gdyż tacy byli pequeninos, kiedy na planetę przybyli ludzie. Ela miała więc powody do obaw, że dokonuje modyfikacji wzorców zachowań całego gatunku, świadomie usuwając agresywność, by zmniejszyć prawdopodobieństwo przyszłego konfliktu z ludźmi. Czy im się to podoba, czy nie, przerabiam ich teraz na dobrych chrześcijan. Oczywiście, Człowiek i Korzeniak to apróbują, ale to nie zdejmuje ze mnie odpowiedzialności, gdyby w rezultacie pequeninos doznali szkody.

Boże, wybac mi, że udawałam boga w życiu dzieci twoich. Kiedy aiua Sadownika stanie przed tobą, by wstawić się za nami, wysłuchaj modlitwy, którą powtórzy w naszym imieniu... lecz tylko wtedy, jeśli wolą twoją jest taka przemiana rasy. Pomóż nam w dobrym, ale powstrzymaj nas, gdybyśmy nieświadomie zmięrzali ku złemu. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Palcem otarła łzę i przycisnęła ją do gładkiej kory. Nie ma cię w tym drzewie, Sadowniku; ale i tak czujesz. Wierzę w to, Bóg nie pozwoli, by tak szlachetny duch zginął w ciemności.

Pora wracać. Delikatne ręce braci dotykały jej, ciągnęły, popychały w stronę laboratorium, gdzie w separacie Szkło czekał na przejście do trzeciego życia.

Kiedy Ender odwiedzał Sadownika, ten leżał w łóżku, otoczony instrumentami medycznymi. Teraz sterylny pokój wyglądał całkiem inaczej. Szkło cieszył się doskonałym zdrowiem, a chociaż oplatały go wszelkiego typu czujniki, nie musiał leżeć. Wesoły i zadowolony, nie mógł się doczekać kolejnego etapu.

Wreszcie przybyła Ela i pozostali pequeninos. Można było zaczynać.

Jedynym murem utrzymującym sterylność było teraz pole destrukcyjne; pequeninos, którzy przyszli zobaczyć przejście, widzieli wszystko wyraźnie. Tylko oni oglądali rytuał na otwartej przestrzeni. Może powodowani delikatnością, a może potrzebą odgrózenia się od brutalności spektaklu, ludzie czekali w laboratorium, gdzie tylko okno i monitory pozwalały śledzić, co dzieje się ze Szkiem.

Szkło czekał, aż bracia w skafandrach stanęli wokół z drewnianymi nożami w rękach. Wtedy zerwał capim i zaczął zuć źdźbła. To był środek znieczulający, dzięki któremu potrafi znieść rytuał.

Ale był to również pierwszy przypadek, kiedy brat przeznaczony do trzeciego życia gryzł miejscową trawę, nie zawierającą descolady. Jeśli nowy wirus Eli spełni oczekiwania, ta capim podziała tak, jak przedtem działała capim sterowana wirusem.

- Jeśli przejdę do trzeciego życia - oznajmił Szkło - będzie to dziełem Boga i jego sługi Sadownika, nie moim.

Słusznie postąpił, swe ostatnie słowa w mowie braci poświęcając na oddanie honoru Sadownikowi. Wielu ludzi płakało, wspominając tamtą ofiarę. Choć Ender z trudem interpretował emocje pequeninos, nie miał wątpliwości, że te ćwierkające dźwięki, jakie dobiegają od grupy pequeninos na zewnątrz, to także płacz czy jakaś inna reakcja odpowiednia dla wspomnienia o Sadowniku. Jednak Szkło mylił się sądząc, że nie zasłużył na chwałę. Wszyscy wiedzieli, że mimo nadziei na sukces, porażka wciąż jest możliwa. Nikt nie był pewien, czy recolada Eli posiada moc przeniesienia brata do trzeciego życia.

Bracia w sterylnych kombinezonach przystąpili do dzieła.

Tym razem to nie ja, myślał Ender. Dzięki Bogu, nie ja muszę unieść nóż, by sprawić śmierć brata.

Mimo to nie odwrócił wzroku, jak wielu z obecnych w laboratorium. Krew nie była dla niego nowością, i chociaż przez to nie stała się bardziej znośna, wiedział przynajmniej, że zdoła to wytrzymać. A co Szkło potrafił znieść, temu Ender powinien dać świadectwo. To przecież obowiązek mówcy umarłych, prawda? Dawać świadectwo. Chłonał wszystko, co mógł stąd dostrzec: jak rozcięli żywe ciało, jak ułożyli organy na ziemi, by mogło wyrosnąć drzewo, póki umysł ofiary jest przytomny i żywy. Przez cały czas Szkło nie wydał żadnego dźwięku, nie wykonał ruchu, który świadczyłby o bólu. Albo był niewyobrażalnie dzielny, albo recolada w capim wykonała swoje dzieło i trawa zachowała znieczulające właściwości.

Wreszcie skończyli. Bracia, którzy przeprowadzili Szkło do trzeciego życia, wrócili do sterylnej komory. Oczyszczili skafandry z recolady i bakterii wirycydu, zrzucili je i nago przeszli do laboratorium. Byli poważni, ale Ender widział z trudem skrywane podniecenie i radość. Wszystko poszło dobrze. Czuli, jak reaguje ciało Szkała. W ciągu godzin, może nawet minut, powinny rozwinąć się pierwsze liście nowego drzewa. I w głębi serc byli pewni, że to nastąpi.

Ender zauważył też, że jeden z nich był księdzem. Zastanawiał się, Co by na to powiedział biskup. Stary Peregrino dowiedział, że potrafi przyjąć na łono Kościoła obcą rasę, potrafi dostosować rytuał i doktrynę do szczególnych potrzeb pequeninos. Nie zmieniało to jednak faktu, że Peregrino jest starym człowiekiem i nie lubi myśleć o kapłanach uczestniczących w rytuałach, które - mimo wyraźnego podobieństwa do ukrzyżowania - wciąż nie zostały uznane sakramentami. No cóż, ci bracia z pewnością wiedzieli, co robią. Nieważne, powiedzieli czy nie powiedzieli biskupowi o udziale jednego z księży. Ender o tym nie wspomni. Ani żaden inny z obecnych tu ludzi, gdyby przypadkiem coś zauważył.

Owszem, drzewo rosło z wigorem, liście rozwijały się w oczach. Minie jeszcze wiele godzin, może dni, nim zdobędą pewność, że to ojcowskie drzewo, że Szkło żyje w nim, przytomny i świadomy. Długie oczekiwanie, gdy Szkło musi trwać w pełnej izolacji.

Gdybym tylko mógł znaleźć takie miejsce, pomyślał Ender, gdzie też byłbym odizolowany... Gdzie mógłbym bez przeszkód rozmyślać o niezwykłych wydarzeniach, jakie mnie spotkały.

Ale nie należał do pequeninos, a źródłem niepokoju nie był wirus, który zostanie usunięty. Choroba atakowała same korzenie jego tożsamości. Nie był pewien, czy kiedykolwiek zdoła się jej pozbyć, nie niszcząc przy tym siebie. A może, pomyślał, Peter i Val reprezentują sumę tego, kim sam jestem. Może gdyby odeszli, nic by już nie pozostało. Jaka część mojej duszy, jakie działanie w całym życiu, nie da się wytłumaczyć wpływem woli i decyzji kogoś z nich?

Czy jestem sumą swego potomstwa? Czy różnicą między nimi? Czego dowodzi ta szczególna arytmetyka mojej duszy?

Valentine starała się walczyć z obsesją na punkcie tej młodej dziewczyny, którą Ender przywiózł z Zewnątrz. Wiedziała naturalnie, że to jej młodsza wersja, że taką ją pamiętał. Pomyślała nawet, że to słodkie: przez tyle lat nosił w sercu tak silne wspomnienie o niej. Ze wszystkich ludzi na Lusitanii, ona jedna wiedziała, dlaczego w tym właśnie wieku przetrwała w jego podświadomości. Do tego czasu przebywał w Szkole Bojowej, całkowicie odcięty od rodziny. I choć nie mógł tego wiedzieć, rodzice właściwie o nim zapomnieli. Nie o jego istnieniu, oczywiście, ale o jego obecności w swym życiu. Zwyczajnie już go nie było, nie oni za niego odpowiadali. Oddając go państwu, uzyskali odpuszczenie. Bardziej uczestniczyliby w ich życiu, gdyby umarł; w tej sytuacji nie mieli nawet grobu, który mogliby odwiedzać. Valentine nie winiła ich - wykazali, że są elastyczni, potrafią się przystosować. Ale sama nie potrafiła ich naśladować. Ender zawsze był przy niej, był w jej sercu. Aż wreszcie, wewnętrznie rozbity nieustannymi wyzwaniem Szkoły Bojowej, postanowił wycofać się z całego przedsięwzięcia. Praktycznie rzecz biorąc zastrajkował. Wtedy oficer, który miał zmienić go w uległe narzędzie, przyszedł do Valentine. Sprowadził ją do Endera. Podarował im chwilę samotności - ten sam człowiek, który wcześniej oderwał ich od siebie, pozostawiając w jej sercu głębokie blizny. Wtedy uleczyła brata... dostatecznie, by powrócił i ocalił ludzkość, unicestwiając robale.

Oczywiście, że przetrwałam we wspomnieniach z tego właśnie okresu, a nie z niezliczonych późniejszych wspólnych przeżyć. Oczywiście, gdy podświadomość sięga w najbardziej intymne obszary pamięci, w najgłębszym zakątku serca znajduje tę dziewczynę, jaką wtedy byłam.

Wiedziała o tym, rozumiała to, wierzyła... A jednak irytowało, bolało, że przez cały czas uważał ją za taką niemal bezmyślnie doskonałą istotę. Że naprawdę kochał tę niemożliwie czystą dziewczynę. To dla tej wyimaginowanej Valentine był mi tak bliskim towarzyszem przez długie lata, nim poślubiłam Jakta. A może właśnie przez to małżeństwo powrócił do swej dziecięcej wizji mojej osoby?

Bzdura. Nie ma sensu rozważać, co oznacza ta dziewczyna. Nieważne, jak została stworzona. Była tu teraz i trzeba się z tym pogodzić.

Biedny Ender... On chyba niczego nie rozumiał. Naprawdę z początku myślał, że powinien trzymać młodą Yal przy sobie.

- Jest przecież w pewnym sensie moją córką - stwierdził kiedyś.

- W żadnym sensie nie jest twoją córką - odpowiedziała mu Valentine. - Jeśli już, to raczej moją.

A z pewnością nie wypada, żeby mieszkała u ciebie. Zwłaszcza że jest tam Peter, a znam wielu bardziej godnych zaufania strażników.

Ender nie do końca się z nią zgadzał - wolałby raczej pozbyć się Petera niż Val - ale ustąpił. Od tego dnia Val zamieszkała w domu Valentine. Valentine planowała stać się jej przyjaciółką i nauczycielką, jednak nic z tego nie wyszło. W towarzystwie Val czuła się skrępowana. Szukała pretekstów do wyjścia, gdy Val była w domu; była wdzięczna, kiedy Ender zabierał ją gdzieś z Peterem.

Wreszcie nastąpiło to, co zdarzało się już wielokrotnie: Plikt wkroczyła bez słowa i rozwiązała problem. Stała się towarzyszką Val i jej opiekunką w domu Valentine. Kiedy Val nie przebywała z Enderem, przebywała z Plikt. A dziś rano Plikt zaproponowała, że przeprowadzi się do własnego domu: ona i Val. Może zbyt szybko się zgodziłam, myślała Valentine. Ale podejrzewam, że Val równie trudno mieszka się ze mną, co mnie z nią.

Teraz jednak, patrząc, jak Plikt i Val wchodzą do kaplicy na kolanach i czołgają się do ołtarza, by wśród innych ucałować pierścień biskupa Peregrino, Valentine uświadomiła sobie pewną prawdę. Niczego nie uczyniła „dla dobra Val”, cokolwiek próbowała sobie wmówić. Val jest całkowicie samowystarczalna, niewzruszona, spokojna. W jaki sposób Valentine miałaby uczynić ją bardziej lub mniej szczęśliwą? W życiu tej dziewczyny jestem nieistotnym czynnikiem. Ale ona jest dla mnie bardzo istotna. Jest równocześnie potwierdzeniem i zaprzeczeniem najważniejszego związku mojego dzieciństwa i dużej części dorosłego życia. Wolałabym, żeby w Zewnątrz rozsypała się w nicość, jak stare, kalekie ciało Mira. Wolałabym nigdy nie patrzeć na siebie w takiej postaci.

Bowiem patrzyła właśnie na siebie. Ela od razu przeprowadziła testy. Potwierdziły jej przypuszczenia. Młoda Val i Valentine były genetycznie tożsame.

- To nie ma sensu - protestowała Valentine. - Ender nie mógł przecież zapamiętać mojego kodu genetycznego. Na statku nie było wzorca tego kodu.

- Spodziewasz się ode mnie wyjaśnienia? - spytała Ela.

Ender zaproponował rozwiązanie: aż do spotkania z Valentine, kod genetyczny Val był nieustalony. Potem filoty w ciele Val uformowały się według wzorca znalezionej u Valentine.

Valentine nie zdradzała swoich poglądów, nie wierzyła jednak, by Ender odgadł prawdę. Młoda Val miała geny Valentine od samego początku, ponieważ nie mógł mieć innych ktoś tak dokładnie pasujący do wizji Endera. Tego wymagały prawa natury, które Jane starała się zachować wewnątrz statku. A może istniała jakaś moc, nadająca kształt i porządek w przestrzeni całkowitego chaosu. To zresztą bez znaczenia - poza jednym: jakkolwiek irytująco doskonała, bez skazy i niepodobna do mnie wydaje się ta nowa pseudo-Val, wizja Endera była dostatecznie wierna, by stworzyć istotę genetycznie tożsamą. Czyli: nie odbiega zbyt daleko od prawdy. Może wtedy rzeczywiście byłam doskonała, a wszelkie wady pojawiły się później. Może naprawdę byłam taka piękna. Może naprawdę byłam taka młoda.

Kłęcząły przed biskupem. Plikt pocałowała pierścień, choć nie musiała uczestniczyć w pokucie Milagre.

Kiedy jednak przyszła kolej na Val, biskup cofnął rękę i odwrócił się. Jeden z księży wystąpił naprzód i polecił wiernym zająć miejsca.

- Nie mogę - zaprotestowała Val. - Nie odprawiłam jeszcze pokuty.

- Nie ma dla ciebie pokuty - wyjaśnił kapłan. - Biskup uprzedził mnie, zanim przyszłaś: nie było cię tu, kiedy dokonał się grzech. Dlatego nie uczestniczysz w pokucie.

Młoda Val spojrzała na niego ze smutkiem.

- Stworzył mnie ktoś inny, nie Bóg - powiedziała. - Dlatego biskup mnie odpycha. Dopóki żyje, nie dopuści mnie do komunii.

Ksiądz także posmutniał. Trudno było nie żałować młodej Val, gdyż prostota i słodycz sprawiały, że wydawała się krucha. Za to człowiek, który ją zranił, czuł się brutalny i niezręczny, uszkadzając coś tak delikatnego.

- Dopóki papież nie zdecyduje - rzekł ksiądz, - To trudna sprawa.

- Wiem - szepnęła Val. Zawróciła i usiadła między Plikt i Valentine.

Nasze łokcie się stykają, myślała Valentine. Córnka, która jest dokładnie mną, jakbym wyklonowała ją trzydzieści lat temu.

Ale ja nie chcę jeszcze jednej córki. I z pewnością nie pragnę własnego duplikatu. Ona wie o tym. Czuje. Cierpi więc to, czego ja nigdy nie zaznałam - jest nie chciana i nie kochana przez tych, którzy najbardziej są do niej podobni.

Co czuje wobec niej Ender? Czy także marzy, by zniknęła? A może chciałby być jej bratem, tak jak

był moim, tyle już lat temu? Kiedy ja byłam w jej wieku, a on nie popełnił jeszcze ksenocydu. Ale też nie mówił o umarłych. Królowa Kopca, Hegemon, Życie Człowieka - wszystko to dopiero go czekało. Był dzieckiem, niepewnym, zrozpaczonym, załęcznionym. Jak mógłby pragnąć powrotu do tamtych dni?

Po chwili wszedł Miro, poczołgał się do ołtarza i pocałował pierścień. Biskup zwolnił go od wszelkiej odpowiedzialności, on jednak odprawiał pokutę wraz z innymi. Valentine słyszała szepty, kiedy posuwał się do przodu. Każdy, kto pamiętał go sprzed wypadku, dostrzegał wyraźny cud - odrodzenie Mira, który żył między nimi.

Nie znałam cię wtedy, Miro, pomyślała Valentine. Czy zawsze byłeś taki odległy, zamyślony? Ciało zostało uleczone, ale ty sam nadal jesteś człowiekiem, który cierpiał. Czy uczyniło cię to zimnym, czy pełnym współczucia?

Odwrócił się i usiadł obok niej, na miejscu, które zająłby Jakt, gdyby nie przebywał w kosmosie. Skoro descolada wkrótce zginie, ktoś musi sprowadzić na powierzchnię Lusitani tysiące zamrożonych mikrobów, roślin i zwierząt. Muszą tu żyć, by zapewnić normalną gaialogię i ustabilizować system klimatyczny. Dokonywano tego już wiele razy. Tu jednak będzie trudniej, gdyż ziemskie gatunki nie powinny wypierać miejscowych, od których zależeli pequeninos. Jakt był tam, w górze, i pracował dla wspólnego dobra. To rozsądny powód, ale mimo to Valentine bardzo za nim tęskniła. A jeszcze bardziej go potrzebowała, gdy stworzenia Endera budziły w niej taki niepokój. Miro nie mógł zastąpić męża, zwłaszcza że jego nowe ciało wyraźnie przypominało o tym, co zaszło w Zewnątrz.

Co bym stworzyła, gdybym to ja tam poleciała? Chyba nie wróciłabym tu z inną osobą; obawiam się, że żadna dusza nie tkwi tak głęboko u korzeni mojej psychiki. Chyba nawet moja własna. Czym, jeśli nie szukaniem człowieczeństwa, były gorliwe studia nad historią? Inni znajdują je, zaglądając we własne serca. Tylko zagubione dusze szukają je za sobą.

- Kolejka już się kończy - szepnął Miro. Za chwilę zacznie się nabożeństwo.

- Gotów do oczyszczenia się z grzechów?

- Biskup tłumaczy, że oczyści z grzechów tylko to nowe ciało. Ja nadał muszę spowiadać się i odprawiać pokutę za grzechy popełnione w starym. Cieleśne były raczej wykluczone, ale pozostało sporo zazdrości, pogardy, złośliwości i użalania się nad sobą. Zastanawiam się tylko, powinienem wyznać grzech samobójstwa. Kiedy stare ciało się rozpadło, odpowiadało na pragnienia mojego serca.

- Nie powinieneś odzyskiwać głosu - mruknęła Valentine. - Papłasz teraz tylko po to, żeby słyszeć, jak pięknie to robisz.

Uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

Biskup rozpoczął nabożeństwo od modlitwy, dziękując Bogu za wszystkie osiągnięcia ostatnich miesięcy. Poprzez pominięcie, zwrócił uwagę na stworzenie dwóch nowych obywateli Lusitani. Za to uzdrowienie kaleki z pewnością było dziełem bożym. Peregrino niemal od razu przywołał Mira do ołtarza i udzielił mu chrztu. Potem, ponieważ nie była to msza, przeszedł do kazania.

- Nieskończona jest łaska Pana - powiedział. - Możemy tylko mieć nadzieję, że dane nam będzie więcej, niż na to zasłużyliśmy, że wybaczone nam będą grzechy pojedynczych osób i całego ludu. Możemy mieć nadzieję, jak Niniwa, co pokutą odwróciła zniszczenie, że ubłagamy Pana naszego, by ocalił nas przed flotą, którą zezwolił wysłać jako karę za nasze grzechy.

Miro szepnął tak cicho, że tylko ona słyszała.

- I wysłał tę flotę jeszcze przed spaleniem lasu?

- Może Pan uwzględnia tylko czas przybycia, nie odlotu - zasugerowała Valentine. I natychmiast

pożałowała żartu. To, co działo się tu dzisiaj, wymagało powagi. Nie była głęboko wierzącą katoliczką, ale wiedziała, że to wielka rzecz, gdy społeczność uznaje swą odpowiedzialność za uczynione zło i szczerze odprawia pokutę.

Biskup mówił o tych, co zmarli w blasku świętości: Os Venerados, którzy pierwsi ratowali ludzkość przed zarazą descolady; ojcu Estevao, którego ciało leży pod podłogą kaplicy i który zginął broniąc prawdy przed herezją; Sadownikowi, który zmarł, by wykazać, że Bóg, nie wirus dał dusze jego braciom; i pequeninos, którzy polegli jako niewinne ofiary.

- Wszyscy oni będą może kiedyś świętymi. Gdyż jest to czas taki, jak za pierwszych dni chrześcijaństwa, kiedy wielkie czyny i wielka świątobliwość bardziej były potrzebne, a zatem i częściej osiągane. Ta kaplica jest grobowcem wszystkich, co kochali pana Boga swego z całego serca swego i całej duszy swojej, a bliźniego swego jak siebie samego. Niech wszyscy, co wkraczają tutaj, czynią to ze złamanym sercem i pełni skruchy, by ich także dotknęła ta świętość.

Kazanie było krótkie, ponieważ zaplanowano na ten dzień wiele identycznych nabożeństw. Ludzie przychodzili do kaplicy grupami - była za mała, by pomieścić wszystkich mieszkańców Milagre. Po chwili dobiegło końca. Valentine wstała. Chciała wyjść za Plikt i Val, ale Miro chwycił ją za ramię.

- Jane właśnie mi powiedziała - oświadczył. - Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

- Co?

- Wypróbowała statek bez Endera na pokładzie.

- Jak to możliwe? - zdziwiła się.

- Peter - wyjaśnił Miro. - Zabrała go do Zewnętrzza i z powrotem. Potrafi przenieść jej aiua, jeśli rzeczywiście tak odbywa się podróż.

- Czy on...? - Nie potrafiła wysłować swego największego lęku.

- Coś stworzył? Nie. - Miro uśmiechnął się... ale z lekką drwiną. Valentine pomyślała, że to wpływ na psychikę minionego kalectwa. - On twierdzi, że ma umysł bardziej wyrazisty i zdrowszy niż Andrew.

- Możliwe.

- Ja uważam, że żadna filota nie chciała stać się fragmentem jego wzorca. Za bardzo zboczony.

Valentine zaśmiała się cicho.

Zbliżył się biskup. Ponieważ wychodzili jako ostatni, teraz zostali sami przed drzwiami kaplicy.

- Dziękuję, że przyjąłeś drugi chrzest - powiedział Peregrino. Miro skłonił głowę.

- Niewielu ludzi mogło dostąpić oczyszczenia po tak długim grzesznym życiu - odparł.

- Valentine... przykro mi, że nie mogłem przyjąć twojej... imienniczki.

- Proszę się nie martwić, księżo biskupie. Rozumiem. Może nawet zgadzam się z księdzem.

Biskup potrząsnął głową.

- Lepiej by było, gdyby oni po prostu...

- Odeszli? - podpowiedział Miro. - To życzenie się spełni. Peter wkrótce odleci; Jane potrafi pilotować statek z nim na pokładzie. Z pewnością jest to możliwe również z młodą Val.

- Nie - zaprotestowała Valentine. - Ona nie może lecieć. Jest za...

- Za młoda? - Miro roześmiał się. - Oboje urodzili się, dysponując całą wiedzą Endera. Mimo młodego ciała, trudno ją nazwać dzieckiem.

- Gdyby się urodzili, nie musieliby odchodzić - zauważył biskup.

- To nie życzenie księdza biskupa zmusza ich do odlotu. Peter ma przekazać Drodze wirusa Eli, a statek młodej Val wyruszy na poszukiwanie planet podatnych do zasiedlenia przez królową kopca i pequeninos.

- Nie możesz jej wysłać z taką misją - oświadczyła Valentine.

- Nie wysyłam jej - odparł Miro. - Zabieram ją. A raczej ona mnie zabiera. Chcę lecieć. Wszelkie ryzyko biorę na siebie. Będzie bezpieczna, Valentine.

Valentine wciąż kręciła głową, ale wiedziała, że w końcu musi ustąpić. Val sama będzie nalegać, chociaż wydaje się taka młoda. Bez niej, może wyruszyć tylko jeden statek, a jeśli polecą nim Peter, nie wiadomo, czy użyje go w słusznych celach. Valentine musi się z tym pogodzić. Cokolwiek zagrozi młodej Val, nie będzie gorsze od ryzyka, jakie wcześniej podjęli inni. Jak Sadownik. Jak ojciec Estevao. Jak Szkło.

Pequeninos zgromadzili się pod drzewem Sadownika. Powinni wybrać drzewo Szkla, gdyż on jako pierwszy osiągnął trzecie życie z recoladą. Ale kiedy tylko mogli z nim rozmawiać, w pierwszych słowach odrzucił pomysł uwolnienia recolady i wirycydu obok jego drzewa. Ten honor należy do Sadownika, oświadczył. Bracia i żony zgodzili się z nim.

Teraz więc Ender opierał się o pień swego przyjaciela Człowieka, którego zasadził wiele lat temu, przenosząc do trzeciego życia. Powinien odczuwać radość z uwolnienia pequeninos od descolady... ale przez cały czas był przy nim Peter.

- Słabość chwala słabość - stwierdził Peter. - Sadownik przegrał, a oni teraz oddają mu cześć. Szkło zwyciężył i stoi tam samotny na polu eksperymentalnym. A najgłupsze w tym wszystkim jest to, że dla Sadownika wszystkie honory nie mają żadnego znaczenia, ponieważ jego aiua nie ma w tym drzewie.

- Dla Sadownika może i nie mają - odparł Ender. Nie był tego całkiem pewien. - Ale wiele znaczą dla prosiaczków.

- Tak. Znaczą, bo są słabi.

- Jane mówi, że zabrała cię do Zewnątrz.

- Zwykła wycieczka. Ale następnym razem już nie Lusitania będzie moim celem.

- Mówi, że dostarczysz wirus Eli na Drogę.

- Pierwszy przystanek - wyjaśnił Peter. - Tu już nie wrócę. Możesz na to liczyć, staruszk.

- Potrzebujemy statku.

- Macie tę słodką dziewczuszkę. A ta suka robali może wypluwać wam statki tuzinami. Jeśli tylko potrafisz płodzić dostateczną ilość istot takich jak ja i Valentine, żeby je pilotowały.

- Ucieszę się wiedząc, że odlatujesz na stałe.

- Nie jesteś ciekaw, jakie mam plany?

- Nie - rzekł Ender.

Kłamał i Peter o tym wiedział.

- Zamierzam dokonać tego, na co tobie brakło rozumu i twardości. Chcę zatrzymać flotę.

- Jak? Magicznie pojawisz się na ich okręcie flagowym?

- Gdyby doszło do najgorszego, zawsze mogę użyć Systemu Dr M, zanim się zorientują, że tam jestem. Ale niewiele bym osiągnął. Żeby zatrzymać flotę, muszę zatrzymać Kongres. A żeby zatrzymać Kongres, muszę przejąć stery.

Ender od razu zrozumiał, co to oznacza.

- Uważasz, że znowu możesz zostać hegemonem? Niech Bóg wspomaga ludzkość, jeśli ci się uda.

- Dlaczego nie? Raz mi się udało i nie radziłem sobie najgorzej. Wiesz przecież... sam napisałeś książkę.

- To był prawdziwy Peter - odparł Ender. - Nie ty, ta zniekształcona wersja stworzona z mojej nienawiści i strachu.

Czy Peter miał w sobie dość wrażliwości, by po tych szorstkich słowach poczuć urazę? Ender



miał wrażenie, przez moment przynajmniej, że twarz Petera ukazywała... co? Ból? Czy po prostu złość?

- Teraz ja jestem prawdziwym Peterem - oświadczył po tej króciutkiej przerwie. - I lepiej módl się, żebym zachował swoje talenty. W końcu, potrafiłeś dać Val geny Valentine. Może i ja jestem wszystkim, czym był Peter.

- A może świnie potrafią fruwać. Peter roześmiał się.

- Potrafiłyby, gdybyś poleciał do Zewnątrz i dostatecznie mocno w to wierzył.

- Leć zatem.

- Tak. Wiem, że chętnie się mnie pozbędziesz.

- I poszczuję cię na resztę ludzkości? Niech to będzie dla nich karą za wysłanie floty. - Ender chwycił Petera za ramię i przyciągnął blisko. - Nie myśl, że tym razem też będę bezradny. Nie jestem już małym chłopcem. Jeśli będzie trzeba, zniszczę cię.

- Nie możesz - stwierdził Peter. - Łatwiej byłoby ci zabić siebie.

Rozpoczęła się ceremonia. Bez żadnej pompy, bez pierścienia do całowania, bez kazania. Ela i jej asystenci przynieśli kilkaset kostek cukru przesyconych wirusobójczą bakterią, i tyle samo fiolek roztworu zawierającego rekoladę. Rozdano je zgromadzonym. Każdy z pequeninos brał kostkę,ssał ją i połykał, po czym wypijał płyn.

- Oto jest ciało moje - zaintonował Peter. - Tak czyńcie na moją pamiątkę.

- Czy dla niczego nie masz szacunku? - zapytał Ender,

- Bierzcie i pijcie wszyscy. Oto jest krew moja, którą za was wylałem. Tak czyńcie na moją pamiątkę. - Peter uśmiechnął się. - Do tej komunii nawet ja mogę przystąpić, chociaż nie byłem ochrzczony.

- Nic dziwnego. Nie wymyślili jeszcze chrztu, który zmyłby z ciebie grzechy,

- Założę się, że całe życie czekałeś, żeby powiedzieć mi coś takiego. - Peter odwrócił się tak, by Ender zobaczył wszczepiony w ucho klejnot, łączy Jane. Na wypadek, gdyby nie zauważył, Peter ostentacyjnie dotknął przekaźnika. - Pamiętaj, mam tutaj źródło wszelkiej mądrości. Pokaże ci, co robię, jeśli cię to zainteresuje. Jeśli nie zapomnisz o mnie, kiedy tylko odlecę.

- Nie zapomnę - obiecał Ender.

- Mógłbyś wybrać się ze mną - zaproponował Peter.

- I zaryzykować stworzenie jeszcze kilku takich jak ty?

- Przydałoby mi się towarzystwo.

- Zapewniam cię, Peter, że wkrótce miałbyś siebie tak dosyć, jak ja teraz.

- Nigdy. Nie czuję do siebie takiej odrazy jak ty, dręczone wyrzutami sumienia narzędzie lepszych i silniejszych od siebie. I jeśli nie stworzysz dla mnie towarzyszy, trudno. Sam ich sobie znajdę.

- W to nie wątpię - mruknął Ender.

Kostki cukru i próbówki dotarły wreszcie do nich. Zjedli i wypili.

- Smak wolności - westchnął Peter. - Cudowny.

- Doprawdy? - zastanowił się Ender. - Zabijamy rasę, której nie potrafiliśmy zrozumieć.

- Wiem, o co ci chodzi. O wiele przyjemniej jest zniszczyć przeciwnika, kiedy umie pojąć głębię swej porażki - odparł Peter i wreszcie sobie poszedł.

Ender pozostał aż do zakończenia ceremonii. Rozmawiał z wieloma spośród obecnych: z Człowiekiem i Korzeniakiem, oczywiście, z Valentine; Elą, Quandą i Mirem.

Musiał złożyć jeszcze jedną wizytę. Próbował tego już kilka razy, ale zawsze był odpychany, odsyłany bez słowa. Teraz jednak Novinha wyszła, by z nim porozmawiać. I wydawała się całkiem spokojna, wolna od bólu i złości.

- Znalazłam ukojenie - wyjaśniła. - I teraz wiem, choć może za późno, jak nieprawy był mój gniew.

Ender ucieszył się, słysząc te słowa. Zdziwiły go jednak użyte określenia. Czy Novinha mówiła kiedyś o prawości?

- Zrozumiałam, że mój syn wypełniał dzieło boże. Nie mogłeś go powstrzymać, gdyż Bóg chciał, by wyruszył do pequeninos. By doprowadził do cudów, jakie od tego dnia się zdarzyły. - Zapłakała. - Miro był u mnie. Uleczony. Bóg jest miłosierny. Kiedy umrę, w niebie spotkam też Quima.

Nawróciła się, pomyślał Ender. Po tylu latach lekceważenia Kościoła, gdy była katoliczką, ponieważ w żaden inny sposób nie mogła pozostać obywatelką Kolonii Lusitańskiej, nawróciły ją tygodnie spędzone z Dziećmi Umysłu Chrystusa. Cieszę się z tego, myślał. Znowu ze mną rozmawia.

- Andrew - powiedziała. - Chcę, żebyśmy znowu byli razem. Wyciągnął rękę, by ją objąć. Chciał płakać z ulgi i radości. Ona jednak cofnęła się.

- Nie rozumiałeś mnie. Nie wrócę z tobą do domu. Tu jest teraz mój dom.

Miała rację: nie rozumiał. Ale teraz już pojął. Ona nie tylko nawróciła się na katolicyzm. Nawróciła się na zakon bezustannej ofiary, do którego mają prawo wstąpić tylko mężowie i żony, tylko razem, by w rozkwicie małżeństwa przyjąć śluby trwałej abstynencji.

- Novinho - szepnął. - Nie mam w sobie dość wiary i siły, by zostać jednym z Dzieci Umysłu Chrystusa.

- Kiedy je znajdziesz, będę tu na ciebie czekała.

- Czy to jedyna nadzieja, jaka mi pozostała, by być z tobą? Wyrzec się miłości do twego ciała, aby zachować twoje towarzystwo?

- Andrew - odparła cichym głosem. - Tęsknię za tobą. Ale przez tyle lat grzeszyłam cudzołóstwem, że jedyną nadzieją radości jest dla mnie wyrzeczenie się ciała i oddanie życiu duchowemu. Jeśli muszę, uczynię to samotnie. Ale z tobą... och, Andrew, brakuje mi ciebie.

I mnie ciebie brakuje, pomyślał.

- Brakuje mi ciebie jak oddechu - wyszeptał. - Ale nie proś o to. Żyj ze mną jako moja żona, póki nie przeminą resztki młodości. A kiedy zgaśnie pożądanie, wrócimy tu razem. Wtedy mogą być szczęśliwy.

- Nie rozumiesz? - spytała. - Złożyłam przyrzeczenie. Dałam słowo.

- Mnie też je dałaś.

- Mam złamać śluby złożone Bogu, by dotrzymać złożonych tobie?

- Bóg zrozumie.

- Jak łatwo ci, co nie słyszą jego głosu, decydują, czego by chciał, a czego nie.

- A ty słyszysz teraz jego głos?

- Słyszę jego pieśń w sercu, jak psalmiści. Bóg jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

- Dwudziesty trzeci. Gdy ja słyszę tylko dwudziesty drugi. Uśmiechnęła się blado.

- Czemuś mnie opuścił? - zacytowała.

- I ta część o bykach Baszanu - dodał Ender. - Zawsze miałem wrażenie, że osaczają mnie byki.

Roześmiała się.

- Przyjdź do mnie, kiedy potrafisz - powiedziała. - Poczekam, aż będziesz gotów. Odwróciła się.

- Czeka! Czekała.

- Przyniosłem ci wirycyd i recoladę.

- Trjumpf Eli. - Westchnęła. - To już poza mną. Nie ponieśliście straty, kiedy porzuciłam pracę.

Mój czas minął, a ona mnie prześcignęła.

Wzięła do ust kostkę cukru, poczekała, aż się rozpuści, i przełknęła. Potem uniosła probówkę i spojrzała pod światło - ostatnie blaski wieczoru.

- Na tle czerwonego nieba wydaje się, że w środku wszystko płonie.

Wypiła... a raczej wysączyła, aby dłużej czuć smak płynu. Chociaż Ender wiedział, że roztwór jest gorzki i na długo pozostawia w ustach nieprzyjemny posmak.

- Mogę cię odwiedzać?

- Raz w miesiącu - odparła.

Powiedziała to tak szybko, że od razu wiedział, iż rozważyła tę sprawę i podjęła decyzję, której nie ma zamiaru zmieniać.

- W takim razie raz w miesiącu będę u ciebie - obiecał.

- Dopóki nie będziesz gotów, by się ze mrią połączyć.

- Dopóki ty nie będziesz gotowa, żeby do mnie wrócić - odpowiedział.

Ale był pewien, że ona się nie ugnie. Novinha nie należała do osób, które łatwo zmieniają zdanie. Nakreśliła już jego przyszłość.

Powinien odczuwać urazę i gniew. Powinien grozić, że uwolni się od małżeństwa z kobietą, która go odrzuca. Ale nie miał pojęcia, co by mu przyszło z tej wolności. Nic już nie zależy ode mnie, pomyślał. Moja praca, taka jaką była, dobiegła końca. Mój wpływ na przyszłość to dzieła moich dzieci... dzieci, jakie zrodziłem: potwór Peter i ta niemożliwie doskonała Val.

A Miro, Grego, Quara, Ela, Olhado - czy oni również nie są moimi dziećmi? Czy nie pomogłem ich stwarzać, chociaż powstały z miłości Liba i ciała Novinhy, wiele lat przed moim przylotem na tę planetę?

Zapadł już mrok, gdy odnalazł młodą Val, chociaż nie rozumiał nawet, po co właściwie jej szuka. Była w domu Olhada, razem z Plikt. Gdy jednak Plikt z nieprzeniknioną twarzą siedziała w cieniu, oparta o ścianę, Val bawiła się z dziećmi Olhada.

Oczywiście, że bawi się z dziećmi, pomyślał Ender. Sama jest jeszcze dzieckiem, niezależnie od doświadczeń, jakie narzuciła jej moja pamięć.

Ale kiedy stał w progu i obserwował, zrozumiał, że nie bawi się tak samo ze wszystkimi. To Nimbowi poświęcała swą uwagę. Chłopiec, który poparzył się, nie tylko dosłownie, w noc tłuszczu. Dzieci grały w jakąś prostą grę, która jednak nie pozwalała im na rozmowy. Mimo to między Nimbem i Val trwała rozmowa. Jej uśmiech do niego... nie jak uśmiech kobiety zachęcającej kochanka, a raczej jak uśmiech siostry, przekazujący bratu bezgłośnie wiadomość o miłości, wierności i zaufaniu.

Ona go leczy, domyślił się Ender. Jak wiele lat temu mnie uleczyła Valentine. Nie słowem. Tylko swoją obecnością.

Czyżbym nawet tę umiejętność jej przekazał? Czy tak wiele było mocy i prawdy w moim marzeniu? W takim razie może i Peter ma w sobie wszystko, co miał mój prawdziwy brat... wszystko, co było niebezpieczne i straszne, ale też stworzyło nowy porządek.

Mimo starań, Ender nie potrafił w to uwierzyć. Młoda Val potrafiła może leczyć spojrzeniem, ale w Peterze niczego takiego nie było. Tę twarz widział Ender w dzieciństwie, jak spogląda na niego z lustra w Grze Fantasy, w tej strasznej komnacie, gdzie umierał znowu i znowu, nim wreszcie zdołał zawrzeć w sobie pierwiastek Petera, i pójść dalej.

Przejąłem Petera i zjadłem całą rasę. Wziąłem go do swego wnętrza i popełniłem ksenocyd. Przez wszystkie te lata wierzyłem, że zdołałem się z niego oczyścić. Że odszedł. Ale on nigdy mnie nie opuścił.

Idea porzucenia świata i wstąpienia do zakonu Dzieci Umysłu Chrystusa... wiele go w niej pociągało. Może tam Novinha i on zdołają się pozbyć demonów, jakie ścigały oboje przez tyle lat. Novinha nigdy jeszcze nie była tak spokojna jak dzisiaj.

Val zauważyła go w drzwiach i podeszła.

- Co tu robisz? - zdziwiła się.

- Szukam ciebie - odpowiedział.

- Plikt i ja spędzimy tę noc z rodziną Olhada - wyjaśniła. Zerknęła na Nimba i uśmiechnęła się.

Chłopiec wyszczerzył zęby.

- Jane mówiła, że odlatujesz - rzekł cicho Ender.

- Jeśli Peter potrafi utrzymać w sobie Jane, ja też potrafię - odparła. - Miro poleci ze mną. Szukać światów zdolnych do zasiedlenia.

- Tylko jeśli tego chcesz.

- Nie żartuj - mruknęła. - Odkąd robisz tylko to, czego chcesz? Wykonam to, co wykonać trzeba i co tylko ja wykonać mogę. Przytaknął.

- Tylko po to przyszedłeś? - spytała. Znowu kiwnął głową.

- Chyba tak.

- A może jesteś tutaj, bo chciałbyś znowu być tym dzieckiem co wtedy, kiedy widziałeś dziewczynę z taką twarzą?

Słowa ukłuły go... o wiele mocniej, niż kiedy Peter odgadł, co mu leży na sercu. Współczucie Val budziło większe cierpienie niż wżgarda tamtego.

Dostrzegła wyraz jego twarzy i błędnie to zrozumiała. Z ulgą przekonał się, że zdolna jest do pomyłek. A jednak nie wie o mnie wszystkiego.

- Wstydzisz się mnie? - spytała.

- Jestem zakłopotany - odparł. - Ponieważ wystawiłem na widok publiczny swoją podświadomość. Ale nie wstydzę się. Nie ciebie. - Zerknął na Nimba. - Zostań tu i dokończ, co zaczęłaś.

Uśmiechnęła się lekko.

- To dobry chłopiec - zapewniła. - Wierzył, że postępuje słusznie.

- Tak - zgodził się. - Ale przestał nad tym panować.

- Nie wiedział, co robi. Kiedy nie rozumiesz konsekwencji swoich działań, jak można cię za nie obwiniać?

Wiedział, że w równej mierze mówi o nim, Enderze Ksenobójcy, co o Nimbie.

- Nie ponosisz winy - odpowiedział. - Ale ponosisz odpowiedzialność. Za uleczenie ran, jakie zadałeś.

- Tak - zgodziła się. - Ran, jakie zadałeś. Ale nie wszystkich ran na świecie.

- Tak? A dlaczego nie? Bo sama chcesz je uleczyć? Roześmiała się lekko, po dziewczęcemu.

- Nic się nie zmieniłeś, Andrew. Przez wszystkie te lata.

Uśmiechnął się do niej, uściśnął lekko i odesłał w jasność pokoju. Sam jednak powrócił w mrok i ruszył w stronę domu. Było dostatecznie widno, żeby widział drogę, a mimo to potykał się i kilka razy pobłądził.

- Płakałeś - odezwała się w uchu Jane.

- To taki szczęśliwy dzień - odpowiedział.

- Jest szczęśliwy. Chyba tylko ty jeden marnujesz na siebie litość.

- I bardzo dobrze. Tylko ja, ale to znaczy, że jest ktoś taki.

- Masz mnie - zauważyła. - A nasze stosunki były czyste przez cały czas.

- Miałem w życiu dość czystości - odparł. - Nie liczyłem na więcej.

- Wszyscy w końcu wracają do czystości. Wszyscy kończą poza zasięgiem grzechów śmiertelnych.

- Ale ja nie umarłem. Jeszcze nie. A może tak?

- Czy to wygląda jak niebo? - spytała. Roześmiał się, niezbyt przyjemnie.
- Sam widzisz. Nie jesteś martwy.
- Zapomniałaś - rzekł. - To może być piekło.
- A jest?

Pomyślał o wszystkim, co zdołali osiągnąć. Wirusy Eli. Uzdrowienie Mira. Troska Val o Nimba. Spokojny uśmiech na twarzy Novinhy. Radość pequeninos, kiedy oswobodzenie rozpoczęło swój marsz przez świat. Wiedział, że w tej chwili wirycyd wycina coraz szerszy łąn wśród prerii capim wokół kolonii. Z pewnością dotarł już do innych lasów; bezradna descolada ustępuje przed niemą, pasywną recoladą. Takie zmiany nie mogły przecież dziać się w piekle.

- Chyba rzeczywiście żyję - uznał.
- I ja także - oświadczyła. - To już coś. Nie tylko Peter i Val wyskoczyli ci z głowy.
- Nie tylko oni - zgodził się.
- Oboje nadal żyjemy, chociaż zbliżają się trudne chwile. Przypomniał sobie, co ją czeka: psychiczne okaleczenie, odległe zaledwie o kilka tygodni. Zawstydził się własnego cierpienia.
- Lepiej kochać i utracić - mruknął - niż nie kochać wcale.
- Może to banał - przyznała Jane. - Ale to jeszcze nie znaczy, że nie jest prawdą.

*Dopóki nie zniknął, nie wyczuwałam zmian w wirusie descolady.*

*Adaptował się do ciebie?*

*Zaczynał smakować jak ja sama. Włączył do swojej struktury większą część moich molekuł genetycznych.*

*Może przygotowywał się, żeby cię przemienić jak nas.*

*Ale kiedy opanował twoich przodków, połączył ich z drzewami, wśród których żyli. Z kim mógłby nas połączyć?*

*Jakie formy życia istnieją na Lusitanii, prócz tych, które już tworzą pary ?*

*Może descolada zamierzała przyłączyć nas do istniejącej pary albo zastąpić nami jeden z elementów.*

*A może chciała połączyć was z ludźmi?*

*Teraz zginęła. Nigdy nie nastąpi to, co planowała.*

*Ciekawe, jakie życie byś prowadziła. Kopulowała z ludzkimi samcami?*

*To obrzydliwe.*

*A może byś rodziła żywe potomstwo, tak jak robią to ludzkie samice ?*

*Skończ z tą ohydą.*

*Zastanawiałem się tylko.*

*Descolada zniknęła. Jesteście od niej wolni.*

*Ale nie wolni od tego, czym powinniśmy się stać. Wierzę, że przed jej nadejściem zyskaliśmy inteligencję. Wierzę, że nasza historia jest starsza od pojazdu, który ją tutaj przyniósł. Wierzę, że gdzieś w naszych genach tkwi sekret życia pequeninos, kiedy mieszkali na drzewach, nie byli larwalnym etapem rozwoju świadomych drzew.*

*Gdybyś nie miał trzeciego życia, Człowieku, byłbyś teraz martwy.*

*Teraz... Ale za życia byłbym nie zwykłym bratem, a ojcem. Za życia mógłbym podróżować wszędzie, nie musiałbym wracać do swojego lasu, aby spłodzić potomstwo. Nie musiałbym tkwić przyrośnięty do jednego miejsca, prowadząc zastępcze życie poprzez opowieści, jakie znoszą mi bracia.*

*Nie wystarczy ci oswobodzenie od descolady? Musisz pozbyć się także wszelkich jej konsekwencji? Inaczej nie będziesz zadowolony?*

*Zawsze jestem, zadowolony. Jestem kim jestem, jakkolwiek do tego doszło.*

*Jednak nadal w niewoli.*

*Samce i samice nadal muszą oddać życie, aby przekazać swe geny.*

*Biedny głupcze. Czy myślisz, że wolna jestem ja, królowa kopca? Czy myślisz, że ludzcy rodzice odzyskują prawdziwą wolność po wydaniu na świat młodych? Jeśli życie oznacza dla ciebie niezależność, niczym nie skrepowaną swobodę, wtedy żadna ze świadomych istot nie jest żywa. Żadne z nas nigdy nie jest w pełni wolne.*

*Zapuć korzenie, przyjaciółko, a potem mi powiedz, jak mało miałaś wolności, gdy żyłaś bez nich.*

Wang-mu i mistrz Hań czekali razem nad rzeką, jakieś sto metrów od domu... przyjemny spacer po ogrodzie. Jane uprzedziła ich, że ktoś przybędzie im na spotkanie, ktoś z Lusitanii. Oboje wiedzieli, że oznacza to lot szybszy niż światło. Przypuszczali jednak, że gość musiał wejść na orbitę

wokół Drogi, przelecieć promem na powierzchnię i teraz przekrada się do nich.

Zamiast tego na brzegu, tuż przed nimi, pojawiła się śmiesznie mała konstrukcja. Otworzył się luk. Wyszedł mężczyzna. Młody człowiek: mocno zbudowany, biały, ale przystojny. Trzymał w dłoni probówkę.

Uśmiechnął się.

Wang-mu nie widziała jeszcze nigdy takiego uśmiechu. Ten człowiek widział ją całą na wylot, jakby natychmiast zawładnął jej duszą. Jakby ją znał od bardzo dawna, od zawsze... lepiej, niż ona znała samą siebie.

- Wang-mu - rzekł. - Królewska Matka Zachodu. I Hań Fei-tzu, wielki nauczyciel Drogi.

Skłonił się. Odpowiedzieli tym samym.

- Moje przesłanie jest krótkie - powiedział. Wręczył Haniowi probówkę. - Oto wirus. Kiedy tylko odleczę... ponieważ nie mam ochoty na przemiany genetyczne, uprzejmie dziękuję... wypijesz to. Przypuszczam, że smakuje jak ropa albo coś równie obrzydliwego, ale wypij mimo wszystko. Następnie skontaktuj się z możliwie wielką liczbą ludzi, w domu czy w tym pobliskim miasteczku. Masz jakieś sześć godzin, zanim się rozchorujesz. Przy odrobinie szczęścia, na drugi dzień wszystkie symptomy ustąpią. Bez wyjątku. - Wyszczерzył zęby. - Koniec z tymi tańcami, mistrzu Hań.

- Koniec wreszcie ze służalczością nas wszystkich - odparł Hań Fei-tzu. - Jesteśmy przygotowani na to, żeby natychmiast rozpowszechnić wiadomość.

- Nie mówcie nikomu jeszcze przez kilka godzin po wprowadzeniu wirusa.

- Oczywiście. Twoja mądrość doradza mi ostrożność, chociaż serce nakazuje, by jak najszybciej ogłosić cudowny przewrót, jaki zwiastuje nam miłosierna zaraza.

- Owszem, całkiem miła - zgodził się przybysz. Spojrzał na Wang-Mu - Ale ty przecież nie potrzebujesz wirusa?

- Nie, proszę pana - potwierdziła.

- Jane twierdzi, że należysz do najbardziej inteligentnych osób, jakie poznała.

- Jane jest zbyt łaskawa.

- Nie. Pokazywała mi dane. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Nie podobało się jej, że jego oczy jednym długim spojrzeniem obejmują całe jej ciało. - Nie musisz tu czekać na zarazę. Właściwie nawet lepiej, jeśli się wyniesiesz, zanim wybuchnie.

- Wyniosę?

- A co cię tu trzyma? - zapytał młody człowiek. - Niezależnie od wszystkich tutejszych rewolucji, wciąż będziesz dzieckiem nisko urodzonych rodziców. W takim świecie możesz się starać przez całe życie, a i tak pozostaniesz nikim, zaledwie służącą z zadziwiająco byстрыm umysłem. Polec ze mną, a będziesz zmieniać historię. Tworzyć historię.

- Polecieć po co?

- Żeby obalić Kongres, naturalnie. Powalić ich i na kolanach odesłać do domów. Wszystkie światy kolonialne uczynić równoprawnymi członkami związku, zwalczyć korupcję, odkryć zbrodnicze sekrety i odwołać Flotę Lusitańską, zanim dokona masakry. Nadać prawa wszystkim rasom ramenów. Pokój i wolność.

- I pan zamierza tego dokonać?

- Nie sam - oznajmił. Poczwała ulgę.

- Będę miał ciebie.

- Po co?

- Żebyś pisała. Mówiła. Robiła wszystko to, do czego będziesz potrzebna.

- Ale ja nie mam wykształcenia, proszę pana. Mistrz Hań dopiero zaczął mnie uczyć.

- Kim jesteś? - zapytał Hań Fei-tzu. - Jak śmiesz oczekiwać, że taka przyzwoita dziewczyna odleci z obcym?

- Przyzwoita dziewczyna? Która oddaje ciało nadzorcy, w zamian za szansę zbliżenia do bogosłyszającej, która może, wcale nie musi, wybrać ją na sekretną drużną? Nie, mistrzu Hań, może ona udaje przyzwoitą dziewczynę, ale jest kameleonem. Zmienia skórę za każdym razem, kiedy uzna, że coś tym uzyska.

- Nie jestem kłamcą, proszę pana - oświadczyła.

- Nie. Jestem pewien, że szczerze zmieniasz się w tego, kogo udajesz. Dlatego mówię teraz: udawaj, że jesteś rewolucjonistką u mego boku. Nienawidzisz tych drani, którzy wyrządzili tyle krzywd twojemu światu. Prawda?

- Skąd pan tyle o mnie wie?

Stuknął się w ucho. Dopiero teraz zauważyła tam klejnot.

- Jane informuje mnie o ludziach, których mam poznać.

- Jane wkrótce zginie - przypomniała Wang-mu.

- Może na pewien czas trochę zgłupieje - odparł przybysz. - Ale nie umrze. Pomogłaś ją ocalić. A póki znów nie zmądrzeje, będę miał ciebie.

- Nie mogę - odparła. - Boję się.

- Jak chcesz. Proponowałem ci.

Ruszył do luku swojego małego kosmolotu.

- Czekał - zawołała. Obejrzał się.

- Powiesz mi przynajmniej, kim jesteś?

- Nazywam się Peter Wiggin - odparł. - Ale myślę, że przez jakiś czas będę używał fałszywego nazwiska.

- Peter Wiggin... - szepnęła. - To przecież imię...

- Moje. Później ci to wyjaśnię... jeśli będę miał ochotę. Na razie powiem tylko, że wysłał mnie Andrew Wiggin. Wysłał właściwie siłą.

Mam misję do spełnienia. Uznał, że zrealizuję ją tylko na planetach, gdzie najsilniej koncentrują się struktury władzy Kongresu. Kiedyś byłem hegemonem, Wang-mu, i zamierzam znów objąć to stanowisko, choć tytuł może wtedy brzmieć inaczej. Polecą wióry, sprawię mnóstwo kłopotów i wywrócę do góry nogami całe te Sto Światów. Zapraszam cię do pomocy. Chociaż wcale mnie nie obchodzi, czy pomożesz. Wprawdzie miło by było dysponować twoim umysłem i towarzystwem, ale załatwię tę sprawę tak czy inaczej. Więc co? Lecisz czy nie? W agonii niepewności zwróciła się do Hań Fei-tzu.

- Miałem nadzieję, że będę cię uczył - powiedział mistrz Hań. - Ale jeśli ten człowiek planuje to, o czym przed chwilą mówił, to przy nim, bardziej niż przy mnie, wpłyniesz na bieg historii ludzkości. Tutaj wirus wykona za nas całą pracę.

- Opuścić cię, to jak stracić ojca - szepnęła Wang-mu.

- Jeśli odleczysz, utracę drugą i ostatnią córkę.

- Nie łamcie mi serca oboje - wtrącił Peter. - Mam tu statek szybszy niż światło. Nie musi porzucić Drogi na całe życie. Jeżeli coś nie wyjdzie, za dzień czy dwa mogę ją odwiedzić z powrotem. Zgoda?

- Wiem, że pragniesz polecieć - oświadczył Hań Fei-tzu.

- Czy wiesz także, że równie mocno chcę zostać?

- Wiem. I wiem jeszcze, że polecisz.

- Tak - przyznała. - Polecę.



- Niech bogowie cię strzegą, córko moja, Wang-mu - rzekł mistrz Hań.

- I niech po każdej stronie wschodzi dla ciebie słońce, ojciec Hanie.

Postąpiła o krok. Młody człowiek imieniem Peter ujął ją za rękę i poprowadził do kosmolotu. Luk zamknął się za nimi. Po chwili statek zniknął.

Hań Fei-tzu czekał jeszcze dziesięć minut, by uporządkować swe uczucia. Potem otworzył probówkę, wypił zawartość i sprężystym krokiem ruszył do domu. Stara Mu-pao powitała go tuż za progiem.

- Mistrzu Hań - powiedziała. - Nie miałam pojęcia, gdzie pan poszedł. Zniknęła też Wang-mu.

- Nie wróci przez jakiś czas - wyjaśnił. Po czym zbliżył się tak, by jego oddech owiewał jej twarz.

- Byłaś wierniejsza temu domowi, niż na to zasłużyliśmy.

Dostrzegł przerażenie w jej oczach.

- Mistrzu Hanie, nie odprawia mnie pan?

- Nie - odparł. - Myślałem, że ci dziękuję.

Opuścił Mu-pao i przeszukał dom. Qing-jao nie było w jej pokoju. Nic dziwnego. Ostatnio prawie cały czas poświęcała gościom. To odpowiadało jego planom. I rzeczywiście, znalazł ją w porannym pokoju, z trójką bardzo szacownych, starych, bogosłyszających mężczyzn z miasta oddalonego o dwieście kilometrów.

Qing-jao przedstawiła ich grzecznie, po czym - w obecności ojca - przyjęła rolę posłusznej córki. Hań Fei-tzu skłonił się przed każdym z gości, znalazł też okazję, by dotknąć dłoni jednego z nich. Jane tłumaczyła, że wirus przenosi się bardzo łatwo. Wystarczała zwykła fizyczna bliskość; dotyk gwarantował zarażenie.

A kiedy powitał gości, zwrócił się do córki.

- Qing-jao - zapytał. - Czy przyjmiesz dar ode mnie? Skłoniła głowę.

- Cokolwiek ma dla mnie ojciec, przyjmę z wdzięcznością - odparła z pokorą. - Chociaż wiem, że niegodna jestem jego uwagi.

Wyciągnął ramiona i przytulił ją do siebie. Była sztywna i oporna - tak impulsywne zachowanie wobec obcych nie zdarzyło mu się od czasów, kiedy była jeszcze całkiem małą. Ale trzymał ją mocno, gdyż wiedział, że nie wybaczy mu tego, co niesie ten uścisk. Zatem może to już ostatni raz trzyma w ramionach swoją Jaśniejącą Blaskiem.

Qing-jao wiedziała, co oznacza uścisk ojca. Widziała, jak wychodzi on z Wang-mu do ogrodu, jak na brzegu pojawia się kosmolot w kształcie włoskiego orzecha. Zobaczyła, że ojciec bierze fiolkę z rąk krągłookiego przybysza. Widziała, jak pije. Potem przysłała tutaj, do tego pokoju, by w jego imieniu powitać gości. Spełniam swe obowiązki, szacowny ojciec, chociaż ty zamierzasz mnie zdradzić.

I nawet teraz, wiedząc, że ten uścisk to najokrutniejszą z prób zagłuszenia w niej głosu bogów... że tak mało ma dla niej szacunku, by wierzyć, że zdołają oszukać... nawet teraz przyjęła to, co zechciał jej ofiarować. Czyż nie był jej ojcem? Ten jego wirus z planety Lusitani może, ale nie musi odebrać jej bogów. Skąd ma wiedzieć, na co bogowie pozwolą swoim wrogom? Ale gdyby odepchnęła ojca, gdyby okazała nieposłuszeństwo, z pewnością by ją ukarali. Lepiej pozostać im wierną, okazując należny ojcu szacunek i pokorę, niż nieposłuszeństwo, które uczyni ją niegodną boskich darów.

Dlatego objęła go i głęboko wciągnęła w piersi jego oddech.

Pomówił krótko z gośćmi i odszedł. Uznali to za szczególny honor - Qing-jao tak starannie ukrywała szaleńczy bunt ojca przeciw bogom, że wciąż uważano go za najgodniejszego z mieszkańców Drogi.

Rozmawiała z gośćmi uprzejmie, uśmiechała się grzecznie, wreszcie odprowadziła do drzwi. Nie dała poznać, że zabierają ze sobą broń. Po co? Ludzka broń na nic się nie zda przeciw bogom, chyba że sami tego zechcą. A gdyby nie chcieli więcej przemawiać do ludu Drogi, może tak właśnie zamaskują tę decyzję. Niech sądzą niewierni, że lusitański wirus ojca uciszył bogów; ja będę wiedzieć, jak wszyscy szczerze wierzący mężczyźni i kobiety, że bogowie przemawiają, do kogo zapragną. Żaden produkt ludzkich rąk nie zdoła ich powstrzymać, jeśli nie będzie to ich wola. Wszystkie działania ludzi są niczym. Niech sobie Kongres wierzy, że to dzięki niemu głos bogów słyszany jest na Drodze. Niech sobie ojciec i Lusitańczycy wierzą, że uciszają bogów. Ja wiem, że jeśli tylko będę tego godna, bogowie do mnie przemówią.

Kilka godzin później Qing-jao była śmiertelnie chora. Gorączka zaatakowała jak cios pięści: dziewczyna upadła i nie wiedziała nawet, że służący przenieśli ją do łóżka. Przybyli lekarze... choć mogła im wyjaśnić, że nic nie poradzą i narażają się tylko na zarażenie. Milczała jednak, gdyż jej ciało zbyt gwałtownie walczyło z chorobą. Czy raczej walczyło, by odrzucić jej własne tkanki i organy. Aż wreszcie dokonana się przemiana genów. Organizm musiał się jeszcze oczyścić z dawnych przeciwciał. Qing-jao spała i spała.

Kiedy się przebudziła, trwało jasne popołudnie. - Czas - wychrypiąta, a komputer w pokoju podał dzień i godzinę. Gorączka wyrwała jej z życia dwie doby. Qing-jao była rozpalona z pragnienia. Wstała, zataczając się przeszła do łazienki, odkręciła wodę, napełniła kubek i piła, piła do nasycenia. W ustach miała obrzydliwy smak. Gdzie jest służba, która powinna karmić ją i pić w czasie choroby?

Na pewno też się pochorowali. I ojciec... z pewnością uległ przede mną. Kto poda mu wodę?

Znalazła go śpiącego. Był mokry od potu i miał dreszcze. Przebudziła go kubkiem wody; wypił szybko, spoglądając w górę, w jej oczy. Pytał o coś? Czy może błagał o wybaczenie? Czyń pokutę wobec bogów, ojciec; córki nie musisz przeproszać.

Qing-jao znalazła też służących, jednego po drugim. Niektórzy byli tak lojalni, że nie położyli się do łóżek, a raczej padli tam, gdzie zatrzymały ich obowiązki. Żyli, wracali do siebie i na pewno wkrótce całkiem wyzdrowieją. Dopiero kiedy odszukała wszystkich i o wszystkich się zatroszczyła, Qing-jao zeszła do kuchni i wzięła sobie coś do jedzenia. Z początku nie mogła utrzymać w żołądku niczego prócz rzadkiej, letniej zupy. Nakarmiła nią domowników.

Po kilku godzinach wszyscy już odzyskali siły. Qing-jao zabrała służących i zaniósła wodę i zupę do sąsiednich domów, zarówno bogatych jak ubogich. Wszyscy przyjmowali ją z ogromną radością, wielu się za nią modliło. Nie bylibyście tacy wdzięczni, myślała Qing-jao, gdybyście wiedzieli, że zaraza przyszła z mojego domu, z woli mojego ojca.

Milczała jednak.

Przez cały czas bogowie nie żądali od niej oczyszczenia.

Nareszcie, myślała. Nareszcie ich zadowoliliam. Nareszcie zrobiłam to, czego wymaga prawość.

Kiedy wróciła, chciała już tylko spać. Ale służący, którzy zostali w domu, zebrali się w kuchni wokół holowizora i oglądali wiadomości. Qing-jao prawie nigdy ich nie słuchała; najważniejszych informacji dostarczał jej terminal. Jednak służący sprawiali wrażenie poważnych i tak niespokojnych, że weszła do kuchni i stanęła wśród nich przed ekranem.

Lektorka mówiła o zarazie, która ogarnęła całą Drogę. Kwarantanna nie dawała efektów albo też wprowadzano ją zbyt późno. Kobieta wróciła już do zdrowia po chorobie i tłumaczyła, że zaraza nie zabiła prawie nikogo, choć wielu uniemożliwiła pracę. Wyizolowano wirusa, jednak ginął zbyt szybko, by przeprowadzić badania.

- Wydaje się, że pewien typ bakterii podąża za wirusem i zabija go, gdy tylko zarażony wraca do

zdrowia. Bogowie okazali nam łaskę, razem z chorobą posyłając lekarstwo.

Głupcy, myślała Qing-jao. Gdyby bogowie chcieli, byście wyzdrowieli, po co mieliby najpierw was zarażać?

Ale natychmiast zrozumiała, że sama jest głupia. Oczywiście, że bogowie mogli zesłać chorobę i lekarstwo. Jeśli nadchodziła choroba, a za nią podążał lek, sprawili to bogowie. Jak mogła uznać to za głupotę? To jakby obraziła samych bogów.

Zadrzała, czekając na atak boskiej dezaprobaty. Tak wiele godzin przetrwała bez oczyszczenia, że kiedy nadejdzie pokuta, będzie wielkim ciężarem. Czy znowu każą jej prześledzić deski w całym pokoju?

Ale nie czuła niczego. Żadnej chęci, by śledzić linie słoików. Żadnego przymusu mycia.

Spojrzała na ręce. Były brudne, ale to jej nie przeszkadzało. Mogła je umyć albo nie, według życzenia.

Na moment ogarnęła ją niezmierna ulga. Czy to możliwe, że ojciec, Wang-mu i Jane od początku mieli rację? Czy genetyczna przemiana wywołana zarazą uwolniła ją od skutków potwornej zbrodni, wieki temu popełnionej przez Kongres?

Lektorka jakby usłyszała myśli Qing-jao. Zaczęła odczytywać dokument, który pojawił się w komputerach na całej planecie. Głosił, że zaraza jest darem bogów i wyzwala naród Drogi z pęt wprowadzonych przez Kongres zmian genetycznych. Do tej chwili genetyczne udoskonalenia prawie zawsze łączyły się ze schorzeniem typu psychozy natręctw, którego ofiary określano powszechnie bogosłyszającymi. Kiedy jednak zaraza przeminie, ludzie przekonają się, że wszyscy posiadają udoskonalone geny. Bogosłyszający zaś, niosący dotąd najcięższe brzemie, zostali przez bogów uwolnieni od konieczności ciągłego oczyszczania.

- Dokument ten stwierdza, że oczyszczony został cały świat. Bogowie przyjęli nas. - Głos lektorki drżał. - Nie wiadomo, skąd pochodzi ten tekst. Komputerowa analiza stylu nie zdołała przypisać go żadnemu ze znanych autorów. Pojawił się równocześnie w milionach komputerów, co sugeruje, że pochodzi ze źródła o niewyobrażalnej potędze. - Zawahała się. Drzenie głosu stało się wyraźniejsze. - Jeśli niegodna lektorka wiadomości może zadać pytanie w nadziei, że mędrcy usłyszą je i odpowiedzą... czy to możliwe, że sami bogowie przesłali nam tę wieść, byśmy zrozumieli, jak wielki dar ofiarowali ludowi Drogi?

Qing-jao słuchała jeszcze przez chwilę i narastała w niej wściekłość. To Jane napisała i rozpowszechniła ten tekst. Jak śmiała sądzić, że rozumie zamiary bogów! Posunęła się za daleko. Trzeba zaprzeczyć tym kłamstwom. Trzeba ukazać Jane i ogłosić o spisku ludzi z Lusitanii.

Służący zerkali na nią. Przez kilka sekund ona także przyglądała się im po kolei.

- O co chcecie mnie spytać?

- Pani - odezwała się Mu-pao. - Wybacz naszą ciekawość. W wiadomościach mówili o czymś, w co uwierzemy jedynie wtedy, gdy ty nam powiesz, że to prawda.

- Cóż mogę wiedzieć? - odparła Qing-jao. - Jestem tylko głupią córką wielkiego człowieka.

- Ale jesteś bogosłyszającą, pani - rzekła Mu-pao. Odważna jesteś, pomyślała Qing-jao, skoro ważysz się mówić o tym nieproszona.

- Przez całą noc, odkąd przysłaś do nas niosąc żywność i wodę, i kiedy wielu z nas poprowadziłaś do ludzi, by pomagać chorym, ani razu nas nie opuściłaś, by dokonać oczyszczenia. Nie widzieliśmy jeszcze, byś wytrzymała tak długo.

- Czy nie przyszło wam do głowy, że może doskonale wypełnialiśmy wolę bogów? - odpowiedziała Qing-jao. - Dlatego nie musiałam się oczyszczać.

Mu-pao zawstydziała się.

- Nie. O tym nie pomyśleliśmy.

- Odpocznij teraz - rzekła Qing-jao. - Nikt z nas nie odzyskał jeszcze pełni sił. Ja muszę porozmawiać z ojcem.

Zostawiła ich, by dyskutowali i zastanawiali się razem. Ojciec siedział przed komputerem w swoim pokoju. Ekran ukazywał twarz Jane.

Gdy tylko Qing-jao stanęła w drzwiach, ojciec zwrócił się do niej z tryumfującą miną.

- Widziałas wiadomość, jaką przygotowaliśmy z Jane? - zapytał.

- Ty! - krzyknęła Qing-jao. - Mój ojciec kłamcą?

Powiedzieć coś takiego ojcu... to niewyobrażalne. Ale wciąż nie czuła potrzeby oczyszczenia. Przestraszyła się, że może przemawiać z takim brakiem szacunku, a jednak bogowie nie żądają pokuty.

- Kłamcą? - powtórzył ojciec. - Dlaczego uważasz to za kłamstwa, córko moja? Skąd wiesz, że to nie bogowie zesłali nam tego wirusa? Skąd wiesz, że nie jest ich wolą genetyczne udoskonalenie wszystkich mieszkańców Drogi?

To bluźnierstwo ją rozwścieczyło; może poczuła swobodę, może słowami wypróbowała bogów - słowami obraźliwymi, aby musieli ją ukarać.

- Czy masz mnie za idiotkę? - zawołała. - Przecież wiem, że to twój plan. Bronisz świata Drogi przed rewolucją i rzezią. Tylko to cię obchodzi: żeby nie zginęli ludzie.

- Co w tym złego? - zdziwił się ojciec.

- Posługujesz się kłamstwem.

- A może to maska, jaką wybrali bogowie, by ukryć swe dzieła? Nie miałaś oporów, uznając za prawdziwe wyjaśnienia Kongresu. Dlaczego nie chcesz uznać moich?

- Bo wiem o wirusie, ojczu. Widziałam, jak bierzesz go z dłoni tego obcego. Widziałam, jak Wang-mu wchodzi do jego pojazdu. Widziałam, jak zniknął. I wiem, że żadna z tych rzeczy nie jest dziełem bogów. To ona je sprawiła... ten demon, co żyje w komputerach.

- A skąd wiesz - spytał ojciec - że ona nie jest boginią? To było nie do zniesienia.

- Ją zrobili - zapłakała Qing-jao. - Stąd wiem! Jest tylko programem komputerowym, stworzonym przez ludzi, żyjącym w maszynach przez ludzi wyprodukowanych. Bogów nie tworzy się własnoręcznie. Bogowie zawsze żyli i zawsze żyć będą.

Po raz pierwszy przemówiła Jane.

- A zatem ty jesteś boginią, Qing-jao, tak samo jak ja i każda inna osoba we wszechświecie, człowiek czy ramen. Żaden bóg nie stworzył twojej duszy, twojej wewnętrznej aiua. Jesteś równie stara jak bogowie, i równie młoda, i tak samo długo będziesz żyła.

Qing-jao wrzasnęła. Chyba jeszcze nigdy nie wydała takiego dźwięku. Rozdzierał jej krtań.

- Córko moja... - Ojciec podszedł do niej, wyciągając ramiona, by ją objąć.

Nie mogła znieść tego uścisku. Nie mogła, ponieważ oznaczałby całkowite zwycięstwo ojca. Oznaczałby, że została pokonana przez nieprzyjaciół bogów, że Jane zapanowała nad nią, że Wang-mu była lepszą córką Hań Fei-tzu niż Qing-jao. Oznaczałby, że wszystkie obrządki były niczym, że postąpiła źle, próbując zniszczyć Jane, a Jane była szlachetna i dobra, pomagając odmienić ludzi Drogi. Oznaczałby, że mama nie będzie czekać, kiedy Qing-jao wyruszy w końcu na Bezgraniczny Zachód.

Dlaczego nie odzywacie się do mnie, bogowie! - zapłakała w duchu. Dlaczego nie zapewnicie, że nie na próżno służyłam wam przez te lata? Dlaczego mnie opuściliście, oddając zwycięstwo waszym wrogom?

I wtedy nadpłynęła odpowiedź, tak jasna i wyraźna, jakby matka szeptała jej wprost do ucha: To

próba, Qing-jao. Bogowie patrzą, co zrobisz.

Próba. Oczywiście. Bogowie wypróbują wszystkie swoje sługi na Drodze. Chcą sprawdzić, którzy dali się oszukać, a którzy wytrwali w posłuszeństwie.

Jeśli poddają mnie próbie, to powinnam coś uczynić.

Muszę zrobić to, co robiłam zawsze, ale tym razem nie mogę czekać na polecenia bogów. Mają już dość powtarzania mi codziennie, co godzinę, że mam się oczyścić. Pora, żebym bez ich wskazówek zrozumiała własną nieczystość. Z absolutną perfekcją wykonam rytuał; wtedy przejdę próbę i bogowie znowu do mnie przemówią.

Opadła na kolana. Znalazła linię słoju i ruszyła wzdłuż niej.

Nie otrzymała daru uwolnienia ani poczucia słuszności. Ale nie zniechęciła się, gdyż wiedziała, że to element próby. Gdyby bogowie odpowiedzieli natychmiast, jak zwykle czynili, cóż by to była za próba jej oddania? O ile wcześniej dokonywała oczyszczenia pod ich stałym przewodnictwem, teraz musiała sama sobie radzić. A skąd będzie wiedzieć, że postąpiła właściwie?

Bogowie przybędą do niej ponownie.

Bogowie znowu przemówią. A może zabiorą ją stąd, zanoszą do pałacu Królewskiej Matki, gdzie oczekuje szlachetna Hań Jiang-qing. Tam spotka także Li Qing-jao, swoją przodkinię-serca. Tam powitają ją wszyscy przodkowie; powiedzą: Bogowie postanowili wypróbować bogosłyszających Drogi. Niewielu przeszło tę próbę, ale ty, Qing-jao, przyniosłaś zaszczyt nam wszystkim. Ponieważ wierność twoja nie zachwiała się ani chwilę. Dokonywałaś oczyszczenia, jak nie czynił tego jeszcze żaden syn ani córka. Przodkowie innych mężczyzn i kobiet nam zazdrościli. Dzięki tobie bogowie cenią nas teraz ponad wszystkich innych.

- Co robisz? - zdumiał się ojciec. - Po co śledzisz słoje? Nie odpowiadała. Nie mogła się rozpraszać.

- Wszelka potrzeba zniknęła. Wiem na pewno... Ja nie czuję chęci oczyszczenia.

Ach, ojcze! Gdybyś tylko potrafił zrozumieć! Ale chociaż ty sam nie przejdiesz tej próby, mnie się uda... i przyniosę zaszczyt nawet tobie, który wyparłeś się wszystkiego co słuszne.

- Qing-jao - powiedział. - Wiem, co robisz. Jesteś jak ci rodzice, którzy bez przerwy zmuszają do mycia swoje zwyczajne dzieci. Zapraszasz bogów.

Nazywaj to jak chcesz, ojcze. Twoje słowa nic już dla mnie nie znaczą. Nie będę cię słuchać, póki oboje nie umrzemy, a wtedy powiesz: Córko moja, byłaś lepsza i mądrzejsza ode mnie. Wszelkie zaszczyty, jakie spotykają mnie tutaj, w domu Królewskiej Matki, są wynikiem twojej czystości i poświęcenia służbie bogom. Doprawdy jesteś szlachetną córką. Nie znam innej radości prócz tej, jaką mi dajesz.

Ogólnie rzecz biorąc, przewrót na świecie Drogi przebiegał spokojnie. Tu i tam zdarzyły się zabójstwa; tu i tam bogosłyszający, który rządził jak tyran, został zaatakowany przez tłum i przepędzony ze swego domu. Ale na ogół uwierzono w wersję przedstawioną w dokumencie. Dawnych bogosłyszających traktowano z szacunkiem, uznając ciężar ofiary, jaką były rytuały oczyszczenia.

Mimo to dawny porządek szybko ustępował. Szkoły otwarto dla wszystkich dzieci. Nauczyciele informowali o zadziwiających osiągnięciach uczniów: najgłupszy nawet przekraczał wszelkie przeciętne dawnego okresu. I mimo że oburzony Kongres wypierał się jakichkolwiek genetycznych manipulacji, naukowcy Drogi zwrócili w końcu uwagę na geny swych rodaków. Porównując typową i obecną strukturę molekuł genetycznych, mężczyźni i kobiety z Drogi potwierdzili wszystko, o czym wspominał dokument.

Co działo się potem, kiedy Sto Światów i wszystkie kolonie poznały zbrodnie Kongresu przeciwko

Drodze - tego Qing-jao nie wiedziała. Wszystko to należało do świata, jaki pozostawiła za sobą. Spędzała swe dni na służbie bogów, oczyszczając się nieustannie.

Rozeszły się pogłoski, że obłąkana córka Hań Fei-tzu jako jedyna z bogosłyszających nie przerywa rytuałów. Z początku wyśmiewano ją - gdyż wielu bogosłyszających z ciekawości próbowało oczyszczenia i odkryło, że rytuały są teraz puste i pozbawione znaczenia. Ona jednak nie słyszała drwin i nie dbała o nie. Wszystkie swe siły poświęcała bożej służbie. To bez znaczenia, że ludzie, którzy zawiedli w próbie, lekceważą ją za to, że nadal stara się zwyciężyć.

Lata mijały i wielu wspominało dawne dni jako piękne czasy, kiedy bogowie przemawiali do mężczyzn i kobiet, a ci pochylali się w ich służbie. Niektórzy zaczęli uważać Qing-jao nie za szaloną, ale za jedyną wierną spośród tych, którzy słuchali boskich głosów. I plotka rozeszła się wśród pobożnych: w domu Hań Fei-tzu żyje ostatnia z bogosłyszających.

Zacząli ją odwiedzać. Z początku kilku, potem coraz więcej i więcej. Goście, pragnący jedynie porozmawiać z kobietą, która wciąż starała się oczyścić. Przyjmowała ich; kiedy prześledziła słoje, wychodziła do ogrodu i mówiła z nimi. Ale rozpraszała ją. Powtarzali, że jej trud oczyści całą planetę. Powtarzali, że zaprasza bogów dla dobra wszystkich ludzi na Drodze. Im dłużej mówili, tym trudniej było jej skupić się na ich słowach, i chciała jak najszybciej wrócić do domu, by prześledzić kolejną linię. Czy ci ludzie nie pojmują, że niesłusznie ją wychwalają?

- Niczego nie osiągnęłam - mówiła im. - Bogowie wciąż milczą. Czeka mnie jeszcze wiele pracy.

I powracała do rytuałów oczyszczenia.

Jej ojciec dożył późnej starości i zmarł poważany za swe dzieła, choć nikt nie wiedział, jaką rolę odegrał w sprowadzeniu Boskiej Zarazy, jak teraz ją nazywano. Tylko Qing-jao rozumiała. I kiedy spaliła fortunę - żadne fałszywe, pogrzebowe pieniądze nie były godne jej ojca - szeptała do niego tak, by nikt nie słyszał:

- Teraz już wiesz, ojcze. Teraz pojąłeś swoje błędy i to, jak rozgniewałeś bogów. Ale nie lękaj się. Będę się oczyszczała, aż odpokutuję za wszystkie twoje grzechy. Wtedy bogowie przyjmą cię z honorami.

Ona sama także się postarzała, a Wędrownka do Domu Hań Qing-jao stała się naj słynniejszą pielgrzymką Drogi. Wielu było takich, co usłyszeli o niej na innych światach i przybyli tylko po to, by ją zobaczyć. Gdyż wiadomo było powszechnie, że prawdziwą świętość znaleźć można tylko w jednym miejscu, tylko u jednej osoby: starej kobiety z przygarbionym grzbietem, której oczy widziały już tylko linie słoju w deskach podłogi domu jej ojca.

Wierni uczniowie, mężczyźni i kobiety, doglądali domu, gdzie kiedyś dbała o nią służba. Polerowali podłogi. Przygotowywali proste posiłki i zostawiali tam, gdzie mogła je znaleźć: pod drzwiami pokoi. Jadła i piła dopiero kiedy zakończyła śledzenie słoju całej deski pokoju. Kiedy gdzieś w świecie mężczyznę czy kobietę spotykał wielki honor, przybywali do Domu Hań Qing-jao, klękali i śledzili jedną linię. Tym samym wszelkie zaszczyty przysparzały sławy Świętej Hań Qing-jao.

Wreszcie, kilka tygodni po ukończeniu stu lat, Hań Qing-jao znaleziono zwiniętą na podłodze w pokoju jej ojca. Niektórzy twierdzili, że w tym właśnie miejscu siadał, wykonując swą pracę; trudno powiedzieć, gdyż od dawna usunięto wszystkie meble. Święta kobieta żyła jeszcze, kiedy przybiegli uczniowie. Przez kilka dni leżała w łóżu, mrużąc do siebie, mamrocząc, przesuując dłońmi po ciele, jakby śledziła linie na skórze. Uczniowie siedzieli przy niej kolejno, po dziesięciu, próbując zrozumieć jej słowa i zapisując wszystkie. Zebrano je potem w książkę nazwaną Boskie szepty Hań Qing-jao.

Najważniejsze słowa wymówiła na samym końcu.

- Mamo - szepnęła. - Ojczy. Czy dobrze to robiłam?

Potem, jak opowiadają uczniowie, uśmiechnęła się i umarła.

Nie minął jeszcze miesiąc od jej śmierci, gdy decyzja zapadła we wszystkich świątyniach i kaplicach wszystkich miast, miasteczek i wsi Drogi. Nareszcie pojawiła się osoba tak nieporównanie świątobliwa, że Droga mogła ją wybrać opiekunką i strażniczką całego świata. Żaden z innych światów nie ma takiej bogini, co wszystkie chętnie przyznają.

Droga błogosławiona jest ponad wszystkie światy, powiadają, gdyż Boginią Drogi jest Jaśniejąca Blaskiem.

# Spis treści

[ORSON SCOTT CARD.. 1](#)

[Xenocyd. 1](#)

[ROZDZIAŁ 1. 4](#)

[ROZDZIAŁ 2. 12](#)

[ROZDZIAŁ 3. 33](#)

[ROZDZIAŁ 4. 44](#)

[ROZDZIAŁ 5. 66](#)

[ROZDZIAŁ 6. 84](#)

[ROZDZIAŁ 7. 103](#)

[ROZDZIAŁ 8. 125](#)

[ROZDZIAŁ 9. 164](#)

[ROZDZIAŁ 10. 184](#)

[ROZDZIAŁ 11. 211](#)

[ROZDZIAŁ 11. 244](#)

[ROZDZIAŁ 13. 276](#)

[ROZDZIAŁ 14. 304](#)

[ROZDZIAŁ 15. 335](#)

[ROZDZIAŁ 16. 402](#)

[ROZDZIAŁ 17. 414](#)

[ROZDZIAŁ 18. 440](#)